

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

11 927 164

11 263 486

MOJE WSPOMNIENIA

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom XCIX

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

PRZEDMOWA

Od śmierci Wincentego Witosa minęło wiele lat. W miarę upływu czasu postać jego nie maleje, nie oddala się, ale rośnie. Posiew kilkudziesięcioletniej pracy jego życia przejawia się dziś w niezłomnej postawie chłopów, w ich przywiązaniu do ideałów wolności, demokracji i niezawisłego państwa, w ich patriotyzmie i oporze przeciwko niewoli narodu, krzywdzie i uciskowi obywatela i deptaniu jego godności i praw.

Dobrze jest, że w wolnym świecie ukazują się jego *Pamiętniki*, gdy — niestety — dotąd nie pozwolono im ukazać się w kraju, mimo usilnych zabiegów wydawców i powszechnych oczekowań mas czytelniczych w Polsce.

Postać Wincentego Witosa, jednego z najwybitniejszych polityków ostatniej doby walki o niepodległość i budowy państwowości polskiej, męża stanu, który życiem i działalnością swoją najbardziej reprezentował dążenia i aspiracje chłopstwa polskiego i ogromnej większości narodu polskiego, znana jest ogółowi od strony zewnętrznego wyglądu, ruchów, ubioru itp. Natomiast dzieje jego rozwoju wewnętrznego, dojścia do tak potężnego wpływu na szerokie masy, zwłaszcza na chłopów, są właściwie mało znane. O sobie Witos nigdy nie lubił w swej skromności ani opowiadać, ani pisać, czy udzielać wywiadów. W ostatnich latach przed wojną jego znakomite i niekiedy prorocze artykuły, nabrzmiałe troską o los zagrożonego narodu i państwa, były konfiskowane w prasie Stronnictwa Ludowego i z nim zaprzyjaźnionej razem z nazwiskiem. Wydany przez prof. Franciszka Bujaka we Lwowie w r. 1939 „Wybór Pism i Mów” (Biblioteka Dziejów i Kultury Wsi tom 7, nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiesć”) z wcześniejszych lat działalności parla-

mentarnej i politycznej, został obłożony konfiskatą, z trudem uchyloną dopiero przez sąd apelacyjny. Nim do tego doszło, „Wybór” ten kolportowany był konspiracyjnie z potajemnego składu w mieszkaniu dr. Stanisława Loewensteina. Gdy w r. 1945, już po śmierci Witosa, prof. Bujak usiłował wznowić to wydawnictwo w ramach działalności Komitetu Uczczenia Pamięci W. Witosa, spotkał się znowu z odmową komunistycznej cenzury. Ta próba przekonała też Komitet, iż i *Pamiętniki* Witosa nie mają w tych warunkach żadnych możliwości ukazania się w Polsce. Nic więc dziwnego, że ukazują się one — i to dopiero teraz — na emigracji, nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, w ramach Biblioteki „Kultury”.

Kim był ich autor i w jakich to czasach wypadło mu żyć, działać i walczyć?

Wincenty Witos urodził się 22 stycznia 1874 roku we wsi Wierzchosławice w pobliżu Tarnowa w zachodniej Galicji, od stu lat pozostającej wskutek rozbioru Polski pod panowaniem Austrii.

Stan wsi galicyjskiej był niesłychanie niski, wprost nędzny. Uwłaszczenie i zniesienie pańszczyzny z 1849 dokonało się w warunkach niekorzystnych. Rząd austriacki pilnował, aby dobrobyt wielkich właścicieli ziemskich jak najmniej ucierpiał, toteż przy dworach pozostawiono w ogromnej większości lasy, łąki i pastwiska, z których ongiś chłopci jako poddani korzystali. Brak zarobku gnębił ludność wiejską, w okolicach mniej urodzajnych cierpiała wprost głód. Szczególnie okresem nędzy były lata 1880, w których gnębił Galicję dotkliwy kryzys ekonomiczny. Powoli ratunek przychodził z emigracji, ruszającej na roboty do Prus, Danii, a co najważniejsze do Stanów Zjednoczonych i Kanady, skąd wraz z zarobioną gotówką napływały doświadczenia z wyższej stopy życiowej.

Witosa ojciec, właściciel działki dwumorgowej, chodził na zarobki do lasu okolicznego magnata, księcia Sanguszki. Młody Wincenty od piątego roku życia musiał pasać jedyną krowę, żywicielkę rodziny i z tego powodu aż do dziesiątego roku nie mógł uczęszczać nawet do szkoły wiejskiej. Raz dostawszy się do niej, gdy się nauczył czytać, pochłoniął całą biblioteczkę szkolną i połykał wszelkie książki, jakie życzliwy los mu nasuwał. Obdarzony niesłychaną pamięcią, z książek zdobywał te horyzonty, jakich marne życie na miejscu nie dostarczało. Chwycił się lektury gazetki (*Przyjaciel Ludu*), jaką we Lwowie założyło małe grono zwolenników obudzenia wsi i chłopca, podniesienia go z nędzy materialnej i wywalczenia dla niego praw politycznych. Tym głównym budzicielem był Bolesław Wysłouch, z

bogatej rodziny szlacheckiej z zaboru rosyjskiego, ukształtowany częściowo pod wpływem ruchu Narodników, których poznał za swych studiów w Moskwie, a głównie przez tradycję Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, które na emigracji we Francji i Anglii propagowało ideę pozyskania chłopów do walki o niepodległość narodu, a więc głosiło konieczność jego dobrobytu, oświaty i uświadczenia narodowego. Równocześnie taką samą propagandę podjął ksiądz Stanisław Stojałowski, wielkiego temperamentu działacz polityczny, który popularnym tygodnikiem (*Wieniec i Pszczołka*) pragnął budzić na wsi czytelnictwo, uczucia narodowe i zainteresowanie życiem publicznym. Tak Wyślouch jak Stojałowski wzywali chłopów do skorzystania z warunków, jakie dawała konstytucja austriacka i zdobywania w jej ramach reprezentacji wsi w Parlamencie w Wiedniu i w jej Sejmie krajowym we Lwowie wywalczenia dla chłopów praw politycznych. Warstwa szlachecka rządząca krajem upatrywała w tych dążeniach objaw rewolucyjny i prześladowała je, nie cofając się przed oszustwami wyborczymi, korupcją, konfiskatą czasopism, aresztami działaczy.

Aby poruszyć masę chłopską i stworzyć ramy dla jej politycznego działania, grono tych pierwszych budzicieli zwołało kongres w Rzeszowie 27 lipca 1895 i tam postanowiono powołać do życia pod nazwą Stronnictwa Ludowego chłopską partię polityczną. W odbytych w tymże roku wyborach do parlamentu austriackiego Stronnictwo Ludowe odniosło pierwsze sukcesy. Obrońcy dawnych przywilejów zdwoili walkę przeciw ruchowi ludowemu i przez 10 lat następnych hamowali jego rozwój.

Na tle tej walki rozwija się w swej wiosce Wincenty Witos, ubogi wyrostek wiejski, śladem ojca zarabiający na życie aż do 30 roku jako drwal w lasach księcia Sanguszkii, ale poświęcający każdą wolną chwilę budzeniu i uświadczeniu swych braci. Poprzez pracę w radzie gminnej i w radzie powiatowej zdobywa sobie uznanie niezwykłym rozumem, twardością, konsekwencją, odwagą. Nie dał się zastraszyć także naciskowi hierarchii kościelnej, która w tym ruchu emancypacji chłopów o bardzo skromnym programie widziała groźbę rewolucji i niebezpieczeństwo dla Kościoła.

Wybrany posłem do Sejmu we Lwowie w 1908, a do Parlamentu w Wiedniu w 1912, Witos pociągnął za sobą ogół chłopów polskich w Galicji, którzy z pełnym zaufaniem złożyli w jego ręce obronę swoich interesów. Walcząc o podniesienie wsi, nie miał Witos ciasnych horyzontów opłotków wiejskich, dążył do włączenia chłopów w życie narodu, zapewnienia dla nich,

jako najliczniejszej warstwy społecznej, należytej roli w walce o niepodległość Ojczyzny.

Nigdy chłopom nie schlebiał, był twardy i surowy jak dla siebie, tak dla chłopów. Walcząc o prawo, podkreślał, że prawom muszą odpowiadać obowiązki. Także żądając zniesienia wielkiej własności ziemskiej i dostarczenia chłopom ziemi, nie domagał się wywłaszczenia bez odszkodowania, ale był za wykupieniem ziemi przez chłopów przy pomocy kredytu państwowego.

Pierwsza wojna światowa, doprowadzając do zjednoczenia trzech zaborów, rosyjskiego, austriackiego i pruskiego, oraz stworzenia niepodległego państwa polskiego, wysunęła Stronnictwo Ludowe na pierwszy plan w życiu organizującego się państwa. Chłopi w byłej części rosyjskiej i pruskiej zaczęli się organizować; z początku dla jednych był Witos zbyt konserwatywny, dla drugich zbyt rewolucyjny, ale wszyscy uznawali wyjątkową wielkość tej postaci. Sejm polski, pomimo że podzielone stronnictwa chłopskie były w nim mniejszością, uchwalił jednym głosem większości w lipcu 1920 roku przeprowadzenie reformy rolnej. Dopomogła do tego obawa przed najazdem bolszewickim.

Gdy w sierpniu 1920 potężna armia Tuchaczewskiego podsunęła się ku Warszawie, wszystkie stronnictwa były zgodne z tym, iż musi powstać Rząd Obrony Narodowej i że jego głową nie może być nikt inny jak Witos. Bolszewicy już sprowadzili do Białegostoku polski rząd komunistyczny i wezwali chłopów do zajmowania siłą ziemi na własną rękę, jak to się stało w Rosji, do organizowania wszędzie rad chłopsko-robotniczych i do poparcia akcji Czerwonej Armii dla urządzenia Polski w duchu rosyjskiej rewolucji. Witos całkowicie sobie zdawał z tego sprawę, że przyjmując ziemię i rząd z rąk Czerwonej Armii, chłopci polscy wpadną w niewolę rosyjską i wraz z całym narodem stracą wolność — tak klasycznie jak to się stało po drugiej wojnie światowej. Odrzucił sowieckie przynęty i wezwał masę chłopską do szeregów tworzącego się pośpiesznie wojska polskiego dla odparcia wrogiej inwazji. Chłopi, ufając bezwzględnie Witosowi, pośpieszyli tłumnie do szeregów i zapalem swoim podnieśli ducha armii i dopomogli do zwycięstwa.

Kłęska bolszewików pod Warszawą, która na lat 24 wstrzymała pochód imperializmu Moskwy na Zachód, nie była do pomyślenia bez roli Witosy. W pełni to rozumiała partia bolszewicka i wyraził to na posiedzeniu Kominternu jego sekretarz Manuilski, podkreślając, że zwycięzcą nad Rosją czerwoną było

nie tyle wojsko, co chłop polski, który odrzucił wezwanie bolszewickie, nie ufając mu.

Witos był potem dwukrotnie jeszcze premierem rządu polskiego. Walczył o realizację uchwalonej reformy rolnej, ale napotkał na opór warstwy posiadającej, która, gdy niebezpieczeństwo minęło, zapomniała o ostrzeżeniach historii i Witosą, aby się doczekać krwawego rozgromu w latach 1944-1945 od „wyzwolicielskiej” Armii Czerwonej. Za swych rządów Witos dążył do ułożenia przyjaznych stosunków z państwami sąsiednimi, wszędzie zawiązując ścisłą przyjaźń z partiami agrarnymi. Najbardziej braterskie węzły łączyły go z przywódcami czeskiej partii agrarnej, Antonim Svehlą, dr. Milanem Hodzą, potem z Rudolfem Beranem, Józefem Cernym i innymi. Odwiedził też demonstracyjnie w Bułgarii Aleksandra Stambolijskiego, jakkolwiek nie we wszystkim podzielał jego taktykę. Planował z nimi rodzaj wspólnoty państw rolniczych, opartej na jednakowym programie ekonomicznym, w wierze, że ta wspólnota zapewni w tej części Europy trwały pokój i trwały ustrój demokratyczny.

Niezwykłe to było zjawisko zewnętrznie — Witos. Wysocki, o ostrych rysach twarzy, silnym przenikliwym wzroku, nigdy nie odróżniający się nawet ubiorem od wyglądu chłopu polskiego, wysokie buty z cholewami, koszula o białym kołnierzu (obszywce) bez krawatu — do śmierci, mimo szyderstw i nalegań nie zgodził się ubrać po miejsku. Wyrażający się stylem surowym, zwięzłym, nieco kategorycznym — czym pokrywał pewną nieśmiałość i zażenowanie samouka w stosunku do ludzi wykształconych — skąpy w słowach, ale każde z nich objawiało bystrość, rozum polityczny, realizm życiowy, prawdomówność. Mówca jędrny, lapidarny, wróg demagogii, przykuwał uwagę i myśl najtęższych głów politycznych a porywał masę chłopską.

W maju 1926 usunął Witosą od rządu zbrojny zamach stanu Piłsudskiego. Prasa rządowa zohydzała jego dobre imię. Zorganizowano napad tajemniczej bandy na jego domek na wsi, aby wykraść jego archiwa. W prasie ogłoszono, że był to napad bandytów, zwabionych masą dolarów w skrzyni Witosą. Dodać warto, że w ciągu blisko 40 lat pracy publicznej Witos, żyjący niesłychanie skromnie i oszczędnie, powiększył swój majątek z 4 do 17 morgów roli.

Przeciw niszczeniu parlamentaryzmu i demokracji walczył Witos razem z innymi stronnictwami demokratycznymi, związanymi w tzw. Centrolew. Chcąc przez terror wobec stronnictw politycznych wygrać wybory do Sejmu, Piłsudski we wrześniu 1930 kazał porwać i osadzić w więzieniu wojskowym w Brześciu

przywódców stronnictw demokratycznych z Wincentym Witosem na czele. Podczas kilkutygodniowego więzienia, będącego pogwałceniem konstytucji i ustawodawstwa polskiego, traktowano więźniów brutalnie. Potem wytoczono im proces i przy pomocy słuźalczych sędziów — jeden tylko z nich miał odwagę założyć protest i został usunięty z sędziostwa — skazano na różnoterminowe więzienie: Witos na półtora roku, jakkolwiek najmniejszego zarzutu przeciw niemu nie można było udowodnić. Witos postanowił nie ugiąć się przed wyrokiem i wraz z kilku skazańcami udał się na wygnanie, przyjęty z serdeczną gościną w Czechosłowacji przez stronnictwo agrarne.

Z wygnania zwracał się w listach i pismach do swoich zwolenników w Polsce, którzy stanowili znaczną większość narodu. Witos ostrzegał zarówno przed polityką wewnętrzną pułkowników, jak i zagraniczną (spółdziałanie z Hitlerem, udział w rozbiórce Czechosłowacji). Wzywał wobec niebezpieczeństwa napaści Hitlera do zmiany rządu w Polsce, proroczo ostrzegając: ci panowie ani przed wojną kraju nie uchronią, ani go do obrony należycie nie przygotowują, na kraj ściągną klęskę i sami uciekną za granicę, a za ich winy cierpieć będą w kraju masy niewinne, które uciekać nie mogą. Słowa to Witos na rok przed klęską wrześniową powtarzane.

Gdy Hitler wkroczył do Czechosłowacji, Gestapo poszukiwało Witosą, aby mu proponować odegranie jakiejś roli w oparciu o Niemcy. Witos skrył się przed wysłannikami i zgłosił się do poselstwa polskiego w Pradze z prośbą o paszport powrotny do ojczyzny, choćby nawet miał być skierowany do więzienia. Pułkownik Beck odmówił. Witos z wielkim wysiłkiem fizycznym przekradł się nielegalnie przez granicę, dotarł do Krakowa i oddał się w ręce prokuratora. Ten, na rozkaz premiera Sławoj Składkowskiego i ministra sprawiedliwości Grabowskiego, skierował go do więzienia, skąd po kilku tygodniach, skutkiem złego stanu zdrowia, udzielono mu chwilowego urlopu.

Witos uchodząc przed inwazją hitlerowską, w pociągu ranny odłamkiem pocisku, uwięziony ponownie przez Niemców, trzymany był w więzieniu w Rzeszowie, przewieziony do Berlina, ciężko chory osadzony został w sanatorium policyjnym w Poczdamie w marcu 1940; później, chory trzymany pod dozorem Gestapo w Zakopanem, w 1941 otrzymał pozwolenie leczenia się w swoim domu. Mimo złego stanu zdrowia, w 70 roku życia dwukrotnie konspiracyjnie wyprawiał się na miejsce lądowania samolotów z Londynu, na wezwanie rządu polskiego na wygnaniu pod premierem Stanisławem Mikołajczykiem. Obydwa razy, dzięki zakulisowym intrygom, samoloty nie znalazły się w

oznaczonym czasie na oznaczonym miejscu, skąd miały zabrać Witosą. Witos pragnął wyjechać i dlatego, że Gestapo kilkakrotnie chciało go zmusić do wydania odezwy przeciw wkraczającej na ziemie polskie armii rosyjskiej, podsuwając mu nawet opracowane przez siebie teksty. Za odmowę aresztowano jego córkę i wywieziono do obozu koncentracyjnego.

Gdy Armia Czerwona zajęła teren pobytu Witosy, porwano go, człowieka już na pół sparaliżowanego, i przez tydzień tłuczono transportem samochodowym do Brześcia w niewiadomym celu — dosłownie w tym samym tygodniu, w którym delegację Polski Podziemnej pod pretekstem przyjaznych rozmów wywieziono do więzienia w Moskwie. Po tygodniu chorego starca wypuszczono. Umieszczony w szpitalu OO. Bonifratrów w Krakowie, najżywiej śledził sytuację wytworzoną przez powrót Mikołajczyka i odbudowę Polskiego Stronnictwa Ludowego, udzielając tej akcji pełnego poparcia i błogosławieństwa.

Zgaśł 30 października 1945 w szpitalu OO. Bonifratrów w Krakowie. Pogrzeb jego był manifestacją całej ówczesnej Polski, kondukt pogrzebowy prowadził kardynał Adam Sapieha, metropolita krakowski, za trumną — ludzie wszystkich warstw i stanów, oraz wielotysięczna masa chłopów, którzy swego przywódcę odprowadzali z Krakowa aż do Wierchosławic na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu rodzinnej wsi.



Na zakończenie jeszcze parę informacji na temat powstania *Pamiętników* i ich późniejszych losów.

Gdy Wincenty Witos powrócił do Krakowa z więzienia w Brześciu w ostatnich dniach listopada 1930 r. i zaczął mi żywo i barwnie opowiadać swoje tam przeżycia, zaproponowałem mu, aby je natychmiast spisał. I tak powstał „Mój pobyt w Brześciu”, pierwszy fragment późniejszych jego *Pamiętników*.

Gdy opis ten wręczył mi Witos do przeczytania, uderzył mnie jego talent w odtwarzaniu przeżyć, zacząłem więc nalegać na spisanie wspomnień od najwcześniejszej młodości. Ale chwila po temu nie była jeszcze odpowiednia. Pochłaniała go wtedy praca organizacyjna i wir walki politycznej. Zabrał się do nich dopiero na emigracji w Czechosłowacji.

Z Czechosłowacji różnymi okazjami raz po raz przysyłał mi Witos gotowe już części *Pamiętników*. Do każdej takiej części posyłałem mu swoje uwagi, które przeważnie uwzględniał w dalszej ich redakcji. Gdy w kwietniu 1939 r. Witos powrócił

do Polski, przywiózł ze sobą *Pamiętniki*, spisane do r. 1928, to jest do wyboru prof. I. Mościckiego na prezydenta Polski. Wręczył mi je wtedy w całości, w celu zastanowienia się nad ewentualnym ich ogłoszeniem, jeśli nie w kraju to zagranicą. Ten egzemplarz *Pamiętników* (kopia maszynowa z własnoręcznymi poprawkami autora) złożyłem w ostatnich dniach sierpnia 1939 r., w dzień przed opuszczeniem Krakowa i wyjazdem do Lwowa, w Archiwum XX Czartoryskich w Krakowie na przechowanie i zabezpieczenie w obliczu nadchodzącej wojny.

Wojna 1939 r. przerwała mój najbliższy kontakt z Witosem, gdyż opuściwszy w październiku Lwów, znalazłem się w listopadzie 1939 r. na emigracji w Paryżu, w końcu w Londynie, a Witos już we wrześniu 1939 r. był w więzieniu Gestapo najpierw w Jarosławiu, potem w Rzeszowie, Berlinie, następnie w areszcie domowym w Zakopanem i w Wierchosławicach.

Spotkaliśmy się na krótko dopiero w sierpniu 1945 r., gdy po wojnie wróciłem do Polski i odwiedziłem już ciężko chorego Witosa, najpierw w Wierchosławicach a potem w szpitalu OO. Bonifratrów w Krakowie.

Dowiedziałem się wtedy o dalszych częściach *Pamiętników*, napisanych w okresie wojny podczas aresztu domowego w Wierchosławicach, przy czym pod koniec rozmowy zwrócił się do mnie Witos z prośbą o zajęcie się wydaniem całości *Pamiętników* i dał mi ustne upoważnienie do podjęcia kroków w tej sprawie, najpierw w Polsce, a gdyby się to okazało niemożliwe — zagranicą, czyniąc mnie odpowiedzialnym za ich losy i ich edycję.

Wkrótce po śmierci Witosa powstał w Krakowie Komitet Uczczenia jego Pamięci pod przewodnictwem prof. Franciszka Bujaka — jednego z najbliższych jego przyjaciół — i moim. Komitet ten w programie swej działalności podjął plan wydania w pierwszym etapie „Wyboru Pism i Mów” Witosa dla sprawdzenia możliwości przepchnięcia przez cenzurę komunistyczną postaci Witosa — premiera Rządu Obrony Narodowej z 1920 r. w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Mimo usilnych zabiegów i interwencji prof. Bujaka, okazało się, że cenzura tego nie przepuści; uświadomiło to przyjacielom Witosa także niemożliwość wydania w drugim etapie planu działalności Komitetu *Pamiętników* Witosa.

Kiedy w r. 1946 przyjechałem z Rzymu do Krakowa, prof. Bujak zwrócił się do mnie o podjęcie starań wydania *Pamiętników* Witosa zagranicą, a równocześnie do pani Julii Masiowej, jedynej córki Witosa, o wydanie mi w tych celach dalszych fragmentów *Pamiętników*, znajdujących się w jej posiadaniu.

Wracając do Włoch, zabrałem ze sobą te fragmenty do Rzymu, gdzie już miałem tę część *Pamiętników*, którą po wojnie odebrałem z depozytu w Archiwum XX Czartoryskich. Zająłem się wówczas ich skopiowaniem i tak powstało kilka kopii *Pamiętników*, które rozesłałem kilku środowiskom przyjaznym Witosowi, aby zbadali i przygotowali możliwości do ich wydania wobec tego, że w Polsce okazało się to niemożliwe.

Czyniłem przede wszystkim zabiegi o wydanie *Pamiętników* — całości, lub pewnych ich części — w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych. Niestety, rozmiar ich i koszty tłumaczenia utrudniły wykonanie tych zamierzeń.

Gdy w październiku 1956 r. doszło w Polsce do pewnych zmian i złagodzenia cenzury, miałem wrażenie, że otwierają się możliwości wydania *Pamiętników* Witosy w Kraju. Gdy różne państwowe firmy wydawnicze zaczęły zgłaszać się z propozycją wydania *Pamiętników*, doradziłem pani Masiowej, by spośród nich wybrać najpoważniejszą, a mianowicie Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu. We wrześniu 1957 r. doszło do podpisania umowy wydawniczej między panią Julią Masiową, spadkobierczynią W. Witosy, a Ossolineum. W maju 1958 r. wręczyłem w Paryżu pani Masiowej skolacjonowaną kopię *Pamiętników* oraz część oryginalnego egzemplarza.

Licząc się z możliwościami wydania *Pamiętników* Witosy w Polsce, zaniechałem poszukiwania wydawcy zagranicą, a zgłaszającym się reflektantom odmawiałem zgody na ich wydanie, aby nie utrudniać edycji *Pamiętników* w Polsce, na czym szczególnie mi zależało.

W czerwcu 1959 r. otrzymałem wiadomość w korespondencji z Warszawy, że *Pamiętniki* Witosy nie ukażą się ani w Ossolineum we Wrocławiu, ani w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszawie, która niezależnie od Ossolineum czyniła usilne starania o ich własną, skróconą ma się zrozumieć edycję. Jako powód podawano mi z Warszawy — „zbyt duże koszty” tej publikacji. Trudno mi było w to uwierzyć, przeciwnie, byłem przekonany, iż nie o koszty poszło, lecz o cenzurę.

Mimo to jeszcze się łudziłem możliwością korzystnej zmiany atmosfery politycznej i nadzieją, że dojdzie ostatecznie do ogłoszenia drukiem w Polsce *Pamiętników* Witosy, zwłaszcza wobec pozwolenia na ogłoszenie w prasie literackiej pewnych ich fragmentów.

Gdy ostatecznie doszedłem do przekonania, iż *Pamiętniki* Witosy nie ukażą się w Polsce z powodu zakazu cenzury, wówczas postanowiłem przyjąć propozycję Jerzego Giedroycia wy-

dania *Pamiętników* Wincentego Witosa w Bibliotece „Kultury”.

Mgr. Franciszek Wilk na moją prośbę przygotował do druku *Pamiętniki*.

Znajdująca się w moim posiadaniu kopia *Pamiętników* Witosa kończy się opisem wydarzeń w r. 1933, poprzedzającym wyjazd Witosa do Czechosłowacji i fragmentem notatek na temat wypadków w Polsce w tym roku. Brak jest, niestety, końcowego fragmentu *Pamiętników* z lat 1933-1939, co do którego istnieją pewne dowody, iż były one napisane i pozostawione w rękopisie. Fragment ten jednak zaginął w tajemniczych okolicznościach i nie mógł wejść do obecnej edycji. Nie chcę snuć przypuszczeń nie mając konkretnych dowodów. Nie wykluczam zresztą, że znajduje się w kraju. Wielka to szkoda, gdyż dotyczy on okresu rozwoju ruchu ludowego w Polsce i jego walk o demokrację, w którym Witos z niezwykłą energią kierował jego działalnością z obczyzny. W tym okresie nawiązał on ścisłą współpracę z Ignacym Paderewskim w Szwajcarii, dr. Hermanem Liebermanem (PPS) w Paryżu, wspierany na miejscu w Czechosłowacji przez Wojciecha Korfanteo, również emigranta politycznego po Brześciu, przywódcę Chrześcijańskiej Demokracji. Współpraca ta doprowadziła — przy poparciu gen. Władysława Sikorskiego, gen. Józefa Hallera i innych z kraju — do powstania tzw. „Frontu w Morges” nazwanego tak gdyż w tej siedzibie Ignacego Paderewskiego, w Szwajcarii, w lutym 1936 r. odbyła się konferencja organizacyjna.

Brak tej części *Pamiętników* wyrównują częściowo fragmenty diariusza czynności Witosa, jakie znalazły się w moim posiadaniu zagranicą.

Nie będę tu roztrząsał spraw i problemów politycznych, poruszanych w *Pamiętnikach*, zawierających osobiste poglądy i oceny ich autora, nieraz — jak zwykle w tego rodzaju literaturze politycznej — kontrowersyjnych. Omawia je zresztą obszerniej autor we własnym wstępie na pierwszych kartach książki.

Podkreślić tylko należy, że *Pamiętniki* te powstały w warunkach specyficznych, bo na obczyźnie, po której tułać się przyszło temu wielkiemu przywódcy ludu polskiego, trzykrotnemu premierowi, kawalerowi najwyższego orderu, jaki za zasługi Polska nadać mogła — „Orła Białego”; swą pracą organizacyjną i polityczną dał bowiem Witos Polsce miliony świadomych swych obowiązków i praw w państwie obywateli, jej żywicieli i obrońców, z „cesarskich” chłopów swą pracą wychowawczą przetworzył ich w oddanych ojczyźnie patriotów, którzy nie zawiedli pokładanych w nich jego nadziei, gdy w r. 1920 wezwał ich do

obrony wolności i z takim trudem tylu pokoleń zdobytej niepodległości państwa. Świadom wad polskiego parlamentaryzmu i ustroju politycznego, zmierzał Witos do jego naprawy i to było zasadniczym programem i celem jego ostatniego rządu, obalonego zbrojnym zamachem. Odtąd ścigała Witosą ciągle zemsta zwycięzcy, która doprowadziła go do twierdzy brzeskiej i późniejszego, jakże krzywdzącego, wyroku, a wreszcie do bolesnej tułaczki. I oto wtedy w atmosferze nagromadzonej goryczy spisuje Witos swe wspomnienia. Nic więc dziwnego, że gorycz przepaja często ich karty i odbija się na stosunku do wielu spraw i ludzi, a także i na stosunku do wielu działaczy i przywódców ruchu ludowego. W większości wypadków poglądy jego i oceny są uzasadnione, w niektórych jednak są krzywdzące. W szczególności odnosi się to do wieloletniego marszałka Sejmu, Macieja Rataja, kierownika Stronnictwa w kraju w latach 1933-1939, z którym dzieliły Witosą poważne różnice na taktykę Stronnictwa w tym ciężkim i trudnym dla opozycji politycznej okresie, zwłaszcza po krwawo stłumionym strajku chłopskim 1937 r. Odnosi się to także w większym jeszcze stopniu do Jana Dąbskiego, działacza o odmiennej zupełnie od Witosy strukturze psychicznej.

Mimo jednak tych usterek, czy braków, „Moje Wspomnienia” Wincentego Witosy są bezcennym źródłem historycznym do dziejów Ruchu Ludowego w Polsce, a także do pół wieku naszych dziejów, zaczynającego się w latach 90-tych minionego stulecia, a urywających się w przede dniu katastrofy wrześniowej.

Za inicjatywę i trud ich wydania pragnę podziękować Instytutowi Literackiemu w Paryżu, a ich subskrybentom za ułatwienie tego przedsięwzięcia.

Stanisław KOT

Londyn, 12 stycznia 1964 r.

WSTĘP

Pragnę być zupełnie szczery. Zaczynając więc pisać swoje wspomnienia przyznaję, że nie robię tego z własnej inicjatywy, gdyż jeszcze na długo przed moim pobytem w Brześciu moi znajomi i przyjaciele polityczni, zwracali się do mnie z często powtarzanym pytaniem, czy już pracę tę zacząłem i jak ją daleko doprowadziłem.

Niektórzy z nich żądania swoje popierali dość dowolnym twierdzeniem, że owe spisanie pamiętników nie jest z mojej strony żadną łaską, ale prostym obowiązkiem wobec chłopów i Stronnictwa naszego, tak skrupulatnie przez wszelkie publikacje omi-
nianych.

Nie brakło i takich, co udzielając różnych cennych rad, próbowali mnie kusić zapewnieniem, że z pracy mojej może być po-
ważny kapitał polityczny. Jako ostatni argument podawano, że przywódcy innych stronnictw dawno to już zrobili.

Choć argumenty podobne mogą przekonać wielu polityków, szczególnie jeśli dochodzą do mojego wieku, wcale się nimi nie wzruszyłem, zbywając ciekawych wymijającymi odpowiedziami. Opierałem się zaś i namyślałem nie dlatego, ażebym swoich przyjaciół miał posądzać o delikatną próbę odstawienia mnie w cień, lecz zupełnie dla innych powodów.

Powody

Każdy rozsądny człowiek — a ja się za takiego uważam — jeżeli zamierza wykonać jakąś większą i trudną dla niego pracę,

musi mieć przekonanie, że przyniesie ona choćby drobny pożytek trafiając do tych, dla których jest w pierwszym rzędzie przeznaczona. Tego zaś obecnie nie można się w żaden sposób spodziewać, bo jeżeli coraz mniej i rzadziej „błądzą pod strzechy” książki i myśli największych pisarzy, to jak pod nie może trafić nieudolna praca byłego wójta z Wierzchosławic, o którym tak wielu w Polsce wątpiło, czy też się potrafi własnoręcznie podpisać.

Drugim, ważniejszym jeszcze powodem mojego wahania — to słuszna obawa, dotycząca wykonania zamierzonej pracy i trudności w należyтым ujęciu narzucających się zagadnień i wypadków, zarówno wielkich jak i skomplikowanych.

Będzie ich zaś niemało, bo przecież praca i działalność moja przez wiele lat była ściśle związana z losem wielkiego odłamu ludu polskiego, a w życiu politycznym zetknąłem się z bardzo wielu sprawami natury ogólnej, dość rzadko się zdarzającymi, gdyż przypadały one na okres zmian i przewrotów, jakich przedtem niewiele w świecie notowano. Omijać ich nie chcę, ani nie mogę, a bez wstydu wyznaję, że zdolności do tego potrzebnych — nie czuję.

Tu więc liczyć muszę na wielką wyrozumiałość.

Wstrzymywał mnie także urwany fragment „pamiętników”, jakie swego czasu dość pośpiesznie i nieopatrnie sklepiłem, kierując się „życzliwymi” radami pewnego znanego dziennikarza. Jak dzisiaj widzę, nie zawsze dobre i życzliwe rady przynoszą pożytek.

Braki

Najważniejszą zaś przeszkodą, to pozbawienie mnie zapisków i dokumentów, którymi mogłem się posiłkować. Znaczną ich część bowiem skradziono mi w roku 1926 i 1927 w czasie napadów na moje mieszkanie w Wierzchosławicach, urządzanych przez sprawców nieznanych i dotąd nie wykrytych.

Nie mniejszą szkodę w tej dziedzinie wyrządził mi też jeden z gorliwych przyjaciół politycznych. Przybył on z Warszawy do Wierzchosławic na drugi dzień po przewrocie majowym, kiedy ja byłem osadzony w Wilanowie, doradzając przerażonej żonie i córce konieczne zniszczenie „wszystkich niebezpiecznych papierów”, ażeby się uchronić przed skutkami rewizji, która miała jakoby na drugi dzień nastąpić.

Ponieważ one nie umiały dostatecznie rozróżnić pomiędzy „bezpiecznymi” i „niebezpiecznymi papierami”, zajął się sam nimi i dla pewności spalił niemal wszystkie w piecu kuchennym.

W czasie tych najazdów ulotnił się też odpis bardzo znanego listu Naczelnego Wodza, J. Piłsudskiego, wystosowanego do mnie jako Prezydenta Ministrów Rządu Obrony Narodowej w sierpniu 1920 roku na parę dni przed ofensywą w czasie największej depresji i klęsk na froncie bolszewickim*).

Zapiski i dokumenty starsze, dotyczące sejmu galicyjskiego i parlamentu austriackiego i ludzi tam działających, zniszczył mi Franciszek Krempa jeszcze w roku 1914. Uciekając przed wojskami rosyjskimi schronił się u mnie przez pewien czas, a chcąc ode mnie odsunąć wszelkie podejrzenia, spalił wszystko, co tylko trąciło polityką. Gdy za parę dni powróciłem z Krakowa do domu, zastałem już zimny popiół z nich.

Ocalała tylko drobna część materiałów, które dzięki przypadkowi znalazły się poza moim domem.

Miejsce i powody postanowienia

Wahanie moje przerwało więzienie brzeskie. Siedząc tam samotnie w czterech ścianach małej, zimnej, na pół ciemnej celi, odcięty od świata i ludzi, miałem dość czasu, ażeby się skupić, przechodząc myślami całą drogę życia, przypominając sobie już nie tylko poważniejsze wypadki, ale często nawet drobne szczegóły. Tam je też próbowałem zestawić w porządku, w jakim następowały i w sposób, jak je pojmowałem i oceniałem, postanawiając sobie, że mimo braków i obaw po zwolnieniu z więzienia zabiorę się do pisania.

Jakie na moją decyzję wpłynęły powody?

Jestem dotąd jedynym chłopem w Polsce, któremu w udziale przypadło tak wysokie i odpowiedzialne stanowisko: kierowanie nawą Państwa.

Jako dziecko wsi, czułem się zawsze i czuję związany z chłopami wszystkimi więzami losu i pokrewieństwa. Widzę też ich dalsze upośledzenie i ciężką nadzwyczaj dolę, mimo że oni trzon narodu i podstawę Państwa stanowią.

Nikt się też nie może dziwić ani gorszyć, że uważam się za uprawnionego, a nawet zobowiązanego do przemówienia ich imieniem, reklamowania ich ofiar i zasług, tak łatwo zapomnianych, upomnienia się o ich prawa i krzywdy. Wiem, że się nie obrażą, gdy napiszę prawdę, czasem może dla nich niezbyt miłą.

*) List ten został opublikowany w „Niepodległości” nr VII 1962 r. w Nowym Jorku (Wydawca).

Aczkolwiek jestem świadom, że wysokie urzędy, piastowane w Polsce przeze mnie, dostały się w moje ręce raczej dzięki układowi stosunków i sił politycznych, to niemniej musiałem posiadać jakieś zalety, jeżeli w momencie dla Państwa najcięższym uznano mnie za godnego i zdolnego kierowania jego losami.

A uczynił to nie jakiś przygodny tłum, lecz najwyższemu postawieni w narodzie, na czele z Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, J. Piłsudskim, pomijając innych, już nie tyle prostaczków do mnie podobnych, na stanowiska takie oczekujących i na nie przygotowanych.

A przecież działo się to w tak ciężkim czasie, że nawet ci, co im „wdzięczny naród polski” buduje pomniki i sypie kopce, o zwycięstwie prawie zupełnie zwątpili.

Ze zaś na tym stanowisku nie byłem tylko figurantem, dowodzi rok 1920 i wypadki z nim związane. Zachowanie się moje oceniło Państwo, odznaczając mnie największym orderem, jaki posiadało, ocenił także i Naczelnik Państwa, wyrażając mi gorące podziękowanie, choć dalsze wypadki stwierdziły, że wcale nie należał do moich przyjaciół.

Sądzę, że do wypowiedzenia się upoważnia mnie także mój udział w ruchu ludowym i praca, jaką w niego włożyłem. Wprawdzie nie należałem do pierwszych pionierów na tej niwie, ani nie byłem najwybitniejszym pracownikiem, ale mój udział i praca w ruchu ludowym zaczynają się prawie od lat dziecięcych, prowadząc aż do objęcia kierowniczego stanowiska w Stronnictwie i kraju. To więc tylko, co wymieniłem, wydaje mi się dostateczną legitymacją.

Gdzie piszę i co zamierzam napisać?

Wypadki tak się ułożyły dla mnie, że pierwsze słowa zaczynam pisać na obczyźnie, w Czechach, gdyż w Ojczyźnie zbrakło miejsca dla mnie.

Nie czując najmniejszej winy, nie chciałem się poddać wyrokowi, skazującemu mnie w procesie brzeskim. Zmuszony więc byłem opuścić granice Państwa Polskiego, któremu nigdy nic złego nie uczyniłem, lecz starałem się służyć mu według wszelkich sił i najlepszej woli.

Czy los mój będzie zachętą do pracy i poświęceń dla chłopów, tego przesądzać nie chcę, choć z listów otrzymywanych od nich mógłbym wnioskować zupełnie co innego. Wiedzą oni, że jestem ofiarą zemsty politycznej, ścigającej mnie ze szczególną zaciekłością, i to ze strony tych, wobec których w chwilach dla

nich najbardziej nieprzyjemnych zachowałem się w sposób najbardziej lojalny i przyzwoity. Oni zaś w swojej małostkowości nie oszczędzają nawet mojej rodziny, a mnie nie przestali ścigać oszczerstwami i nasyłanymi szpiegami.

Zgodnie z moim założeniem, pisząc zajmę się w pierwszym rzędzie życiem wsi polskiej, zaczynając od tej, w której się urodziłem i wychowałem. Patrząc tam na życie własnymi oczami i biorąc w nim udział, znosząc wraz z innymi złą i dobrą dolę, starać się będę odmalować je jak najwierniej, nie omijając zarówno jego ujemnych jak i dodatnich stron.

Nie ominę też panujących wówczas stosunków, zwyczajów i obyczajów, przejawów myśli natury społecznej, politycznej, narodowej i gospodarczej. Podając to, nie będę się zagłębiał w dalsze badania i dociekania.

Zajmę się także nieco moją rodziną i najbliższym otoczeniem.

Przechodząc do stosunków w okolicy i w powiecie, odtworzę z nich to, co mi najwięcej utkwiło w pamięci, a co z mojego punktu widzenia uważam za potrzebniejsze.

Przechodząc na teren pracy w Stronnictwie, Sejmie, Kole Polskim, Parlamencie i innych instytucjach, dotknę zarówno stosunków panujących jak i ludzi wybitniejszych, działających tam wówczas.

Więcej miejsca poświęcę wypadkom, jakie zaszły w okresie wojny światowej, a przede wszystkim zachowaniu się chłopów w czasie najcięższych prób i doświadczeń, jakie przechodzili, rozwojowi myśli politycznej polskiej, rozmowom, wyjazdom, i konferencjom, w których brałem udział. Notując wypadki i zdarzenia, zamierzam dojść w pracy swej na razie do więzienia w Brześciu i rozpraw sądowych.

W pierwszej już części postaram się dać niektóre wyjaśnienia i odpowiedzi na czynione mi zarzuty, dotyczące mojego postępowania i działalności na terenie Stronnictwa, kraju, Sejmu i Rządu.

Z mojej pracy nie chcę, ani nie mogę robić politycznego dokumentu, gdyż nie rozporządzając potrzebnym materiałem ani zdolnością, zebrałem przeważnie to, na co mi pozwalały stosunki i moje bardzo dotkliwie ograniczone możliwości.

Ogólnie

Od bardzo wczesnej młodości brałem udział w pracy społecznej i politycznej. Zacząłem ją od wsi i gminy nie przypuszczając, że ją zakończę na niepodległym Państwie Polskim. Zaj-

mowałem stopniowo coraz wyższe i coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska, dochodząc aż do urzędu Prezydenta Ministrów, który mi przypadł w udziale w odrodzonej Polsce i w czasie największego dla niej niebezpieczeństwa.

Nie domagam się wcale uznania ani wdzięczności od nikogo. Nie przeczę także, że sukcesy mojej polityki nie są zbyt wielkie, ale na swoją obronę mogę przytoczyć wiele dowodów, z których niezbicie wynika, że w pracy swojej wcale mi różami drogi nie usłano, ale za to gęsto zasadzono ją cierniami i to niemal wszędzie, gdzie się to tylko okazało możliwe.

Były czasy, kiedy dla jednych byłem chłopem-arystokratą, dla drugich zaś równocześnie zwyczajnym „sanguszkowskim drwalem”. Gdy jedni chcieli widzieć we mnie tylko rozbójnika-Szełę, pragnącego pożreć żywcem szlachtę, a nawet i księży, to w tym samym czasie drudzy ogłaszali mnie uroczyście zdrajcą chłopów, księżym parobkiem i pańskim lokajem.

Kiedy jedni przypisywali mi zdolności i to wcale nieprzeciętne, duże wyrobienie polityczne i rozum niecodzienny, inni przedstawiali mnie jako zwyczajnego tumana, który czasami zdobywa się na perfidię i lisią przebiegłość, właściwą dla ludzi tej sfery.

Wiem, że jeszcze dotąd nie brak w Polsce ludzi, którzy chcą widzieć we mnie wcielenie wszelkich cnót, rozumu i zdolności, którzy wierzą, że swoją pracą, zabiegami i postępowaniem zaoszczędziłem Państwu ciężkich, a dla młodego organizmu niebezpiecznych wstrząsów, a może nawet i przewrotów. To wiem również, że nie brakuje i tych, co wszelkimi sposobami starają się mnie szarpać, powagę moją podkopywać, najgorsze zamiary mi podsuwać, obelgami traktować, oszczerstwami i paszkwilami obrzucać.

Bardzo wielu też wie, iż w dużej mierze przyczyniłem się do tego, że mnogie tysiące chłopów, do niedawna ciemnych albo tylko „cesarskich”, stało się nie tylko świadomymi obywatelami Państwa, ale także zdolnymi do ofiar i poświęceń dla niego, nie spodziewając się ani też żądając od niego żadnej zapłaty. Rok 1920 i wojna bolszewicka są tego chyba dostatecznym dowodem.

Nie brakło również i takich, co długo i szeroko opowiadali o mojej rzekomo wprost chorobliwej ambicji, graniczącej z pychą, która mi nie pozwoliła na rozumne ustępstwa, lecz popychała do walki i starań o władzę. Znaleźli się i oszczercy zarzucający mi, jakoby stanowiska urzędowego używał do celów osobistych, a nawet naruszał fundusze państwowe, mojej pieczy powierzone. Różni „państwowcy” zarzucali mi znowu na odmia-

nę, że poza chłopami nikogo w Polsce nie widziałem. No, i tak bez końca.

Czymże więc byłem, co umiałem i do czego dążyłem?

Nie potrzebuję chyba udowadniać niczym, że pochodzę z tych, których losy długie wieki rzucały pod nogi i na pastwę drugim, tak pod względem politycznym jak i materialnym, a więc z klasy chłopskiej.

Gorzej jeszcze, bo w tej klasie należałem do wydziedziczonych i najbardziej upośledzonych, połykając gorzki chleb skrajnej nędzy.

Moje najbliższe otoczenie — to chłopska rodzina, uboga i skrzywdzona, żyjąca w niedostatku, utrzymująca się z ciężkiej, codziennej pracy u innych. Dalsze nieco — to chłopi-sąsiedzi, żyjący poza nielicznymi wyjątkami w takich samych warunkach.

Całą moją naukę stanowiła dwuklasowa szkoła ludowa w Wierchosławicach, a dalsze wykształcenie — to namiętne czytanie różnych pism i książek, jakie tylko mogłem zdobyć.

Nie myślą się więc bynajmniej ci, co mnie nazywali lub jeszcze nazywają „sanguszkowskim drwalem”, gdyż w majątkach tych magnatów pracowałem przez lat kilkanaście, a zarobki tam uzyskane stały się podstawą mojej materialnej egzystencji i opartej o nią pracy politycznej. Dla większego zmartwienia arystokratycznie usposobionych dodam, że nie gardziłem tam żadnym zajęciem, poczynszy od motyki, piły, siekiery czy topora, a skończywszy na zbieraniu szyszek po wierzchołkach drzew, na które się mozolnie wspinałem, nie mając do tej sztuki zamiłowania, ani też wielkiego talentu. Czytanie książek i gazet rozszerzyło mój horyzont, a równocześnie podniecało ambicję i pchało do wysiłków, otwierających drogę do osiągnięcia zamierzeń wprawdzie niewielkich, ale na te czasy dla syna ubożego chałupnika prawie że niemożliwych. Dążyłem tylko do tego, by stanąć na równi z innymi. Zadanie wytknięte ułatwiała mi znakomicie nadzwyczajna pamięć, zdolność szybkiego pojmovania, żelazne wprost zdrowie, wytrwałość w pracy i oszczędność, posunięta do ostatnich granic, uważana nawet za skąpstwo. Dla tej oszczędności wypaliłem pierwszego papierosa w trzydziestym roku życia i to z najtańszego tytoniu, dla niej unikałem towarzystwa, omijając karczmę, muzykę, zabawę.

Od dziecka niemal codziennie miałem przed oczyma krzywdę chłopów i to nie tylko tę opowiadaną i wyczytaną, ale krzywdę, na którą patrzyłem. Krzywda ta, nieraz bardzo dotkliwa i jaskra-

wa, wywoływać musiała rozgoryczenie i pragnienie zemsty, wzmagające się z dnia na dzień. Stan ten podtrzymywały i podniecały osobiste przejścia i przykrości, których obydwaj z ojcem doznawaliśmy bardzo wiele.

Nie mogłem też darować proboszczowi, ks. Rybickiemu, który na kazaniach wpływał na chłopów rozbijając, pozostawiając Panu Bogu wszelkie sądy i prawo karania.

Miałem nieraz za złe Szeli, że się ograniczył do jednej okolicy, a nie zrobił porządku z wszystką szlachtą i panami. Te moje porywy kłóciły się znów coraz mocniej z książką i zasadami, przez nią głoszonymi. W tej walce książka zwyciężała, wprowadzając moją myśl w świat szerszy i inny.

Zmiany w poglądach przynosił także wiek, doświadczenie, poczucie obowiązku i obarczanie ogólniejszą odpowiedzialnością. Sam na sobie się przekonałem, że inaczej na wiele rzeczy patrzy człowiek, który nic nie ma do stracenia, od tego co mógłby coś stracić. Że się znacznie więcej widzi, gdy się wyjdzie wyżej, miałem się sposobność nieraz przekonać w moim życiu późniejszym.

Nigdy zaś ani na jedną chwilę nie myślałem o jakichkolwiek usługach dla klasy obszarnej, a coś dopiero o zaprzęgnięciu się do rydwanu jej interesów. Mając o niej wyrobione zdanie i ustalony pogląd o jej wartości wiedziałem, że pustym krzykiem stosunków zmienić nie potrafię i jej wiele nie zaszkodzę. Nie mogłem też być na to ślepy, że obszarnicy nie tylko, że w Polsce są, ale także i pewną siłę stanowią. Znałem ich też dość dobrze i wiedziałem, że bez walki z nimi się nie obejdzie.

Na walce z rządami obszaricznymi wyrosłem, na niej ugruntowałem swoje stanowisko polityczne, walki tej ani za rozegraną ani za ukończoną nie uważałem. Przeciwnie, stosunki wytworzone w związku z powstaniem Państwa Polskiego uważałem za najbardziej sprzyjające dla zwycięskiego dokonania toczącej się walki. Rzecz naturalna, że byłbym się zawsze zgodził na zaprzestanie tej walki, gdyby bez niej można było cele wytknięte osiągnąć. Tym się jednak nigdy nie łudziłem.

Walka z Kościołem

Walki z Kościołem ani religią nigdy nie prowadziłem, uważając to za rzecz niepotrzebną i szkodliwą. Jakiż zresztą mógłbym mieć do tego powód? Wiedziałem, że Kościół stał na gruncie prawa, że potępiał gwałt i zbrodnie, starając się prowadzić do ewangelicznej równości i sprawiedliwości, uszlachetniając człowieka i wskazując mu wielkie i wzniosłe cele. W czasie najcięż-

szych prób był dla narodu polskiego jedyną prawie przystanią, która nie zawiodła. Religia dawała podstawę moralną, krzepiła upadającego, w niej znajdowali ukojenie i oparcie skołatani ludzie z niej czerpali siłę do przetrwania. Kościół był ostoją dla języka i polskości, chroniąc ją od zniszczenia w czasie barbarzyńskiej walki, jaką mu zaborcy wypowiedzieli.

Dla mas chłopskich wiara i Kościół był chlebem, bez którego masy te wprost żyć by nie mogły. One im pomagały przechodzić ciężką drogę doczesnego żywota z tą pewnością niczym nie wzruszoną, że na drugim świecie będzie za to lepiej. To przekonanie robiło ich też lepszymi i wstrzymywało od wielu złych czynów. Wiem, że największą krzywdę zrobiłby masom ten, kto wyrwałby z serca ich wiarę, zostawiając przez to straszną pustkę.

Jak zaś chłopci byli do Kościoła i wiary przywiązani, świadczą ich ofiary i zachowanie się w czasach najostrzejszej walki z duchowieństwem. Nie mogłem też zapomnieć o bohaterstwie i ofiarnej pracy duchowieństwa polskiego w rozmaitych czasach.

Nie sięgając już do Skargów, Stasziców, Kołłątajów — dość wymienić Brzószków, Ściegiennych, Wawrzyniaków, Stojałowskich, Adamskich i in. Uznając wielkie znaczenie i zasługi Kościoła i duchowieństwa w życiu narodowym i społecznym, nie mogłem się jednak zgodzić, by część tego duchowieństwa używała albo nawet nadużywała Kościoła do walki z przeciwnikami politycznymi, wyrządzając przez to samo Kościołowi niepowetowane szkody. Nie cofałem się też ani na chwilę przed narzuconą mi i ruchowi ludowemu walką, szczególnie przez duchowieństwo diecezji tarnowskiej, dążące przy pomocy biskupa, ks. Leona Wałęgi, do opanowania tego ruchu i zniszczenia.

Szkoła i praca

Na twardej drodze życia, jaką musiałem kroczyć od dzieciństwa, zawdzięczałem zdobycie elementarnych wiadomości, które daje szkoła ludowa, rodzicom i kierownikowi szkoły, Marcowi, który się mną specjalnie zajął. Czytanie zaś książek a później gazet — leśnemu Sanguszki, Głowackiemu, o którym piszę nieco więcej. Resztę, co miałem i co mam, zdobyłem własną długą, ciężką i mozolną pracą.

Moim marzeniem było początkowo zdobycie kawałka chleba, stanowiska równego drugim, głosu we wsi i gminie. Gdy to osiągnąłem, wypadki same otwierały dalszą drogę przede mną. Mimo że moje powodzenie i silne stanowisko w Stronnictwie dawały mi coraz większe możliwości, o objęciu władzy w Pań-

stwie ani pomyślałem. Celem moim było zdobycie dla Stronnictwa takiego wpływu, ażeby przy jego pomocy można było należycie ugruntować stanowisko chłopów w Polsce. Uważałem to za tym bardziej pożądane, że ono się pokrywało zupełnie z interesem państwowym. Tu się nie cofałem przed żadnymi posunięciami, choćby one wymagały wysiłków, większych niż moje siły na to pozwalały. Nie oglądałem się także na popularność spodziewając się, że chłopci w swej większości zamierzenia moje ocenią i zrozumieją. Nie przeczę, że się pod tym względem wiele pomyliłem.

W tym miejscu mogę z całą szczerością powiedzieć, że mylili się gruntownie ci wszyscy, co mnie posądzali o uprawianie jakichś machinacji, konszachców i intryg, albo też o ową lisią przebiegłość: sprawy dotyczące czy to polityki państwowej czy partyjnej, traktowałem zupełnie prosto i otwarcie, nie próbując się nawet silić na jakąś wyszukaną dyplomację. Starałem się tylko nie mówić tego, czego nie należało.

Więcej zapewne racji mają ci, co twierdzą, że odnosiłem się czasem do ludzi z pewną brutalnością, bo sam przyznaję, że zbyt wielkiej elegancji nigdy się nie nauczyłem, a nawet nie próbowałem się jej nauczyć.

Brak dostatecznego wykształcenia przypominał mi się nieraz dotkliwie, choć na swoją, co prawda niewielką pociechę, dość często spotykałem ludzi z akademickim wykształceniem i dyplomami, którzy w różnych sprawach wcale się lepiej ode mnie nie orientowali.

Na urzędzie

Z tymi i innymi wadami i zaletami powołano mnie na kierownika rządu i to w czasach najbardziej krytycznych. Byłbym bardzo naiwny, gdybym się łudził, że zrobiono to z miłości do mnie albo też do chłopów polskich. Wiem natomiast, że krok ten niezwykle uczynili jedni pod wpływem strachu, drudzy zaś wprost z wyrachowania i to zimnego wyrachowania. Bardzo wielu chodziło o Państwo, o jego obronę i przyszłość, ale niemało było takich, co im szło o majątek i o własną skórę, tak srodze przez najazd bolszewicki zagrożoną. Zarazem obliczono, że zdołam porwać do walki chłopów, którym się eksperymenty wojenne różnych wielkości już naprawdę sprzykrzyły. Ten rachunek okazał się w wielkiej mierze trafny, gdyż chłopci dopisali. I ja też wiedziałem z góry, że, obejmując urząd i obowiązki, będę tylko tym murzynem, który musi odejść, skoro zrobi swoje. Nie

pomyliłem się wcale, bo odszedłem, i to nie tylko z urzędu, ale nawet z Polski. Mam jednak zawsze tę wielką satysfakcję, że nie będąc żadnym geniuszem, obowiązek na mnie włożony w całości spełniłem jak mogłem i umiałem. Wstydzić się za mnie nie potrzebują ani prostaczkowie, ani wysoko postawieni dygnitarze. A był to przecież obowiązek ciężki, wymagający wiele zimnej krwi, silnych nerwów, bezsennych nocy i wytężonej pracy. Za to nic mi nie dano i niczego też nie żądałem. Nikomu się nigdy nie narzucałem, ale wróciłem do swojej pracy i zajęcia.

Wprawdzie po zwycięstwie nad bolszewikami delegaci różnych organizacji narodowych, społecznych i politycznych, kilkanaście pań z bractw i towarzystw patriotycznych i kościelnych zjawiało się u mnie w Prezydium Rady Ministrów, dziękując za „uchronienie Państwa od niewoli, Narodu od hańby, kraju od anarchii, a może i rzezi, wiary i Kościoła od pogwałcenia i prześladowania” — ale widziałem, że to był krok dorywczy, konwencjonalny i raczej taki sobie zdawkowy. Wiem, że kilka z tych delegatek, korzystając ze sposobności, przyszły tylko po to, ażeby się naocznie przekonać, jak wygląda ten chłopski premier od widel i gnoju, nie mający nawet nigdy uczciwego kołnierzyka. Wychodząc zaś z Prezydium Rady Ministrów po dość długiej ze mną rozmowie, nie mogąc wytrzymać, wyraziły do sekretarza swoje zdziwienie, że potrafię nawet z inteligentnymi ludźmi rozmawiać.

A przecież tacy należeli jeszcze do najprzystwoitszych i stanowili dość nieliczny wyjątek.

Natomiast, gdy tylko pierwsze niebezpieczeństwo minęło, czułem, że Polska polityczna, zarówno wsteczna jak i postępową, tak magnacka jak i demokratyczna, zawstydzila się swojej chwilowej słabości powołania „chama” na takie stanowisko i dała mi to odczuć w sposób jak najbardziej widoczny i przykry.

Łamano sobie w różnych kołach głowę, po co i na co otworzono mi drogę do władzy i ministerialnych podwojów, przysyłało mi trupie głowy, wyroki śmierci, obelżywe listy i kartki, domagając się natychmiastowego ustąpienia.

Zaczęto odrabiać owo uchybienie i to odrabiać środkami i sposobami, jakich się nigdy nie spodziewałem. Puszczono w ruch, jakby umyślnie naprzód przygotowaną machinę, zaopatrzoną we wszystkie zatrute środki walki. Wypełzło na widownię wszystko, co jad, zawiść i złość ludzką stanowi. Niczego tam nie brakło.

Ruszyły do boju stronnictwa polityczne. Ruszyło kino, teatr, języki, plotki, książki, gazety, publikacje. Posypały się jak falą gradową, kpiny, docinki, przedrzeźniania, karykatury. Kłamstwa

i oszczerstwa, fabrykowane przez zawodowych kalumniatorów lub wynajętych pismaków, ludzie nawet poważni powtarzali z ewangeliczną prostotą, ale z widoczną wiarą i zadowoleniem. Nie podobał się mój wygląd, chód, ubranie, raziła mowa i zachowanie, wstydzono się mnie i wstydzono się za mnie.

Na tym się jednak nie skończyło. Sięgnięto po pomoc ulicy, wskazując na mnie jako sprawcę ich nieszczęścia i nędzy. Najporządniejsi skądinąd ludzie zaczęli też równocześnie z całą powagą i przekonaniem opowiadać publicznie o moich licznych folwarkach, fabrykach, domach, hotelach i skrzyniach, dolarami po same brzegi wyładowanych. Jeśli się zaś nie mogli tych majątków i skarbów doszukać w Polsce, to ze zdumiewającą łatwością wyszukiwali je we Francji, Anglii, Gdańsku, a nawet w Ameryce. Wnioski też z tego wyciągali bardzo proste: „Witos przecież tego wszystkiego nie miał, tylko musiał kupić, na kupno trzeba pieniędzy, a ponieważ tych pieniędzy także nie posiadał, to je zapewne ukradł, a ukradł je ze Skarbu Państwa, bo się koło niego kręcił”.

Że plotki podobne przyjmują się u nas z niesłychaną łatwością — miałem sam spodobność nieraz się przekonać. Nie szukając dalej, nierzadko spotykałem się z tym, że chłopak sprzedający gazety lub zwyczajny łobuz kręcący się po ulicach Warszawy poznawszy mnie, witali słowami: „Witos — złodziej”. Było to przecież niezwykle przykre, gdyż ja nigdy nikomu, a więc i Skarbowi Państwa, jednego grosza nie wziąłem, a oszczędności w gospodarce państwowej doprowadziłem do tego, że cała Rada Ministrów miała do swojego użytku zaledwie dwa auta, w czym jedno nawet było własnością I. Paderewskiego. Przecież tyle środków komunikacyjnych posiada obecnie prawie każdy starosta powiatowy nowego reżymu.

Jeśli można by darować rozwydrzonemu agitacją łobuzowi i wytłumaczyć chłopca, sprzedającego gazety, to już trudno by zrozumieć i wytłumaczyć choćby uchwały Rady Naczelnej Polskiej Partii Socjalistycznej, która pod przewodnictwem mojego współpracownika z rządu Obrony Narodowej, pośła Daszyńskiego, nie tylko że mnie piętnowała jako reakcjonistę i złodzieja, ale zachęcała rozjuszony tłum do wymierzenia mi doraźnej kary. Cóż mówić o „Wyzwoleniu”, które rząd, utworzony przeze mnie, powitało jako rząd reakcji, przekupstwa, prowokacji uczuć narodu, korupcji i pomniejszych cieli Ojczyzny? Uczyniło to już naprzód, gdy rząd jednego kroku nie był w stanie jeszcze zrobić. Tym się kierowali także często chłopci, będący zwolennikami „Wyzwolenia”.

Cóż myśleć o tych, co nieraz ode mnie domagali się natargu pomocy z funduszu dyspozycyjnego, a potem ze świętym oburzeniem gromili mnie za jego zużywanie, w którym właśnie oni wzięli udział?

Bezmyślna i jakaś dziwna zawiść w niektórych sferach społeczeństwa poszła tak daleko, że nawet w czasie największego niebezpieczeństwa bolszewickiego, gdy borykałem się z różnymi brakami, sprawując rządy powierzone mi przez ciała do tego powołane, otrzymywałem codziennie grube dziesiątki listów z najordynarniejszymi obelgami, tchnące pogardą i lekceważeniem. Rozzuchwalony agitacją Związku Ludowo-Narodowego pewien dzierżawca domeny państwowej w powiecie pleszewskim w czasie najkrytyczniejszych dni wojny ochrzcił swojego psa moim nazwiskiem, a tak mądry człowiek, jakim był ks. Lutosławski, na wiecu w Przemyślu w dniu 26 maja 1921 r. rząd, któremu przewodniczyłem, nazwał publicznie rządem „koniokradów”.

Dowody już nie tylko podobnego postępowania, ale i śmiesznej małostkowości można by podawać bez końca, gdyż nawet wielu posłów „ludowego i demokratycznego Wyzwolenia”, po wyliczeniu wszystkich moich przestępstw, dowodziło chłopom z całym namaszczeniem, jaką to jest dla nich obrazą i szkodą dla Państwa zarazem, że ja nie noszę krawata, a co jeszcze gorsze, pluje na podłogę. Nie wiem, czy zwalczające namiętnie szlachetczynię ludowe „Wyzwolenie” byłoby się w ten sposób zachowywało, gdyby premierem był Zamoyski lub Radziwiłł, a ks. Lutosławski czy miałby odwagę piętnować tak rządy komunistyczne! Raczej chyba nie.

To drobne fragmenty tego, co robili wrogowie i przeciwnicy. A cóż przyjaciele moi? Ci przeważnie spoczywali na laurach, albo się też bali wszystkiego, szukając oparcia i ochrony w rządzie. Przychodzili do mnie bardzo często i, ażeby mnie pocieszyć, przynosili broszurki i ulotki z paszkwilami, opowiadali mi, jak drwiono ze mnie i rządu w kinie, a oburzając się na to wszystko i litując się nad moim złym wyglądem, polecali uważać na siebie, gdyż nie wiadomo co i od kogo mi grozi. Sami zaś narzekali na ciężkie jarzmo odpowiedzialności, jakie muszą w interesie rządu dźwigać. Nierzadko żądali specjalnych ulg i świadczeń dla okręgu wyborczego, bo oni sobie w nim nie mogą dać rady, a wszystko to się dzieje dzięki polityce rządu. Choć nie brakło ludzi dorastających w zupełności sytuacji, to ci stękający stanowili bardzo dużą ilość. Każdy chyba przyzna, że w takich warunkach władza nie może być wcale pociągająca, a rządy wydać wielkich rezultatów.

Dlaczego?

Nieraz stawiałem sobie pytanie, skąd pochodziła nienawiść czy to poszczególnych ludzi, czy całych grup i stronnictw w stosunku do mnie — i na to nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Nie byłem przecież znowu ani tak głupi, ani kompromitujący, ani też szkodliwy. Zapewne, że dużą rolę odgrywała tu konkurencja partyjna, ale wcale nie mniejszą, a może i nie większą, zawiść osobista i zazdrość, która się udzielała nawet wielu chłopom, rozumującym, że ten urząd to znowu nie taka wielka sztuka i że jak na nim może być Witos, to mogą i oni.

Poza tym jestem przekonany, że największym kamieniem obraży było jednak moje pochodzenie. O tym można się było przekonać z zachowania się wielkich i małych ziemian i chłopów, urzędników, inteligencji, robotników, konserwatystów i demokratów, że im jednak ktoś „z pańska” potrzebny i że równość stanów i obywateli istnieje, ale tylko na papierze.

O nienawiści i pogardzie do chłopów, i to wszystkich razem, można się było przekonać naocznie po przewrocie majowym, gdy z ust jednego jego twórców padł pod ich adresem szorstki i twardy rozkaz: „Precz stąd, idźcie do gnoju!”. Dodać należy, że ten przykry afront spotkał chłopów, będących gorącymi zwolennikami przewrotu, co do Warszawy przybyli z wyrażeniem czołobitności swoim nowym władcom. Łatwo się można domyśleć, jak by potraktowano tych *nieprawomyślnych*, do których i ja należałem. Potwierdza to dalej w sposób aż nadto widoczny, a nawet jaskrawy, nie sporadyczny odruch upojonego powodzeniem i władzą osobnika, ale polityka rządu przez wiele lat prowadzona. Zdaje mi się, że ona najbardziej niewiernym otwarła chyba dostatecznie oczy.

A co potem?

Potem przyszła robota nowa i dość dziwna. „Cud nad Wisłą” stał się nie tylko widomym dowodem tego, co może dokonać ofiarność, zbiorowa siła i niezłomna wola narodu; nie tylko był egzaminem, złożonym przez polskie społeczeństwo przed światem; nie tylko punktem zwrotnym w historii państwa i narodu, ale został użyty za bardzo wygodną odskocznię dla wielu zręcznych spekulantów i niesumiennych spryciarzy. Na zwycięstwo pod Warszawą złożyli się wszyscy, ale tylko niektórzy ufundowali sobie na nim wpływy i stanowiska, zarówno zaszczytne jak i dobrze opłacane. Choć to było rzeczą widoczną i jeszcze

świeżą, że zwycięstwo jest osiągnięte wysiłkiem całego narodu, mimo to stało się ono udziałem tylko nielicznych wybranych. Byli oni przy tym tak przewidujący, że nie mając pewności jeszcze, co się stanie, zaczęli przygotowywać do tego grunt wcześniej i niezwykle systematycznie rozumiejąc, jak potężną rzeczą jest demagogia i reklama, z brakiem skrupułów połączona.

Jak z rogu obfitości posypały się odpowiednio sfabrykowane książki, broszury, artykuły gazeciarskie, panegiryki, publikacje, obchody i uroczystości. Pisali ludzie bezstronni i poważni, ujmując to wielkie wydarzenie, jak na to zasługiwało. Natomiast licznie wynajęte pismaki, nie umiejący się wznieść na właściwy poziom, robili to, co im było bliższe i przyjemniejsze, częściej jeszcze to, co im kazano. Bardzo wielu z nich nie tylko że wybijało niewolnicze pokłony przed swoimi panami, otaczało ich gęstym dymem wiecznych kadzideł, ale wpadając w chorobliwą gorliwość, rozdmuchiwało ich czyny do niebywałych rozmiarów, albo co gorsza, zapisywało na ich rachunek pracę i zasługi innych.

Nic też dziwnego, że głos ludzi spokojnych i poważnych albo zamarł pod terrorem albo też utonął w tym potopie głośniejszej, kłamliwej, jarmarcznej i bałwochwalczej reklamy, przyjmowanej za objawienie przez różne dusze niewolnicze. W tych warunkach wiecznie powtarzane i nie prostowane kłamstwo stało się nie tylko prawdą, ale zaczęło służyć za ewangelię. Tym sposobem zagłuszono pamięć o wojennej orientacji różnych wielkości. Wymazano zupełnie z rachuby politycznej Borysów, wyprawę kijowską i jej smutne i ciężkie następstwa. Zapomniano bardzo prędko o wielkich ofiarach, o dziesiątkach tysięcy ochotników ze starszych i młodzieży, niosących zapał, krew i życie i płacących nimi obce błędy i pychę. Tą drogą z Paderewskiego zrobiono tylko zwyczajnego muzyka, a biorący żołd austriacki i walczący po stronie mocarstw centralnych przeciw tym, co Polskę tworzyli — stali się bohaterami narodowymi, chodzącymi w dostatkach i chwale.

W tym jednostronnym rozpędzie na polu polityki, walki i zwycięstwa, nie dojrzano zupełnie i tych, co 70% narodu stanowią, nie widziano wcale chłopów polskich. A przecież bez nich nie byłoby ani wojska, ani zasobów, ani też wygranej wojny. mimo licznych geniuszów i bohaterów, z taką łatwością w Polsce fabrykowanych. Co gorsza, że wojna ta może nie być ostatnią, a nie byłoby chyba pożądane, gdyby chłopci uwierzyli, że ich obecność na wypadek wojny wcale nie jest potrzebna. Bo przecież nie znający bliżej sprawy obywateli z licznych publikacji i zachowania się obozu rządzącego nie może wynieść przeświadczenia, że nie tylko chłopów, ale narodu polskiego w ogóle nie było

pod Warszawą. Była tylko garstka wybranych, która wszystko sama zrobiła i przewidziała.

Nic też dziwnego, że omijając rzeczy i fakty tak bijące w oczy, omija się skrupulatnie i moje nazwisko, ażeby nie wywoływać nie zawsze przyjemnych dla siebie wspomnień. Widzę, że robią to nie tylko ci więksi, ale że często i mali im sekundują, ażeby choć trochę tym sposobem zarobić na łaskę tamtych. Ja zostałem chłopem, jakim byłem przedtem. Polska pomajowa, nie mniej szlachecka od dawnej, a tworząca nową elitę, stara się pilnie, by zapach chłopskiego potu nie zabłąkał się w okolicy dorobkiewiczowskiego nosa. Chłopom pozostawiono rolę pretorianów. Ponieważ ja zaś nie chciałem być zakładnikiem ani niewolnikiem — stałem się emigrantem z łaski i woli tych samych, którym oddałem wcale niemałe usługi. A jak się moim losem przejęli bliżsi i dalsi przyjaciele, dowodzi jeszcze i to, że poza adwokatem Olpińskim, byłem senatorem Jachowiczem, Władysławem Witkiem ze Smigna i Stanisławem Stańcą z Radzyna, przez całe 6 miesięcy nikt się nie zapytał, z czego tu żyję. Nie brakło natomiast takich, co się zgłosili z różnymi pretensjami i żądaniami.

Chłopi i mniejszości narodowe

Postępowanie moje w polityce było zasadniczo podyktowane poglądami, jakie sobie wyrobiłem na różne zagadnienia klasy, ludności i stronnictwa polityczne. Nie lekceważąc nauki, pracy, zdolności, wykształcenia, uznając tradycję i zasługi innych klas ludności i oddając, co im się należy, byłem przekonany, że pewną i naturalną podstawę państwa może stanowić przede wszystkim chłop polski. Nie ten jednak chłop, odnaleziony w marzeniach lub opiewany w pieśni, nie ten uginający się do ziemi pod ciężarem nędzy, nie ten wyciągający rękę po jałmużnę i kłaniający się w pas, nie ten ogłuszony, sterroryzowany, uważany za niewolnika i używany do dekoracji na święta, dożynki i uroczystości, ale ten świadomy, zamożny, niezależny, czujący się i będący naprawdę gospodarzem Państwa.

Zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego, że chłopi w znacznej części nie dorośli jeszcze do sprawowania rządów, że się nie wyzbyli wielu przywar i błędów, ale wiedziałem też, że pod wielu względami niesłuchanie postąpili naprzód, wykazując więcej zrozumienia i patriotyzmu od wielu wybranych. Polska zaś znajduje się w takich warunkach, że zmuszona jest oprzeć się na masach ludowych, jeżeli nie chce się uzależnić od różnych niepewnych,

a nawet wrogich dla Państwa żywiołów. Dla mnie to jest sprawa zupełnie jasna i wyraźna.

Poza tym chłop polski stanowi najlepszy materiał pod względem państwowym. Chętnie idzie do wojska, służbę spełnia nadzwyczaj sumiennie, płaci rzetelnie podatki i zobowiązania, odejmując sobie od ust. Jest spokojny, mało wymagający, pracowity i oszczędny, szanujący prawo i ustawy. Ceni on sobie niesłychanie równe prawo z innymi. Toteż widać było, jak podnosiło ono jego szlachetną dumę, gdy go wprowadzało w życie polityczne. To zaś życie wyrabiało w nim bardzo szybko świadomość i pogłębiało odpowiedzialność, dając poczucie współwłaściciela Państwa, które należy kochać, chcieć i umieć obronić.

Wyraz temu dawali chłopci bardzo często publicznie na wiecach, przez nikogo nie prowokowani, ani nie zachęcani. Tej wartości nie zastąpi żadna jednostka, choćby nawet najbardziej genialna.

Każda koniunktura polityczna może ulec zmianie, a Polska żyje i żyć będzie w dużej niepewności — tak ze względu na swe geograficzne położenie, granice nie zabezpieczone, jak stanowisko silniejszych od niej sąsiadów.

Któż siłę Państwa i niezawodną nigdy ostoję ma stanowić?! Dla mnie odpowiedź narzucała się sama: Świadomi, niezależni, zadowoleni chłopci polscy, gdyż tacy są gotowi oddać zdrowie i życie za każdą skibę ojczystej ziemi, a cóż dopiero w obronie całości Ojczyzny. Trzeba jednak nie tylko starać się na chłopach tych oprzeć przyszłość, ale ich wierność i przywiązanie do Państwa za wszelką cenę zdobyć, a gdy się zdobędzie, na zawsze utrzymać i utrwalić.

Toteż obejmując władzę i nie zapominając o tym, że w Polsce nie są jedynie chłopci, sądziłem, że w interesie ogólnym, potrafię tak ugruntować ich stanowisko, że stając się czynnikiem decydującym, będą równocześnie ostoją Państwa. Nie chciałem jednak, by się to stało bez pracy z ich strony, by to, co dostaną nie było premijającym, łaskawym chlebem, ale zdobytym i ufundowanym prawem. Zawsze też od nich żądałem wypełnienia wszelkiej powinności wobec Państwa, gdyż to dopiero daje prawo do żądań. Doradzałem im zawsze, ażeby nie czekali na żadne cuda, nie spuszczali się na niczyją łaskę i nie budowali na żadnych obietnicach, lecz opierali się przede wszystkim na sobie. Nigdy im też żadnych obietnic niewykonalnych nie robiłem, a nieraz ich nadzieje mocno ostudzałem. Nie starałem się im przymilać ani o nic prosić. Każdą sprawę stawiałem przed nimi realnie i twardo, uważając ich za obywateli, którzy powinni znać prawdę i do niej się ustosunkować. Zapewne to postępowanie wyrobiło mi opinię

człowieka jakoby pozbawionego serca, czym tak mocno i długo wojowano. Że znowu tak nie było, dowodzi stosunek chłopów do mnie, gdy ja im ani nic dać ani zrobić nie mogę. Widzi się to wszędzie w tych powiatach, w których cośkolwiek pracowałem i z chłopami częściej się stykałem.

Zupełnie inaczej przedstawiała mi się sprawa mniejszości narodowych, a w szczególności Ukraińców i Białorusinów, i to ze względów zupełnie naturalnych. Mieszkają na odwiecznej swojej ziemi, utrzymują się z ciężkiej pracy jak i polscy chłopci, mają więc pełne prawo do tego, co się w Polsce osiadłemu obywatelowi należy. Tego im też nigdy nie odmawiałem. Nie mogłem jednak ani nie chciałem oddawać im z tego tytułu w całości ziemi na wschodzie, która od wieków znajduje się w ręku polskim. Sprawę tę poruszałem w rozmowie z chłopami ukraińskimi w Małopolsce Wschodniej i oni ją też dobrze rozumieli.

Zarówno Niemcy jak i Rosjanie, będąc przybyszami i wyzyskując wiekowe panowanie nad Polską, stali się warstwą wyższą, niemal uprzywilejowaną. Jedni i drudzy zagarnęli wiele polskich majątków ziemskich, rozciągając swoje wpływy nawet na część ludności polskiej. Niemcy poza tym opierają się o potężne państwo, które się wcale nie wyrzekło swojej ekspansji na ziemi polskie. Rosjanie, będąc pod tym względem obecnie w gorszym położeniu, nie zgadzając się z ustrojem sowieckim, wynagrodzili sobie braki dość licznymi stanowiskami w urzędach, szkolnictwie i daleko idącymi wpływami w dziedzinie kościelnej.

Ziemia, parcelacja, kolonizacja, reforma rolna

Ziemia jest najważniejszym dobrem, jakie posiadają narody. Bez niej nie może być ani własnego państwa ani też wyżywienia. Nie jest więc rzeczą obojętną, w czyim ręku skarb taki się znajduje. Ręce te muszą być zupełnie pewne, mogące się oprzeć tak codziennej walce, jak wielkim dziejowym burzom i przewrotom. Nie trzeba szukać obcych przykładów i wzorów, gdyż smutna i bolesna pod wielu względami, ale przy tym bardzo pouczająca, historia pruskiej Komisji Kolonizacyjnej stwierdza aż nadto wyraźnie, że jedynie chłop polski przetrwał tam wszelkie ataki, zniósł prześladowania i ziemię w swoim posiadaniu utrzymał. Szlachta zaś nie tylko że łatwo ulegała naciskowi, ale bardzo często pozbywała się ziemi lekkomyślnie, bez żadnego ważniejszego powodu.

I nie ma co kryć w oczy bijącej prawdy, że gdyby chłopci polscy byli poszli w jej ślady, a rządy niemieckie utrzymały się

tam bodaj przez ćwierć wieku, to ta dzielnica byłaby na zawsze dla Polski przepadła.

Przed naszymi oczyma przecież na szerokich obszarach Ukrainy, Podola, Białorusi i Litwy ogromna własność polska wypadła momentalnie z rąk ich właścicieli i zapewne do nich już nie wróci nigdy. Z nią cofnęła się równocześnie i Polska z tych ziem, tracąc olbrzymie majątki i wszelki dorobek, przez długie wieki tam zbierany. Po wielkich i wspaniałych fortunach magnackich, stanowiących nieraz prawdziwe królestwa, nie pozostało śladu. Po bezcennych zbiorach sztuki, olbrzymich zakładach i fabrykach pozostały tylko smętne powieści, opiewające zniszczenie, pożogę i rzezie, na wielkich własnościach i jej właścicielach dokonane. Opisy dzikiego barbarzyństwa są niesłychanie barwne i okropnościami swoimi przerażające, ale one stanowią tylko jęk bezsilny, będący równocześnie wielkim oskarżeniem postępowania, sobkostwa i krótkowzroczności zarówno polskiej polityki jak i tych królewiat. Nigdy by do tego zapewne nie przyszło, gdyby zamiast kilkuset rozpanoszonych, rozpróżnionych i zniewieściałych szlachciców siedziało na tych ziemiach kilka milionów pracowitych, twardych, do tej ziemi przywiązanych chłopów polskich. Ich by na pewno żadna czerń trzeźwa czy pijana nie potrafiła z miejsca ruszyć, a nawet by tego nie próbowała, gdy z naszą „rycerską szlachtą” poszło jej to bardzo łatwo.

Ta straszna rzeczywistość wskazuje, co się stać może wcześniej czy później z naszymi kresami wschodnimi na wypadek nowej wielkiej burzy, i narzuca sama drogę postępowania, które by naprawiło błędy przeszłości i zabezpieczyło przyszłość.

Zdawało się, że tę wielką prawdę zaczyna rozumieć i wielka własność. W czasie rozgrywających się wypadków wojennych jak i widocznych zakusów niemieckich na ziemię polską, a przede wszystkim rewolucji rosyjskiej, zgłosili się do nas delegaci z propozycjami bardzo rozsądnymi. Dały one podstawę do odbycia poważnej rozmowy pomiędzy przedstawicielami małej i wielkiej własności. Na konferencji odbytej w Wiedniu w roku 1917 przedstawiciele wielkiej własności, widząc zagładające im w oczy wielkie niebezpieczeństwo bolszewickie, nie tylko że się godzili na parcelację i kolonizację ziemi dworskiej we wszystkich zaborach pomiędzy chłopów, uznając to jako narodową konieczność, ale prosili, byśmy im do tego dopomogli. Ciężką ich troską nie była wcale cena ziemi, gdyż się godzili na każdą, ale trudności przeprowadzenia transakcji pod względem formalnym i prawnym. Szczególnie ks. Andrzej Lubomirski był wtenczas tak patriotycznie narodowo i po chłopsku nastrojony, że biorący

udział w naradach pocziwy Średniawski był nim niezwykle wzruszony i zbudowany.

W Polsce

Mając już rzecz przemyślaną i przygotowaną, uważając zawsze sprawę zmiany ustroju rolnego i posiadania ziemi za pilną i konieczną, wiedząc, że ona nie może być drogą polubowną załatwiona, lecz tylko drogą ustawy, zgłosiłem w Sejmie Polskim w r. 1919 wniosek w tej sprawie, występując imieniem klubu „Piasta”. Starałem się także, ażeby referat dostał się w ręce człowieka, który w nią wierzy z całym przekonaniem. Jako przewodniczący komisji rolnej w pierwszym Sejmie polskim, usiłowałem tak kierować obradami jej, by jak najprędzej i możliwie najlepiej do skutku je doprowadzić.

Uważałem, że to jest jedyny, może ostatni czas dla naprawienia starych błędów, przez wieki popełnianych, a położenie najlepsze, jakiego się można było spodziewać. Wielka własność, przerażona zagrażającym Polsce niebezpieczeństwem bolszewickim, zdradzała nawet dużą ustępliwość. Walka, jaką prowadziła przeciw reformie rolnej, dotyczyła więcej szczegółów niż samej zasady „przywiązania do ziemi”. Szlachcice byliby się jej pozbyli bez wielkiego żalu, byle tylko dostali pieniądze i to od razu na rękę wypłacone. Chłopi zaś posiadali poważne oszczędności, za które mogli miliony morgów szlacheckiej ziemi wykupić. Wszystko też zdawało się za tym przemawiać. I gdyby lewica, a szczególnie „Wyzwolenie” nie zasypało tej wielkiej sprawy plewami niepoczytalnej demagogii, a prawica nie kierowała się drobiazgowym, wprost niezrozumiałym sobkostwem, bylibyśmy cel ten w znacznej części już w pierwszym Sejmie osiągnęli. Dzięki jednym i drugim została sprawa pogrzebana, a chłopi stracili bezpowrotnie wcale niemałe, krwawo zarobione pieniądze dzięki swoim wcale niemądrym opiekunom.

Stronnictwo Ludowe „Piast”

Stronnictwo uważałem zawsze nie za cel sam w sobie, lecz za środek w polityce tak ludowej jak i państwowej. Tę zasadę uznawały też zawsze władze Stronnictwa i nią się kierowały. Sprawy narodowe stawialiśmy na pierwszym miejscu. Z tych zasad wynikało prowadzenie polityki realnej, pozbawionej uległości i wolnej od demagogii. One nakazywały brać odpowiedzialność

za Państwo zawsze, bez względu na to, czy przynosi ona korzyści czy straty Stronnictwu. Znalazły one swój wyraz tak w programie Stronnictwa jak i jego taktyce, kongresach, uchwałach i prasie. Podstawę tego postępowania dały uchwały, powzięte jeszcze dnia 2 lutego 1914 r. w Tarnowie na Kongresie założycielskim „Piasta”, które brzmiały:

„Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”, stojąc na gruncie programu ludowego uznaje, że najwyższe, wiecznie żywe prawo narodu polskiego do budowania niepodległej Polski Ludowej powinno być punktem wyjścia i ośrodkiem wszelkich dążeń i praw ludu polskiego, w P.S.L. zorganizowanego. P.S.L. budzić będzie w ludzie polskim świadomość państwowotwórczą i dążności niepodległościowe, aby ten lud stał się czynnikiem świadomym i odpowiedzialnym w polityce polskiej, zdolnym do zorganizowania jej.

„W praktyce politycznej uważa P.S.L. za jedynie dopuszczalną politykę narodową, jawną, idącą po linii interesów i dążeń ludu i stwierdza, że polityka brudnych dróg, przekupstw i samowładztwa szerzy w masach ludowych spustoszenie moralne, podkopuje organizację ludową i polityce polskiej przynosi niepowetowaną szkodę i hańbę”.

Wymownym też tego kierunku wyrazem był olbrzymi Kongres „Piasta”, odbyty w Krakowie w dniach 28 i 29 listopada 1926 r., a więc w parę miesięcy po przewrocie majowym. W uchwałach swoich stwierdził on, że mimo wszystko co się stało, głównym zadaniem P.S.L., „Piast” jest i będzie:

- 1) Utrzymanie i obrona całości i niepodległości Państwa.
- 2) Utrzymanie i obrona obecnego ustroju państwowego,
- 3) Dążenie do przeprowadzenia reform koniecznych,
- 4) Obrona parlamentaryzmu przy równoczesnym jego zreformowaniu,
- 5) Obrona praworządności jako podstawy życia państwowego,
- 6) Obrona interesów włościactwa pod każdym względem.

Autorem uchwał krakowskich i tarnowskich byłem sam, one też oddawały zapatrywania uczestników tych kongresów.

Wszystkie inne szły także po tej linii. Charakterystyczne dla stosunków rządów pomajowych było, że Stronnictwo Chłopskie podjęło się rozbicia naszego kongresu krakowskiego za zwyczajną zapłatę, wyasygnowaną przez zainteresowane czynniki. Wydało przy tym ulotkę, rojącą się od oszczerstw i kalumnii. W rozprawie brzeskiej w Warszawie w dn. 20 listopada 1932 r. zeznał poseł Wrona, zaprzysiężony przed sądem, że na te cele pobrał inż. Bryl i jego pupil Banaś 5.000 złotych. Byli ministrowie, dr Ignacy Wróbel i Stanisław Stączek, mówili do mnie, że Stański otrzymał kilkakrotnie wyższą sumę.

Na podstawach wyżej wymienionych tworzyłem Stronnictwo „Piast” jeszcze pod rządem zaborczym, tą drogą starałem się je prowadzić w niepodległej Polsce. Temu możemy zawdzięczać jego

rozrost i siłę, a jak chcą niektórzy, także i nasze klęski i niepowodzenia, gdyż trzymając się tych zasad, nie byliśmy zdolni wytrzymać konkurencji, która przyszła z orgią zarzutów i nieodpowiedzialnej demagogii. Moim zdaniem zasady mogły zawsze wytrzymać, gdyby byli dopisali ludzie. Jakkolwiek jednak było — to Stronnictwo odegrało bardzo poważną rolę, wydając sporo ludzi, którzy sprawie polskiej i ludowej oddali duże usługi.

Trzon Stronnictwa i Klubu „Piasta” stanowili dość długo ludzie przeważnie starsi, z Małopolski pochodzący, tak chłopci jak i inteligenci. Byli to mężowie dojrzały, politycznie wyrobieni, w pracy i walce zahartowani, mający za sobą długą i ciężką szkołę doświadczenia tak z czasów pokoju jak i wielkiej wojny. Szeregi ich przerzedzały jednak różne posunięcia i wybory, w których sam czasem ulegałem, nie zawsze potrzebnie, żądaniom nowych kandydatów i przemijającemu nastrojowi mas ludowych. Znaczny dopływ do Stronnictwa z innych dzielnic, a szczególnie z dawnej Kongresówki dostarczył ludzi oddanych i dobrych, ale młodych, z życiem politycznym nieobeznanych, lękających się odpowiedzialności, upraszczających sobie każde zagadnienie lub traktujących je z lokalnego punktu widzenia, przy tym panicznie obawiających się agitacji „Wyzwolenia” i pragnących je w radykalizmie i demagogii prześcignąć. Ponieważ mimo nieznanomości wielu spraw mieli oni sporo tupetu, starzy politycy z nauką i doświadczeniem wieloletnim, ażeby nie doprowadzić do scysji, musieli nieraz jak przestępcy wysłuchiwać długich mów i żalów albo też bezpodstawnych oskarżeń, pod ich adresem skierowanych. Wyglądało też na bolesną ironię, gdy ludzie tak poważni i doświadczeni jak Średniawski i Jachowicz, fachowi i zasłużeni, jak inż. Kędzior, słuchali rad udzielanych im przez młodzieutkiego posła Karlikowskiego, nastroszonego bardziej niż socjalistycznie, ujmującego różne problemy z przedziwną lekkomyślnością, uważającego przy tym każdego, kto miał inne zdanie, za wroga sprawy ludowej. Senior ruchu ludowego i wieloletni poseł do różnych ciał ustawodawczych, Jakub Bojko, dowiadywał się o błędach i wadach od 21-letniego posła Gajewskiego, wybuchając często gniewem i wychodząc za drzwi.

Do tej brykającej młodzieży przyłączał się zwykle już nie-młody Jan Dąbski i wiecznie ze wszystkiego niezadowolony jego kolega i przyjaciel, Henryk Wyrzykowski. Pomiedzy członkami Klubu — chłopami i inteligentami — istniało też pewne uprzedzenie i nieufność, wnoszona i podsycana przez posłów Nawrockiego, Pieniążka i Potoczka. Dyktowała je obawa o wpływy i mandaty poselskie. To jednak nie wychodziło na zewnątrz, ani też się nie odbijało na sprawach zasadniczych, a kończyło się zwy-

kle na pretensjach do mnie za rzekome forytowanie inteligencji ze szkodą chłopów. Z podobnymi żalami przychodzili też niektórzy inteligenci. Wszystko to razem wzięte sprawiało trochę przykrości i kłopotu, przynosząc znaczne trudności w posunięciach politycznych.

Moim, i to ciężkim zadaniem było godzenie przeciwieństw i rozbijanie kłócących się, a często i obrażonych ludzi, ażeby nie dopuścić do rozbicia, a Klub uczynić zdolnym do pracy pozytywnej. W Stronnictwie reprezentowałem politykę rozsądnego umiaru wiedząc, że ona odpowiada zapatrywaniom olbrzymiej większości chłopów i że oni stanowią tę większość w Państwie i gotując się do roli kierowniczej, powinni myśleć o całości. Wiele też przemawiało za tym, że ta rola chłopom się dostanie, a jeśli się to nie stało, to winę ponoszą i oni sami, ulegając najbardziej niemądrej agitacji i pozwalając się prowadzić różnymi manowcami. Utrzymanie tego wszystkiego w całości i porządku, możność poważnych posunięć w tak skłóconym Klubie wymagały nie tylko wielkiej cierpliwości i powagi, ale także samodzielności w działaniu ze strony kierownika, bez względu na wolę i stanowisko pewnej części Klubu.

Mogłem też sobie na to pozwolić wiedząc, że posiadam znaczną większość za sobą i że nawet niezadowolona, choćby słusznie, mniejszość nie odważy się nigdy na żaden wyraźny protest. Z takim protestem nie spotkałem się też wcale, ale za to wiedziałem o żalach, narzekaniach i szeptaniach „po kątach”. Na co narzekano i kto narzekał? O ile mogłem się zorientować, jedni narzekali na mój rzekomy despotyzm i lekceważenie woli Klubu, inni na „skłonność do endecji i niechęć do socjalistów”, niektórzy zaś, szczególnie inteligenci, na szorstkość w obejściu i nieliczenie się z ich uczynnymi radami. Czy tak było naprawdę? Przyznam, że ci skarżący się mieli nieco racji! Stronnictwa nie uważałem nigdy za jakiś wytworny salon, w którym, ubrany w białe rękawiczki, miałem się kłaniać na wszystkie strony, sypać w oczy i poza oczy ludziom komplementy, lecz za kuźnię twardej pracy, do której ci przychodzą, co się do niej nadają i za swoją uważają. Inaczej tej sprawy rozumieć nie mogłem.

Będąc zaś kierownikiem Stronnictwa, czułem się w prawie, a nawet w obowiązku czynić jego imieniem posunięcia, nie zawsze czekając na radę i pozwolenie tych, co znacznie mniej umieli i wiedzieli ode mnie. Radami różnych nauczycieli i profesorów nie chciałem się kierować, gdyż najczęściej nie nadawały się one do poważnego traktowania. Mówiono, że moim postępowaniem wypędziłem niektórych ludzi ze Stronnictwa. Przyznaję, że tak

było, a żałuję tylko, że na czas nie odeszło ich więcej. Mielibyśmy mniej zawodów i przykrości.

Moje otoczenie

Wiele też mówiono i pisano o tak zwanym moim otoczeniu. Przeciwnicy polityczni atakowali je, ażeby drogą pośrednią trafić we mnie. Przyjaciele zaś wskazywali na nie jako na źródło nieszczęść nawiedzających Stronnictwo i powód do ataków zupełnie niepotrzebnych, a czasem szkodliwych. Nie brakło i takich, co szeroko opowiadali, że owo otoczenie stanowi nie tylko moje ramię, ale i mózg, nie chcąc uwierzyć, ażebym sobie mógł dać radę z różnymi sprawami i zagadnieniami, którymi musiałem się zajmować. Osobami z tego otoczenia i ich rolą zajmę się później, tu jedynie zaznaczę, że tak moi przyjaciele jak i przeciwnicy w tej sprawie wpadali w ogromną co najmniej przesadę. Koło każdej osoby posiadającej władzę i wpływy kręcą się zawsze tak pochlebcy jak i spekulanci, nierzadko także szachraje polityczni, a nawet dobrze ukryci szantażyści. Rzadziej przychodzą ludzie przyzwoiści, życzliwi i pożyteczni. Wiem, że i ja nie stanowiłem pod tym względem wyjątku. Przyszli, gdy władzę posiadałem, odeszli, gdy ją straciłem, a obecnie kręcą się znowu koło tych, co tę władzę mają.

Nie jest wykluczone, że wyzyskali moją dobrą wolę — natomiast pomocy nie dawali mi żadnej, bo jej zresztą od nich nie potrzebowałem. Enuncjacje i oświadczenia przygotowywałem sobie sam lub robił to któryś z ministrów. Korzystałem też z uwag i doświadczenia urzędników starszych, a między nimi Studzińskiego i Wróblewskiego. W drugim rządzie miałem już więcej praktyki i nabytego doświadczenia, a w trzecim nie było czasu na żadną robotę, gdyż miał on spokoju zaledwie parę godzin. Nie przeczę, że nieraz musiałem się męczyć całymi nocami nad rozwiązaniem różnych zagadnień, narzucających się z nieubłaganą koniecznością, ale nie chciałem się nikogo radzić, by nie zdradzać nieznajomości sprawy albo też nieuctwa.

Inteligencja

Wiedziałem, że choć chłopci posiadają ogromną przewagę liczebną w kraju, nie mają jednak potrzebnego wykształcenia i przygotowania, bez którego się przy żadnym większym przedsięwzięciu obejść nie można. Pragnąc więc, by oni osiągnęli jak naj-

więcej, byłem przekonany, że wielu rzeczy nie potrafią zrobić sami. Trzeba więc było szukać pomocy u innych. Dać ją w pierwszym rzędzie powinna inteligencja, która z ludu wyszła i jeszcze świeżymi więzami pokrewieństwa była z nim związana. Ta jednak albo nie dorosła do tych wielkich zadań, albo nie chciała brać na siebie walki i trudów, prowadząc przeważnie wygodny i spokojny żywot. Jej też wcale prawie że nie widać pomiędzy pierwszymi pionierami ruchu ludowego. Przymknęła wówczas, gdy ruch ten stał się potężną falą i nie tylko nie groził żadnymi przykrymi następstwami, ale dawał bardzo duże nadzieje.

Inteligencję w Stronnictwie i ruchu ludowym dałoby się podzielić w sposób następujący: pewną drobną jej część stanowili ludzie, którzy przyszedli do chłopów i do Stronnictwa w poczuciu narodowego obowiązku. Byli oni przekonani, że bez czynnego udziału ludu wiejskiego naród polski nie zdoła nigdy dobić się samodzielnego bytu. Lud zaś nie będzie zdolny tak długo spełnić tej wielkiej misji, jak długo będzie ciemny, ubogi i zahukany. Do tych szlachetnych postaci w pierwszym rzędzie należeli dr Karol Lewakowski, Henryk Rewakowicz, Bolesław i Maria Wyślouchowcie i drobna gromadka mniej głośnych pracowników. Znaleźli oni też przyjaciół i naśladowców tak we Lwowie jak i na prowincji. Z tych, których sam znałem i na ich pracę patrzyłem, należy wymienić Zakrzewskiego i Dybowskiego z Dąbrowy, uczestników powstania z r. 1863, niezwykle pilnych i ofiarnych pracowników, dr. Szaflarskiego z Nowego Targu, Floriana Obmińskiego ze Starego Sącza, dr. Szymona Bernadzikowskiego z Brzeska i kilku innych, których nazwiska wypadły mi z pamięci. Oczywiście nie wspominam tu o młodszych, gdyż na nich przyjdzie kolej później. Ks. Stojatowskiemu należy się też osobna karta, gdyż pierwszy zaczął przedzierać mroki ciemności i nędzy chłopskiej, nie zważając na żadne przeszkody i prześladowania. Poczuję się też do obowiązku to zrobić, choćby w małej mierze, mimo że nieraz się z nim w poglądach politycznych nie zgadzałem.

Inną zupełnie kategorię stanowili inteligenci, przychodzący do Stronnictwa z prostego wyrachowania lub też porwani idącą falą. Byli to najczęściej spekulanci, wypływający zawsze i wszędzie tam, gdzie jest siła, nadzieja awansu lub łatwego zarobku. Tacy też zwykle w gorliwości swojej starali się przewyższać najbardziej ideowych i zasłużonych pracowników, krzykiem wszystkich przygłuszyć, radykalnymi wystęпами utorować sobie drogę do władzy i wpływów w Stronnictwie, rzekomą dbałością prześcignąć każdego z najstarszych i najzasłużeńszych członków. Jeżeli zaś dość rychło nie osiągalni swoich

celów, to jedni z trzaskiem, inni zaś chyłkiem zabierali się ze Stronnictwa, ażeby sobie poszukać lepszej i bezpieczniejszej przystani.

Było także niemało takich — ot Bogu ducha winnych — co czuli i myśleli zupełnie uczciwie, że ich miejsce jest między chłopami. Gdy ich zaś trochę przyciśnięto, odchodzili, ratując przyszłość i kawałek chleba. Nie chcą na tym miejscu wymieniać tych, równie podłych jak i licznych jednostek, które mając wszystko Stronnictwu do zawdzięczenia, żegnały je oszczerstwami i paszkwilami. Pod tym względem przodowali nauczyciele szkół powszechnych i średnich.

Bardzo duże usługi oddawali ruchowi ludowemu kandydaci na inteligentów — akademicy, szczególnie pochodzący ze wsi. Wnosili oni do pracy nie tylko silny pierwiastek ideowy, ale wielką ruchliwość i bezinteresowność. Podkreślając to, nie umiałbym powiedzieć, czy większy pożytek był, jaki pracą swą oddali sprawie, czy szkoda, która wynikła ze załamania, a nawet wykołejania się niektórych z powodu zbyt wczesnego zaangażowania się w robotę politycznej. Nie brakło też i takich, co umieli pogodzić jedno z drugim, a przechodząc krzyżową drogę udręczeń, nie załamali się ani na chwilę.

Gdy między inteligencją w Stronnictwie było sporo jednostek całą duszą mu oddanych, to nie brakło też korsarzy politycznych w rodzaju Dubielów, którzy na Stronnictwie dokonywali różnych eksperymentów, wnosili zamęt i demoralizowali bliższe i dalsze otoczenie. O tym mogłyby mówić ofiary Dubiela jak śp. poseł Przetocki, Bednarczyk, Cieluch, Roman, Berek i inni.

Obszarnicy i szlachta

Brak inteligencji, która by przychodziła do chłopów z jakimi głębszymi myślami i była z nim związana wspólnym interesem, dawał się niesłychanie we znaki. Sądziłem też, że po załatwieniu sprawy reformy rolnej, gdy zostaną usunięte punkty tarcia, da się doprowadzić do współpracy pomiędzy wsią i okrojonym dworem przez stworzenie naturalnego frontu rolniczego i wyzyskanie w nim sił, zdolności i wiedzy fachowej, jaką niewątpliwie posiadało wielu ziemian. Czy to było możliwe? Czy krzywdy dawne i nowe, zawiść i żal, wywołane nimi, mogły na coś podobnego chłopom pozwolić? Przekonany jestem, że tak. Mam chyba podstawy do twierdzenia, że znałem chłopów na wylot. Wiem, że żywili oni do bardzo wielu właścicieli ziemskich głęboką nienawiść, wi-

dzieli, ile wielka własność narobiła im szkody przez wieki i pokolenia, dwory uważali za świadectwo dawnej niewoli, ale czy w nich tkwiła chęć nieubłaganej zemsty, czy tylko wielki żal i gorycz — tego nie mógłbym naprawdę powiedzieć.

To było pewne, że chłopci chcieli ziemię dworską dostać, ale nie chcieli brać za darmo. Woleli za nią zapłacić. Znana u chłopów miękkość w postępowaniu i nienaruszony dogmat własności odgrywały bardzo wielką rolę. Nieraz po wiecach, na których chłopci piorunowali na obszarników i uchwalali najgroźniejsze rezolucje, zwracali się do mnie z wyjaśnieniem, że to robili tylko dla taktyki. Ludzkość i sumienie były u nich niesłuchanie wielkie, mimo głodu ziemi i łakomstwa na nią. Gdyby nie to, byłiby chłopci niejednen dwór rozdarli, nie pytając się o żadną ustawę.

Natomiast właściciele ziemskich trudno było zrozumieć. Nikt im się nie może dziwić, że bronili ziemi przez siebie posiadanej, że akcentowali swoje do niej prawa, przypominali poniesione dla niej ofiary. Ale każdy musi zapytać, czy to jest do pomyślenia, by miliony obywateli, nie mając żadnych podstaw do życia, mogły spokojnie patrzeć nie tylko na jednostki posiadające setki tysięcy morgów, ale na marnowanie ich i prowadzenie gospodarki szkodliwej dla ogółu.

Jak nie jest rzeczą obojętną, w którym ręku znajduje się ogromny procent ziemi, stanowiący w Polsce obszary dworskie, tak nie jest rzeczą małej wagi, czy i jakie korzyści ciągnie z nich państwo. O tym zaś mówią nie zapłacone przez wielką własność podatki, idące w setki milionów, przy równoczesnym wyciąganiu ręki do różnych instytucji po pieniądze. Nikt nie ma prawa kwestionować dobrej woli ani też patriotyzmu tam, gdzie one są, ale każdy znowu może napiętnować zło tam, gdzie ono się panoszy. Ogromna część wielkiej własności stała się pasożytem, podgryzającym niezbyt jeszcze silny organizm państwowy, a jej właściciele bardzo często zatracili poczucie obowiązku, odpowiedzialności, a nawet godności. To, co robi i mówi Radziwiłł i jemu podobni — nie tylko nie gotuje gruntu do współpracy, ale pobudza do przeprowadzenia starych i nowych porachunków.

Skłamali dokumentnie ci, co mówili i pisali o moich rzekomych konszachtach z wielką własnością w sprawie reformy rolnej, gdyż poza konferencją, jaką jeszcze w Wiedniu odbyłem — o czym wyżej wspominałem — nie prowadziłem z nią rozmów żadnych.

Mimo naszego, aż nadto rzeczowego stanowiska, wielka własność i jej rzecznicy zwalczali mnie i Stronnictwo „Piast” znacz-

nie silniej i ostrzej aniżeli „Wyzwolenie”, uważając widocznie nasze postępowanie za bardziej dla siebie niebezpieczne. Walka ta przybierała nieraz formy wstrętne i brutalne i była przepojona oszczerstwami i podejrzeniami na niczym nie opartymi. W takich wypadkach nie zawahali się oni iść razem nawet z nienawidzonym przez siebie „Wyzwoleniem”. Przedmiotem podobnego widowiska stał się Sejm z okazji sprawy dojlidzkiej i kolonizacji obszarów dworskich na wschodzie, szczególnie pomiędzy osadników wojskowych.

Robotnicy

Nie wiem, dlaczego socjaliści i Wyzwoleńcy okrzykli mnie wrogiem robotników i uboższych chłopów, i to wrogiem gorszym od różnych zdziwców i kapitalistów, gdyż nie mieli do tego żadnego powodu. Pomiedzy chłopami bogatszymi i uboższymi nie robiłem nigdy żadnej różnicy, a sprawami robotniczymi mało się zajmowałem, nie chcąc, by mieli jeszcze o jednego więcej, wcale nieproszonego opiekuna. Uważałem, że teren wiejski będzie dla Stronnictwa Ludowego na długi czas wystarczający, a gromadzenie przeciwieństw musi doprowadzić do zamieszania i osłabienia pracy. Natomiast nie żądając nic od robotników, ani od ich opiekunów, zawsze decydowałem na rzecz ich słusznych praw, których bez naszego poparcia byliby nie otrzymali. Za to życzliwe i bezinteresowne stanowisko socjaliści tak nastroili robotników, że nieraz nie mogłem przejść spokojnie ulicami Krakowa, ale zdobywszy, uzyskanych przy mojej pomocy, wcale obronić nie umieli.

Narodowa Demokracja

Wbrew dość szerokiej opinii do stronnictwa tego nie miałem wielkiego nabożeństwa ani też specjalnej słabości. Bliższe stosunki łączyły mnie jedynie ze Skarbkiem, co nie miało żadnego wpływu na moje postępowanie. Raziło mnie w endencji nie tylko wsteczne stanowisko w sprawach społecznych, ale krzykliwość i przywłaszczanie sobie monopolu na patriotyzm. Pamiętałem także i odczułem na sobie brutalne metody walki, nie przebiegające w środkach. Nie mogłem natomiast odmówić zalet, a nimi były: wyraźne i jasne stanowisko w sprawach narodowych, zdolność do kompromisu i lojalność w dotrzymywaniu go.

Socjaliści

Większość przywódców socjalistycznych uważałem za płytkich i krzykliwych agitatorów i ludzi nieodpowiedzialnych, którzy nie znali granic w rozbudzaniu apetytów, a choć wiedzieli, że one nie mogą być nasycone, nie umieli w odpowiednim momencie ludziom tego powiedzieć. Rozpętawszy walkę o zdobycze robotnicze, a wiedząc, że dalej iść nie można, nie mieli odwagi powiedzieć robotnikom: „Dosyć”! Jak znowu okazali zwyczajne tchórzostwo, gdy te zdobycze zostały robotnikom odbierane. Wiedziałem też, że albo oni popłyną na fali aż do zniszczenia wszystkiego, albo w niej utoną. Wypadki późniejsze w całości to potwierdziły. Błędem moim i innych było przecenianie siły socjalistów i ich wpływów i wyciąganie stąd fałszywych wniosków. Gdyby się ich znało wcześniej, mogłoby niejedno pójść zupełnie inną drogą.

Wyzwolenie

„Wyzwolenie” w moim przekonaniu stanowiło wiejską ekspozyturę socjalistów, licytującą się czasem z nimi w demagogii. Opanowane przez różnych półinteligentów i socjalistyczne nauczycielstwo, kierowane ponadto niewidzialną ręką — prowadziło, politykę, która daleko odbiegła od uczuć i interesów chłopów, dając równocześnie pozory wielkiej dbałości o nich. Demagogia, zastępująca znajomość sprawy, poczyniła sprawom chłopskim wielkie szkody, a wskazywanie na rzeczy odległe, a często obojętne, odwróciły ich uwagę od tego, co istotne a bliskie. Między innymi ufundowanie potęgi nauczycielskiej, tak dla chłopów uciążliwej, jest bezspornym dziełem „Wyzwolenia”. Temu też stronnictwu zawdzięczać należy wprowadzenie do walk politycznych na wsi oszczerstwa i kalumnii jako zwyczajnego środka.

Parlamentaryzm i współdziałanie

Byłem zawsze szczerym zwolennikiem ustroju parlamentarnego, a to z dwóch zasadniczych powodów. Jako Polak uważałem za rzecz nader pożyteczną, by wszyscy obywatele Państwa byli zainteresowani życiem publicznym, jako zaś włościanin wiedziałem, że tylko przy parlamentarnych rządach mogą chłopci uzyskać należne im w Polsce stanowisko.

Wiedziałem też, że nie wystarczy wyznawać samą zasadę, ale trzeba ją praktycznie wprowadzać w życie. Polski parlamentaryzm o tym nie pamiętał. Powód leżał w niedojrzałości i małostkowości niektórych stronnictw i, jak się później okazało, w złej woli czynników pozasejmowych, wysilających się, by Sejmowi nie pozwolili pracować. Tej machinacji bardzo często ulegali socjaliści, a prawie zawsze trzpiotowate „Wyzwolenie”, zachęcając przy tym do awantur mniejszości narodowe.

Ponieważ parlament nie może spełnić swoich zadań, jeżeli nie posiada większości i planu pracy, kardynalnym warunkiem jego istnienia jest, by tę większość utworzyć. Gdy jej zaś nie posiada jedno stronnictwo, musi postarać się o utworzenie jej z innymi. W Klubie „Piasta” doprowadziłem do tego, że był on zdolny do tworzenia większości w każdej niemal kombinacji, nie tracąc nic ze swego programu i zasadniczej polityki. To samo trzeba przyznać stronnictwom prawicowym. Młodzieńcze „Wyzwolenie” nie tylko że nie było zdolne do koniecznego, zdrowego kompromisu, ale bardzo długo i zawzięcie wojowało przeciw mnie zarzutem, że na gruncie parlamentarnym robiłem układy ze stronnictwem prawicy, zaprzepaszczając rzekomo przez to interesy chłopów i czyniąc szkodę demokracji, gdy ono nie poszłoby na to nigdy, choćby nawet przy budowie Królestwa Bożego na ziemi.

Ówczesny wódz „Wyzwolenia” i lewicy, poseł Thugutt, z uczuciem pewnej dumy i zadowolenia powtarzał nieraz, iż on wtenczas dopiero zgodziłby się na popełnienie takiego „przestępstwa”, gdyby bolszewicy znaleźli się znowu pod murami Warszawy. Okoliczność ta się nie zdarzyła, bolszewicy do Polski nie przyszli, ale za to przyszli inni, którzy zrobili gruntowny porządek z ortodoksyjnym Thuguttem i jemu podobnymi, grzebiąc przy tej sposobności parlamentaryzm i wszelkie wpływy chłopów w Państwie. Wielu patentowanych obrońców chłopów i demokracji pośpieszyło im przy tym skwapliwie z pomocą. Przewrót majowy i wprowadzenie dyktatury był przecież wspólnym dziełem. To ich вина i dzieło, a jakaż jest moja вина?

Ponieważ układy można tylko robić z tymi, którzy tego chcą, a współdziałać z tymi, co się na to zgadzają — robiłem układy z innymi stronnictwami, nie wyłączając prawicy. Miały one za cel utrzymanie rządów konstytucyjnych i przeprowadzenie ułożonego planu pracy. Lewica nie tylko że się do tego nie przyłączyła, sama nic innego nie starała się zrobić, ale wszelkimi sposobami przeszkadzała w pracy, posuwając się do oszczerstw i insynuacji wprost nieprawdopodobnych. Ponieważ daleko łatwiej jest burzyć niż budować, dlatego lewicy udało się sparaliżować

nasze zamiary i usiłowania, przynosząc szkody dotąd nie naprawione nie tylko nam i sobie, ale przede wszystkim wielkiej sprawie. Nie wiem, czy kiedy zrozumie, że Polsce jest bezwzględnie konieczna zbiorowa wola i siła społeczeństwa, a nie bożki, ulepione z uprzedzeń i nienawiści.

Porozumienie z roku 1923

Będąc głęboko przekonany, że walki i karczemne awantury, robione i wywoływane w Sejmie przez lewicę, obniżają znaczenie Sejmu u mas i niszczą jego powagę, a rozpręcenie i rozbicie uniemożliwia jego pracę, mimo trudności i niepowodzeń, stale dążyłem do możliwej konsolidacji i koniecznych zmian.

Wynikiem także i moich zabiegów było utworzenie większości w roku 1923 na podstawie wspólnie ułożonego programu pracy. Było to znacznym krokiem naprzód, gdyż w niej wzięły udział i stronnictwa robotnicze.

Lewica odpowiedziała na to bezprzykładną walką, nazywając pogardliwie układ zawarty „paktem lanckorońskim” i ogłaszając to z wielkim wrzaskiem jako zdradę ludu. Jak ta zdrada ludu wyglądała, przekona się każdy, kto zechce przeczytać treść tego układu w dalszej części mojej pracy.

Moja broszura „Czasy i ludzie”

Przeszedłszy piekło doświadczeń, widziałem, że nasze życie parlamentarne domaga się wielu zmian, podyktowanych paroletnim doświadczeniem. Do zmian tych dążyłem też wszelkimi siłami, jakimi rozporządzałem. Już w układzie z r. 1923 były przewidziane zmiany w ordynacji wyborczej, mające na celu zabezpieczenie Sejmowi stałej większości, zdolnej do pracy i rządów, a w dniu 15 lutego 1926 r. ogłosiłem broszurę, będącą wynikiem moich rozważań i poglądów. Dała ona sposobność lewicy do zrobienia wielkiego hałasu i okrzyczenia mnie najgorszym reakcjonistą, wrogiem ludu i wstecznikiem. Dowodem moich zamierzonych rzekomych machinacyj miało być, że po omówieniu ówczesnych stosunków w Polsce, napisałem w niej:

„Równe prawo głosowania, bezwzględnie równe dla wszystkich obywateli, demokratyczny ustrój Państwa i rządu parlamentarne są wielką i nadzwyczaj cenną zdobyczą ludu i demokracji. Konstytucja polska, niezwykle liberalna, obdarzyła szczerze wszystkich obywateli Państwa, dając im możliwość drogą pośrednią lub bezpośrednią decydowania o Rzeczypospolitej i

wszystkich jej sprawach. Ale szczodry ustawodawca siląc się, aby najwięcej i jak najlepiej zabezpieczyć prawa i wolność jednostki, zapomniał często o najżywotniejszym interesie Państwa, o stosunkach w Polsce istniejących, o poziomie świadomości wielu mieszkańców całych połaci Państwa, a co może najważniejsze, o charakterze polskiego narodu, który najlepszym materiałem państwowym we własnej Ojczyźnie prawie nigdy nie był, a i dziś także wielkiej zmiany na lepsze pod tym względem nie wykazuje. Toteż dzięki temu taki np. Poleszuk, mieszkający w lasach i szuwarach, nie wychylający stamtąd głowy przez całe życie na świat Boży, nie mający też często o nim pojęcia, został w jednej chwili uprawniony do samodzielnego decydowania nie tylko o swoim losie, ale także o losie Państwa, na równi z profesorem uniwersytetu. Został powołany do decydowania o sprawach polityki wewnętrznej i zewnętrznej, rozwiązywania ciężkich i skomplikowanych zagadnień z dziedziny gospodarczej i społecznej.

„Ustawodawca widocznie zapomniał, że istnieje pewna i to znaczna pod wielu względami różnica pomiędzy mieszkańcem chociażby Wielkopolski, Małopolski i Królestwa, a mieszkańcem dużej części naszych ziem wschodnich, i że gdy idzie o byt i przyszłość Państwa, tych różnic nie można żadną miarą pominąć. Wiem, że zrobiono to ze względu na czerwoną zagranicę i dla ratowania liberalnej doktryny i temu się też stało zadość, ale równocześnie stracono dla Polski możność spokojnego i gruntownego uregulowania fundamentalnych podstaw państwowych. Stracono normalną pracę w parlamencie i możność tworzenia trwałego, silnego, opartego na jego wiążącości rządu”.

Na końcu tej broszurki znalazły się następujące zdania:

„Zmienić trzeba do gruntu wszystko, co jest w Polsce złe i fałszywe, bez względu na to, kogo to będzie dotyczyć, bez względu na opinię i popularność, bez względu na zarzuty wstecznicstwa i reakcyjności, bo największym wstecznictwem i reakcyjnością jest właśnie trzymanie się tego, co się okazało złe i zgubne. Odczuły to już i dojrzały do tego szerokie sfery naszego społeczeństwa. Toteż ci, którzy piastują odpowiedzialne w Polsce stanowiska, powinni się nad tym głęboko zastanowić i powinni potrzebne zmiany szybko w czyn wprowadzić, jeżeli nie chcą, ażeby wypadki poszły drogą niewłaściwą i ponad ich głowami, lub żeby nie wstrząsnęły fundamentami Państwa. Burzenie gwałtowne obecnego porządku prawnego lub ustroju państwowego przez wprowadzenie dyktatury, o której niektórzy marzą, jest rzeczą co najmniej szkodliwą i godną potępienia. Zabawą dzieciinną jest też szukanie drogi wyjścia przez wprowadzenie w Polsce monarchii. Rezultat tych pomysłów może być jednaki: wzmożenie się anarchii i jeszcze większe niż dotąd rozbicie. Natomiast koniecznością jest reforma zasadnicza, zastosowana do interesów Państwa i naszych warunków. Toteż:

- 1) Sejm powinien w najkrótszym czasie, a w każdym razie przed rozwiązaniem się, zmienić przepisy Konstytucji, dotyczące uprawnień Prezydenta Rzeczypospolitej, w kierunku wzmocnienia jego władzy.
- 2) Zmienić ordynację wyborczą i wprowadzić postanowienia, które by zabezpieczyły interesy Państwa i jego rozwój, dały podstawę do normalnej pracy parlamentu i silnego, trwałego rządu.
- 3) Powziąć powinien postanowienie, zmniejszające bardzo wydatnie liczbę posłów, ustalić ich odpowiedzialność, zmienić sposób wybierania, dążąc do zlikwidowania drobnych grup politycznych.

- 4) Odebrać prawo przeprowadzania wyborów sądom a przenieść je na czynnik administracyjny.
- 5) Rozszerzyć i ustalić kompetencję Senatu lub go znieść zupełnie.
- 6) Wprowadzić specjalne postanowienia, normujące odpowiedzialność cywilną i karną urzędników za przestępstwa w służbie państwowej, złą wolę, opieszałość, kradzieże, defraudacje itp.

„Nie będzie to wszystko, co powinno być zrobione, ale będzie już wiele. A jeżeli się te zmiany przeprowadzi, dadzą one podstawę naprawy tego, co się zaniedbało albo źle zrobiło. Wzmogą one w społeczeństwie wiarę w Państwo, w dobrą wolę Sejmu i rządu, w praworządność i sprawiedliwość. Jeżeli Sejm tego nie robi, sam się przekreśli, a Polska, nie chcąc ginąć, będzie musiała szukać innych dróg wyjścia, które mogą zmienić stosunki obecne, ale też mogą stać się dla niej nieszczęściem.

„Należy sobie wbić głęboko w pamięć, że ludność znosiła już bardzo wiele, że ta nawet przysłowiowa cierpliwość polska jest na wyczerpaniu, że przeszły owe młodzieńcze, wiosenne zachwyty, a przychodzi nieubłagane realizm życia. Że Państwo nie może i nie powinno znosić bezmyślnych prób robionych na jego organizmie przez tych, co chcą umierać dla frazesu lub co robią na nim interesy. Bo Polska chce istnieć nie dla teorii romantyków, a co gorsza, dla niedołęgów lub oszustów politycznych, lecz dla szczęścia narodu i lepszej jego przyszłości. Przeszkodą do tego ani nikt ani nie być nie może”.

Walka i agitacja

Zdania te i poglądy wypowiedziałem na kilka miesięcy przed przewrotem majowym, nie spodziewając się takiego rozwoju wypadków. Mam wiele danych do twierdzenia, że kierownicy stronnictw lewicowych wiedzieli już wtenczas o przygotowywującym się spisku i że ich wielkie zdziwienie było mocno udawane. Mimo to zawrzeli przeciw mnie świętym oburzeniem, obsypując gradem najcięższych zarzutów i podejrzeń. Zarzucano mi więc, że chcę masom ludowym odebrać nabyte prawa, robiąc je podnóżkiem i niewolnikiem innych. Że wprowadzam podział na lepszych i gorszych obywateli itp. rzeczy. Podejrzewano, że dając władzom administracyjnym prawo przeprowadzenia wyborów, a przez to i wpływ na nie, zamierzam opanować rządy, wprowadzić w Polsce faszyzm, jeżeli nie wyraźną wprost dyktaturę, równającą się zupełnej niewoli chłopów i robotników.

Strachami tymi i im podobnymi karmiono łatwowierne masy chłopskie i robotnicze, prowadząc przez kilka miesięcy gwałtowną i oszczerczą kampanię przeciw mnie tak w miastach jak i po wsiach. Robili to zarówno Wyzwoleńcy, socjaliści, Stronnictwo Chłopskie, komuniści spod znaku Wojewódzkiego, jak Okoń i pracująca pod ziemią mafia wywrotowa, która umiała zaprzęgnąć z niesłyszanaą zęrcznością różne żywioły do pracy dla siebie, a mię-

dzy nimi i mniejszości narodowe. Ludność połykała chciwie te wiadomości, wyobrażając sobie Witosą jako wielkiego potwora, który zamierzał za jednym zamachem jeżeli nie połknąć, to na pewno sprzedać nieszczęśliwych chłopów i robotników jakiemuś niewiadomemu nabywcy w niewolę, jakiej jeszcze świat nie oglądał nigdy.

Ludzie tak uwierzyli w mój planowany zamach, że najbliżsi przychodzili do mnie i nalegali, bym pod największym sekretem coś im przecież powiedział. W powiecie stopnickim po zgromadzeniu bardzo uświadomiony chłop, Kowalski, pytał się mnie dobroduszenie, czy naprawdę zamysłam wprowadzić pańszczyznę i ile dni w tygodniu, gdyż „wyzwoleńcy” mówili, że siedem — a więc nawet niedzieli nie byłoby wolnej. Na zebraniu zaś w Sandomierskim poseł Smoła wymienił bez zająknięcia wszystkie folwarki i kamienice, które za tę zdradę chłopów od panów otrzymałem. Inni pokazywali nawet fotografie moich hoteli i domów, mimo że one znajdowały się tylko na księżycu.

Tego było widać za mało, gdyż jeszcze do niedawna zwolennicy dawnego „Wyzwolenia” i „Stronnictwa Chłopskiego” tłumaczyli wykrętnie chłopom, że popierając zamach w 1926 r. dokonany, uchronili ich i Polskę od gorszego w skutkach zamachu Witosy. Z tym popisywał się w Sejmie w roku 1931 jeden z najmniej mądrych posłów B.B., gen. Galica, bredząc o jakichś rozmowach między mną a gen. Sikorskim prowadzonych, które miały tak groźnie wyglądać.

W czasie rozmowy w dniu 5 lutego 1934 r. na emigracji w Czechach K. Bagiński po tylu i tak przykrych dla niego doświadczeniach powiedział mi, że zamach majowy zrobili właściwie „Piastowcy” przez swoje postępowanie, oni zaś, „Wyzwoleńcy”, pomogli Piłsudskiemu, uprzedzając i uniemożliwiając mój zamach. Swojego postępowania wcale nie żałują, mają tylko żal do Piłsudskiego, że ich potem oszukał, bo zamiast rządzić Polską z nimi — rządził z Radziwiłłami i Lubomirskimi.

Czy ja myślałem kiedykolwiek o zamachu?

Nic podobnego! Mogę natomiast tak teraz jak i zawsze powiedzieć i powtórzyć, że myślałem naprawdę o daleko idących i takich zmianach, które by bez naruszenia Konstytucji i praw obywatelskich nie tylko zapewniły stałą większość w Sejmie, ale też dały ludzi przygotowanych do pracy w każdej dziedzinie. Myślałem także o wytknięciu wyraźnej drogi w polityce państwowej i ludowej, która by nie była robiona dorywczo, z dnia na

dzień, lecz miała dobrze przemyślany i ustalony kierunek. Przygotowałem sobie także projekt tych reform, które by masom ludowym naprawdę zapewniły nie chwilowe korzyści, zwykle przemijające, lecz trwałe i decydujące stanowisko w Państwie. Pragnąłem je też do tego stopniowo przygotować. Ponieważ takich rzeczy nie potrafią przeprowadzić ani dzieci ani niedowarzeni ludzie i psotnicy, jakich do Sejmu wprowadzało „Wyzwolenie”, pragnąłem i do tego dążyłem, ażeby tacy pozostali w domu. Tego miał dokonać nie gwałt ani przewrót, ale ustawa, nie odbiegająca ani na jotę od Konstytucji.

Rzecz naturalna, że nie chciałem także robić żadnej krzywdy Poleszukom, tak usilnie przez lewicę bronionym, nie uważałem tylko za rozsądne oddawać im w ręce pieczy o Państwo. Pisząc zaś o przeniesieniu prawa przeprowadzenia wyborów na władze administracyjne, nie mogłem nigdy ani na chwilę przypuścić, ażeby one mogły się posługiwać gwałtem, nadużyciami, kradzieżą głosów i że terror i korupcja mogą być środkami używanymi przez nie. Nigdy mi na myśl nie przyszło, by pięść i pałka miały symbolizować władzę. O tym zapewne i moi przeciwnicy nie myśleli wówczas!

W niedalekiej przyszłości mogli się zresztą wszyscy przekonać, że wybory, przeprowadzone przez sądy, przyniosły takie nadużycia, obfitowały w takie gwałty i oszustwa, o jakich się przedtem żadnej administracji nie śniło. Miały one chyba dowieść niewierzącym, że jeżeli gwałt stanie się gdzieś panującym, to próg sądowy nie może dla niego stanowić skutecznej przeszkody.

Inne zarzuty

Już nie tylko nieodpowiedzialni agitatorzy, ale nawet poważniejsi ludzie spomiędzy polityków radykalnych stronnictw ludowych wojowali przeciw mnie zarzutem, że w r. 1920, mając władzę w ręku, nie skończyłem raz na zawsze z „wrzodem”, jakim są obszary dworskie i nie rozdałem ich ziemi chłopom za darmo. Na to odpowiedziałem i odpowiadałem każdemu zawsze: pełni władzy nigdy w ręku nie miałem, tylko jej kierownictwo, a gdybym ją nawet posiadał, to nie wolno mi było dawać komukolwiek tego, co było obcą własnością.

Nie wolno mi również było jedynie widzieć i forytować tylko chłopów ze szkodą i krzywdą drugih, bo moim obowiązkiem było równe traktowanie wszystkich i trzymanie się litery prawa. O przeprowadzenie zaś ustawy, mającej dać chłopom

ziemię, starałem się usilnie, bo mimo że gorąco pragnę, by wszystka ziemia, jaką w Polsce posiadają ziemianie-obszarnicy, przeszła w ręce chłopów, to uznaję, że stać się to powinno tylko w drodze obowiązującego prawa.

Czy prawo to stanie na stanowisku zapłaty za ową ziemię, czy bez niej, o to zbytnio głowy nie będę sobie łamał. Wiem tylko, że obszarnicy swoją polityką przygotowują sobie na przyszłość — jak mi się zdaje — gorzkie owoce.

Tak samo nie mogłem, ale także i nie chciałem, specjalnie chłopom płacić za obronę niepodległości państwowej w wojnie bolszewickiej w 1920 r., choćby tylko dlatego, że ich nie można uważać i traktować jako najemników, którym się należy wynagrodzenie za dokonaną czynność.

Chłopi polscy są równymi, świadomymi obywatelami, spełniającymi z przekonania obowiązki wobec własnego Państwa. Największą zaś dla nich zapłatą jest przeświadczenie, że obornili Państwo od hańby i uratowali jego samodzielny byt. A co uważam za najważniejsze, krwią swoją nabyli prawa do władania nim. Mając to prawo i większość w narodzie, mogą w każdym czasie zrobić wszystko, co uważają dla Państwa i dla siebie potrzebne i celowe. A to jest więcej, i to znacznie więcej, niż każda inna zapłata.

Zresztą w tej sprawie widać dziwną taktykę, bo gdy z jednej strony robiło się zarzuty, z drugiej — starało się uniemożliwić jakiegokolwiek świadczenia dla chłopów z mej strony. Gdy w roku 1923 chciałem najbiedniejszym z nich dać trochę soli, ropy i węgla po cenach znizonych, członek „Wyzwolenia”, prof. Bartel, wygotował wielki akt oskarżenia, żądając pociągnięcia mnie do odpowiedzialności jak za przestępstwo.

Zarzucano mi także często i to z tej samej strony, że mimo obietnicy uczynionej w czasie najazdu bolszewickiego, nie dałem za darmo ziemi zasłużonym w czasie tej wojny żołnierzom. Zarzut ten zupełnie bezpodstawny i niesłuszny; zaraz po ukończeniu wojny wniosłem w porozumieniu z Naczelnym Wodzem projekty ustaw, dotyczących nadania ziemi tym żołnierzom, jak również dostarczenia im materiałów bezpłatnie przez Państwo.

W Sejmie tych spraw specjalnie pilnowałem, starając się o ich rychłe przeprowadzenie. Sejm przeprowadził je dość pośpiesznie tak, że już w dniu 17 grudnia 1920 r. stały się one ustawami.

Za wykonanie tych ustaw tak długo byłem odpowiedzialny, jak długo miałem w ręku rządy. Zrobiłem też na tym polu dość dużo, mimo przeszkód zasadniczych ze strony prawicy, a zupełnie niezrozumiałych jak i nierozumnych ze strony lewicy, a

szczególnie „Wyzwolenia”. Reszta następnie należała do tych, którzy posiadali władzę.

Winę zahamowania jak i spaczenia rozpoczętej z wielką energią pracy ponoszą zarówno „Wyzwolenie” jak i Narodowa Demokracja, które ją wspólnym wysiłkiem uniemożliwiły. Endecy bronili z zasady ziemi obszarniczej, „Wyzwoleńcy” mniejszości narodowej przed polskimi zasłużonymi żołnierzami-kolonistami.

Protokół z posiedzenia Sejmu pozostał świadkiem tego dziwnego współdziałania dwóch nienawistnych przeciwników.

Rok 1923 i dalsze

Równie ciężki jak bezpodstawny był zarzut, uczyniony mi z powodu mojego postępowania w czasie znanych i głośnych wypadków w Krakowie w listopadzie 1923 r., wywołanych rewoltą socjalistyczną. Grając na uczuciach i wyzyskując nieświadomość, przedstawiono mnie w oczach mas ludowych jako krwawego wampira, który rozmyślnie przelewał i łykał krew niewinnych robotników.

Jeśli się nie można dziwić podjudzonym tłumom, przyjmującym wszystko za dobrą monetę, to trudno usprawiedliwić ludzi, mających pretensję do wykształcenia i praktyki politycznej i wiedzących, że każdy szef rządu, nie umiejący stanąć w obronie nie tylko porządku ale znieważonego majestatu Państwa, byłby człowiekiem godnym pogardy. A przecież zbrodnia krakowska godziła wyraźnie w Państwo.

Jeśli w tej sprawie mam sobie co do wyrzucenia, to niedołęstwo i tchórzliwość krakowskich władz cywilnych i wojskowych, jaką one okazały wobec buntu, jego sprawców i kierowników.

Dziwna rzecz, że socjaliści, ubolewając nad przelaną z ich winy krwią robotników, zapomnieli o przelanej także krwi polskich żołnierzy.

Zachowanie się przywódców socjalistów w r. 1923 w Krakowie oświeclają także wypadki, a szczególnie przewrót majowy w r. 1926. Udzielili oni przecież pomocy moralnej i fizycznej, jaką rozporządzali, stając się przez to jego sprawcami i współnikami.

Przypieczętowaniem zaś, i to już zupełnie na zimno, swojej zbrodniczej działalności, to ich uchwały, powzięte przez kierownicze oficjalne ciało pod przewodnictwem trybuna ludu i wodza polskiej demokracji, posła Daszyńskiego. Trzeba przecież być zu-

pełnie w nienawiści zaślepionym, czy też w służalstwie pograżonym, ażeby wydawać wyroki bez zbadania sprawy i wzywać podniecone przez siebie tłumy do ich wykonania. Ja nigdy nie byłem ani katem ani też złodziejem, nie byłem reakcjonistą ani kandydatem na dyktatora. Natomiast przed nimi — postępowcami — broniłem zagrożonej Konstytucji, demokracji, prawa i postępu. Broniełem bezskutecznie, gdyż w walce oni zwyciężyli razem z „wojskową demokracją, tak przez nich wynoszoną i uwielbianą.

Zachowanie się tych dziwnych demokratów zdradza zbyt wyraźnie zwykłe tchórzostwo bez cienia odpowiedzialności. Ono im podyktowało politykę pochlebstwa i służalczości, z tchórzostwa też sprzedali demokratyczne pierwszeństwo za bardzo niepewną miskę soczewicy i podcięli gałąź, na której wygodnie przez lata siedzieli. Rozsiali też furi oszczerstw, których dotychczas nie mieli charakteru odwołać. Ażeby zaś nie było żadnej wątpliwości, że zasady prawa i demokracji są dla nich tylko frazesem i szatą od święta, zostały książki Daszyńskiego, gloryfikujące każdy czyn i krok zwycięzcy i świadczące o tej wcale nie wesołej prawdzie.

Praca jego nie została zmarnowana, gdyż przydała się ona choćby prokuratorowi Grabowskiemu do pognębienia PPS w procesie brzeskim. Oczywiście, iż w całej tej drodze dotrzymało socjalistom wiernie kroku „Wyzwolenie”, które w wypadkach krakowskich widziało tylko mordowanie ludu przez krwiożerczy rząd, a w moim rządzie parlamentarnym — reakcję, przekupstwo, zgubę i hańbę narodową, a nawet pomniejszenie Ojczyzny. Wstąpiło też w szeregi walki i dopomogło do zwycięstwa nad prawem i nad sobą.

Ubezważniona i głodna masa chłopska powinna pamiętać, że stan, w jakim się dziś znajduje, zawdzięcza w wielkiej części rozumowi i taktyce politycznej tak szlachetnego, jak i nieomylnego i przewidującego „Wyzwolenia”, nie chcącego nawet uznać swojej i to wielkiej winy. Uznały ją mimo niego czas i wypadki.

Pchanie się do władzy

Jednym z wielkich moich grzechów i często mi wytykanych było „pchanie się do władzy”. Zarzutem tym wojowali przeciwnicy, rozdzielali nad nim szaty przyjaciele. Czy był on słuszny?

Po raz pierwszy przyjąłem urząd Prezydenta Rady Ministrów w r. 1920 wbrew mojej woli, na żądanie Naczelnika Pań-

stwa, Rady Obrony Państwa i nacisku własnego Stronnictwa. Że o urządzie ani marzyłem, dowód leży w tym, że mnie odciągnięto od orki w polu. Woli ogólnej miałem obowiązek się porządkować i to zrobiłem. Każdy nieuprzedzony chyba uzna, że objęcie władzy wówczas było ciężkim, wiele przykrości i ryzyka niosącym obowiązkiem. Starałem się też wedle sił i możliwości ten obowiązek wypełnić. Zgodna praca wszystkich pozwoliła rządowi, na którego czele stanąłem, nie tylko obudzić ducha w narodzie, wskrzесиć wiarę w zwycięstwo, zgromadzić siły, wygrać wojnę i zawrzeć pokój, ale dała możliwość przeprowadzenia plebiscytów, uchwalenia ustawy konstytucyjnej, ustawy o reformie rolnej i całego szeregu innych, niezbędnych ustaw. Za czasów tego rządu zawarta została konwencja wojskowa z Francją i z Rumunią; ustalono podstawy prawne dla armii narodowej, przeprowadzono szereg umów natury społecznej i gospodarczej z różnymi państwami, dano podwaliny do odbudowy moralnej i gospodarczej skołatanego i zniszczonego kraju.

Drugi raz przyjąłem prezesurę rządu w roku 1923 z ramienia większości sejmowej, jaka została utworzona na podstawie szczegółowo przygotowanego programu, nie zrealizowanego w całości tylko dlatego, że większość została rozbita przedwcześnie przez ludzi o chorej ambicji i małej odpowiedzialności.

Trzeci raz powołano mnie na czoło rządu w r. 1926 zgodnie z literą prawa, obowiązującego w Polsce. Uczyniła to znowu większość sejmowa, z trudem utworzona po ustąpieniu rządów Skrzyńskiego nie przewidując, że dawno przygotowany zamach zmiecie prędzej z widowni ten rząd, nim on będzie mógł rozpocząć swoje czynności.

W zaraniu tworzenia się Państwa Polskiego zostałem prezesem Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie, instytucji, która objęła i sprawowała władzę po rządach austriackich, aż do czasu przejęcia jej przez prawowity rząd polski. Na to stanowisko zostałem znowu powołany uchwałą jednomyślną wszystkich stronnictw polskich, na terenie zaboru austriackiego działających.

Do rządu lubelskiego zostałem wprowadzony bez mojej wiedzy i woli jako minister „aprowizacji”, w czym było sporo wyrażonej złośliwości. Rzecz szczególna, że na ministra „lubelskiego” pasowali mnie akurat ci, co mi najwięcej ćwierkali o owym „pchaniu się do władzy”. O nominacji mojej dowiedziałem się dopiero z plakatów, gęsto na murach Lublina rozlepionych. Uważając samo tworzenie owego rządu za niepoważny i szkodliwy eksperyment, zaraz się z niego wycofałem.

Nikt też chyba nie nazwie moich wyborów pchaniem się czy to do Sejmu galicyjskiego, Parlamentu austriackiego, Sejmu polskiego, czy też innych placówek o charakterze społecznym i gospodarczym, do których byłem jednomyślną wolą niczym nie krępowanych obywateli powoływany. Dopiero gdy ta wola przestała ważyć, zostałem usunięty zewsząd jako niepożądany i niewygodny.

To co w tej materii napisałem, nie jest wcale podyktowane tylko chęcią usprawiedliwienia się ze stawianych mi zarzutów, gdyż starania się o władzę dla przeprowadzenia wytkniętych uczciwych celów nie uważam za przestępstwo, o ile droga obrona zgodna jest z prawem. Ja na tym punkcie jestem zupełnie w porządku.

Sejm chłopski

Po raz pierwszy w Państwie Polskim dostali się chłopci polscy na ławy sejmowe w r. 1919, czekając na to przez wieki i pokolenia. Otworły się nareszcie przed nimi wrota świątyni prawa, umieszczonej w stolicy przy ul. Wiejskiej, w gmachu po instytucie rosyjskim pozostającym. Wygląd tej rudery nie wzbudzał należnego jej przeznaczeniu szacunku.

Mandaty poselskie dostali wszyscy z dobrej woli współbraci, wierzących święcie w wielkie ich posłannictwo. Przygotowanie do nich — to szczerza chęć pracy i paromiesięczna agitacja, dosyć ograniczona i często bardzo rozbieżna, prowadzona przez ludzi z nimi nie związanych. Szli do Sejmu nasyceni oparami wojny, bo wszyscy na nią patrzyli, skutki jej znosili i wszyscy niemal byli jej ofiarą.

Przynieśli ze sobą pamięć wiekowych krzywd i upośledzenia, wiedzieli, że oni pierwsi mogą być ich mścicielami. Oko w oko zeszli się ze swoimi krzywdzicielami, mając te same prawa i wielką przewagę. Wiedzieli, że spełniły się słowa psalmu więcej niż w całości, gdyż nie tylko zasiedli z książętami, ale zajęli ich miejsca. (W pierwszym Sejmie polskim tych książąt nie było).

Nie przyszli oni jednak ani z własną tylko wolą i myślą, ani też rozumem. Dostali często wiatyk na drogę od swoich wyborców, a zawsze zaś przewodników dla nowego sejmowego żywota. Nie byli oni też zawsze sobą, ani nie byli wcale całością. Rozparcelowali się bowiem sami przy gorliwej pomocy różnych pomyslowych politycznych geometrów. Przyszli do walki ze stary-

mi panami, mieli na karku nowych, zaciemniających i rozszerzających pole przyszej i bliskiej bitwy.

Dokonana parcelacja chłopów była wszechstronna, bo dotyczyła nie tylko sił, ale zapatrywań i poglądów. Chłopi weszli do Sejmu nie tylko jako stan, lecz jako części różnych stronnictw bardzo odmiennie myślących, a często się mocno nienawidzących.

Byli na skrajnej prawicy, usadowili się w środku, nie brało ich na ostatniej lewicowej ławie. Gdy jedni z patosem wygłaszali przemówienia patriotyczne, drudzy kpili z nich, ocierając się bez odrazy o Marksa. Gdy jedni posuwali się do prawie niewolniczej uległości wobec każdego księdza, drudzy traktowali kler z widocznym lekceważeniem. Stary ortodoksyjny rabin warszawski, Perlmutter, więcej miał spokoju w czasie swoich przemówień niż ksiądz Lutosławski. Gdy jedni śpiewali „Serdeczna Matko” — drudzy mieli więcej pociągu do „Czerwonego Sztandaru”.

Wielka ich część czuła się w tych stosunkach nieswojo wiedząc, że byłoby dla nich znacznie lepiej, gdyby ich pozostawiono bez tej opieki i w spokoju, ale nie umieli się od niej uwolnić. Ta opieka pozbawiła wielu z nich zdrowego, chłopskiego rozumu i sprowadziła na manowce obcych manier i obcych interesów. Musiało wprowadzić w zdumienie, gdy się widziało, że dla niektórych wyzwoleniowych chłopów najważniejsze były śluby cywilne, rozdział Kościoła od Państwa i uposażenie we wszystkie prerogatywy komendanta Piłsudskiego.

Wielkie sprawy państwowe nakryły im wszystkie inne swoją wagą i ciężarem — wojna przerwała wszelkie nici rozpoczętej pracy. Trzeba było rzucić nie tylko „pług i radło”, ale także i salę sejmową i zaciągać się do zupełnie innej pracy, albo też wprost do szeregów.

Było między nimi wielu, co poszli i działali ze szczerego przekonania, byli jednak i tacy, co się nieco zawahali, nie widząc wyraźnego celu narażenia swojego zdrowia i życia.

Do mnie w czasie zbliżania się bolszewików ku Warszawie przyszło dwóch z nich i prosząc o poufność świadczyli: „Panie prezesie! My tu przyszli z panem się poradzić, czy by dla chłopów nie było lepiej, ażeby bolszewicy z naszymi dziedzicami zrobili porządek, bo my sobie widać sami nigdy nie damy rady. Przecie oni tu wiecznie nie będą siedzieć, a nam nic nie wezmą, mogą nam natomiast dać dworską ziemię, której tak szlachcice bronią. Zresztą, niech teraz szlachcice pokażą, co umieją i bolszewików niech pobiją sami”. Łagodnie im tłumaczyłem, że poza ziemią istnieją jeszcze inne wartości, a honor i przyszłość chłopów wymaga, aby Ojczyznę od najazdu obronili. Potem sobie

zrobią sami w niej porządek bez pomocy bolszewików. Po ich minach widziałem, że wyszli wcale nie przekonani, choć za parę dni poszli do pracy w powiatach, wykazując w niej duże sukcesy. Chłopi z całej Polski ruszyli, tworząc nowe armie — wojna została wygrana! Spełnili swój obowiązek czekając, by spełniono zaciągnięte wobec nich zobowiązania i czekają jeszcze do tej pory, tylko już bez wiary, widząc, że Konopnicka miała świętą rację pisząc, iż na wojnach najwięcej wprowadzie giną chłopi, ale zawsze prawie wygrywają króle.

Pierwszy Sejm odrodzonej Polski miał największą ilość posłów-chłopów. Było to rzeczą całkiem naturalną. Chłopi-wyborcy stanowili ogromną większość w Państwie, a przy wyborach, szczególnie w Królestwie, przyjęło się bardzo popularne hasło: „Chłopi, wybierajcie chłopów!“. Hasło to nie zawsze wprowadzano w życie, bo sami ci, co je zawzięcie głosili, zamiast wybierać chłopów, przemycali jego „przyjaciół” — nauczycieli, adwokatów, niedowarzonych półinteligentów, a nawet kamieniczników warszawskich. Dobór kandydatów na posłów był też dość dorywczy albo przypadkowy, wybrani zaś na posłów chłopi, mimo że znalazło się między nimi sporo zdolnych, rozumnych i świadomych ludzi, wcale elity włościaństwa polskiego nie stanowili. Wybory ominęły bardzo wielu zdolnych ludzi, którzy nie chcieli płynąć na idącej fali, mając własne zdanie.

Sejm ten pogardliwie nazywano „sejmem chłopskim”, mimo że chłopi wcale w nim przewagi nie posiadali. Prowadzono też przeciw niemu zaciętą i brutalną walkę, chłopów zaś w nim zasiadających poniewierano i wyśmiewano, nie szczędząc im żadnych przykrości i docinków, odsądzając od rozumu, patriotyzmu, a nawet czci i wiary.

Cała niemal prasa bez względu na przynależność partyjną znęcała się nad nimi bezustannie, wysilając się na ordynarne dowcipy i drwiny, nie cofając się przed oszczerstwami i zarzutami zupełnie bezpodstawnymi, przedstawiając ich jako prawie zakałą Sejmu i nieszczęście dla narodu. Z każdego potknięcia się robiono przestępstwo, z każdej usterki — karygodne przewinienie. Przedeźniano mowy, potępiano milczenie. Wyliczano skrupulatnie pobrane diety, porównywano je z dokonaną pracą, podjudzając rozmyślnie apetyty drugich. Słowem potraktowano ich jak intruzów, którzy nieproszeni i niepożądani zajęli miejsca przypadające komu innemu.

Chłopi, na te pisane ataki niesłychanie wrażliwi, odczuwali je bardzo ciężko, chodzili nieraz jak struci, obawiając się, że to wszystko przedostanie się do wsi i znajdzie tam wcale niepożądany odgłos.

Trudno wiedzieć, czy robota owa była tylko bezmyślna i złośliwa, czy też celowa i tendencyjna, bo przecież nie da się zaprzeczyć, że ten „Sejm chłopski” ma za sobą niemały i historycznego znaczenia dorobek.

On przecież dał podstawę do utworzenia armii, on przeznaczył na ten cel potrzebne fundusze, mimo nędzy i braków panujących w kraju, on z wielką chęcią dawał rekruta i on, Sejm chłopski, Sejm analfabetów, zrobił to wszystko szczerze i bez żadnego oporu, w przeciwieństwie do licznych Sejmów szlacheckich, które się na to prawie nigdy zdobyć nie potrafiły.

Temu Sejmowi przypada też wielka część zasługi przy odparciu najazdu bolszewickiego w r. 1920, tak łatwo przypisanego innym. W nim narodziła się siła oporu, w nim powstała wiara w zwycięstwo, on dał wszystko, co zwycięstwo może stanowić. On się tylko o uznanie nie chciał, czy nie umiał starać.

On przeprowadził ustawę konstytucyjną, dał podstawę do odbudowy kraju i normalnej gospodarki państwowej, zabezpieczył spokój krajowi, utrwalił jego bezpieczeństwo przez umowy i traktaty międzynarodowe.

Innego zupełnie oświecenia nabiorą sprawy, jeżeli się weźmie pod uwagę, w jakich warunkach znajdowali się posłowie-chłopi, zasiadający w pierwszym Sejmie polskim. Ogół chłopów, zmęczony długą wojną, zniszczony i sponiewierany, spodziewał się od swoich wybrańców zupełnie czego innego, a i oni mu coś innego obiecywali. Całe włościanstwo spodziewało się po pierwszym Sejmie wyrównania wszelkich braków, usunięcia wiekowych krzywd, a następnie nowych zdobyczy, a przede wszystkim ziemi. Na to oczekiwało chłopstwo z wielką niecierpliwością, licząc już nie lata, ale miesiące, dni, a nawet godziny.

Tymczasem ci ich wybrańcy nie tylko że im nic nie dali, ale zgodzili się na nowe podatki i ciężary, nieraz bardzo dotkliwe! Zamiast nowej ziemi przynieśli im obciążenie posiadanych zagonów. Sam patrzyłem na to, jak wielu posłów-chłopów załamywało ręce i biadało, że się na wsi nie będą mogli pokazać, ale nie widziałem ani jednego z nich, który by się od spełnienia tych ciężkich obowiązków chciał lub myślał uchylić.

Taki Sejm chłopski już się nie powtórzył więcej. Patriotyczne stanowisko posłów-chłopów, którzy spełnili swój obowiązek wobec Państwa, ale nie dotrzymali obietnic danych masom, odebrało im popularność, a z nią także i mandaty poselskie. Miejsce ich zajęli drudzy, od nich sprytniejsi i więcej bezwzględni, obiecując zawiedzionym chłopom złote góry i to zaraz na poczekaniu.

Sejm ten otwiera i zamyka pewien okres w długiej, jednostajnej historii chłopów. Przyszli, spełnili swój obowiązek i jak ów przysłowiowy murzyn — odeszli, gdy już nie byli potrzebni.

Nie znaczy to zupełnie, by chłopów nie było w Sejmie. Są dalej — ale to już nie ci. Poniesiona klęska wyborcza, niepowodzenia w różnych sprawach wprowadziły u chłopów duże przeobrażenie. Osłabła wiara we własne siły, zmaląła nadzieja zwycięstwa. Zaczęli szukać oparcia u drugich. W tym miejscu przyszły wyłomy, zdrady, lokajstwo. Jedni powrócili do porzuconego chwilowo pługa, inni zaczęli szukać zarobku, bez względu na to, w jaki sposób i u kogo. Mandat poselski stał się nie zaszczytnym wyszczególnieniem, ale zapłatą za zdradę stronnictwa, programu, przyjaciół. Wartość jego dla tych ludzi nowych, to 1000 złotych co miesiąca wypłacanych, przejazd koleją i różne osobiste dogodności. Dla nich Bojkowie, Błyskosze, Potoczki rozbili chłopów, wyrzekli się samodzielności, uznając za pierwsze cnoty uległość i służalstwo.

Gdy za tamtych Sejm był, mimo swoich braków i błędów samodzielny, zdolny do inicjatywy, to ci nowi uczynili go marionetką, kierowaną nie ich rękami i do innych zadań służącą.

Gdy w tamtym Sejmie widziało się chłopów-posłów bardzo często na trybunie, przemawiających coraz lepiej i kujących wcale niezłe referaty, to obecnie widzi się ich tylko przy kasie, wypłacającej diety, a czasem na ławie poselskiej, gdy trzeba robić nastrój, albo podnieść zmęczoną rękę do góry, często wbrew woli i przekonaniu.

Gdy z tamtym Sejmem masa ludowa utrzymywała bardzo żywy kontakt, tym się nie zajmuje zupełnie, jakby rzeczą obcą i obojętną. To zubożenie bardzo zaraźliwie przenosi się i na inne dziedziny. Ciężkie jest pytanie, co to wszystko przyniesie, a jeszcze cięższa odpowiedź. Cokolwiek się stanie — to 20 milionów ludzi nie można wykreślić z rachuby, o ile oni tego sami nie zrobią.

Taktyka od paru lat stosowana przecina coraz ostrzej i skuteczniej wszelkie nici, wiążące chłopów z Państwem i zwraca ich myśli ku przeszłości, którą były zabory.

Po przewrocie majowym

Po przewrocie majowym zmieniła się zupełnie moja rola. Uniknąwszy latarni, na którą mnie konieczne rękami tłumów chcieli wciągnąć Daszyńscy, Bobrowscy, Poniatowscy i inni, jako pobity i zwyciężony usunąłem się zupełnie, ażeby swoją osobą nie

zawadzać nikomu. Nikt się też tym nie zmartwił, a wielu ode-
tchnęło, pozbywszy się takiego szkodnika „sprawy ludowej i po-
stępu”, za jakiego mnie okrzyczano. Triumfalnie wśród pocho-
dów tysięcznych i manifestacji ogłoszono mój upadek i zwycię-
stwo wielkiej nowej i demokratycznej idei. Zawyrokowano głośno
i radośnie, że Witos się skończył! I ja tak też myślałem.
Radowali się i biedne chłopki — bawiąc się jak dzieci w pło-
nącym budynku. Wprawdzie pokwaśły się trochę miny, gdy Pił-
sudski odbył pielgrzymkę do Nieświeża, odwiedzając Radziwił-
łów z pominięciem Perła i Smoły. Ale i to umiano sobie wytu-
maczyć. Ci, którzy chcieli mnie upiec żywcem, że reformy rol-
nej nie zrobiłem bez odszkodowania, milczeli, gdy różne Radzi-
wiłły zaczęły wyrzucać chłopów z zapłaconych gruntów. Zwy-
cięska i wszechwładna już teraz lewica pokazała, co umie i czym
jest.

Nie próbowała bronić szkalowanego Sejmu, ani jego upraw-
nień, milczała na poniewieranie godności narodu. Zacierała ręce
z radości, kiedy się zaczęły rugi najlepszych, niezależnych urzę-
dników, gdyż to był bicz Boży na endeków i piastowców. Lewi-
cowi politycy nie martwili się też zbyt zaginieniem gen. Za-
górskiego, gdyż to był „szpicel” austriacki, ani przyśpieszonym
zgonem gen. Rozwadowskiego, bo to znowu był „endekujący”
generał. Napady, dokonane przez oficerów armii polskiej na b.
ministra Skarbu, Zdziechowskiego, posła Strońskiego, Nowaczyń-
skiego, Mostowicza, załatwiono wzruszeniem ramion, a bardzo
często ukrytym uśmiechem zadowolenia. Gdy zaś rozpanoszona
mafia, nie mogąc ścierpieć koło siebie nikogo, zabrała się i do
nich, gdy „różni zasłużeni i ideowi działacze” lewicy zaczęli
drzwiami i oknami uciekać do zwycięzców, ratując swoje kości
i posady, uznano tę masową dezercję za pożądane oczyszczanie
organizacji od niepewnych elementów.

Nie stać ich było na żaden protest, gdy zwycięski wódz,
zlekceważywszy ich wszystkie prośby, rady i żądania, poprowa-
dził politykę zupełnie innymi drogami.

Umieli też znaleźć wymówkę, gdy im zaczęto rozsądzać każ-
dą komórkę organizacyjną, nasyłać i hodować szpiclów i pro-
wokatorów. Milczeli, gdy tysiące robotników pozbawiono pracy
i chleba. Mimo że się im wszystko waliło na głowy, dawni bohaterowie
awantur sejmowych i pogromcy rządów przedmajowych sie-
dzieli jak mysz pod miotłą, grożąc od czasu do czasu gniewem
ludu, który wcale nie nadchodził.

Dając zniechędzonemu rządowi budżet, by miał dostatecz-
ne środki na gnębienie swoich przeciwników, ubierali się w szaty
wielkich patriotów, głosząc uroczystie, że robią to nie dla niego,

lecz dla Państwa. Chłopom, stękaającym coraz więcej pod wałymi się na nich ciężarami, tłumaczono dalej, że Witos wszystkiemu winien, bo gdyby nie on, to by i zamachu nie było. Największym i najdłużej trwającym zmartwieniem lewicowych polityków, a zarazem najcięższym zarzutem, stawianym rządowi pomajowemu — to brak programu i życie z dnia na dzień. Choć każdy, kto miał oczy do patrzenia, widział, że ten program mają. Był on bardzo krótki, ale i bardzo wyraźny, a dał się streścić w słowach: Zniszczyć politycznie, moralnie i materialnie wszystko, co stanowi myśl niezależną, rzucić pod swoje stopy honor, ambicję i godność ludzką, zagarnąć wszelkie dobra w Państwie, ażeby tym sposobem uzyskać monopol na rzucanie ochłapów spodłonym i pokazywać je tym, co muszą wybierać pomiędzy głodem i podłością. Tego jednak obrońcy chłopów i robotników przez dłuższy czas dojrzeć nie mogli.

Noszoną łuskę na oczach trzeba było dopiero zedrzeć tak ostrym narzędziem, jakim draśnięto towarzysza bojów i chwały, Daszyńskiego, przez „komendanta Piłsudskiego”, który mimo tych hymnów na jego cześć wyśpiewanych nie zawahał się zamianować Marszałka Sejmu „durniem” i kpić głośno ze wstrzymania należnej mu „forsy”. Nazwisko Woźnickiego uznano za synonim głupoty, Marka uśmiercono moralnie, a Liebermana usiłowano ustroić w szaty błazeńskie, a przede wszystkim gdy uderzono w Kasy Chorych, synekury i posady, wtenczas zrozumiano, że sanatorzy program mają, a nawet, że go zaczynają wykonywać. Gdy wszystko inne nie bolało, zabolęła dopiero obawa o własną skórę. Zobaczyli nareszcie rzeczywistość, której są twórcami.

A cóż z chłopami?

Zwyczajna sanacja jest konsekwentna. Rzucone przez nią hasło: „Wziąć chamów za mordę” — znalazło zastosowanie w całej pełni. Unieruchomiony został Sejm, w którym chłopci mieli jeszcze przedstawicielstwo i skąd mogli swoje bóle i żądania wypowiadać. Usunięto ich ze wszystkich instytucji, gdzie mogli swego interesu bronić. Bezmyślnego i nieokrzesanego policjanta zrobiono panem życia i śmierci chłopca. Ze strażnika bezpieczeństwa stał się on prawdziwą plagą ludności. Jego całodziennym i całorocznym zadaniem to: kontrolowanie każdego poruszenia się chłopca, rozbijanie zebrań, prowadzenie wywiadów, dociekanie przekonań politycznych, spisywanie czytelników pism ludowych i stałe donosy. Stanowisko starosty zostało tak ufundowane, aże-

by z jednej strony imponował, a z drugiej przerażał. Takiemu staroście nie wystarczało jedno auto, musiał ich mieć więcej, rząd chciał mieć te parady, ale wołał, by za nie płacili inni. Ciężarami nowymi obłożono gminy i powiaty. Kiedy zaś chłopci, zasiadający w radach powiatowych i gminnych, temu się sprzeciwili, instytucje te rozwiązano. Igraszką samowoli rozhułkanej stawiał się każdy, kto się ośmielił mieć własne zdanie. Uczciwych wójtów tępiąno bez pardonu. Zupełną zaś nietykalnością cieszyli się zwyczajni złodzieje, jeżeli zgłosili swoją przynależność do obozu rządzącego.

Niemalą szkodę i krzywdę wyrządziła chłopom prasa, a szczególnie *Ilustrowany Kurier Krakowski*, który z dziwną wytrwałością szczuł przeciw nim całymi latami, bredząc o bogactwach ukrytych i widocznych, złotych zębach, hucznych wesełach wystawnych zabawach, skrzyniach dolarami napchanych, samolubstwie i obojętności na los bliźnich, a nawet Państwa. Nawoływania nie zostały głosem na puszczy, do chłopów się zabrano i po obywatelsku ich urządzono, a raczej oporzędzono. Podwyższono więc podatki i daniny, dołożone nowe i takie wysokie, że się chłop ani nie spostrzegł, iż nie może płacić. A nie mógł naprawdę!

Wszystkie produkty rolne spadły do 1/3 dawnej ceny, gdy przemysłowe nie ruszyły się z miejsca. Zarobków w kraju nie ma żadnych. Zamożniejsi gospodarze nie wynajmują nikogo, bo nie mają czym płacić; dwory wykorzystują położenie, nielicznym robotnikom płacą po kilkadziesiąt groszy dziennie. Wyjazdy do Ameryki i zarobki tam ustały prawie zupełnie, do Francji i Niemiec mogą się dostać tylko wybrani. Pożyczyć na wsi złotego jest sztuką nie lada.

Chłopci zaczęli sobie odejmować od ust. Dawno zapomnieli, jak wygląda szklanka piwa, wielu przestało palić zupełnie, wielu pali koniczynę albo się też truje najgorszymi gatunkami tytoniu. Nie mają za co kupić cukru — jest dla nich za drogi. Odmawiają sobie omasty, oszczędzają na soli, przeważnie przestali sprowadzać lekarzy do chorych i kupować lekarstwa, spuszczać się na wolę Bożą.

Przestali posyłać dzieci do szkół średnich, tak ze względu na brak miejsca, jak i niemożność uiszczenia opłat. Książka i gazeta stają się coraz większą rzadkością na wsi.

Chcąc zapłacić podatki i daniny, trzeba zaciągnąć pożyczkę, albo też sprzedać kawałek gruntu. Z czasem stało się i to niemożliwe, gdyż nie było nabywców. W Banku Gospodarstwa Krajowego chłop nie pożyczyci, Bank Rolny nie ma pieniędzy, Kasy Stefczyka, Towarzystwa Zaliczkowe i inne instytucje, chroniące

chłopów dawniej przed lichwą, albo upadły, pozbawione gotówki, albo przeszły w ręce chłopom nieprzyjazne. Pozostały więc znowu, jak przed laty, różne banczki i kasy, które zaczynają rujnować lichwą, przez nikogo nie kontrolowaną.

Grunta spadły w cenie niesłychanie, bo nikt kupić nie chce, a wielu chciałoby sprzedać. Wszelkie punkty oparcia i współdziałania chłopów znikły prawie zupełnie, a z nimi wieloletni, bardzo poważny dorobek. Pod względem państwowym i narodowym rozszerza się coraz więcej zupełna obojętność.

Połączenie się trzech stronnictw ludowych w jedno dało chłopom bardzo wiele otuchy, obudziło nowe nadzieje. Rozumowali sobie: Żle się nam działo, bośmy byli rozbici i słabi, prowadziliśmy walkę ze sobą, zamiast ją prowadzić z naszymi wrogami. Jak się zorganizujemy i wspólną pracę poprowadzimy, to się każdy z nami musi liczyć. — Rzucili się też do pracy jak nigdy przedtem. Bez niczyjej pomocy, z wielkim zapałem i wytrwałością tworzyli Koła Stronnictwa po wsiach i po gminach, płacili wkładki, wspierali się wzajemnie. Donosy, szykany, przeszkody i kary wcale nie wstrzymały ich pracy.

Do Kół Stronnictwa zaczęło się przenosić rugowane zewsząd życie. Tam się schodzono, czytano, omawiano różne sprawy, biadano nad swoją dolą i starano się szukać środków ratunku. Chłopi zrozumieli, że mogą liczyć tylko na siebie, a prawo ma tylko ten, co je potrafi zdobyć i obronić. Ażeby się ukryć przed okiem policji, zmieniano lokale, chodzono na zebrania w pojedynkę, urządzano je nocami.

Znalazło tam dla siebie miejsce i życie kulturalne. W gminie Słupiec, powiatu Dąbrowskiego, członkowie Koła, prowadzonego przez młodego gospodarza Klimczaka, tworzyli i pisali bardzo udatne sztuki. Sami je też grali, budząc powszechny podziw. Nie stanowili oni też wyjątku.

Na kursy polityczno-społeczne, które urządzaliśmy w całym kraju, przychodzili, szczególnie młodzi, bardzo pilnie, nawet z najdalszych okolic, chwytając chciwie każde słowo. Kursy te dały znaczną ilość ludzi nowych, energicznych, zdecydowanych, przejętych swoją rolą i posłannictwem. Oni też zaczęli wywierać coraz większy wpływ na masy chłopskie, nadając ich pracy ton i kierunek więcej stanowczy. Sporą ilość dobrych pracowników wydały też związki młodzieży. Na wsi zaczęły się dokonywać bardzo głębokie zmiany. Szybko wzrosła pewność siebie i świadomość istotnego stanu sprawy. Za katastrofalne położenie wsi robiono odpowiedzialnym rząd i mówiono to głośno i publicznie na olbrzymich zgromadzeniach, gęsto po kraju urządzanych.

Na tle tych stosunków wybuchł w r. 1937 strajk rolny. Kłamiwe było twierdzenie, jakoby on miał na celu wygłodzenie miast. Celem jego było zademonstrowanie przeciw bierności rządu w stosunku do drobnego rolnictwa, mimo jego tak ciężkiego położenia, domaganie się innej polityki. Mimo że ze strony strajkujących włościan nie było żadnych wykroczeń — władze administracyjne i policyjne odpowiedziały wzmożonym uciskiem, dotkliwymi karami, a często biciem i więzieniem. Przez starostwa, sądy i więzienia przesunęły się mnogie tysiące najpoważniejszych włościan w całym kraju.

Skutek był wręcz nieoczekiwany. Chłopi szli do więzienia zupełnie ochotnie, uważając sobie to za zaszczyt i wracali więcej jeszcze zahartowani w walce rozpoczętej. Gdy dawniej na wsi ludzi więzionych i karanych wstydzono się i unikano, obecnie za lepszych uważa się tych, którzy siedzieli w więzieniu. Stosunki te stworzyły nigdy dotąd nie widzianą solidarność chłopską. Prawie wszędzie ludziom więzionym i ich rodzinom chłopi-sąsiedzi szli z pomocą, starając się mimo nędzy panującej wszystkiego im dostarczyć.

Stosunek chłopów do mnie

Stosunek chłopów do mnie, bez względu na ich dawną przynależność, zmienił się też gruntownie. Przypomnieli sobie, jak wyglądali czy to za moich rządów, czy wtenczas, gdy na rządy miałem pewne wpływy. Mieli chleb, nie brakowało im pieniędzy, a często tłumaczono im, że nawet mieli za wiele, brali należytą zapłatę za swoje produkty, mieli prawo i poważanie, wszędzie ich traktowano jak ludzi. Teraz wprost w sposób wyraźny i przykry mogą porównać moją „reakcję” z dzisiejszym „postępem”, klęskę nadmiaru pieniędzy z zupełnym ich brakiem, lekceważenie ich przez obecną opiekę.

Toteż dawną oziębłość, a nawet nienawiść, zastąpiły gorąca sympatia i przywiązanie. Ujawniło się to w tysiącach serdecznych listów, pisanych do mnie ze wszystkich stron Polski, w setkach zaproszeń na różne wiece i zgromadzenia, na które przychodzili w dziesiątkach tysięcy, mimo odległości i niezliczonych przeszkód i trudności.

Obchód mojej 25-letniej działalności parlamentarnej, odbyty w Wierchosławicach w r. 1933, zgromadził według obliczeń moich przeciwników przeszło 60.000 uczestników. Wielu przyszło piechotą z odległości 150 km., nie dbając na żadne przeszkody. Niewiele mniej uczestników liczyły zgromadzenia w Li-

manowej, Zamościu, Woli Batorskiej, Nowym Sączu, Rakszawie, Gręboszowie, Opolu, Topoli, Kolbuszowej, Gostyniu, Kościanie, Jordanowie, Rzeszowie, Jarosławiu, Piasku Wielkim, Mielcu i dziesiątkach innych miejscowości.

Uważałem za obowiązek zastosować się do życzeń i być na tych zebraniach. Widziałem, że chłopci zaczęli się czuć lepiej i pewniej, wypowiadali otwarcie swe żale, nie taili się ze swymi poglądami, protestowali publicznie przeciwko krzywdom i nadużyciom. Niezawodnie na tę zmianę do mnie wpłynął w dużej mierze Brześć, przebieg procesu warszawskiego i stosunek do obecnych rządów. Toteż słowa moje stały się wyrocznią dla chłopów, moja obecność uważana była za szczęście.

Władze zakłopotane nie wiedziały z początku, jak się wobec tego masowego ruchu chłopskiego zachować; wiadomo jednak było, że się przygotowują do pewnych decyzji. Pierwsza próba — to strzelanie do spokojnie idących chłopów na wiec w Łapanowie, bicie mężczyzn i kobiet pałkami i kolbami, uwięzienie ludzi. W ślad za tym obficie połała się krew chłopska w Nockowej, Grodzisku, Wólce, Piasku Wielkim, Nowym Targu i szeregu innych miejscowości. Tysiące chłopów zappełniło więzienia. Przyszli prokuratorzy, sądy, rozprawy, wyroki. Chłopci prawie bez wyjątku okazali niesłychaną odwagę. Zachowali się z nadzwyczajną godnością.

Mimo trupów, więzień, kalek, bicia i szykan zapal u chłopów nie ostygł, ale się jeszcze więcej spotęgował. Pod wpływem tych stosunków chłop polski zaczął się zmieniać zupełnie. Dawniej bał się wszystkiego, teraz nie boi się niczego. Dawniej drżał ze strachu, by się nie dostać na godzinę do aresztu, teraz idzie tam niemal ochotnie. Dawniej dałby się porąbać za każdą grudkę ziemi, teraz patrzy prawie obojętnie, gdy licytują jego gospodarstwo. Do sądu chodzi jedynie na skutek doniesień, sam nie oskarży nikogo, choć go spotka krzywda. Sądom nie wierzy, nie stać go na skargi i adwokatów. Spory sąsiedzkie ogromnie zmalały. Załatwiają się też układami, a, niestety, nierzadko i kłonicami. Od wyroków sądowych rzadko chłopci apelują i to nie tylko z braku pieniędzy, ale wiary w zmianę, szczególnie od czasu, gdy sądy zrozumiały intencje wyżej postawionych. Różni „strzelcy”, ubrani w togi sędziowskie, zaczęli hulać, nadużywając swojego stanowiska. Orgie tej nowej sprawiedliwości dzieją się codziennie i rosną coraz więcej, przeradzając się w sport lub ohydę.

Sędzia powiatowy w Brzesku, Kłos, skazał dziewczynę wiejską za kradzież łyżek swemu chlebobdawcy na 5 lat więzienia. Ten sam sędzia skazał na rok więzienia kolejarza Zajęca ze Słot-

winy za obrazę policjanta, popełnioną przez to, że doniósł do władzy przełożonej o opilstwie i tarzaniu się w rowie. Sędzia w Jasle, skazując jednego chłopą, powiedział otwarcie: „Wy nie jesteście nic winni, ale muszę was ukarać, bo w przeciwnym razie straciłbym swój stołek”. Bardzo często młodziutki sędzia pozwalała sobie przy rozprawie na kpiny z ludzi wiekowych i poważnych, a nawet na obelgi. Nie lepiej zachowują się różni legionowi starostowie i komisarze. Setki chłopów ukarały starostwa za zbieranie podpisów na petycje do Sejmu, a tysiące za zwołanie zebrania i zgromadzeń, mimo zachowania przepisów ustawowych.

Jeżeli istotnie zależało komuś, żeby wieś polską doprowadzić do ostatniej ruiny materialnej i pozbawić wszelkiego politycznego znaczenia — to mu się to w zupełności udało. Nie udało się natomiast rzucić ją jak łachman pod stopy rządzących. Wprawdzie policja w dalszym ciągu chłopów maltretuje, kary się wzmożyły, wezwania się rozszerzyły, szpicle nie próżnują, faryzeusze działają, ale to wszystko ani chłopów nie przeraziło, ani też nie zmieniło.

Okazały się za to objawy w najwyższym stopniu niepokojące. Jeżdżąc przez szereg miesięcy po całym kraju i stykając się bezustannie z chłopami, miałem się sposobność przekonać nie tylko o wzrastającej nędzy i bezprawiu, ale także o rozgoryczeniu, które zaczęło się coraz silniej wzrastać przeciw Państwu. Na zgromadzeniu w Janowicach w obecności komisarza rządu i pod jego adresem postawił jeden z chłopów takie pytanie: „Czy jest na świecie, oprócz Polski, państwo, gdzie głodny i obdarty obywatel karmi policjanta i kupuje mu broń, aby on potem wyżywiony, odziany i uzbrojony — obywatela tego mordował? Czy my powinniśmy takiego Państwa bronić, w którym jedni bez pracy biorą miliony, a drudzy giną z głodu? Niech tylko przyjdzie wojna, to my będziemy wiedzieć, z kim się porachować”.

Komisarz milczał.

Widząc wyraźne niebezpieczeństwo, wzmagające się z dnia na dzień, starałem się przez liczne zebrania i uchwały zwrócić na nie uwagę czynników rządzących. Poruszyłem również tę sprawę w prasie codziennej i ludowej. Odpowiedziano konfiskatą. Prasa rządowa napadła na mnie ordynarnie, zarzucając mi kłamliwe przedstawienie sprawy i demagogię, na której chcę po plecach chłopskich wyjechać do władzy. Jeżdżący najszybszymi autami dzisiejsi władcy nie mogli czego innego dojrzeć!

Stronnictwa opozycyjne, nie chłopskie, mało się również zajmowały tą sprawą, nie mając widać czasu, a może i chęci. Jakoś się tak ułożyło, że ich pisma poświęcające wiele miejsca spor-

tom, zabawom, balom, śpiewakom, nie znalazły go na taki drobiazg, jak los 20 milionów chłopów.

Rządzący wszechwładnie państwem sanatorzy zaaplikowali nareszcie na to wszystko swoje lekarstwo. Były nimi wiece i tygodnie rolnicze, na których piorunowali na kartele i wzywali chłopów, by rządowi pomogli, bo on sobie nie może z nimi dać rady.

Komedia ta przypomniła wiejskiego guślarza, który przez złamanie laski na grzbiecie krowy chciał z niej wypędzić rozpanszowaną chorobę. Ci, co mają rządy w ręku i ogromną większość w Sejmie, co za jednym pociągnięciem pióra mogli rozwiązać wszystkie kartele, wzywają do pomocy chłopów, którym dawno odebrali głos i znaczenie.

W podzielonym społeczeństwie ujawniały się coraz większe i głębsze różnice. Gartsce wybranych wszystko wolno — gdy drugim wszystkiego zabroniono. Gdy jedni opływają w dostatki, drudzy nie mają na kawałek chleba. Gdy jedni dorabiają się milionowych fortun — drudzy tracą resztę swojego mienia. Gdy jedni prowadzą rozpasane życie — drudzy odmawiają sobie omasty i soli, a w czasie zabaw, uroczystości, maskarad, wyciągają ręce coraz liczniejsi żebracy.

Zbrodnia zaczyna wszechwładnie panować. Kradzieże, rabunki, napady, morderstwa mnożą się z dnia na dzień w sposób wprost zastraszający.

Olbrzymia większość społeczeństwa przestała się zupełnie zajmować sprawami publicznymi, odepchnięta od tego ręką brutalną. Życie zamarło prawie zupełnie. Polskę zaczęto określać mianem cmentarzyska, po którym błakają się czasem pokutujące duchy.

W tym czasie do życia ruszyłem wielką część chłopów. Ruch ten przemienił się w falę, która zresztą nie groziła nikomu, przypominając tylko, że nie wszystko w Polsce jest martwe, nie wszystko podłe i zgniłe.

Za to stałem się obiektem, na który zostały zwrócone nienawistne oczy. Mowy prokuratorów, wygłaszane w czasie procesów, ujawniały zamiary rządzących, wiadomości przychodzące inną drogą potwierdzały to w całości. Postanowiłem się usunąć. Na moją decyzję wpłynęła nie obawa przed więzieniem, które po zabraniu mi praw obywatelskich, mandatu poselskiego, ciężką pracą zdobytego majątku, mogło być niemal jedynym dla mnie schronieniem, lecz co innego.

Nie chciałem, nie czując żadnej winy, oddawać się na łaskę i niełaskę tych, co torturami fizycznymi i moralnymi, najbardziej wyszukany, dzikimi i barbarzyńskimi, depczą i poniżają god-

ność ludzką, której ja — Bogu dzięki — nie zatraciłem. O łaskę zaś swoich prześladowców prosił nie będę!

W motywach wyroku nawet brzeski sąd stwierdził, że się dobrze zasłużyłem Ojczyźnie i miejsce dla mnie wyznaczył — w więzieniu.

Kontakt mój z Polską jest niesłuchanie słaby. Wszelkie starania córki o uzyskanie przepustki granicznej spotkały się zawsze z brutalną odmową. Mimo tego przychodzą do mnie ludzie i przynoszą wieści. Z nich można wnioskować, że spokój jest pozorny, niewolnicza pokora tylko wymuszona.

Burza jakoby wisiała w powietrzu. Może to jest próba pocieszenia mnie, a może przezorne patrzanie w przyszłość.

(Częstochowa, w 1938 r.).

C z ę ś ć I

WIEŚ I MŁODOŚĆ

O sobie, rodzinie i wsi

Urodziłem się w miesiącu styczniu 1874 roku, z ojca Wojciecha i matki Katarzyny ze Sroków, jako najstarszy z rodzeństwa. Młodszy o cztery lata ode mnie brat to Andrzej, były poseł do Sejmu polskiego, mieszkający obecnie w Krasnem, miejscowości powiatu złoczowskiego. Najmłodszy Jan zmarł w Wierzchosławicach w latach dziecięcych. Natomiast ojciec posiadał bardzo liczne rodzeństwo, bo trzech braci i pięć siostr. Ja znałem dwóch z jego braci a to: Marcina i Macieja, siostrę zamężną Pochroniową i dwie niezamężne, Marię i Katarzynę. Najstarszy brat jego Stanisław, zamożny gospodarz w Rudce i dziedzic rodowego majątku, został otruty w jakichś tajemniczych okolicznościach. Siostra Maria zmarła w sile wieku, a Katarzyna wyjechała do Ameryki, nie dając o sobie zupełnie znaku życia. Mieszkająca w przysiółku Gosławice rodzina Witosów nie zostaje z nami w żadnym stopniu pokrewieństwa.

Miejscem mojego urodzenia jest wioska Dwudniaki, wchodząca w skład gminy Wierzchosławice. Oprócz Dwudniaków należą do tej gminy przysiółki: Gosławice, Wola, Wieś, Trzedniaki i Szujec, nazywany także „Zastawiem”. Przysiółki Dwudniaki i Trzedniaki wzięły swoją nazwę od dni pańszczyzny, odrabianej co tygodnia dworowi przez jedną rodzinę włościańską.

Gmina Wierzchosławice należy administracyjnie do powiatu tarnowskiego, a łącznie z obszarem dworskim jest największą ze wszystkich gmin w powiecie. Grunta i lasy, stanowiące własność obszaru dworskiego w Wierzchosławicach, należały z dawien dawna do rodziny książąt Sanguszków.

Obecnie gmina liczy 400 domów i przeszło dwa tysiące mieszkańców. Grunta posiada rozmaitej jakości. Gdy Gośławice i Wieś mają ziemię namułową i rędzinną, Wola piaszczystą, względnie dobrą, to reszta przysiółków siedziała na gruntach mokrych, kwaśnych, koło lasu położonych, bardzo mało wydajnych. Z tego też powodu, od czasów najdawniejszych, były one pogardliwie traktowane przez kmieci z Gośławic i ze Wsi, a i sama ludność tych przysiółków uznawała się zawsze za coś gorszego i niższego. Podlesianie w ciężkim trudzie odrabiali zagony pod marchew lub kapustę u gośławskich kmieci i byli niezmiernie szczęśliwi, gdy który z nich w niedzielę przy kościele podał im dwa palce na powitanie. Zwykle bowiem unikali ich, nazywając „podleśkimi dziadami”, a głupszy nie wiem dlaczego — „Schabami”. Jak głęboka była różnica między jednymi i drugimi, odzwierciadla stale wówczas używane powiedzenie: „Lepiej w Gośławicach na wierzbie, niż na Podlesiu na gruncie”.

Naturalnie, że lepiej było, ale tylko owym kmieciom, bo „podlesianie” i gośławscy komornicy nie mogli tego o sobie powiedzieć. Odrabianie owych zagonów było niesłychanym wyzyskiem i pańszczyzną najgorszego gatunku. Nieszczęśliwcy musieli nie tylko stawać na zagonie do roboty przed wschodem słońca i pracować do zmroku, nie tylko odrabiać jedynie przy żniwie, ale przez cały dzień nie mogli głowy podnieść, by nadążyć za wynajętym specjalnie parobkiem albo przepłaconym przodownikiem. Trzeba pamiętać, że dzień taki zaczynał się już o godzinie czwartej rano, a kończył się około dziewątej wieczorem. Toteż na ten odrobek amatorzy marchwi lub kapusty chodzili z niesłychanym strachem, opowiadając, że przedtem należy iść na spowiedź, bo się nigdy nie wie, czy się żywcem od takiej roboty do domu powróci. Nierzadko się też zdarzało, że taki robotnik uciekał od południa, bo nie mógł wytrzymać, albo go gospodarz wypędział, gdy znowu nie mógł dociągnąć za przewodnikiem.

Obecnie po tym wszystkim pozostała tylko pamięć. Dawni kmiecie gośławscy zniknęli prawie bez śladu. Dziady podleśkie siedzą na tych samych gruntach, lecz już zmeliorowanych, odwodnionych, inaczej uprawianych i dobrze rodzących. Inwentarz posiadają bodaj lepszy, chleba dostatek, podatki i inne opłaty niższe, zbiory natomiast nie gorsze. Dziś też nie muszą szukać kmieci łaski, bo jej na nic nie potrzebują. Poza tym są znacznie ruchliwsi, do pracy publicznej więcej podatni, a nawet oleju w głowie mają nieco więcej.

W gminie znajduje się kościół pod wezwaniem św. Wojciecha, zbudowany w XIX wieku przez jednego z kolatorów Sanguszków. Parafia wierchchosławicka istnieje już od przeszło

300 lat. Oprócz Wierzchosławic należą do niej gminy: Ostrów, Bogumiłowice, Komorów i część gminy Rudki, razem około 4.000 dusz.

Starzy ludzie opowiadają sobie, że Wierzchosławice nazwę swoją wzięły od św. Wojciecha, który, niesiony falami „wody morskiej” w czasie olbrzymiej powodzi, zatrzymał się na wierchołkach drzew olbrzymiego lasu, jaki wówczas pokrywał grunta dzisiejszej gminy i dał tę nazwę powstać mającej w przyszłości osadzie. O istniejących tam niegdyś wielkich lasach świadczą nazwy poszczególnych kawałków gruntu, jako to: Bukowina, Osicze, Zadębie, Borowice, a do tego jeszcze czasu w części gminy położonej nad Dunajcem można się dokopać olbrzymich kłód dębowych, niemal skamieniałych, znajdujących się w ziemi w głębokości parometrowej. Widocznie przymuliły je tam wody Dunajca, zmieniającego swe koryto w czasie każdej powodzi. Na gruntach zaś w stronę lasu położonych wydostają się przy głębszej orce większe i mniejsze pniaki sosnowe.

Do probostwa należy sto siedem morgów gruntu, podzielonego na kilka kawałków.

Posiadłość Sanguszków w gminie stanowią: 4.000 morgów lasu przeważnie sosnowego, dobrze utrzymanego i około 200 morgów ziemi ornej i łąk. Znaczną część gruntów dworskich sparcelowano na skutek zarządzenia okręgowego urzędu ziemskiego w Krakowie.

Grunta chłopskie w gminie wynoszą 2000 kilkaset morgów, gmina zaś i mieszkańcy osobno posiadają paręset morgów pastwisk lepszych i gorszych, wspólnie przez wszystkich używanych. W lasach sanguszkowskich nie posiada gmina ani mieszkańcy żadnych uprawnień, zostali bowiem pozbawieni ich nie tylko przez zachłanność magnatów Sanguszków, ale także przez nieświadomość i głupotę tak rady gminnej jako też i wójta.

W gminie znajduje się budynek szkolny drewniany o dwóch salach do nauki. Ponieważ dzieci w wieku szkolnym nie mogą się w nich zmieścić, wynajęto jedną salę w domu ludowym, drugą w domu kółka rolniczego. W szkole jest zajętych pięć sił nauczycielskich.

Przed kilku laty zbudowano w gminie Dom Ludowy imienia Wincentego Witosa. Jest to duży, częściowo murowany, częściowo drewniany budynek piętrowy. Posiada na dole salę na zebrania i przedstawienia, obok kilka mniejszych, a na piętrze lokale na urzędowanie zwierzchności gminnej, kasy Stefczyka, koła młodzieży i straży ogniowej. Resztę domu zajmuje pomieszkание złożone z trzech ubikacji i pokój, uchwałą rady gminnej specjalnie przeznaczone dla mnie.

Kółko rolnicze, założone przeze mnie przed kilkunastu laty przechodziło bardzo różne i zmienne koleje. Obecnie jest właścicielem domu, sklepu, szopy na narzędzia rolnicze, wagi bydłowej, trzech siewników, dwóch tryjerów i trochę drobnych narzędzi rolniczych.

Czytelnia kółka rolniczego posiadała sporo książek rozmaitej treści; obecnie jest rozbita i rozprószona skutkiem szykan i represji władzy.

Znajduje się również w gminie dwupiętrowy młyn motorowy, będący do niedawna własnością spółki przemysłowo-rolniczej. Zbudowany został przed wojną za moim staraniem, a w czasie wojny poniósł szkody stosunkowo nieduże.

Kasa Stefczyka, dawniej potężna instytucja, obecnie ledwie wegetuje, dzieląc los wszystkich niemal podobnych zakładów: specjalna bowiem polityka pozbawiła ją zupełnie koniecznego do obrotu kredytu a wkładów nie ma prawie żadnych.

Kilkanaście kilometrów dróg, jakie przechodzą przez gminę, utrzymane są w dość dobrym stanie. Dawne bajory znikły zupełnie skutkiem rowów i opustów porobionych.

Wież wygląda możliwie schludnie, dbałość o porządek jest coraz większa. Nowe domy buduje się obszerniejsze, wygodniejsze, kryte przeważnie materiałem ogniotrwałym. Konie i bydło nie są najlepsze, ale daleko odbiegają od dawnej lichoty, jaka była w całej gminie.

Uprawa gruntów jest coraz lepsza, natomiast używanie nawozów sztucznych znacznie mniejsze, a to skutkiem zupełnej nieopłacalności.

U młodzieży ogłada zewnętrzna silnie naprzód posunięta, choć nie ma pomiędzy nią wyraźniej się wybijających i głębiej myślących jednostek. Do szkół w Tarnowie uczęszcza bardzo wiele młodzieży, nie wykazuje ona jednak po staremu dostatecznych postępów ani zdolności. Zamożność na średniej stopie utrzymana, a to dzięki zarobkom w lesie, w Mościcach, przy kolei i na Dunajcu.

Ojcowie moi posiadali zaledwie dwa morgi lichego gruntu, położonego pod lasem, i część domu, składającą się ze stajenki, przerobionej na mieszkanie, i małej sieni, w której mieściła się jedyna posiadana przez nich krowa. Druga, większa część domu, należała do ciotki Marii. Obszerna jej izba była prawie zawsze zamknięta, bo ciotka, wychodząc do kościoła, wracała zwykle dopiero wieczorem, a czasem nawet za parę dni. Przebywała podobno u swoich znajomych, mieszkających we wsiach sąsiednich.

Później mnie objaśniono, że grunt należący się ojcu, zabrała córka jego brata, gdy on spełniał służbę wojskową, dzięki opie-

kunowi, który o grunt ten zupełnie nie dbał. Opowiadał mi ojciec nieraz o tym z ogromną goryczą, pokazując na pole, leżące tuż koło naszego domu, i na obcych ludzi, pracujących na nim.

Od piątego roku życia zacząłem pasać ową jedyną ojcowską krowę. Było to zajęcie ciężkie i dla mnie niesłychanie przykre, gdyż musiałem ją prowadzić na powrocie po rowach i miedzach, bo matka nie pozwoliła pasać na pastwisku, ażeby krowa „nie zgubiła mleka”. Nieraz też rozbrykane bydło sponiewierało mnie należycie. Z żalem i tęsknotą patrzyłem na rówieśników, którzy paśli bydło na wspólnym pastwisku, bawili się, przewracając koziołki.

Z dziećmi na wsi niewiele mogłem się stykać, gdyż ojcowie nie pozwalali wydalać się z domu, dając mi zawsze jakąś robotę. Czasem, bardzo rzadko, udało mi się wyrwać na chwilę, prędko jednak głos matki, a co gorsza ojca, przerywał rozpoczętą dopiero zabawę. Nie mogłem pojąć, jaki był cel tego rygoru, gdyż wszyscy moi rówieśnicy cieszyli się zupełną swobodą.

Z czasem się to jednak zmieniło, gdy ojciec zaczął mnie posyłać do karczmy po paczkę tytoniu, a czasem do krewnych, mieszkających w drugiej części wsi, po różne rzeczy. Zacząłem zaglądać do dzieci sąsiadów i one też przychodziły do mnie coraz częściej. Miałem już lat ponad dziewięć, wyrosłem znacznie ponad swój wiek, z ogromną ciekawością przypatrując się wszystkiemu, co mnie otaczało, bez względu na to, czy dany przedmiot dotyczył naszego domu, czy bliższych lub dalszych sąsiadów. Niedługo świadomość moja, pędzona wzmagającą się ciekawością, przenosiła się coraz dalej po granice wsi, chwytając wszystko, co wpadało w oczy i próbując rozumować i tłumaczyć sobie na swój sposób.

Moje dociekania

Ze natura ciągnie wilka do lasu, widzę to i doświadczam na samym sobie. Prawdy tej nie może zmienić ani położenie, w jakim się znalazłem, ani wypadki, przygniatające myśl swoim ciężarem i zwracające ją mimowoli na inne tory. I na to nie mogę znaleźć żadnej rady.

Od mojego wyjazdu z kraju upłynęło dopiero parę miesięcy. Nie mam powodu do narzekania tak na gospodarzy Państwa, które mi dało przytułek, jak na przypadkowe, zmieniające się otoczenie. Rozumieją oni moje położenie i w miarę możliwości starają się je łagodzić. Zaznaczam to choćby dlatego, że wielu Polaków i to takich, co mają mi coś do zawdzięczenia, znęcanie

się nade mną uważa za cnotę państwową i swój obowiązek.

Nie jestem płaczką ani mazgajem, łzy ani żale nie przychodzą mi na zawołanie. Nie jestem też pozbawiony kontaktu z krajem, bo często przychodzi tu ktoś z przyjaciół czy też znajomych za legalną przepustką albo przemykając się przez zieloną granicę. Czytam codziennie polskie gazety, otrzymuję sporo listów i odpowiadam na nie.

Życia swojego nie spędziłem ani na piecu ani we wygodach. Nie miałem nadzwyczajnego powodu przywiązania się do wiejskich śmieci, prowadząc przez dziesiątki lat tułaczny, niemal cygański żywot. Rozbratu z rodziną, trwającego nieraz tygodnie i miesiące, nie uważałem ani za nieszczęście ani za ofiarę. Nie odczuwałem przykrej różnicy pomiędzy wagonem kolejowym a moim mieszkaniem. Nierzadko zmuszała mnie do tego twarda konieczność, ale częściej robiłem to z własnej woli. Wszędzie mi było prawie że jednako i wszędzie czułem się dobrze.

Nie miałem nigdy przesadnej wrażliwości ani skłonności poetyckich. Starłem się na wszystko patrzeć realnie. Koło różnych przedmiotów i zjawisk przechodziłem niemal obojętnie. Orząc kilka razy do roku swoją własną ziemię, nie słyszałem jej głosu ani nie czułem zapachu, będąc pochłonięty pragnieniem, by zrobić jak najlepiej i najdłużej. Każdego dnia zaczynałem pracę wcześniej od moich sąsiadów, a kończyłem później, śpiesząc się do polityki, wieców i zgromadzeń. Nie porywało mnie piękno wschodu słońca, a zachód obserwowałem jedynie w czasie żniw i sianokosów ze względu na jutrzejszą pogodę.

Nie rozczulała mnie ukwieciona łąka, falujące zboże, śpiew skowronka, klekotanie bociana, jak nie drażniło szczekanie psa lub krakanie wrony. Nie mogłem sobie tylko nigdy podarować, ażeby własnoręcznie nie zaorać gruntu do ostatniej skiby, nawet wtenczas, kiedy byłem Prezydentem Ministrów, obawiając się ażeby nie zważający na dobrą orkę sąsiedzi, nie zepsuli tego, co ja przez lata zrobiłem.

Czas płynął jak zawsze, zmieniały się nie tylko pory roku jak godziny na zegarze, ale i stosunki. Lata dziecięce, dziecięce zabawy, utraپienie, niedostatek, praca, dorobek, lata dojrzałe i kłopoty nowe, orki i zasiewy, żniwa i omłoty, szczęście i zawody, wesele i smutek, urodzaj i klęski, pogoda i burze, grady i powodzie stały się tak naturalnymi zjawiskami, że nie tylko nie wywoływały zdziwienia, ale bardzo rychło z pamięci uciekały.

Jak cienie przesuwali się ludzie. Byli starsi i młodszy, przyjaciele i wrogowie, zwolennicy i przeciwnicy. Trochę z nich jeszcze żyje, choć ogromna większość przeniosła się do wieczności. Sąsiedzi i coraz szersze otoczenie, wspólna dola i ciężary, zgodny wysiłek

i spory, walka i pokój, zwycięstwa i klęski. Rosła świadomość wsi i poczucie siły, niosące pewne, ale i złudne nadzieje na przyszłość.

Wojna światowa, morze przelanej krwi, zniszczony dorobek pokoleń, zgłiszcza i popioły. Płacz na ruinach, a następnie zawzięta praca nad odbudową, tworzenie własnego Państwa i warsztatu, ażeby nie być dla nikogo ciężarem. Ledwo to zaczęto, przychodzi wojna bolszewicka, nowy wysiłek i nowe ciężary. Walka, zwycięstwo i powrót do domu, by na ruinach tworzyć nowe życie. Do pracy wytężonej zagrzewały: spełnienie obowiązku, uratowanie Państwa, wolności i bezcennych wartości, jakie posiadało.

Zasłużony spokój przerwał i zamącił przewrót majowy, który chwilowo zaświecił mirażem szczęścia, ażeby wkrótce zasłonić je ciężkimi, ołowianymi chmurami. Wieś zrobiono obiektem nowej polityki, dziwnej i niezrozumiałej, a jej mieszkańców zwyczajnym sprzętem. Uczyniono to, niestety, nie bez jej winy i pomocy. To mnie bolało najwięcej i jakkolwiek nie ustawałem w pracy, to nieraz dręczyło mnie niepokojące pytanie: „Czy z tej wsi kiedy co będzie, czy praca moja i innych nie jest zmarnowana?”.

Teraz, mimo przykrych doświadczeń, mimo odległości czasu i dzielącej mnie od niej przepaści, wieś ta stała mi jak widziałem przed oczami i nie chce się usunąć ani na chwilę. Obraz jej widzę coraz wyraźniej i bliżej. A ten obraz nie tylko że przypomina wszystko, co było, ale powoduje piekielną tęsknotę, wzmagającą się codziennie. Na obrazie tym da się bez trudu przeczytać całą daleką przeszłość, choć się do niedawna zdawało, że została ona pokryta nieprzebytym mrokiem zapomnienia. Przesuwają się twarze dawno zmarłych ludzi, przypominają się nawet drobne zdarzenia, cisną się liczne wspomnienia, a wszystko wydaje się takie świeże i jasne, jakby to było sprzed paru dni za ledwie.

Aczkolwiek stan ten staje się ciężki, a nawet nieznosny, trudno się przed tym bronić, trudniej jeszcze dociekać, a zupełnie zbędne tej słabości się wstydzić albo się z niej usprawiedliwiać. Pragnę też ją tylko tłumaczyć i to po prostu, po swojemu. Z pnia i rdzenia tej wsi wyszedłem, z nią żyłem i z nią cierpiałem, przechodząc złą i dobrą dolę. Zawsze starałem się utrzymać wszystko, co mnie z nią łączyło, łączy, a spodziewam się i łączyć będzie. Na tę wieś, na jej życie, wady i zalety jej mieszkańców patrzyłem prawie przez trzy pokolenia, bo od urodzenia aż do sześćdziesiątki, a zmuszony byłem ją opuścić, gdy siódmy krzyżyk zaczął obciążać moje barki, silnie podterane. Na wieś starałem się zawsze patrzeć pilnie, ale i trzeźwo, wglądać w nią jak najgłębiej, tak bez uprzedzeń, jak i zbytniego entuzjazmu.

O tej wsi i o wszystkim, co w niej jest, zacząłem myśleć jako podrostek, jej zagadnieniami zajmowałem się jako dojrzały człowiek, w nią się wpatrywałem jako początkujący, często niepewny siebie polityk. Z latami stanąłem jako wódz znacznego jej odłamu. Do niej się zwracałem jako kierownik nawy państwowej w momencie wielkiego dla Państwa niebezpieczeństwa. Odezwe mój nie pozostał też bez odpowiedzi.

Starałem się odgadywać pojedynczego chłopą, prowadzącego ze mną rozmowę, jak i tysiączne tłumy, do których publicznie przemawiałem. Zbliżałem i starałem się zrozumieć tych, co mi krzyczeli „hańba”, jako i tych, co z entuzjazmem wołali: „Niech żyje!”. To wszystko, mniemam, uprawnia mnie do tego, by o wsi powiedzieć, co wiem, przedstawić ją w jej prawdziwej postaci, nie powiększając jej braków, ani nie ujmując zalet.

Nikt też nie może zaprzeczyć, że mam nieco danych, które mnie uprawniają do zabrania głosu i wydania dość miarodajnej opinii, a mimo to, gdyby mnie dziś zapytano, kim jest mój brat sąsiad, współpracownik chłop, to nie umiałbym dać od razu konkretnej odpowiedzi na to pytanie.

Oczywiście, że moją słabą stroną pod tym względem stano-wi niejedno. Nie byłem, ani też nie jestem na potrzebną miarę psychologiem, niedostępną dla mnie rzeczą pozostała większa i mniejsza filozofia, nie mogę się więc uważać za dostateczny autor-rytet w sprawach, które wymagają głębokich studiów, długiej obserwacji, a więc należytego przygotowania. Mogę więc zabie-rać głos jedynie jako współczynn timer i bądź co bądź długoletni obserwator.

Wiem, że nie wszystko nawet czytałem, co o wsi i o chłopach napisano, co o nich mówiono i stanowiono. Były przecież i to nie- zbyt dawne okresy, w których chłopów uważano za ciemną, głu- chą masę, ba, za głaz, z którego nic wykuć nie można. Byli pisa- rze bardzo poważni i liczni, którzy cały stan chłopski obciążali okrucieństwem i zbrodniami Szeli i potraktowali co najmniej tak, jak biblijnego Kaina.

Kiedy one minęły, przyszły okresy nie wiem już wyrozu- mowanego, czy też nastrojowego entuzjazmu, w czasie którego uznano, że „jest w ludzkiej sile niespożyta”, że „zbawienie leży pod siermięgą, a tylko lud kmiemy może dźwignąć Polskę swymi plecami”. Nie umiem powiedzieć, czy w tym było więcej interesu politycznego, czy też przemijającego, poetyckiego nastroju.

Później dokonano niejednokrotnie dokładnego spisu, obli- czono wartość i znaczenie chłopskiej siły roboczej, a niemniej także i obronnej, obdarzono nawet lud pewnymi prawami, stara-

jąc się usilnie, by je obdarowani chłopci przeniesli na drugich, oczywiście nie chłopów.

Biły się między sobą, ale także się godziły rzecz i taktyka, podyktowane względami polityki i interesu tych, co chcieli i wladali chłopami.

Z olbrzymiego rezerwuaru, jaki stanowi wieś, wydobywano, co komu było potrzebne, wydawano sądy i opinie, jakie podyktowała miłość, zrozumienie, nienawiść, fantazja, czy lekceważenie. Wielki Sienkiewicz odtworzył Bartka zwycięzcę. Mądry, uczciwy Reymont znalazł pomiędzy chłopami swojego Borynę, cynikowi Kadenowi Bandrowskiemu potrzebny był Mateusz Bigda. Innym przydały się tanie ręce do pracy i rzesze powolnych wyborców. Nie tak dawno też posypały się uroczyste deklaracje, w których z różnych stron stwierdzano, „że Naród polski to chłop właściwie, że w nim ten Naród żyje i w nim się odradza, że w nim i tylko w nim zatrzymało się zdrowie moralne i siła fizyczna, że on żywi i broni, że on jest jedynie pewnym zbrojnym ramieniem Narodu” itp. superlatywy i komplementy. Często wszystko przez wielkie O. Jeszcze nie przebrzmiały pochwalne fanfary, gdy różne kurierki stwierdziły, że to jest wielka, szkodliwa omyłka, chłop bowiem ich zdaniem, jak był, tak i został ordynarnym samolubem, paskarzem i wyzyskiwaczem, który, nie widząc nic poza sobą i swym interesem, staje się wrogiem innych klas, szkodnikiem społecznym, a nawet nieszczęściem Państwa i Narodu.

Jego siły, znaczenie, rola dziejowa, zalety, cnoty, walory znikły natychmiast, pozostał tylko szkodnik i pasożyt, z którym w interesie Państwa należy przeprowadzić jak najprędzej i jak najbardziej bezwzględną walkę. Tak się też i stało. Chłopi i wieś byli obiektem, gdy wśród nich panowała tylko bezwzględna ciemnota, kiedy świadomość była im zupełnie rzeczą obcą, gdy nie posiadali żadnego prawa. Stali się nim znowu teraz, gdy mieli równe prawo, posiadali świadomość i poczucie siły, gdy mieli nawet licznych protektorów i obrońców, gdy są naprawdę tym zbrojnym ramieniem Narodu, dzierząc broń w ręku swych synów. Wielomilionowy świadomy już olbrzym dał się ogłuszyć, obezwładnić i stał się znowu przedmiotem wszelkich nieraz bardzo bolesnych eksperymentów.

A przecież ci, co znaczną większość Narodu stanowią, co są podstawą i przyszłością Państwa, bez których ono nie da się nawet pomyśleć, zasługują na coś nieskończenie więcej. Zasługują nie w swoim, ale w ogólnym interesie.

Notując swoje uwagi i spostrzeżenia, dotyczące wsi i chłopów polskiego z przeszło półwiekowego okresu, a pamiętając przy

tym wciąż o swoich brakach, starać się będę przedstawić je zupełnie zgodnie z prawdą, unikając wszelkiego przejawiania i koloryzowania. Chodzi mi bowiem przede wszystkim o to, ażeby go zechciano widzieć takim, jakim on był, i oceniono bez wszelkich chwilowych uniesień, przelotnej miłości, czy nienawiści, a co jeszcze gorsze, fałszywie namalowanego obrazu.

Za podstawę do tych uwag i spostrzeżeń biorę sobie przede wszystkim swoją rodzinną wieś i okolicę, które się zapewne od innych wiele nie różnią. Do tego spostrzeżenia doszedłem później, mając do czynienia z chłopami z różnych wsi, a nawet dzielnic. Różnice, i to nieraz bardzo znaczne, było widać w stosunkach ekonomicznych, postępie, świadomości, ubiorach, zwyczajach nieco odmiennych. Jeśli jednak chodziło o charakter, wierzenia, przyzwyczajenia, zalety, czy braki, to wszyscy byli do siebie podobni jak dwie krople wody.

Ocena ta będzie o tyle nieaktualna, że gdy chłopów galicyjskich mogłem poznać na wylot, obcując z nimi od pierwszej młodości, to z chłopami z Królestwa i Poznańskiego zetknąłem się znacznie później, a swoją opinię opieram na opowiadaniach ludzi, zresztą bardzo miarodajnych.

Chłopski pogląd na świat

Kimże dla mnie byli chłopci i jak mi się w mojej młodości przedstawiali?

Niejednokrotnie słyszałem, jak ksiądz z naciskiem prawił na ambonie, że wszyscy ludzie wobec Boga są równi, bo mają jedną taką samą duszę i takie ciało, a wyróżnić ich może tylko praca i zasługi. Miałem grube co do tego wątpliwości, patrząc i widząc, kim był w życiu codziennym np. ksiądz proboszcz, pan nauczyciel, nadleśniczy, rządcą dworski, a nawet organista, a czym byli chłopci, nie wyłączając prawie żadnego. Jak oni żyli, mieszkali, jak się ubierali, a jak ich sąsiedzi nie chłopci. Trudno mi było uwierzyć solennym, a tak mile dla ucha brzmiącym zapewnieniom o równości, gdy nazajutrz po tym kazaniu leśniczy wysmarował chłopów po gębie bez żadnej przyczyny, ekonom zdzielił lagą kilka dziewcząt, bo bez rozkazu przyszły do pracy, a ksiądz proboszcz kazał pozajmować krowy i gęsi biedaków, którzy je paśli w rowie, przylegającym do plebańskich gruntów, zaś nadleśniczy, dobry przyjaciel księdza, orzekł wyrzucenie na zawsze z lasu jednego z gospodarzy, który się odważył odtrącić bijącą go rękę. A przecież takie i podobne rzeczy działy się codziennie i uchodziły zupełnie bezkarnie. Przecież temu równemu

chłopu w każdą niedzielę prawilo się o bezwzględny posłuszeństwie i groziło najcięższymi karami, gdyby je połamaf. Przecież cała długa coroczna i codzienna praktyka stwierdzała, że co innego książka z ewangelią, a co innego życie. Chłopów znoszono, bo się ich nie można było pozbyć, tolerowano, gdyż byli potrzebni, ale im dawano na każdym kroku odczuć ich niższość, darzono lekceważeniem i pogardą i przypominano przy każdej sposobności, że te „ślepe chamy są przecież zupełnie z innej gliny”. I byli też naprawdę takimi.

Chłop sprzed pięćdziesięciu laty był dziwną mieszaniną wszystkich. Uważał się za niższe i mniej wartościowe stworzenie od innych, nie tylko że w to sam święcie wierzył, ale i drugich w tym umacniał, obniżając rozmyślnie swoją wartość w ich oczach. Był niewolnikiem tak z krwi, tradycji, wychowania, jak i z własnej woli. Cnotę pokory, nakazywaną mu przez Kościół i księdza, ale wobec Boga, on stosował wobec wszystkich i to często z niesłychaną jeszcze przesadą. To odbierało mu wszelką inicjatywę, możliwość poruszania się i obrony, to stwarzało bezradność wszelkich jego zamierzeń i posunięć.

Chłop żył prawie codziennie nie odstępującymi go obawą i strachem. Jeszcze w kołysce straszyla go matka dziadem, Żydem, kominiarzem, Cyganem. Ze strachem wstawał, z nim chodził cały dzień, z nim się kładł do snu, a i w czasie snu z nim się nie rozstawał. Każdy przecież z przerażeniem w ciągu dnia opowiadał, jakie nachodziły i prześladowały go widziadła. Były to zawsze te same, których się bał na jawie. One przychodziły w nocy, a przyłączały się do nich także różne dusze nieszczesne, szatany i nieboszczycy. „Jeszcze się trzęsę do tego czasu — mówił w południe starszy gospodarz — śniło mi się w nocy, że mnie leśniczy chciał zastrzelić, a ja ze strasznym krzykiem uciekałem przed nim i nie mogłem uciec. Boję się, że coś z tego będzie, bo to już trzecia noc, jedna po drugiej”. Nic nie było na szczęście, ale gospodarz ten został zupełnie wytracony z równowagi.

„Jak mnie skrzyczał ten nasz jegomość — skarżyła się wyrobnica do mojego ojca — że mu nie przyniosłam całego czynszu za grunt. Tak się przelękałam, że teraz mi się co noc zwiduje, że mnie goni kijem, a ja nie mogę uciekać”. Ta straszna zmora nie opuszczała ani krok bardzo wielu ludzi.

Uległym i pokornym robiły chłopu fatalne stosunki ekonomiczne. Nie tylko że sobie pod tym względem nie wystarczała, ale bardzo często nic nie posiadała. Masa, jaką stanowił i z której mógł wielką siłę obronną wytworzyć, nie tylko że mu nie pomagała, ale była dla niego najczęściej przeszkodą. Czuł i widział,

że takich wydziedziczonych, jak on i równie bezradnych, jest za dużo, czuł się słabym sam, ale czuł się także słabym i w gromadzie.

Na swoje większe nieszczęście otoczył się różnymi i to licznymi strachami, przesądami, czarami, wierzeniami, które mu utrudniały, a nawet zatruwały życie, chodząc krok w krok za nim. Przerażał go żandarm, wójt, urzędnik. Czuł wieczny lęk przed leśnym, karbownikiem, polowym, nie śmiał oczu podnieść na księdza, nauczyciela, leśniczego, ekonoma. Najmniej jeszcze miał strachu przed starostą, bo go niejeden przez całe życie nie widział ani razu. Namnożył sobie różnych nie istniejących grzechów i przestępstw, z którymi nie mógł sobie dać rady. Strach niemal przed wszystkimi i przed wszystkim, niewiara w swoje siły i niemożliwość zmiany robiły z niego posuwający się mechanicznie automat, pozbawiony woli.

Odpowiedź na pytanie, czy on był tchórzem z natury, czy takim uczyniły go stosunki, byłaby dość trudna, gdyż można było obserwować nieraz nawet bezczelną odwagę u chłopów. Okazywali ją jednak zwykle wobec swoich sąsiadów albo też pod wpływem alkoholu. Rzecz dziwna, że nawet zamroczenie pozwoliło im innym nie chłopów rozeznaczyć i trzymać się wobec nich z należyтым respektem. Inteligencja i światopogląd chłopów były niesłychanie ciasne, nie umiejące ogarnąć nie tylko skomplikowanych zagadnień, ale rzeczy najprostszych.

Nie starano się też sięgać poza najbliższe otoczenie, a rzadko bardzo wybiegała myśl poza granice swojej wsi i gminy. Wyjątek stanowiły często bajki o wojnie, wielkich występach cesarza, gromiącego niesprawiedliwych sędziów i urzędników, zapowiedzi o końcu świata, które każdego roku roznosili różni emisariusze, zwywający pobożnych do modlitwy i ofiar.

Tworzył sobie za to swój własny świat, poza który nie chciał ani nie mógł wychodzić. We wsi np. długo nikt nie uwierzyłby największemu nawet prorokowi, ażeby ziemia mogła się obracać, a słońce stać w miejscu, na odwrót wszyscy byli przekonani, że tak słońce jak i księżyc spacerują sobie po niebie, a ziemia ani się nie ruszy nigdy. Rozumowano też, że gdyby ziemia, jak to mówią uczeni, była okrągła, to by się woda w morzu ani w rzekach nie utrzymała. Na ten temat dosyć było debat, ale też i kpin z różnych uczonych i profesorów, którym się poprzewracało w głowie i którzy starają się poprzewracać i drugim. Drwiono sobie też z dzieci, które przynosiły te przewrotne nauki ze szkoły i starano się wybić im z głowy i z myśli. „Pan Bóg cię skarże za to” — mówiły kobiety, a wtórowali im mężczyźni twierdząc, że to wszystko jest grzeszna nauka i koniec.

Różnymi zjawiskami albo się zupełnie nie zajmowano albo też tłumaczono je po swojemu, dziecinnie i naiwnie. Ludzie byli święcie przekonani, że tęcza przychodzi zawsze jako dowód, że już więcej potopu świata nie będzie. Zjawia się ona nad rzekami i stawami, wypija wodę razem z rybami i innymi stworzeniami, a potem je z deszczem rozrzuca po ziemi. Grzmoty i pioruny były długo uważane jako przypomnienie przez Boga ludziom jego mocy i ostrzeżenie, że grzeszny świat może być każdej chwili do szczętu zniszczony. Uderzenie pioruna w dom, stodołę, czy inny budynek było powszechnie uważane za wyraźną karę Bożą, obrona zaś przed nim albo gaszenie ognia spowodowanego uderzeniem pioruna — za sprzeciwianie się woli Bożej. Każda nadciągająca burza, szczególnie w nocy, powodowała paniczny strach. Ludzie czuli namacalnie swoją nicość i straszną, przyniatającą przewagę żywiołów i drżeli ze strachu przed nimi.

Chłopi też mieli swoją filozofię. Cały świat, ze wszystkim, co się na nim znajduje, dzielono na dwie części, na królestwo dobrego i złego. W Królestwie dobrego rządził Pan Bóg, w królestwie złego rozpierał się szatan niepodzielnie. Wierzano też w jego niesłychaną siłę, którą może Bogu zniszczyć najlepsze zamyśły i urzędzenia. Przed szatanem owym był taki respekt, że nazwy tej używano tylko w złości albo przy przekleństwie, powszechnie jednak nazywano go „złym”, a czasem czartem. Ten „zły” wyrabiał rzekomo niesłychane rzeczy i płatał ludziom rozmaite psikusy i figle. Mógł też porwać człowieka, szczególnie wtenczas, kiedy hulał z wiatrem po drogach i polach. Jak mu się nie udało, to pędził tumany kurzu, roznosił siano, zboże i różne przedmioty.

Poza tym wiecznym strachem przede wszystkim stosunki uczyniły chłopą podejrziwym, nieufnym i niewiernym. Nie wierzył nikomu, bo został prawie przez każdego oszukany, podejrzewał też wszystkich, że czyhają na niego, bo miał do tego dosyć powodów. Stan, w jakim się znajdował, uważał za dopust i zrządzenie Boże i ani na myśl mu nie przyszło, by miała nastąpić kiedy jaka zmiana. „Równości nie ma w niebie między aniołami, nie będzie też jej nigdy na ziemi”, powtarzał uparcie przy każdej sposobności. Wszelkie dowodzenia i tłumaczenia odbijały się jak groch od ściany. „Chłop chłopem, a pan panem, tak teraz, jak i na wieki wieków amen”, mówił uparcie kilka razy na dzień.

Inaczej zupełnie odnosił się chłop do swoich sąsiadów. Wobec nich nie tylko nie czuł żadnej niższości, ale starał się na każdym kroku okazywać większą wartość i znaczenie, jeżeli tylko znalazł do tego choćby najmniejszą podstawę. Wchodziły tu w ra-

chubę: ilość gruntu i łąki, ich jakość, lepsze lub większe budynki, lepiej wyglądające konie lub krowy, a nawet nowy kozuch, sukmana lub buty. Konkurencja na tym tle szczególnie pomiędzy kobietami doprowadzała bardzo często do zwad, kłótni i długotrwałych gniewów, psujących stosunki sąsiedzkie. Mitygowanie powaśnionych czy to przez poważniejszych sąsiadów, czy nawet przez proboszcza rzadko przynosiło skutek, bo na punkcie honoru ludzie byli nieubłagani i nie chcąc być gorsi od drugich, nie ustąpili „ani na dziurkę”. Obraza i obrona honoru powodowały też nie tylko długotrwałe dąsanie się, ale procesy sądowe, awantury, a nawet krwawe bójki. Przegrane procesy, nakładane i ściągane koszty, obrażona do głębi osobista i rodowa ambicja powodowały prawie zawsze szukanie odwetu, który się objawiał w ciężkiej i nieubłaganej zemście. Działo się to nieraz od razu przy najbliższej sposobności, ale umiano się też z nią nosić całymi latami. Tu konsekwencja chłopska, nieubłagana i niczym nienaruszona, była wprost niesłychana.

Przy wszystkich swoich brakach, błędach i przywarach chłop ówczesny był człowiekiem rzetelnym. Rzadko się też zdarzyło, ażeby nie dotrzymał przyrzeczenia lub danego słowa. Jeżeli nie mógł, to się wcześniej usprawiedliwiał i tłumaczył. Ludzie nie dotrzymujący słowa byli rzadkością i nimi we wsi powszechnie gardzono. Chłopi do wszystkich zobowiązań i terminów przywiązywali taką wagę, że choćby mieli ponieść wielkie ofiary i straty, to ich musieli dotrzymać. Dotyczyło to zarówno podatków, danin procentów, rat pożyczkowych, jak spłaty za drzewo, siano, zboże, ubranie itp. Wielką niechęć okazywali do odrabiania szarwarów i z tymi zalegali, narażając się na koszty i kary.

Życie rodzinne

Małżeństwa przeważnie kojarzyli ojcowie. Zawierano je najczęściej z wyrachowania. Przy wyborze decydowały względy majątkowe, przylegający grunt, kawałek dobrej łąki, pieniądze, dobre pochodzenie.

Mniej już zwracano uwagi na urodę, zachowanie się, umiejętność. Przy wyborze żon bardzo skrupulatnie unikano próżniaków i tak nazywanych latawic. Rodzicom zależało nie tylko na zabezpieczeniu losu dzieciom, szczególnie córkom, ale także na pozbyciu się ich z domu jako mających wiele, i kosztownych, wymagań.

Mąż był uważany za nieograniczonego pana gospodarstwa, domu i wszystkiego, co w nich się znajdowało. Obowiązkiem

żony było go słuchać i ulegać we wszystkim. Tak nakazywały stare obyczaje, do tego zmuszał ślub kościelny, którego formułę przy każdej sposobności sobie przypominano. Nikt się też nie zdziwił, gdy żona nosiła oczy popodbijane, albo gdy zaufanym kumoszkom pokazywała sine znaki na ciele, pozostałe po odebranych razach dla „odnowienia jej skóry”. To odnowienie skóry kobietom, nieraz nawet okrutne, uważano nie tylko za naturalne, ale nawet konieczne, bo „baba ma już taką naturę, że jak mąż nie weźmie nad nią góry, to ona zacznie nad nim panować”. Wojny małżeńskie rodziły się najczęściej na tle braków i kłopotów domowych, nierzadko jednak po chrzcinach i weselach, na których albo podchmielona żona zerkiała w stronę obcych mężczyzn albo mąż zajmował się zanadto innymi kobietami. Tą wyćwiką żony przez męża groził ojciec krnąbrnej córce, obiecując ją wydać „za dziada, jaki się trafi”, bo „jak jej skórę wytataruje, to będzie tańsza”, co oznaczało pokorniejsza. Do tego zachęcali nieraz krewni i sąsiedzi, nie mogąc sobie dać rady z rozpuszczonym językiem złośliwej sąsiadki.

Upokarzające owo „tatarowanie skóry” ogromna większość kobiet znosiła zupełnie cierpliwie, płacząc pokryjomu, nie brakło jednak i takich, co nie tylko powtarzały, że kij ma dwa końce, ale chwytaly za niego, nie pozwalając się skrzywdzić. Rzucaly nieraz mężowi na głowę co złapały do rąk, a co najmniej porały mu pazurami gębę w gęste a nieraz i bardzo bolesne desenie. Mąż chodząc z podrapaną twarzą całą winę zwał na kota, który się rzucił na niego, „kiedy mu nierozważnie nadepnął na ogon”. Z tego tłumaczenia ludzie się zwykle śmiali, wiedząc dobrze, że tym kotem była Kaśka lub Maryna, broniąca się przed jego tyraństwem. Mimo tego skakania sobie do oczu i długotrwałych nieraz między nimi gniewów, małżonkowie pracowali bardzo pilnie i wydatnie, a wyrazem i następstwem zgodnej pracy było obrobione gospodarstwo, utrzymany dom i co najmniej jedno dziecko na każdy rok.

Wychowanie dzieci odbywało się niezwykle prymitywnie. Paromiesięcznego malca brała matka ze sobą na pole, a w razie zimna lub niepogody zostawiała go w domu, najczęściej pozbawionego wszelkiej opieki. Dziecko krzyczało póki mogło, zmęczone zasypiało albo płakało dalej, wydając słaby, ledwie dosłyszalny, miauczący głos. Wiele małych dzieci nie widziało bułki ani ciepłego mleka, lecz napychano je ziemniakami, a nieraz i jałową kapustą. Dzieci, w ten sposób chowane i karmione, ulegały też różnym chorobom i kalectwu, przenosząc się masowo na drugi świat. Tą śmiertelnością nikt się jednak zbyt nie przejmował, bo dzieci sypały się masami i śmierć dziecka, szcze-

gólnie chorowitego albo skaleczonego przynosiła prawdziwą i pożądaną ulgę dla rodziny. Nieraz sobie też mówiono, że dobrze się stało, że je Pan Bóg zabrał do chwały swojej, bo i tak nie miałoby co robić na świecie. W ten sposób pielęgnowane dzieci wyglądały jak patyczki i nieraz dopiero po dwóch latach życia próbowały stawiać pierwsze kroki.

Gdy zaś nieco podrosły, zostawiano je przeważnie swojemu losowi. Na pół nacie waleśały się po całych dniach bez żadnej opieki. Tarzały się w piasku, brodziły po wodzie i błocie. Dokuczały im też upał, chłód, niepogoda, a prawie zawsze nieodstępny głód. Zmęczone usypiały, gdzie padło i dopiero zimno dojmujące pędziło je do domu. Z czasem przydały się do pilnowania i kołysania młodszych, a potem do gęsi i bydła. Karłało też to lub rośło jak z kamienia. Nieraz piętnastoletni chłopiec lub dziewczyna wyglądali jak paroletnie dzieci i dopiero koło dwudziestki podciągali na gwałt. Śmiertelność panowała ogromna, ale to, co zostało, było silne i wytrzymałe na wszystko. Braki i nędza przyniosły też zubożenie powodujące, że nieraz ludzie najbliżsi żyli ze sobą jak zupełnie obce zbiorowisko.

Wychowanie religijne w domu polegało na wyuczeniu strasznie poprzekręcanego pacierza, niektórych prawd wiary i krótkich modlitw rannych i wieczornych do Trójcy św., Matki Boskiej i niektórych świętych, szczególnie patronów. Bardzo silny nacisk kładziono na naukę godziniek. Reszta należała do proboszcza, który miał niemało pracy z przygotowaniem gromady takich dziczków do spowiedzi i komunii św. Bardzo wielu z nich nigdy się niczego nie nauczyło, a tylko wynosiło z tej nauki mocno nadwężone uszy, które proboszcz codziennie naciągał.

Młodzież obojga płci już od lat 18 do 20 zaczynała się wymykać spod opieki rodzicielskiej, idąc nocami na grania, wesela, zabawy, spacer, pogadanki, nierzadko jednak pędziła ją do domu ojcowska różga lub matczyzna „popłata”, którą okładała przeważnie córki i to oko nie oko, głowa, nie głowa. Nie żałowała przy tym epitetów, których się nie da powtórzyć. A kiedy rozżalona i rozpaczająca córka wskazywała na inne, co chodzą, matka dawała krótką odpowiedź: „niech latają te gonichy, jak ty będziesz mieć majątek, to oni tu po ciebie trafią”. Rozumne te argumenty nie zawsze trafiały do przekonania młodym, bo zwykle w drugą niedzielę powtarzało się to samo z tą różnicą, że córka przypomniawszy matce, że i ona w młodych latach nie robiła inaczej. Zuchwalstwo to sprowadzało znowu nowe ciągi i dowodzenia matki, że córka nie mogła przecież tego widzieć. Oczywiście, że nie wszyscy ojcowie i matki tak srogo postępowali, bo niektórzy rozpuścili swoje dzieci jak „dziadowski bat”.

Nawet już dorastające dzieci miały prawie zawsze respekt i poszanowanie dla rodziców, a szczególnie dla ojca. Ten zaś nigdy nie żartował, lecz za każde uchybienie wysmarował rzemiennym pasem albo kawałkiem kija, jaki miał pod ręką. Nieraz dostało się przy tej sposobności i matce, która podnieciwszy ojca, raptem stanęła w obronie dzieci. Rzadko się zdarzało, ażeby nawet niewinnie krzywdzony syn starał się chwycić za kij, którym był bity.

Ciężką karą Bożą bywała macocha, szczególnie jak przyszła do drobnych dzieci. Trudno sobie wyobrazić, skąd u kobiety mógł się wziąć taki brak serca i niełudzkość, granicząca z okrucieństwem. Macocha, która przyszedłszy do dzieci mężowskich, starała się zastąpić im matkę, była bardzo rzadkim wyjątkiem. Ciężkie jarzmo miał też do dźwigania i ojciec poniewieranych dzieci, szczególnie jeśli pozwolił nad sobą zapanować, powtarzał też kilka razy na dzień skargę: „bodaj się wół z wołem sterał”. O niedoli dręczonych przez macochę dzieci krążyło po wsi wiele smutnych pieśni i opowiadań, które zawsze na końcu widziały okrutną macochę za jej zbytki w piekle, rozdieraną przez kilku szatanów, a dręczone przez nią dzieci w niebie, bawiące się tam razem z aniołami.

Zwykle przykrym stawało się położenie rodziców, którzy dzieciom oddawali gospodarstwo, a sami zesłi na tak zwaną u nas „wymowę”. Polegała ona albo na zatrzymaniu sobie części gruntów i budynków albo też na zastrzeżeniu pomieszkania i utrzymania. Bardzo często się zdarzało, że obdarowani z początku obchodzili się ze starymi rodzicami jak najlepiej. Sadzali ich na pierwszym miejscu, karmili jak mogli, nie pozwalali pracą się męczyć. Wnet się to jednak zmieniało. Zaczęli im doradzać, ażeby popaśli bydło, narwali chwastu, siedli sobie trochę dalej, bo przy stole nie ma miejsca. Z czasem dawano im jedzenie osobno, bo „się smarkali przy stole”, rozlewali żur i mleko, rozrzucali ziemniaki. Nierzadko też przenoszono im łóżko do stajni, bo „ich w izbie było czuć”, wypędzano na cały dzień na pole z bydłem i końmi, dziwiąc się, że „tak próżnactwo opanowało starych”. Często się też zdarzało, że niedawny zamożny i szanowany gospodarz, nie mogąc znieść obchodzenia się z nim, opuszczał swoich, wyciągając rękę po kawałek chleba do obcych albo też starał się dochodzić swoich praw i krzywdy w sądach. Na ogół jednak znaczna większość spadkobierców zachowywała się zupełnie poprawnie.

Na usprawiedliwienie młodych można nadmienić, że często starzy stawali się przykrymi, stawiając wymagania, których nie można było spełnić albo też robili różne przykrości, a nawet pso-

ty. Najgorzej było, kiedy zaczęli pomstować, „bo wtenczas kara Boża stawiała się prawie niechybna”.

Bardzo często przyczyną tego zimnego, a nawet wrogiego stosunku były braki i nędza. Ci, co sami mieli niewiele, nie mogli i drugim robić świadczeń i wygód. Lepiej wychodzili ci ojcowie, co sobie gospodarowali osobno, najlepiej zaś tacy, „co póki patrzeli na oczy, nie dali nikomu ani jednej skiby”. Mieli oni znowu za to złą opinię we wsi jako nie dbający o dzieci. I tak źle i tak niedobrze!

Życie sąsiedzkie

Życia sąsiedzkiego takiego, które by dyktowała jakaś głębsza myśl albo jaśniejszy cel, nie było na wsi w tym czasie zupełnie. Każdy żył dla siebie, bardzo nieraz zadowolony, jeśli się mógł odgrodzić od drugich nie tylko stosunkami, ale wysokim i gęstym płotem, którego nie mogły przejrzeć ciekawe oczy, przejść sąsiedzkie gęsi i kury, przeleźć natarczywe świny. Nie było zresztą w tym nic dziwnego.

Jeżeli nie istniały wspólne potrzeby, wymagające wspólnego działania, jeżeli to działanie stawało się niemożliwe, to i zespolenie sił było rzeczą zbyteczną, gdy natomiast wiele przemawiało za odosobnieniem. Zdarzało się przecież nieraz wiele rzeczy, które należało ukryć przed sąsiadem. Musiało się przywiezionego z lasu bez pieniędzy dębczaka czy graba porzucić w kawałki, ociosać, zrobić z niego widły, toporzysko, kłonicę, czy komu czy sobie. Schować klocek osiki na szufle i siedlecзки. Trafiło się także czasem złapać zająca w krzakach na kobyłki, odbić psom sarnę. Dawało to kawałek tak rzadko widzianego mięsa i parę paczek tytoniu za skórę od Żyda. Jesienią udało się czasem złapać parę ryb ze spuszczonego stawu dworskiego, za które zawsze na nie łakomy Żyd przynosił kilka szóstek, a przy tym milczał jak grób. Trafiła się już loteria, jeżeli udało się złapać wydrę, bo skóra z niej w dobrym czasie kosztowała grube pieniądze.

Każdy wiedział, że to nie było ani w porządku ani też bezpieczne, wolał więc, ażeby zazdrosny sąsiad tego nie dojrzał, bo wtenczas zapewne „z wywieszonym językiem” pędziłby ze skargą na leśnictwo albo też na posterunek żandarmerii. Potem zaczęłyby się kłopoty i stawanie po sądach, a tego się bał jak zarazy.

Pożycie wspólne psuła, a nawet uniemożliwiała konkurencja i zabiegi o zarobki piesze i konne. Nieraz też z tego powodu pracowali chłopci prawie zupełnie za darmo, bo każdy ofiarował

się taniej od sąsiada daną robotę wykonać, niszczyć zdrowie, narzędzie, męczyć chudobę i domowników.

Ciężkie i długie gniewy sprowadzały licytacyjne sprzedaże siana na łąkach dworskich, przy których najbliżsi krewni, najlepsi nawet sąsiedzi najzacieklej przeciw sobie występowali. Zaciekleść ta kosztowała zapaśników grube pieniądze, na które trzeba było kilka miesięcy pracować. Ponieważ jeden starał się płacić drugiemu pięknym za nadobne, kosztowny ten proceder nie kończył się bardzo długo. Bardzo wiele powodów do niesnasek i kłótni dawały zaorane granice i miedze, zasieczone łąki, przechodząca woda, nie mówiąc już o wpadających w szkodę koniach, bydłe, świnia, pchających się na podwórze i do ogrodu kurach i gęsiach. Jeśli i to się nie zdarzyło, to tam zawsze kochające kumoszki potrafiły co innego wymyśleć.

Każdy też dążył do tego, by sobie możliwie sam wystarczyć, nie lubił pożyczać żadnego narzędzia drugiemu i sam pożyczania unikał. Pożyczył wprowadzić sąsiadowi pługu, brony, kosy, czy bochenka chleba, ale czynił to z wielką niechęcią, dając mu do zrozumienia, że powinien mieć swoje. Kumoszki prawie zawsze kiwały głowami nad oddanym chlebem, a wskazując na zakalec, dowodziły, co to za „paprawa” ta sąsiadka. Naturalna rzecz, że to znowu musiało wywołać długotrwałe gniewy i zacięte kłótnie.

Współdziałanie natychmiastowe i szczerze powodowały nieszczęścia, jako to: pożar, choroba, gradobicie, padnięcie bydłą lub konia. To skończyło też gniewy, przekreślało urazy i otwierało drogę do pracy i wysiłku na jakiś czas.

W niektórych sprawach poczucie solidarności na wsi było bardzo silne. Żaden z gospodarzy nie wziął nigdy żadnej zapłaty od drugiego za przywiezienie i odwiezienie księdza lub lekarza do chorego. Za darmo zawsze odwożono na cmentarz ciała zmarłych, za darmo chodzono nawet dziesiątkami mil z „moczem” od chorych do różnych guślarzy.

Drzewo i wszelkie materiały na budowę zwożono zupełnie darmo, albo też za jednorazowy poczęstunek. Prawie także za darmo „robiono słomę” i poszywano wszelkie sąsiedzkie budynki. Nie zdarzyło się nigdy, ażeby uboższemu albo też pogorzelnicom nie dano w każdym gospodarstwie choćby jednego snopa słomy na poszycie. Poza tym w podobnych wypadkach ludzie zbiegali się gromadą i większych robót dokonywali nieraz za jeden dzień. Praca ta nie zawsze była trwała, bo „co nagle, to po diable”, ale dobrej woli nie można było odmówić. W razie większej pogorzelci bardzo często bliżsi i dalsi sąsiedzi wychodzili na zbiórkę sami bez prośby i woli pogorzelników i kwestując po wsiach okolicznych przychodzili im z bardzo dużą pomocą.

Bardzo wielką, ale i ujemną rolę w życiu sąsiedzkim, a nawet rodzinnym odgrywały gniewy, wynikające z różnych powodów. Gniewający się naprawdę i ciężko nie tylko nie mogli nic wspólnie robić, słowa do siebie przemówić, ale nawet w tej samej izbie obok siebie stanąć. Gniew stawał się obowiązkiem, podyktowanym honorem i godnością tak swoją jak i rodziny, jeżeli one zostały w mniejszym lub większym stopniu urażone. Czym większa zdarzyła się obraza lub krzywda, tym i gniew trwał dłużej i był bardziej zacięty.

Takimi, co to wszystko puszczało mimo uszu, wyraźnie gardzono, mówiąc o nich: „jemu można nakłaść, jak świni do koryta” albo jeszcze określali takich ostrzej: „pluj kurwie w oczy, a ona mówi, że deszcz pada”.

Gniewy owe stanowiły naprawdę wielką przeszkodę w pracy, bo automatycznie rozciągały się na wszystkich członków choćby dalekiej rodziny, a rodzina taka nieraz pół wsi stanowiła. Uważano to za rzecz tak naturalną, że się oburzano, jeśli ktoś z rodziny się wyłamywał. Na wszystkich zaś spadał obowiązek szukania odwetu, szczególnie wtenczas, gdy chodziło o pobicie albo też ciężką obrazę honoru. Gniewy te, czasami długie i zawzięte, zdarzały się bardzo często pomiędzy najbliższymi członkami rodziny, wywołując przykre nieporozumienia, bitki i procesy. Gniewów podobnych wystrzegały się dorastające dziewczęta, bo ludzie to spostrzegali rychło i przestrzegali kawalerów przed braniem „takiej pokrzywy”. A na wsi nic się nie ukryło.

W każdej wsi trafiali się tak uparci gniewnicy, że ich żadna ludzka siła nie była w stanie do siebie zbliżyć. Daremnie zabiegali sąsiedzi, rzucał wójt na szalę swój wpływ i powagę, silił się ksiądz na wszelkie środki, jakimi rozporządzał. Jeżeli nawet się pogodzono formalnie np. po spowiedzi, na rozkaz lub życzenie księdza, zwykle była to zgoda tylko pozorna. Ja się z wami przeproszę, mówił do kumotra zacięty gniewnik, bo mi ksiądz nakazał, ale żeby mnie miał piorun trafić, to wam tego nigdy nie daruję. Taka rozmowa jeśli nie wywołała wielkiej kłótni zaraz, to co najmniej odnowiła wszystkie stare rany.

Czasami dochodziło do budzącej grozę tragedii, gdy ktoś złożony już na śmiertelnej pościeli nie mógł skonać, a przeciwnik nie chciał przyjść do niego mimo prośb i nalegań, wszyscy zaś wiedzieli, że nie skona, dopóki go gniewnik za palec wskazujący nie weźmie. Choć w takich chwilach wielu się zmieniało, to nie brakło takich, których nic nie wzruszyło. Ogromna większość ludzi, choć bardzo czuła na krzywdę i obrazę, nie pisała jej w pamięci znowu tak głęboko.

Ludność wiejska była wierząca i to głęboko wierząca we wszystko, co jej do wierzenia podano. Papieża uważała za istotę nadziemską i świętą, za symbol wszelkiej cnoty i doskonałości. Odnosiła się też do niego z nie dającym się opisać uwielbieniem. Biskupów i księży traktowała jako Boskich wysłańców i papieskich namiestników i powierników.

Chodziła w niedzielę i święta do kościoła, na mszę, sumę i nieszpory, o ile miała jakie takie odzienie i obuwie. Modliła się na książce i różańcu, a co najmniej dwa razy na dzień odmawiała klęcząco pacierz. Odprawiała wszelkie nakazane praktyki religijne. Bardzo niewiele zdarzało się takich, co się w kościele pokazywali tylko dwa razy do roku, a to na Boże Narodzenie i Wielkanoc. We wsi ich nazywano „rocznikami” i wskazywano na nich palcami jak na wielkich przestępców.

Mężczyźni chodzili do spowiedzi przeważnie raz na rok, przed Wielkanocą, za kartkami, które dostawali od organisty za opłatą kilku centów. Kobiety chodziły częściej. Proboszcz naszej parafii, ks. Ignacy Rybicki, wcale na częste spowiedzi nie nalegał, a czasem nawet zbyt się naprzykrzające dewotki w gorliwości hamował. Ociągających się ze spowiedzią wielkanocnązywano publicznie z ambony do spełnienia tego obowiązku, a gdy to nie pomogło, doprowadzał ich w czerwcu do spowiedzi dziad kościelny. Jeżeli sobie zaś i on nie mógł dać rady z jakimś upartym delikwentem, przychodziła mu w pomoc władza gminna, prowadząc go przy pomocy dwóch silnych ludzi do kościoła. Ceremonię tę nazywano „spacerem pomiędzy żyta”, zdaje się dlatego, że żyto w tym czasie było dosyć wysokie.

Mieli też ludzie wiązanki swoich specjalnych modlitw, których Kościół wcale nie przepisywał, a może nawet i o nich nie wiedział. Nie znałem dobrze ich pochodzenia, choć mi się wydawało, że one zostały przyniesione z różnych pielgrzymek odpustowych. Obecnie wyszły z użycia już zupełnie. Święta i niedziele święcono z największą skrupulatnością, unikając wszelkiej pracy, choćby nieraz nawet koniecznej.

Nigdy nikt nie próbował kwestionować, a choćby tylko roztrząsać żadnej prawdy wiary i przepisów Kościoła, ale nawet nie ruszył prawd lokalnych, przez bardzo wielu księży dodawanych. Żadne też kazanie i zarządzenie nie spotkało się z najmniejszą krytyką, choć nieraz było mocno niewybredne i do tych nowych prawd dostosowane. A tych prawd było nieraz bez liku, bo każdy ksiądz niemal silił się na nie, stosownie do potrzeb i okoliczności. Nie próbowano ich kwestionować nawet wtenczas, gdy one

miały tło wyraźnie osobiste, jak np. wysokość opłat za posługi kościelne, „petytę” itp.

Nikt też się nie dziwił, gdy ksiądz wystąpił publicznie z ambony w obronie interesu dworu, plebanii, urzędów.

Nie tylko bardzo skrupulatnie, ale i bardzo chętnie uiszczali chłopci wszelkie należitości na budowę, naprawę i utrzymanie kościoła jak i budynków plebańskich. Później co do budynków plebańskich podnosiły się szmery i narzekania, choć się przeważnie kończyło na cichych żalach.

Stan ten, tak wygodny dla księży, bywał przez wielu z nich do ostatnich granic wyzyskiwany i nadużywany. Zwykle zapalony i wymowny kaznodzieja, znający stan inteligencji i poziom świadomości swoich słuchaczy, a chcący ich dokumentnie przekonać, w sposób jak najbardziej uproszczony udowadniał im w każdą prawie niedzielę i święto, że żaden z nich nie jest wolny od przekroczenia wielu przykazań i przepisów, a ponieważ każde z nich jest grzechem ciężkim, ciężki zaś grzech nie tylko musi się doczekać kary na tym świecie, ale prowadzi niechybnie do piekła; nieszczęśliwi ludzie czuli się stale mieszkańcami jego, drżąc na każde o nim wspomnienie. Przesada owa doprowadzała masy ludzi więcej wrażliwych do wprost chorobliwego stanu, gdyż piekło to, czekające na wszystkich grzeszników zostało odmalowane w tak strasznych barwach, iż musiało bezustannie wywoływać wstrząsające wrażenie. Każdy wiedział, że rządcy tego piekła — szatani, piekący nieszczęsne dusze grzeszne przez wszystkie wieki na rozpalonych rożnach, przewracają je z boku na bok, nabijając na ostre, żelazne widły; toteż ludność, a szczególnie kobiety, nie tylko że w czasie tych kazań prawie odchodziły od zmysłów, a zanosząc się od płaczu, nie mogły się przez cały tydzień opamiętać.

Było też wiele do tego powodów. Kaznodzieja np. głosił, że grzech kradzieży nie „zostanie tak długo odpuszczony, dopóki wziętek nie będzie zwrócony”, bo żadna pokuta inaczej tego grzechu nie zmaże, a w całej wsi nie było ani jednego, co by z lasu nie ukradł, nikt zaś ani myślał o oddaniu i poprawie na przyszłość, bo każdy powtarzał: „las to dziadek nasz, a my, dzieci jego idziemy do niego”. W myśl tej zasady, posiadający konie przywozili kradzione drzewo na wozach, szczególnie ze sianem, ubodzy musieli się zadowolić mniejszymi, suchymi kłocami albo spadłymi gałęziami, które dźwigali na ramieniu. Poza tym znajdowało się we wsi kilku zawodowych złodziei leśnych, dla których kradzież drzewa stanowiła podstawę utrzymania. Za to nie było ani jednego kłusownika, w których obfitowała sąsiednia wieś Niwka. Pamiętam, że za kilka lat podobnych kazań

gorliwego proboszcza raz tylko zdarzył się wypadek, że po spowiedzi zgłosił się do niego gospodarz z pieniędzmi celem wynagrodzenia szkody przez kradzież drzewa w lesie uczynionej. Proboszcz, podając ten jedyny przykład do naśladowania zazna-
czył, że właściciel lasu złożoną kwotę na kościół przeznaczył. Naśladowców jednak nie było.

Jeżeli idzie o inne grzechy i przestępstwa, to należy zazna-
czyć, że kazania te i obawa kar doczesnych i wiecznych trzymały
ludzi bardzo mocno na wodzy. Rodziły one też nienawiść i pogar-
dę do wszystkich, co się do nich nie stosowali, a szczególnie do
inteligentów i mieszcuchów, prowadzących lekkie życie i nie
budujące, o czym się parafianie czasem z ambony dowiadywali.

Zasada: „co pomoże człowiekowi choćby cały świat zyskał,
a na duszy swojej szkodę poniósł”, była w całej pełni uznawana,
a ponieważ wiedziano, że się wciąż grzeszy „myślą, mową i
opuszczeniem dobrego”, stwarzało to zupełną beznadziejność pra-
wie u wszystkich. O niebie ludzie nie śmieli i marzyć, a czyściec
uważali za największe i jedynie możliwe dla siebie szczęście. Nic
to zresztą dziwnego, gdyż poza przykazaniami, których przestąpie-
nie było grzechem, poza grzechami przez Kościół ustalonymi,
namnożono sobie tych grzechów i win po prostu bez liku. Za
wielki grzech uważano, jeśli ktoś w adwencie, w wielkim poście,
w piątek lub sobotę postną czy jakąś wilię wziął do ust trochę
serwatki, jadł więcej niż raz na dzień, nie suszył w dzień wyzna-
czony, w niedzielę lub święto wykonał jakąś pracę konieczną.
Grzechem było położenie bochenka chleba „do góry plecami” na
stole albo na ławie, wzięcie do ust jedzenia przed umyciem i pa-
cierzem, patrzenie dzieci do studni, uderzanie kijem w wodę lub
ogień, oglądanie się w kościele, „wyprymusne” ubiory itp.

Na karb tych grzechów, popełnianych a często nie popeł-
nionych zwalano też różne klęski elementarne i nieszczęścia, jakie
spadały na ludzi. Panowało także niczym nienaruszone przeko-
nanie, iż Bóg zsyła je jako karę za grzechy, ażeby ludzi prze-
strzec i od kar wiecznych ich uchronić. Słyszałem niejednokrot-
nie, jak po ulewach, gradach, pożarach, chorobach powtarzano
to sobie z przekonaniem i przerażeniem. Stąd też pochodziła
często wielka ofiarność na msze i nabożeństwa, mające na celu
Boga przebłagać i od nieszczęść i klęsk się uchronić.

Już jako starszy i odcytany chłopak, słysząc przy kościele
takie oskarżenia się i biadania stojącej gromadki ludzi, odezwa-
łem się do jednego ze starszych, rozumnego i poważnego gospo-
darza: „Powiedcież mi, Pawle, czym wy właściwie grzeszycie?
Chodźcie do kościoła w każdą niedzielę, a jak możecie, to i w
powszedni dzień, modlicie się, pracujecie jak bydłeta, żyjecie

uczciwie, poście przy tym przez cały rok, gdy inni używają”. Na to usłyszałem od niego odpowiedź: „Wiesz co, tyś jeszcze młody, to nie wiesz, że najsprawiedliwszy nawet człowiek grzeszy na dzień 77 razy, a coś dopiero my grzeszni ludzie! Gdyby Pan Bóg nie był nad rodzajem ludzkim miłosierny, dawno by się ziemia otworzyła i nas by pochłonięła żywcem na wieki”. Widząc, że to mówi z największym przekonaniem i przytakują mu ludzie gromadą koło niego stojący, nie próbowałem więcej swojej racji powtarzać, choć niektórzy młodszy patrzeni na niego z niedowierzaniem.

Jednego roku w ostatnim dniu mięsopustu proboszcz, grmiąc z ambony na wszelkie grzechy, a szczególnie przeciw szóstemu przykazaniu popełnione, uderzył równocześnie na tańce i dziewczęta, latające za nimi zaznaczając, że one sobie na pewno wytańczą miejsce w piekle, gdzie będą z szatanami tańcować na wieki. W kościele słychać było głośny płacz i widać duże przeżenie.

Kiedy ludzie po nabożeństwie wyszli na drogę, urlopnik i trochę zawalidroga Piotr Buchacz, zwracając się w stronę jednej z dziewcząt, odezwał się: „No co, Zośka, ale się ksiądz nagałał o piekle i o was. Teraz na pewno do tego piekła pójdziesz, boś wczora tańczyła cały dzień, a szkoda będzie tej twojej prasowanej spódnicy, bo się tam na popiół spali. Dużo gadał, ale dlaczego nie powiedział o tym, jak oni tańczyli na leśnictwie przez całą noc w sobotę, ile zjedli kurcząt i wypili wódki i wina. Dość się cały wieczór pokojówka z leśnictwa nagałała o tym. Nie taki on święty, jak pokazuje”.

Kilku stojących bliżej chłopaków zaśmiało się głośno, spodziewając się, że to Piotrowi nie ujdzie, parę zaś oburzonych kobiet pobiegło natychmiast do proboszcza ze skargą. Proboszcz rozgniewany i rozżalony wezwał do siebie wójta, polecając mu, by ze zuchwalcem i bluźniercą zrobił należyty porządek. Wójt posłuszny rozkazowi urządził zaraz na drugi dzień sąd nad nim, a opowiadająca na wsi pokojówka o tańcu, wypitym winie, zjedzonych kogutach, wyleciała ze służby jak z procy.

Drobny ten wypadek nadwerężył przy tym powagę księdza, gdyż wójt, działając złośliwie czy niezgrabnie, pokojówkę ową wezwał na świadka i tupiąc nogami, kazał jej wszystko opowiedzieć. Ona też wyśpiewała więcej niż wiedziała i to wobec kilkunastu zdziwionych ludzi. Urlopnikowi niewiele się stało, bo „zafasował zaledwie dwa dni budy”.

Stan podobny nie tylko że ludziom codziennie zatruwał życie, wytrącał z równowagi, ale łamał energię, niszczył wszelką przedsiębiorczość i inicjatywę, doprowadzał do zupełnej martwo-

ty i bierności, tworzył beznadziejność i sprowadzał samobiczowanie ogromnej większości ludności. Ludność ta czuła się wciąż jak delikwent, żyjący tymczasowo u kogoś i zależący od jego łaski.

Pewnym odbiciem tego stanu była też modlitwa, którą w każdym domu musiały odmawiać nawet małe dzieci przed udaniem się na spoczynek. Ta niby modlitwa zaczynała się od słów: „Ja grzeszny idę spać. Nie mam se co posłać, Ewangelię świętą se pościele, Krzyżem świętym się odzieję, Ciebie się szatanie nie boję”. Wiem zaś, ile to było kłopotu z rozespanymi dziećmi, ile i jakich używano środków, żeby je przywołać do przytomności i zmusić do modlitwy. Wiem także, że ona długo przechodziła z ojca na syna aż nareszcie zginęła bez śladu.

W niektórych domach odmawiano po pacierzu rozpaczliwie wyglądającą modlitwę o następującym brzmieniu: „Z dopuszczenia dej mi poznać, Na co ja jest stworzony, Nie mogę ja tego doznać, Czemu jestem opuszczony. Wokoło mnie wszystko zdrada, Zewsząd mnie naśladuje, W tym nieszczęściu nieprawda, Zwątpienie mi gotuje”.

Cała ludność miała nieograniczoną ufność w siły i dobroć Matki Boskiej spodziewając się, że ona jeszcze najprędzej im może pomóc. Z ogromną czcią i nabożeństwem odnoszono się też do świętego Józefa. Tu i ówdzie miały wsie, a nawet okolice swoich ulubionych świętych i patronów, do których mawiały specjalne modlitwy. U nas codziennie powtarzano przy pacierzu niby modlitwę, a niby radę: „Kto do świętego Mikołaja paciorek mówio, to jego duszyczka na prawicy siodo. Zapukała ona w rajskie wrota, Grzeszno duszo czego pukasz, Szukam ci ja daru bożego, Zeby mi Najświętsza Panienka darowała, Kiedy pod Krzyżem stała”.

Modlitwy te nie wyczerpywały wcale całości, w każdym domu miano inne, zależnie od tego, jakich miał dom patronów i jakie troski trapiły rodzinę. Wierząc, że każdy człowiek od urodzenia aż do śmierci ma swojego anioła stróża danego mu przez Boga, miano do aniołów wielkie nabożeństwo. Wyrażało się ono nie tylko w ogólnej czci, ale także w specjalnych pieśniach i modlitwach. Jedna z tych modlitw przetrwała do ostatnich czasów. Brzmi ona: „Aniele Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój, Jak we dnie tak i w nocy, Bądź mi zawsze do pomocy, Broń mnie od wszystkiego złego I doprowadź do żywota wiecznego”.

Pacierze kaleczono i przekręcano, zaczawszy od przeżegnania, bo zamiast: „W imię Ojca” mówiono: „mieojtsa”; zamiast „Ojcze nasz” — „ojcynas”, a przy zdrowaśkach dodawano wie-

le, szczególnie do Najświętszej Panienki, która była łaski „pełna, a nie „pełna”, jak być powinno.

Silnie zmieniano i przekręcano także Skład Apostolski. „Stamtąd przyjdzie, sądzić będzie” mówiono codziennie. Z Piłata ponckiego zrobiono „Piłata pańskiego” i żadne perswazy księdza nie pomogły, tak pozostało bardzo długo. To samo tyczyło się przykazań Boskich i kościelnych, pieśni i modlitw. Nieraz je tak pokaleczono, że trudno było sens pojąć.

Bardzo znaczna część parafian należała do różnych bractw. Czyniła to nie tylko z powodu stałej usilnej zachęty ze strony księży, ale w przekonaniu, że owa przynależność uchroni od wielu grzechów i nieszczęść w tym życiu, a przede wszystkim dopomoże w przyszłym. Obok licznych bractw różańcowych, szkaplerznych, dobrej śmierci, arcybractwa Najświętszego i Niepokalanego Serca Marii dla nawrócenia grzeszników bardzo się rozszerzył trzeci Zakon św. Franciszka, do którego gromadnie zapisywały się kobiety.

Różańce i koronki, które nosił prawie każdy mieszkaniec parafii i modlił się na nich, były jednolite, natomiast szkaplerze bardzo różnorodne. Oprócz zwyczajnych z pojedynczego sukna uszytych, kupowano pięciorakie i siedmiorakie. Szkaplerz siedmioraki składał się z siedmiu kawałków sukna o tyluż kolorach. Miało to być na uczczenie Matki Boskiej Bolesnej. Z kolorów były używane: biały, czarny, brązowy, żółty, granatowy, siny i tabaczkowy. Pięciorakie składały się z pięciu części sukna o pięciu kolorach. Z wielką uroczystością i to niejednokrotnie poświęcano je w Krakowie, Krzyżanowicach, Okulicach i innych miejscach odpustowych, które ludzie gromadnie odwiedzali.

Do Arcybractwa Najświętszego i Niepokalanego Serca Marii należało ludzi niewiele, gdyż to było połączone z dużymi trudnościami i wydatkami pieniężnymi, wpisów bowiem przez dłuższy czas dokonywano tylko w Krakowie, później dopiero niektórzy księża dostawali upoważnienie. „Ustawa” Arcybractwa przewidywała 13 punktów zobowiązań, z których niejedne były dosyć ciężkie, za to wykonywującym je dawały odpusty zupełne: w dniu przyjęcia do Bractwa, w godzinie śmierci i 12 razy do roku na różne święta. Poza tym dawała bardzo liczne odpusty częściowe, co najmniej 500 dni wynoszące.

Członkowie trzeciego zakonu św. Franciszka odbywali często wspólne zebrania i praktyki, mieli się odznaczać ostrym życiem, na poły zakonnym i świecić przykładem pod każdym względem. Często rzeczywiście tak bywało, ale i nierzadko trafiało się inaczej, gdyż nawet tak ujarzmiony język kobiecy nie mógł wytrzymać. Plotki, obmowy przeszły przez poświęcone brewiarze, ha-

bity i paski, sprawiając proboszczowi niemało kłopotu i przykrości, poza rozprzeżeniem i tłumionymi wulkanami gniewu.

Najgorzej się działo w czasie walk politycznych, gdy niektórzy księża wojujący uczynili sobie z owych świeckich zakonnic swoją gwardię przyboczną, która z wielką zjadłością występowała przeciw wszystkim rzekomym i rzeczywistym wrogom Kościoła, na których jej wskazano. Była ona też niesłuchanie niebezpieczna, bo dla żadnych argumentów niedostępna. Z czasem zaczęto z tych zakonnic kpić i wyśmiewać się niemiłosiernie, co spowodowało wycofanie się bardzo wielu, mimo usilnych zabiegów księży. Wielkie spustoszenie wywołał w tym zakonie jeden z poważnych gospodarzy, który znając kryjówki życia niektórych zakonnic, nie obwijając tego w bawelnę, po całej wsi rozbębnił i przy tym zawyrokował, iż za ten pasek, jaki noszą, będzie je diabeł włóczył po piekle.

Rodziny umiejące czytać zakupywały pieśni po odpustach i jarmarkach. Sprzedawali je tam masowo specjaliści handlarze zwani „pieśniarzami”. Za reklamę służył im głośny, rozdzierający śpiew, czasem graniem na harmonii uzupełniany. Tłumnie zebranych koło pieśniarza ludzi zachęcała nuta i treść, ściągająca bardzo niska cena. Przeważna część tych pieśni wychodziła nakładem: Franciszka Orła na Śląsku austriackim we Frydku i drukiem Józefa Orła tamże. Dużo z nich nosi datę 1865 roku, a niektóre 1876. Drukarnia i nakładca ogłaszają się jako polskie i katolickie. Będąc w tym Frydku w r. 1934 i nie mogąc tam znaleźć śladów polskości, starałem się pilnie dowiadywać, czy i gdzie była owa drukarnia Józefa Orła, ale nikt mi nic nie umiał powiedzieć ani wskazać choćby jednego Polaka. A przecież w roku 1876 musiało ich tam być sporo, jeżeli mogła istnieć polska drukarnia. Dopiero napotkany przeze mnie stary sługa arcyksięcia Fryderyka powiedział mi, że „Polacy byli, ale poszli do Niemców i do bratrów czeskich”.

O treści i wartości tych pieśni można się przekonać z następujących wyjątków:

Pieśń nowa o pielgrzymie i dobrym pasterzu

*Pewny pielgrzym z Palestyny szedł do Jeruzalem,
Ujrzał ślicznego młodzieńca, który z wielkim żalem.
Przed ubogim domkiem stał, laskę pasterską w ręce miał,
Bardzo serdecznie płakał.
A młodzieniec pielgrzymowi dał odpowiedź taką:*

*Wiem jedną górę wysoką, a jest bardzo sprośną,
Blisko przy Jerozolimie, Kalwaria jej na imię,
Drzewo na niej rośnie.
Młodzieniec mu odpowiedział, że owieczka miła,
Która się z dzikimi wilki i kozy zbraciła.
A słyszała na się wołać,
Nie mogła na tego stać, z nimi się zbraciła.*

Pieśń o świętym Piotrze

*W świętego Piotra kościele, tam się służba Bogu dzieje,
We dnie w nocy nie przestając, Najświętszą Pannę błagając,
Gdy nowy obraz kupili, wtenczas starym pogardzili,
Za drzwiami go postawili, kędy ludzie nie chodzili.
Ja się we śnie objawiła, wielki smutek ponosiła.
Ludzie mnie nie pozdrawiają, tyłem mi się obracają.
Ludzie dyc się pamiętajcie, tę panienkę pozdrawiajcie,
Bo jak się nie polepszycie, wszyscy wraz poginiecie.*

Pieśń o Najświętszej Maryi Pannie

*Z onej strony pola zielenią się zioła.
Śliczna Pani przechodzi z niebieskiego dwora.
Trzy wianeczki wiła, które polubiła.
Pierwszy wianek Jezusowi z najświętszego ciała.
W drugim wianku chodzi, gdy Jezusa rodzi,
Wita wianek, Jezusowi łzami się zalawszy.
O Jezus mój, drogi, trapi mnie ból srogi,
Żeć ten wianek stary będzie od tej synagogi.
Dajże mi gebiczki, podaj mi rączeczki,
Spuść oczko owe na piastonkę, Jezus malusieńki.
Ściągnij usta swoje śliczny Aniele,
Bierz ten pokarm, któryś obrał w twym panieńskim ciele.
Która jesteś panną, racz się modlić za mną,
Aby mi Bóg z Twej przyczyny, odpisał mi winy. Amen.*

Pieśń o polskiej koronie

*Polsko korono, co słynie o tobie, iżeś utraciła wszystkie cnoty
[w sobie.*

Ziemia nie rodzi, jak pierwszej rodziła, czy jej Bóg zakazał, czy się
[wysiliła,
Gdyby była matka różdżką dziatki siekła, byłaby wybawiła duszę
[swoją z piekła,
Aleś ty matko różdżki szanowała, a tak twoją duszę do piekła
[wegnała.
Matka u córki nogi nie zagrzeje, bo się w jej domu złe przekleń-
[stwo dzieje.
A siostra, u siostry domów nie nawiedzi, bo się ta bogata tą ubogą
[brzydzi.
A ojciec u syna o imię go prosi, a syn na tacika ciężki kij podnosi,
Idzie do drugiego, ten go psami szczuje, woła na trzeciego, ten
[go nie nocuje.
Chociażby ci dał to i całe morze, już tobie żaden z piekła nie
[pomůže,
A chociażby ci dał i pieczywo chleba, on w niebie, ty w piekle,
[już ci go nie trzeba.

Pieśń o Najśw. Pannie Maryi Okulickiej

O Maryjo, Matko Boska, Panno święta okulicka,
Judyto niezwyciężona, Boskiego piastując syna,
Jako czarta piekielnego zgniotłaś Turczyzna straszego,
Który Polskę splądrował, wiarę naszą prześladował.
Nad Rabą wieś Turzec zwana, tam Turków szeregowano,
A w Ostowie szturmowali, w Mikuszowicach mieszkali, skąd
[szeregi ustawiali,
Cerkiew we krwi stanęła, gdy się bitwa ukończyła,
Widząc koniec król tej ziemi, że mieli być zwyciężeni,
Sam tylko w trzech pozostaje, do Maryi się udaje,
Król wziąwszy miecz od Maryi, obrócił się do armii
I uczynił krzyż nad nimi, wielkim cudem zwyciężeni.

Pieśń o Najśw. Maryi Pannie Gidelskiej

Najświętsza Panno gidelska, Tyś jest Pani archanielska,
Wielkie cuda uczyniła, gdy się w roli objawiła,
Objawiła się wieśniakowi, pracowitemu rolnikowi,
Bydłęta obraz ujrzały, na kolana poklekały.
A on bije i katuje, jeszcze zabić obiecuje.
Amen teraz rzeczmy wszyscy, pomarli krewni i bliscy,
Byśmy się w niebo dostali, z Tobą wiecznie królowali.

Przytoczone wyjątki ani nie wyczerpują owych różnych pieśni ani nie należą do najgorszych. Szła ich bowiem nieustannie niesłychana ilość, a co jedna, to więcej banalna. W pieśniach owych opiewano wszystko w sposób często nie dający się powtórzyć. Zwracało uwagę, że pieśni te dorabiane były do różnych miejsc cudownych w całej Polsce, a drukowano je przeważnie w jednym zakątku. Sposób pisania pieśni zdradzał także autora.

Jakkolwiek było, to one długi czas królowały śpiewane na rozmaite nuty i tony, szczególnie wtenczas, jak sobie nutę wyuczoną od pieśniarza zapomniano. Że do nich byli ludzie mocno przywiązani i przekonani, dowodzi okoliczność, że mimo długiego okresu czasu wojny i zniszczeń dochowały się one tu i ówdzie do tego czasu.

Na wsi bardzo rozpowszechniona była pieśń o św. Genowefie i bednarzu biednym, co sobie strugał w lesie widły i inne narzędzia. Nad żałośnie śpiewaną pieśnią do świętej Genowefy nieraz się spłakały całe rodziny.

Rzecz dziwna, że nawet w tych czasach gminy położone bliżej miejsc odpustowych pieśni tych wcale prawie nie kupowały.

Życie pozagrobowe

Nie będzie to żadną przesadą, jeżeli zaznaczę, że ogromna większość ludności wiejskiej żyła daleko więcej myślą o przyszłym aniżeli teraźniejszym ziemskim żywocie. Wiara w życie pozagrobowe była bardzo silna i żywa. Ludzie naprawdę uważali ten padoł płaczu za krótkotrwały i przejściowy, wierząc święcie, że dopiero po śmierci rozpocznie się nowe i nigdy nie kończące się życie. Toteż śmierć uważano by za wyzwolenie z więzów, gdyby nie te wszystkie okropności, które miały po niej nastąpić. Wiara w życie przyszłe nie tylko że pozwalała przetrwać największe trudności, znieść wszelkie bóle i cierpienia, będące zadatkiem lepszej przyszłości, ale pobudzała do wszelkich wysiłków na rzecz tego przyszłego i wiecznego żywota.

Wprawdzie wciąż panowało trochę ukrywane przekonanie, że w niebie nie może być inaczej jak jest na ziemi, a więc, że panowie i księża zajmą tam wszystkie najlepsze stanowiska, bo mają pieniądze i wpływy, ale się spodziewano, że i dla biednych chłopów znajdzie się jakieś gorsze choćby miejsce, bo przecież wszędzie między bogaczami potrzebny jest chudobny człowiek. A jeśli już nie będzie można dostać się od razu do nieba ze względu na swój stan i grzechy, to przynajmniej może do czyścca, gdzie są męki mniejsze i nie trwają wiecznie.

Tym się też tłumaczą liczne msze i fundacje, tworzone na wsi nawet przez ludzi ubogich, hojne ofiary na kościoły, klasztory i inne religijne cele. Dlatego odbywano dalekie, uciążliwe pielgrzymki do miejsc cudownych i odpustowych, składano śluby i dotrzymywano ich jak najskrupulatniej.

Można więc sobie wyobrazić wzburzenie, jakie wybuchło w parafii i okolicy, gdy rewizor bydła Stawarz tłumaczył chłopom żartobliwie, iż piekła zbytnio się obawiać nie potrzebują, bo tam najgorzej nie będzie, gdyż całym ich zajęciem będzie palenie w piecu pod księżmi i panami tam nagromadzonymi. Do nieba znowu nie mają po co tak bardzo się dobijać, bo tam panuje wieczna nuda i kręcą się stare dewotki.

Z niesłychanym sentymentem i czcią odnoszono się do zmarłych i to nie tylko do ojców i krewnych, ale w ogóle do wszystkich. Nierzadko słyszałem, jak proboszcz zapowiadał z ambony mszę zamówioną przez poszczególnych parafian za tych zmarłych, którzy zostali zapomniani i żadnego ratunku nie mają. Byli to przecież ludzie obcy, a często zupełnie nieznanzi. W większej jeszcze mierze miało to miejsce przy wypominkach, ogłaszanych na Wszystkich Świętych i dzień zaduszny. Czasem się to działo na skutek snu, w czasie którego duch zmarłego upominał się o podobną ofiarę. Na intencję takich zmarłych dawano też bardzo często licznie chodzącym żebrakom jałmużnę. Odrabiali oni ją też od razu, odmawiając długie i głośnie pacierze.

Nierzadko ofiary dla zmarłych robiono też ze strachu, gdyż święcie wierzono, że niejeden zmarły odbywa swoją pokutę tu, gdzie mieszkał za życia i grzeszył. Nieraz go też widziano zachodzącego do domu, stodoły i innych budynków, biadającego nad swoją dolą i proszącego o ratunek. Nie brakło i takich, co nie tylko widzieli nieboszczyka ale słyszeli brzęk łańcuchów co było strasznym dowodem, że nieszczęsna jego dusza znajduje się w piekle. Wypadki widzenia rzekomego pokutujących dusz zdarzały się szczególnie po kazaniach, wygłoszonych w czasie dni poświęconych pamięci zmarłych.

Nieraz takiego zmarłego widziało więcej ludzi i w różnych punktach wsi i rzecz szczególna, że nie różniły się one w opisywaniu go, choć nie miały żadnej możliwości, ażeby się porozumieć. To przekonywało najwięcej nawet niewiernych, a nieraz godziło najbardziej zaciętych przeciwników, choć się przedtem zacinali, że „ani na śmiertelnej pościeli sobie nie darują”.

Strach po śmierci domownika, szczególnie, jeśli miał ciężki skon, bywał tak wielki, że przez kilka miesięcy po nim wielu nie wyrzało o zmroku poza dom, a już, broń Boże, nie poszło na strych, gdzie nieboszczyk miał wyglądać z każdego kąta. Naj-

gorzej było, gdy się zanadto napatrzoneo nieboszczykowi, bo jego obrazu trudno było zapomnieć. Nierzadko strach przed nieboszczykiem stawał się powodem choroby albo nawet opuszczenia mieszkania, w którym się nieboszczyk pokazywał. Nierzadko do pokropienia i poświęcenia takiego domu zapraszano księdza a na noc ściągano odważniejszego gospodarza. Trafiło się, że i ten odważny nie wytrzymał gospodarki duchów i uciekał razem z tymi, co ich miał pilnować. Nikt się nie starał dociekać podejrzanych ruchów i szmerów, bo każdy wierzył, że są one dziełem nieboszczyka. Czasem uciekano się do pomocy żandarma, do którego nieboszczyk nie miał odwagi przychodzić.

Mimo że wiara w Kościół i zaufanie do księży były u ludności wiejskiej wprost nieograniczone, nie zdołały one jednak przełamać starych zwyczajów, nawyków i wierzeń, od których nie byli wolni nawet najgorliwsi katolicy, a które często były sprzeczne wyraźnie z tym, co nakazywała nauka Kościoła. Ludzie kilka razy na dzień powtarzali, że wierzą tylko w jednego Boga i jego prawdziwą naukę, wiedzieli i wierzyli, że nikomu nie może bez woli Boskiej spaść jeden włos z głowy, a jednak wielu z nich chodziło przez cały dzień jak struci, jeśli im się zdarzyło lewą nogą wstać z łóżka, albo włożyć na nią pierwiej but niż na prawą. Spodziewali się nieszczęścia na pewno, jeżeli wrona na lipie lub olszy zaczęła przeraźliwie krakać, zawracali do domu, jeżeli im zając przeleciał drogę, żadnej nowej roboty nie rozpoczynali, jeżeli to był dzień piątkowy. Niemało strachu napędzał im bocian, jeżeli klekocąc zwracał się na północ, znacznie więcej czarny kocur, jeśli zaświecił wieczór swoimi ślepiami, kręcąc się po sieni, izbie, komorze, a jeszcze gorzej, gdy na strychu.

Zaćmienie słońca lub księżyca sprowadzało nieopisaną wprost panikę, bo ludzie oczekiwali każdej minuty końca świata, przypominając sobie jakąś przepowiednię z Pisma Świętego wziętą. A już ludzie tracili zmysły zupełnie, gdy przez kilka nocy z rzędu zjawiała się na wschodzie ogromna z czerwoną miotłą kometa, będąca jakoby zapowiedzią wojny, ale także nieodstępnych od niej morowego powietrza i głodu, których się ludzie bardzo obawiali, pamiętając grasującą cholereę.

Tu już wyrocznią przestał być Kościół i ksiądz, a stawali się rozmaici tułacze i pielgrzymi nieznani, którzy chodzili od wsi do wsi, a śpiewając pieśni o strasznym, ostatecznym sądzie i przemawiając uderzali przede wszystkim w tych, co nie mieli serca dla bliźniego. Ludziska, trzęsąc się ze strachu, słuchali proroków, dawali, co mogli, ukrywali ich przed żandarmami, chro-

nili przed proboszczem, rzucającym pioruny na oszustów, gromiącym parafian, którzy dają im wiarę.

Wszelkie jednak jego wysiłki miały wręcz odmienny skutek, gdyż ludzie do proroków mieli zaufanie wierząc, że oni przynoszą prawdę prosto od Boga, a w czasie kazań przeciw nim skierowanych gromadnie kaszleli, wyrażając tym sposobem swoje niezadowolenie. Zmieniło się dopiero wówczas, gdy o komecie i zaćmieniach zapomniano, a prorocy, nie mając nic do roboty, wieś opuścili.

Ledwie się z prorokami skończyło, przyszedł wypadek, który władzom kościelnym przysporzył niemało kłopotu, a przekonaniami ludności wstrząsnął do głębi. Zjawiała się w Bobrownikach jakaś dziewczica, która w niektórych godzinach rozmawiała z Matką Boską, dowiadując się wiele teraźniejszych i przyszłych rzeczy. W czasie takiej rozmowy wpadała ona w ekstazę, stawiała się nieczułą na nic, na lewej ręce przy zgięciu otwierała się jej rana, z której sączyła się kroplami krew. Na wieść o tym cudzie ciągnęły do niej coraz to większe tłumy ludności, ślęcząc tam we dnie i w nocy, odprawiając modły i śpiewając nabożne pieśni. Przez jakiś czas nikt nie przeszkadzał im, dopiero gdy się zaczęły opróżniać kościoły w coraz szerszej okolicy, bo cała ludność gromadziła się do Bobrownik, a jasnowidząca zaczęła mówić o zdradzie niektórych księży i o ich nie zawsze przykładnym życiu, zjawili się w nocy niespodzianie żandarmi, dziewczicę cudowną zabrali i w niewiadomym kierunku wywieźli. Kiedy wczesnym rankiem zeszły się jak co dzień ogromne tłumy, dowiedziały się z przerażeniem, że świętej już nie ma. Naprzód nastąpiło ogromne wzburzenie, a potem szlochy, płacze, narzekania. Obawiano się znowu kary Bożej za tę zniewagę świętej dziewicy wyrządzoną. Nikt im nie przeszkadzał ani nie rozpędzał, popłakali, pomartwili się, a w końcu rozeszli się do domów.

Ponieważ moja gmina znajduje się zaledwie o kilka kilometrów od Bobrownik, nie mogłem się oprzeć ciekawości i poszedłem tam razem z innymi. Nigdy nie widziałem podobnego obrazu. Rozmodlony tłum klęczał przed rozmodloną, bladą dziewczyną, stojącą na podwyższeniu z oczami zamkniętymi i coś mówiącą głosem bardzo przyciszonym. Mimo że nikt się nie powążył na głośniejszy nawet oddech, stojąc dość z daleka, nic z tego, co mówiła, nie słyszałem. Nie widziałem też znajdującej się obok niej Matki Boskiej i aniołów, które ją otaczały. Natomiast kobiety, które stamtąd wracały razem ze mną, opowiadały z nabożeństwem, że ich widziały, zaznaczając przy tym, że tego szczęścia może tylko dostąpić człowiek wolny od grzechu śmiertelnego. Ja

milczałem, nie chcąc się mimo woli do takiego grzechu przed nimi przyznać.

Jak ludzie już wtenczas umieli pogodzić wierzenia i przekonania z interesem, modlitwę z cudzą krzywdą, świadczyć może przykład: W niedzielę dnia 1 września miał się odbyć odpust coroczny w Wierzchosławicach. Trzeba było na odpuscie być, ale i o chudobie nie zapomnieć. Ażeby to osiągnąć, pognaliśmy z ojcem wczas krowy na zaszanowaną trawę na miedzy. Gdyśmy wracali do domu, ojciec spostrzegł, że Stefan Gdowski, przeszło siedemdziesięcioletni gospodarz, pasie czworo bydła w ziemniakach, należących do jednego z wyrobników, mimo że ziemia była silnie rozmoknięta, a nać ziemniaczana zupełnie zielona. On zaś sam siedzi na miedzy i śpiewa sobie godzinki. Zgorszony ojciec odzywa się do niego: „Bójcie się Boga, Stefanie! co wy robicie? Nie pasiecie na swoim, choć macie dość gruntu, ale niszczyć dziada, a jeszcze jak faryzeusz przy tym godzinki śpiewacie!”. Stary, zupełnie tym niewzruszony, powstał powoli, do krów się nie ruszył, tylko z dużą gębą wsiadł na ojca, że mu przerwał modlitwę i on musi teraz modlitwę zaczynać od początku. Wy tłumaczył też rozgniewany ojcu, że to jest dopiero grzech, a nie głupie badyle, które krowy zjadły.

Takich katolików, mających oprócz prawdziwego Boga tużin innych, palących Bogu świeczkę i diabłu ogarek, było zawsze dosyć. Znano ich i powtarzano zdanie, że „modlą się pod figurą, ale diabła mają za skórą”. Nie można by, rzecz oczywista, do nich zaliczyć szerokiego ogółu chłopstwa, który chwalił Boga jak umiał, a chociaż klepał modlitwy automatycznie, nie wiedząc często, co one znaczą, choć w czasie pacierza zdarzyło się mu nieraz kląć na czym świat stoi albo ze troje dzieci kijem wyłoić, to robił to zawsze z największą wiarą, że czyni dobrze.

Życie kulturalne

Na życie kulturalne wsi składały się wiejskie rzępołenie na skrzypcach i harmonijkach z pasją dokonywane przez różnych amatorów, piszczałki wyrabiane z bzu i wierzby przez pastuszków, kupowane na jarmarkach i odpustach organki i klarnety, śpiewy w domu i kościele, pieśni godzinek, gorzkich żalów i kołęd, tańce przeważnie staroświeckie, „komedie”, które czasami zajeżdżały pod Bór, a w każdy jarmark odbywały się w mieście. Granie na loterii było uważane za grzech, toteż ważyli się na nie niektórzy tylko i to w wielkiej tajemnicy, by się kto przypadkiem nie dowiedział.

Każda wieś posiadała jednego lub więcej domorośłych muzykantów. Grali oni przy różnych okazjach mniejszej wagi, bo na chrzciny lub na wesele nikt szanujący się nie mógł ich zaprosić. Na te uroczystości szukano lepszych muzykantów, bardzo często Żydów lub Cyganów.

Na te zwyczajne grania chodzili zwykle podrostki, starsi zaś kpili z muzykantów, przedrzeźniając mysie piszczenie instrumentu i dziwaczne ruchy muzykanta, którymi starał się swoje braki wyrównać.

Tańce lubili ludzie pasjami. Jeżeli tylko we wsi odezwała się głośniejsza muzyka i gruchnęły basy, to cała wieś poderwana nią, jakby na komendę stawiała na nogi. Nie wiem nawet, czy pożar albo trzęsienie ziemi mogłyby wywołać większe poruszenie.

Do tańca rwali się zarówno młodzi jak i starsi, robiąc ciżbę niemożliwą. Przestrzennie było wtenczas, gdy sobie starsi zastrzegali jakiś czas wyłącznie dla siebie. Tańczono stare mazury, krakowiaki, czasem polki, upominając się skrzypkowi, ażeby mocno rznął pod nogi. Tańce zaczynało nieraz w kożuchu, wnet go jednak trzeba było zdjąć, a często kończono na kozuli i spodniach, z których można było skutkiem przepocenia konewkę wody ukręcić.

Przy każdym tańcu zachowany był pewien porządek. Gdy nad nim przestali panować urzędnicy weselni, kto płacił skrzypkowi, ten miał prawo przewodnictwa. On też mógł i kierować tańcami stosownie do swojej woli. Innym wolno było przy śpiewie pomagać i coś przodownikowi odpowiedzieć.

Trzeba było widzieć takiego przodownika, jak on stanął przed skrzypkiem i huknął na cały głos: „Grajże mi skrzypeczku, grajże mi pod nogi, polecą, polecą trzoseczki z podłogi”. I rzeczywiście byłaby podłoga poszła w trzaski, jak się odezwały obcasy i podkówki, a nogi zaczęły chodzić same, to się jednak nie stało, bo podłogi zwykle nie było, a trzaski leciały, ale tylko z ładu, stanowiącego klepisko w izbie.

Trochę zamieszania wywoływał taniec na lewo, kiedy przodownik „odkręcił”, śpiewając przed skrzypkiem: „Na uwrót, na uwrót, siwy koniu na uwrót, Jesce ja se żadnej panny nie uwiódł, kiedy ja se którą pannę uwiedę, uwiedę, to mi pójdzie z konewczką po wodę, po wodę”.

Dobry tanecznik miał też duże znaczenie we wsi, nie tylko u dziewcząt i kobiet ale u wszystkich. Zwykle mówiono, że kto zdolny do tańca, to będzie i do różańca. Szczególnie z takich były zadowolone matki, z których córkami tańczył i bardzo chętnie wrzucały do basów buczaki miedziane, a czasem nawet po-

ważniejszą monetę na przedłużenie tańca na przodku. Robiło to między ludźmi ruch, szczególnie jeśli tańczący kawaler, skłoniwszy się zaśpiewał: „O moja matusiu, dajcie mi ją dajcie, Bo wy ją na wieki Trzymać nie będziecie”. A niedługo potem, jakby już pewny siebie, dodał: „Grają mi grają, Co mi nie mają grać, Dadzą mi dziewczynę, Co mi nie mają dać”. Nie zawsze z tego coś poważniejszego wynikało, ale zawsze miano o czym we wsi mówić przez parę tygodni.

Wszystkie zabawy i tańce miały wówczas bardzo serdeczny charakter a ludzie bawili się szczerze i swobodnie jak dzieci.

Choć wszyscy niemal taniec lubili i ochotnie w nim brali udział, to jednak nie mogli się powstrzymać od złośliwych uwag pod adresem tych kobiet i dziewcząt, co to łżej było młócić niż z nimi tańczyć, „bo się ruszały, jak stare krowy” albo też tych, co z młodu stawały na głowie, a na starość nie mogły nóg włożyć.

W kościele i w domu śpiewano, jak kto umiał różne pieśni i kolędy ze starej kantyczki albo też z małych książeczek, kupowanych na Kalwarii lub innym miejscu odpustowym. Ci, co nie umieli na książce, powtarzali za innymi. Ponieważ nie zawsze mogli się połapać, nie tylko że przekręcali niemiłosiernie słowa pieśni, z czego wychodziły różne śmieszne nonsensy, ale się ze śpiewem spóźniali, co niesłuchanie drażniło organistę, który nie wiedział, czy trzymać z tymi, którzy już kończyli jakąś zwrotkę, czy z tymi, co ją dopiero zaczynali. Często zniecierpliwiony i zdenerwowany starał się przekrzyczeć wszystkich, albo tę kaskadę głuszył graniem na organach. Owi liczni śpiewacy byli mocno niezadowoleni, gdy na chór w kościele dopuszczano tylko wyszkolone w śpiewie dziewczęta, a co gorsza zaczęto sprowadzać nowe pieśni i nuty, starym śpiewakom zupełnie nieznane. Z czasem się jednak udobruchali i byli nawet zadowoleni, że kto inny spełnia za nich obowiązki.

Godzinki do Matki Boskiej umiało bardzo wielu ludzi na pamięć i śpiewało je głośno w każdą niedzielę i święto rano, a w niektórych domach nawet w dni powszednie. Przez wszystkie dni miesiąca maja odbywały się śpiewy przed każdą figurą i w każdy wieczór.

Komediantami nazywano we wsi wędrownych artystów i różnych kuglarzy, którzy zjawiali się od czasu do czasu po ludniejszych wsiach i pokazywali różne sztuki za opłatą kilku centów. Ludzie na to chętnie patrzeli ale z daleka, bali się jednak zbliżyć, gdyż trzeba było zapłacić, a ponadto panowało ogólne przekonanie, że bez pomocy szatańskiej te sztuki się nie obchodzą.

Staropanieństwo

Marzeniem każdej wiejskiej dziewczyny było nie tylko wyjście za mąż, ale uzyskanie przy tym utrzymania i uzyskanie odpowiedniego „honoru”. Nie mogące zdobyć sobie upatrzonego kawalera, chwyciły się często rozmaitych środków, ażeby tylko postawić na swoim. Mimo że powszechnie przyjęty zwyczaj zabraniał dziewczętom zalecania się, omijano go, posyłając więcej wykłapaną stręczycielkę. Gdy to nie pomogło, próbowano różnych czarów, wrózek, lubczyków i innych ziół, a gdy one nie zdołały poruszyć wybranego, niektóre dziewczęta chwyciły się ostatecznego i, jak wierzone, skutecznego środka. Były nimi spalone na popiół włosy panny, które nie spieszący się kawaler wypijał z wódką czy herbatą albo zjadał z jajecznicą. Jeżeli włosy owe miały na pewno pomóc i kawalera przyciągnąć, to nie mogły być wyrwane z głowy. Zabieg ten nie tylko, że często ośmieszał, ale i stawał się powodem gwałtownych sporów i gniewów zwłaszcza wtenczas, gdy wyszedł na jaw i nie odniósł zamierzonego skutku. Szczególniej oburzały się kobiety, gdy mężczyźni pobłażliwie kiwali głowami.

Staropanieństwo było uważane za wielkie upośledzenie, a do starych panien odnoszono się z niechęcią, nazywając je pogardliwie „ciotkami”. Stare panny tworzyły się z tych, których nikt nie chciał, bo nie miały majątku ani urody, z panien, które przebierały zanadto aż zestarzały się i osiadły na koszu, z tych co czując powołanie inne, nie chciały wyjść za mąż. Szły niektóre też do klasztoru, jeśli ojcowie zdobyli się na potrzebną gotówkę albo też spędzały czas na modlitwie i rozmyślaniach, chodząc ponadto codziennie do kościoła. Niektóre cieszyły się dużym powodzeniem szczególnie u gospodyń, które im pomagały czym mogły. Z czasem „dewotki” straciły wiele na powadze i stały się przedmiotem drwin ze strony wielkiej części ludności, która twierdziła złośliwie, że wtenczas ofiarowały serce P. Jezusowi, jak ich nikt nie chciał.

Jeżeli z wyraźnym lekceważeniem traktowano stare panny, to do starych kawalerów odnoszono się nawet z pewnym specjalnym szacunkiem. Tracili oni jednak bardzo wiele na honorze, jeśli się dowiedziano, że gotują sami strawę, a szczególnieją doją krowy. Takich starych kawalerów trafiało się nieraz we wsi i kilku. Nie wszyscy jednak wytrwali w tym stanie, bo niektórzy z nich, sprzykrzywszy sobie samotny żywot, „z głupieli”, żeniąc się przeważnie z młodymi dziewczętami. Narażali się wtenczas na języki ludzkie, bo wszyscy mówili, że „sieją pszenicę dla cudzych wróbli”. Czasem śmielsze kumoszki powiedziały im to

w oczy wprost, odradzając zamierzonego przedsięwzięcia. Wywoływało to zwykle u nowożeńca oburzenie, choć często się przekonywał, że rada była dobra, bo nie wszyscy mogli sobie dać radę z młodymi małżonkami.

Nieślubne matki i dzieci

Szczególnie opłakany w tym czasie był los nieślubnych matek i ich dzieci. Popełniony przez nie występek uważano za coś tak strasznego, że każda kara, jaka je mogła spotkać, wydawała się ludziom za niedostateczna. Stosownie do tego też z nimi postępowano, zaczawszy od proboszcza aż do ostatniej komornicy we wsi. Jeżeli jeszcze okazywano jakąś litość dla dziecka, „które nic nie winno”, to nie było jej dla matki, choćby się znajdowała w najgorszej nędzy. Męka jej zaczynała się od chwili, gdy baby tylko zwąchały, że „coś się zmieniło” i że „nie darmo psy pasają już dawno”.

Droga krzyżowa takiej „skozaczonej” dziewczyny zaczynała się od przedrzeźniania, wyzwisk, wyrzucenia z domu, a kończyła się często na opuszczeniu wsi, bo nie mogła w niej znaleźć kąta ani trochę pożywienia. Tragedia była tym większa, że wypadki owe dotyczyły przeważnie służących i ubogich dziewcząt, nie mających nadziei wyjść za mąż. Córkę gospodarskie prędzej sobie dawały radę, gdyż romanse podobne często kończyły się ślubem.

Ubogiej i nieszczęśliwej matce nie tylko że nikt nie chciał przyjść z żadną pomocą, ale jej nawet nie przyjmowano do roboty, bo się wszyscy nią brzydzili. „Niech zdechnie ta suka”, powtarzały z niesłychaną nienawiścią nawet najbardziej pobożne kobiety, „chciało się jej krup, to je ma”. Nie mając żadnych środków na utrzymanie siebie i dziecka i nie mogąc dostać żadnej pracy, wielka część nieślubnych matek zmuszona była iść na żebrzy, ażeby nie zginąć z głodu. Tu dopiero musiała przechodzić straszne doświadczenie. Jeżeli nie zamknięto drzwi przed nią i dzieckiem, które nosiła ze sobą, to rzadko w którym domu jej co dano, ale za to w każdym nawymyślano „hadrze”, co wlaźło, przypominając jej w słowach najbardziej dokuczliwych ohydę popełnionego czynu i jego następstwa. Nie oszczędzono też i dziecka. Nikt nawet nie próbował jej brać w obronę, gdy gromada rozwydrzonych podrostków goniła za nią po wsi, obsypując obelżywymi wyrazami i przezwiskami. Specjalnie zaś znęcano się nad tymi, co nie chciały wydać ojca dziecka już nie tylko natarczywie ciekawym kumoszkom, ale nawet proboszczom.

wi, mimo używania przez niego wszelkich, czasem nawet bardzo drastycznych środków. Niezależnie od tego władza gminna skazywała „cudzołożnicę” na ogolenie lub ostrzyżenie głowy, wysmarowanie włosów mazią lub odpowiednią ilość kijów wymierzonych publicznie przy dzwonnicy.

Trochę lepiej patrzano na dziecko, które nic temu, co matka zrobiła nie winne, ale zawsze uważano je za mniej wartościowe od dzieci ślubnych, nazywając „najduchem”, co „miał pełną stołę ojców”. Czynili to nie tylko starzy, ale i rówieśnicy, którzy „najduchom” dawali odczuć na każdym kroku ich pochodzenie.

Kiedy zaś nieraz takie „znalezione” dziecko górowało urodą, zdolnościami i sprytem nad wielu ślubnymi, patrzano na to z zazdrością, powtarzając, że to „tylko najduchy mogą być takie”. Bardzo często zdarzało się, że takie matki wychowywały dzieci bez niczyjej pomocy, posyłając je do szkoły nawet, co się już ludziom w głowie nie mogło pomieścić.

Na nieślubne pochodzenie tak mocno zwracano uwagę, że ani czas ani wypadki nie były zdolne bardzo długo nic zmienić. Kiedy jedna z takich matek, mając pomoc nieślubnego ojca, dworskiego pisarza, wykierowała syna na księdza, zdziwieni chłopci strasznie nad tym kiwali głowami, pytając się jeden drugiego, czy taki ksiądz może być ważny. Nie mogli sobie też wytłumaczyć, co się to stało, że taka grzesznica była przy wyświęceniu.

Kiedy wprowadzona została ustawa, nakładająca na nieślubnego ojca obowiązek zaopatrzenia matki i dzieci, zapanowało na wsi wielkie i ogólne oburzenie. Nikt nie mógł zrozumieć, jak to można grzechy i rozpustę wynagradzać, a wszyscy byli przekonani, że teraz dopiero zacznie się piekło, jakiego jeszcze nie było. Nie wiedzieliby też, skąd przyszła taka ustawa, gdyby proboszcz był nie powiedział na ambonie, że ją zrobił „bezbożny parlament”.

Krzywoprzysięstwo i świętokradztwo

Za największy i nigdy pod żadnym warunkiem nieodpuszczony grzech uważano ogólnie złożenie fałszywej przysięgi i mówiono o tym z niesłychaną grozą i strachem. Na wsi panowało niczym nieodparte przekonanie, że każdego krzywoprzysięzcę musi spotkać kara Boża i to wkrótce po spełnieniu tego strasznego grzechu. Musi się to stać przy tym w sposób tak widoczny, żeby on stał się odstrasającym przykładem dla wszystkich.

Te fałszywe przysięgi zdarzały się bardzo rzadko i to przeważnie przy procesach gruntowych. Ludzie nie znający nawet

sprawy, zawsze wiedzieli, kto fałszywie przysiągł, czekając z dnia na dzień kary Bożej nad nim.

Kiedy się trafiło u nas, że jeden ze światlejszych nawet gospodarzy po złożonej przysiędze i wygranym wskutek niej procesie, orząc sporny grunt, został zabity przez spłoszone konie, cała okolica widziała w tym wyraźną karę Bożą i nikt prawie nie poszedł na jego pogrzeb, choć oprócz tego grzechu miał bardzo dobrą opinię. Miano też za złe proboszczowi, że go po chrześcijańsku pochował. Później widywano go długo i to każdej nocy, chodzącego po tym gruncie w pokutnym ubraniu i narzekającego głośno. Te przekonania były powodem, że nikt prawie nie chciał składać przysięgi, choćby mu to miało przynieść największe straty majątkowe. Sam zaś fakt złożenia był zawsze uważany za wielkie wydarzenie.

Na równi niemal z krzywoprzysięstwem stawiano kradzież, popełnioną w kościele, wierząc święcie, że takiemu złodziejowi ręka uschnie, jeżeli go nie spotka inna jeszcze straszniejsza kara Boża. Na ten temat opowiadano też sobie wiele wypadków jaskrawej kary niebios.

W rozmowach na te wstrząsające tematy umiano jednak odróżnić kradzież dobra plebańskiego od kościelnego. Było to szczególnie potrzebne dla bliższych sąsiadów probostwa, którzy jego własności zbyt nie szanowali, mimo że księża często gromili ich z ambony, zapowiadając straszne następstwa dla winowajców.

Czary

Czary i czarownice nie tylko że w życiu wsi odgrywały bardzo poważną rolę, ale były prawdziwym, niemal codziennym dla niej utrapieniem. Czarownica zabierała krowom mleko, rzucała na nie uroki, sprowadzała choroby, dokuczała na każdym kroku. Mściła się często nie tylko na chudobie, ale na ludziach i całym gospodarstwie. Oprócz czarowników i czarownic było wielu takich, co bez swojej winy robili dużo szkody, bo mieli „złe oczy”. Gdzie oni spojrzeli, tam wszędzie rodziło się nieszczęście. Konie łamały nogi, dostawały kołowacizny, krowy schły, cielęta zdychały, drób ginął masowo, świny parszywiały, przewracały się fury ze sianem i zbożem. Gorzej było, gdy różne choroby z tego powodu zaczęły się czeplić ludzi.

Niemniej przykre i bardzo rozpowszechnione były zaślepienia. Pochodziły one od zbyt ciekawych, a dotyczyły nie tylko

ludzi i inwentarza, ale także roślin. Wierzono też w nie święcie i starano się wszelkimi sposobami przed nimi bronić. Nie zawsze się to udawało, bo wiele ludzi, chudoby i roślin padło ich ofiarą, a co najmniej dawało wiele przykrości i sprowadzało nienawiść gniewy i swary.

Do częstych i jakoby skutecznych zabiegów przeciw złośliwym chorobom należało „przelewanie”. Dotyczyło ono przeważnie dzieci, które się kogoś lub czegoś przelekły, choć nieraz stosowano je także do starszych. Ceremonia ta przygotowywana z wielką powagą i skupieniem polegała na tym, że matka dziecka albo jedna z mądrych niewiast wyłamywała kilka prętów ze starej miotły, zwanej skrabachą, łamała je w kilkoro i przez nie lała roztopiony wosk na miskę napełnioną zimną wodą trzymaną nad chorym dzieckiem. Na wierzchu wody powinien był zawsze się odlać przedmiot, którego się dziecko przelekło.

Dobrze było, jeżeli zabiegi poszły po myśli obrzęd sprawujących, ale gorzej, gdy się wylało coś podobnego do zwierzęcia albo nawet do szatana. W takim wypadku niejednokrotnie trzeba było przelewać nad samą kapłanką, która się wylanego psa lub diabła przelekła. Jeśli urzeki ze zwykłych węgli nie pomogły, nie dawano za wygraną, lecz robiono urzeki mocniejsze, zwane kamiennymi. Służyły do nich zamiast węgli rozpalone kamienie, których miało być dziewięć i wszystkie musiały być wzięte spod okapu domu, bo inne nie pomagały.

Jednego dnia wpadła do nas bliska sąsiadka, przerażona i zdyszana, pytając się gorączkowo, czy ojca nie ma w domu. Gdy się co do tego upewniła, wzięła matkę na bok i mówi do niej: „Ja tu do was, kumosiu, przyszła, żebyście mi dali jarzących węgli, bo muszę dzieciom zrobić urzeki. Oboje były zdrowe jak pieniądze, dopiero jak się kiesi przewlekła ta „Hanucka” i wywaliła na nich świdrowate ślepie, tak zaraz zabołały ich głowy i zaczęły „wonitować”. Przez dwie noce tak się zrywały i krzyczały przez sen, że nie mogłam zmrużyć oka, a mój kłął na czym świat stoi i odpowiadał, że jak ją spotka, to jej zęby wybije. Poszłam umyślnie do Podlaska, kupiłam wosku, roztopiłam go i przelewałam nad nimi. Wylała się ta hadra calusieńka, ale to dzieciom nic nie pomogło. Chodźcież ze mną, zrobiwa urzeki obie, bo wy macie szczęśliwą rękę”.

Za małą chwilę jarzące węgle były w starym garnku, obie kumoszki wyszły z uroczystymi minami, mnie zaś matka kazała pilnować pieca, ażeby ogień z niego na izbę nie wypadł. Za kilka dni zaślepione dzieci były zdrowe, nie wiem, czy im pomogło przelewanie roztopionego wosku, czy też urzeki zrobione z jarzą-

cych węgli. Matka z kumoszką były przekonane, że to drugie. Biedna zaś „Hanucka”, Bogu ducha winna, przysłała się do matki usprawiedliwiać, że nic złego nie zrobiła. Oczy ma takie jak i wszyscy ludzie, a na tych „Margoścynych kurdupłów” ani nie spojrzała. Jak ją będą więcej posądzać, to ona wie już, co robi.

Prawdziwie nieszczęśliwi byli ci gospodarze, co mieli grunta położone przy drogach albo też ścieżkach więcej uczęszczanych. Nie tylko że mieli szkodę od koni i bydła, ale jeżeli tylko zboże lepiej rośło, to go ludzie na pewno „zaślepili”, mimo że przewidujący gospodarze wbijali gęsto pomiędzy nie gałązki, stawiali straszdyła, „ażeby się ludzkie ślepie miały na czym zatrzymać”. Psikusy i szkody robiły też i to niemal codziennie rozmaite stworzenia, których nikt nigdy nie widział i nie umiał określić. Do nich należało także „złe powietrze”, które, jeżeli przeciągało przez pola i wieś, to wszystko przepadło. Najpiękniejsze ziemniaki zaraz pożółkły, pszenica się zaśniedziła, na żyto padła zaraza, a jęczmień „nie wylazł z portek”. Za ratunek i obronę przeciw tym nieszczęściom uważano wodę święconą we wielki czwartek przy kościele, którą w drugie święto Wielkanocy kropiono wszystkie najdalej choćby położone grunta. Zwyczaj ten utrzymał się częściowo do tego czasu. Od zaśniedzenia pszenicy miały bronić spalone śmieci na polu, ale tylko w dzień św. Szczepana i pod warunkiem, że pałacy je zaszedł na pole bosymi nogami. Nie brakło też takich, co mimo mrozu i śniegu drałowali na pole położone o kilka kilometrów.

Gałązki drzewa, pobrane z kaplic urządzanych na Boże Ciało, powbijane w polu, miały chronić przed gradem i innymi klęskami. Bardzo zawsze uważano, ażeby, idąc zaułkami, nie przeleźć kołtuna, bo kołtun sprowadzał obrzydzenie, a z nim różne choroby. Jeżeli się nawet przelazło przez ten kołtun, ale go się nie widziało, to wtenczas nie było żadnych złych następstw.

Z licznych roślin szkodliwych najbardziej dla zdrowia ludzkiego były niebezpieczne bzy. Rosły one najczęściej po ciemnych kątach, mało uczęszczanych. Dotknięcie się tego krzewu powodowało kurcze, łamanie, a nawet wykręcanie rąk, nóg i innych części ciała. Pochodzić to miało stąd, że w cieniu tej rośliny ludzie zwykle składali włosy powstałe z kołtunów, z których jakoby miały bzy wyrastać. Przesąd ten przedtem bardzo rozpowszechniony utrzymał się do tego czasu w mniejszych rozmiarach. Niektórzy włosów z kołtuna nie chcieli palić ani też w inny sposób niszczyć, ponieważ to uważali za grzech, gdyż włosy były na chrzcie poświęcone; nie wiedząc, co z nimi robić, rzucali je w gęste kępki bzu.

Uprzedzenia

Niemalą rolę na wsi odgrywał stary zaściankowy konserwatyzm, niechęć i uprzedzenie do wszelkich nowości. Przyzwyczajenia stawały się nie tylko drugą naturą, jakby religią i przykazaniem, którego przestąpić nie wolno. Dotyczyło to szkoły, nauki, książki ale rozciągało się także na ubranie, mieszkanie, uprawę gruntu, narzędzia rolnicze, nasiona itp. rzeczy, mimo że one były wypróbowane i narzucały się same każdemu, choćby tylko trochę myślącemu człowiekowi. Tu już był upór wprost nie do przełamania.

W czwartym domu od naszego dorastające córki namówiły ojca do wprowadzenia podłogi w izbie, nie chcąc brnąć po błocie, jakie się tworzyło przy gospodarstwie z wilgotnego łu, stanowiącego klepisko. Ojciec się zgodził pod warunkiem, że potrzebne pieniądze córki sobie zarobią. Ucieszone dziewczęta latały za zarobkiem, gdzie mogły, tak że na jesień pieniądze były gotowe. Deski zakupiono, ale podłogi nie było. Sąsiedzi wytłumaczyli ojcu, że to pańskie zachcianki, a jego córkom poprzewracało się w głowie. Wywołało to prawdziwe piekło w spokojnej dotąd rodzinie, ale ojciec nie dał się ani tknąć, powtarzając przy każdej sposobności: „Po mojej śmierci możecie robić, co wam się żywnie będzie podobało, teraz ja rządę”.

Nie chcąc się narażać „na śmiech całej wsi”, pozdzierał także z okien firanki, które córki zawiesiły i wrzucił do pieca szmatę, którą zastawiły zasmolone i pół izby zajmujące palenisko na kominie. Przed furią jego gniewu ostał się ledwo ołtarzyk, jaki sobie dziewczęta urządziły przed obrazem Matki Boskiej, ozdabiając go kwiatami. Burczał jednak przy każdej sposobności, że on tu chce mieć „chałpę! a nie kościół”. W uprzedzeniu swoim pozostał tak wytrwały, że kiedy córka wyszedłszy za mąż, zabrała te deski i urządziła sobie mieszkanie z podłogami i firankami, długo tam nie chciał zajrzeć, kpiąc ze zięcia, że sobie daje „babie grać na nosie”.

Jednego roku przed zniwami przechodziłem ścieżką graniczną pomiędzy chłopskimi a dworskimi gruntami. Na wielkim dworskim łąnie kołysało się wspaniałe, dojrzewające żyto. Po drugiej stronie ścieżki biegły wąskie, przedzielone miedziami pola chłopskie. Stanowiły one nie tylko mozaikę rozmaitych zbóż, ale odbijały jaskrawo od dworskiego swoją jakością i kolorem. Zboże było niskie, rzadkie, zachwaszczone. Na ścieżce na wprost swojego gruntu stał jeden z gospodarzy Ignacy F., „rodzony” mój chrzestny ojciec. Przywitałem się z nim, a całując w rękę jak to było w zwyczaju, zapytałem, co robi. „Widzisz Wicek — mówię

— co się to stało z moim żytem. Przysiadły go zupełnie te cholerskie chwasty tak, że nie będzie kawała porządnego chleba”. Tak też było w istocie. Żdźbła żyta stały rzadko, natomiast pełno kąkolu, łuszczu, bławatu i różnego zielska, którego nazwać nie umiałem. Widać, że ziemia była niejałowa, bo wszystko to wyrosło jak się patrzy. Upewnił mnie w tym samym właściciel narzekając, że sobie zmarnował kilkanaście fur dobrego gnoju, wywiezionego pod żyto. Ośmieliłem się zwrócić do niego z zapytaniem: „A czy wyście, chrzestny ojcze, nie zasiali tych chwastów sami?”. „Może być, żem ich trochę zasiał, ale przecie zawsze tak siałem, a czegoś podobnego nigdy nie było. Tego roku nie miałem czasu przesiewać żyta, rozsiałem z plewami i stało się nieszczęście; baba wczoraj była na polu, obejrzała to żyto i chce mi głowę urwać, narzeka i wygaduje bez ustanku, że już nie mogę wytrzymać”.

Kiedy skończył biadanie odezwałem się jeszcze: „Widzicie, jakie to cudowne żyto ma rządca, nie ma też w nim jednego chwastu, czemu nie weźmiecie od niego na sianie?”. Skoczył jak oparzony. „Ja ze dworu? Tego nie zrobię nigdy! Był u mnie rządca i namawiał mnie, dawał mi nawet na burg albo na odrobek, ale niedoczekanie jego. Niech nam złodzieje wprzód wrócą łąki, pastwiska i wolnice, niech wynagrodzą nasze krzywdy, ale póki się to nie stanie, to do nich nie pójdę ani nic od nich nie wezmę”. Nic nie powiedziałem, bo ten niepraktyczny, ale konsekwentny chłop naprawdę mi się podobał. Nie próbowałem mu też tłumaczyć, że mógł on z pominięciem dworu miejscowego, słusznie znienawidzonego nabyć nasienie gdzie indziej. On przecie był gospodarzem, a ja czternastoletnim smarkaczem.

Wypadków podobnych można by przytaczać bez końca, gdyż całe życie wsi składało się wówczas z przesądów i uprzedzeń, za które ona płaciła bardzo drogo, a mimo to trzymała się ich tak długo i tak uparcie. Logika ta jednak chodziła różnymi drogami i bardzo często u tych samych ludzi. Wiem, że ten gospodarz zarzekający się tak uroczyście wszelkich stosunków z dworem, na przyszyły rok jako wyborca głosował na ks. Sanguszkę i wziął z lasu od niego dwie kupki drzewa jako łapówkę. Ponieważ we wsi mówiono o tym szeroko, i ja się też dowiedziałem. Spotkawszy zaś mojego chrzesnoojca, odważyłem się na zapytanie: „Gadają ludzie po wsi, że wyście wzięli dwie kupki drzewa od księcia za głosowanie, czy to jest prawda? Bo wyście mi łońskiego roku mówili, że od tych panów nigdy nic nie weźmiecie”.

Widziałem, że był w dużym kłopotcie, podrapał się po głowie i przez krótki czas nic nie mówił. Nareszcie zbliżywszy się do mnie, zaczął szeroko opowiadać o wyborach, na których ja

się nie znam, i zawyrokował, że to jest całkiem co innego, a choćby on nie wziął, to by i tak wzięli inni. Zresztą tak se urządzili chłopci w Tarnowie z całego powiatu, a najwięcej łakomi to byli górale. Ludzie we wsi pyskują tylko ze zazdrości, że oni nie dostali. Na takie argumenty nie umiałem wiele odpowiedzieć.

Ponieważ sprawa ta wciąż mnie niepokoiła, spotkawszy drugiego wyborcę, starałem się powrócić do niej. Tym drugim był Jędrzej Padło, jeden z największych gospodarzy we wsi, a przy tym czytający gazety, obrotny i wymowny. Spotkałem go jadącego z lasu, akuratnie z tym wyborczym drzewem. Niepytany wcale przeze mnie powiedział, z czym jedzie i skąd i zaczął kłąć na leśnego Głowackiego, że mu z zazdrości dał drzewo przegniłe i krzywe. Gdy się zapytałem, za co go tym drzewem obdarowali odrzekł, że on właściwie tego nie chciał, ale z chłopami nie poradzi, bo zawsze łakomi na byle co. A Głowacki kusił wszystkich jak Judasz.

Bliżsi i dalsi sąsiedzi

Najbliższym naszym sąsiadem był Józef Knapik. W całej wsi go nazywano dość pogardliwie chłopkiem, a jego żonę „zasmoloną Jagą”. Był on niesłychanie spokojny, cichy, dobroduszny, pracowity, bojący się wszystkiego, a przede wszystkim żony, równie brzydkiej jak złośliwej i nad wyraz kłótniwej kobiety. Posiadał około dwóch morgów gruntu, jedną krowę i to nie zawsze, a na równi z nami biedował. Ze wsi nie wyjechał się nigdy, bo zwykle nie miał butów ani ubrania. Żadne z nich nie chodziło też prawie do kościoła, modląc się w domu na starej, zniszczonej książce z ogromnymi drukowanymi literami. Żona chodziła na jarmark tylko wtenczas, gdy zabrakło soli i oleju, niosąc tam nie tylko parę jaj, albo garniec żyta, ale także ślady gotowanego na „denarku” śniadania. Były nimi czarne plamy na całej twarzy.

O sprawach publicznych nie można było z Knapikiem rozmawiać, bo zawsze powtarzał, że „wszystko tak będzie, jak Pan Jezus robi, a my powinniśmy cierpieć i za wszystko mu dziękować”. Mimo zupełnej nieświadomości obojga, dwóch synów, jakich mieli, posyłał regularnie do szkoły.

Ogromne we wsi zapanowało zdziwienie, gdy pewnego czasu po otrzymaniu listu z Brazylii Knapik zrobił się rozmowny i rezolutny, a w niedługim czasie wszystko, co miał sprzedać i do Brazylii wyjechał. Może po dwóch latach czasu napisał stamtąd list do ojca, chwając się, że posiada gospodarstwo stumorgowe,

ogromny inwentarz, a jego Jaga chodzi w trzewikach i kapeluszu. Można sobie łatwo wyobrazić, co ludzie o tym myśleli i mówili.

Sąsiadem naszym z drugiej strony był Kazimierz Gdowski, dla swojego drobnego wzrostu nazywany przez całą wieś „Kaźmierkiem”. Chłop z gruntu dobry, filozoficznie nastrojony, lubiący unikać roboty i wyręczać się w niej kim innym, a szczególnie żoną, energiczną i mocno krzykliwą kobietą o niezwykle długim i ostrym języku. Miał on jednak dobry sposób obrony, bo gdy ona zaczęła trąkotać, brał na siebie stary kozuch, szedł do ojca, mieszkającego o kilka domów dalej i nie wracał tak długo, dopóki się zupełnie nie uspokoiła. Współzycie z nami było nieco naprężone, miał bowiem pięć morgów pola i uważał się za coś lepszego, czego ojciec nigdy nie chciał uznać. Ponieważ na wspomnienie o jego niskim wzroście bardzo się obrażał, parobcy i wyrostki często mu tym dokuczali, śpiewając przed jego oknami piosnkę w formie nieprzyjemnej dorady. „Kaźmierzu, Kaźmierzu, Macie portki długie, Urznicie na dole, Będziecie mieć drugie”.

O dwa domy dalej mieszkała bardzo liczna rodzina Rozmusów, którą złośliwie we wsi nazywano „Siobakami”. Co w tym było ubliżającego, nie wiem, choć cała ich rodzina bardzo się tą nazwą obrażała. Stary Wojciech Rozmus, ogromny chłop, dobrze już pochylony i mocno posiwiaty, pocziwy nad wyraz, pragnął żyć w zgodzie ze wszystkimi, czego dawał bardzo liczne dowody. Złym duchem nie tylko tego całego domu, ale znacznej części wsi była jego druga żona, pochodząca ze wsi „od kościoła”, którą wszyscy we wsi uważali nie tylko za wcieloną diabolicę, ale też za czarownicę, mającą z diabłem stałe i jak najlepsze stosunki. Wierzono i to bez wyjątku, że ona temu winna, że krowy chorowały, doły krwią albo też zupełnie nie dawały mleka. Wszyscy ją widzieli jak bez spódnicy obchodziła trzy razy dokoła dane gospodarstwo i pluła na progu. Miało to oznaczać zaczarowanie domu i wszystkiego w nim. O to były też częste kłótnie, których odgłos dochodził do drugiego końca wsi i w których „czarownica” zawsze była górą, gdyż w pomoc przychodziły jej liczne pasierbice i córki, również pyskate i ordynarne, jak i ona. Padały tam najobrzydliwsze, nie dające się powtórzyć wyrazy, obelgi i oskarżenia. Wywlekano nie tylko najdrażliwsze momenty z życia rodzinnego, stare i nowe grzechy, opisy i pomiary wszystkich części ciała, ale robiono to tak głośno, że, jak ludzie powiadali, było słychać wszystko „na dwie mile”. Gdy rozjuszona kobiety nie mogły się przekrzyknąć, jedna i druga ich gromada, jakby na komendę obnażała tylną część ciała i pokazywała drugiej ku wielkiej ucieście nagromadzonej i rozbawionej gawiedzi, która

bardzo dobrze zapamiętała sobie rozmaite szczegóły i opowiadała o nich aż do drugiej, podobnej wojny. Takie swary zbiorowe, długie i zacięte powtarzały się prawie codziennie po całej wsi. Po nich szły gniewy, trwające nieraz całymi latami. Ludzie chodzili koło siebie jak martwe posągi, a mowę przywracało im dopiero jakieś nieszczęście lub choroba, w czasie której jeden zbliżał się do drugiego.

Niedalekim naszym sąsiadem był Jędrzej Skura, wysoki, prosty, tęgą mężczyzna, rówieśnik w latach mojego ojca. Pochodził on z „gruntu” jak i mój ojciec, razem z nim odbywał służbę wojskową i przeżył wojnę pruską, miał dwie morgi i takiego samego mokradła, a klepał biedę jeszcze gorzej od niego. Z moim ojcem pracowali razem jako cieśle, kosiarze, obaj się zgadzali i pomagali sobie nieraz, ale się też i często kłócili. Powodem była konkurencja zarobkowa. Ojciec zręczniejszy zarabiał więcej i lżej, czego Skura nie mógł w żaden sposób ścierpieć, sam będąc ogromnie pracowity, zapobiegliwy, a przy tym niesłychanie ambitny. Miał żonę, która dla niego była prawdziwą codzienną udręką. We wsi nazywali ją wszyscy „śpiącą Uliną”. Dobra, cicha, spokojna, ale nigdy nie wiedziała, co i kiedy robić należało. Zdarzało się bardzo często, że spracowany, zziębnięty, głodny mąż przychodził na obiad, a ona zaczęła dopiero z łóżka wstawać, dziwiąc się, że już „słońko wyszło tak wysoko”. Stąd powstawały kłótnie, a często i mocne sponiewieranie nieporadnej kobiety. Dzieci mieli czworo, samych chłopaków. Matka nie dbała o nich zupełnie. Chodzili prawie nago, rzadko co zjedli, grzali się do słońka w lecie, zasypiali nieraz w pokrzywach. W zimie zaś w takim samym ubraniu i boso całymi dniami stali na lodzie, kłapiąc zębami od zimna. Tak się do tego dzikiego życia przyzwyczaili, że gdyśmy później jednemu z nich, jedenastoletniemu Jaśkowi naciągali po raz pierwszy spodnie, to zemdłał z przerażenia. Z najstarszym synem Skury, Józefem, żyłem w wielkiej przyjaźni, która się skończyła z chwilą jego wyjazdu z kraju.

Stary Skura, żarty nędzą i stosunkami, pchany niepohamowanym pragnieniem innego życia, postanowił wyjechać do Ameryki, o której już dochodziły różne i to wprost cudowne wieści. Nie mając jednak dostatecznej gotówki, sprzedał ostatnią krowę i mimo rozmaitych przeszkód i trudności doszedł piechotą do Hamburga, dobił się tam na okręt, którym za pewną zapłatą i wykonywaną posługą dojechał do Ameryki. Nie mając za co jechać dalej, przyjął służbę u farmera w bliskości New Yorku. Co parę miesięcy przysyłał regularnie po kilkadziesiąt dolarów żonie. Mogła teraz okryć chłopaków i choć późno posłać ich do szkoły. Sama się też zmieniła do niepoznania. Wróciła jej ochota do

życia i pracy. Po paru latach Skura wrócił z dość pokaźną sumą dolarów, za które kupił parę morgów gruntu, inwentarz żywy i martwy, przerobił budynki, urządzając sobie wcale ładne gospodarstwo. Był też w dziesiątym niebie, szczęśliwy i zadowolony. Chwalił się też nieraz z tym do mnie.

Los nienawistny ścigał go jednak dalej. Pojechał do lasu po ostatnie drzewo, potrzebne do budowy stajni, dostał zapalenia płuc i mimo pomocy lekarskiej umarł na trzeci dzień. Piszząc mu testament, widziałem, jak się mocował z chorobą, gdy łzy gęste spływały mu po twarzy, a drgające usta wyrzucały na przemian jęki lub przekleństwa. Momentu tego nie zapomniałem nigdy tym więcej, że lubiłem go zawsze, a on miał także do mnie jakąś specjalną słabość.

Inny typ chłopca stanowił gospodarz nazwiskiem Szymon Koziół. Posiadał on dziesięć morgów gruntu i był od Skury o parę lat starszy. Wysoki, siwy, nieogolony, pobożny, ale niezależnie myślący. W odróżnieniu od tamtego umiejący czytać i pisać, znający na pamięć wszystkie żywoty świętych, pieśni, modlitwy, kołędy, szukający wciąż prawdy i sprawiedliwości, oburzający się na panów i księży za brak sumienia i zdzierstwo. Charakteryzując postępowanie proboszcza, zawsze się powoływał na jakiegoś świętego, który wręcz robił co innego. Nieraz opowiadał mi szeroko o strasznych praktykach pańszczyźnianych, które przechodził jego ojciec Paweł, ślepy, dziewięćdziesięcioletni starzec, a na które on sam patrzył jako młody chłopiec. Szczególnie bolało go zabranie chłopom łąk i serwitutów i był też przekonany, że kara Boża za to nigdy książąt Sanguszków nie minie. Choć należał do wszystkich bractw kościelnych i sumiennie trzymał się przepisów, gazetkę księdza Stojałowskiego czytał wieczorami, nie pokazując jej nikomu. Ze mną, mimo wielkiej różnicy wieku, rozmawiał często i bardzo chętnie, popierał mnie na każdym kroku i dożył mojego wyboru na wójta i na posła do sejmu galicyjskiego. Był też z tego ogromnie dumny.

Uwagę moją zwracał zawsze, gdy chodziłem do ciotki Ogarowej, Antoni Buchacz, gospodarz z przysiółka Trzedniaki. Jak go poznałem, miał już przeszło siedemdziesiąt lat, co mu nie przeszkodziło w ciągu jednej doby zrobić wycieczkę do Krakowa oddalonego o dziesięć mil, ażeby tam wstąpić do sklepu, kupić parę chusteczek, czasem różaniec, i wrócić w ten sam dzień do domu.

Człowiekiem, którego znało każde dziecko w gminie był Jędrzej Podlasek. Jeżeli nic nie umiało powiedzieć o nim, to każde wiedziało na pewno, że Podlasek był „kościelnym złodziejem”. Średniego wzrostu, miał białą od starości głowę, twarz czerstwą bardzo sympatycznie wyglądającą, mądre i niezwykle ruchliwe

oczy. Ubrany zawsze był w zimie w długi, biały kozuch, w lecie zaś w prasowaną bielutką płótniankę. Na głowie nosił tak w zimie jak w lecie nową czerwoną czapkę. Dużo umiał i wiele pamiętał. Potrafił zarabiać, ale nigdy nic nie ukradł, krzywdy nie zrobił nikomu, a tym mniej kościołowi. Ten zaś niezasłużony tytuł „kościelnego złodzieja” powstał stąd, że mając dużą pasiekę, przez długie lata dostarczał do kościoła świece woskowe za umówioną z proboszczem zapłatę. Za wcześniej i za wysoko wyrósł ponad poziom i to mu obrzydzało życie, bo ani jego, ani roboty, którą prowadził, nikt nawet z najbliższej rodziny nie mógł zrozumieć.

Pamiętał jeszcze rok 1831 i wiele nazwisk powstańców, patrzył na rabację w roku 1846 i należał do tych, co obronili dwór w Wierzchosławicach od napadu gromady obcych chłopów. Szele widział osobiście kilka razy w Tarnowie, rozmawiał z nim i zachował dla niego bardzo duży sentyment. W roku 1863 pomagał przewozić do Królestwa tak broń jak i powstańców. Sam też jeździł kilkakrotnie z nimi pod miasto Opatowiec, zawsze tylko nocą. Nie bardzo sobie mógł zdać sprawę z tego, że prawie z gołymi rękami porywali się na moskiewską potęgę. Nie mógł nigdy przeboleć utraty przez chłopów łąk i pastwisk jak i serwitutów, uważając ich zabranie za zwyczajny rabunek. Patrzył dość długo na niewolę pańszczyźnianą, z gniewem i oburzeniem opowiadał o okrucieństwach, na chłopach przez różnych ekonomów dokonywanych. Pokazywał mi nieraz chodzącego na kulach starego chłopca Żmudę, który sobie nogi powyrywał przy traktowaniu gliny we dworze i któremu nie dano bodaj marnego zaopatrzenia. Nienawidził wszystkich panów, a jeszcze więcej księży, mimo że codziennie przesiadywał w kościele i był u proboszcza dostawcą. Księżom specjalnie nie mógł darować dziesięciny, którą był zmuszony dawać, a jeszcze więcej praktyk przy tym stosowanych. Posiadał sporą książkę z zapiskami rozmaitych zdarzeń tak ogólnych jak i jego życia dotyczących, którą chował bardzo pilnie przed oczyma domowników, a szanował ją jak jaką relikwię. Mnie ją pokazał kilka razy, ale tylko z wierzchu, obiecując, że mi ją po śmierci podaruje. Nie wiem, co się z nią stało, gdyż umarł nagle w czasie mojego pobytu we Lwowie jako posła na Sejm. Pytana przeze mnie jego rodzina nie umiała mi nic o tym powiedzieć.

Bardzo mało zapamiętałem największego, a podobno i naj-mądrzejszego gospodarza we wsi Tomasza Pochronia. Słyszałem tylko narzekających na niego chłopów, że się sprzedał księciu Sanguszcze jako pełnomocnik gminy za trzy morgi łąki przy pertraktacjach o serwityty i uprawnienia leśne. Wszyscy we wsi byli

przekonani, że jego wczesna śmierć była karą Bożą, „bo go ludzie przezemścili” za swoje krzywdy. Wyróżniał się tym od innych, że gospodarował bardzo dobrze, dwóch synów posyłał do gimnazjum w Tarnowie, pierwszy zaś na całą okolice pobudował dom o czterech izbach i trzymał na stacji „panów”, którymi bywali praktykanci, zajęci w lasach sanguszkowskich.

W osobie Walentego Mogielskiego, przysiężnego gminnego, a równocześnie jedenastomorgowego gospodarza, widziałem po raz pierwszy władzę. Symbolizowany ja u niego surowa, zawsze pomarszczona twarz i gruba laga, którą stale nosił i bardzo często nią się posługiwał, broniąc porządku, spokoju, a później i własnej osoby. Był jednym z najlepszych we wsi gospodarzy, a przy tym niezwykle uczynny. Do mnie miał jakieś uprzedzenie, jakby przewidywał, że ten urząd obejmę i to akuratnie po nim. Gdy się to stało, gniewał się z początku, ale później był zupełnie zadowolony i starał się pomagać mi wszędzie. Niewielkie to zresztą było dostojenstwo. Dawało ono pięć reńskich rocznej pensji i zwalniało od darowizny i pełnienia nocnej warty po wsi.

Do ojca przychodził często gospodarz Paweł Kwapniewski, którego wszyscy we wsi z przekąsem nazywali „szlachcic”. Posiadał siedmiomorgowe gospodarstwo, rządził się dobrze, chociaż starał się zawsze jak najmniej pracować. Palił prawie bez przerwy fajkę na dużym cybuchu, starannie zawsze wyczyszczoną i bardzo przez niego szanowaną. Ubierał się czysto i starannie i pierwszy w gminie pozbył się kozucha, zakupiwszy w Tarnowie jakiś czarny surdut. Jako syn bogatego gospodarza i wójta przyzenił się do „głuchej Kaśki Knapikówny”, ażeby jako samodzielny gospodarz uniknąć służby wojskowej. Mimo swojego szlacheckiego pochodzenia nie umiał ani jednej litery i dzieci też do szkoły nie posyłał. Sprawami publicznymi chętnie się zajmował, sam jeden z przysiołka na wybory chodził i u nas przesiadywał całymi wieczorami, połykając z ciekawością każde słowo z czytanych przeze mnie książek i gazet. Własnego niezmiennego zdania nigdy nie miał, ale każdemu przychwalał słowami: „juści, juści”. Miał bardzo duże poczucie honoru i nigdy nic niewłaściwego nie zrobił. Miano mu jednak za złe, że uchylając się od każdej cięższej pracy, obarczał nią swoją żonę i zniedołężniałych szwagrów, starych kawalerów.

Człowiekiem zawsze filozoficznie nastrojonym był Alojzy Bartnik, nazywany we wsi „rydzem”. Siedział na piętnastu morgach ziemi położonej pod lasem, miał pasiekę największą w całej okolicy, wypasał bydło, a szczególnie woły i sprzedawał je za dobre pieniądze. Lubił się zajmować drobną polityką, a jak we wsi gadano, całe życie swoje „chorował na wójta”. To mu się

jednak nie udało, wójttem nie został nigdy, ale za to zrobiono go asesorem gminnym z płacą pięć reńskich rocznie wynoszącą, a przeznaczoną na buty. Urząd ten nie tylko że mu zapewniał władzę w przysiołku, ale uprawniał do brania udziału w sądach gminnych i wszystkich wójtowskich libacjach, którymi nie gardził. Do pracy osobiście się nie rwał, wolał do niej zaprzęgać innych, a sam żyć zapobiegliwością, co u nas oznaczało „lekki chleb”. Że był zapobiegliwy, to cała wieś miała namacalny dowód, bo gotówką wywianował trzy córki, dokupił parę morgów dobrego gruntu, a synowi zostawił całe i to znacznie powiększone gospodarstwo. Jeden z pierwszych zaczął czytać gazety ludowe i wychylać głowę na świat. Lubił nadzwyczaj żarty i anegdoty, mając ich stale niewyczerpany zapas. Tworzył je też sam na poczekaniu, kpiąc w nich z ludzi w żywe oczy i to tak zręcznie, że się ci ludzie sami ze siebie śmiali, nie wiedząc, że się to właśnie do nich odnosi.

Konkurentem jego na polu polityki gminnej był gospodarz i niedaleki sąsiad, Szymon Skura. Krawiec z zawodu, mający tylko igłę za cały majątek, ożenił się do gruntu dzięki swej urodzie i dużemu, wrodzonemu sprytowi. Służąc przez kilka lat przy wojsku, nauczył się czytać i pisać po polsku, a niemieckiego języka używał tylko wtenczas, kiedy był mocniej podпиты. Gospodarował bardzo dobrze i sporo ziemi dokupił. Zajmował się sprawami gminnymi, choć rzadko do wielkiego ołtarza był dopuszczany. Czytał niekiedy książki i gazety i dość dużo wiedział i umiał. Jako członek rady gminnej czasami próbował się przeciwstawić gospodarce wójtów, ale protesty jego tonęły zwykle w poczęstunkach przez wójta urządzanych.

Rówieśnikiem mojego ojca i kolegą z długiej służby wojskowej był Wawrzyniec Solak. Gospodarował na sześciu morgach gruntu, które odziedziczył po ojcu, za żoną nie dostał nic, gdyż ją wziął tylko „z urody”. Bardzo rozumny, niezwykle pracowity, przeważnie milczący, został trochę zahukany przez żonę, która nie tylko że mówiła wiele, ale i niegłupio, a przy tym wcale nie wiatr. Niezwykłą pracowitością i oszczędnością doprowadzoną do ostatnich granic dorobił się znacznego majątku, mimo ciężkich czasów. Czytać i pisać nauczył się sam i bardzo sobie tę naukę cenił, zaglądając do książki, gdy tylko znalazł wolną chwilę czasu. „Honor”, jaki miał we wsi, popsuł sobie trochę przez dojenie krów, bawienie dzieci i zajmowanie się w zastępstwie żony gotowaniem, co było uważane wtenczas za rzecz niedopuszczalną dla szanującego się mężczyzny.

Chłopem tak zwanym „światowcem” był imiennik Solaka, znacznie starszy od niego kolega. Wydziedziczony przez ojca z

gruntu za pobicie go poszedł w świat w nocy, nie mówiąc nic nikomu. Po paru latach wrócił jako wyuczony, doskonały cieśla wraz z żoną i trojgiem dzieci. Z łaski najmłodszego brata osiadł w dawnym domu ojca, który od dawna już nie żył. Nie mogąc wytrzymać z żoną „zawiślanką”, nazywaną tak dlatego, że pochodziła zza Wisły z miejscowości Wiślica, Herodem kobietą, wyjechał do Ameryki, gdzie bardzo dobrze zarabiał. Za pieniądze przysyłane stamtąd żona odkupiła znaczną część ojcowskiego gospodarstwa, oddając je dzieciom.

Zawsze ze zgrozą patrzyli ludzie na gospodarza Jana Bąka z Woli. Pochodziło to stąd, że dzięki fałszywej przysiędze w sądzie przez niego i jego żonę złożonej, odebrał on grunt rodzinie Icaków i osiadł sam na nim, wyrzucając ich niemiłosiernie. Wszyscy byli przekonani, że z powodu tej fałszywej przysięgi i krzywdy uczynionej wszystkie nieszczęścia spadały na niego i nigdy się nie mógł niczego dorobić. Stąd grad młócił mu zboże, padały konie i bydło, piorun trafiał w dom, stodołę, a choćby tylko w lipę, choroby nawiedzały rodzinę, żona jego nie mogła przez dwa dni skonać, a wreszcie pasierb zamordował jego jedyne go syna. Ten ostatni wypadek złamał tak żelaznego człowieka, jakim był Bąk. Zaczął on sam wierzyć w wyraźną karę Bożą i niesłuchanie się tym martwić, radząc się niejednego, co on z tym wszystkim biedny ma robić. Dawniej było inaczej, bo ku ogólnemu zgorszeniu, gdy ksiądz groził mu karą piekielną, śmiał się z tego i odpowiadał, że i w piekle będzie dobrze, jak się człowiek do tego przyzwyczai. Nie mógł jednak już nic zmienić i umarł trawiony jakąś dziwną chorobą.

Przedmiotem ogólnego lekceważenia, a nawet pogardy byli we wsi trzej gospodarze: Błażej Rzymek, Kazimierz Bogusz, zwany „Kamierą” i Ignacy Bryl. Pochodziło to stąd, że często zaglądali do karczmy, a sprzedając po kawałku gruntu, stracili prawie wszystko, pomagając sobie potem nawet kradzieżą. Szczególnie dotyczyło to Rzymka i Bryła, gdyż „Kamiera” trzymał się znacznie lepiej i gruntu nie sprzedawał, mimo strasznej nędzy, jaką przechodził z rodziną. O Rzymku ułożono sobie nawet krótką piosenkę, śpiewaną przez dzieci i starszych, która brzmiała: „Dobrze Rzymek zrobił, że posprzedał pole, Nie będzie nic robił, Będzie s... w stodole”.

Kazimierz Bąk z Woli, jeden z większych gospodarzy, był typowym przedstawicielem ówczesnych urzędowych stosunków gminnych. Śmiano się z niego, że się już urodził „urzędnikiem”, lecz równocześnie miano respekt dla jego władzy, która w całym przysiółku sięgała do ostatnich zakamarków każdej rodziny. Mały

wzrostem, nadrabiający miną, zawsze starannie ubrany, mało się zajmował gospodarstwem, co nieraz sprowadzało do domu bardzo ciężki przednówek. W każdy dzień prawie, „już kawał na dzień”, ubrany w białą płótniankę i czerwoną czapkę w lecie, w zimie zaś w kożuch, uzbrojony w urzędową laskę udawał się do wójta po rozkazy i papiery, które miał roznosić po wsi. Jeżeli się trafiła jaka komisja albo sąd, to brał w nich udział, a następnie z innymi przysiężnymi i wójtem szedł na poczęstną, trwającą zwykle do późnej nocy. Nazajutrz znowu to samo. Za to liczną rodzinę ścigał głód prawie już od nowego roku.

Osobnikiem godnym uwagi był Kazimierz Boryczka, gospodarz na czternastu morgach gruntu, a równocześnie leśny księcia Sanguszkii. Był on najstarszym człowiekiem we wsi, najwięcej też umiał i najwięcej wiedział. Pamiętał dobrze zarówno powstanie z 1831 jak i 1863 roku. Znał ich przebieg i opowiadał mi wielokrotnie o tym, wymieniając setki nazwisk rozmaitych powstańców. Był też zajęty przez parę tygodni we dworze w Wierchosławicach przygotowaniem broni, wozów, lekarstw i innych rzeczy, dla powstania potrzebnych. Nikomu jednak nic o tym nie mówił, bo go wiązała złożona w piwnicy kościoła przysięga. Przebieg rzezi w roku 1846 znał dokładnie, jak również nazwiska pomordowanych szlachciców. Szelę widział niejednokrotnie w Tarnowie, rozmawiał z nim i uważał go za bardzo mądrego chłopca, żałował tylko, że się dał uwieść staroście tarnowskiemu Breindlowi i pociągnąć do jego piekielnych planów. „Chatę” i „Nowiny” czytał od dawna, ale tylko dla siebie, bo sąsiedzi nie chcieli „głupstw” tam pisanych słuchać. Zawsze pił wódkę i zawsze był trzeźwy. Mimo drobnej budowy ciała, odznaczał się wielką wytrzymałością i niezwykłą pracowitością. W całej wsi był lubiany tak dla swego charakteru jak i przyjacielskiego postępowania ze wszystkimi. W lesie, mającym tysiące morgów obszaru, nie było jednego sążnia gruntu, którego by Boryczka nie znał na wylot. Wiedział też dokładnie, ile w lesie gnieździ się dzików, lisów, sarn, a nawet zajęcy. Lasu nie opuszczał nie tylko we dnie, ale bardzo często i w nocy, drzemiąc gdzieś pod dębem albo też w budzie, zbudowanej dla leśnych na tak zwanym „Śledziowskim”. Wódkę przywożoną mu w upominku przez ludzi, przyjeżdżających z zagranicy, to znaczy z Borzęcina, Bielczy, Łęk, Przyborowia, Szczurowy itp., chował pod pnie drzew i choć flaszek były tuziny, nigdy się nie zmylił i każdą odnalazł. Starzy leśniczowie byli dla niego zawsze z wielkim respektem, młodszy wyrzucali mu nieraz pijaństwo i próbowali strofować, na co on, chwiejąc się na nogach, bardzo mocno reagował, stawiając pod znakiem zapytania, kto jest pijany, leśniczy czy on.

Bardzo często, idąc do roboty, wcześniej rano już o dwa kilometry słyszałem Boryczkę, śpiewającego jakąś zwrotkę godzinek albo też: „Patrz Kościuszek na nas z nieba”. A gdy się do niego zbliżałem, wynosił flaszkę wódki i kawał kielbasy, próbując mnie częstować z niesłychaną uprzejmością. Gdy mu raz powiedziałem żartem: „Kazmierzu, nie wypada, abyście po pijanemu wzywali Kościuszkę i to z nieba jeszcze”, Boryczka odrzekł: „Kościuszek pił także, to i mnie daruje”. Do samej śmierci trzymał się krzepko, a będąc już na emeryturze, większą część czasu spędzał w lesie i miał jedno tylko zmartwienie, mianowicie: nie mógł pełnego kieliszka wódki donieść do ust wskutek trzęsących się rąk. Mimo wiecznego moknięcia w spirytusie dożył bardzo późnego wieku, zachowując pełną świadomość. Wychował też z dwóch żon dwanaścioro dzieci, dorodnych i zdrowych.

W każdą niedzielę wieczorem, a czasem nawet i w dzień powszedni odwiedzał ojca gospodarz ze sąsiedniej wsi Niwki, Mateusz Bartnik, nazywany „Rydz”. Pochodził on z Wierzchosławic, a na Niwce przyżenił się do większego gospodarstwa. Patrzyłem na niego zawsze z wielką ciekawością, ale też i z pewną obawą. Więcej niż średniego wzrostu, krępy i silny, z piękną, ogoloną, marsowo wyglądającą twarzą, ogromnymi wąsami i zawsze z fajką rzeźbioną w ustach, budził we mnie respekt, ale i postrach równocześnie. Wiedziałem bowiem, że był on w okolicy uważany za największego siłacza i bitnika, a nawet matka po cichu mi opowiadała, że jakiegoś chłopaka jakoby wyprawił na tamten świat. Ojciec go lubił, ale równocześnie narzekał, że zawsze przynosi flaszkę wódki, którą musi z nim wypić, gdyż inaczej byłaby awantura, a on jej nie chce wywoływać. Nie wiadomo, skąd Rydz brał pieniądze na stałe pijatyki, gdyż siedział na dziedzińcu morgach piaszczystej ziemi i gospodarstwem mało się zajmował. Był też niesłychanym wprost postrachem na Żydów, którym nieraz kazał gołymi kolanami chodzić po grochu, rozsypałym na karczemnej podłodze. Drżeli ze strachu przed nim także chłopcy, gdyż ich z karczmy wyrzucał „na nodze” i nie śmieli nigdy na niego się porwać. Niepośledni rozum i bardzo wybitne zdolności utopił we wódce i awanturach, będących do samej śmierci jego żywiołem. Gruntu jednak nie sprzedał ani jednego zagona.

W każdą niedzielę przy kościele parafialnym gapiliśmy się na ogromnego chłopca o potężnej budowie ciała i szerokiej, czerwonej jak burak twarzy, ubranego w białą płótniankę sztywnie wyprasowaną i nową czerwoną czapkę niedbale na głowę nałożoną. Był to Andrzej Solak, wójt z Bogumiłowic, arystokrata chłopski całą gębą. Wójtował w swojej gminie przez kilka ka-

dencji i pił codziennie najmniej za dziesięciu. Bogumiłowicom wyrządził bardzo duże szkody, może nawet mimo woli, gdyż z gruntu był dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Gospodarstwo trzydziestomorgowe utopił prawie całkowicie w piwie. Dożył bardzo późnego wieku, bo przeszło osiemdziesięciu lat, a pić przestał na parę dni zaledwie przed śmiercią. W sprawach politycznych zachował zawsze niezależność, nie dając się pociągnąć żadnym pokusom ani też złamać rozkazom.

Pomiędzy wszystkimi niezwykle oryginalny wyjątek stanowił mieszkaniec gminy, Jan Głowacki. Gdy go poznałem, był leśnym w majątku księcia Sanguszki i miał podobno wielkie łaski i wpływy u samego właściciela. W lesie mu przydzielonym rządził się jak udzielny książę, żaden zwierzchnik nie miał mu nic do rozkazania ani do powiedzenia. Bo też do zupełnie innych celów był przeznaczony i używany, a nie do służby w lesie. Nie tylko trzymał gminy okoliczne w karbach, ale szeroko i skutecznie agitował przy każdych wyborach. Chodził też w delegacjach do biskupa, namiestnika, a nawet do ministrów jako przedstawiciel okolicznego włościaństwa. Jeździł także z pielgrzymką do Rzymu, skąd przywiózł wiele niepochlebnych wiadomości nawet o samym papieżu, rozповідаjąc je szeroko.

Wszyscy we wsi wiedzieli, że Głowacki to nie jest wcale prostej kobyły źrebię, a niektórzy mówili po cichu, że był on nieprawym synem jakiegoś szlachcica, bliskiego krewnego samego księcia Sanguszki. Młodość miał bardzo niespokojną. Jako student tarnowskiego gimnazjum w roku 1863 poszedł do powstania. Nie wytrzymał tam jednak długo, bo już po paru tygodniach był z powrotem. Wrócił na wieś gdzie zamieszkał na komornym razem ze swoją matką. Do szkoły nie chciał w żaden sposób wrócić. Matka miała z nim codziennie niemało i to ciężkich kłopotów. A to nie tylko z powodu jego wymagań, których nie mogła w żaden sposób zaspokoić, ale więcej ze względu na wybryki i awantury, codziennie przez niego we wsi urządzane. Trzpiotowatość i awanturniczość wrodzona pchały go do różnych psikusów, których ofiarą padały nie tylko psy, konie, studnie, narzędzia rolnicze, Żydzi, ale nawet dwór i plebania. Ulżyło się wszystkim, gdy najnie spodziewaniej na świecie awanturnik i zabijaka Głowacki dostał tak poważne stanowisko u Sanguszków. Mając spore dochody i pieniądze, mógł sobie pozwolić niemal na wszystko. Toteż zmienił się pod wielu względami niemal momentalnie. Zaczął prenumerować gazety, zakupywał masowo rozmaite książki. Sam podobno niewiele czytał, ale je gromadził i szanował. Ludzie sobie opowiadali, że biblioteka jego zajmowała cały bardzo obszerny pokój książęcego domu.

Gdy go poznałem, był jeszcze w sile wieku. Wzrostu średniego, twarz okrągła, czerwona i otyła, a duży wystający brzuch wyróżniał go ogromnie od cienkich, suchych, wybidzonych chłopów. Ubierał się w płótniankę prasowaną lub też krakowską sukmanę, polskie buty i czapkę czerwoną, zawsze na bakier na głowę nałożoną.

Między chłopami miał opinię człowieka dobrego, ale niesłuchanie porywczego i gwałtownego. Nigdy też nie można było wiedzieć, czy on, zbliżając się do kogo, uściska, a nawet go czymś obdaruje, czy też bez żadnej przyczyny sprzeklina i zelży albo, co gorsza, wysmaruje potężną, sękatą lagą, którą zawsze nosił ze sobą.

Figle młodzieńcze nie opuszczały go nigdy. Zdarzało się nieraz, że Głowacki, wracając wczesnym rano z karczmy po całonocnej libacji, napoił byka spirytusem, a gdy zwariowane zwierzę szalało po całej wsi, ludzie zaś uciekali, gdzie kto mógł, Głowacki klaskał w dłonie i śmiał się do rozpuku. Dla odmiany nierzadko wóz sąsiada znalazł się na wierzchu domu albo też dyszlem w studni. Sąsiedzi jego zawsze rano ostrożnie otwierali drzwi, nie wiedząc, czy im na głowę nie spadnie drzewo, albo inny przedmiot, oparty na nich. W karczmie codziennie prawie szukał amatorów, którym za każde uderzenie w twarz płacił kwaterkę wódki. Chętnych nie tylko nie brakowało, ale tak przybywało, że musiał nareszcie tego eksperymentu zaniechać, bo go zbyt drogo kosztował.

Od czasu do czasu ukazywały się na murze kościelnym plakaty z obrzydliwymi paszkwilami na proboszcza, a gdy ten z ambony już to żalił się, już to gromił sprawcę, grożąc mu karą piekielną, Głowacki oburzał się najwięcej, choć wszyscy wiedzieli, że on na pewno był ich autorem.

Gminą rządził zupełnie niepodzielnie. Bez jego woli nic się stać nie mogło. Ulegała mu cała rada gminna. Jego wolę spełniał bez zastrzeżeń każdy wójt, wiedząc dobrze, że władza jego zależała w całości od tego potentata i że on może pokryć wszelkie jego nadużycia, a nawet kradzieże. Chłopi mu wszyscy ulegali i kłaniali się nisko, ale tylko ze strachu, bo w gruncie rzeczy go nienawidzili, trzymając się możliwie najbardziej z daleka. Żaden też nigdy do niego nie poszedł po książkę albo gazetę, choć ich często do tego namawiał.

Jedyny wyjątek pod tym względem stanowił Maciej Głowacki, gospodarz na paru morgach piaszczystego gruntu i krawiec równocześnie, którego specjalnością było robienie białych płótnianek. Był on niedalekim sąsiadem leśnego Głowackiego i żył z nim zupełnie „za pan brat”. Stąd miał też prawo wybierania sobie książek z jego biblioteki, kiedy i ile chciał i czytania gazet

przedtem jeszcze, nim Głowacki wziął je do ręki. Mimo dużej zależności materialnej od Głowackiego, miał wobec niego zawsze własne zdanie i nieraz wszechwładnemu kacykowi powiedział bez ogródek nawet nieprzyjemną prawdę. Książki i gazety nie tylko czytał, ale się gorąco nimi przejmował i mimo drwin sąsiadów starał się wiadomościami zebranymi z nimi dzielić. Można by śmiało powiedzieć, że był on wówczas prawie jedynym świadomym chłopem-Polakiem na dużą okolicę. Do ojca przychodził często, ze mną przestawał bardzo chętnie, ja go też nierzadko odwiedzałem. Z początku dawał mi rady i wskazówki, później sam do mnie przychodził po nie. Z pasją prawdziwą lubił szyc swoje płótnianki, ciesząc się, że tym sposobem podtrzymuje na wsi strój narodowy.

A jednak nie ma reguły bez wyjątków. Toteż wielką i długo niezapomnianą sensacją dla wsi było, gdy się znalazł śmiałek, który się Głowackiemu postawił. Był to Stanisław Biały, poważniejszy gospodarz z Dwudniaków, który, gdy go Głowacki swoim zwyczajem uderzył na przywitanie laską w rękę, dotknięty tym na honorze i ośmielony bólem skoczył do niego z zaciśniętą pięścią i nie zważając na tłum ludzi krzyknął na Głowackiego: „Ty, psiakrew, kamelo, chodzisz jak bodziący byk i poniewierasz tych biednych ludzi jak psów”. Głowacki się ani jednym słowem nie odezwał, choć wiedział, że wiele stracił na powadze, a Biały nie chcący wyrósł na bohatera, gdyż na to zajęcie patrzyło ze dwie setki ludzi. Naśladowców jednak nie było, choć Głowacki hulał po dawnemu.

Kobiety

Jeśli mężczyźni mało wychylali głowy poza swoje zagrody, a już bardzo rzadko poza swoją wieś, to kobiety siedziały poważnie kamieniem w domu, przykute do swoich obowiązków, nie mieszając się na pozór do niczego. Od tej ogólnej zasady trafiały się jednak nierzadkie wyjątki. Wszyscy wiedzieli, że nieraz pani wójtowa chodzi w spodniach, że pan naczelnik gminy kieruje się często jej radami, a mszcząc się na różnych ludziach, wypełnia tylko jej wolę. Wodziły też kobiety rej na weselach i chrzcinach, a nie wahały się niektóre zamalować kogoś w gębę, jeżeli było potrzeba. Umiały sobie też dawać radę na wypadek śmierci męża, gospodarząc nieraz nie gorzej od niego i wychowując dzieci z wielką starannością i nie mniejszym trudem. Oczywiście miały one dobre, ale też i swoje złe strony. Aczkolwiek gospodarz i mąż miał dominujące stanowisko w domu i on for-

malnie rządził, to jednak zdarzało się, że ten przywilej był raczej nominalny, gdyż żona umiała go nieraz zupełnie zdystansować.

Taki stosunek istniał w gospodarstwie Karola Bodziacha na Dwudniakach. Żona jego, z domu Solakówna, siostra wyżej wymienionego Wawrzyńca, potrafiła go nie tylko zupełnie opanować, ale tak dokuczyła spokojnemu Bodziachowi wiecznymi procesami i awanturami, że oddając jej gospodarstwo, umknął do Ameryki i więcej się we wsi nie pokazał. Prowadziła ona zaciętą walkę z urzędem gminnym i dużo się przyczyniła do wstrzymania różnych jego zapędów. Znała się na wielu ustawach, przegadala nieraz sędziego i adwokata. Włóczona po sądach przez wójta i jego popleczników, broniła się zaciekle. Ponieważ jednak siła chodziła przed prawem, walka nierówna skończyła się dla niej fatalnie, bo przymusową sprzedażą całego majątku i wsadzeniem nieszczęśliwej ale i upartej kobiety do więzienia za obrazę władzy. Przy wyrzucaniu jej z domu i gruntu rozgrywały się tragiczne sceny, gdyż broniła się jak lwica przed wykonaniem tej straszliwej sprawiedliwości, nie żałując miotły, kija i gnojówki, próbując nawet gorącą wodą odstraszyć swoich prześladowców. Urzędowego przejęcia własności dokonali jej krewni Lorkiewiczowie dopiero wtedy, gdy ją skrępowaną powrozami ubezwładniono zupełnie.

Przez resztę życia, jaka jej pozostała, szukała wszędzie sprawiedliwości, odbywając pielgrzymki do Tarnowa i Krakowa, nosząc ze sobą bardzo starannie ułożony plik papierów sądowych i wiedząc zawsze na pamięć, co się w którym znajduje, mimo że nie umiała czytać ani pisać. Żyjąc w największej nędzy, nie wyciągnęła nigdy ręki do znajomych, ale szukała schronienia i wsparcia u obcych. W dużej niezgodzie żyła także z proboszczem nie przyjmując nigdy kartki do spowiedzi, gdyż go posądzała, że jej rozmyślnie wystawił do procesu niedobre świadectwo.

Na specjalne wyróżnienie zasługiwała żona Tomasza Pochronia, rodzona siostra Alojzego Bartnika. Była ona matką dwóch braci Pochroniów lekarza i sędziego i trzech córek znanych we wsi nie tyle z urody, ile z przesadnego pojęcia o sobie. Gospodarna zapobiegliwa, mądra, przebiegła umiała znaleźć wyjście z każdej najgorszej sytuacji. Mimo wczesnej śmierci męża synów utrzymywała w szkołach, a dwa razy w tydzień chodziła do nich z prowiantami do Tarnowa, oddalonego o dwie mile. W całej wsi wiadano, że Pochronka wstaje najwcześniej, wszystkich w domu pobudzi, do roboty zaprzęgnie, a potem idzie spać, jak jest wszystko w ruchu. Umiała czytać i to na każdej książce, czytając, opowiadała sąsiadkom, które zwykle wtenczas drzemały albo też zaczynały mówić o czym innym.

Bliska jej krewna, a żona Wawrzyńca Solaka, Katarzyna, była kobietą wyjątkowo sprytną, zapobiegliwą, gospodarną, ale przy tym i bardzo wygodną, spychającą wszystko na pracowitego jak nieboskie stworzenie męża. Sama zaś lubiła niesłuchanie tylko komenderować i rządzić. Będąc bardzo pojętna, „dochrapała się” stanowiska akuszerki, co jej nie tylko dawało duże zarobki, ale pozwoliło bywać na chrzcinach i zabawach, do czego miała niesłuchany pociąg. Stało się to ku utrapieniu męża, który mając na swojej głowie gospodarstwo i dzieci, nie mógł się często doczekać jej powrotu do domu. Władza nad mężem, ale i staranność o jego los poszły tak daleko, że gdy raz chorując dość ciężko i robiąc ostatniej woli rozporządzenie, nie omieszkała w nim wyznaczyć mu żony, którą jako wychowawczynię dzieci ma sobie wziąć po jej śmierci. Rozmyśliła się jednak, wyzdrowiała dość szybko, a męża przeżyła o całe dziesięć lat. Zajmowała się też sprawami publicznymi, przy których okazywała więcej rozumu i stanowczości od wielu mężczyzn. Z wielkim zajęciem czytała wypożyczone gazety.

Maria Rzymkowa, żona gospodarza Błażeja Rzymka, była stale przedmiotem rozbijającego gniewu wszystkich sąsiadów i sąsiadek. Nazywali ją oni trochę pogardliwie „turkawką” z powodu szybkiego i gruchocącego sposobu mówienia. Była dosyć rozumna, obrotna, wygadana, ubrana zawsze czysto, ale miała jedną wielką wadę; chciała mało pracować, a zawsze dobrze zjeść. Była też jak na te czasy jedyną wyjątkową w gminie kucharką. Ze samych kartofli potrafiła zrobić co najmniej dziesięć rozmaitych potraw. Ponieważ nie lubiła się przykładać do pracy, a mąż często zaglądał do karczmy, bieda zaczęła się pchać do domu drzwiami i oknami. Ażeby się jej opędzić, Rzymkowie zaczęli sprzedawać grunt po stajonku, a że go nie było zbyt wiele, musiało się szukać innych środków do życia, nie zawsze nawet uczciwych. Niektóre kumoszki, pokazując na dość wydatny brzuch Rzymkowej, powtarzały sobie przy każdej sposobności, że w tym „koszyku” przeniosła tyle morgów ziemi.

Czasem u kobiet wiejskich nawet w tych warunkach występowała niebywała wprost fantazja, o ile nie została pohamowana. Szeroko znana z takiej wielkiej, a przy tym niehamowanej fantazji była gospodyni z Dębiny łętowskiej, nazwiskiem Filarowa. Widziałem ją w szynku w Wojniczu, gdzieśmy z ojcem wstąpili z ciekawości po sprzedaniu krowy. Miała wtenczas około lat pięćdziesięciu, stała czerwona jak burak przy szynkwasiu, piła z paru chłopami wódkę blaszaną kwaterką, trzymała fajkę w ustach, puszczając z niej kłęby dymu. Wysokiego wzrostu, silnej budowy, nie wahała się rozniewana lub podpita uderzyć w głowę naj-

teższego nawet mężczyznę, który się pod ciosem zwykle zwał na ziemię. Spiewała też różne karczemne śpiewki, których wstydziłyby się nawet mężczyźni. Kiedy mijały dni szału, zabierała się do pracy w gospodarstwie z taką wytrwałością, że nikt by w niej nie poznał rozhułanej i rozpuszczonej kobiety, wykrzykującej w karczmie, tupiącej nogami i śpiewającej na całe gardło aż nadto tłuste piosenki.

Wieś w swojej masie

Jak już z tego zestawienia wygląda, innymi były jednostki, a innymi masy, z których składała się ludność wsi. Duża część tej ludności nawet wtenczas umiała czytać, ale tylko „durkowane” i to na tej samej książce i w tym samym miejscu. Gdy się zmieniło książkę albo miejsce, kończyła się i nabyta umiejętność. Na nią się zaś składały: modlitwy do mszy, godzinki, modlitwy za umarłych, nieszpory, modlitwy o deszcz lub pogodę, gorzkie żale i niektóre pieśni i kolędy.

Z każdym wezwaniem do sądu, rady powiatowej, czy innego urzędu latano do pisarza, bo nikt we wsi nie dał rady go przeczytać, natomiast znajdowało się kilkoro ludzi starszych i młodszych, którzy bardzo powoli czytali ciekawszym prorocтва królowej Saby i żywot świętej Genowefy. Inne książki nie zabłąkały się prawie nigdy, a właściciele senników nie pokazywali ich prawie nikomu, zagłębiając się w nich sami. Czytających gazety chłopów uważano za pomyłonych, którym się zachciewa „pańskiej zabawy”. Nieliczni chłopci mądrzejsi nie wywierali też długo żadnego wpływu.

Niektóre nabożne kobiety przynosiły od proboszcza raz na miesiąc „intencyjki”, które się gorliwie zajmowały nawracaniem Murzynów na prawdziwą wiarę, polecały ich modlitwom wiernych i domagały się ofiar na te cele. Słyszałem, jak nieraz na temat tych nieszczęśliwców czarnych prowadzono na wsi długie i bardzo żałosne rozmowy.

O świadomości narodowej nie mogło być prawie żadnej mowy, bo i skąd? Ksiądz, tak bardzo zajęty nawracaniem Murzynów, nigdy o tym nic nie mówił, urząd zaś nie nakazywał. Chłopi w swojej masie bali się Polski niesłychanie, wierząc, że z jej powrotem przyjdzie na pewno pańszczyzna i najgorsza szlachecka niewola. Powstania uważali za jakąś potworną zbrodnię, której nie umieli nazwać ani określić, a powstańców za dzikich pomyłonych zbrodniarzy, będących plagą ludności i nieszczę-

ściem dla chłopców. Jako przykład odstrasżający wskazywali Jana Głowackiego i jego praktyki wobec chłopów stosowane.

Wiś wiedziała nieco i opowiadała sobie często i ze zgrozą o cesarzu francuskim Napoleonie Bonapartym, którego nazywano „Apolyjonem”. Kiwała też głową nad jego losem tragicznym, będąc święcie przekonana, że spotka on każdego, kto się carowi sprzeciwi. W opowiadaniu tym mrozy rosyjskie zostały tak pomieszane z wyspą świętej Heleny, że nie można było ani rusz jednego od drugiego odróżnić. Car rosyjski w przekonaniu chłopów był takim mocarzem, co rozkazywał całemu światu, a innych cesarzy i królów znosił tylko z łaski, ale mógł ich każdej chwili usunąć lub zupełnie nawet zniszczyć. Osobę cara opisywano sobie jako ogromnego olbrzyma, chodzącego w złotej zbroi, której się żadne kule nigdy nie tykały.

Bardzo wiele mówiono o przejściu wojska rosyjskiego na Węgry i udzieleniu pomocy przez cara „naszemu cesarzowi”, który za to zapłacił samymi złotymi dukatami. Przy tym carowi obiecał, że „Kosiuta i Madziarow, co się buntowali”, powiesi albo ich do Moskwy wyśle, gdzie sobie z nimi Rosjanie poradzą.

Wysłużeni żołnierze opowiadali chętnie i szeroko o cesarzach austriackich, arcyksięciu Karolu i jego wojnach z Napoleonem, a najwięcej o ostatnich wojnach z „Talianami” i z Prusakami. Wymyślali na ich dowódców, a szczególnie na Garibaldięgo, sławili generałów austriackich, a w pierwszym rzędzie Radetzkiego. Oburzali się ogromnie na generała Benedeka, który pod „Kenigracem wojska nasze zaprzedał”. Nie mogli nigdy sobie wytłumaczyć, jak to się stało, że „taki mały Prusak mógł się sprzeciwić wielkiemu naszemu cesarzowi”.

Z historii polskiej dość dużo mówiono o królu Sobieskim, trochę o Kazimierzu Wielkim. Gdy Sobieskiego miano za króla szlachciców, tamtemu zarzucano, że sprowadził Żydów do Polski i sam się ożenił z jakąś Żydówką i to jeszcze nie chrzczoną. Trochę wiedzano o czasach saskich i królu Poniatowskim, co Polskę sprzedał jakiejś carowej. Kościuszko był uważany za zbrodniarza, buntującego się przeciw władzy, przez Boga ustanowionej, który za to poniósł ciężką karę. Nad tym wszystkim górowały zawsze wiadomości o pańszczyźnie i strasznych praktykach, na chłopach przez szlachciców dokonywanych.

Nasi chłopci z Galicji, mieszkający po prawej stronie Wisły, bardzo długo swoich sąsiadów z drugiej strony uważali za Moskali i dziwili się, dlaczego oni mówią po polsku, a większe do nich mieli uprzedzenie niż do Niemców lub Żydów. Było to tym dziwniejsze, że między nimi mieli znajomych, a nawet krewnych Chłopi z dalszych okolic, nie wiedząc nic więcej od tamtych,

odnosili się z ogromną nienawiścią do „Moskali zza Wisły”, bo złodzieje stamtąd przychodzący zabierali im co najlepsze konie i przeprowadzali przez Wisłę, a nie zdarzyło się prawie nigdy, ażeby im tę zdobycz odebrała spóźniająca się żandarmeria. Granicę pomiędzy Austrią a Rosją uważali za wieczną, choć w rozmowach przebijała się często obawa, że Moskale mogą ją przekroczyć i co zechcą zabrać, jeżeli im tylko car pozwoli.

Stosunki te zmieniały się jednak powoli, a uległy raptownej zmianie, gdy wprowadzono w Rosji konstytucję, a chłopci nasi z jednej i drugiej strony Wisły zaczęli się ze sobą coraz częściej stykać. Bardzo wiele do zbliżenia przyczyniła się także emigracja amerykańska, gromadząca po różnych miejscowościach chłopów polskich ze wszystkich zaborów. Tam za morzem dopiero się oni poznawali, jedni się do drugich przekonywali, chodzili do siebie, zabawiali się i pracowali, a nawet się zaczęli między sobą żenić, co wywoływało po tej stronie duże zgorznienie. To jednak szybko mijało, a nici się wiązały coraz silniejsze.

O tej Ameryce opowiadano sobie pomiędzy chłopami szeroko i z wielkim przejęciem historie, przechodzące wszelką najbujniejszą wyobraźnię. Sam słyszałem, jak jeden ze „światowców”, powróciwszy z Dębicy, gdzie pracował przy budowie baraków, dowodził zaskłanej i zdziwionej gromadzie chłopów, że tam są takie żaby, co się nie chcą człowiekowi usunąć z drogi, a niektóre mogą połknąć całego człowieka bez żadnego trudu. Po lasach i polach snują się ogromne węże, co jednym uderzeniem ogona zabijają największego woła. Ludzie też giną masami od ukąszenia jadowitych much i komarów. Kto jednak to wszystko wytrzyma, może wiele pieniędzy zarobić. Ludziska słuchali i choć ich ich przerażały niebezpieczeństwa, wciąż marzyli o dostaniu się do zarobku i pieniędzy.

Najwięcej jeszcze wtenczas wiedziano na wsi z historii żydowskiej, uczył jej bowiem każdy ksiądz z ambony, odczytując co niedzielę i święto różne dotyczące jej ustępy. Stąd wiele chłopów, nie mających pojęcia żadnego o Polsce, znało na pamięć wielką część Starego Testamentu, połączonego z historią żydowską i powtarzało go przy każdej sposobności. Wiedziano więc o Faraonach, Mojżeszu, Józefie, niewoli egipskiej, znano żywot Dawida i Salomona, rozmyślano nad tym, jak Żydzi mogli przejść suchą nogą Czerwone Morze itp. Szeroko sobie opowiadano o 10 przykazaniach, danych Żydom na tablicy i zniszczeniu jej przez rozgniewanego Mojżesza. Filozofujący chłopci dziwili się nieraz dlaczego Żydzi stali się narodem przez Boga wybranym, kiedy oni mu okazali tyle niewdzięczności i sprawiali masę kłopotów.

Ta nauka sprawiała, że uczucia do Żydów były bardzo pomieszane. Litowali się ludzie nad nimi z powodu znęcania się Faraonów, nie mogli im znowu darować zachowania się wobec Mojżesza, a nawet samego Pana Boga. Z jednej strony stał im przed oczyma naród żydowski z Dawidem, Salomonem, mędrkami i prorokami, z drugiej Żydzi męczący i krzyżujący Zbawiciela. Ciężkiego tego zagadnienia nie pomagało rozwiązać także postępowanie wielu księży. Choć nikt nie śmiał głośno tego powiedzieć, to jednak panowało ogromne zdziwienie, gdy ksiądz po siarzystym kazaniu, w czasie którego się ludzie popłakali, załatwiał z Żydami różne interesy. Gorzej jeszcze było, gdy im sprzedawał siano, koniczynę, słomę, czy zboże, a chłopci musieli za drogie pieniądze od nich odkupywać. Rzecz naturalna, że wszystkim te refleksje snuły nieliczne jednostki, gdy masa ani nie umiała, ani się nie chciała nad tymi zagadnieniami zastanawiać.

Rozważając głębiej to zagadnienie, nie można się obronić wrażeniu, że względnie przyjazny stosunek chłopów do Żydów miał swoje źródło w nauce Kościoła i postępowaniu niektórych księży i dworów, bo w gruncie rzeczy chłopci Żydami gardzili. Znamieniem było, że nieraz kobiety wiejskie ujmowały się za Żydami, zaznaczając, że Żyd ma taką samą duszę, a jakby nie było Żydów, to nie byłoby i nas. Nie byłoby też Matki Boskiej, Pana Jezusa ani odkupienia świata. Tu się nie dało ani słowa wtrącić.

Uroczystości narodowe

Dziwną niechęć czuli chłopci do uroczystości narodowych, które się od czasu do czasu odbywały w miastach powiatowych. Trzeba było wiele pracy i zachodów, ażeby się ich wybrało kilku ze wsi. Zwykle na ten czas byli chorzy, nie mieli wypranej płótnianki i tuzin rozmaitych przeszkód. Uprzedzenie to nie tylko wypływało z obawy przed zetknięciem się z panami, ale także z powodów, których inni nie dostrzegali.

Chłop nie zapominał ani na chwilę, że szlachta polska trzymała go w niewoli pańszczyźnianej przez setki lat, a dopiero cesarz zniósł pańszczyznę i obdarzył go prawami i wolnością. Był też przekonany, że gdyby Polska nie upadła, to by i pańszczyzna została na zawsze. Najważniejszą jednak przeszkodą ze wszystkich była niechęć do stykania i mieszania się z panami i bojaźń, ażeby oni go jakim sposobem nie podeszli. By uniknąć tych obaw, wolał się trzymać z daleka od nich.

Nie pchali się tak samo chłopci i na uroczystości rządowe, z wyjątkiem nabożeństw odprawianych w kościele za cesarza. Na

inne obchody i uroczystości dobierano przeważnie członków rady i zwierzchności gminnej.

Z naszej gminy na rzadkie zresztą uroczystości narodowe, jakie się odbywały w Tarnowie, chodził tylko Głowacki i wójt, a chłopci po cichu przeklinali, że muszą dawać podwozy i koszta podróży płacić. Powoli się to zmieniało, aż przyszły czasy, gdy chłopci chcą sami urządzać obchody narodowe, a władze polskie im nie pozwalają. To dopiero stało się niezrozumiałe.

Wieczorne schadзки i rozmowy

W każdej wiosce były domy, w których się wieczorami bliżsi i dalsi sąsiedzi zbierali na długie pogadanki. Chodzili tam starsi i młodszy, mężczyźni i kobiety. W zadymionych, ciemnych, ciasnych izbach duszono się godzinami, prowadząc różne rozmowy albo grając w „durnia”. Rozmowy te dotyczyły zwykle rzeczy banalnych, wziętych z codziennego życia wsi. Musiano tam obgadać, kto się z kim żeni, kto się zgadza, a kto się kłóci, jak się która dziewczyna lub chłopak prowadzą, gdzie się zanoszą na chrzciny, jakie się mają odbyć albo się odbyły wesela, kto na nich był, co mówił i co śpiewał, jacy byli muzykanci, jak grali i ile zarobili, kto ma jakie konie i bydło, gdzie się odbyły odpusty i jarmarki i jak się udały itp. bez końca.

Później przechodzono do czasów pańszczyźnianych, zaklętych królewien, czarów i czarownic, strachów i diabłów, przesładujących ludzi z niesłychaną zaciętością. Nie było ani jednego z uczestników, który by, jeżeli już nie z diabłem samym, to przynajmniej z psem, w którym diabeł siedział, nie spotkał się oko w oko. Ciekawa była postać tego straszliwego wroga ludzkości. Owi znawcy zaprzeczali stanowczo, ażeby on miał ogon i rogi, jak go przedstawiają na obrazach w kościele. Natomiast ma to być bardzo elegancki pan kuso wyglądający, który się może w miarę potrzeby zmieniać w chłopca, księdza, podróżnego, rzadziej już w konia, kota, psa albo też i w Żyda. Ma on ogromną władzę nie tylko w całym piekle, ale także i tu na ziemi. Jeżeli zechce, to może ludziom dużo pomóc, a często to nawet robi, obdarzając ich majątkiem albo też specjalnymi zdolnościami. Nigdy jednak nie chce tego zrobić za darmo, lecz żąda, ażeby mu zapisać duszę na zawsze albo też na czas umówiony. Udowodniano sobie, że diabeł może się także znajdować w studni, w stodole, w komorze, w drzewie, w bochenku chleba, słowem na każdym miejscu i w każdym przedmiocie, z którego też może każdej chwili wyskoczyć i zamienić się w jezioro smrodliwej i gorącej mazi. Jedyny

ratunek przed nim to święcona woda, której się diabeł niesłychanie boi. O czarownicach opowiadano sobie niemożliwe rzeczy. Miejscowe czarownice znali i przeklinali wszyscy, natomiast niektórzy tylko widzieli, jak się raz na rok zjeżdżały zewsząd na Łysej Górze koło Kielc i wyprawiały tam na łopatach harce wprost niesamowite. Z diabłami wszystkimi żyły one w najlepszej komitywie, pomagając sobie wzajemnie. Wykonywały też one wolę i nakazy szatanów, szkodząc ludziom na każdym kroku.

W naszym przysiółku zbierali się ludzie każdego wieczora u szwagra mojego ojca, Kazimierza Pochronia. Dziwny był z niego człowiek. Siedział na kilku morgach ziemi, więcej się jednak zajmował naprawianiem starych butów, zestawianiem cebrzyków i drutowaniem garnków aniżeli gruntem. Całymi dniami palił fajkę albo też gryzł „bage”, którą od niego czuć było z daleka. Miał też wielki pociąg do muzyki, niewiele jednak do niej miał talentu. Toteż rzępoląc wciąż na skrzypcach, kupował coraz to inne, ażeby móc nareszcie natrafić na takie, w których diabeł od muzyki siedzi. Ponieważ mu się to nie udawało, postanowił tego diabła poszukać, wierząc święcie, że wszystkie umiejętności od niego pochodzą. Raz wieczór, kiedy go rozdrażniono na temat jego „kociej muzyki”, wstał i oświadczył wszystkim uroczyście, że jutro idzie do „Gdońska”, bo tam siedzi najstarszy diabeł, od którego wszystko musi dostać.

W izbie nastąpił krzyk i rwetes. Kobiety skoczyły do niego z wielkim lamentem, prosząc go, ażeby nie chodził, a jeśli już pójdzie, to by przynajmniej duszy swojej nie zaprzepaścił. Jedynie tylko jego żona zachowała zupełny spokój, a zwracając się do niego, odezwała się głośno: „Pamiętaj ty, stary ośle, ażeby cię z twoimi diabłami Bóg ciężko nie skarał”. Rzecz naturalna, że on jej nie został dłużny odpowiedzi. Ja ze strachu przytuliłem się do matki jak najbliżej, nalegając, abyśmy stamtąd jak najprędzej poszli.

Kiedy się burza nareszcie uciszyła, rozmowa przeszła na dusze. Godzono się ogólnie, że one pokutują tu, gdzie grzeszyły, w rozmaitych miejscach i postaciach, najczęściej jednak za obrazami na ścianach i w szparach domów. Często są też w drzewie, które się kładzie do pieca, gdzie nieraz piszczą przeraźliwie z bólu, ale im stamtąd wyjść nie wolno. Bajka ta była sprytnie pomyślana, bo wiadomo, że drzewo palące się zawsze skwirczy, niemniej jednak była ona dla wszystkich przekonująca.

Osobną kategorię pokutników stanowili „świećnicy”. Byli to geometrzy, którzy przekupieni, źle pomierzyli grunta, a teraz muszą za pokutę ze świecami na ramionach chodzić miedzami i stajenczyskami aż do skończenia świata, jeżeli ich przedtem jaka

„dusza szczęśliwa” nie wybawi. Można sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy gdzieś koło północy wyskoczyli wszyscy z izby, ażeby obserwować akurat takiego świetnika, który o parę stajonek chodził ze światłem po polu, odpowiadając swoją ciężką pokutę. Wracając z matką do domu, co tylko nie umarłem ze strachu, widząc tak świetnika, który się raptownie wciąż ku mnie zbliżał, jak i licznych szatanów, wyszczerzających na mnie zęby z każdego przedmiotu.

Nie wiedziałem, jak i wszyscy zresztą, że ten świetnik to ognek, jaki się często ukazuje na gruntach bagnistych. Takimi specjalnymi ogniskami strachów były u nas: stary browar, leżący pod lasem, którego pilnował duch utopionego robotnika w kadzi z okowitą, most na boryczkowskich bagnach, skąd każdej ciemnej nocy wychodził diabeł w postaci psa kąpać się we wodzie i płać różne figle, no i droga krzyżowa, gdzie koło figury się gromadziły już wszystkie straszdyła razem.

Gdy w rozmowach na podobnych zebraniach o Polsce nigdy nie wspomniano, a na wszystkich panach wieszano psy, to z niesłychanym wprost szacunkiem i zaufaniem odnosili się wszyscy do cesarza Franciszka Józefa, uważając go za wcielenie mądrości, nieomylności, a przede wszystkim bezwzględnej sprawiedliwości. Wszyscy wierzyli święcie, że gdyby on nie bronił chłopów i za nimi się nie wstawiał, to by im się powodziło jeszcze dużo gorzej. On też zniósł pańszczyznę. Gdyby zaś znał ich biedę dokładnie, to by niezawodnie niejedno dla nich zrobił. A jeżeli się to nie stało, to tylko dlatego, że go panowie do ludu nie dopuszczają. Tym się też tłumaczyły częste pielgrzymki do Wiednia, odbywane przez różnych skrzywdzonych, którzy nieraz może przypadkowo znajdowali tam sprawiedliwość. To sprawiło, że do wojska szli ochotnie, podatki płacili chętnie w przekonaniu, że to wszystko było dla dobrego cesarza.

Poza tym pionierami tej wielkiej lojalności oprócz urzędników byli niektórzy księża, a najwięcej powracający z wojska urlopnicy. Spełniając służbę wojskową w różnych krajach austriackich, opowiadali oni cuda o tym, co tam widzieli, a czego najczęściej nie rozumieli. Mówili na przykład zasłuchanym gromadom, że obozowali na tak wysokich górach, z których można było wprost od słońca zapalić fajkę albo papierosa. Widzieli całe domy, budowane ze szkła, złote kościoły, kamienice tak wysokie jak nasze Tatry, kłosa zboża na pół kroku długie, krowy takie, że do brzucha jednej można bez trudu dziesięć naszych schować, ogromne ilości wina, w których się ludzie tamtejsi kąpią i myją, nie używając wody. Dziwne było po prostu, że plotąc te i inne androny, żaden z nich nie wspominał nawet o

stosunkach i urządzeniach, jakie w tych krajach już panowały, a które powinien był w pierwszym rzędzie zobaczyć.

Służba wojskowa

Służba wojskowa pociągała także ze względu na ambicje osobiste, a może jeszcze więcej honor, jaki dawało wojsko. Było ono bowiem między chłopami uważane za najważniejszą i najwięcej dostojną uprzywilejowaną klasę, z którą się nawet szlachcice równać nie mogli, bo i oni byli przebieraną, jeżeli się chcieli do wojska dostać. Wojskowego uważano też za więcej wartościowego od każdego choćby najmądrzejszego cywila. Z większym jeszcze respektem odnoszono się do żołnierza, który służył przy ułanach albo też dobił się jakiejś szarży przy wojsku. Gwiazdki na kołnierzu miały niesłychane znaczenie, a ich właściciel był uważany za dostojnika całą gębą. Mundur wojskowy, buty z ostrogami, świecące guziki zwracały też głowę dziewczętom, które szalały za żołnierzami, nazywając „ufermami” tych, co nie byli przy wojsku. Niejednemu też z tych żołnierzy przyniosło to dobry ożenek, o którym w innych warunkach nie śmiałyby ani marzyć.

Z uznanych za niezdolnych kpiono ogólnie i głośno, opowiadając sobie o ich rozmaitych wadach cielesnych. Najwięcej im dokuczano, gdy przyszło płacić podatek wojskowy, który po wsiach nazywano „bykowym”.

Realnym już powodem do wojska ciągnącym było wyróżnianie wojskowych przy kolei, poczcie, straży skarbowej i innych urzędach, gdzie ich na różne podrzędne stanowiska przyjmowano. Na wsi nazywano to „lekkim chlebem”. Toteż młodzi chłopcy z niecierpliwością liczyli czas, kiedy mieli pójść za kartką, co znaczyło dostać wezwanie do poboru.

U wszystkich prawie takich rekrutów grały rolę podwójne uczucia, którymi były z jednej strony obawa przed ciężką służbą wojskową, z drugiej strony strach przed kompromitacją. Stąd też pochodziło generalne pijaństwo od samego rana, z którym sobie nawet srogi wójt nie mógł poradzić i często przed komisję dostawiał wprost nieprzytomnych kandydatów na „bohaterów”. Po dokonanim poborze następowała rozłaka. Ci co się „zdali”, z kartkami za kapeluszem stanowili odrębną gromadę, która pijana szła całą drogą, wstępując do każdej karczmy. Piła i śpiewała wszystkie żołnierskie pieśni, często też biła Żydów, dając zajęcie policji. Uznani zaś za niezdolnych chyłkiem umykali do domu, wstydząc się swojego upośledzenia. Zdarzało się czasem,

że więcej ambitni i podpici usiłowali z tego powodu popełniać samobójstwa, z czego znowu było niemało uciechy i gadania.

Rekruci wiedzieli, że przy wojsku będą „brać po mordzie”, że muszą znosić wszelkie przewiska i przekleństwa, że tam kaprale i inni przełożeni z grobu ruszą ich dziadków i babki, że muszą chodzić „na eince” jak pies na smyczy, że każą im robić „nieder” w największym błocie, stać na „habt acht” przed każdą szarżą, a nawet starszym kolegą, że dostaną „kasarnika”, pójdą „do eincla”, a może ich nawet powieszą na słupku, ale się też cieszyli, że się staną prawdziwymi żołnierzami, dostaną mundur, zjedzą uczciwą porcję mięsa, a jak przyjdą na urlop, to cała wieś będzie otwierać oczy na nich.

A zresztą, jak się dosłużą jakiego stopnia, to sobie znowu odbiją na drugich i to jeszcze z dobrym procentem. Na koniec, jak będzie, to będzie, stali się cesarskimi dziećmi i kwita! Mieli też rację, bo nie było we wsi takiego, co by na żołnierza przychodzącego na urlop, nie popatrzał, guzików mu nie porachował, munduru z tyłu i z przodu nie obejrzał i w końcu nie stwierdził, że Józka czy Jaśka kumotrowego do cna przy wojsku przerobili i że znać na nich mięso, którego w domu nie widzieli ani na Wielkanoc.

Tacy przychodzący na urlop żołnierze usuwali się też spod władzy wójta, a podlegali tylko żandarmowi, który się z nimi zwykle po koleżeńsku i elegancko obchodził. To podnosiło ich powagę, dawało wstęp na wszelkie zabawy i wesela, gdzie im wszyscy ustępowali pierwszego miejsca. Często się zdarzało, że uciekali nie wyczerpawszy urlopu nie mogąc się przyzwyczaić do jałowej kapusty i ziemniaków, jakimi ich raczyli w domu.

Że służba w wojsku austriackim była ogromnie popularna, świadczyły też różne piosenki na ten temat, szeroko znane i niemal przez wszystkich śpiewane. Oczywiście, że one dotyczyły przeważnie cesarza, opiewając jego wielkość i dobroć, dotyczyły również doli żołnierza, bohaterskich czynów armii, mądrości jej zwierzchników, których się niesłychanie bano, ale też i szanowano, a nawet uwielbiano. Należy też pamiętać, że służba wojskowa była z początku nie tylko ciężka, ale i długo trwająca. Traktowanie zaś żołnierzy Polaków przez oficerów, którymi byli przeważnie Niemcy i Czesi, bardzo wiele pozostawiało do życzenia. Wysłuzeni żołnierze nie tylko się chępli swoją wojskową przeszłością, ale ze czcią niemal przechowywali każdy medal, papier czy blaszkę, jakie z wojska przynieśli. Zwykle umieszczali je na miejscu honorowym: za obrazami lub głęboko w skrzyni pod „świętelnymi łachami”.

Dwaj proboszcze

Pierwszym proboszczem w Wierchosławicach, którego zapamiętałem, był ks. Leonard Rybicki. Wysoki, tęgi, dobrze zbudowany, trzymał się prosto mimo podeszłego już wieku. Zawsze wesoły, a nawet rubaszny, często gwałtowny, a czasem wyraźnie brutalny. Jak z jednej strony wzbudzał u ludzi obawę gwałtownymi i głośnymi występami, jeszcze gorzej dokuczliwymi i trywialnym drwinami, tak z drugiej rozbrajał i ośmielał swoją dobrocią i szczerością. Widać w nim było wszystkie wady i zalety szlachty, z której pochodził.

Kłął przy każdej sposobności jak stary ułan bez względu na czas, miejsce i otoczenie, sypał często tłustymi żartami, gorząc tym niektórych pobożniejszych parafian. Drżały też przed nim wszystkie kobiety, gdyż wyśmiewał je nieraz niemiłosiernie, starając się tym sposobem tępić u nich różne przyzwyczajenia, nawyki, uprzedzenia, nałogi.

Czasem postępowanie jego było oryginalne, ale też i bezceremonialne. Kiedy np. przyszło do niego dwoje młodych ludzi na pacierze, a byli ubodzy, najczęściej ich skrzyczał i wyrzucił za drzwi, zaznaczając, że już dziadów jest dosyć i więcej ich mnożyć nie trzeba. Nieraz cały kościół słyszał, jak w czasie spowiedzi huknął na kogoś, opowiadającego mu różne nonsensy zamiast grzechów: „Ty ośle, nie pleć mi głupstw, jak masz grzechy, to się spowiadaj, a jak nie, to się wynoś!”.

Jeżeli się to zdarzało dość często przy spowiedzi, to cóż dopiero mówić o życiu codziennym. Jeżeli ks. proboszcz był w dobrym humorze, to jeszcze pół biedy, ale jak wpadł w pasję, to szczególnie musiały to odczuć kobiety, dowiadując się o wszystkich swoich wadach, brakach i błędach, głośno i w sposób drastyczny przedstawionych. Forsownie i na swój sposób starał się ludzi przyzwyczaić do czystości. Szczególnie zaś zwracał uwagę na kobiety. Wiedząc, że chustkami nakrywały one sobie często nie umytą i nie uczesaną głowę, zabronił im tak wchodzić do kościoła, a tym, co się nie zastosowały do jego zarządzeń, polecił kościelnym chustki z głowy pościagać. Wywołało to nieraz płacze, gniewy i narzekania, ale także i wesołe incydenty, a co najgorsze kompromitujące odkrycia.

Dziewczętom, które chodziły się skarżyć na niewiernych kawalerów, poza nagadaniem im od fląder, małą i latawic, dawał w rękę świecę, polecając ją wstawić do lichtarza, który on trzymał i stale manipulował, a kiedy one tego nie mogły dokonać, wyrokował: „A widzisz, szelmo, gdybyś się była i ty ruszała, to byś była teraz nie chodziła do mnie”.

Całować się nikomu w rękę nie pozwolił, witając się za pan brat ze wszystkimi. Bardzo wiele pomagał ludziom, radząc w różnych chorobach i dając lekarstwa zupełnie za darmo. Parafian nie tylko nie zdzierał za wszelkie posługi kościelne, ale nieraz gromił z ambony za wystawne wesela i śluby, jak i drogie pogrzeby, tłumacząc, że Bóg tego nie chce, ksiądz się obejdzie, a tylko ludzkiej pysze i próżności dogadza. Od ludzi prawdziwie biednych nie tylko nigdy nie wziął ani grosza, ale im bardzo często gotówką pomagał, której mu nigdy nie zwracali.

Mając przeszło sto morgów dobrej ziemi, należącej do probostwa, często nie miał na przednówku czym służyć i inwentarza wyżywić, bo za wiele i nieopatrzenie rozdał rozmaitym ubogim, nie zawsze nawet tego potrzebującym. Do wzmożenia tych braków przyczyniał się też bardzo wydatnie administrator, jego rodzony brat Władysław, zwany „garbatym Władkiem”, który zbyt wiele przesiadywał w pobliskiej karczmie i razem z kilku kompanami podkopywał poważnie dobro plebańskie, na co ksiądz proboszcz nie zwracał dostatecznej uwagi. Skutek tej gospodarki był taki, że gdy ks. Rybicki umarł, nie mieli go za co pochować, co w parafii wywołało żal i przygnębienie.

Probostwo po nim jakoś w latach dziewięćdziesiątych objął administrator i długoletni wikary, ks. Józef Franczak, góral, pochodzący z okolic Rabki. Przygotował on sobie już na długo przedtem poparcie wpływowych parafian, którzy licznymi delegacjami wymodlili jego nominację na proboszcza u patrona kościoła, księcia Eustachego Sanguszki. Zadowolenie z nowego proboszcza było powszechne, a objawiło się ono zaraz w tym, że cała parafia zbiegła się, ażeby mu zaorać i zasiać dość opustoszałe grunta. Niedługo jednak przyszło niemiłe rozczarowanie. Ksiądz Franczak okazał się zupełnym przeciwstawieniem swojego poprzednika, nie dorastając go zupełnie. Wprawdzie nigdy nie kłął, z ludzi nie drwił, ale szepcząc bezustannie pacierze, siedział całymi dniami a czasem i nocami w kościele, przy tym jednak okazał się małostkowym, skąpym aż do obrzydliwości, chciwym na każdy grosz. Uważając się za nietykalnego i nieomylnego, rozpoczął zaraz na wstępie zatargi i kłótnie z sąsiadami probostwa o różne drobiazgi i to najczęściej zupełnie niesłusznie. Ubogim ludziom zabronił popaść krowy na plebańskim rowie, urwać chwastu, zaczął wyrzucać z dzierzawionego gruntu lub też podwoił czynsze i ilość robocizny.

Za wszelkie posługi kościelne zdzierał niesłychanie, zaślanając się zawsze tym, że on bierze „dla chwały Bożej, a nie dla siebie”. Obowiązki swoje duszpasterskie spełniał nadzwyczaj gorliwie, ale długimi, mętными kazaniami i w nieskończoność trwa-

jącymi nabożeństwami tak zamęczał ludzi, że wielu przestało się nimi zupełnie zajmować. Pracą publiczną świecką w ogóle się nie interesował, natomiast zakładał wciąż różne bractwa kościelne, które mu się znowu musiały opłacać. Tak powstały „żywe róże” dla młodszych, Wieczny Różaniec i Bractwa św. Franciszka dla starszych. Sam byłem starszym bratem czyli przewodniczącym w takiej Róży przez lat kilka. Biorąc od wszystkich, nigdy się nie zdarzyło, ażeby sam co dawał. Nie dbał też i o siebie, chodząc zwykle w wytartym ubraniu i dziurawych butach. Nazbierane pieniądze za radą swojego przyjaciela, nadleśniczego od Sanguszków, Pauera, ulokował w jakimś banku w Czechach jeszcze przed wojną, aby ich więcej nie oglądać. Wszelką władzę, jaka i gdzie była, uważał za pochodzącą od Boga i drżał ze strachu przed nią, spełniając wszelkie jej życzenia i stosując się ślepo do rozkazów. Klęski i nieszczęścia, jakie spadały na parafię, a nawet krzywdy jej zrobione, kładł na karb kary Bożej, która spaść musiała na niepoprawnych grzeszników, znajdujących się w parafii. Bardzo chętnie odprowadzał nabożeństwo na odwrócenie klęsk i nawrócenie się tych zatwardziałych, o ile naturalnie miał kto za nie zapłacić.

Do mnie czuł jakąś niechęć jeszcze w szkole jako ówczesny katecheta, mimo że byłem najpilniejszym uczniem, na pamięć umiałem cały wielki katechizm i nigdy się nie zdarzyło, ażebym nie potrafił odpowiedzieć na każde jego pytanie albo się do zarządzenia nie zastosował. Upředzenia tego do mnie nie wyzbył się nigdy, choć mi wiele miał później do zawdzięczenia.

Był też biczem Bożym na księży wikarych, których jak opowiadano, karmił zawsze kwaśnym mlekiem i ziemniakami. Traktował ich przy tym nie lepiej od swoich parobków. Choć za mojej pamięci przeszła wikarych cała falanga, nie zapisali się w parafii zupełnie niczym. Najdłużej i najlepiej zapamiętano sobie wikarego ks. Naturskiego. Prowadził on bardzo wesołe życie, nie krępując się zupełnie pobożnym proboszczem. Cała parafia ze zgorszeniem mówiła, że każdej nocy wpuszczał on do siebie pokryjomu przez okno wikarówkę „anioły”, które znowu wypuszczał nad ranem. Hałasy, jakie one tam robiły, sprowadzały coraz więcej ciekawych, toteż wnet oprócz proboszcza wszyscy znali tak imiona jak i nazwiska tych „aniołów”. Zmartwiony i przerażony proboszcz, dowiedziawszy się o tym, pojechał do biskupa, i za parę dni pozbył się wesołego i nieostrożnego pomocnika. Skandal się jednak na tym ani nie skończył ani nie dał ukryć, gdyż udział w tych zabawach anielskich brały niewiasty nie tylko dobrze we wsi znane, ale często najlepiej u proboszcza zapisane.

Szkoła i nauczyciele

Przez długi czas Wierzchosławianie obchodzili się bez szkoły i byli z tego bardzo zadowoleni. Naukę czerpali od organisty albo też w zimie wieczorami uczyli jedni drugich. Szkołę uważali za wielce niepotrzebny ciężar i bronili się przed nią długo i żarliwie. W końcu jednak nie dali rady. Szkołę zbudowano i to na miejscu dawnej karczmy, podobno aż szóstej czy siódmej w tej gminie. Szkoła więc była, z nauką jednak było gorzej. Trochę dzieci sprowadzono do niej, lecz chodziły one tylko w miesiącach zimowych, gdyż na wiosnę i jesienią zostawały w domu, bo nie miał kto pasać gęsi i bydła. W tych warunkach nie mogła też nauka dawać wielkich rezultatów. Stary nauczyciel, Paciorek, nie mógł sobie poradzić ani z tępotą uczniów ani też z uporem rodziców i opiekunów.

Zmieniło się znacznie na lepsze, gdy kierownictwo szkoły objął nowy, młody nauczyciel, Franciszek Marzec, dotąd jeszcze żyjący ze swoją osiemdziesiątką jako emeryt w Tarnowie. Był on nie tylko dobrym pedagogiem, ale przyjacielem dzieci i ich prawdziwym wychowawcą i opiekunem.

W wolnych chwilach pisywał wierszyki rozmaitej treści i do różnych gazet albo też z Głowackim wychodził na pogadankę i na duże piwo.

Siłą pomocniczą przez dłuższy czas była Maria Jabłońska, niezwykle pilna i zdolna nauczycielka. Zmarła ona w młodym wieku, kończąc życie samobójstwem nie wiadomo z jakiej przyczyny.

Nie wiem, czyja w tym leży wina, ale stwierdzić muszę, że za przeszło pół wieku szkoły i nauki w Wierzchosławicach na tysiące uczniów, którzy przeszli przez nią, prawie nie było jednego, który by umiał porządnie choćby tylko list napisać, nie mówiąc już o jakimś podaniu do władzy. Najwięcej jeszcze może wyszło zdolniejszych uczniów spod ręki kierownika szkoły, Adolfa Kalicińskiego, który też szybko dzięki intrygom wikarego księdza Lecha został usunięty przez władze szkolne rzekomo za przekonania polityczne, których Bogiem a prawdą w ogóle nie posiadał.

Dwór i jego urzędnicy

Jak już nadmieniałem, Sanguszkowie posiadali w Wierzchosławicach majątek składający się z czterech tysięcy morgów lasu i paruset morgów gruntu. Gdy lasy trzymali zawsze we własnym

zarządzie, to grunta po ostatnim zarządcy, niejaki Glixellim, który się zastrzeżił na skutek wykrytych dość znacznych nadużyć, stale oddawali w dzierżawę.

Pierwszym z dzierżawców, który też zwrócił na siebie powszechną uwagę, był niejaki Jan Silnicki. Człowiek postępowy, a nawet, jak na te czasy zanadto liberalny, okazał się nadzwyczaj dobrym gospodarzem. Kulturę rolną w krótkim czasie postawił bardzo wysoko, zbiory miał ogromne, jakich Wierzchosławice nie widziały nigdy tak przedtem jak i potem. Sam zarabiał i dorabiał się, ale i ludziom dobrze płacił. Będąc dość gwałtownego usposobienia, zadarł z proboszczem, ks. Franczakiem, a nawet go w złości trochę poturbował. Wprawdzie się tym wiele nie gorszono, bo każdy wiedział, że on może z równowagi wyprowadzić najbardziej cierpliwego i zimnego człowieka, tego jednak nie mogli znieść patronowie kościoła Sanguszkowie, do których proboszcz ze skargami chodził. Dlatego też usunęli krewkiego dzierżawcę, płacąc mu podobno bardzo poważne odszkodowanie. Odszedł więc on z dużą gotówką, gdy wszyscy jego liczni następcy odchodzili z torbami. Wina miała leżeć po stronie pełnomocnika dóbr sanguszkowskich, Wiśniewskiego, który tych dzierżawców umiał należycie wyzyskać i oporządzić.

Chłopami i wsią żaden się z nich nie zajmował, mając dość własnych kłopotów. Wyjątek stanowił baron Karol Lewartowski, równie przyzwoity człowiek, jak lekkomyślny gospodarz.

Stosunek więc pomiędzy wsią i dworem był zupełnie luźny. Dwór się nie zajmował polityką, na chłopów nie wpływał, bo do tego był wyznaczony kto inny. Za robotę płacił, siano i słomę, czasem zboże sprzedawał, przed szkodnikami i złodziejami się bronił. Starał się jak najtaniej robotnika płacić i jak najwięcej z niego korzyści wyciągnąć. Punkt ciężkości już od dawna przeniósł się do lasu.

Gospodarką leśną kierował nadleśniczy, mieszkający stale w Wierzchosławicach. Długo zajmował to stanowisko Ksawery Zasowski, stary, typowy szlachcic, nad wyraz porządny i przyzwoity człowiek. Sam znałem go tylko z opowiadania, a pamiętałem dobrze jego „pański” pogrzeb, na którym była cała wieś do ostatniego człowieka. Chłopi go bardzo cenili i długo nie mogli zapomnieć.

W parę lat po jego śmierci stanowisko nadleśniczego w lasach sanguszkowskich objął niejaki Franciszek Pauer. Nie wiadano nigdy, czy był Czechem, czy Niemcem, a chłopi z pewną złością nazywali go „Semsakra”. Pochodziło to od częstego wymawiania przez niego tych słów. Zarząd dóbr sanguszkowskich zaangażował go umyślnie do przeprowadzenia daleko idących

reform w gospodarce lasowej jako wybitnego podobno fachowca. Zaczął on te reformy od postawienia zapór i przeszkód na wszystkich drogach i ścieżkach do lasu prowadzących, wykopania głębokich rowów granicznych i ogrodzenia niektórych punktów drutem kolczastym. Wszystko to miało być jakoby skierowane przeciw złodziejom leśnym. Zabronił chodzić i jeździć drogą publiczną, idącą przez las bez specjalnego zezwolenia. Wyznaczał bardzo wysokie kary za przestępstwa leśne i ściągał je bez miłosierdzia ze wszystkich. Uszczuplił niesłychanie wynagrodzenie w naturze za różne prace w lesie dokonywane, a szczególnie za karczowanie i rżnięcie drzewa. Odebrał tak zwane wierzchowiska, z których chłopci budowali sobie stajnie, chlewy, szopy, a nawet stodoły.

Rąbał w lesie linie, dzieląc go na rewiry i przecinał młodniki, zostawiając tylko co lepsze drzewo. Ta gospodarka nazywała się u przerażonych chłopów niszczeniem lasu. Gorzej, bo kilkaset morgów łąk dawniej chłopskich zamienił na stawy rybne, pozabawiając wszystkich możliwości zakupu siana i nadziei odzyskania tych łąk w przyszłości, o czym chłopci w najgorszych nawet czasach nie przestali ani na chwilę myśleć.

Z drugiej strony dawał bardzo znaczne i niezłe zarobki tak tak przy odwodnieniu lasu, przecinkach i wyrębach, obrabianiu, tarcu i przewożeniu drzewa, jak budowie dróg i mostów, urządzaniu i kopaniu stawu, budowie nowych leśniczówek i różnych przez niego prawie codziennie wymyślanych robotach.

Usunął też wszelkie łapówki i kubany, jakie odgrywały wielką rolę za niektórych jego poprzedników, wypłacając każdemu bardzo rzetelnie jego większy czy mniejszy zarobek.

Poza lasem i służbą nie utrzymywał z nikim żadnych stosunków. Z ludźmi obchodził się surowo, a nawet ordynarnie, a epitet „polskie świnię” nie schodziły mu prawie z ust.

Chodziłem sam do szkółki drzewek na zarobek po dwadzieścia pięć centów dziennie wynoszący, razem z innymi chłopcami, gdzieśmy się go wszyscy gorzej bali niż szatana. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż Pauer spoliczkował i skopał wielu nawet starszych i poważnych ludzi. Wszyscy się też burzyli i odgrąжали, ale się nikt na nic nie ważył, bo każdego śmiałka usuwał od razu od pracy w lesie, możliwości zakupu drzewa i siana, bez czego nikt by nie mógł egzystować. Banicja owa była tym gorsza, że wydalonemu z lasu osobnikowi żaden z właścicieli lasów okolicznych także nic nie sprzedał. Środek ten stosowano później do chłopów politycznie niewygodnych. Wyjątek stanowił tylko znany leśny Głowacki, który się nigdy „Szwabowi” nie podporządkował, mimo licznych skarg przez nadleśniczego do sa-

mego księcia Sanguszki wnoszonych. Okoniem stawiał się mu też zawsze jeden z chłopów, jego najbliższy sąsiad, Jan Rzymek, drący z nim koty prawie że codziennie.

Z leśniczymi, sobie podwładnymi, zupełnie także nie żył. On ich traktował jak niewolników, oni go zaś nienawidzili jakby tyrana największego. Nie cierpeli go także z powodu jego „uczoności” i wpływów, jakie miał u Sanguszków.

Stosunki zmieniły się znacznie na lepsze, gdy się ożenił. Żona jego, Polka, pochodząca ze wschodniej Galicji, bardzo rozumna i miła kobieta, działała ogromnie łagodząco i w znacznej mierze udało się jej usunąć naprężenie pomiędzy chłopami i jej mężem, latami trwające. Do końca nieubłagany pozostał tylko jego sąsiad Rzymek.

Z Pauerem stykałem się bardzo wiele jako młody robotnik, następnie poważny już gospodarz, wójt gminy, przewodniczący komitetu parafialnego, w którym on zastępował księcia, członek rady powiatowej, poseł do Sejmu i Parlamentu, a w końcu nawet jako polski prezydent ministrów. Czuł on sam wtenczas niewłaściwość swojego dawnego postępowania i nieraz się z tego tłumaczył przede mną. W czasie przewrotu 1918 uniknął śmierci z ręki chłopów tylko dzięki mojej bardzo energicznej postawie, przy której się narażę na masę ludności, szukającej na nim zemsty. Toteż musiało mnie dotknąć niesłychane wprost twierdzenie posła Marylskiego, jakoby miał popierać zamachy przeciw Pauerowi. Nie wiem, na czym on opierał to swoje nieuzasadnione twierdzenie. Z leśniczych, których znałem, zupełnie przyzwyczajeni zachowywali się wobec chłopów Wąsowicz i Mirecki, a już wyraźną przychylnością odznaczał się Franciszek Sławiński. Przed wojną światową poszedł on dzięki Pauerowi, który go nienawidził, przeniesiony do dóbr Sławuckich na Wołyń. Tam go zastała wojna, w czasie której przeszedł całe piekło bolszewickie. Dzięki moim staraniom wrócił w r. 1925 do Wierchosławic chory i sterany. Żył jeszcze dwa lata w całkowitym niedostatku, gdyż Sanguszkowie odmówili mu zarówno pracy jak i pomocy. Złamany, sponiewierany umarł w domu jednego z chłopów miejscowych.

Karczmy

Do dworu należały także wszystkie karczmy we wsi. Było ich sześć, rozmieszczonych po wszystkich częściach gminy, a jedna z nich stała bardzo długo o kilkanaście kroków od głównych drzwi kościelnych. We wszystkich bez wyjątku szynkowali

Żydzi. Mimo ogólnej nędzy, całymi latami bez przerwy trwającej, potrafili oni nie tylko wyżyć, ale się bogacić i dzieci wychować i zaopatrzyć. Chłopi nie mając co robić, ciągnęli do karczmy, ażeby się z drugimi zobaczyć i trochę pogadać. Siedząc nieraz cały dzień, nie mogli się wstrzymać, by nie kupić paczki tytoniu, nie wypić kieliszka wódki, kumotra czy znajomego nie poczęstować. Ponieważ pieniędzy nie mieli, do karczmy musiał iść garniec zboża, ćwierć ziemniaków, kura, gęś, cielę, siano, nawet krowa, a czasem trzeba było chwycić się i stajonka pola, mimo że to było uważane za wielkie przestępstwo. W pewnych okresach napadało ludzi jak gdyby szaleństwo. Pamiętam, jak każdego roku w czasie ostatków w mięsopusty chłopi tak się zapalali, że w karczmie zwanej „multanią” pili i tańczyli bez przerwy trzy dni i trzy noce, nie zaglądając zupełnie do domu. W Wierchosławicach zaś pod tym względem nie było wcale gorzej, jak gdzie indziej. Nic też dziwnego, że chłopi żyli, jak ostatni nędzarze, a Żydzi mieli dostatek i prawie zawsze robili poważne majątki.

Wnuk jednego z ówczesnych szynkarzy w Wierchosławicach, niejaki Fisch, jest obecnie właścicielem majątku Karsy, położonego w powiecie dąbrowskim, i jak mówią sąsiedzi, powiernikiem i kierownikiem zniedołężniałego senatora Bojki.

Bitki pomiędzy parobkami poszczególnych wsi były na porządku dziennym. Nie obeszło się bez nich na zabawie, weselu a przede wszystkim w karczmie. Odbwały się one albo pojedynczo, gdzie się waliło po gębie dwóch zapaśników albo też przybierały charakter masowy, gdy do bójki przyłączali się przyjaciele jednej i drugiej strony. Bardzo często jedne wsie przeciwko drugim robiły normalne wojenne wyprawy. Wygrana czy przegrana bitka dawała zawsze powód do nowej wojny, która się wlokła latami. Udział w takich wyprawach stanowił punkt honoru dla każdego kawalera, toteż nie było prawie takich, co by się uchylali od tego.

Wyprawy te i bójki z nimi połączone nie były wcale straszne, dopóki traktowano je jako pewnego rodzaju pieniactwo, a nawet sport, przy którym używano tylko gołej pięści. Gorzej się działo, gdy do ręki zaczęto brać kamienie, potem kij, bokser, a w końcu sztylet, nóż a nawet rewolwer.

Jak w każdej dziedzinie, tak też i tu wyrabiali się zawodowcy, dla których bójki i awantury stały się żywiołem i codziennym prawie zajęciem. Pamiętam, że u nas do takich bitników, budzących grozę u wielu należeli Lech Maciej i Wojciech Molczyk. Przed Molczykiem szczególnie mieli ludzie taki strach i respekt, że gdy kto krzyknął na jakimś weselu czy zabawie: „Molczyk idzie” — gromada cała uciekała, gdzie mogła, przeskakując

sobie przez głowę, choć tam Molczyka nie było. Z czasem tak się dał we znaki wszystkim, że we wsi panowało ogromne zadowolenie, gdy go w związku z taką wyprawą awanturniczą ułani utopili w stawie w Tarnowie.

Osobną branżę stanowili tzw. „despetnicy”. Były to podrostki, które się bały zbliżyć do kawalerów, ażeby „nie dostać pasem”; włączyli się więc osobno wieczorami po wsi, śpiewali i urządzali rozmaite psikusy, dopóki nie zostali przez starszych spłoszeni.

W czasie przelotnego kursu, jaki zapanował w głównej siedzibie Sanguszków w Gumniskach koło r. 1890, sprzedano lub rozebrano budynki karczemne, a w ostatnim, jaki pozostał osadzono szynkarza chrześcijanina. Był nim Walenty Pabjan, pochodzący z Biadolin radłowskich. Urządził on szynk zupełnie na nową modłę, zarabiając też bardzo wiele. Wprawdzie chłopci z początku nie śmieli się pokazywać „w pańskiej osterii”, ale z czasem się przyzwyczaili i pili na umor. Było też i za co, bo się lata poprawiły i zarobku było wiele. Mimo szerokich zabaw, spokój we wsi dość długo panował. Szynkarz bowiem był bardzo poważnym człowiekiem i najdalsze natury umiał trzymać na wodzy. Wszystko się zmieniło, gdy umarł, a przedsiębiorstwo po nim objęła żona wraz ze swoim bratem Wincentym Stawarzem. Pijaństwo i rozpasanie wszelkiego rodzaju doszły do niebywałych wprost rozmiarów. Prym wodziła młoda wdowa, braciszek wcale nie pozostawał w tyle.

Chrześcijańska firma rozgrzeszała wszystko, co się tam działo, a co się działo, to wiedziała i ze zgrozą sobie opowiadała cała szeroka okolica. Zarówno wójt Kosiaty jak i Głowacki, a z nimi wielu gospodarzy dawało jak najgorszy przykład. Za pijaństwem poszła rozpusta, napadanie na ludzi, awantury, a nawet morderstwa. Przez Wierzchosławice bali się ludzie przechodzić i przejeżdżać nawet w biały dzień. Smutna sława tej wsi rozeszła się niezwykle szeroko i daleko. Trupy zalegały podwórza karczemne, komisje sądowe i prokuratorskie zjeżdżały co trochę do wsi, zabójcy zamieszkałi gęsto w kryminalach tarnowskich. Czasy od 1895 do 1900 roku pozostaną najczarniejszą kartą Wierzchosławic, przypieczętowaną rozpustą, krwią i różnymi zbrodniami.

Ksiądz proboszcz, bolejąc naprawdę nad tym, co się działo, nie miał odwagi uderzyć w samo zło i dotrzeć do jego źródła. Zaczął więc chodzić bocznymi i mało skutecznymi drogami. Wzywał więc do siebie rozmaitych ludzi, tłumacząc im konieczność zmiany, urządzał modły o nawrócenie grzeszników, mniej i więcej zatwardziałych, gromił pijaństwo, a gdy widział, że to wszystko nie pomaga, chwycił się ostatecznego środka: postanowił urządzić

misje. Nie poszło mu to ani wnet ani łatwo, bo misje kosztowały, a ksiądz proboszcz wydawać nie lubi. Nareszcie się zdecydował, przygotowując na te wielkie rzeczy opinię parafii przez parę tygodni.

Jednego dnia popołudniu zjechali według zapowiedzi księży Redemptoryści. W bardzo licznych i gorących kazaniach starali się oni w jak najczarniejszych barwach przedstawić skutki pijaństwa i zepsucia połączonego zwykle z nim, grożąc strasznymi karami Bożymi, które w tym i przyszłym życiu na pewno nie ominą winowajców. Szczególnie ks. Łubieński w słowach porywających, malując ogrom czeluści piekielnych i gospodarkę zajętych tam szatanów, potrafił doprowadzić ludzi do tego, że to piekło i szatanów, znęcających się nad potępieńcami, widzieli wciąż przed sobą tak we dnie jak i w nocy. W czasie parodniowych misji kobiety zawodziły głośno i przeraźliwie, mężczyźni stali przeważnie nieruchomo z zachmurzonymi na dół spuszczonej twarzami, wyrzekając się złego. Misje owe zakończyły się generalnym ślubowaniem od wszelakich trunków i uroczystym podziękowaniem Bogu za tę wielką przemianę. Proboszcz chodził uradowany, a martwiło go tylko, że kilka kobiet chodziło z objawami obłąkania.

Był to jednak triumf bardzo przedwczesny, gdyż jak się okazało, misje i śluby niewiele i nie na długo pomogły. Ślubujący prawie wszyscy wstrzymali się od picia na parę tygodni, huczna i głośna karczma zupełnie opustoszała. Nie brakło wielu takich, co pili pokryjomu lub po innych karczmach. Z czasem zaczęli pić wprost otwarcie i to jeszcze więcej niż przedtem, ażeby odrobić zaległości. Wszystko zaczęło iść po dawnemu. Kres orgiom położyły trochę sądy przez surowe ściganie pijaków i awanturników, trochę zmiana szynkarza, a najwięcej idąca świadomość, która się stała największym wrogiem pijaństwa.

Obecnie w Wierchosławicach nie ma żadnego wyszynku, a w danej „osterii” znajduje się posterunek policji państwowej, z pijanym często przodownikiem Zielińskim na czele, trzymającym na wodzy otrzeźwione Wierchosławice.

Inteligencja

Do inteligencji Wierchosławice wcale nie miały szczęścia, a już nie miały go zupełnie do tej swojej, rodzimej. Księża, nauczyciele, leśniczowie, dzierżawca żyli tylko ze sobą i to nawet dość z daleka, myśląc przede wszystkim o swoich obowiązkach. Chłopów traktowali jako przedmiot czasem niewygod-

ny, ale prawie zawsze potrzebny. Toteż poza użytecznością roboczą niewiele się nimi zajmowali. Jeżeli robili próby jakiej pracy kulturalnej i społecznej, to raczej bardzo płytkie i niestałe, raczej dla pozorów, by się przed innymi nie wstydzić. W ten sposób założone kółko rolnicze okazało się zupełnie nieżywotne i upadło bardzo szybko. Sklepik kółka uległ temu samemu losowi, a dość poważna biblioteka rozlaża się zupełnie bez śladu, ponieważ się nikt o wypożyczone książki nie upomniął. Chłopi wiedzieli, jakie dali udziały i komu, ale się nigdy nie mogli dowiedzieć, gdzie one się podziały.

Do gimnazjum i innych szkół w Tarnowie w różnych odstępach czasu z Wierchosławic chodziło bardzo wiele młodzieży. Marzeniem silących się na ich kształcenie ojców było, ażeby zostali księżmi, albo jakimi takimi urzędnikami. Ponieważ jednak zdolności i pilność uczniów nie chodziły zwykle w parze z tymi pragnieniami, a postęp w naukach wiele pozostawiał do życzenia, redukowano te zamiary i często kandydat na proboszcza zostawał woźnym, a co najwyżej podurzędnikiem kolejowym, jeżeli nie wracał do domu napędzony za brak wszelkich zdolności lub też chęci do nauki. Czasem zdołał się ktoś „uwiesić” przy wojsku kontent, że zdobył świecące guziki. Wyjątek niezwykle rzadki stanowiło dwóch braci Pochroniów, ludzi bardzo zdolnych i pracowitych. Jeden z nich, Józef, mimo wszelkich trudności dobił się stanowiska lekarza, drugi młodszy, Jan, został sędzią powiatowym. Obydwaj umarli młodo i obaj na pomieszanie zmysłów. Chłopów nie lubili. Jako akademicy rozmawiali nieraz z ojcem, a później i ze mną, wyrażając się zawsze o nich z przekąsem i lekceważeniem, zaznaczając, że z nich nigdy nic nie będzie.

Słuchacz ostatniego roku medycyny, Józef Rzeźnik, rozpił się i umarł na pół obłąkany przed ukończeniem uniwersytetu. Słuchacz filozofii, Bartnik, bardzo zdolny chłopak, przemęczony, umarł na suchoty, nie zdoławszy dokończyć nauki.

Ksiądz Adam Bryl, który z trudem i opóźnieniem dochrapał się święceń kapłańskich, miał ciągle zatargi z biskupem tak z powodu pijaństwa jak i niezbyt budującego prowadzenia się, a przerzucany z parafii na parafię, pozbawiony kilkakrotnie uprawnień kapłańskich, umarł dość wcześnie w biedzie i zapomnieniu. Starszy i poważniejszy od niego ksiądz Niedojadło nie miał wprawdzie tych kłopotów, z którymi potykał się Bryl, ale także nie odznaczał się wybitnie niczym i umarł stosunkowo jeszcze w młodym wieku.

Dwóch zdołało dobić się chleba nauczycielskiego, a kilku kandydatów na te posady — zaledwie guzików konduktorskich.

Kilku zajęło nieokreślone bliżej stanowiska na poczie i innych urzędach.

Obecnie zaś siedzi na wsi cała paczka gospodarzy, którzy, przeszedłszy po parę klas gimnazjalnych, niczym się nie różnią od tych, co mądrość swoją czerpali w Wierchosławickiej szkole ludowej, a nieraz stoją znacznie od nich niżej i to, niestety, pod wielu względami.

Wiem, że w innych wsiach było znacznie lepiej. Z małej, sąsiedniej wsi Bogumiłowic wyszło kilku księży, paru profesorów, urzędników i podurzędników różnej kategorii.

Organista

Organista nie tylko że był zaliczany do inteligencji wiejskiej, ale miał pozycję niezwykle poważną, gdyż go uważano za pół duchownego. Wielkiego splendoru dodawało mu granie na organach i śpiew z proboszczem po łacinie.

W naszej gminie i parafii obowiązki organisty sprawował przez długie lata Wojciech Kulig. Był to człowiek bardzo rozumny i stateczny, a co za tym szło, ogólnie szanowany. Wprawdzie nie uczył on już dzieci na „lamentorzu”, bo ten chleb odebrała mu szkoła i nauczyciel, ale za to był pisarzem gminnym w paru wsiach, a przez jakiś czas c.k. rewizorem byłą, co wobec ludzi i proboszcza ogromnie podnosiło jego znaczenie. Na wieś wychodził, nie omijając żadnego domu po spisach przed spowiedzią wielkanocną, za którą to czynność dawano mu po kilka jaj lub też garniec pszenicy, za „petytą” na jesieni, ale tylko do tych, co mieli własne stodoły, osobno zaś za pszenicą na opłatki, zwykle tylko do bogatszych, no i po kolędzie z jegomością w czasie mięsopustnym. Wszystko to dawało dość pokaźne dochody, ale ich wcale nie wyczerpywało, gdyż organista na podstawie układu z wielkodusznym proboszczem, ks. Rybickim, pobierał duży procent ze wszystkich mszy śpiewanych i cichych, ślubów, chrztów i pogrzebów, no i po trzy centy za każdą kartkę, wystawianą do spowiedzi każdemu z mieszkańców obszernej parafii. Jemu przypadała cała zapłata za „Winikrot” (Veni Creator), jaki grał przy ślubach. Miał też prawo pasania swoich krów na gruntach plebańskich i dzierżawy za pół darmo kilku morgów pola od księdza proboszcza.

Stosunki jego zmieniły się zupełnie, gdy umarł ks. Rybicki, a proboszczem został ks. Franczak, który obok siebie nie mógł ścierpieć żadnego, a tym więcej takiego potentata, tuczącego się „krzywdą kościoła”, a co gorsza jeszcze biednego proboszcza. By

dalej do tego nie dopuścić, proboszcz grunt mu odebrał, było paść zabronił na plebańskim polu, a procent, pobierany od wszystkich czynności kościelnych, dokumentnie obciął. Toteż biedny Kulig, mający gromadę dzieci na wychowaniu, żalił się nieraz na tę krzywdę, a płacząc rzewnymi łzami, wskazywał na brak sumienia u ks. proboszcza, będąc przeświadczony, że za jego przyczyną pozbawiony został posady rewizora, tak dla niego korzystnej.

Po ustąpieniu Kuliga przerzucił proboszcz kilku organistów, którzy mało miejsca zagrzewali, bo albo on nie mógł z nimi wytrzymać, albo też oni z nim. Zatrzymał się nareszcie na Wacławie Golińskim, z którym z początku żył nawet w bardzo wielkiej przyjaźni. Niestety chciało, że Goliński zamiast pilnować tylko organów i uczyć dziewczęta śpiewu na chórze, zabawił się w reformatora, głosząc szeroko, że krzywda organistów woła o pomstę do nieba i że to jest niemożliwe, aby tysiące tych ludzi było niewolnikami proboszczów i żyło z jałmużny parafian. To byłby mu może jeszcze proboszcz darował, ale nie mógł mu już w żaden sposób przebaczyć, kiedy na zjeździe organistów w Tarnowie Goliński powiedział, że ponieważ chłopci nie mogą i nie powinni płacić stałej pensji, tak organiście jak i dziadom kościelnym, to może i powinien to zrobić proboszcz, dając im część gruntu plebańskiego, którego on zresztą nie potrzebuje. To odezwanie się organisty ze spokojnego zwykle proboszcza zrobiło wulkan, zięjący ogniem i nienawiścią do Golińskiego.

W najbliższą niedzielę zapowiedział on też publicznie z ambony, że choćby miał paść trupem, to nigdy nie pozwoli naruszyć dziedzictwa kościoła, które mu dali i zabezpieczyli pobożni przodkowie. A jeśli dotąd mogło tylu organistów wyżyć, to i Goliński wyżyje, a jak mu się nie podoba, to sobie może lepszej służby poszukać.

Stosunki przyjacielskie pękły też od razu, a ich miejsce zajęła walka i szykany. Zaraz się jakoś zdarzyło, czego dawniej nikt nie wiedział, że pani organiścina śmiała się do wikarego, a i wikaremu także się na płacz nie zbierało. Drugie odkrycie zrobione przez proboszcza było jeszcze gorsze, bo już na własne oczy widział, jak w sklepie u tej organiściny ks. wikary kupował kilku dziewczętom cukierki, uważając to za rzecz zupełnie naturalną. Wkrótce także proboszcz sprawdził, że gęsi organisty przechodziły przez rzadkie sztachety na plebański ogród, krowa zaś weszła na łąkę i to jeszcze przed skoszeniem. Zdarzyło się też, że zamyślony organista zaśpiewał na chórze zupełnie co innego niż proboszcz przy ołtarzu.

Po tym wszystkim ks. proboszcz jako dobry ojciec i zapobiegliwy gospodarz dał organiście długą publiczną reprimendę, ambitny zaś organista nie mógł tego przenieść na siebie, powiedział proboszczowi, co mu należało, i opuścił zarówno posadę jak i Wierzchosławice, dostawszy jakieś zajęcie w browarze książąt Sanguszków w Tarnowie.

Buntujące się z nim razem dziady kościelne musiały proboszcza przeprosić, wyrzec się wszelkich zakazanych przez niego dążeń, a za pokutę odebrał im trawę na cmentarzu, jaką zawsze od czasów niepamiętnych zabierali dla siebie. Teraz od dawna już panuje święty spokój. Proboszcz zwyciężył bowiem zarówno dziadów jak i organistę, nowi zaś, pomni groźnego przykładu, nie wąż się ani ust otworzyć.

Wójt

Wójt w tym czasie to było wielkie słowo i niemały urząd. Wójt rządził niepodzielnie, sądził, wyrokował, karał i to bez żadnej apelacji. Prawa, ustawy i przepisy dla niego wcale nie istniały, bo prawem był on! Wiedział zresztą, że się nikt skarżyć nie ośmielił do żadnej wyższej władzy, a gdyby się i skarżył, nie zda się to na nic. I nie zdało się! Gdyż władze bywały zawsze za nim.

Nic dziwnego, że wójt często z dumą powtarzali: „Od mojego wyroku nie ma rekursu, chyba do Pana Boga”. Urząd wójtowski najczęściej zajmował się sprawami o zaoranie miedzy, wypasienie trawy, kradzieże popełnione, a często i nie popełnione, awantury nocne, granie bez zezwolenia, zaniedbanie warty gminnej albo i kościelnej, obrazy honoru, wynikające ze swarów codziennych, czasem obrazę władzy wójtowskiej, a nie-raz także naruszoną cnotę i moralność. Miał też niemało spraw, przez władze wyższe mu przydzielonych.

Sądy te z nastawieniem całego ceremoniału odbywały się w karczmie „pod Borem”. Dla dodania sobie powagi, a może i zapewnienia bezpieczeństwa, sadzał wójt koło siebie kilku asesorów uzbrojonych zawsze w potężne lagi urzędowe, którymi sobie nie-raz pomagano do ujawnienia winy upartego delikwenta.

Trzy były rodzaje kary przez sądy wójtowskie stosowane: Pierwsza to kara cielesna na poczekaniu wymierzana, przeważnie dwadzieścia pięć kijów wynosząca. Następna kara to areszt, którym była nigdy nieogrzewana, a przy tym ciemna buda, stojąca o kilkanaście kroków od kościoła i służąca często za miejsce ustępowe. Przestępców, których władza bardziej nienawidziła,

prowadzono do odbycia wymierzonej kary do tej budy wtenczas, gdy najwięcej ludzi było przy kościele, i w takim czasie ich też wypuszczano, ażeby kara była dotkliwsza i ostraszającym przykładem dla innych. W końcu zasądzano na karę pieniężną, przeznaczoną zwykle na wódkę, piwo i przekąskę dla sędziów. Wygrywający sprawę nigdy też prawie grosza nie przyniósł do domu.

Decydowały zaś przy tych sądach niemal zawsze, jeśli nie specjalne względy lub zemsta osobista, to piwo, flaszką wódki, reński srebrny, wciśnięty nieznacznie wójtowi do ręki. Patrząc na to, ludzie ściskali zęby i po cichu wzywali klątwy i pomsty Bożej.

Za podatki i prestacje nieodrobione zabierano bez ceremonii ostatni garniec zboża, pierzynę, a nieraz ostatnie ubranie. Egzekucjom, dokonywanym z ogromną bezwzględnością, towarzyszyły jęki i płacze nieszczęśliwych. To się jednak nie zdało na nic, gdyż sprawiedliwość gminna była nieubłagana. Jeżeli zaś znalazł się jakiś śmiałek, usiłujący bronić swego niesłusznie zabieranego dobytku, uspakajały go bardzo prędko lagi wójta i przysiężnych.

Po takich obławach odbywały się orgie pijackie, trwające całymi nocami, w których udział brało zawsze grono wybranych. Na wsi szeroko o tym opowiadano, ale się też zbytnio tym nie gorszono, gdyż panowało ogólne przekonanie, że każdy wójt będzie taki sam. Bunt, jaki raz podniosło kilku urlopników, został bardzo rychło stłumiony łagami już szerszego grona rządzących gminą ojców.

Wszyscy we wsi byli święcie przekonani, że tak starosta jak rada powiatowa, sąd, dwór i proboszcz stoją za wójtem i że mu nigdy i za nic włos z głowy nie spadnie. Toteż na największą wyrządzoną im krzywdę machali rękami, mówiąc: „Co ja mu mogę zrobić, jak on ma takie plecy za sobą”.

Mimo to, jak przychodziły wybory do rady gminnej, nikt się prawie na nie zjawiał oprócz rządzącej kliki. Nieraz musiał wójt spędzać przymusem ludzi, ażeby starczyło przynajmniej na utworzenie komisji wyborczej. Dziwni doprawdy byli to ludzie. Umieeli płakać i narzekać na straszne naprawdę wyrządzane im krzywdy, ale nie chcieli nic zrobić, ażeby się tych krzywd i krzywdzicieli pozbyć, co mogli bez wielkiego trudu uczynić.

Kłócący się ze sobą dość często mieszkańcy Wierchosławic zgodni byli w jednym, a mianowicie, by zmarły już dawno wójt tej gminy, Duda, światła Bożego nie oglądał nigdy. Przekleństwo to wymawiały dzieci i kobiety, które bił leśny dworski, gdy zbierały grzyby lub też drobne spadłe gałęzie. Gdy im ten leśny tłukł garnki razem z nazbieranymi borówkami albo im też te borówki zabierał. Pastuch, któremu polowy zajął krowę, chłop zmuszony

przeplacać garstkę siana, albo też zbierający lichą trawę po wyrębach i młodych kulturach leśnych, czołgając się za nią na kolanach. Przeklinał Dudę, gdy nie dano mu wziąć trochę spadłych liści na pościel albo też mchu, potrzebnego do obłożenia domu na zimę.

Tak Dudy jak i jego winy bliżej nie znałem. Wiadomo jednak było każdemu, że mieszkańcy Wierchosławic posiadali obszerne i niezłe łąki w lesie Sanguszków, ponadto mieli prawo zabierania sobie uschłego drzewa i gałęzi, kopania i zabierania pniaków i pasienia po lesie bydła. Mieli więc paszę dla bydła w lecie, pokarm na zimę, opał, a częściowo i materiał budowlany, co razem wzięte stanowiło podstawę ich egzystencji gospodarczej. Ponadto wstęp do lasu, bo jak mówiono, nikt z lasu z próżną ręką nie wychodził. Znaczyło to, że musiał coś ukraść.

Uprawnienia te były bardzo nie na rękę właścicielowi lasu, magnatowi Sanguszcze. Pragnął on też zupełnie chłopów z lasu usunąć, nie chciał jednak tego w sposób zbyt drastyczny robić ani ich też widocznie krzywdzić. Trafiła się dobra sposobność, ponieważ był to okres regulowania spraw serwitutowych. Z początku próbował sprawę tę załatwić ugodowo z gminą. Według opowiadania ówczesnych świadków przysyłał kilkakrotnie swoich pełnomocników do wójta Dudy, którzy mu robili nawet bardzo korzystne propozycje. Sanguszko był gotów dać chłopom za łąki w lesie dwa razy tyle gruntu we wsi, a gminie za jej uprawnienia kilkaset morgów lasu na własność.

Wójt Duda wraz ze swoimi doradcami propozycję tę odrzucił, gdyż uważali ją wszyscy za podrywkę. Sprawa się ciągnęła aż nareszcie przyjechał do Dudy sam książę Sanguszko. Duda, dowiedziawszy się o tym i widząc zbliżającą się czwórkę książęcą, uciekł z domu i tak się ukrył, że go nikt nie mógł odnaleźć. Sanguszko rozgniewany odjechał z niczym.

Sprawa poszła do sądu. Gmina broniła się niesłuchanie słabo, pełnomocnicy jej według powszechnej opinii zdradzili, biorąc jakoby od księcia łapówki. Sąd w Tarnowie wydał wyrok, na podstawie którego wszystkim chłopom odebrano łąki w lesie, dając im za to po kawałku mokrego piaszczystego gruntu pod lasem, stanowiącego ongiś pastwisko gminne. Za wszystkie zaś uprawnienia dostała gmina mocą wyroku sądowego osiem morgów młodego lasu, położonego w środku wsi.

Chłopi przez długi czas szaleli z oburzenia na tak straszną krzywdę, jak i na tych, co jej byli winni. Bolało ich to tym bardziej, że chłopi z kilku wsi sąsiednich uprawnienia podobne mają do tego czasu w lasach należących do dóbr radłowskich i z nich korzystają.

Pierwszym wójtem w Wierchosławicach, którego zapamiętałem, był Błażej Wolski. Starszy już wiekiem, łagodnego usposobienia, robił bardzo miłe i dobre wrażenie. Uważał się za szlachcica i bardzo dużo i chętnie opowiadał o tym. Służył długo przy wojsku austriackim, w którym odbył dwie kampanie wojenne. Przyniosły mu one dwa medale zasługi, nogę przetrąconą i jakąś drobną pensję inwalidzką, pobieraną każdego miesiąca w Tarnowie „w stajernamie”. Urzędowanie jego odznaczało się tym, że sam niewiele bił, ani nie szalał zbytnio, robili to za niego i z jego wolą inni.

Za czasów urzędowania Wolskiego zbudowano w Wierchosławicach szkołę drewnianą, która stoi jeszcze do tego czasu. Nie wszyscy wtedy we wsi wiedzieli, na co ona jest potrzebna, choć wszyscy pamiętali dokładnie, ile wójt przy budowie ukradł pieniędzy i drzewa i opowiadali o tym przez całe dwa pokolenia. Niezależnie od tego przestępstwa uważano Wolskiego za człowieka fałszywego i nazywano go dość pogardliwie „kotkiem”.

Spodziewano się wielkiej zmiany na lepsze, gdy urząd wójtowski objął Wojciech Kosiaty, młody, energiczny, rozumny i bardzo gładki człowiek. Nadzieje te jednak bardzo rychło zawiodły. Wybrany zastępcą Jan Głowacki zdołał wnet opanować Kosiatego i robił z nim, co mu się podobało. Zaniechane na krótko stare praktyki odżyły w całości. Obaj urzędowali, pili i hulali, demoralizując w gminie wszystko, co jeszcze było tam zdrowe. Każdy we wsi wiedział, że panów wójta i zastępcę można prawie zawsze i na pewne zastać w karczmie u Pabiana „pod Borem”, gdzie siedząc w osobnym pokoiku, wypijali codziennie małą beczkę piwa i „graniówkę silnej wódki”, zjadając przy tym masę moskali i różnego mięsiwa. Nie żalowali także i drugim. Pijatyki na wielką skalę odbywała też władza gminna w Tarnowie, gdzie urzędowo zajeżdżała co tygodnia forszpanem i wracała późną nocą, jeżeli nie na drugi dzień.

Na te szerokie zabawy nie wystarczały tak pensja wójtowska, jak i dochody z gospodarstwa, coraz więcej zaniedbywanego, trzeba było więc szukać innych źródeł. Znalazły się one bez wielkiego trudu. Kosiaty, pewny bezkarności, mając za sobą Głowackiego i będąc członkiem rady powiatowej w Tarnowie, zaczął brać, co się dało. Ażeby nie mieć świadka tej roboty, oddalił pisarza gminnego, Wawrzyńca Płanika, bardzo przyzwoitego człowieka, ponieważ był dla niego wyrzutem sumienia i hamował nieraz i to skutecznie rozmaite jego zapędy.

Zaczęły też iść pieniądze podatkowe, gminne, zaczęto fałszować kwity, pobierać podwójnie, a nieraz potrójnie należne prestatje. Tego już baranio cierpliwa ludność nie mogła wytrzy-

mać. Z kwitami w ręku udała się całą gromadą do rady powiatowej ze skargą na wójta. Zjechał jej urzędnik dla przeprowadzenia dochodzeń. Zamieszkał u Głowackiego, z nikim się nie zetknął, a egzekucja została do końca przeprowadzona mimo kwitów, które chłopci pokazywali. Chłopi, klnąc po cichu na czym świat stoi i wzywając pomsty Bożej na krzywdzicieli, pożyczali, zastawiali się i płacili. Do sądu nie skarżyli, bojąc się zemsty Głowackiego tak w lesie jak i w gminie.

Raz tylko mieszkańcy dowiedzieli się więcej z tajemnic gospodarki gminnej, kiedy Głowacki z Kosiątem po pijanemu wypominali sobie na cały głos wszystkie popełnione grzechy, grożąc jeden drugiemu sądem i kryminałem. Na drugi dzień, śmiejąc się obaj ogłosili, że to był tylko zwyczajny kawał. Ludzie uwierzyli, bo takie kawały zdarzały się przecież Głowackiemu bardzo często.

Ukoronowaniem tej gospodarki było zniszczenie kasy gminnej, sprzedaż lasu gminnego Głowackiemu za bezcen, mocne obciążenie gospodarstwa Kosiatego, niesłychane rozgoryczenie ludności, ale też zabicie w niej wszelkiej ambicji i zdolności do czynu, podkopanie wiary i ufności do jakiegokolwiek roboty wspólnej.

Znaczną część winy podobnej gospodarki przypisywano też nowemu pisarzowi gminnemu, Jakubowi Stawarzowi, którego wszyscy we wsi i okolicy nazywali „panem”. Był on mieszkańcem sąsiedniej wsi Ostrowa, gospodarzem na dwunastu morgach doskonałej ziemi, c.k. okręgowym rewizorem bydła, a ten tytuł „pana” dawano mu dlatego, że skończył gimnazjum w Tarnowie, nosił czarne ubranie, miał krawat i białe rękawiczki, a ponadto prenumerował i czytał gazety.

Był on nawet człowiekiem zdolnym i bardzo przystępnym ale szydził niemiłosiernie ze wszystkiego i ze wszystkich i szczególnie obrażał uczucia religijne kobiet, wyśmiewając się głośno już nie tylko z księdza, ale także z piekła i z niektórych praktyk religijnych i urządzeń kościelnych. Toteż ks. Franczak, który zawsze nienawidził Stawarza ale miał przed nim nie tylko respekt ale i wielką obawę, mógł być niesłychanie dumny, kiedy Stawarz już na łożu śmierci zgodził się na odbycie spowiedzi.

Po ustąpieniu z wójtostwa, jakby kto ręką przewrócił, Kosiaty zmienił się wprost nie do poznania. Do karczmy nie zjazał, pić zupełnie przestał, natomiast zaprzął się do roboty i zarobku razem z dorastającymi dziećmi i nie tylko gospodarstwo już wystawione na licytację uratował, długi wszelkie pospłacał, ale zaoszczędził gotówkę, kilkanaście tysięcy koron wynoszącą. Odzyskał też powagę i poszanowanie we wsi.

Odwaga cywilna i humor nie opuściły go do samej śmierci. W czasie wizytacji biskupiej naszej parafii ks. biskup Wałęga wezwał na probostwo wójtów gmin i członków komitetu parafialnego. Między nimi był także i Kosiaty. Kiedy ks. biskup zapytał, czy mamy jakie żale do ks. Franczaka, Kosiaty bez namysłu odpowiedział: „Tak jest, mamy, nasz proboszcz to zdzierca i skąpiec, bierze tak ze żywych jak i umarłych, ale nikomu nic nie da, choćby nawet konał”. Widziałem, że biskupowi było to bardzo nieprzyjemne. Na pytanie, jak się proboszcz zachowuje w kościele, Kosiaty znowu odrzekł: „Gada wiecznie to samo, baby śpią, a chłopcy wychodzą”. A gdy już mocno zniecierpliwiony, ale i widocznie zakłopotany biskup dał nam na pamiątkę po różańcu, Kosiaty obejrzał i zwracając się w stronę biskupa mruknął, że to „ostatnia tandeta”.

Byłem z tego w najwyższym stopniu niezadowolony, wiedząc, że ksiądz biskup uważać będzie te występy Kosiatego za moją robotę. Okazało się później, że się wcale nie myliłem. Rzecz naturalna, że ks. proboszcz Franczak wyładował też swoją żołąć na mnie, na Kosiatego i na tych dygnitarzy parafialnych, co zarzutów Kosiatego przeciw niemu z taką cierpliwością słuchali i nawet potakiwali.

Wójtostwo po Kosiatym objął Tomasz Bryl, zwany we wsi „dziedzicem” ze względu na swoją zamożność. Ogromne, nierozgarnięte, pyszne i chciwe chłopisko, spełniał w całości wolę sekretarza, którym był wyżej wspomniany Stawarz. Przyjął od każdego najmniejszy nawet datek, a co gorsza, często się o niego upominał. Lękliwy z natury, żadnych większych i widocznych nadużyć nie robił, od wpływów Głowackiego nawet dość skutecznie się bronił. Było to niezbyt trudne, gdyż miał za sobą radę gminną, w dużej większości Głowackiemu nieprzychylną. Ponadto sam Głowacki stracił już bardzo wiele, szczególnie z powodu krzywdzącej gminę transakcji z lasem.

Urzędowanie Bryla przypadło w tym czasie, gdy ruch polityczny pomiędzy chłopami zaczął się rozwijać, a trafił także i po trosze do Wierzchosławic bez względu na wszystko, co tam się działo. Był też w kłopotcie nie lada, nie wiedząc, komu ma służyć. Raz też chodził z prądem, drugi raz z Sanguszką.

Duży wpływ na postępowanie wójtów mieli żandarmi, którzy niemal codziennie przychodzili do Wierzchosławic z Tarnowa. Razem z nimi pili i powagą, jaką mieli, zakrywali ich nadużycia. Pod tym względem odznaczyli się w Wierzchosławicach dwaj żandarmi: Klimczak i Krupa, nieodłączni uczestnicy wszystkich bałów i pijatyk wójtowskich.

Pod względem gospodarczym stanowiła gmina dużą różnorodność, tak co do jakości gruntów, jak i obszaru poszczególnych gospodarstw. O tym nieco już wspomniałem poprzednio.

Mieszkańcy przysiołków Gosławice i Wieś mieli gospodarstwa większe, bo do trzydziestu pięciu morgów dochodzące, położone na gruntach przeważnie rędzinnych, przepuszczalnych i wydajnych. „Wolanie” siedzieli na piaskach, zwanych „starymi zagrodami”, mieli się jednak nieźle, bo grunta choć były piaszczyste, ale urodzajne. Posiadali gospodarstwa spore, bo piętnasto i dwudziestomorgowe. Poza tym mieli wszyscy po kawałku pola i łąki w „rędzinie” i paszę na gruntach dworskich. Pomagali sobie też niektórzy dość dużo kradzieżą, tak z dworskiego jak i z plebańskiego obok leżącego gruntu.

Przysiołek Szujec, największy ze wszystkich, miał niewiele mniejsze gospodarstwa od „Wolan”, lecz grunta bardziej piaszczyste, mniej urodzajne, a na domiar złego, bardzo często przez wody leśne zalewane, łąki zaś kwaśne i mało wydajne.

Zagrody trzedniakowskie były nierówne. Większa część gospodarzy miała tak zwane „Trzedniówki”, które wynosiły po dziesięć morgów ziemi, mniejsza zaś „Dwudniówki” tylko pięćmorgowe. Łąk prawie nie mieli żadnych.

Dwudniakowscy chłopci mieli wszyscy tylko po pięć morgów ziemi, niektórzy po kawałku nieszczególniej łąki koło lasu położonej. Grunta jednego i drugiego przysiołka były przeważnie piaszczyste, podmokłe, choć na Dwudniakach nieco lepsze.

Ponadto gosławianie posiadali kilkadziesiąt morgów doskonałego pastwiska, Wieś małe tylko skrawki, Wola nie więcej. Dwudniaki 11 morgów niezłego błonia, położonego między domami, i 36 morgów pastwiska, odległego o trzy kilometry, porośniętego rzadkim wrzosem i maleńką jałową trawą, na którą wypędzano bydło na tak zwaną „pokutę”.

Trzedniaki i Szujec posiadały osobne pastwiska, ale i nie lepsze.

Gdy u siedzących na dobrych gruntach była nawet znaczna zamożność, to u tych drugich panowała wieczna, nie zmieniająca się nędza. Mało kto mógł dociągnąć do nowego, wszyscy prawie musieli jedzenia dokupywać, a wszyscy nie mieli za co. Podmokłe, zapuszczone, źle uprawiane grunta rodziły też jak najgorzej. Ścierniska, nietknięte pługiem, leżały od żniw do jesieni. Pasiono na nich bydło, a przed siewem orano bardzo często na „razówkę” we wąskie i głębokie zagony. W bródach, szczególnie w okresie lat mokrych, stała woda po kolana. Jeżeli były lata

suchsze, pasiono w nich bydło na powrozach, gdyż zboże rośło jedynie na grzbietach zagonów.

Do orki szczególnie wiosennej zabierano się bardzo późno i z prawdziwym strachem. Bydło i konie leczły się bowiem z wodnicy i innych chorób na dobrze zazielenionym gruncie, przewracały się za lada potknięciem i musiało się poczekać aż nareszcie przyjdą do siebie. Początek orki bywał zwykle dużym widowiskiem. Nasprowadzano koni, naznoszono pługów i uprzęży i jak chciano ruszyć z miejsca, to albo konie poprzewracały się na siebie, pług się złamał albo też uprząż potargała się na strzępy. Zasadzone w taką ziemię marne łupiny ziemniaków ginęły pośród chwastów, a zasiany owies lub jęczmień nigdy nie wychodził „z portek”. Nie lepiej było ze zbożem ozimym, w którym znajdowało się pełno rozmaitych chwastów tak, że chleb z niego wyglądał na kawałek próchnicy. A ponadto był on on rzadkim gościem w domu.

Zarobku nie było prawie żadnego, czekano więc aż się „otworzą jagody”. Tym mianem określano czas, w którym dojrzewały w lesie borówki. Zbierano je i noszono do Tarnowa, ażeby za uzyskany pieniądz zakupić trochę żywności. Nie szło to jednak łatwo. Leśni książęcy pędzili dzieci i kobiety, chodzące na jagody, a często bili je do utraty przytomności, jeżeli zbierający nie wykupił kwitka lub nie odrobił nałożonych dni pańszczyzny.

Toteż jak tylko żyto „przyploniało”, rżnięto na gwałt, suszono na słońcu i na piecu i pieczono zwykle nieudany, zakalisty i jeszcze na pół zielony chleb. Czynność tę nazywano wypędzaniem „lasdragana”.

Wstęp do lasu na te jagody i grzyby, możność jakiegoś zarobku, zdobycia trochę siana lub opału trzeba było okupić z jednej strony zupełną uległością, z drugiej zaś daniną, uiszczaną w postaci dni roboczych, masła i kogutków dla leśniczego. Leśny swój haracz brał znowu osobno. Krew się musiała burzyć na taki straszny brak sumienia u tych ludzi.

W zimie ludzie spali niemal do południa, ażeby przespać śniadanie i tym sposobem zarobić na jedzeniu. To jedzenie zaś to zwykle czerwony, żytni barszcz bez omasty albo też okraszony olejem, parę drobnutkich ziemniaków, o które się biła między sobą głodująca rodzina. Zwykle bowiem chowano je do kopca na sadzenie i grubo przykrywano ziemią, by się nikt nie mógł łatwo do nich dostać. To zaś, co zostało, było traktowane jak największy przysmak. Takie przednówki trwały nieraz przez większą część roku.

Starych nawyków ani rusz nie dało się przełamać. Choć np. przy bardzo małym wysiłku można było wodę z gruntu spuścić, nie dało się tego zrobić, bo każdy pilnował, ażeby obca woda nie przechodziła przez jego grunt. Powstawały z tego powodu bardzo częste i zacięte swary, awantury i bójki. Nic one jednak ani nie zmieniły ani nie pomogły.

W czasie już dużych przebłyków mojej świadomości tak się jakoś ułożyło, że lata nieurodzajne szły jedno za drugim. Całe okolice i powiaty stałe głodowały. Szczęściem też było, jeżeli ktoś mógł dostać garść zboża lub trochę ziemniaków we dworze albo na plebanii, szczególnie na odrodek. Bardzo często sprzedawano ostatnią krowę i, nie pytając się o cenę, szukano za te pieniądze pożywienia, dziesiątkami mil i to zwykle bezskutecznie.

Żebraków było co niemiara. Przychodzili oni przeważnie z górskich okolic, spodziewając się na dołach znaleźć pracę i kawałek chleba. Pomylili się nieszczęśliwi, bo najczęściej trafiali do takich, jak i oni. Sam widziałem kilku z nich, zmarłych na puchlinę głodową i leżących pod ścianami domów. Nikt nie wiedział, kim oni byli, skąd pochodzili i nikt też się nie chciał zająć ich pogrzebem. Jeden tylko w strzępach ubrania miał książkę służbową, która wskazywała, że pochodził z Paleśnicy, wsi powiatu brzeskiego.

Co roku też prawie wzbierały wszystkie rzeki i potoki, zalewając grunta, na których wody leżały nieraz do drugich wylewów. Grady młóciły zboże prawie że corocznie.

Bydło i konie były maleńkie i mizerne, strasznie wyglądające. Wygłodzone przez zimę krowy nie tylko nie mogły się na nogach utrzymać, ale nawet nie wstawały same. Dźwigający je mówili, że chorują na „wodnicę i żabę”, które wcale ustąpić nie chciały, mimo że nad grzbietem trzęsącego się z osłabienia bydlęcia łamała jedna „z mądrych kobiet” laskę z leszczyny, naplula trzy razy i odmówiła przepisaną do tego obrzędu modlitwę. O mleku nie było i co mówić, zabierała je zawsze nienawistna czarownica, na którą wszystkie nieszczęścia zwalano. Chwiejące się na nogach konie odpasano na miedzach i ugorach, a jeśli im to nie pomogło, sprzedawano Żydowi na skórę.

Świnie chodziły po wsi samopas, rzadko zamykane na noc. Żywiły się przeważnie odchodami ludzkimi, kwicząc nieraz przeraźliwie z głodu. Chude też były jak szkielety, sierść miały zwróconą do głowy, a rosły po parę lat. Z czasem jednak świnie zajęły w gospodarstwie stanowisko uprzywilejowane, bo zwykle cała rodzina odmawiała sobie kwaterki mleka, ażeby nim omaścić

świni żarcie, bo ona dawała grosz na podatek, spłatę długu albo też na kozuch czy inną przyodziewę.

Ze zwierząt domowych szczególnie wyróżniano konia. Dla niego starano się o owies, koniczynę, lepsze siano, gdy krowy musiały się kontentować przeważnie słomą i gorszym sianem, nie oglądając prawie nigdy paszy treściwej.

To forytowanie koni było powodem stałej walki domowej, gdyż gospodyni nie mogła znieść upośledzenia krów i nieraz zabierała dla nich lepszą paszę, koniom przygotowaną. Gniew gospodarza rozbrajała tym, że „krowy mleko zgubiły, a koni się przecież doić nie będą”.

Koty i psy niejednako były traktowane. Jedni mieli do nich specjalny sentyment, inni pędzili z daleka od domu. Drób więcej przysparzał kłopotu, niż dawał korzyści. Kury bowiem rozdrapywały gnój i niszczyły grzędy, gęsi natrętnie pchały się wszędzie, robiąc po drodze bardzo duże szkody. Jedne i drugie stawały się też często przyczyną sąsiedzkich zatargów.

Nieraz się słyszało sumitujące się gospodynie, iż gęsi więcej widzieć nie chcą, jak się tylko dla dziewczuch zrobi zagłówki i pierzyny, nie zawsze jednak dotrzymywały słowa, bo na drugi rok znowu gęsi było pełno. Indyków prawie nie hodowano, bo jaja były drogie i młode indyczęta ginęły, gdy tylko na polu było zimniej albo się dotknęły pokrzyw. Hodowcy gołębi byli przedmiotem specjalnego lekceważenia. Uważano ich za lekkoduchów i kpiono z nich, nazywając „gołębiarzami”. Miano też do nich stałe pretensje, bo gołębie niszczyły słomiane pokrycie budynków i zakradały się do jedzenia dla innego drobiu przeznaczonego. Szeroko rozgałęziona hodowla królików dawała od czasu do czasu kawałek mięsa i parę centów za skórę, ale równocześnie stawała się nieznośnym ciężarem. Oprócz smrodu, jakim napełniona bywała każda izba, całe obejście stanowiło podkopy, do których domownicy wpadali codziennie. Gospodarz kłął, dziury wykopał, ale króliki dalej trzymał, bo albo synowie się przy tym upierali albo się nie chciał pozbyć drobnego dochodu. Tępiły je za to psy swoje i obce, dostając się do jam wykopanych. Większe jeszcze spustoszenie między nimi robiły szczury, chodzące nawet w biały dzień po stajniach i komorach chmarami.

Spomiędzy dzikiego ptactwa szczególniejszymi względami darzono bociany. Powodem była szeroko rozpowszechniona bajka, jakoby bocian pochodził od człowieka. Bajka owa głosiła, że gdy Pan Jezus chodził po ziemi, zbliżył się też do kosiarzy, życząc im szczęścia. Kosiarze mu nie odpowiedzieli, za co Pan Jezus przemienił ich w bociany i postanowił, ażeby przez całe

wieki chodzili po łąkach i bagnach. Zabicie bociana było uważane za zbrodnię równą niemal zabiciu człowieka. Dla „wojtków” robiono gniazda na drzewach i kalenicach, oczekując niecierpliwie ich przybycia z wiosną, żegnając z żalem, kiedy odlatywały jesienią do „cieplic”.

Kiedy zarząd dóbr Sanguszkowski nakazał swoim strzelcom i gajowym tępić bociany, płacąc nawet za sztukę gotówką, zaplanowało na wsi niesłychane wprost oburzenie i głośne protesty. Znalazła się i delegacja, która proboszczowi przedstawiła oburzenie wsi.

Gdy wróbla nie znoszono za jego natarczywe wciskanie się wszędzie, wielki sentyment miano dla jaskółki i skowronka, uważając je za ptaki przez Matkę Boską wybrane. Na temat tych ptasich chwalców Najświętszej Panny śpiewano nawet piosenki, których nie zapamiętałem.

Do ptaków najwięcej szkodliwych zaliczano jastrzębie, wrony i sroki. Wszystkie one bowiem niszczyły młody drób, a ponadto wrony robiły szkody w zbożu i zasiewach.

Rzadko zjawiające się w szczytach domów sowy hukaniem swoim powodowały zabobonny strach, a często wprost przerażenie. Panowało bowiem bardzo długo przekonanie, że huczące sowy wywołują kogoś na tamten świat, a ich oczy i pazury mają w sobie coś szatańskiego. Przerażenie się potęgowało, gdy rzeczywiście ktoś za parę dni skończył życie.

Domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze, postawione przeważnie jeszcze za czasów pańszczyźnianych, były dosyć obszerne. Chat dymnych nie było zupełnie, choć kominy były bardzo prymitywnie budowane, składały się z bajdasów robionych ze słomy i gliny. Po trosze wypierały je jednak kominy z cegły, najprzód surowej, a później wypalanej. Prawie wszędzie stały osobno stajnie na bydło i stodoły na zboże. Ubożsi przeważnie stodołę nie mieli, lokując swoje zboże u drugich za drobną opłatą albo na odrobek. Czasem z tego powodu powstawały spory, gdyż komornik posądzał gospodarza o naruszenie jego własności. Komornicy, nie mający swego gruntu, budowali się na gminnym, za co wójtowi dawali ćwiartkę piwa, a czasem musieli poczęstować i sąsiadów. Komornicy owi rekrutowali się albo ze synów gospodarskich, którzy nie otrzymali gruntu i żenili się z „dzia-dówkami” albo też z obcych, których nazywano przybłędami i traktowano znacznie gorzej od swoich.

Bydło i konie wpędzano do mieszkania bardzo rzadko i to w czasie największych mrozów, robiąc to więcej ze względu na mieszkańców domu, którzy nie mogli przetrzymać mrozu.

Urządzenie domu stanowiły: stół, parę stołków, czasem ławka z plecami, łóżko szerokie i tak wysokie, że mniejsze dzieci nie mogły się w żaden sposób na nie wydrapać. Umeblowanie zamykał zegar, który zwykle od lat już nie chodził.

Obszerna nalepa stanowiła bardzo wygodne i ciepłe miejsce do spania. Na przypiecku siadywał zawsze ktoś starszy z rodziny, potrzebujący więcej wygody i ciepła. Ściany były zawieszane tanimi obrazami, przedstawiającymi zawsze tylko świętych. Innych obrazów nie wieszano nigdy.

Ładnie i dobrze utrzymywane klepisko w stodole, robione z łu, używane do młócenia zboża cepami.

Podwórza były małe, błotniste i zawsze zaśmiecone. Gnojówka wychodziła na drogę i wysychała powoli, zatruwając powietrze. Oburzano się ogromnie, gdy się żandarmi zaczęli nią interesować.

Drogi gminne to były przeważnie długie, wąskie jeziora, zalane w zupełności wodą przez większą część roku. Na niektórych nie wysychała ona wcale. Ludzie brnęli zwykle po niej po pas albo też starali się obchodzić miedzami i polami.

Jeżeli gdzieś brakło wody, to były wyboje, w których się łamały koła i orczyki, rwała uprzęż, przewracały konie, nie mogące nawet wyciągnąć próżnego wozu. Drogi te były miejscami szerokie jak dworski łąn, gdzie indziej zaś tak wąskie, że dwa wozy nie mogły obok siebie przejechać. Różnica pochodziła stąd, że drogę, idącą między lepszymi gruntami, chłopci skwapliwie zaorywali, nie tykając jej tam, gdzie grunty gorsze, mokre lub piaszczyste.

Naprawa dróg odbywała się każdego roku wiosną za pomocą tak zwanej darowizny, czyli roboty przymusowo za darmo wykonywanej, a polegała na tym, że z rowów przydrożnych wyrzucano błoto do dołów i wybojów, robiąc na drodze trzęsawisko, niemożliwe do przebycia. Tak naprawioną drogą nikt się zupełnie nie zajmował aż do drugiego roku, w którym znowu następowała taka sama naprawa.

Studni we wsi było zaledwie kilka, co sprawiało wiele kłopotów tak w czasie posuchy jak i wielkich mrozów. Były one płytkie i miały wodę żółtą, tzw. zaskorną. Wody z potoku używano bardzo rzadko i to jedynie do pojenia koni i bydła. Do prania lepszej białizny noszono wodę „stajonkami”, co znaczyło z dużej odległości.

Narzędzia rolnicze, bardzo starożytne, były zawsze w dobrym stanie utrzymywane. Niektórzy chłopci zdolniejsi sporządzali nowe i reperowali stare sami, innym robili to przygodni rzemieślnicy, umiejący wszystko, choć rzadko kwalifikowani.

Lepsze rzemiosło przeważnie jednak było zajęciem i przywilejem pewnych rodzin, przechodząc z ojca na syna. Potrosze zaczął się wkładać postęp i w tę dziedzinę. Sochę zastąpił pług już półżelazny, ustępując miejsca bardzo rychło nowemu żelaznemu pługowi z dębowym grondzielem, sfabrykowanym przez różnych specjalistów wiejskich. Między kowalami ogromnie przebiegano, bo „nie po każdym chciał pług dobrze orać”. Do takich nielicznych wypróbowanych kowali należał Piotr Stawarz w Łętowicach, do którego chłopci ściągali się z każdej okolicy, czekając na robotę nieraz po parę dni. Miał on trzech pomocników w kuźni oprócz siebie, co na te czasy była rzeczą bardzo rzadką. Drobniejszych robót dokonywał miejscowy gospodarz, Michał Ozarski, bardzo rozsądny i przyzwoity człowiek, ale w zawodzie kowalskim niebawem partacz. Ludzie kpili na funty z jego warsztatu, narzędzi, roboty, ale chodzili do niego, bo był blisko i robił na pół darmo.

Wozy gotowe z żelaznymi „rakwami” na kołach kupowali na tak zwanych starych jarmarkach, najwięcej w Wojniczu, na praw zaś dokonywał bardzo dobry, choć nieuczony kołodziej, Paweł Lorkiewicz. W przeciwieństwie do Ozarskiego robił wszystko bardzo gruntownie i mocno, choć kazał sobie lepiej od niego płacić. Był on przy tym jednym z najbogatszych i najświatlejszych chłopów, we wsi i okolicy cieszył się bardzo dużym poważaniem i szacunkiem. Niezwykle pracowity, oszczędny, umiał zrobić wszystko, poczynawszy od podkucia konia, a skończywszy na budowie domu.

W tej szarzyźnie wioskowej pokazywały się czasami niezwykle zjawiska. Taką gwiazdą był Jan Lorkiewicz, przewany w gminie „świdrowatym Jaśkiem” albo też „syncerzem”. Ta ostatnia nazwa pochodziła stąd, że nie tylko nieźle grał na skrzypcach, ale zawzięcie rzeźbił figury rozmaitych świętych, które od niego szeroka okolica zakupywała. Wprawdzie każda z tych figur miała bardzo poważne braki czy to w samej budowie czy w wykonaniu, ale mimo to ludzie kupowali. Znawcę niewielkiego nawet razić musiały skosiste oczy, twarz bardzo nienaturalna, nos krzywy, głowa dziwacznie pokręcona, ale nikt nie śmiał nic mówić, ażeby nie obrazić świętego, którego ona przedstawiała. Nie raz jednak patrząc na te dziwolaży, ludzie śmiali się do rozpuku, nie chcąc się przyznać z jakiego powodu.

Największym jego dziełem, które go kosztowało wiele pracy i wysiłku, było wyrobienie dwóch naturalnej wielkości żołnierzy rzymskich, którzy z oszczepami w rękę stoją od lat wielu w kościele w Wierchosławicach w każdy Wielki Tydzień, a

swoim wyglądem i postawą wcale temu starożytnemu imperium zaszczytu nie przynoszą, przypominając raczej jakichś Mongołów aniżeli wojowników rzymskich.

Gdy przyszło na wieś więcej zrozumienia i artystycznego smaku, wiele z tych figur skazano na całopalenie, a pozostałe, szczególnie przy drogach zniszczył prawie zupełnie żąb czasu i brak wszelkiej opieki.

Wielu też we wsi było domorosłych cieśli, z których się wyśmiewano, że mogą dobrze machać toporem, jeśli wejdą do ćwierci, która ich chroni od okaleczenia. Zwykle obrabiali oni drzewo w lesie Sanguszków na belki, biorąc jako zapłatę odpadki, nazywane trzaskami. Norma ta nie była jednak ustalona, gdyż w czasie, gdy roboty było mniej, musieli cieśle opłacać się leśniczemu i leśnym, kiedy zaś było większe zapotrzebowanie, dopłacano cieślom gotówką lub też sprowadzano obcych, szczególnie od Kolbuszowy i Tarnobrzegu pochodzących. Byli oni źle widziani u miejscowych jako konkurenci, gdyż każdy z nich potrafił robić przynajmniej za kilku.

Ze wszystkich robót polnych orka i kosiarka były w największym poważaniu. Do nich się przygotowywano jak do niejakiego religijnego obrzędu. Dobry oracz i dobry kosiarz cieszyli się we wsi szczególnym wyróżnieniem. Dla nich też każdy, kto ich wynajmował, zdobyć się musiał na paczkę lepszego tytoniu, kapkę wódki, a często nawet i na obiad z pierogami. Oni też najlepiej byli płaćeni i honorowani. Czując to, uważali się sami za jedyną i naturalną arystokrację pomiędzy wszystkimi pracownikami. Często też koszone wspólnie, przechodząc większymi gromadkami z jednej łąki na drugą. Złe łąki koszone przeważnie po deszczu albo porankami.

Do robót zaś już bezwzględnie hańbiących należało zdjęcie skóry z padłego bydłęcia. Takimi, co się tej roboty podejmowali, powszechnie gardzono, choć byli najlepiej płatni i wódką częstowani, ażeby „smrodu nie czuli”. Nazywali ich we wsi „łupiskórami” albo też nie wiadomo dlaczego „końskimi słowikami”.

Wesela

Oprócz chrzcin i wesel odprawiano dość często grania, na które miała dostęp cała wieś. Wymagały one zawsze zezwolenia gminnego. Później przyszły dożynki, które nazywano powszechnie „obżynkami” lub „wyskubkami”. Udział w nich brali ci, którzy pomagali przy żniwie lub skubaniu pierza. Dożynki wy-

prawiły najczęściej „amerykanki”, zapraszając na nie żniwiarzy, którzy nocami zboże u nich z pola zbierali. Na weselach mogli być także nie proszeni, ale tylko po pierwsze „stragarz” domu, czego bardzo sumiennie pilnowali sami uczestnicy zabawy weselnej. Przed każdym weselem robiło się na wsi wielkie poruszenie. Martwiono się i zgadywano, kogo zmówią za starostę, a kogo za družbę, jacy będą młodzi, która z dziewcząt będzie za najbliższą družkę, a która wiechową, ile myślą upiec kołaczy, zakupić wódki i piwa. Kto będzie grał na weselu, czyje będą konie, kto będzie furmanił, kogo zaproszą, kogo ominą itp.

Na dzień przed ślubem zaczynała się wieczorem zabawa, którą nazywali „dobrą nocą”. Odbywała się ona u starosty, starszej družki i u ważniejszych dostojników weselnych. Byli oni obowiązani sprawić traktament dla skrzypków i towarzyszących im uczestników wesela. Szczególnie obowiązek ten spadał na starostę, który był uważany za gospodarza całej uroczystości.

Wczas już rano podпиты woźnica zajeżdżał czwórką najlepszych koni, jakie były we wsi, przed dom panny młodej. Stamtąd po udzieleniu błogosławieństwa przez matkę i pokropieniu święconą wodą zabierał wszystkich uczestników wesela i, co konie mogły wyskoczyć, pędził do kościoła, omijając z niesłychaną zręcznością wyboje na drodze. Rzadko się trafiało, ażeby nawet dobrze pijany woźnica przewrócił tak naładowany wóz, a tajemnica leżała w tym, że dobierano najlepszych furmanów. Za najlepszego znowu z takich furmanów weselnych był przez długi czas uważany gospodarz Józef Kędzior, którego we wsi nazywano „spluwaczem”. O nim sobie opowiadano, że potrafi ruszyć nawet i zdechłego konia.

W czasie jazdy do kościoła rozrzucała starościna od czasu do czasu kawałki kołacza albo też twarde jak gruda „osuchy”, o które się biła gawiedź zgromadzona do upadłego. Na każdej drodze, którą przejeżdżali weselnicy, ustawiali parobcy warty, przy których musiano się im opłacać flaszką wódki, kołaczem albo też gotówką. Po powrocie z kościoła zaczynała się zwykle u panny młodej zabawa, która stosownie do zamożności trwała dłużej lub krócej, najmniej jednak jeden dzień i noc. Nierzadko trafiało się, że wesele przeciągło się od jednej niedzieli do drugiej. Za tydzień były poprawiny, na urządzenie których składali się goście i krewni, obecni na weselu.

Oprócz osób urzędowych zapraszano na wesela bliskich i dalszych krewnych, często wójta i przysięznego, jeżeli był w niezbyt dalekim sąsiedztwie i tych gospodarzy, u których się bywało na weselach albo się spodziewało być u nich. Oczywiście że nie

zapomniano o najbogatszych i tych, co się mogli wnet na co przydać.

Zamożniejsi i ci, co mieli drugą izbę, a mogli sobie pozwolić na zakupno lepszej wódki albo flaszki wina, zapraszali też na godzinkę księdza, organistę, czasem i nauczyciela. Choć obecność tak zacnych gości przynosiła wiele honoru rodzinie i wzbudzała zazdrość u sąsiadów, to młodzi weselnicy nie byli zbyt radzi, bo się szczególnie wobec księdza musieli krępować, czekając z niecierpliwością, kiedy on odjedzie.

Niebywałe poruszenie i zgorszenie wywołał szczególnie u niewiast jeden z księży wikarych, bo nie tylko pił wódkę z chłopakami, ale wytańczył wszystkie drużki weselne, a nawet i „poboczne” dziewczuchy.

Przy zaproszeniach zawsze skrupulatnie omijano gniewników, choćby się oni znajdowali koło samej miedzy. Często znowu mimo zaproszenia „nie dali się oni ani tknąć” chyba, że już po nich poszła para młoda. Nie brakło jednak i takich, co się nie dali niczym poruszyć, powtarzając uparcie: „Ja nie pójde za nic w świecie, bo my się gniewamy”. Stąd też nieraz się zdarzało, że u Kuby odbywało się siarczyste wesele, a Maciek młócił sobie cały dzień żyto na boisku o parę kroków oddalonym i w stronę wesela ani nie spojrział.

Drużbów i starostów specjalnie dobierano, ponieważ drużba ze starościną albo starosta z drużyną trzymali zawsze młodej parze pierwsze dziecko do chrztu. Od tej zasady rzadko kiedy robiono wyjątek. Stać się to mogło tylko wtenczas, gdy drużba był niezonaty albo też, jeżeli pomiędzy młodą parą a tymi urzędnikami weselnymi zdarzył się bardzo ciężki gniew.

Wiano dla wychodzących za mąż dziewcząt stanowiło urządzenie domowe, krowy, świnie, drób, czasem pieniądze, a znacznie później dawano dopiero grunt.

Obrzędy, śpiewki

Ze starych obrzędów zatrzymano długo chodzenie z turo-niem i kołędowanie za oknami domów i w domach. Odbywało się to zawsze w czasie mięsopustu, a polegało na tym, że trochę starszych chłopaków i wyrostków chodziło wieczorami po domach, wodząc za sobą turonia dość nieudolnie sfabrykowanego. Była to okazja do pośpiewania trochę kołęd, potańczenia w niektórych domach, postraszenia dziewcząt, które się niby bały, ale musiały koniecznie za kołędnikami chodzić. Kołędnicy ci wcale nie byli ustępliwi. Widać to wyraźnie z kołedy, od której zaczy-

nali swoje występy w każdym domu: „Przyszliśmy tu po kolędzie, Czy co będzie, czy nie będzie, A czy będzie, czy nie będzie, Tośmy przyszli po kolędzie”. Ludzie kolędnikom byli zwykle radosi, toteż rzadko się trafił dom, w którym by ich nie obdarowano.

We wsi śpiewano tylko zapożyczone piosenki, przyniesione z innych okolic albo też kolportowane przez urlopników. Nie zdarzył się prawie nigdy wypadek, by któremu z mieszkańców wsi przyszło jakieś poetyckie natchnienie. Oni to odczuwali sami, toteż byli dumni z piosenki z dwóch wierszy ledwie się składającej, ale do nich dopasowanej. Brzmiała ona: „Podlesianie jadą z tatarską kaszą, Co miłą ujadą, to koniki paszą”. Wszyscy ją umieli i wszyscy bardzo ochotnie śpiewali.

Powszechnie również śpiewano krótkie okolicznościowe piosenki, jak np.: „Od komina nawracajcie, Pieca tyłkiem nie tykajcie, Bo się piec przyda na zimę, Bo nie każdy ma pierzynę”. W czasie wesel: „Ożeńże się, ożeń, Bo ci trzeba baby, Będzie ci chodziła, Z koszykiem na żaby, Z koszykiem na żaby, A z workiem na raki, Ożeńże się, ożeń, Kawalerze taki. Ożeńże się, ożeń, Bo ci będzie dobrze. Będiesz miał co kochać, A pustkę w komorze”!

Wielka ta luka została usunięta dopiero, gdy do wsi przybył emerytowany kolejarz Solak wraz z rodziną, osiedlając się w Wierchosławicach na stałe. Ta jego rodzina składała się z żony, starszej, przyjemnej kobiety i czworga dorastających dzieci. Wszystko to było dorodne, rozumne i śmiałe, a jak wtenczas mówiono, ogromnie wykłapane. Znali się oni wszyscy na różnych tańcach i to nowomodnych, a przytem, jak ludzie mówili, „śpiewali jak anioły”.

Szczególnie niezrównanym i niewyczerpanym pod tym względem okazał się najmłodszy z rodzeństwa, Jakub, ładny, śmiegły i bardzo układny chłopak. Jak się tylko raz sprezentował na jakimś weselu, to cała wieś nie mogła się przez pół roku uspokoić. Wszędzie go też proszono na każdą zabawę i wesele, a ludzie chodzili za nim tłumami nie tylko słuchać, ale się też i uczyć. Wkrótce jego krakowiakami, polkami, mazurami i pieśniami o kozaku zaporoskim, Kościuszcze, Bartoszu Głowackim, pańszczyźnie, panach, księżach, Żydach, polach, lasach, łąkach, karmiła się cała wieś, a szerokie pastwiska rozbrzmiewały śpiewami pastuchów nie tylko w dzień, ale także i nocami. Trwało to przez dobre parę lat. Solak tworzył też od siebie różne śpiewki nowe, które nie tylko że przetrwały dotąd, ale nic nie straciły ze swojej aktualności ani też uroku.

Podróże i pielgrzymki

Na jarmarki, odbywające się w Wojniczu, Żabnie i Radłowie chodzili i jeździli wszyscy, jakby to było jakie przykazanie. Rządziej bywali w Tarnowie, bo się musiało opłacać przewóz na Dunajcu, a konie nie kute nie mogły chodzić po „kamiennym gościńcu”. Kiedy im przyszło iść do Tarnowa za wezwaniem do urzędu, uważali to za ciężki krzyż pański i wybierali się z wielką niechęcią.

Gromadnie uczęszczali na wszystkie odpusty, jakie się tylko odbywały w okolicy. Najchętniej jednak i najgromadniej chodzili do Odporyszowa, gdzie była „Matka Boska cudowna, co pobiła Szwedów, którzy byli jej wrogami”. Na Kalwarię chodzili dwa razy do roku, a to na Wielki Piątek i na Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny. Odbycie co najmniej trzykrotnej tam pielgrzymki uważano za konieczny obowiązek katolika, od którego nie mogło być żadnej dyspensy. Pielgrzymki nabożnych prowadzili specjaliści przewodnicy, którzy często robili sobie z tego wcale poważne źródło dochodów, gdyż każdy z pielgrzymów musiał się im wielokrotnie opłacać. Za moich już czasów takim przewodnikiem był długo Stanisław Gdowski, chłop przeszło dwudziestomorgowy, który ani jednej takiej wycieczki nigdy nie opuścił. Stał on się też jak i inni pątnicy przedmiotem złośliwych uwag i kpin ze strony Jana Głowackiego, a potem prawie całej wsi. Zwykle przez całą długą i nużącą drogę pielgrzymi śpiewali różne pieśni nabożne, powtarzając słowo w słowo za przewodnikiem. A przewodnik ten, idąc naprzód i uważając na zdrowie i całość prowadzonych przez niego ludzi, zawsze ich ostrzegał, jeżeli na drodze stanęła jakaś przeszkoda. Trafiło się, że gdy gromada z dwustu ludzi złożona dochodziła do zepsutego mostu, Gdowski ją ostrzegał słowami: „Uważajcie, dziura w moście!”. Ludzie jego intencji nie zrozumieli, choć słowa podjęli i prześpiewali, a zanim skończyli ten śpiew, powpadali do rowu, napełnionego wodą. Czy i gdzie to się stało, nie wiem, bo tę anegdotę słyszałem później w różnych wsiach i okolicach. Głowacki zaś, głosząc ją i upierając się przy niej, chciał swojemu kumotrowi dokuczyć. Wiedział też, że jak wymieni czas i miejsce wypadku, więcej znajdzie u ludzi wiary.

Mimo że podróż do Kalwarii tam i na powrót wynosiła po przeszło 150 km., przechodzono ją pieszo, bardzo często gołą nogą, później dopiero niektórzy zaczęli jeździć na Kalwarię koleją. Wywołało to zgorszenie wszystkich pobożniejszych niewiast, gdyż naruszało starą tradycję u wielu bardzo przestrzeganą.

Jako już dorosły mężczyzna, spełniając życzenie matki, wziąłem udział w jednej takiej pielgrzymce ku wielkiej ucieśze pątników. Niezadowolony tylko był przewodnik, który ze względu na moją obecność stracił zupełnie rezon i zaniechał niektórych ceremonii, dających niezły zarobek. Posłał Kubik, który się do nas przyłączył, narobił wiele zgorszenia w całej pobożnej gromadzie, przedstawiając jej niesłychaną obłudę i zdzierstwo księży klasztornych i popierając to jaskrawymi i rzekomo prawdziwymi przykładami. Skutek był taki, że kilku ludzi nie poszło już na pielgrzymkę więcej.

Pobożniejsze i bardziej zamożne niewiasty zapuszczały się dość często do Częstochowy i Leżajska jako miejsc więcej od Kalwarii sławnych i bardziej cudownych. Zbożne to przedsięwzięcie skończyło się nieszczęśliwie dla jednej z pielgrzymujących niewiast, niejakej Filipki z Gosławic. Idącą samą z odpustu w Leżajsku spotkała w lesie Potockiego kominiarz i mimo rozpaczliwej obrony musiała mu ulec. Przybywszy do domu, opowiedziała to niebacznie ludziom, którzy ją wzięli na złośliwe języki. Sama mniejszy żal miała za krzywdę jej wyrządzoną, więcej bolała nad tym, że sprawcą był taki osobnik jak kominiarz. We wsi całej była z tej niemilej przygody niewiasty szczerza uciecha aż do samej jej śmierci.

Z czasem wszystkie te odpusty straciły wiele na poprzednim uroku, choć dużo jeszcze ludzi chodzi na nie, nie chcąc zagubić starego, dobrego zwyczaju.

Ubiory

Jak zapamiętałem, mężczyźni ubierali się w długie, białe kożuchy, baranie czapki i węgierskie buty z wysokimi cholewami. Zamożniejsi sprawiali sobie na święto czerwone czapki i buty polskie, garbowane we fałdy równe na dole. Na dzień powszedni kupowali kożuchy krótkie, używali starych, a w lecie chodzili w bluzkach i spodniach z konopnego płótna zrobionych. Na święto i uroczystości posiadali wszyscy długie płótnianki z białego kretonu, przeważnie zakupionego w mieście. Kobiety nosiły ciepłe, watowane katany i duże, grube chustki, a czasem pozwalały sobie na wystawne krakowskie ubranie. Wszystkie te ubrania i stroje były bardzo kosztowne, ale też i niemniej trwałe. Jak się ktoś na nie zdobył, to już miał spokój na długie lata.

Do wsi często przychodził z Żabna Żyd kuśnierz, którego nazywano „Cyną”. Przerabiał on stare kożuchy, łątał dziury, do-

rabiał kołnierze, zmieniał na inne tak, że nieraz taki kozuch służył rodzinie przez dwa pokolenia.

Z czasem zaczęto przechodzić na krótkie żółte kożuszki, bundy z kapiszonami, krótsze od nich „spencery”, „oberoki”, a skończyło się na starych płaszczach wojskowych i przechodzonych miejskich pludrach, z którymi nieraz na wieś przynoszono rozmaite choroby. Niedługo tą falą dały się porwać i kobiety, kupując w mieście różne fatałaszkę, które rugowały piękny i praktyczny dotychczasowy strój. Gdy w tym czasie około roku 1890-95 wyroili się ludzie w Wierchosławicach w niedzielę lub święto po sumie, miało się wrażenie, że to bezładna kupa maruderów, z rozmaitych austriackich pułków pozbierana.

Białe prasowane płótnianki zaczęły gwałtownie znikać, umilkły wrzeciona, zaginęły prządki, nowy postęp szedł szybko, niestety jednak tylko pod tym względem. Na innych polach bardzo długo był zastój i to prawie zupełnie.

Choroby

Lekarzy do chorych nie wzywano prawie nigdy. Nie dlatego jednak, by ludzie nie chorowali. Przyczyną był brak pieniędzy na lekarstwo i lekarza, przesąd i znachorzy, tak obcy jak i miejscowi. Trzymano się zaś najwięcej tej zasady: „Co komu przypisane, to go i nie minie, a jak kto ma umrzeć, to mu żadne lekarstwo ani doktor nic nie pomogą”. Jeśli zaś czasem wezwano lekarza, to zwykle robiono to w ostatniej chwili, gdy on, nie będąc cudotwórcą, nie mógł zatrzymać uchodzącego już ducha, ale przez to utwierdził bardzo wielu w przekonaniu, że był niepotrzebny. Przed sprowadzeniem lekarzy bronili się też bardzo mocno sami chorzy, obawiając się, że lekarze trują.

Bardzo wiele, szczególnie młodych kobiet, umierało przy połogach, mimo że wszystkie babki ze wsi i z okolicy robiły co umiały i co tylko mogły. Brak ciepłej odzieży i obuwia, liche i niedostateczne odżywianie się mnożyły gwałtownie rozmaite choroby.

Pomiędzy bardzo licznymi słabościami ogromnie nieprzyjemny był tak zwany „kołtun”, który nie tylko nie pozwolił kobietom czasem przez parę lat dotknąć głowy grzebieniem, ale jeszcze wykręcał rozmaite części ciała, a najwięcej palce u rąk.

Najbardziej uciążliwą ze wszystkich chorób była zimnica, którą powszechnie nazywano czwartaczką z tego powodu, że na-

wiedziała ona chorego regularnie co czwarty dzień. Nieznośna ta słabość trwała zwykle przez parę miesięcy i nierzadko też kończyła się śmiercią. Prześladowała zaś przeważnie ludzi młodszych, więcej chłopaków aniżeli dziewczęta.

Idąc wiosną przez wieś, można było zawsze widzieć za każdą niemal ścianą domu grzejących się do słońca ludzi: chorych, białych, kłapiących zębami, zwiniętych w kłębek. Przychodzili oni do siebie zwykle z końcem lata.

Bardzo często dręczyły też ludzi kolki, na które pomagały pijawki lub puszczanie krwi. Dokonywał tego zwykle kowal miejscowy albo też cyrulik w Radłowie.

Od dziobatych roilo się we wsi, gdyż ospę uważano za chorobę śmiertelną i nie próbowano nawet szukać na nią jakiegoś lekarstwa. Zabierała też ona masę ofiar, szczególnie spośród dzieci. Czasami przychodziło „złe powietrze”, które oblepiło połowę ludzi liszajami i strupami. Bardzo często grasował tyfus i rozmaite inne, zaraźliwe choroby.

Na te wszystkie choroby i słabości używano prawie zawsze jednego i tego samego lekarstwa. Było nim zakłęcie, zażegnanie, woda z plebańskiej studzienki albo od „Urbanka” przy Radłowie, kwiat lipowy, rozparzony owies, świeży chleb, gorąca kąpiel, sucha lub mokra, gorąca cegła przykładana do boku albo też pod nogi, smarowanie spirytusem lub też gorącą śmietaną brzucha, piersi, nóg. Jeżeli zaś choroba mimo wszystko co się robiło była nieustępliwa, chodzono od chorych z „moczem albo też z koszulą” do znanego szeroko guślarza w Laskowej, w powiecie Limanowskim, przy mniejszych chorobach do Iwkowej Lipnicy, a później gdzieś nad Wisłę do miejscowości położonej w powiecie Mieleckim.

Jeżeli to wszystko razem nie pomogło, to miało się przynajmniej spokojne sumienie, że się zrobiło, co tylko można, ażeby chorego uratować. A jeśli była taka wola Boża, to już na to nikt nie poradzi.

Chodzący do guślarzy posłańcy opowiadali z przejęciem, jak to znachor, spojrzawszy tylko na mocz lub na koszulę, umiał opisać chorego od stóp do głów, określić jego charakter i zaraz przepowiadał, co będzie z nim. Nieraz się zdarzyło, że po takiej podróży chory bardzo szybko przychodził do zdrowia, co ogromnie podnosiło powagę i znaczenie guślarza.

Często owi znachorzy nie ograniczali się do zażegnania, modlitwy i rozmaitych sztuk, ale dawali lekarstwa z różnych roślin górskich i ziół sporządzone. Zadawali się zaś zawsze bardzo małą zapłatą, co nie było dla ludzi bez znaczenia.

Zabobony

Zabobony miały jeszcze bardzo wielkie znaczenie. Nie brakowało wciąż takich, co nigdy nie zaczęli choćby najpilniejszej roboty, jeżeli im zająć drogę przeskoczył albo takich, którzy by się nie martwili, jeżeli przeszła drogę starsza kobieta. Krakanie wrony uważali za pewną zapowiedź jakiegoś nieszczęścia, szum w uchu za zwiastun choroby itp. rzeczy.

Sny i senniki odgrywały pierwszorzędną rolę i nie tylko były przedmiotem rozmyślania, opowiadania i domysłów, ale nieraz naprawdę zatruwały wielu ludziom życie.

W czasie nadciągającej burzy zapalano w izbie przy oknie gromnicę woskową i wynoszono na pole łopatę, używaną do wsadzenia chleba do pieca. Miało to uchronić ludynki od uderzenia piorunu, a zboże od gradu, który tak często okolicę tamtejszą nawiedzał, nie zważając zupełnie na stojące na każdym podwórzu wysokie łopaty. Robiono to tym skwapliwiej, gdyż wciąż jeszcze pokutowało przekonanie, że pożaru powstałego od pioruna nie powinno się pod grozą grzechu śmiertelnego gasić. Tego się jednak z czasem coraz mniej trzymało.

Wierzono też święcie, że chmurami kierują płanetnicy, którzy całe życie tam mieszkają, są ogromnego wzrostu, sięgającego co najmniej do paruset metrów. Jeżeli są w dobrym humorze, pędzą chmury z deszczem ciepłym i spokojnym, jeżeli zaś się pogniewają, to sprowadzają chmury z burzami, ulewami i gradami. Takiego płanetnika wielu ludzi widziało, jak szerokim krokiem przechadzał się pomiędzy kłębiącymi się chmurami, zwyczajnie przed burzą, i jak nimi kierował, gdzie mu się podobało. Nikt mu się nie mógł jednak dobrze przyjrzeć, bo puszczał zaraz błyskawice, które raziły oczy na niego patrzących.

W zbożu stawiano straszydła, szczególnie wtenczas, kiedy ono było więcej dorodne. Miało to znaczenie podwójne. Z jednej strony powinny były uciekać od zboża wróble i wrony, które je niszczyły, a z drugiej złe oczy przechodnia musiały spocząć na tym straszydłe, a tym samym nie mogły zboża „zaslepić”. To zaślepienie było dość powszechną klęską. Dotykało ono zarówno krowy, konia, świni, drobiu, roślin jak też i człowieka, u którego objawiało się zwykle bólem i zawrotem głowy i wymiotami. Ludzie sobie radzili z tym w ten sposób, że do małego garnka, napełnionego do połowy zimną wodą, rzucało się kilka gorących czerwonych węgli, a jeżeli one w tej wodzie utonęły, to był znak widoczny, że zaślepienie jest ciężkie. Wtenczas trzeba było trzy razy się przeżegnać, tej wody się napić i trzykrotnie nią czoło i twarz dobrze sobie obmyć. Mnie to matka nieraz

robiła, jak do domu powróciłem z potłuczoną głową na lodzie, będąc przekonana, że mi to zupełnie pomogło.

Wiedzano też, czy na drugi dzień będzie deszcz czy pogoda. Pogodę bowiem zawsze zwiastowały: czysta woda w studni i jeziorze, słońce, jeżeli zachodziło bez chmur albo się też kryło pomiędzy rzadkimi i białymi chmurami, ponadto obfita rosa na trawie, wschodni wiatr, chęć do pracy. Deszcz zaś musiał być na drugi dzień pewny, jeżeli było widać Tatry, kury chodziły do nocy, gęsi się kąpały mocniej, rosa wychodziła na kamienie, sól była mokra, radłowskie dzwony było słyszeć, krowy się gziły i ludzi bolały kości. Uważałem, że w tym dużo było racji, a i przepowiadaczom często się to udawało.

Pogrzeby

Ludziska łykali biedę, ale długów prawie zupełnie nie mieli. Odmawiali sobie wszystkiego, chodzili obdarci, nie dojadali, wołeli się bez wielu rzeczy nawet koniecznych obejść, byle nie pożyczać, powtarzając często, że „lekkie jest brać, ale cięższe oddawać”. Pożyczki zaciągali tylko na kupno gruntu, wiano dla córki, czasem na konia lub krowę i to tylko w razie jakiegoś nieszcześcia, bardzo rzadko na wesele i zabawę. Jeżeli ktoś już pożyczył, to od gęby sobie odejmował, byle oddać i to jak najprędzej, nie czekając na ustalony termin.

W innych wsiach, o ile wiedziałem, pod tym względem było znacznie gorzej; chłopci więcej pożyczali i płacili wygórowane procenta grasującym Żydom-lichwiarzom.

Prawie ogólny wyjątek od tej reguły stanowiły pogrzeby. Odbываły się one wszędzie dość wystawnie. Każdy się silił, ażeby na oddanie ostatniej przysługi umarłemu nie żałować, a przy tym pokazać parafii, „że nie grzebią dziada”. Na ten cel pożyczano bez wahania, jeżeli pieniędzy nie było w domu. Zaraz po śmierci danej osoby, udawał się ktoś poważny z rodziny do proboszcza, ażeby pogrzeb „targować”. Targu tam wprawdzie żadnego nie było, ale to określenie utrzymało się bardzo długo. Wszyscy zamożniejsi starali się, ażeby pogrzeb koniecznie był z „wiliami i ze dzwonieniem”, no i żeby ksiądz wyszedł po ciało nieboszczyka przynajmniej „pod Lechową kapliczkę”. Znajdowała się ona o jakie trzysta kroków od kościoła. Podróż księdza i organisty tam odprawiona kosztowała co najmniej kilkadziesiąt reńskich. Niezależnie od tego płacono już naprzód za liczne msze, które miały być za duszę zmarłego odprawiane. Te bogate i wystawne pogrzeby zaczęły się od czasu, gdy rządy nad

parafią objął ksiądz Józef Franczak i zaczął gwałtownie szerzyć „kult dla zmarłych”. Nigdy też roztropny proboszcz nie oznaczył sam należytości za pogrzeb, wile i inne modlitwy przypadające, lecz trzymał się tej praktyki, że jak kto dał więcej, to nie zwrócił, a jak za mało, to się upominał. Wszystko to według niego, było ofiarą dla „Boga, kościoła i zmarłego”, a on zawsze służył tylko za skromnego pośrednika. Było to zbyt przejrzyste, by ludzie nie rozumieli, toteż pośrednik musiał co pewien czas przechodzić niemiłe zdarzenia, na które zwykle skarżył się z ambonny. Wywoływało to zgrzyty i pomruki, ale także pomagało, bo wielu unikało zatargów, woląc ustąpić i niesłusznie zapłacić, aniżeli narazić się na gniew proboszcza, „spadać z kazalnicy” i „najeść się wstydu”.

Ciało nieboszczyka wieziono prawie zawsze na wozie w półkoszkach, wysłanych równo i wysoko wiązanymi słomy. Ubogich i samobójców wywożono w gnojnicach. Wyprowadzenia z domu dokonywał przewodnik, który też imieniem nieboszczyka żegnał pozostałych krewnych, bliskich i znajomych, starając się wywołać jak największy żal. To mu się zwykle udawało, bo zawsze słysząc było długi i głośnie płacz wszystkich zebranych; przez całą drogę aż do samego kościoła przepowiadał on zwrotki pieśni pokutnych, które uczestnicy pogrzebu śpiewali. Wóz wiozący zwłoki stawał do trzeciego razu przed każdą figurą, około której przejeżdżał, a to na uczczenie Trójcy Świętej w trzech osobach.

Przewodnik, po dokonanych pogrzebie, otrzymywał bochenek chleba, zaniesiony mu do domu, a także czasem drobną zapłatę w gotówce.

Takim przewodnikiem i zarazem śpiewakiem był w naszej wsi przez długie lata Franciszek Gdowski. Cieszył on się dużą powagą, gdyż był na wskroś uczciwym człowiekiem i pochodził z „gospodarskiego rodu”. Każdemu też powiedział zawsze prawdę, bez względu na to, czego i kogo ona dotyczyła, choć w życiu był dość nieopatrny, klepał przeto biedę do samej śmierci. Jeden z niewielu czytał dobrze i to na każdej książce, a wszystkie litanie, godzinki, nieszpory, pieśni, modlitwy za żywych i umarłych umiał doskonale na pamięć.

Grabarzowi płacono osobno, stosownie do przyjętej normy, ponadto dodawano mu co najmniej pół bochenka chleba. To samo dawało się i innym dziadom kościelnym, którzy zwykle przy pogrzebie uczestniczyli. Tych zaś „dziadów kościelnych” było zawsze dużo więcej niż potrzeba, bo urząd ich był uważany za łaskawy chleb, gdyż dawał im prawo chodzenia z księdzem i organistą kilka razy do roku po wsi i zbierania, co kto dał. Zmarłych ubogich nie wnoszono nigdy do kościoła, lecz przed jego

drzwiami ksiądz ich pokropił święconą wodą za drobną opłatą, a jeśli nie miał jej kto uiścić, to zwykle odmawiał tego pokropienia, z czego było we wsi dość dużo i głośnego szemrania. Samobójców z lepszej sfery grzebano na cmentarzu razem z innymi, jeżeli się rodzinie udało przekonać proboszcza, jeżeli nie, to na kawałku ziemi już nie poświęconej. Zwyczajnych zaś samobójców w rowie koło cmentarza.

Różnice

Pomimo nędzy i upośledzenia, w jakich tonęła cała wieś, jeżeli się jej przyjrzeć trochę uważniej i głębiej, można było ujrzeć wielkie różnice, panujące pomiędzy chłopami. Wartość człowieka mierzono wciąż ilością morgów, koni, bydła, jakością gruntu, łąk i gospodarskim pochodzeniem. Dużą rolę odgrywało też powodzenie, honory i umiejętność.

Do kmieci należało pierwsze miejsce w kościele, w gminie i w karczmie. Zagrodnicy starali się blisko nich sadowić, komornicy chodzili na palcach, nie śmiejąc blisko nich stanąć, a parobcy był zupełnymi niewolnikami.

Gospodarz nie stanął obok komornika w kościele, starał się nie siadać na tej samej ławce na weselu, nie prosił go nigdy za kumotra, nie jadł z nim razem, nie wziął go na wóz, jadąc na jarmark albo do kościoła, a za wielkie ustępstwo uważał ze swej strony, jeżeli komornikowi przytrzymał dziecko do chrztu, albo wypił od niego szklankę piwa.

Zgorszenie wprost u kmieci wywoływała wiadomość, że wyrobnik kupił sobie nowy biały kozuch, czerwoną czapkę albo polskie buty, bo to wszystko było tylko dla nich, on zaś powinien chodzić w starzyźnie, którą mu kmiecie dadzą na odrobek. Gorzej jeszcze było, kiedy na święta upiekł sobie kołaczy, albo się zdobył na zabicie świni. Tego już „dziadom” nie mogli kmiecie w żaden sposób podarować.

Do tych, co posiadali większe gospodarstwo i co im się „darczyła gadzina”, panowało zawsze pewne uprzedzenie i nieszkodliwa zresztą zazdrość. „Takiemu bogaczowi to się zawsze wiedzie, nawet mu diabeł dziecko zakołysz, gdy biednemu zawsze wiatr w oczy”, powtarzano bezustannie. Że wszystko prawie szło za majątkiem, stwierdzała także często przytaczana piosenka, zaczynająca się od słów: „Choćbyś był filozof najmędrszej głowy, Jak nie masz pieniędzy, toś osioł gotowy”.

Ogólnie nie znoszono pyszałków i rozpychających się ludzi. Do nich też stosowano przysłowie: „żeby świnia miała rogi, to by

kąsała i bodła". Gdy próżniaków nienawidzono i lekceważono, to grozę u wszystkich budzili przeklętnicy, którzy mogli karę Bożą na wszystkich sprowadzić. „Złe to i przeklęte, niech Chrystus broni”, mówiły kobiety, powtarzali za nimi mężczyźni.

Osobną niemal klasę stanowili chłopci, nazywani lichwiarzami. Byli to ci, co się pracą i oszczędnością dorobili jakiegoś grosza, pożyczali potrzebującym, a w procencie brali stajonko pola, trochę łąki albo też gotowiznę w zbożu.

Splacenie owych procentów odbywało się przeważnie spokojnie, w rzadkich tylko wypadkach rozstrzygał wójt lub kobieca gęba, przepowiadająca wiejskiemu bankierowi los Judasza Iskarioty. Tym zaś bankierem był najczęściej wyrobnik, odejmujący sobie i dzieciom od ust.

Małżeństwa zawierano prawie wyłącznie pomiędzy równymi majątkiem i pochodzeniem. Długo się nie zdarzyło, ażeby syn gospodarski mógł się ożenić z córką wyrobnika, a nawet zagrodnika, chociaż by to była najładniejsza i najbardziej wartościowa dziewczyna. Zawsze była ona uważana za „dziadówkę”, która nie powinno przestąpić gospodarskiego progu". A jeżeli się już coś podobnego trafiło i to zwykle wtenczas, jak się zanosilo na chrzciny, to rodziców i rodzeństwo ogarniał jakiś szal niewytłumaczony. Dawano na mszę do Przemienienia Pańskiego, chodzono do guślarzy, szukano na wszystkie strony ratunku, a przede wszystkim złość swoją wylewano na „dziadówkę”, która jakimisż sztukami potrafiła syna gospodarskiego opętać". A kiedy wszystko nie pomogło, bo młody się uparł, to taki infamis bywał przez ojca na poczekaniu wydziedziczony i wyrzucony z domu. Cała zaś rodzina nie chciała nawet spojrzeć w jego stronę i mimo najskrajniejszej nędzy, w jakiej się znajdował, nie chciała mu niczym dopomóc, powtarzając z niesłabnącą zawiścią: „Chciał być dziadem, to niech będzie”.

Więcej uparte i zacięte były matki, które nie tylko podlegały często ustępliwszym ojców, ale nie chciały się widzieć z taką synową nawet „na śmiertelnej pościeli". Jeżeli zaś zgodzili się ojcowie, by taka synowa zamieszkała u nich, to musiała ona spełniać wszelkie posługi, gorzej od służącej. Bardzo często nie pozwalano jej siadać razem do stołu, ani też spać w izbie, „bo się nią brzydzili". Często też z tego powodu przychodziło w rodzinie do kłótni i awantur, szczególnie jeżeli syn miał odwagę ująć się za poniewieraną żoną. Najczęściej jednak godził się z losem, czekając kiedy starzy umrą, albo przyjdą dzieci, które już prędzej znajdowały łaskę u dziadków.

Zdarzały się jednak, aczkolwiek rzadkie wypadki, że taka „dziadówka", poślubiona przez kmiecego syna z miłości, zawojo-

wała potem wszystkich w domu i robiła, co jej się podobało ku niesłychanemu zgorszeniu chłopskiej arystokracji w całej okolicy. Najczęściej jednak takie wybranki zjadały gorzki chleb kmiecy niewoli. Takie same przejścia czekały córkę kmiecy, jeżeli się zdarzyło, że zapalała afektem do jakiegoś dorodnego „dziada”.

Jak ta kastowość była głęboko zakorzeniona, może stwierdzić choćby taki przykład: Stary, zamożny i bezdzietny gospodarz w Rudce wziął sobie za swojego na wychowanie Józefa Kołodzieja, chłopca mającego parę lat, przyprowadzonego tam przez matkę w czasie lat głodowych. Choć Kołodziej w Rudce się wychował, grunt odziedziczył i niczym gorszy od innych nie był, do samej jego śmierci wszyscy patrzeli na niego z lekceważeniem i powtarzali, że „go wysrał piskorz w błocie w Borowicach, a matka go do Rudki w koszyku przyniosła”. Lekceważenie to przeniosło się na jego dzieci, które sobie zresztą na to zarobiły.

Do ostatnich prawie czasów służący byli niewolnikami bez żadnych niemal praw. Parobkowi czy dziewczce nie wolno się było w izbie pokazać bez zgody gospodarza, ani ust otworzyć, choćby im się najgorzej działo. Słowo gospodarza stawało się rozkazem, nie ulegającym żadnej dyskusji.

Kastowości tej zadała największy cios ustawa o podzielnosci gruntów, która rozbiła „kmiecy role” i zbliżyła nieco jednych do drugich, dobiła ją zaś emigracja do Ameryki, skąd owi ubodzy przynosili pieniądze, pożyczali kmieciom, brali stajonka za procent, a nierzadko kupowali po kawałku gruntu na własność, pochodzącego z dawnej posiadłości kmiecy. Dziś zapanowała równość i demokracja, bo jedni i drudzy stali się żebrakami zupełnie do siebie podobnymi.

Jeszcze o swojej wsi

Nie chciałbym być ptakiem, kalającym własne gniazdo, pragnąłbym więc o wsi rodzinnej napisać jak najlepiej. Tyle mnie przecież z nią wiązało, a i dziś o niej zapomnieć nie chcę i nie mogę. Przypomina się zresztą ona sama, nie tylko na jawie, ale we śnie, prawie każdej nocy. Mimo tego wszystkiego, nie mogę się minąć z prawdą.

Wprawdzie wiele rzeczy ją usprawiedliwia, ale daleko więcej obciążało i obciąża jeszcze. Jest to tym bardziej przykre, że dość szeroka okolica szukała w Wierzchosławicach dla siebie wzo-rów i brała je, a, niestety, nie zawsze były one budujące.

Wiem, że Wierchosławice zostały zupełnie niemal pozbawione podstaw gospodarczych, uzależnione od Sanguszków, deptane butem Głowackiego przez długi szereg lat, okradane przez wójtów, ogłupiane przez proboszcza, ale miały też czasy, w których wszystko robiło się dla nich, gdzie w ich stronę zwrócone były oczy wielkiej części ludzi, a władze szły im jak najdalej na rękę.

Niezawodnie zależność wpływała na ich postępowanie, ale czym wytłumaczyć ludzi zamożnych i niezależnych, którzy się okazali jeszcze gorszymi od tamtych. W tej obszernej i ludnej wsi mającej kościół, szkołę i różne instytucje, człowieka z odwagą a równocześnie z olejem w głowie, daremnie by się szukało ze świecą w południe.

Obojętność na sprawy publiczne, tchórzostwo niczym nie uzasadnione, zazdrość i samolubstwo wprost rażące, nieufność i podejrzliwość chorobliwa były ich cechami, uniemożliwiającymi wszelką wspólną pracę. A gdy ona po wielu trudach i przeszkodach ruszyła z miejsca, szukano zaraz osobistych korzyści, a jeżeli ich nie było, porzucano rozpoczęte choćby najlepsze dzieło, stając się jego wrogiem.

W największym, najbogatszym, ale i najgłupszym przysiółku Gosławice, wyjeżdżający wcześniej z rana na zarobek gospodarze nie tylko że o nim nie powiedzieli drugim, ale zdejmowali koniom naszelniki, ażeby ich hałasem się nie zdradzić.

Jakie przekleństwo ciążyło i ciąży nad tą wsią, nie umiałem i nie umiem sobie wytłumaczyć. Za swoją głupotę zapłaciła ona nieraz haracz i to bardzo ciężki, ale to jej wcale nie nauczyło rozumu. Do dziś dnia jeszcze pewna część jej mieszkańców, zupełnie nieprzystępna dla żadnych rozumnych haseł i idei, nasłuchuje pilnie, czy kto się nie zjawi z wiadomością o powrocie łąk, pastwisk i serwitutów. Szuka i słucha różnych rad i wybiera zwykle najgorsze. Jeden sąsiad drugiego sprzedałby za grosz, gdyby było komu.

Jakieś fatum, ciężące nad Wierchosławicami, odbiło się dotkliwie także w czasie wojny światowej, gdyż w niej poginęli prawie wszyscy ludzie lepsi, jakich ta wieś posiadała. Natomiast różne tumany wyszły nietknięte. U nich też tępota, upór i zazdrość zdolne są do przekreślenia wszystkiego.

Do jakiego stopnia głupota i niezrozumienie u tych ludzi dochodzi, ilustrują następujące przykłady:

Przez grunta przysiółka Trzedniaki przeprowadzałem rów odwadniający, nazwany w ustawie „kanałem ulgi”. Szedł on gruntami bagnistymi, od czasów niepamiętnych pługiem nie ruszonymi. Miałem z tym skaranie Boże, gdyż w ciągu całej roboty ludzie do mnie latali parę razy na dzień ze skargami na inży-

niера, wstrzymując mu często prowadzoną robotę. Mnie też stawali nieraz w przykrym położeniu, grożąc mu moją powagą i wpływami, a nawet zemstą.

Kiedy nareszcie udało się przełamać wszelkie trudności i pokonać przeszkody, rów został ukończony, a odwieczna woda odpłynęła z gruntów, wszyscy niemal zaczęli do mnie chodzić procesjami, każdy z inną prośbą i pretensją zwykle nie uzasadnioną, a często wprost śmieszną. Nareszcie i to się skończyło. Chłopi zabrali się do uprawy nie tykanych przez pradziadków gruntów. Na miejscach, gdzie rosły nikłe wodne rośliny, zalegały mchy, stała czarna lub brunatna woda, w której gospodarowały żaby niepodzielnie, urosło wspaniałe żyto, zielenił się nie gorszy od niego owies, pokazały się śliczne, bujne ziemniaki. Chłopi patrzeli na to z prawdziwą radością i zadowoleniem, widząc tak ogromną i korzystną zmianę. Ale i to nie wszyscy.

Przechodzę tamtędy w parę lat po ukończeniu robót i spotykam jednego z młodszych gospodarzy, oborywującego bardzo ładne kartofle. — „No widzisz, Julek, tyleście robili krzyku, a teraz macie grunt jak cacko i urodzaje nie gorsze jak w Gosławicach” — zagadnąłem do niego. Stanął podrapał się po głowie, odetchnął ciężko i mówi do mnie: „Wiecie co, panie prezesie, Bóg wam zapłać za wszystko, coście zrobili, ludzie wam są bardzo wdzięczni, ale ja to bym wolał, żeby tego kanału nie było. Wy się pewnie z tego ośmiejecie, ale dawniej jak stała woda, to się i bydlę miało gdzie napoić, człowiek sobie umył nogi, konie się wypławiło, dzieci miały uciechę, gęsi się kąpały, trochę się przy tem popaśło, bo słowica rosła, a teraz tego wszystkiego nie ma, a jeszcze nam grunt zdziurawili, narobili mostów, wałów i różnych innych niepotrzebnych kłopotów. Jeszcze przy tym strażnik chodzi i zapisuje każde bydlę, jeżeli krokiem wlezie na wał”.

Patrzyłem na niego, nie będąc pewny, czy nie kpi ze mnie, ale widziałem, że wszystko to wypowiedział z najbardziej poważną miną. Nie mogłem też już sobie podarować, by mu nie powiedzieć, że tacy durnie, jak on, są na szczęście na świecie już rzadkim wyjątkiem.

Zamożny blisko dwudziesto-morgowy gospodarz z Gosławic, Jędrzej Gdowski, chłop rozumny i czytany, znający na pamięć cały Stary Testament, cytujący różnych proroków i filozofów, deklamujący utwory poetów, nie wprawił sobie do samej śmierci wrotni do stodoły, zniszczonych w czasie wojny, mimo że przez lat kilkanaście narażał się na szkody i języki ludzkie. Powód zaś leżał w tym, że Gdowski nie mógł znieść, „ażeby różnym ludziom pobudowano domy, a jemu kmieciowi odmówiono tak marnej pomocy”. Koszta sprawienia nowych wrotni wynosiły mniej,

niż on przepił w ciągu jednego dnia. Ponieważ mnie jako wójta obwiniął o niechęć do siebie, powtarzał przy każdej sposobności, że nie miałby mi nic do zarzucenia, gdybym był „dziadom nie stawiał pałaców”.

Jeden z gospodarzy, któremu odmówiono zasiłku i materiału na odbudowę ze względu na bardzo małe szkody wojenne, chodził dwa razy w tygodniu do urzędu odbudowy w Tarnowie z donosami na sąsiadów, którzy rzekomo mieli dostawać zasiłki nieprawnie. Droga do Tarnowa wynosiła oblewane dwie mile, a donosiciel był kulawy. Pomyśleć, ile ten zazdrosny kaleka zrobił mil drogi i poniósł kosztów, byle tylko nędzaczom dokuczyć, bo do skargi nie miał najmniejszej podstawy.

Nie wiem, co siedziało w tych ludziach, mających aż nadto odwagi i chęci, by szkodzić drugim, a kiedy szło o sprawy publiczne, chowali się w mysie dziury.

Rzecz to znamienna, że tak inteligenci jak i półinteligenci, którzy wyszli z tej wsi, poza surdudem i krawatką niczym się na jotę od zwyczajnych nas, Maćków, nie różnili. Nie dawali też dobrego przykładu ze siebie ani zdolnościami, ani też postępowaniem.

Toteż wieś, która miała wszelkie dane, ażeby stanąć na czele powiatu, i to pod każdym względem, pozostaje w tyle mimo wszystko, co w niej i dla niej zrobiono. Chcąc być sprawiedliwym, trzeba jej mieszkańcom przyznać, że są ogromnie pracowici i aż do skąpstwa oszczędni.

Wieś później

Mimo że od zniesienia pańszczyzny upłynęło już kilka dziesiątków lat, w czasie których chłopci mogli pracować wyłącznie dla siebie, a ponadto nad podniesieniem gospodarczym i kulturalnym wsi pracowało też coraz więcej oddanych jej ludzi, znajdowała się ona wciąż w niezwykle ciężkim położeniu, nie mogąc się ostrząsnąć z przyniatającej ją nędzy i ciemnoty.

Zasadniczy powód zawsze niemal leżał w tym, że przy regulowaniu serwitutów chłopom dano małe skrawki najgorszej ziemi, pozbawiając ich paszy i opału. Nierzadko się zdarzyło, że, opierając się na jakimś prawie, wzięto grunta i pastwiska, będące od niepamiętnych czasów w ich posiadaniu. Podcinając w ten sposób chłopów gospodarczo, uczyniono ich równocześnie zależnymi politycznie od dworu.

To położenie chłopów wyzyskiwały także dwory do ostatnich granic, starając się im płacić za robociznę jak najniższe ceny,

rzucając ich przy tym na pastwę żydowskich lichwiarzy, którym dali monopol zakupna we dworach siana, słomy, drzewa, a chłopów, odkupując, musieli im przepłacać; ponadto wszyscy „buntujący” się byli odsuwani od możliwości zakupna albo jakiegokolwiek zarobku.

Niebywałe też krzywdy uczynione chłopom, a uważane wciąż przez nich za zwyczajny rabunek praw i własności, wytrąciły wielu chłopów zupełnie z równowagi, nie pozwalając im zastanowić się rozumnie nad wytworzonym położeniem. Chodzili oni jeszcze wtenczas jak oszołomieni, nie mówiąc o niczym, jak tylko o tej sprawie. Z nią chodzili do różnych pokątnych pisarzy, próbowali po cichu organizować delegacje nawet do cesarza, drżąc przy tym ze strachu, ażeby się pan o tym nie dowiedział.

Nieraz przez wieś przelatowała jak błyskawica wiadomość, że w karczmie jest jakiś podróżny idący z Wiednia, który coś wie o tych sprawach i gotów poszukać adwokata, co by się podjął krzywdy dochodzić. Choć się przedtem sto razy okazało, że tacy faktorzy byli zwyczajnymi oszustami, to jednak ludzie lecieli za nimi w dym, jak się tylko gdzieś pojawili, mając niesłychany żal do żandarmów, którzy oszustów wyłapywali.

Było też zupełnie naturalne, że ludzie, patrząc na zabranie ich własności i nie mogąc doprosić się choćby częściowego zwrotu, byli przeświadczeni, że i to co mają może im być zabrane i dlatego nie ma się co silić, bo się nie wie, dla kogo się pracuje.

Nieraz starzy chłopci mówili do siebie z niepokojem: „Dopóki ta jest stary cesarz, to człowiek wie, że mu nic nie wezmą, ale jak on umrze, to kto wie, co będzie, bo młody z panami trzyma. Za nami biednymi wtenczas już się nikt nie ujmie”.

Narzekający tak gorzko i słusznie chłopci także i sami nie byli bez winy. Siedzieli w ciemnocie, unikali szkoły, zakostnieli w starych formach i zwyczajach, niezrozumieniu i nieporadności. Długo trzymała się ta sama uprawa gruntu, ten sam kiepski pług i drewniana brona, to samo zboże, zmieszane z kąkolem i wszystkimi chwastami.

Zostało takie same łązenie po wszystkich jarmarkach i odpustach, te same kłótnie, niesnaski i procesy. Czarownice i strachy miały też jeszcze swoje poczesne miejsce. W każdej prawie wsi wskazywano którąś z lepszych gospodyń, co bez spódnicy chodziła do dnia po rosie, zabierając tym sposobem mleko swoim sąsiadkom, którym go zaraz krowy nie puszczały, gdy ona miała mleka w bród.

Chłopci spędzali masę czasu w karczmie na plotkach, pijatyce i kłótniach. Wszyscy niemal pożyczali u Żydów, tonąc w

długach i procentach po uszy. Wielu potraciło gospodarstwa dzięki lichwie, zupełnie bezkarnie uprawianej.

Jeżeli się gdzieś trafił zarobek, ludzie się pchali jeden przez drugiego, nie pytając się zupełnie o cenę. Zarobki te, przeważnie tylko po dworach, trwały bardzo krótko i były niesłychanie niskie. Płacono po kilkadziesiąt centów dziennie za wytężającą pracę, trwającą od wczesnego rana do późnej nocy. Ekonomi i polowi popędzali pracujących krzykami i przekleństwami, a bardzo często pomagali sobie sękatą lagą.

Obrzucali oni specjalnie ostatnimi wyrazami i obelgami pracujące dziewczęta i starsze kobiety, które, zalewając się łzami, znosiły to cierpliwie. Sam byłem świadkiem, jak we dworze świerczkowskim, należącym wówczas do książąt Sanguszków, polowy nazwiskiem Sula, idąc koło pochylonych nad pracą kobiet, każdą z nich uderzył lagą niespodziewanie z tyłu, rzucając przy tym obrzydliwe i ordynarne przekleństwa. Odpowiedzią było ciężkie przytłumione westchnienie, bo poniewierane robotnice bały się nawet zapłakać, ażeby nie wywoływać wściekłości siepaczy.

Ludzie wszystko znosili, gdyż trzeba było przynajmniej na sól zarobić, choć gorycz narastała coraz to bardziej, a nawet zaczęły się zdarzać mniejsze i większe odruchy.

W tym samym Świerczkowie rządcą miejscowy galopując na koniu, pobił bykowcem kilka kobiet w czasie pracy sierpem. Ponieważ one się nie spodziewały tego, każda drgnęła przerażona, kalecząc sobie rękę trzymanym w niej narzędziem. Widząc pokrwawione i płaczące robotnice, kilku mężczyzn rzuciło się na rządcę, zwlekli go z konia i mocno pobili. Zrobiła się wielka awantura, przy której dostało się także i polowym, bo stanęli w obronie swojego pana. Ponieważ mój ojciec był uważany za inicjatora i podobno w czasie szamotania skaleczył sierpem rządcę, został wraz z pięciu innymi wydalony z pracy i oddany sądowi w Tarnowie do ukarania. Sąd go jednak zupełnie uwolnił, dając mu tylko ostre napomnienie. Zdaje się dlatego, że to był sąd wojskowy. Wiadomość o tym wypadku rozeszła się bardzo szeroko i była dużą podniecią dla chłopów i przestrogą dla rozbestwionych dozorców. To także było powodem, że dwór skrzywdzone kobiety sowiec wynagrodził.

Gdy się patrzyło na tych ludzi, zbiedzonych, chudych, na poły odzianych, wykonywujących pracę nad siły za marną zapłatą, bardzo często głodnych, a z drugiej strony na pastwienie się nad nimi przez zezwierzęconych dozorców, równie bezmyślne jak i okrutne wyzyskiwanie ich sił i biedy, to się musiały wewnątrz w człowieku przewracać. Tym więcej, że o tym wiedzieli dokładnie właściciele i dziedzice, ludzie kulturalni, wykształceni

i cywilizowani. Gorzej, bo nie tylko wiedzieli, ale do tego zachęcali, a nawet nakazywali. Toteż jeżeli chłopci zaczynali zapominać orgii pańszczyźnianych skutkiem wymierania starszego pokolenia, to te praktyki odnowiły ich pamięć.

Nienawiść do wszystkich „ciarachów”, a szczególnie do właścicieli ziemskich była powszechna i wciąż głęboko zakorzeniona. Chłopi nie tylko pamiętali stare krzywdy, ale coraz więcej i głośniej narzekali na obecne ich rządy, wyrażając żal, że ich w roku 1846 nie wymordowano do jednego.

Nazwisko Szeli nie tylko było znane każdemu niemal chłopu, ale wymieniane nawet z dużym szacunkiem. Starsi się chętniej z tego, że go osobiście widzieli. Młodzi słuchali opowiadania o nim z wielkim przejęciem. Nie wszystkim były znane jego czyny i niejednako też były oceniane. Wszyscy niemal zgadzali się na to, że gdyby Szela był wyróżną szlachciców, to nie tylko że chłopci staliby się zupełnie wolni, ale majątki szlacheckie przeszłyby w ich ręce.

Z zamordowanych szlachciców w czasie rabacji w roku 1846 najbardziej utkwiło chłopom w pamięci nazwisko Karola Kotarskiego, którego rzekomo „buntująca się przeciw cesarzowi” szlachta zamierzała obwołać królem polskim. W plotkę tę tak niektórzy chłopci uwierzyli, że żadna siła nie zdołała ich przekonać. Kiedy raz odwiedzając jednego z najstarszych mieszkańców gminy, Walentego Lecha, schorowanego, ale jeszcze bystrego człowieka, w rozmowie z nim zaprzeczyłem tym plotkom, to się staruszek tak rozżalił i obraził, że się zaczął trząść jak osika. Nie chcąc go drażnić, musiałem mu przyznać, że Szela dobrze życzył chłopom, a król Kotarski byłby może przywrócił pańszczyznę.

Mimo tej nienawiści i gruntownie zmienionych stosunków, chłopci kłaniali się tym samym panom do kolan, jeśli się tylko z nimi spotykali, drżąc ze strachu przed nimi, choć sami nie wiedzieli nawet z jakiego powodu. Wybierali ich też do Sejmu, parlamentu i każdej instytucji, nie wyobrażając sobie nawet, aby ich mógł kto inny zastąpić.

Ponieważ poza tym każdy prawie ksiądz dowodził, że wszelka władza od Boga pochodzi, wierzyli temu długo, a stosunki panujące uznali z czasem za dopust Boży i znosili je z przedziwną, prawdziwie chłopską cierpliwością.

Jednak już i w tych czasach wielkiej jeszcze ciemnoty i apatii, panowania gwałtu i bezprawia, zaczęto się przedzierać drobne, nieśmiałe światelko, zapowiadające zmiany. Niektórym już chłopom nie wystarczała karczma, kieliszek wódki, chodzenie na jarmarki i odpusty, lub też zasklepanie się w domu. Zaczęli po trosze myśleć i dochodzić do innych, niżeli dawniej wniosków.

Od czasu do czasu zaczęła się też na wsi pokazywać książka lub gazeta, jakby niewidzialną ręką podrzucona. Przenoszono je na wieś w zanadru i czytano po kryjomu wieczorami. W karczmie, przy kościele, czy na jarmarku zaczęto mówić o sprawach publicznych, tłumaczyć je po swojemu. Wybory i inne większe zdarzenia poruszały już szerszą opinię, choć najczęściej nie doceniała ona jeszcze ich znaczenia.

Zupełnie niespodziewanie i nie wiadomo skąd zaczęły się coraz częściej na miejscu wyłaniać jednostki, nie tyle może zdolne i świadome, ile uczciwe i mające charakter i odwagę. Nie było to przecież rzeczą małej wagi, przeciwstawić się wszechwładnemu panowaniu kliki, a równocześnie spotkać się z obojętnością i kpinami chłopów. Cierpliwa i wytrwała ich działalność, nie zważająca na żadne przeszkody, pozwoliła tym mimowolnym nieraz apostołom na zharmonizowanie się z ruchem ogólnym, który się szerzył potrosze w kraju i utorowanie mu drogi tak, że przychodząc nie trafiał już w próżnię.

Panujące niepodzielnie pijaństwo zmniejszały w dużej części forsownie odprawiane po kraju misje, a także nowe ustawy i przepisy. Bo choć chłopci niezbyt chętnie pozbywali się karczmy i wódki, jak i dawnych przyzwyczajęń, gdy już przysięgli, to zawsze jakiś czas dotrzymywali, a widząc dobre skutki tej wstrzeźmiewczości, wielu ich do karczmy i kieliszka nie wracało więcej, nie chcąc wojować z żonami. To musiało się także bardzo dodatnio odbić nie tylko na stosunkach moralnych, ale też i gospodarczych. Na tym polu zaczęła się dość szybka i korzystna zmiana, tak dzięki paru więcej urodzajnym latom, postępowi w uprawie ziemi, większej pracowitości i doborowi ziarna do siewu. Nierzadko zaczął się też pojawiać lepszy inwentarz, tak żywy jak martwy. Propaganda prowadzona przez Towarzystwo Kółek Rolniczych nie pozostała także bez śladu, choć chłopci długo i uparcie powtarzali, że od „ciarachów” siedzących przy zielonym stole nauki nie potrzebują. Jednak ta nauka wdzierwała się sama, torując sobie drogę do najbardziej odległych zakątków, przynosząc zmiany zarówno duże jak i pożyteczne.

Emigracja

Zarysowany w tych stosunkach przewrót znacznie przyspieszyła emigracja do Ameryki Północnej. Mimo wprost szalonych trudności, robionych przez władzę, jak i przeszkód piętrzących się na każdym kroku, emigracja ta zaczęła się przemieniać w falę nie dającą się niczym powstrzymać. Władze idące na rękę wielkiej

własności, obawiającej się braku robotnika i podrożenia pracy, przez dłuższy czas nie wydawały zupełnie zezwolenia na wyjazd. Ogólny brak gotówki stanowił także bardzo poważną przeszkodę, toteż wielu zawziętych śmiałków maszerowało piechotą, nie tylko do pruskiej granicy, ale nawet nieraz do samego Hamburga. Nie mając dokumentów podróży, przemycani byli przez różnych przewodników, którym się musieli bardzo suto opłacać. Przewodnicy ci brali też od nich gotówkę, jaką posiadali niby to dla bezpieczeństwa i odwrócenia uwagi władz od nich, przy czym ich niejednokrotnie sami do ostatniego grosza okradali. Nauczeni doświadczeniem emigranci idąc powtórnie, zaszywali sobie pieniądze w ubraniu, w cholewach od butów, chowali pod zelówki i obcasy. Bardzo często byli łapani przez władzę na granicy i odstawiani policyjnie do miejsca zamieszkania, jeżeli o nim władze te poinformowali. Tym się jednak nie zrażali, szli na nowo raz drugi i trzeci, aż nareszcie granicę przechodzili i wszystkie trudności pokonali.

Ci szczęśliwcy nie tylko że opisywali w listach, co to za raj ta Ameryka, ale w krótkim czasie przysyłali zarobione dolary, jako wymowne świadectwo panującego tam dobrobytu. Zazdrośni bliźni i dalsi sąsiedzi obliczali skwapliwie czas zarobku i pieniądze przysyłane i dochodzili do wniosku, że posyłający albo te pieniądze znalazł, albo też je ukraść, bo przecież nie mógł ich tak szybko zarobić.

Ameryka stała się też przedmiotem bezustannych gorączkowych rozmów, rozważań i pragnień, a wyjazd do niej szczęściem po prostu pojąć się nie dającym.

Kiedy do Wierchosławic po kilkuletnim pobycie w Ameryce powrócił Walenty Podlasek, który nie wiadomo jakim sposobem się tam dostał, chodziły do niego takie procesje ludzi codziennie, że zmuszony był kryć się przed nimi, ażeby go pytaniami nie zamęczyli. A gdy za przywiezione dolary kupił kilkanaście morgów gruntu i zaczął budować jeden dom w Wierchosławicach, a drugi w Tarnowie, ludziska z zazdrości i pragnienia o mało nie poszaleli. Nikt nie wierzył, ażeby on tyle pieniędzy potrafił w uczciwy sposób zarobić. Toteż cała wieś i okolica opowiadała sobie z oburzeniem, ale też ze świętym przekonaniem, że Podlasek w Ameryce będąc zabił i obrabował jakiegoś bankiera, a następnie bardzo zręcznie stamtąd uciekł. Inni zaś dowodzili, że się ożenił trzy razy w Ameryce, bo tam są śluby na trzy lata, zabrał majątek tych trzech żon i przyjechał z nim „suchym łodem” jakąś tajemniczą drogą; widziano też często żandarma, który chodził za nim, a jego ponury nastrój, mało-

mówność i mruczenie do siebie tłumaczono ogólnie wyrzutami sumienia, które mu nie dawało spokoju.

Nie wiem, czy w tych domysłach było cośkolwiek prawdy, wiem natomiast, że „amerykanin” Podlasek był dużym dziwakiem i że ta Ameryka odmieniła go zupełnie. Nigdy do nikogo nie powiedział, w jaki sposób dorobił się tak dużego majątku, a dla ciekawych miał zawsze jedną odpowiedź: „Jak chcesz wiedzieć, to jedź do Ameryki, tam się pewno dowiesz”.

Mimo bardzo dużego dostatku tak w zimie jak i w lecie chodził w jednym i tym samym starym, podartym i dziurawym kożuchu. Sypiał na gołej ławce, podkładając sobie pod głowę pięść i wiecheć słomy. Do jedzenia nigdy nie siadał, lecz chodząc gryzł suchy, jałowy chleb i popijał wódką, której zawsze małą flaszkę nosił w kieszeni. Do kościoła chodził bardzo rzadko, przeważnie dwa razy na rok, na Wielkanoc i Boże Narodzenie, uważając to za stratę czasu, dobrą dla próżniaków. Księży nienawidził, nazywając ich wydrwigroszami, za to z Żydami żył w dużej przyjaźni, dając im paszę na swoim gruncie.

Umiał zrobić wszystko, co wziął do ręki. Budował domy, stawiał piece, robił pługi, podkuwał konie, szył i naprawiał ubrania, wszystko bardzo szybko i bardzo tandetnie. Był niesłuchanie dla wszystkich uczynny, tylko próżniaków nienawidził, uważając ich za więcej szkodliwych od złodziei.

Umarł stosunkowo w młodym wieku, zniszczony pracą i niewygodami. Synowie, na których wykształcenie nie żałował pieniędzy, w przeciągu paru lat po jego śmierci zniszczyli większą część uzbieranego i tak mozolnie utrzymanego przez ojca majątku. Ludzie jak zawsze, kiwając głowami i wyrażając oburzenie na sukcesorów, widzieli w tym karę Bożą.

Zmiany i skutki

Z czasem i władze zaczęły folgować, toteż olbrzymia fala ruszyła bez przeszkód. Ludziska zastawiali grunta, sprzedawali inwentarz, pożyczali płacąc najbardziej lichwiarskie procenta, byle tylko gotówkę zdobyć i do Ameryki się dostać. Bardzo dużo kart na przejazd okrętem przysyłali też ci, co już do Ameryki dojechali i pewnej gotówki się dorobili. Fala ta nie ominęła i starszych, nieraz zamożniejszych gospodarzy, których ciągnęła chęć i żądza wielkiego i łatwego zarobku. Często we wsi nie można było znaleźć rodziny, która by w Ameryce nie miała kogoś ze swoich. Wyliczyłem, że z jednego tylko przysiółka gminy Wierchosławice w roku 1913, na 62 numery domów w nim się znajdujących,

emigracja do Ameryki objęła ich aż 56. Był też okres, dość długo trwający, w którym pieniądze z Ameryki płynęły jakby rzeką, docierając do każdego kąta.

Temu też w bardzo wielkiej mierze zawdzięczać należy późniejszy dość duży dobrobyt wsi galicyjskiej. Za pieniądze amerykańskie nie tylko że pospłacano uciążliwe długi i uratowano dziesiątki gospodarstw od zupełnej ruiny, lecz ponadto zakupiono wiele gruntu z obszarów dworskich, rozszerzając istniejące już gospodarstwa, lub też tworząc nowe. Śmielsi i obrotniejsi wyjechali też na wschód, zakupując tam znaczne obszary ziemi.

Wieś w szybkim tempie zaczęła zmieniać swoje oblicze. Stawały nowe, obszerne i wygodne domy mieszkalne i gospodarcze. Słoma zaczęła ustępować miejsca trwalszemu materiałowi, którym przeważnie kryto nowe, a czasem i stare budowle. Zamiast klepiska w izbie z gliny przyszła podłoga z desek. Na miejsce starych, pół mieszkania zastępujących pieców, przyszły małe, zgrabne i wygodne, w oknach pojawiły się białe firanki. Nawet stary zegar został zdjęty ze ściany, a na jego miejsce powieszono nowy, który już dokładnie wskazywał i wybijał godziny.

Zaczęły się we wsi pojawiać siewniki, młocarnie i inne maszyny rolnicze. Zmieniono też inwentarz, tak żywy jak martwy. Coraz częściej zakupywano i sprowadzano nowe gatunki zboża, mimo ich wysokiej ceny. Wnet się pokazały inne zbiory. Zniknęły zarówno drobne, głębokie zagony, jak i chwasty i kwiaty, przykrywające zboże. Postęp na każdym polu, a z nim i dobrobyt szły na wsi niewstrzymanie naprzód. Na Ameryce bowiem nie tylko ci zarabiali, co tam jeździli, ale zarobili także i ich sąsiedzi, pozostali w kraju, bo „amerykanki” płaciły bardzo dobrze za każdą robotę, wykonaną w polu, na łące i w gospodarstwie.

Nie straciły także i dwory, gdyż bardzo wiele gruntu sprzedawały po dobrych cenach lekceważącym często dolary „amerykanom” i na grunt niesłychanie chciwym. Po trosze jazda do Ameryki stała się rzeczą zupełnie zwyczajną i drobną. Nie brak w każdej wsi takich, co tam byli po cztery razy i więcej, a nieraz przejeżdżali ocean dwa razy w ciągu jednego roku. Powracający emigranci, poza przywiezionymi pieniędzmi, ulegali także daleko idącym zmianom w poglądach. Będąc samodzielnymi i niezależnymi pod względem majątkowym, nie potrzebowali się oglądać na nikogo. Widząc zaś w Ameryce zupełnie inne stosunki, nie mogli patrzeć spokojnie na to, co się u nas działo. Inaczej już myśleli i inaczej też robili, wywierając pod każdym względem bardzo duży wpływ na krewnych, sąsiadów, a nawet na dalsze otoczenie.

Czytali gazety, dawali je drugim, mówili, przekonywali, stawiając za wzór stosunki amerykańskie, gdzie bogaty fabrykant

bywał za pan brat ze swoim zwyczajnym robotnikiem. Więcej zapalni pozwalali sobie pod tym względem na różne, czasem nawet kosztowne eksperymenty. Byłem świadkiem, jak taki „amerykanin” darował procent za dwa lata od tysiąca dolarów swojemu sąsiadowi, zaciętemu klerykałowi, tylko za to, że ten napisał do proboszcza kartkę z zawiadomieniem o swoim wystąpieniu z bractwa kościelnego i ze Stronnictwa Katolicko-Ludowego. Na moją uwagę zgodził się, ażeby jego dłużnik w bractwie pozostał. Chłopi ich słuchali z rozdziawionymi gębami, połykając każde słowo. Jedni wierzyli i brali z nich przykład, inni kiwali głowami, a odchodząc mówili: „Dobrze mu gadać, bo ma tysiące dolarów, żyje jak hrabia, łupi procenty, a ja muszę biedę klepać”.

Toteż „amerykanie” w bardzo licznych wsiach wywierali duży i korzystny wpływ, a nawet tu i ówdzie wywierają go i do tego czasu. Ludzi zepsutych i zmanierowanych nie spotykało się pomiędzy nimi prawie zupełnie, czego o innych emigracjach powiedzieć nie można.

Bez większego znaczenia dla wsi pozostała również emigracja do Niemiec, dość także liczna i trwająca przez szereg lat. Miała ona jednak zupełnie inny charakter. Gdy do Ameryki wyjeżdżali prawie sami mężczyźni i to przez długi czas, a dziewczęta i kobiety czasem do narzeczonych i mężów, w emigracji niemieckiej kobiety stanowiły ogromną przewagę.

Kiedy robotnicy polscy w Ameryce pracowali przeważnie w kopalniach i fabrykach, to w Niemczech używano ich prawie wyłącznie do robót polnych. Emigracja ta pod względem moralnym przynosiła nawet pewne szkody, dawała jednak wcale poważne zarobki. Znałem wiele dziewcząt, wyjeżdżających tam przez wiele lat z rzędu, które sobie złożyły duże oszczędności, umożliwiające im założenie własnego gniazda. Czasem emigranci spotykali się z brutalnym postępowaniem i wyzyskiem, choć przeważnie rzetelnie im zarobki wypłacano.

Natomiast emigranci duńscy chwalili sobie zawsze postępowanie tam z nimi i z zarobków byli zupełnie zadowoleni.

Emigracja ta zarówno do Niemiec jak i do Danii oddziaływała także u nas na postępek i kulturę rolną. Miała tym większy wpływ na zmianę stosunków w kraju, że zesła się równocześnie z ruchem politycznym i ekonomicznym, jaki się w kraju rozpoczął, będąc dla niego ogromną pomocą.

Jeżeli wieś polska zrobiła olbrzymi skok w postępie i wy dobyła się z więzów politycznej zależności, zacofania i dawnej nędzy ekonomicznej, to w dużej mierze zawdzięcza to wychodźtwu i tej wytrwałości i obrotności, na jaką się chłopi zupełnie niespodziewanie w tym czasie zdobyli, nie mając z niczyjej strony

żadnej pomocy, a spotykając się tylko z przeszkodami. Nie da się też przewidzieć, gdzieby się była wieś znalazła i do jakiej nędzy musiałaby dojść, gdyby nie ta pomoc, która niezawodnie z emigracji poszła w grube miliony. Choć wojna zniszczyła wielką część tego olbrzymiego dorobku, nie potrafiła zniszczyć go w całości, ani też zatrzeć jego śladów.

Zostały one nie tylko w postaci postępu gospodarczego, powiększonego majątku i wzmożonej przedsiębiorczości, ale także obudzenia energii i woli milionów, podniesienia się godności i ambicji, bez których nie może być obywateli, zdolnych do utrzymania Państwa i zabezpieczenia mu postępu i przyszłości. Nie brak też jeszcze tu i ówdzie dobrze przechowywanych starych dolarów, czekających na lepsze dla nich czasy. Emigracja amerykańska oddziaływała także bardzo wiele na rozszerzenie i pogłębienie świadomości narodowej u chłopów w wielu okolicach kraju.

Błogosławione skutki tej zmiany widoczne też były w czasie wojny światowej, w czasie wojen polskich, a może jeszcze więcej po nich. Niestety, istnieje zupełnie uzasadniona obawa, że system obecny rozmyślnie czy bezwiednie zaczyna spychać chłopów tam, gdzie byli przed pół wiekiem.

Refleksje

Wymierający starzy i bardzo już nieliczni kmiecie, patrząc na to, co się działo, boleli nad swoim losem, ale jeszcze więcej martwili się tym, że dawni parobcy i komornicy zrównali się z nimi, a przecież „hajdowniej” to nie tak bywało.

Wieś się zaczęła zmieniać i to pod bardzo wielu względami. Ustępowała ciemnota i głupota, choć pozostało po nich bardzo wiele starych przywar i nałogów, wynikających z wiekowej niewoli, nierzadko jeszcze i teraz w różnych formach stosowanej. Pod wpływem oświaty i rosnącej świadomości zmuszone były odejść niektóre straszdyła, napastujące ludzi pod mostami i figurami, choć często znaleziono sobie nowe. Poginęły bezpowrotnie świetniki, włóczące się tak długo po polach całymi nocami. Przerzedły czary i zabobony, będące prawie zawsze nienaruszonym dogmatem, choć wielu jeszcze jest takich, dla których wstanie lewą nogą z łóżka, uporczywe krakanie wrony, rozpoczęcie jakiejś roboty w piątek albo trzynastego dnia w miesiącu, przynieść nie-szczęście, którym diabły i czarownice płatają jeszcze bardzo wiele „psikusów”. Zniknął zupełnie kołtun, wypędzony większą czystością i grzebieniem, nie ma czwartaczki ani też dziobatych z ospy. Zmalało uprzedzenie do lekarzy, choć utrzymała się wiara

w babki i znachorów. Nawet ludzie bardzo świadomi przenoszą znachorów nad lekarzy, chodząc do nich po kryjomu. Szynkarz przestał być wyrocznią, bo albo go we wsi nie ma, albo chłopci więcej wiedzą od niego. O cesarzu przestali mówić, wstydząc się jeden drugiego, choć nie brak westchnień do dawnych czasów. Procesów jest znacznie mniej, ale dużo więcej wypadków kradzieży. Do czytania ochotę mają znaczniejsze zastępy, choć większość obchodzi się bez tego, nie czując żadnego braku.

Sposób gospodarowania zmienił się zupełnie. Uprawa przeważnie dobra. Zboże do siewu czyszczone i dobierane. Inwentarz żywy i martwy nieskończenie lepszy. Porządek w domu utrzymany. Chaty dymne stały się rzadkością. Przednowki bywają, ale już mniej dotkliwe i przed drugimi starannie ukrywane.

Wesela trwają po parę godzin tylko i to zwykle w sobotę po południu, by zajęły jak najmniej czasu, choć ludzie często nie mogą sobie darować, by się na nie nie wyciągnąć „do dziesiątej skóry”. Odpusty i jarmarki są znacznie mniej uczęszczane. Stare płaszcze i miejskie pludry wyszły prawie zupełnie z mody, gdyż ludzie wolą nowe, choć droższe ubranie.

Pomiędzy wsiami, nieraz w jednym powiecie położonymi, a nawet ze sobą sąsiadującymi, istniały często dość nawet głębokie różnice. Nie tylko że pozostawały one z drugimi w długich nie kończących się sporach i wojnach, ale miały też pewne odrębne właściwości. Wieniec wsi otaczających np. Wierzchosławice jak: Rudka, Komorów, Ostrów, Niwka, Bogumiłowice, Łętowice, Radków, Bielcza, Zakrzów stanowiły jakby jakąś odciętą, na pół martwą, żyjącą zupełnie oddzielnym życiem oazę.

Gdy w Łęgu, Bobrownikach, Ilkowicach, Siedlcu wrzało już życie polityczne, sąsiadujące z nimi gminy nie myślały o niczym. Kiedy w Mikołajowicach posunęła się daleko praca kulturalna, sąsiedni Zakrzów i Bogumiłowice drwiły z tego, uważając ją za niepoważną zabawę, dobrą dla dzieci ale nie dla ludzi dorosłych. Okolice ta nie stanowiła jedynego wyjątku, gdyż w różnych częściach powiatu panowały podobne stosunki. One też były powodem, że jednostki mające nawet najlepsze chęci, ofiarne i wysuwające się w pracy na czoło, musiały się załamać i zmarnować, nie mogąc sobie dać rady z obojętnością, zacofaniem i podejrzeniami.

Te różnice utrzymały się w pewnej mierze do tego czasu. Jedne wsie pędzą naprzód, niektóre postępują wolniej, a inne stoją na miejscu jak mur. Tych ostatnich na szczęście jest niewiele. Stan podobny jeszcze wciąż istnieje w mojej okolicy, choć przyznać trzeba, że w czasach ostatnich wyłoniło się w Wierzchosławicach trochę ludzi, już więcej zdolnych do pracy publicznej.

Malując ten wcale niewesoły obraz swojej wsi i okolicy, przedstawiając ich stan pod względem politycznym, gospodarczym, czy moralnym, nie mógłbym powiedzieć, że odmalowałem go zupełnie ściśle. Przecież temu dochodzi blisko 50 lat, w wieku więc, w jakim się wówczas znajdowałem, wielu spraw dobrze nie rozumiałem, a do różnych zagadnień należycie podchodzić nie umiałem. Obserwowałem i pojmowałem przeważnie to, co się narzucało samo. Nie mogę też znaleźć odpowiedzi, co jest powodem nie tylko nędzy i upośledzenia, bo te były następstwem stosunków, ale także obojętności i widocznego odrętwienia u chłopów. Niewola wiekowa i poddaństwo, które weszło w krew u ludzi? No, tak! Ale pokolenie, wychowane w niewoli, wymarło już dawno, to nowe zaś przeszło szkołę, służbę wojskową, widziało świat, ma świadomość prawdy, powinno więc być zupełnie inne.

Chłopi przez długi czas czuli śmiertelny strach nie tylko przed rządem, ale przed każdym urzędnikiem, wiedząc o tym, że urzędnicy „trzymają z panami”. Tak, to prawda, ale i to prawda, że były przecież czasy, kiedy rządy zaborcze wyraźnie kokietowały chłopów i szły im na rękę, a mimo to ten strach i wtenczas ich nie opuszczał. Mając dla księży ogromny szacunek, równocześnie chłopi byli przekonani, że i oni trzymają z tymi panami i stanowią wielką przeszkodę do uzyskania przez chłopów samodzielności. Wiele też w tym racji; księża przez długi czas byli wielką potęgą, najczęściej chłopom nieprzychylną, stojąc po stronie dworu przeciwko nim. Ale przecież nie brakło takich, co pragnęli chłopom szczerze pomóc, a jeżeli im niewiele zrobili, to często także i dlatego, że chłopi nie chcieli, obawiając się ciągle podrywki.

Na taki stan wpływała bardzo wiele zależność ekonomiczna wsi od dworu i plebanii. Niezawodnie to była rzecz wielkiej wagi. Można by więc uznać ten moment za jeden z najważniejszych powodów, gdyby chłopi z tych wsi, nad którymi ta zależność nie ciążyła, wykazywali choćby niewielkie różnice. A tego wcale nie było.

Gdzież więc naprawdę szukać tych powodów?

Musiały one jednak leżeć głębiej. Chłop nie miał żadnej innej tradycji, jak tylko tradycję niewolnika. Starsze pokolenia ją przeszły, młodsze o niej wiedziały i nią przesiąkały. Chłop bity i poniewierany nie przestał się lękać wszystkiego, żyjąc przy tym wieczną obawą, czy dawne czasy nie wrócą. Chłop będący tylko narzędziem przez wieki, stracił wszelką samodzielność, a pozbawiony tak długo możliwości jakiegokolwiek obrony, czuł się słabym i osamotnionym nawet wtenczas, kiedy się znalazł w wielotysięcz-

nym tłumie i już w zmienionych warunkach. Toteż chłop, broniąc do ostateczności swojego prywatnego dobra, długo nie uznawał żadnych dóbr wspólnych wiedząc, że były one przeważnie igraszką w ręku różnych uprzywilejowanych.

Sam czuje wiele pretensji do chłopów, że mając wszystko za sobą, w czasach nowszych nie stanęli tak, jak powinni, że mogąc być potęgą i dyktować innym, stają się podnóżkiem, że pochod ich jest niezwykle powolny i ślamazarny, że mogąc iść według poety „krokami olbrzyma”, posuwają się w sposób prawie niewidoczny, jeżeli nie cofają się jeszcze wstecz. Że sami kręcą często bicz na siebie, pomagając wrogom.

Ale rozważając to wszystko i nie próbując chłopów bronić, a nawet tłumaczyć, trudno się opędzić od pytania, które natoczywie na myśl przychodzi: Czy też niewola szlachecka i pańszczyzna, w której uciskani chłopci jęczeli wiekami, była tak ciężka i okrutna, że nie tylko rzuciła ich pod nogi swoim prześladowcom, zabiła ducha, podeptała człowieczeństwo, zniszczyła wszelką myśl o samodzielności i wyzwoleniu, czyniąc z chłopów martwą, nieruchomą bryłę, czy też może uległość, służalstwo i ospałość nie są wrodzonymi wadami narodu polskiego, do którego chłopci należą. Rzecz oczywista, że miarodajną odpowiedź na moje pytanie mógłby dać kto inny, więcej powołany. Mnie się natomiast rzucają pewne przykłady, tak z przeszłości jak i teraźniejszości, które mnie w tym przekonaniu silnie umacniają.

Wprawdzie szlachta polska wykazała nieraz bardzo wiele buńczuczności ale i odwagi, wziąć trzeba jednak pod uwagę, w jakich się to działo warunkach i okolicznościach. Potrafiła się ona awanturować, znęcać się aż do okrucieństwa, ale robiła to przeważnie wtenczas, gdy była przekonana, że się nie spotka z żadnym zorganizowanym oporem, nie mówiąc już o odwecie. Że bardzo szybko, a nawet haniebnie tchórzyła, gdy odruch lub opór okazał się silniejszy, nie próbując się nawet bronić, dowodzą tego choćby dzieje wojen kozackich, a najwięcej może jaskrawym przykładem została historia rzezi humanńskiej, dokonanej na szlachie przez zwyczajną zgraję; a przecież szlachta, tam się znajdująca, była tak liczna jak i uzbrojona, a do obrony miała największe wartości, własne życie, cześć i honor swoich żon i córek, przez zdziaczał czerń bezczeszczonych, a co najważniejsze całość Ojczyzny, do czego była z urzędu powołana, mimo to zachowała się przecież haniebnie!

Że szlachta miała i ma pociąg do uniżoności i służalstwa możnym, dowodzi tego jej zachowanie się wobec zaborców, mimo tego że ci popełnili największą zbrodnię na ich Ojczyźnie, a nie-raz i jej uczynili wielką osobistą krzywdę. Wskazuje to i obecna

polityka szlachty, pozbawiona bardzo często już nie tylko odwagi, ale nawet rozsądku i koniecznej godności.

A jeżeli chodzi o różne maniery i przywary, to nie da się zaprzeczyć, że wielu chłopów swoim postępowaniem wykazuje duże ze szlachtą pokrewieństwo. Owo „zastaw się, a postaw się” — obowiązuje tak u jednych jak u drugich. Szukając dalszych porównań, przychodzi mi z przyjemnością stwierdzić, że chłopci wykazują znacznie więcej od szlachty tak odporności, jak wytrwałości, a nawet honoru i godności. Dzieje się to szczególnie w czasach ostatnich, gdy chłopci starają się coraz więcej usamodzielnic, nie bacząc na ofiary, szlachta zaś bez wielkiej troski za miskę soczewicy sprzedaje swoje pierworodztwo, nie bacząc nawet kto będzie nabywcą.

Jeżeli błędy, braki i przywary chłopów są następstwem ciemnoty, nędzy i upośledzenia pod każdym względem, to szlachty wytłumaczyć nie da się niczym. Stanowiła ona przecież przez wieki stan rycerski, co powinno być równoznaczne z odwagą, honorem i godnością, uważała się za kwiat narodu, ciesząc się wszelkimi przywilejami i to bardzo długo. Posiadając olbrzymie majątki, nie będąc zmuszona pracować na chleb, mogła się kształcić wyrabiać, podróżować. Przed nią stał i stoi dotąd otworem tak świat, jak i wiedza. Sama też uważa się za naturalnego przodownika narodu, za coś lepszego i wyższego od drugich. A zresztą, od czegoż ona jest? Co ze siebie dała narodowi? Jeśli nie chce, czy nie może reprezentować już nie siły, bo nikt tego od niej nie żąda, ale zwyczajnego rozumu i godności, to tym samym wydaje na siebie wyrok potępienia i zatury jako szkodliwa część wielkiego zbiorowego ciała. Jej miejsce powinno być zastąpione przez kogo innego i to jak najrychlej. Udowodnili nie tylko dawniej ale i teraz, iż nie tylko nie potrafią podążyć za innymi narodami, ale także nie umieją, czy nie chcą rozwiązać najkonieczniejszych problemów w kraju.

W domu rodzicielskim i w szkole

W naszym domu przez długi czas nic się na lepsze nie zmieniło. Rodzice pracowali ponad siły, odmawiali sobie wszystkiego, posuwając oszczędności do najwyższych granic. To wszystko niewiele pomogło. Były miesiące, w których nie oglądaliśmy kawałka chleba, a bardzo często na śniadanie trzeba było czekać, aż matka powróci z miasta oddalonego o dwie mile. Pamiętam, że niejednokrotnie surową kapustę, przyniesioną od ciotki Ogarrowej z „Trzedniaków”, zjadałem jak największy przysmak. Roz-

ważania nad tym, czy mam iść do szkoły czy nie, powtarzały się bardzo często, rezultat był jednak taki, że do 10-go roku życia musiałem pasać ojcowską krowę, włóczęc ją na powrozie po rowach i miedzach. W południe wychodziłem do zbierania chwastów i do innych robót polnych. Gdy moi rówieśnicy wszyscy już po 2 lub 3 lata uczęszczali do szkoły, mnie wciąż schodziło na pasieniu. Dotykało mnie to niesłychanie boleśnie, gdyż zaczęli się oni do mnie odnosić z pewną wyższością i lekceważeniem.

Ojciec, jakkolwiek sam nie umiał ani jednej litery, uznawał potrzebę nauki i martwił się tym, że mnie nie może do szkoły posyłać, obiecując, że to już na przyszły rok zrobi. Kiedy przychodził czas zapisów, zwykle się znowu okazywało, że nie ma za co kupić butów ani ubrania i że nie chcący trzeba będzie zamiar ten na przyszły rok odłożyć. Matka, zapatrzona we mnie jak w obraz, pragnęła, ażebym się uczył, ale wyobrażała sobie, że ta nauka odbywać się może w domu w zimie, jak to się odbywało u wielu sąsiadów. Tym sposobem ja nie zmarnuję czasu, wkłady będą niepotrzebne, a cel się osiągnie. Bała się też niesłychanie, ażebym chodząc do szkoły, pozbawiony jej opieki, nie rozbił sobie głowy na lodzie.

Na ten temat pomiędzy nią i ojcem prowadziły się też każdej zimy spory, które się kończyły postanowieniem, że jakkolwiek się stanie, to się uczyć muszę.

Wiedziałem, że poza tymi wypowiedzanymi obawami pragnęła, ażebym umiał jak najwięcej, gdyż nieraz powtarzała, że jeżeli nie dostanę majątku, to przynajmniej nie będąc ślepym, mogę sobie znaleźć miejsce na świecie. Że sama chciała się nauczyć przynajmniej czytać na książce, ale teraz nie może o tym myśleć, bo nie ma czasu, ma skołataną głowę i traci coraz więcej pamięć.

Kiedy już wyszedłem ze szkoły i czytałem książki, nie tylko że bardzo pilnie słuchała, gdy tylko miała trochę czasu, ale i mogła to dokładnie powtórzyć, co o słabej pamięci wcale nie świadczyło.

Nareszcie jednej jesieni ojciec się uwziął, podreperował mi jakieś stare na tandecie kupione buty, kupił też za parę szóstek mocno przechodzoną bluzę, przerobił ją na mnie a mimo zawołania matki, że krowa pozostanie bez opieki, polecił zaprowadzić mnie do szkoły.

Matka zabrała koguta na prezent dla nauczyciela poszliśmy do niego po południu, „kiedy nie było nauki, żeby się ze mnie inni uczniowie nie śmiali”. Matka udała się do pani „dyrektowej”, ja czekałem na polu trochę zmieszany, trochę przerażony. Za parę chwil zjawiła się matka z powrotem i zawołała na mnie, ażebym szedł za nią. Ponieważ się ociągałem, wzięła mnie za rękę

i zaprowadziła przed oblicze nauczyciela. Był nim sam „dyrektor”, pan Franciszek Marzec. Zobaczywszy mnie, zrobił minę dość srogą i matce czynił wyrzuty, że się tak mocno spóźniła z zapisem, a zwracając się do mnie zapytał: „Ileż ty dryblasie masz lat, przecież tyś większy ode mnie?”. „Na dziesiąty” odpowiedziałem dość nieśmiało, ukrywając przy tym parę miesięcy. „A elementarz masz?”. „Nie mam, proszę pana”. Po tej odpowiedzi wziął mnie za rękę, posadził na pierwszej ławce i zawyrokował: „Jutro przyjdiesz do szkoły o godzinie ósmej i w tym miejscu siedzisz, bo ja cię muszę mieć na oku”. Uważałem to za jakąś groźbę, która nie wiadomo co mi miała przynieść.

Kiedy to samo powiedział matce, narobiła gwałtu, tłumacząc panu dyrektorowi, że ona mnie tylko przysłała zapisać, ale nie może mnie jeszcze do szkoły posyłać, bo nie mam ani elementarza, tabliczki ani rysika, a przy tym muszę zostać w domu dla pasienia krowy i pomagania przy kopaniu ziemniaków, bo się tego roku na bardzo wczesną zimę zanosi.

Po tym jej oświadczeniu zaczęły się targi, a skończyły się tym, że pan dyrektor zgodził się, bym figurował w księgach szkolnych, a do szkoły zaczął uczęszczać wtenczas, jak „pierwszy śnieg spadnie i ziemniaki się wykopie”; żebym zaś nie był zbyt w tyle za innymi uczniami, wyznaczył syna sąsiada ucznia drugiej klasy, który mi miał przez ten czas wieczorami na elementarzu „pokazywać”. Ażeby i z tym ojcowie nie mieli żadnego kłopotu, uprzejmy pan kierownik wręczył matce stary elementarz oprawiony żółtym papierem, upominając, żebym go szanował i zwrócił, jak mi nie będzie już potrzebny.

Uścześnieśliwiona matka, że jej tak gładko poszło, żałowała przez całą drogę, że nie miała dwóch kogutów, „bo by mię pan był zwolnił choć do nowego roku”. Biedaczka była święcie przekonana, że gdyby nie ten kogut, zanieiony do pani Marcowej, byłby się pan dyrektor nigdy na te ustępstwa nie zgodził i elementarza byłby mi nie dał.

Nareszcie śnieg spadł i to dość wcześnie, ziemniaki były wykopane, elementarz miałem, umiałem też wyuczone z niego wszystkie litery, niektóre nawet zacząłem składać, trzeba więc było iść do szkoły. Ponieważ pan Marzec nie tylko sam mnie pilnował, ale polecił zwracać na mnie uwagę nauczycielce pani Jabłońskiej i ja się też sam do nauki rwałem, nie tylko że dogoniłem uczniów, siedzących tam od początku roku szkolnego, ale zaraz po nowym roku zostałem przeniesiony na wyższy oddział. Nauka dla mnie stała się zabawką, gdy inni stękali i męczyli się, mnie to wszystko przychodziło bez żadnych wysiłków. W uznaniu mej pilności używała mnie pani Jabłońska nie tylko do zastępowania jej

w klasie, ale także do sprzątanía w pokoju, jaki zajmowała na piętrze budynku szkolnego. Uważając mnie zaś widać za zupełnie nie uświadomionego, przyjmowała tam również młodziutkiego księdza, zabawiając się z nim bardzo wesoło i swobodnie. Byłem tym ogromnie zgorzszony i broniłem się wszelkimi sposobami, żeby na górę nie chodzić. To mi się nie udało, ale pani Jabłońska się widać spostrzegła, bo więcej tam nikogo nie zastałem.

Gdy oboje nauczycielstwo wyróżniali mnie od wszystkich uczniów i bardzo często powierzali mi gospodarowanie klasą i egzaminowanie ich, a sami uczniowie odnosili się do mnie z dużym podziwem i szacunkiem, to jakąś dziwną niechęć czuł zawsze do mnie ówczesny katecheta, a późniejszy proboszcz ks. Fraczak. Nie wiem skąd to pochodziło, gdyż cały wielki katechizm umiałem na pamięć, zachowywałem się w szkole wzorowo i nigdy się nie zdarzyło, ażebym nie umiał odpowiedzieć na jego pytanie. Często odpowiadałem za drugich także. Tego uprzedzenia do mnie nie wyzbył się on nigdy, co w przyszłości przyniosło tak jemu, jak i mnie sporo przykrości.

Do tej szkoły chodziłem przez cztery „zimy” i skończyłem ją z najlepszym postępowaniem, wyszczególniony specjalną nagrodą, przez samego inspektora z Tarnowa mi wręczoną, który był obecny na egzaminie. Najwięcej uszczęśliwiona czuła się matka, bo widziała że i ja się „wyuczyłem” i krowa się nie zmarnowała.

Kierownik szkoły, pan Marzec, bardzo tęgi nauczyciel ale także i niezwykle porządny człowiek, odkrył we mnie duże zdolności, a żegnając mnie z żalem, wezwał do siebie ojca, namawiając go usilnie, ażeby mnie oddał na dalszą naukę do gimnazjum w Tarnowie, gdyż szkoda zmarnować talentu, jaki miałem posiadać. Sam zaś obiecał miejsce mi w Tarnowie zapewnić, przez wakacje mnie odpowiednio przygotować, książek dostarczyć i pobyt w mieście ułatwić.

Ojciec, który to dobrze rozumiał, wiedząc ile on w życiu przeszedł przykrości nie umiając nic, zaczął ulegać argumentom pana Marca, prosząc go o tydzień zwłoki, ażeby się mógł dobrze obrachować, czy sobie może dać radę. Za ten czas zaś pan Marzec miał się dowiedzieć, jakie koszta moja nauka miałaby za sobą pociągnąć. Po tygodniu przyszliśmy z ojcem do szkoły. Kiedy uradowany pan Marzec oznajmił, że za pięć reńskich miesięcznie znalazł mi miejsce w Tarnowie z całym utrzymaniem, ojciec się przełękł i oświadczył, że go na nie stać, gdyż nędza w domu panuje wszechwładnie, moja pomoc jest mu konieczna, a przy tym muszę brata młodszego uczyć, ponieważ go nie może posyłać do szkoły. Na tym się urwało, gdyż pan Marzec nie nalegał więcej, wiedząc, że się to na nic nie zda.

Wiedziałem, że w Tarnowie robił wszelkie możliwe starania i zabiegi o bezpłatne umieszczenie mnie, a kiedy one zawiodły, oświadczył, że je ponowi na drugi rok. Tymczasem dostarczał mi do czytania książek ze swojej biblioteki, a kiedy się skończyły, zdobywał nowe u różnych swoich znajomych w Tarnowie i w czytelnich tamtejszych.

Robiło mu to dużo kłopotu i wiele zachodów, gdyż książki mi dostarczane niemal połykałem, czytając je we dnie i w nocy, nie zważając przy tym na rady i uwagi pana kierownika.

Kiedy jednej niedzieli przed sumą oddałem mu przeczytaną książkę i prosiłem go o inną, był ogromnie zadowolony, gdyż jak mówił, „wszelkie znane mu źródła zostały zupełnie wyczerpane”. Kiedyśmy jeszcze rozważali nad tym wspólnym zmartwieniem, drogą od kościoła wprost na szkołę szedł powoli, ocierając pot z czoła, znany mi dobrze leśny Jan Głowacki. Chciałem zaraz odejść, ażeby się z nim nie zetknąć, ale pan Marzec zatrzymał mnie, przedstawiając Głowackiemu i opowiadając mu o swoim kłopotcie, a szczególnie o braku odpowiednich dla mnie książek. Nie omieszkał też dodać, ile ja tych książek przeczytałem.

Zawstydziłem się mocno, gdyż Głowacki patrzył na mnie z pewnym znaczącym zdziwieniem, a jak mi się zdawało i lekceważeniem i żałowałem, że się dałem panu Marcowi zatrzymać. Po chwili milczenia Głowacki odezwał się do mnie: „Ty lubisz czytać książki?”. — „Tak jest” — odpowiedziałem. — „No i ja czytałem też dużo jak byłem młody, ale moje zabijaki tak Franek, jak i Antek ani na książkę nie spojrzą. Nieraz klnę i wymyślam, ale to nic nie pomaga, woła się po lesie błąkać, aniżeli się uczyć”.

Wypytawszy się, skąd jestem, jak się nazywam, zastanowił się małą chwilę, a potem się odezwał: „U mnie rozmaitych książek leży ze dwie fury, możesz więc brać i czytać, ile ci się podoba a wiem że prędzej się tobie sprzykrzy czytanie, aniżeli tych książek zabraknie”. Zwracając się zaś do mnie powiedział głosem rozkazującym: „Przyjdiesz do mnie jutro wieczorem o siódmej godzinie, wcześniej mnie nie będzie w domu, gdyż muszę jechać do Gumnisk, bo mnie książkę wzywa”.

Wróciłem do domu, opowiadając ojcu o tym, co zaszło. Był zaskoczony. Nienawidząc Głowackiego, jak inni chłopcy, wołałby był, ażeby po nic do niego nie chodzić. Kiedy mu wytłumaczyłem, że ja go wcale o to nie prosiłem, ale pan Marzec, zgodził się, bym do Głowackiego poszedł, ale żebym tam długo nie siedział.

Wyruszyłem z domu nawet z pewnym strachem. Leśniczówka, w której mieszkał Głowacki, leżała o dobre cztery kilometry od naszego mieszkania. Nie byłem tam nigdy jeszcze, a pamiętając, że Głowacki jest człowiekiem gwałtownym i nieobliczalnym,

nie wiedziałem, czy on mnie przyjmie jakoś po ludzku, czy też może poczęstuje kijem albo poszczuje psami. Wszedłem też na podwórze ogromnie nieśmiało i gdyby nie to, że czekał już na mnie i zaprosił mnie ze sobą do pokoju, byłbym się na pewno wrócił. Na stole w pokoju leżała już przygotowana paczka książek do zabrania, na drugim zaś obfita przekąska, do której mnie gospodarz bardzo uprzejmie zaprosił. Po raz pierwszy wówczas miałem w ustach kawę, która mnie raziła swoim zapachem i sprowadzała mdłości. Nie wiedziałem zresztą, co to za napój i byłbym tego nie wiedział w ogóle, gdyby nie żona Głowackiego, bardzo uprzejma i rozumna kobieta, która się skarżyła, że musiała kawę w Tarnowie kupić, bo „tak stary, jak i chłopaki barszczu jadać nie chcą”.

Przed odejściem zaprowadził mnie Głowacki do dużego sąsiedniego pokoju. Był on cały zasłany i założony różnymi papierami, książkami i gazetami. Objął mnie, że na dole znajdują się stare roczniki gazet, a szczególnie *Kuriera Lwowskiego*, który on prenumeruje, a na półkach książki z utworami różnych wielkich pisarzy i poetów, tak polskich jak i zagranicznych.

Patrzyłem na to wszystko z najwyższym zdziwieniem i zachwytem, który się jeszcze wzmógł, gdy gospodarz pokazał mi kilka wielkich ksiąg z niezwykle pięknymi kolorowymi ilustracjami. Głowacki przy rozmowie był też bardzo szczery, przyznał się bowiem, że on tych książek przeważnie nie czytał, gdyż na to nigdy nie miał czasu, wie jednak, że one są bardzo mądre i zajmujące. Jeżeli będę chciał, to mogę sobie przeczytać, a ponieważ jego często nie ma w domu, to syn Antek zawsze ze mną sprawę załatwi, on zaś sam tak książki poszereguje i dobierze, żeby były dla mnie zrozumiałe i dawały mi prawdziwy pożytek.

Do domu wróciłem już późnym wieczorem. Ojciec zaniepokojony wyszedł po mnie na połowę drogi. Nie omieszkalem też pochwalić mu się zaraz, z jaką przychodzę zdobyczą. Nie spaliśmy tej nocy prawie zupełnie. Ja czytałem głośno, ojciec słuchał jak świętej Ewangelii. Była to książka o powstaniu Kościuszkowskim, udziale w nim chłopów, ich bohaterskich walkach i zwycięstwach, uniwersale Połanieckim, upadku tego powstania, dalszych losach narodu i naczelnika Kościuszki. Widziałem, że ojcu ciekły łzy z oczu, szczególnie gdy czytałem ustępy o wzięciu przez Moskali do niewoli rannego Kościuszki i prześladowaniu polskiej ludności przez rządy rosyjskie. Książkę tę na żądanie ojca przeczytałem kilka razy. Następnie szły inne, gdyż bogata biblioteka Głowackiego była naprawdę nie do wyczerpania.

Czytając wszystko, co mi tylko dano, przypominam sobie, że między innymi przeczytałem liczne dzieła Ignacego Kraszewskie-

go, Pismo Święte ks. Wujka, Żywoty świętych i Kazania Sejmowe ks. Piotra Skargi, Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, wszystkie wówczas istniejące dzieła Henryka Sienkiewicza; czytałem Encyklopedię Orgelbranda, dzieje rewolucji francuskiej i włoskiej, powstań polskich i węgierskich, kilka książek o Napoleonie, powieści Tołstoja, Zoli, Jokaja i wielu innych pisarzy polskich i zagranicznych. Ponadto wszystkie utwory Mickiewicza, Konopnickiej, Słowackiego, Pola, Brodzińskiego, Kochanowskiego, Goszczyńskiego i innych polskich poetów. Szereg książek, dotyczących wojen rzymskich i greckich, historii papieństwa, filozofów i mędrców świata chrześcijańskiego, dzieje słowiańszczyzny, zmaganie się jej z nawałą germańską itd. Poza tym całe stosy książek treści politycznej, społecznej i gospodarczej, jak również broszur aktualnych, w tym czasie wydawanych. Nie omieszkiał też Głowacki dać mi kilka książek zakazanych, francuskich przeważnie autorów, upominając, ażebym nic o tym nie mówił proboszczowi. Ja rzeczywiście pary z ust nie puściłem, ale za to Głowacki nie wytrzymał i, chcąc proboszczowi dokuczyć, o tym mu powiedział. Naturalnie, że miałem znowu awanturę.

Czytanie książek, rozważanie różnych zdarzeń i wypadków, przykłady w nich podawane, działały niesłychanie silnie na moją młodą wyobraźnię. Z jednej strony czułem się powołany do spełnienia jakichś nieokreślonych jeszcze zadań, z drugiej widziałem się małym, upokorzonym nędzarzem, który tylko z łaski innych może korzystać ze skarbów wiedzy, a swoje młode życie musi poświęcić ciągłej gonitwie za chlebem.

Myśli owe były często wielką, nie dającą się ugasić podniętą ale też nierzadko zatruwały mi życie, niosąc beznadziejność wszystkich moich, tak gorących, a równocześnie tak odległych pragnień.

Przyrzekałem też sobie niemal codziennie, rzucić się do każdej ciężkiej, choćby najdłuższej i wytężającej pracy, w której albo mi się uda zdobyć stanowisko, jakie posiadają drudzy, albo też w niej zginąć, a takiego życia w poniżeniu nie prowadzić. Starałem się też bezustannie podniecać ambicję brata, który wcale sprawy tej gorąco nie traktował.

Ojciec, stary żołnierz austriacki, uczestnik wojny z Prusami, był człowiekiem wielce obytym, zręcznym, nad wyraz pracowitym i wszystko niemal umiejącym. Co wziął do ręki, to zrobił, i zrobił to dobrze. Był dobrym cieślą, niegorszym szewcem, krawcem, bednarzem, kosiarzem zaś najlepszym we wsi.

Zapręgliśmy się też wprost z niesłychaną zawziętością do roboty wszyscy. Karczowanie drzewa, obrabianie belek, tarcie desek, przecinanie lasu, koszenie łąk, sprzątanie zboża z pola, ko-

panie ziemniaków itp. roboty stanowiły nasze całoroczne i codzienne zajęcia. Nie lubiłem tylko młocki i zawsze starałem się jej unikać, gdy inne roboty wykonywałem z przyjemnością.

Zarobki były nadzwyczaj marne, choć nas wyróżniano i często lepiej wynagradzano. Brodząc przez cały dzień po kolana w śniegu i dźwigając ciężkie mokre żerdzie na ramieniu, zarabialiśmy zaledwie po kilkadziesiąt centów dziennie. W lecie zarobki były znacznie wyższe, szczególnie przy obróbce belek, tarcia drzewa i przy kośbie. Praca ta była niezwykle ciężka i wyczerpująca, toteż nieraz prawie zupełnie upadałem ze znużenia, oczy mi zachodziły mgłą, a w głowie odczuwałem dotkliwy ból. Nie przyznałem się jednak ani jednym słowem, by nie zniechęcić szczególnie brata, który tej gonitwy nie chciał, czy nie mógł zrozumieć. Nie była też ona zresztą i przyjemna, gdyż do roboty wychodziliśmy zawsze przed czwartą godziną rano, by przed wschodem słońca stanąć w odległym o parę kilometrów lesie, a gdyby się to dało, to jeszcze wcześniej. Do domu powracaliśmy zawsze o zmroku, przechodząc po ciężkiej pracy tę samą drogę.

Mimo tej wytężonej pracy i trudów, większą część nocy spędzałem na czytaniu. Wyglądałem też jak szkielet, na co bardzo często zaniepokojeni rodzice zwracali mi uwagę upominając, ażebym dbał więcej o siebie. To mnie jednak nie sprowadziło z drogi i nie wpłynęło na moje postępowanie.

Matka ogromnie silna i zdrowa, zapracowywała się w polu, a przy tym cały ciężar gospodarstwa domowego dźwigała na sobie, nie chcąc się zgodzić na jakąkolwiek pomoc z naszej strony. Sama pasła krowę, okopywała ziemniaki, sama je też wykopała, własnymi rękami zerznięta sierpem żyto, męła je na chleb i to zwykle niesuszone „ażeby chleb był bielszy”, gotowała jedzenie, reperowała bieliznę i wszystko to robiła zawsze na czas. Sama nie dojadła i nie dospała, byle tylko nam nie brakło niczego. Mnie zawsze po kryjomu podsuwała coś lepszego do zjedzenia. Nie zdarzyło się przez całe lata ani razu, ażeby się spóźniła ze śniadaniem, obiadem, czy kolacją. Nieraz musieliśmy hamować jej zbytnią gorliwość, która jej nie pozwalała na zakupienie niezbędnie potrzebnych drobiazgów, bo już i tak przecież żyliśmy skromnie i oszczędnie, odmawiając sobie niemal wszystkiego.

Z oszczędności też nie posłano brata do szkoły, lecz ja w chwilach wolniejszych uczyłem go pisać i czytać, co mi niewiele trudności sprawiało, gdyż uczył się bardzo dobrze. Jedynym niepotrzebnym wydatkiem, na który patrzeliśmy krzywo, to był tytoń, który sobie ojciec po dwa centy za paczkę prawie codziennie kupował.

Skutki naszej pracy i oszczędności zaczęły być z czasem widoczne. Za gotówkę zaoszczędzoną odkupił ojciec od ciotki Marii drugą większą część domu. Po odrestaurowaniu przenieśliśmy się do niej. W świeżo pobudowanej stajni było już troje bydła, nowa mała stodoła napchana była zbożem, z dzierżawionego i z naszego pola zebrany. Ojciec był w możności bogatszym sąsiadom pożyczać już nawet po kilkadziesiąt reńskich, szczególnie na przednowku w czasach najcięższych. Dokupił też mórg pola na własność. Kupił wóz i konia. Zdobyliśmy sobie już we wsi to, o co nam chodziło, respekt i poważanie. Byliśmy nareszcie tymi, o których we wsi mawiano: „Ci mają chleb i pieniądze”. Byłem też u szczytu swoich marzeń. Do Głowackiego chodziłem jak dawniej, ale już inny, pewniejszy siebie, bo czując grunt pod nogami. Książki czytałem z dawną pilnością, lecz już całej gromadzie ludzi, którzy każdego wieczora do mnie przychodzili.

C z ę ś ć I I

W GMINIE I POWIECIE

Przyjaciół Ludu

Kiedy jednego dnia w zimie 1891 r. przybyłem jak zwykle do Głowackiego, wręczył mi on dwie książki treści politycznej, a także parę numerów *Gwiazdki Cieszyńskiej* i *Wieńca* i *Pszczółki* zaznaczając równocześnie, że zaprenumerował dla mnie na rok przysły *Przyjaciela Ludu*, którego na pocztę w niedzielę dostanę. Zatrzymał mnie dłużej u siebie, przedstawiając po swemu stosunki polityczne tak w Galicji, jak w państwie austriackim. Słuchałem z wielką uwagą. Z długiego jego opowiadania dowiedziałem się, że był zwolennikiem Henryka Rewakowicza, że u niego bywali tak Rewakowicz, jak też Karol Lewakowski, głośny poseł do Rady Państwa ze Lwowa, a także odwiedzał go czasem ks. Stojalowski. Patrzyłem na niego z niedowierzaniem, wiedziałem bowiem, że Jana Głowackiego przy każdych wyborach Sanguszkowie używali jako swego agitatora, wysyłali go też na różne zjazdy ubranego w krakowską sukmanę jako przedstawiciela „owych pańskich chłopów”. Że on przecież Wierchosławice rzucał na pastwę interesów swoich możnych panów. Kiedy bardzo delikatnie zwróciłem mu na te przeciwieństwa uwagę, oświadczył mi, że on nie może inaczej, bo to jego służba, a chłopci powinni mieć swój rozum. On im zresztą to mówi, gdzie tylko może.

W niedzielę zgodnie z zapowiedzią Głowackiego dostałem z pocztą *Przyjaciela Ludu*. Wychodził on wówczas dwa razy na miesiąc we Lwowie pod redakcją Bolesława Wysłoucha jako pismo ludowe opozycyjne, społecznie radykalnie nastrojone, przez wielką część duchowieństwa zacięcie zwalczane. O tym dowiedziałem się nie tylko po przeczytaniu kilku numerów, ale więcej

jeszcze, gdy po paru tygodniach zagrziała ambona w kościele w Wierzchosławicach, na której proboszcz przedstawiając straszne skutki czytania tego pisma i jemu podobnych, wezwał mnie publicznie, ażebym tego zaraz zaniechał, jeżeli chcę uniknąć kar kościelnych i Boskich tu na ziemi, a po śmierci wiecznego piekielnego ognia.

Ponieważ to nie pomogło, wezwał mnie do siebie, aby mi osobiście jeszcze przedstawić następstwa czytania zakazanego przez władze duchowne pisma. Przy sposobności dowiedziałem się, że Głowacki żyje z nim źle i że zaprenumerowanie mi *Przyjaciela Ludu* było psikusem z jego strony, wymierzonym przeciwko ks. Franczakowi.

Ponieważ ks. proboszcz nie oznaczył mi godziny przybycia, poszedłem po mszy ранней, gdyż mi to było najwygodniej. Miałem trochę obawy, nie wiedząc jak wizyta ta dla mnie wypadnie. W przedpokoju nie było nikogo. Za chwilę weszły trzy kobiety, lekko na palcach, chwając przede mną Pana Boga. Odpowiedziałem im i poznałem równocześnie. Wszystkie to były znane dewotki, z „pobożną Jagą z Komorowa” na czele. Skupiły się razem przy drzwiach do pokoju księdza prowadzących, ja stanąłem przy drzwiach wchodowych. Za parę minut weszła gospodyni. Wszystkie trzy kobiety rzuciły się do niej, całując po rękach. Ja się nie ruszyłem z miejsca, udając że jej nie widzę. Zgorszone moim postępowaniem dewotki, zaczęły szeptać pomiędzy sobą i kiwać głowami nad moim zuchwałstwem wobec „jegomościowej pani”.

Ta pani zaś, córka kupca świńskiego z Wojnicza Jana Krzemieńskiego, zwana we wsi „ślepą krzemieńszczanką”, była prawdziwą panią, bo rządziła proboszczem jak jej się podobało. Bez niej szczególnie w gospodarstwie nigdy on nic nie zrobił.

Ponieważ czas się przeciągał, a proboszcz nie wychodził, zapukałem do drzwi kancelarii. Nikt się nie odezwał. Za małą chwilę zapukałem mocniej, biorąc równocześnie za klamkę. Przekonałem się, że drzwi były zamknięte. Natomiast otwarły się i to z trzaskiem drzwi do kuchni. Wypadła z nich rozgniewiona pani gospodyni, a zwracając się do mnie mocno podniesionym głosem, powiedziała: „Proszę nie pukać i nie hałasować, bo ks. proboszcz jest przy śniadaniu, jak je skończy, to on tu sam wyjdzie”. Odszedłem od drzwi i stanąłem przy drugiej ścianie trochę podrażniony. Za dobre pół godziny wyszedł nareszcie ks. proboszcz. Kobiety powitały go z głośną radością, całując mu obie ręce. Zbliżyłem się do niego, ażeby ogólnie przyjętym zwyczajem z nim się przywitać. Szarpnął się i schował ręce za futro. Byłem przekonany, że się zanosi na burzę.

Nie zwracając prawie na mnie uwagi, uprzejmym ruchem głowy zaprosił do siebie wszystkie trzy kobiety, prowadząc z nimi długą i głośną rozmowę. Ze słów urywanych słyszałem, jak im opowiadał o zepsuciu panującym w świecie, wzywał do gorliwej modlitwy, pokuty i dobrych uczynków. Wymienił też kilka razy moje nazwisko. Kobiety wzdychały ciężko, potakując mu głośno. Nareszcie wyszły z naręczami intencyjek miesięcznych i innych wydawnictw kościelnych.

Za moment wyszedł i proboszcz, zwracając się od razu do mnie.

— „Czy ty jeszcze czytasz tę przekłętą żydowską szmatę?” — odezwał się głosem ostrym i podniesionym.

— „Proszę ks. proboszcza, ja żadnych szmat żydowskich nie czytam, ale polskie książki i gazety”.

— „A czy ty wiesz, kto ci tego *Przyjaciela* zaprenumerował?”.

— „Ani nie wiem, ani się nie domyślam” — odrzekłem.

— „No, to ja ci powiem, zrobił to Głowacki, ażeby mi umyślnie dokuczyć, spodziewając się, że ja się o tym dowiem”. Skończywszy to, zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— „A czy ty nie wiesz, że to piśmidło jest przez samego Ojca Świętego zakazane?”.

— „Tego nie wiem — odpowiedziałem — słyszałem jak ks. proboszcz mówił o zakazie biskupa”.

— „Biskup nie robi własną wolą, ale działa w imieniu Ojca Świętego, który jest Namiestnikiem Jezusa Chrystusa na ziemi” — sprostował mnie ks. proboszcz.

— „Gdzie by ta tu Ojciec Św. takimi sprawami się zajmował” — wtrąciłem dość nieśmiało i z uśmiechem.

Proboszcz wpadł w pasję. „Ja tu nie będę z tobą prowadził dysputy, *Przyjaciela Ludu* jest zakazany przez władzę kościelną i czytać go nie wolno żadnemu katolikowi pod grzechem śmiertelnym, musisz się i ty do tego zastosować”.

— „Księżę proboszczu, ja to zrobię, ale gdy mi ksiądz powie, które przykazanie Boskie albo kościelne zakazuje tego czytania i udowodni mi, co jest złego w tej gazecie pisane. Ja tu mam trzy egzemplarze ze sobą” — odpowiedziałem już znacznie śmieiej, podając je proboszczowi. Rzucił się rozczzerwieniony.

— „Ja tego do ręki nie wezmę — krzyknął — chyba ażeby do pieca wrzucić”.

Po chwili milczenia ks. proboszcz nieco uspokojony mówi:

„Ta szmata napada w każdym numerze na księży i podrywa zaufanie pobożnej ludności do nich” — mówi do mnie.

„Ja tego nie widziałem, a czytam każdy numer dokładnie, wiem, że pisze o tych księżach, co robią nadużycia i broni przed nimi chłopów”.

„To nie jest żadna obrona, lecz podstępne uderzanie w księży, aby tym sposobem zniszczyć wiarę i Kościół święty” — odrzekł znowu podniecony proboszcz.

„Księżę proboszczu, Kościół jest zbudowany na opoce, a Pismo Święte mówi, że go żadne bramy piekielne nie przemogą, a nie dopiero marna gazeta. Wiary zaś nigdy żaden chłop nie popsuł, bo na to za głupi i nie chce tego zrobić, natomiast psuli ją inni i to najczęściej księża”.

Tego już proboszcz nie wytrzymał, lecz zwracając się w moją stronę z krzykiem i gniewem powiedział:

„Mnie tu twojego mędrkowania nie trzeba na nic. Trwasz zatwardziale w grzechu i szerzysz publiczne zgorszenie, nie chcąc się poddać władzy duchownej, do której Chrystus powiedział: „Kto was słucha, to mnie słucha, a kto wami gardzi to i mną gardzi”, dlatego ci powiadam po raz ostatni: Masz natychmiast odpisać, żeby ci tej gazety nie przysyłali więcej, a jeżeli tego nie zrobisz, nie dostaniesz rozgrzeszenia i polecę dziadom kościelnym, ażeby cię do kościoła nie wpuszczali, bo w nim parszywych owiec nie trzeba. Czy mnie dobrze zrozumiałeś?”.

„Dlaczego nie miałbym zrozumieć” — odrzekłem.

„Czy odpiszesz dzisiaj?”.

„Księżę proboszczu, ani dzisiaj ani jutro, ani też nigdy odpisywać nie będę. Gazetę czytałem i będę czytać dalej, bo nie widzę w tym nic złego, do kościoła też chodzić będę i nikomu się ruszyć z niego nie pozwolę, bo kościół nie należy do ks. proboszcza, ani do dziadów kościelnych, ale jest własnością całej parafii, a ja i mój ojciec należymy do niego, a jak nie dostanę rozgrzeszenia, to pójdę gdzie indziej!”.

Ksiądz Franczak nie odezwał się już ani jednym słowem, trzasnął mi drzwiami przed nosem i czerwony jak burak poszedł do pokoju, nie pożegnawszy się zupełnie.

Wyszedłem na pole, zauważywszy że wszystkie trzy kołbiety, przyklepione do ściany ganku, słuchały ciekawie naszej rozmowy i dopiero na mój widok raptownie odeszły.

„Pobożna Jaga” wzięła na odwagę, przystąpiła do mnie, a głaskając mnie po ramieniu zaczęła mi perswadować: „Słuchajże, po cóż ty tak męczysz tego naszego jegomościa, on się biedny dzisiaj aż upłakał na ciebie?”.

„Dlaczego — pytam się jej — ten wasz jegomość płakał, czy ja mu co ukradł, albo zrobiłem jaką inną krzywdę?”.

„No nie — odpowiada — ale czytasz tę gazetę co wiarę świętą psuje i na księży wymyśla, że ludzi zdzierają, a przecież nam księży i nieba potrzeba”.

„Wicie Miterczyno, że to wszystko, co wam ksiądz opowiada, to jest od początku do końca nieprawda. Gazety czytają panowie i księża i nikt im tego nie zabrania. Teraz się księża bardzo obrażają, jak im kto inny zaczyna chłopów bronić i prawdę im powie, ale jak panowie męczyli tych chłopów za pańszczyzny, jak im odebrali łąki i wszelkie prawa, jak ich biją i poniewierają, to księża nic na to nie mówią. Powiedzcie mi, czy to jest sprawiedliwość?”.

Trafiłem w punkt najwięcej czuły i bolesny. Kobieta pokłamała głową, oglądając się na probostwo, odezwała się po cichu: „Ja wiem, że to święta prawda, ale jegomościa trzeba słuchać. Przecież to taki księżyczek dobry, wciąż jest w kościele, ludzi spowiada, modli się, dba o ich zbawienie jak żaden inny”.

Korzystając z dobrej sposobności, poświęciłem jeszcze parę minut, ażeby dewotkom wytłumaczyć, że ksiądz, wiara i interesy to zupełnie co innego i że ten, co ma ludzi prowadzić do nieba, to musi sam najpierw świecić dobrym przykładem, a jeśli wszystkim nakazuje się żyć w ubóstwie, a zdziera się z nich co może, to to jest obłudą i zaprzeczeniem Boskich przykazań. Chrystus nie miał ani pałaców, ani gruntów, karmił ludzi, pomagał im, uzdrawiał, robił cuda, ale nie kazał sobie za to nikomu płacić.

Proboszcz uważał, widąc, tę rozmowę za niebezpieczną, bo kobiety ponownie zaprosił do siebie.

Ponieważ nie dałem się przekonać, więc po tej wizycie ks. proboszcz używał sobie na mnie prawie w każdą niedzielę, wymyślając mi od „smarkaczy mających mleko pod nosem”, a równocześnie szkodliwych i niepoprawnych grzeszników. W kościele wskazywano na mnie palcami, a niektóre kobiety nawet na ulicy, przechodząc koło mnie zęgnęły się nabożnie; punktem kulminacyjnym tej nagonki było zarządzenie przez ks. Franczaka publicznej modlitwy o moje nawrócenie.

Ten moment przyniósł mi sporo kłopotów i przykrości. W całej wsi aż szumiało. Matka po przyjsciu z kościoła nalegała na mnie z płaczem, bym zaprzestał czytać, gdyż zaprzepaszcze duszę i zgorzę innych, a ojciec doradzał, bym choć na jakiś czas czytania zaniechał. Starłem się wytłumaczyć obojgu, że w tej gazecie przecież nie ma nic złego, a to co ksiądz robi jest tylko nadużywaniem przez niego tak kościoła jak i ambony.

Rodzice nareszcie w moją „mądrość” uwierzyli, bo już nie nalegali więcej, a ojciec dał mi nawet kilka reńskich na kolej

do Krakowa, abym tam mógł odbyć spowiedź wielkanocną, do której mnie w Wierchosławicach nie dopuszczono.

Przed tym jednak poszedłem do Tuchowa, gdzie ks. redemptorysta oświadczył mi bardzo zimno i kategorycznie, że wypowiadać mnie może dopiero wtedy, gdy przyniosę na piśmie zezwolenie od swojego proboszcza, albo też kartkę korespondencyjną z wypowiedzeniem dalszej prenumeraty zakazanego pisma. Ponieważ mu powiedziałem, że tego wszystkiego nie zrobię, odmówił mi spowiedzi.

Nie było rady, musiałem jechać do Krakowa. Przeszedłem tam także niemało przykrości i kłopotów, bo nie znając miasta, a tym mniej księży, musiałem się różnych ludzi pytać o nich. Dopiero przy pomocy Kazimierza Czarneckiego, urzędnika magistratu krakowskiego, znalazłem nareszcie księdza kapucyna, do którego poszedłem do spowiedzi. Tu znowu spotkało mnie duże i dziwne rozczarowanie. Dowiedziawszy się, skąd jestem i dlaczego do niego przyszedłem, ks. kapucyn roześmiał się na głos w konfesjonale oświadczając mi, że mogłem sobie tej fatygi i pieniędzy zaoszczędzić. Nie omieszkął przy tym palnąć dłuższego kazania o chęci włóczenia się i marnowania czasu i innych jeszcze chłopskich nałogach. Na moją prośbę o wystawienie mi poświadczenia odbytej spowiedzi odrzekł, że mi to nie potrzebne. Gdy mu jednak wytłumaczyłem konieczność przedstawienia dowodu proboszczowi, zrobił mi to niezwłocznie. Do wsi przyjechałem z dużym triumfem, pokazując świadectwo i dowodząc, że nawet w Krakowie inaczej zupełnie na tę sprawę patrzą.

Kazania proboszcza coraz więcej namiętne i gwałtowne nie pozostały bez skutku. Parafia zaczęła się wyraźnie dzielić na zwolenników księdza i jego przeciwników. Kilku tak moich rówieśników, jak i starszych gospodarzy zaprenumerowało sobie zakazane pismo. Koło mojej osoby zaczęło się skupiać coraz więcej ludzi tak, że nieraz nasza mała izba nie mogła ich pomieścić. Czytaliśmy całymi wieczorami książki i wyklętego *Przyjaciela Ludu*.

Pierwsze numery tej gazety wzbudzały we mnie więcej raczej ciekawości ze względu na różne wiadomości bieżące, aniżeli przejęcia się linią polityczną pisma. Artykułami politycznymi i przedstawiającymi krzywdy chłopów przez szlachtę od wieków im czynioną interesował się więcej ojciec i przychodzący sąsiedzi, dla nich też musiałem je powoli i nieraz kilkakrotnie odczytywać; z czasem nie tylko że mi się uchwyciły głowy, ale zacząłem się nimi bardzo gorąco przejmować. Stało się to szczególnie po przeczytaniu obszernego artykułu jednego z włościan, o ile sobie przypominam Średniawskiego, który w nim bardzo umiejętnie i

przekonywująco przedstawił dwa światy, jeden krzywdzonych, a drugi krzywdzicieli. Wtenczas u mnie może większą rolę odegrało uposiedzenie i krzywda, osobiście pojmwana, aniżeli ogólna niedola stanu włościańskiego. Czytanie, przeplatane opowiadaniem chłopów o gwałtach i nadużyciach, jakich się miejscowa szlachta, ekonomowie i różni służalcy na chłopach dopuszczali, przypominało te okropne czasy i mimo woli nawet utrzymywało je w pamięci, budząc uczucie żalu, goryczy i wzniecając pragnienie zemsty. Oczy i myśli musiały się też zwracać na to, co najwięcej interesowało, przypominając przeszłość, a więc na las, dwór i ich właścicieli. W pismo zupełnie uwierzyłem, bo ono wyjmowało spod serca dążenia tam drżące, odgadywało myśl, rozumiało ból i krzywdę, dawało też choćby małą, odległą nadzieję poprawy. W miarę czytania pogłębiała się wiara, rozszerzały się horyzonty, a pismo stawało się pokarmem, bez którego żyć było niepodobieństwem. Było ono też dla mnie wyrocznią i ewangelią w każdej sprawie.

Pierwsza korespondencja

Przywiązany do niego ciałem i duszą nie mogłem też pozostać głuchy na apel redakcji, która zwracała się do czytelników z prośbą o przysyłanie artykułów i korespondencji ze swoich okolic, choćby bardzo krótkich, obiecując że wszystko przyjmie i umieści, zachowując ścisłą tajemnicę co do osoby autora.

Zacząłem pisać. Za dwa wieczory pracy (w r. 1893) udało mi się skleić korespondencję na czterech dużych kartkach papieru. Nie miałem jednak odwagi położyć pod nią swojego podpisu, gdyż nie chciałem, ażeby ktokolwiek mógł wiedzieć, że ona ode mnie pochodzi. Po dwóch tygodniach rozmyślenia wysłałem ją do redakcji z podpisem „Maciej Rydz” z Wierchosławic, po czym znowu przez całe dwa tygodnie oczekiwałem z niecierpliwością, ale też ze strachem na umieszczenie jej w gazecie.

Gdy nadeszła, zrobił się we wsi zrozumiały rumor. Najwięcej jej treścią poczuł się dotknięty nadleśniczy Sanguszków i to słusznie, gdyż w znacznej części zajęła się ona jego gospodarką i postępowaniem w lesie. Szukając winowajcy, wezwał też zaraz do siebie 70-letniego chłopą Bartnika, którego we wsi akuratnie przezywano „Rydzem”. Chłop przerażony poszedł, nie wiedząc co złego popełnił. Okazało się rychło, że nadleśniczy źle trafił: Rydz za żadne skarby świata nie umiałby postawić ani jednej litery, a nie dopiero pisać artykuły. Sprawa więc przyszła zupełnie, bo ośmieszony nadleśniczy przestał się nią zajmować.

Przyjaciel Ludu chodził z tym artykułem po całych Wierzchosławicach od domu do domu, dopóki z niego trzymały się strzępy. O zakaz nikt się nie pytał. Dalsze artykuły poszły już mi znacznie gładziej, aż z czasem stałem się jednym z najpilniejszych korespondentów. Droga przede mną zaczęła się stawać coraz więcej wyraźną.

Dużą pomocą w mojej robocie był nieco młodszy ode mnie Franciszek Czeczot z Bogumiłowic, bardzo rozumny, inteligentny, a przy tym zamożny chłopak. Zaczął on sobie zdobywać wielki wpływ w okolicy, zmarł jednak w bardzo młodym wieku. On jeden nie dał się też ugiąć ani na chwilę. Znany działacz ludowy i lekarz, dr Szymon Bernadzikowski z Brzeska, opowiadał mi z wielkim żalem, że przez całą swoją długą praktykę lekarską nie zdarzyło mu się spotkać człowieka między ludem z tak wybitną wrodzoną inteligencją jak Czeczot.

Z innymi czytelnikami w parafii poszło znacznie gorzej. Bo kiedy w następnym roku proboszcz wyznaczył dla nas, jedenastu prenumeratorów, osobny termin dla odbycia spowiedzi, zapowiadając go publicznie z ambony i wygłaszając przy tym długie przemówienie, co spowodowało wielu ciekawych do kościoła, wszyscy dziesięciu wyrzekli się czytania, ażeby tylko otrzymać rozgrzeszenie. Pozostałem więc znowu sam. Po rozmówieniu się z wikarym, ks. Prokopkiem, który mi tłumaczył, że nie może inaczej zrobić, odprawiono mnie z kwitkiem od konfesjonału.

Swoim towarzyszom miałem za złe nie tylko to tchórzostwo, ale także i nieszczerłość, gdyż ani jeden z nich przyrzeczenia, danego księdzu spowiednikowi nie dotrzymał, ale wszyscy prosto z kościoła poszli na pocztę, by odebrać gazety i czytali dalej.

W gminie

Przy najbliższych wyborach do rady gminnej w r. 1893 wybrano ojca do niej jako radnego z trzeciego koła wyborczego, zaś w następnym roku przy wyborach do Rady Państwa został wybrany wyborcą, gdy ks. Franczak upadł, otrzymawszy tylko nieznaczoną ilość głosów. Oczywiście, że ojciec głosował na kandydata Stronnictwa Ludowego, Jakuba Bojkę.

Chociaż bardzo daleko było mi jeszcze do pełnoletności, a nie miałem też prawa głosowania, nie opłacając żadnego podatku, zacząłem zajmować się więcej gminą, urabiając opinię przeciw praktykom rządzących nią i coraz więcej miałem po swojej stronie ludzi. Odważniejsi występowali zupełnie jawnie, lękliwi popierali mnie po cichu.

Było mi też niezwykle przykro, że przy tej sposobności zmuszony byłem niejednokrotnie występować przeciw Janowi Głowackiemu, któremu tak wiele miałem do zawdzięczenia. Nie mogło jednak być inaczej, gdyż Głowacki nie tylko że wciąż był filarem, na którym opierał się system gospodarki gminnej, ale właściwie on do niej zmuszał każdorazowego wójta, mając nad nim przewagę moralną i fizyczną i zapewniając mu zupełną bezkarność. Zakupienie zaś przez niego za bezcen kawałka lasu, jaki gmina posiadała, musiało przepelnić czarę.

Do niezadowolonych przyłączali się już i starsi gospodarze, nie mogąc dalej tych rządów znosić. Mimo że nasza robota postępowała widocznie, dotychczasowi władcy, niepodzielnie gminą rządzący, patrzyli na nas z lekceważeniem, traktowali kpinaми pewni, że mając za sobą wpływy proboszcza, dwór, pieniądze, dadzą sobie z nami radę bez żadnego trudu. Wiedząc, że są oni gotowi na wszystko, starałem się jak najlepiej wieś przygotować, na wszelki wypadek. Ustawę gminną znałem zupełnie na pamięć, ordynację wyborczą na wylot. Dla ośmielenia i przygotowania równocześnie ludzi, urządzałem nocami zebrania po wszystkich przysiółkach. Nigdy się nie spóźniłem o minutę, ani też zebranych w niczym nie zawiodłem, czym zyskałem sobie takie zaufanie, że w każde moje słowo wierzone bez zastrzeżeń. Przeciw sobie stanęły dwa wyraźne obozy w gminie, tych co zarządzili i drugich, co ich chcieli od tych rządów usunąć. W pracy tej musiała jednak nastąpić przerwa, gdyż w r. 1895 powołano mnie do służby wojskowej.

Przy wojsku

Początkowo zostałem przydzielony do 11 kompanii 57 pułku piechoty, stacjonowanego w barakach na tzw. Pogwizdowie w Tarnowie, a następnie przeniesiony do II pułku artylerii w Krakowie. Wśród ciężkich warunków pierwszych tygodni wojskowego życia z pewną pomocą przychodził mi Wawrzyniec Boryczka z Bogumiłowic, który będąc kapralem przy ulanach wpadał do mnie czasem nie tylko w odwiedziny, ale dla stwierdzenia przed żołnierzami i podoficerami, że mu na mnie szczególnie zależy. Trochę się to przydało, gdyż do celujących pilnością i zdolnością wcale tam nie należałem, a przy trafianiu do celu strzelałem przeważnie „Panu Bogu w okna”. W Krakowie przydzielono mnie do oddziału, który stał w bastionie trzecim, przy ulicy Długiej. Składał się on z przedstawicieli prawie wszystkich narodowości, państwo austriackie zamieszkujących. Najwięcej

jednak było Niemców, Czechów i Rusinów. Polaków szczególnie na początku spotykałem bardzo niewielu. Wyglądali oni na bojaźliwych i zahukanych, niechętnie nawet rozmawiali, chodząc po kazamatach jak cienie.

Rygor i dyscyplina były bardzo ostre, kary na przestępców sypały się codziennie. Dotykały one najczęściej Węgrów, którzy się zachowywali dość zuchwale i Rusinów, nie mogących sobie ze służbą i nauką dać rady. Sto pociech mieli wszyscy z Rusinem Tymkiem Kostiukiem, pochodzącym gdzieś od Stanisławowa, który mimo drugiego roku służby nie wiedział prawie nigdy, jaki jest numer jego pułku, zapominał jak się nazywa kapitan, a wszystkie obroty zawsze robił w przeciwną stronę jak inni. Natomiast chleb jadł za dwóch i jeszcze się upominał o podwójne mięso, choć mu go wcale nie skąpiono. Po obiedzie był zawsze w bardzo dobrym humorze, śpiewał i tańczył i to tak zgrabnie, że tego nikt nie potrafił w całej baterii. Zawsze jednak z tymi popisami chronił się przed wzrokiem oficerów i podoficerów. Koledzy mu stale wymyślali od „dziadów i ufermów”, ale z chęcią patrzyli na jego błaznowanie.

Oficerowie zaś byli przeważnie Niemcy i Czesi. Służby pilnowali nawet bardzo ostro, ale zachowywali się dosyć możliwie.

Kazamaty stanowiące nasze mieszkanie, wykopane w ziemi i ziemią też nakryte, były ciemne i wilgotne. Chodziliśmy po mokrej posadzce, a z góry znowu prawie zawsze grubymi kroplami kapłała woda na głowę. Praca była niezwykle ciężka, choć na odpoczynek dawano czasu dość dużo. To żołnierskie, międzynarodowe towarzystwo mimo różnic głębokich było ze sobą zżyte i niezwykle solidarne. Poza służbą żołnierze porozumiewali się mową swoją własną, będącą mieszaniną wszystkich języków. W służbie obowiązywał język wyłącznie niemiecki.

Służby nienawidziłem w sposób niesłychany, czując jakiś dziwny wstręt tak do niej, jak i do Niemców. Ta odraza do wszystkiego, co mnie otaczało, robiła każdy dzień niesłychanie długim, niemal wiekiem, każdy zupełnie naturalny rozkaz przykrym i ciężkim, każde zarządzenie krzywdzącym. Błąkałem się też po lochach i walach na pół przytomny, starając się nie pokazywać tego po sobie. Czasem wyrwałem się do miasta na parę chwil w towarzystwie Adama Żurowskiego, pochodzącego ze wsi Skrzyszowa pod Tarnowem, pełniącego służbę razem ze mną.

Kiedy raz chodząc samotnie po kazamatach, usłyszałem głośny śpiew: „Góralu, czy ci nie żal”, myślałem, że upadnę na ziemię. Kiedy postąpiłem parę kroków naprzód, spotkałem jednorocznika z nazwiskiem Król, który szedł w moją stronę i śpiewał sobie dalej z większą jeszcze mocą i przejęciem. Nie wy-

trzymałem. Mimo pewnej obawy zbliżyłem się do niego i zapytałem nieśmiało: „To pan Polak?”. Odpowiedział mi bardzo grzecznie, wyrażając zdziwienie z powodu podobnego pytania. Z krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że jest akademikiem, pochodzi z powiatu nowotarskiego, że Austrii i Niemców nienawidzi, a służbę wojskową spełnia tylko z musu i z obrzydzeniem. Odszedłem na widok zbliżającego się jakiegoś oficera. Od tego czasu stykałem się z nim bardzo często w miejscu umówionym poza koszarami, ażeby porozmawiać o sprawach wybiegających bardzo daleko poza wojsko i kazamaty. Z rozmów tych mogłem wywnioskować, że należał on do jakiegoś towarzystwa młodzieży patriotycznej, był góralem z krwi i kości i zawsze do gór tęsknił. Po paru miesiącach ukończył służbę i odszedł. Więcej go nie widziałem, ani też o nim nie słyszałem, mimo starań jakie robiłem. Odchodząc zostawił mi parę książek, które przeczytałem co najmniej z dziesięć razy. Już w roku 1932 mówił mi jeden z moich znajomych w Zakopanem, że Król umarł w młodym wieku z powodu jakiegoś wypadku.

Poza różnymi, wcale nieciekawymi zdarzeniami, długo nie zapominałem głębokiego wrażenia, jakie na mnie wywarło jedno z nich na pozór drobne i zupełnie naturalne. Było to w miesiącu sierpniu. Stałem na warcie, chodząc z karabinem na ramieniu po wałach fortu Krzesławickiego prawie od czterech godzin, gdyż zapomniano mnie zluźować. Dzwoniłem też zębami od zimna, nie mając płaszcza, który z wieczora był całkiem niepotrzebny. Zaczęło lekko świtać, fury od Królewca ciągnęły długim rzędem do Krakowa, turkocąc po kamieniach. Gdzieś z oddali dochodził słaby nabożny śpiew. Słuchałem pilnie, starając się uchwycić nutę i kierunek. Śpiew się zbliża i potężnieje. Rosa niesie melodie, a niekiedy dolatują do mnie także i słowa. Wiem już, że to godzinki, a domyślam się, że śpiewa je kompania, idąca na Kalwarię na odpust. Głos staje się coraz silniejszy i bliższy tak, że mogę uchwycić każde słowo tej pięknej modlitwy, którą zresztą umiałem doskonale na pamięć.

Nie omyliłem się wcale, kompania idąca była coraz bliżej, a wnet stanęła naprzeciw wałów fortu. Małeńka przerwa, śpiew się łamie, wszyscy uczestnicy padają na kolana i jakby na komendę głosem mocnym kończą godzinki ofiarowaniem. Te słowa, dobrze mi znane, wywołują takie dziwne i miłe uczucie, że byłbym chętnie dwie noce czekał, ażeby je ponownie usłyszeć.

Kompania skończywszy modlitwę, rozłożyła się na odpoczynek. Ponieważ mnie zwolniono nareszcie ze służby, poszedłem do niej. Było około czterdziestu ludzi starszych i młodszych, przeważnie mężczyźni. Rozgadałem się z nimi. Pochodzili od

Korczyna w powiecie Pińczowskim. Straż rosyjska puściła ich bez przeszkód, biorąc na granicy po jednym rublu od osoby. Z powrotem muszą się także opłacić. Każdego roku to zresztą robią. Bieda jest, ale na taką rzecz pieniądze muszą się znaleźć. Mówili niewiele i niechętnie, widocznie nie dowierzali mojemu mundurowi. Obiecali, że za osiem dni wrócą tą samą drogą, nie dotrzyмали jednak słowa, a może to ja prześlepiłem.

Karczmarz z Bieńczy

Gdy mnie przeniesiono z oddziału do fortu we wsi Krzesławice, dowiedziałem się od chłopów, przyjeżdżających z kartoflami do koszar, że w sąsiedniej wsi Bieńczycach mieszka gospodarz i szynkarz Franciszek Ptak, który się trudni polityką i otrzymuje gazety ludowe. Wybrałem się też zaraz w najbliższą niedzielę, ażeby go poznać i gazetkę przeczytać. Wziłem ze sobą Adama Żurowskiego, ażeby nam było śmielej. Już po drodze dowiedzieliśmy się od sąsiada Ptaka, który szedł do wsi, że Ptak jest wielkim bogaczem, ale też nie mniejszym spekulantem i żdziercą, że zarabia na panach i księżach grube pieniądze, za które kupuje majątki i pożyczka na lichwę, że chłopci i robotnicy przepijają u niego ostatnie grosze itp. rzeczy.

Powiedział też, że Ptak prócz karczmy, w której szynkuje, posiada wielki murowany dom, młyn parowy, kilkadziesiąt morgów gruntu, a mimo to jeszcze dzierżawi wszystkie myta w powiecie, zabiera dostawy wojskowe i powiatowe, nie dając nikomu lżej zarobić ani grosza. Gadatliwy i zazdrosny widać chłopina opowiedział nam także, że obecny bogacz Ptak, aczkolwiek z dziadowskiej pochodzi rodziny, gorszy jest od niejednego hrabiego. Chłopów nie ma za nic, z panami się tylko wdaje, do Wiednia i do Lwowa na wystawy jeździ, swoje córki po świecie obwozi i wielkim panom je przedstawia. W końcu wyraził nadzieję, że ta Sodoma się skończy, a kara Boża pewnie go nie minie. Aczkolwiek te wiadomości trochę mnie zniechęciły i uprzedziły, postanowiłem mimo to już iść do karczmy, tym więcej, że byliśmy od niej o jakie pięćdziesiąt kroków tylko.

Wszedłszy do bardzo dużej gospody, zastaliśmy tam tłum robotników, popijających wódkę i piwo, palących fajki i papierosy, rozmawiających z sobą bardzo głośno. Przy osobnym stoliku siedział Ptak z kilkoma starszymi gospodarzami. Umieściliśmy się w kącie, zabierając się do czytania *Przyjaciela Ludu*, który akurat leżał na stole przed nami, dobrze pomięty i poplamiony.

W pewnym momencie Ptak się podniósł i przeszedł do innego stołu. Przypatrzyłem mu się bliżej. Był to mężczyzna wysoki, prosty, ładny, dobrej tuszy i postawy, doskonały model dla rzeźbiarza, czy nawet poety. Z twarzy biła mu zarówno duma, zadowolenie, pewność siebie, jak i lekceważenie dla otoczenia. Daremnie się dobijałem o rozmowę z nim, kelnera interweniującego odrzucił, a na mnie ani nie spojrzał. Przypomniałem sobie paplaninę jego sąsiada i nie mogłem mu odmówić słuszności.

Choć z karczmy Ptaka wyszedłem trochę rozżalony, nie omieszkalem chodzić tam każdej niedzieli po południu, ażeby sobie gazetkę przeczytać i małą szklankę piwa wypić, asekurując się tym sposobem od wyrzucenia za drzwi. Do Ptaka już się nie próbowałem dobijać, on też nigdy się do mnie nie zwrócił, zawsze mając pilniejsze zajęcia.

Dopiero rok 1908 przypomniał mi jego nazwisko. Ptak znalazł się na liście kandydatów do Sejmu, przez Stapińskiego stawianych i został wybrany posłem z powiatu krakowskiego. Gdyśmy się spotkali we Lwowie jako wybrani posłowie z tego samego stronnictwa, nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć sceny w Bieńczycach, choć rozporządzał wyborną pamięcią, twierdząc, że tych żołdaków tylu do niego łążyło, iż przestał na nich już zwracać uwagę. No, ale ja wówczas byłem wiceprezesem klubu, a on zwyczajnym członkiem. Role więc trochę między nami zostały zmienione.

Franciszek Ptak należał do ludzi, których szczęście nie chce i nie może opuścić. Sam jego wzrost, uroda, postawa były wprost nieocenionym darem Bożym, którego on też wcale nie marnował. Nie znałem jego pochodzenia, ani się też nigdy nie starałem o nie dowiedzieć. Rodowici zaś kmiecie krakowscy, którzy go znali bliżej uważali, że im nie dorósł pod tym względem do pięt i nieraz złośliwie opowiadali, że to Wyspiański jego miał na myśli, kiedy pisał o ptakach, orłach i g... Może to jednak robili z zawiści, nie mogąc znieść panoszącego się dorobkiewicza. On zaś, zdobywszy majątek, rzucił się do polityki z rozmachem i właściwym mu tupetem, choć nie dużo posiadał do tego odpowiedniego talentu. W przeciągu lat niewielu przeszedł też niemal wszystkie partie i starał się być ich gorliwym wyznawcą. Nie chcąc nigdy płynąć przeciw wodzie, zabłąkał się nawet do socjalistów, motywując zmianę poglądów tym, że „teraz cały świat idzie na lewo”.

Mimo wszystko, co zaszło, widać nie stracił do mnie sentymentu, bo gdy w r. 1932 jechałem do Pleszowa na zgromadzenie przez jego wieś, nie tylko wraz z innymi przygotował wspianiał

banderę, ale witając mnie bardzo serdecznie imieniem chłopów krakowskich, nie omieszczał wspomnieć, że czyni to na miejscu, gdzie odpoczywał Kościuszko, kiedy szedł pod Racławice, i wyraził pewność, że mi będzie dane dokończenie dzieła, rozpoczętego przez Kościuszkę i zapewnienia wolności nie tylko Polsce ale i chłopom, którzy jej dotąd nie posiadają. Widziałem, że mówił szczerze i mocno, gdyż policjant zaniepokojony notował całe jego przemówienie.

Po wojsku

Służbę wojskową skończyłem jako zwykły kanonier, nie zdobywszy żadnego awansu. Po powrocie z wojska ożeniłem się i osiadłem na kilku morgach gruntu, stanowiących własność żony. Za pieniądze, otrzymane od ojca, dokupiłem parę morgów ziemi niedaleko od domu. Z początku wiodło mi się nie najlepiej, sypały się bowiem na rodzinę różne klęski i choroby. Sam będąc zdrow, harowałem w dzień i w nocy, nie gardząc uczciwą pracą i zarobkiem. Dokupywałem też po trosze gruntu i wnet znalazłem się w rzędzie większych gospodarzy we wsi. Bardzo wiele pomogli mi dwaj starsi i dalsi sąsiedzi: Wincenty Skura i Michał Buchacz, którzy mi pożyczili znaczną sumę, czekali kilka lat i nie wzięli ani grosza procentu. Gospodarstwo, prowadzone starannie szczególnie przez żonę, dawało mi spore dochody a podnosiło i moją powagę w gminie. Mając silniejszą podstawę, robotę prowadziłem coraz intensywniej.

Żona okazała się kobietą nie tylko bardzo rozsądną i pracowitą, ale przy tym ogromnie roztargniętą i znającą się bardzo dobrze na wielu rzeczach. Umiała wziąć do ręki pług, kosę, siekierę, cepy, zasiała w razie potrzeby sama zboże, zaprzęgała konie. Postarała się zawsze na czas o narzędzia rolnicze, płoty, urządzenia domowe, ubranie, bieliznę. Gospodarstwo trzymała w rękę tak, że nic nie uszło jej uwagi i oka. Sprzedawała i kupiła wszystko, co było potrzeba, poczynawszy od igły i guzika, a skończywszy na krowie i koniu. Ja też tymi sprawami prawie nigdy się nie zajmowałem. Umiała też dobrze uszyć, uprać, ugotować, wzorowy porządek utrzymać w domu. Wiedziała o wszystkim, gdzie co jest i gdzie być powinno.

Na sprawach politycznych wiele się nie znała, choć się nimi gorliwie zajmowała. Nigdy też mi nie robiła żadnych trudności ani przeszkód, mimo że one później zabierały mi wiele czasu i pieniędzy, a jej przysparzały niemało pracy i kłopotów. Sama

też wzięła na siebie wychowanie córki-jedynaczki i wywiązała się z tego zadania zupełnie dobrze.

Z robót polnych starałem się zawsze sam wykonać orkę, nie dopuszczając do niej nikogo, gdyż wiedziałem, że nawet najlepsi gospodarze orali niedbale. Tej ulubionej roboty nie opuściłem nawet w czasach mojego premierostwa. Sam też własnoręcznie prawie zawsze zasiewów dokonywałem.

Mimo zniszczonego zdrowia, podeszłego wieku i niezliczonych trudności, gospodarstwo prowadzi żona do tej pory, choć ma obawę, że je „może Piłsudski zabrać każdej chwili”, ciężą bowiem na nim koszta procesu brzeskiego w kwocie kilku tysięcy złotych.

Gdy w r. 1900 przyszły wybory do rady gminnej, wprowadziłem do niej niemal połowę swoich zwolenników. Po tej walce został wójtem Jan Stawarz, zięć Głowackiego, człowiek dobry, lecz słaby i ulegający łatwo dawnym praktykom. Mnie wybrano asesorem. Mając za sobą znaczną część rady gminnej, przez całą kadencję prowadziłem systematyczną walkę nie tyle z wójtem, ile z jego otoczeniem, które się dawnych praktyk i dochodów z nimi połączonych nie chciało w żaden sposób pozbyć. Zagrożeni, nie cofali się przed gwałtami, bójkami i awanturami, ażeby tylko „połamać podleskich dziadów i smarkaczy nauczyć rozumu”. Jan Głowacki, już stary i zniedołężniały, patrząc na to starał się działać łagodząco, ale zupełnie bez skutku.

Następne wybory gminne, przeprowadzone w r. 1908, dały mi całą radę gminną w ręce i jednomyślny wybór na wójta. Urząd ten sprawowałem bez przerwy od 12 kwietnia 1908 roku, aż do dnia 28 lipca 1931 sam, lub przez zastępcę. W tym czasie nie tylko żem uporządkował gospodarkę gminną, usunął wszelkie łapówki i nadużycia, porobił drogi, odwodnił całą wieś, dokupił gruntu dla gminy w najlepszym miejscu, pozakładał różne instytucje, ale chroniłem ją, narażając się nieraz na niebezpieczeństwo i płacąc za nią swoimi pieniędzmi, byle ona nie cierpiała. Trwało to długo i trwałoby dalej, gdyby nie nowa polityka, jaka nastała w Polsce.

Do powiatu przysłano umyślnie starostę, pozbawionego wszelkich skrupułów. Był nim dr Skwarczyński, zawzięciejący mnie całą swoją karierę urzędniczą. Rozwiązał on radę gminną bez żadnego powodu, ażeby się mnie jako wójta tym sposobem pozbyć. Zresztą naprzód wiedziałem o tym, ponieważ się starosta-„dżentelman” wcale ze swoimi zamiarami nie tał. Była to wyrażna, dawno obmyślana zemsta polityczna, gdyż gospodarkę gminną w Wierchosławicach ta sama władza stawiała za wzór innym, a więc do rozwiązania nie było żadnego powodu.

Co mówią ludzie?

Od roku 1908 upłynęło wiele czasu i wody. Można więc było zrobić dużo złego, ale i też dobrego. Gmina Wierzchosławice jak i inne była świadkiem wielu mniejszych i większych wydarzeń. Miała ciężkie i smutne, miała też wielkie i podniosłe chwile. Przeszła dużo, ale uniknęła może jeszcze więcej, a uniknęła dzięki moim zabiegom. A gdyby się dziś zapytać przeciętnego obywatela tej wsi, co mu dobrego Witos zrobił, przekonany jestem, że bez namysłu odpowiedziałby: „A nic”.

I nie może nawet być inaczej. Ten przeciętny bowiem obywatel nie uważa za swoje dróg, które zostały w całej gminie rozszerzone i pobudowane. On zapomniał, jak tonął w błocie i łamał wozy po wybojach, ale pamięta że mu „Witos zabrał grunt na rozszerzenie drogi, choć można było wziąć komu innemu”; nie uważa też za swój Domu Ludowego, który skupia całe życie gminy, a nawet i okolicznych. Natomiast nie może zapomnieć, że mu odmówiłem podpisu pod świadectwo, za które się chodzi prosto do kryminału.

Nie zachwyca się wcale robotami melioracyjnymi, wykonanymi w całej gminie kosztem kilkudziesięciu tysięcy z funduszów państwowych, nie chce wiedzieć, że one z bagien uczyniły urodzajne grunta i dały zarobek, natomiast nie może przeboleć, że mu grunt pod rów wzięto bez zapłaty i nie zrobiono mostu każdemu dla siebie. Za zdobycz nie uważa straży pożarnej, ani kółka rolniczego, ale nieraz odnosi się do niego z zawiścią, ponieważ kiedyś tam jego dziad czy ojciec włożył parę groszy, a teraz „rządzą nim wybrani”.

Nie może też nigdy podarować, że w kasie Reiffeisena, założonej i prowadzonej przeze mnie bez grosza zapłaty, zdevalutowały mu się oszczędności, jak zresztą wszędzie, będąc święcie przekonany, że „jak by Witos był chciał, to by do tego nie doszło”. Zapomniawszy też i to bardzo rychło, że w czasie wojny za moim staraniem i przez moje ręce płynęły do gminy obfite zasiłki i subwencje, że dobytek bardzo wielu uchroniłem od rekwizycji i zniszczenia. Że przeprowadziłem odbudowę całej wsi, przez wojnę zniszczonej, chodząc po różnych biurach i urzędach, pamięta natomiast tak we dnie jak w nocy, że nie tylko nie dałem mu dworskich gruntów i lasów, nie przywróciłem zabranych łąk i serwitutów, ale wstrzymałem od awantur i wybryków, równie niemądrych jak i szkodliwych.

Rzecz oczywista, że to wszystko dotyczy tych, do których ciasnych umysłów nic rozsądnego dostać się nie może, a którymi z wielką pieczołowitością opiekuje się obecny system polityczny,

umacniając w nich to przekonanie. Olbrzymia większość pracę moją nareszcie zrozumiała i oceniła, a dowód miałem chociażby w czasie mojego pobytu w Brześciu, gdy, mimo niesłychanej agitacji i terroru, głosowała gromadnie na naszą listę, zamawiała nabożeństwa na intencję mojego powrotu, a mimo przeszkód ze strony policji, przygotowała mi niezwykle gorące i szumne przyjęcie, którego zresztą uniknąłem.

Moja taktyka

Jeżeli mogłem w gminie takiej przeprowadzić to, co chciałem, a przeprowadziłem jednak bardzo wiele, to dzięki nie tylko powadze i popularności jaką miałem, ale także i odpowiedniej taktyce przeze mnie stosowanej, która zmuszała najbardziej nawet niechętnych do ustępstw i pracy publicznej.

Gdy na przykład chciałem rozszerzyć drogę idącą przez przysiółek Dwudniaki, zaoraną i zagrodzoną do ostateczności, zwołałem wszystkich mieszkańców, żądając ich uchwały co do ustąpienia potrzebnego gruntu i dania bezpłatnej robocizny. Zgodzili się wszyscy bez żadnego oporu.

Nie tracąc czasu, wysłałem nazajutrz zaraz rano dróżnika i asesora, ażeby wyznaczili granicę rozszerzyć się mającej drogi. Chłopi żałośnie patrzyli jak im chodzili po ogródkach i polach, zabijając graniczne paliki, ale jeszcze nie mówili nic. Dopiero kiedy przyszedli robotnicy, zaczął się lament i chodzenie do mnie ze skargami, że im się krzywda dzieje. Uspakajałem ich jak mogłem, obiecując że nikomu krzywdy zrobić nie pozwolę.

Nie wiedziałem z początku, że oni wszyscy idąc ze skargami do mnie chcieli się przekonać, czy ja też już grunt odstąpiłem. Wyszedłem na wieś zdążając do jednego z opornych, starszego i bardzo rozsądnego gospodarza. „No cóż, Wawrzyńcze, będziemy drogę robić?” — zagadnąłem go. „A niech wam też wójcie pan Jezus da zdrowie, bo już nie można ani bydłęcia przegnać, ani kupki gnoju wywieźć, ani snopka do stodoły sprowadzić” — odpowiedział mi zagadniony. „No, ale musicie metr waszego ogródka odstąpić, bo inaczej drogi nie będzie, a asesor mi doniósł, że wy się upieracie, czy to prawda?” — zapytałem.

„Ja się tam nie upieram, bom się zgodził i wiem że droga potrzebna, ale przecież mogliście wziąć więcej gruntu mojemu sąsiadowi, po tamtej stronie, a nie mnie psuć ogródka, bo żona ma w nim kwiaty i strasznie lamentuje. Ja rano zacząłem już płot odgradzać, a ona wsiała na mnie z gębą, że się tak palę, gdy u was, co macie dać pola najwięcej, jeszcze nic nie ruszone”.

Zrozumiałem w lot, o co chodziło. Za chwilę wszyscy robotnicy byli już na moim gruncie. Zasypali studnię z bardzo dobrą wodą, wykopali dwie śliczne lipy, ścięli zboże, wyrzucili płot i rozpoczęli rozszerzanie drogi od mojego gruntu. Jak ludzie ujrzeni, jakie spustoszenie robi się u wójta, rzucili się hurmą i za parę dni droga była gotowa.

Kiedy rozpocząłem budowę Domu Ludowego, najpierw wysłałem swojego parobka i konie, za nim ruszyli się pilniejsi, a w końcu jechali i szli najbardziej leniwi i niechętni, bojąc się „żeby ich palcami nie pokazywać i żeby sobie wójt tego nie zapamiętał”.

Obecnie w miejsce rady gminnej wprowadzono komisarza. Został nim osobnik, który przeszedł wszystkie partie polityczne, jakie były w kraju i zatrzymał się nareszcie na B.B., wiedząc że tam można jeszcze coś zarobić. Starostwo poleciło usunąć mój wpływ na Dom Ludowy, wyrzucić z niego kółko rolnicze, koło młodzieży, ażeby zatrzeć wszelkie ślady mej pracy a nawet po-bytu.

W Radzie powiatowej

Ludność wiejska, która w ogóle nie lubiła żadnych urzędów, uważała radę powiatową za bardziej sympatyczną instytucję od starostwa, mniej miała przed nią strachu, a nieco więcej do niej zaufania. Powód w pewnej mierze leżał w tym, że członkowie tej rady, jak i prezydium byli wybieralni, a co więcej jeszcze, że nie nosili mundurów i nie świecili guzikami. Wyjeżdżali też częściej na wieś, stykając się z ludnością, przy czym mniej pokazywali sztywności w urzędowaniu, niż przedstawiciele innych urzędów. Chłopi mieli jednak do rady powiatowej stały i nigdy nieukojonny żal za to, że ochraniała wójtów i że choćby najśluszniesze skargi przez nich wnoszone nie odnosiły prawie nigdy żadnego skutku.

Nie mogli jej także zapomnieć, że budując drogi, zabierała im grunta i często nie chciała za nie należycie płacić. Co gorsza, nakazywała robić na rowach mostki, nie pozwalała przez nie przejeżdżać, a nawet na nich bydła pasać. Tego szczególnie „polskiemu bezirkowi” nie mogli już darować nigdy. U mnie chłop z Brzozowej, niejaki Sowa, był piechotą kilkanaście razy, przechodząc tam i z powrotem co najmniej po 40 kilometrów drogi, ze skargą, że mu na drogę zabrano dwa metry kwadratowe ziemi i ani grosza nie wypłacono.

Rady powiatowe istniały w dawnej Galicji na podstawie ustawy krajowej z 12 sierpnia 1866 r. Uprawnienia ich określała

ta ustawa w następujący sposób: „Do zakresu działania Rady powiatowej należą wszystkie sprawy wewnętrzne, odnoszące się do wspólnych interesów powiatu i jego przynależnych”. Lako-
niczne to określenie uprawnień w ustawie sprowadzało się do
budowy i utrzymywania nielicznych dróg, nadzorowania gospo-
darki gmin, załatwiania rekursów budowlanych, licencjonowania
buhai itp. rzeczy.

Jakkolwiek instytucje te nie miały żadnych uprawnień na-
tury politycznej, to jednak w okresie rządów stańczykowskich
ogromna ich większość stała się ostoją stronnictwa rządzącego,
a urzędnicy gorliwymi i niezbędnymi agitatorami politycznymi.

Tarnowska rada powiatowa należała też do takich. Przez
długie lata chłopci nie mieli tam żadnego wpływu, ani znaczenia.
Mimo że na 36 członków rady powiatowej posiadali początkowo
stosownie do wysokości płaconych podatków prawo wyboru w
kurii wiejskiej 12 członków, nie korzystali jednak z niego prawie
zupełnie. Wybierali zawsze kandydatów, podyktowanych przez
sekretarza lub kasjera rady powiatowej, zgodnie z wolą księcia
Eustachego Sanguszki, hrabiego Męcińskiego lub też innego ma-
tadora konserwatywnego. Jeżeli się zaś przypadkiem dostał tam
jakiś chłop, to zwykle kiwał głową na wszystko, nie mając odwa-
gi nawet ust otworzyć.

Po raz pierwszy może chłopci się trochę zbuntowali w
r. 1899, bo aczkolwiek księcia Sanguszkę wybrali członkiem
rady powiatowej z kurii gmin wiejskich, to zaledwie około 100
głosami, gdy inni kandydaci chłopci dostali znacznie większą ilość
głosów od niego. Może to zresztą było niedopatrzanie lub zwy-
czajny przypadek.

Książę Eustachy Sanguszko, wielki pan, choć w gruncie nie-
zły człowiek, będąc marszałkiem powiatu, bardzo mało tym urzę-
dem się zajmował; zarządzili więc za niego, a nawet nim, urzę-
dnicy wydziału powiatowego, stare wygi, siedzące tam od daw-
nych czasów.

Przy wyborach w 1905 roku postawiliśmy swoją listę o
wyraźnym zabarwieniu politycznym. Przeszła ona w całości, a ja
zostałem również wybrany, mimo silnej agitacji specjalnie prze-
ciw mnie prowadzonej. Rada ta zrobiła po raz pierwszy wyłom
w dawnych zwyczajach, wybierając marszałkiem powiatu Wło-
dzimierza Wolfa Krzeczunowicza, właściciela obszaru dworskiego
Janowice. Pochodził on z Galicji Wschodniej i miał opinię de-
mokraty, a przy tym dobrego i oszczędnego gospodarza. Był też
nim naprawdę.

Jako przedstawiciele kurii włościańskiej, utworzyliśmy w ra-
dzie osobne koło, działające zupełnie solidarnie, pod moim kie-

rownictwem. Dzięki temu potrafiliśmy uzyskać znaczny wpływ w wydziale powiatowym, jak i w różnych komisjach przez radę tworzonych. W roku 1906 na mój wniosek po ciężkiej walce zdołaliśmy przeforsować zniesienie wszystkich myt w powiecie. Bez wielkiego natomiast trudu udało nam się uzyskać stałą, bardzo poważną subwencję dla szkoły gospodyń wiejskich w Szynwałdzie, prowadzonej przez ks. Siemieńskiego. W roku 1910 także na mój wniosek wyasygnowano 1000 koron na obchód gminności ludności wiejskiej i miejskiej. Przemawiałem na nim imieniem włościanstwa i to akurat z balkonu domu, należącego do kanoników kapituły tarnowskiej, co, przedwcześnie, uważano za dobry omen w stosunkach politycznych. Pomyłono się jednak.

W roku 1910 umarł marszałek Krzeczunowicz. Na jego miejsce został wybrany marszałkiem powiatu ks. dr Michał Żyguliński, wówczas już poseł do parlamentu austriackiego. Jako człowiek energiczny i przedsiębiorczy, przygotował on ogromne plany w dziedzinie budowy dróg powiatowych i gminnych, jak również gospodarczego i kulturalnego podniesienia wsi. Nie zdołał ich jednak wprowadzić w życie nie tylko z powodu wielkiej niechęci radców, pochodzących z Tarnowa, lecz z powodu choroby trawiącej jego żelazny organizm, a następnie dość niespodziewanej i wczesnej śmierci.

Przy ponownych wyborach do rady powiatowej w roku 1912 przeprowadziłem z kurii gmin wiejskich wszystkich swoich kandydatów i to prawie jednomyślnie, mimo szalonej agitacji katolicko-ludowych. Marszałkiem powiatu został wybrany emerytowany radca sądu, Władysław Jaśkiewicz, kandydat miasta Tarnowa. Za jego urzędowania stosunki pomiędzy większością rady powiatowej i nim a naszym kołem były przez pewien czas bardzo silnie napięte. Stało się to wskutek zachłanności Tarnowa, który mając przewagę, dzięki postanowieniom ustawy bardzo często prowadził politykę samolubną, nie wychodzącą poza mury miasta. Z czasem jednak stosunki te znacznie się wyrównały dzięki zabiegom i taktowi sekretarza, Władysława Przybyłkiewicza, który dla spraw ogólnych miał duże zrozumienie, a przy tym wpływ na marszałka, ulegającego zanadto radcom tarnowskim.

Jakkolwiek ograniczone uprawnienia rady powiatowej nie pozwalały na szerszą akcję w powiecie, a stanowisko przedstawicieli miasta Tarnowa utrudniało ją znacznie, to jednak i w tych stosunkach można było zdziałać wiele, szczególnie dla ludności wiejskiej. Toteż dzięki naszej planowej pracy i dużej obrotowości zbudowano w powiecie szereg dróg, łączących ze sobą gminy i z miastem Tarnowem. Podniesiono znacznie subwencje na

budowę dróg gminnych i ustalono ich zasady, idąc gminom jak najdalej na rękę. Ustanowiono osobny fundusz dla straży pożarnych, dawano znaczne subwencje na czytelnie. Urządzono wiele kursów i odczytów z rozmaitych dziedzin. Zajęto się podniesieniem rolnictwa, hodowli, sadownictwa itp. Przychodzono też bardzo często z materialną pomocą tak gminom, jak i poszczególnym jednostkom na wypadek klęsk i nieszczęść.

Każdego roku staczaliśmy zacięte walki szczególnie o budżet powiatowy. Powód do nich dawali zawsze przedstawiciele miasta Tarnowa, którzy już z reguły opierali się wszelkim większym wydatkom, jeżeli one były z interesem wsi związane.

Walka odbywała się zwykle pomiędzy adwokatem, dr. Goldhamerem, a mną i kończyła się najczęściej kompromisem, na którym wychodziliśmy nieźle.

Tymi długimi retorycznymi rozprawami najczęściej zawsze był zgorszony dr Ringelheim, adwokat tarnowski, stary zasłużony, długoletni członek wydziału powiatowego z ramienia miasta Tarnowa. Kochającego spokój i przywiązanego do instytucji niesłuchanie bolało wprowadzanie „zwyczajów parlamentarnych” na spokojną dotąd ulicę Seminarską, na której się mieścił budynek rady powiatowej. Dziwiło go też niepomiernie, jak potulni zawsze chłopcy mogli się tak raptownie na niekorzyść zmienić. Najbardziej go zaś bolało, gdy skutkiem naszej opozycji po raz pierwszy w dziejach rady powiatowej tarnowskiej posiedzenie jej nie skończyło się za jeden dzień.

Chodząc zdenerwowany, zaprosił mnie do pokoju marszałka celem odbycia rozmowy. „Panie Witos — zaczął — ja już jestem z tego wszystkiego chory”. „Cóż panu brakuje, panie doktorze, może trzeba posłać po lekarza?” — odrzekłem z całą powagą. „Przepraszam! Niech pan nie żartuje” — rzucił się dr Ringelheim — „Mnie już zupełnie z równowagi wyprowadziły te wasze obrady. Pan jest młody, ale ja tu siedzę od czasu, jak nastały rady powiatowe w kraju, pamiętam wszystkich jej członków, ale czegoś podobnego nie widziałem tu nigdy. Świat się przewraca do góry nogami!”. Wszystko to wypowiedział bardzo pośpiesznie i zerwał się z miejsca, chodząc nerwowym krokiem do pokoju. „Panie doktorze — zacząłem — niech się pan uspokoi, my tu nie przyszliśmy na awantury i ustąpimy zawsze, ale pod warunkiem, że panowie zrozumiecie, iż wieś ma większość w powiecie, swoje prawa i swoje potrzeby, których nie odczuwała dawniej. My się tego domagamy i domagać będziemy”. „A my się nie pozwolimy sterroryzować!” — krzyknął dr Ringelheim, kończąc w ten sposób naszą rozmowę. Rozeszliśmy się bez rezultatu, choć za dwie

godziny nastąpiła zgoda. Dr Ringelheim także się udobruchał, a nawet mnie za swoje uniesienie przeprosił.

Nieżyjący już dość dawno dr Goldhamer, adwokat tarnowski, głośny swego czasu z różnych wielkich procesów, rozumiał daleko lepiej od innych położenie wsi i doceniał jej znaczenie, będąc w gruncie rzeczy z nami. A jeżeli się sprzeciwiał niektórym naszym postulatom, to czynił to jedynie ze względu na miasto Tarnów, które płaciło podatków powiatowych znacznie więcej niż wszystkie gminy i obszary dworskie w powiecie razem wzięte.

Praca polityczna i organizacyjna w powiecie

Wytrwałymi moimi współpracownikami w radzie powiatowej, którzy się nie dali nigdy ugiąć ani też nastraszyć, ale przetrwali wszelkie burze uderzające w nich, byli: Stanisław Michalik z Łęgu, Józef Karol Słowik ze Szczepanowic, Kasper Wiśniewski z Janowic, Józef Bardo z Zalasowej i Wojciech Rzepka z Ilkowic. Dużą pomoc dawali nam zawsze sekretarz rady powiatowej, Władysław Przybyłkiewicz i kasjer tej Rady, Michał Bernaś. Ich nazwiska chłopie tarnowscy powinni zachować we wdzięcznej pamięci. Równie niemniej zasłużył się powiatowi inż. Krasowski. Jego wytrwałej, celowej pracy i zabiegom zawdzięczać należy budowę wielu dróg w powiecie i ich utrzymanie.

Ostatni marszałek rady powiatowej tarnowskiej, emerytowany radca sądu, Władysław Jaśkiewicz, był człowiekiem dobrej woli, chcącym dla powiatu pracować. Na przeszkodzie mu jednak stanęły zarówno wiek jak i stosunki, które wymagały walki i decyzji samodzielnej, do czego on się już nie nadawał. Jednak co mógł i umiał, to uczciwie robił.

Stanowisko moje w radzie powiatowej, kontakt utrzymywany z wójtami i wybitniejszymi chłopami, opinia, jaką mi oni i koledzy członkowie rady powiatowej robili w powiecie, pomoc, którą niejednokrotnie dawałem różnym jednostkom, zrobiły mi dużą popularność. W pracy politycznej brałem od wielu lat dość znaczny udział, choć w hierarchii Stronnictwa Ludowego nie zajmowałem wybitniejszego stanowiska. Należałem do ludzi młodszych i mieszkalem w powiecie, do którego ruch ludowy miał bardzo trudny dostęp. Przygniatała go bowiem wciąż przewaga majątkowa i polityczna Sanguszków, jak również robota oddanego im duchowieństwa i urzędników. Przy tym chłopie w powiecie, przeważnie nieruchliwi i zdeprawowani, dawali się jeszcze zawsze prowadzić licznym agitatorom, którzy nie szczędzili nie tylko słów, prośby i groźby, ale także pieniędzy, siana i

drzewa. Walka w gminach toczyła się też przeważnie o to, kto zostanie wyborcą, i nikt się temu nie dziwił, że wybraniec gminy brał łapówki w sposób zupełnie widoczny. W bardzo wielu gminach przez długi czas jeszcze trudno było namówić chłopów, ażeby się zajęli wyborami do rad gminnych.

Rzecz naturalna, że w tej ciężkiej, często bardzo niewdzięcznej pracy poruszenia masy chłopskiej w powiecie takim jak tarnowski, nie mógłbym sam przeprowadzić. W każdej niemal wsi miałem chłopów sobie oddanych, którzy mi przychodzili z wielką pomocą w pracy, nie cofając się przed żadnymi ofiarami, co wszystko zniesli, nie załamawszy się nigdy ani na chwilę. Do nich należeli: Długoletni wójt z Łęgu, Stanisław Michalik, Adam Kowalik z Kielanowic, Michał Kiełb z Bobrownik Wielkich, Jan Myjkowski z Lichwina, Filip Zapart i Kasper Wiśniowski z Janowic, Józef Karol Słowik ze Szczepanowic, Józef Bardo z Zalasowej, Adam Zaucha z Jodłówki, Michał Wantuch z Jodłówki, prof. Stanisław Harlender z Łubinki, Jan Okrzesza z Woli Pogórskiej, Franciszek Gawin z Rzędzina, Adam Żurowski ze Skrzyszowa, Jan Wantuch z Burzyna, Józef Kita ze Siedlisk, Józef Różycki z Chojnika, Józef Schab ze Śmigna i inni. Natomiast bardziej znany i często wysuwany przez chłopów Filip Włodek z Łekawicy najczęściej wykazywał giętkości i łatwości przystosowania się do każdej sytuacji.

W ogóle dziwny to był powiat. W powiecie tarnowskim przecież żył i działał ów osławiony kat szlachty, starosta austriacki Breindl, w tym powiecie znajduje się wieś Lisia Góra, w której chłopci w roku 1846 w straszny sposób wyróżnili szlachciców, zdążających w szeregi powstańcze. Tam to podstępem zamknęli ich w piwnicy do dziś dnia istniejącej, niby to kryjąc ich przed okiem władzy, a potem na nich dokonali okropnej rzezi. W bliskim sąsiedztwie powiatu znajdował się też krwawy Jakub Szela, chłop ze wsi Smarzonej, który z ramienia rządu austriackiego i za jego poduszczeniem kierował rzezią szlachty w okolicznych powiatach. Powiat tarnowski jako najbliższy nie był też od tego wolny.

Zdawać by się też mogło, że w tym powiecie żyje bezustannie jakiś duch buntu, pragnienie samodzielności, dążenie do wyzwolenia i swobody. Tymczasem lokajstwo, uniżoność, strach i ciemnota panowały tu długo i niepodzielnie. Owa krwawa Lisia Góra do dziś dnia należy do najbardziej zacofanych wsi w powiecie. Gdy w sąsiednich powiatach praca wiecowa i organizacyjna postępowała dość szybko naprzód, u nas to szło jak z kamienia. Choć hasła głoszone przez ruch ludowy obuchem swej wymowy uderzały o ściany powiatu, bronił on się przed nimi długo i za-

wzięcie. Decydowali tu jeszcze wciąż Sanguszkowie i agitatorzy, mający za sobą poparcie władzy świeckiej i duchownej.

Dziś może się wydawać wprost niepodobieństwem, ażeby ludzie tak mali, bez nauki, zdolności i znaczenia, powtarzający stare, oklepane i nikogo nie wzruszające komunały i frazesy, mogli swoją wolę narzucać większej części powiatu. A jednak było i trwało to długo. Jakież były powody?

Powód w znacznej mierze leżał w tym, że znaczna część chłopów nie przywiązywała wielkiej wagi do wyborów, a nie brakło i takich, co je uważali raczej za ciężar i pański wymysł. Wszyscy zaś wiedzieli, że za owymi agitatorami stoi rząd z całą swoją siłą, że na ich usługi stoi żandarmeria, że popierają ich swoją siłą i powagą księża, dwory, urzędy. Obawiali się też, że wszyscy mogą się na nich zemścić w sposób dotkliwy. A przecież przykładów tej zemsty mieli niemało. Brali oni się też na sposoby.

Agitację ich publiczną poprzedzały pielgrzymki do poszczególnych wpływowych wójtów i innych wyborców, którym „zapychano gębę” naprzód, ażeby milczeli, jeżeli się nie chcieli zgodzić na publiczne poparcie rządowych kandydatów.

Tym sposobem dokonywali agitatorzy nieraz wprost nie spodziewanych przeobrażeń ludzi.

Prym między nimi wodzili: Jan Smalec, gospodarz ze Strusiny, Jan Szymczak, wójt z Radnej, majster kominiarski z Tarnowa, Mikołaj Jamrowicz i Ludwik Tyrka, wójt z Poręby Radnej. Szczególnie to byli ludzie. Do tej roboty nie pchała ich nędza, ani też nie ciągnęło przekonanie. Kłamiąc beczelnie, zaklinali się na Boga i sumienie, nie zdradzając się ani poruszeniem oka. Płaszczkiem dla wszelkiego łajdactwa była stale podnoszona troska o wiarę i Kościół. Chłopi nimi wyraźnie gardzili, ale szli za nimi.

Że mimo wszystko coś się dzieć zaczynało w powiecie, dowodziły choćby kazania proboszczów, którzy w każdej prawie parafii co niedzielę piorunowali na szatańską robotę prowadzoną przez gorszące piśmidła i agitatorów. „Piśmiidłami” tymi były: *Wieniec* i *Pszczółka*, wydawane przez ks. Stojałowskiego i *Przyjaciel Ludu*, wychodzący we Lwowie. Pisma owe odważniejsi chłopci zaczęli prenumerować, czytała zaś po kryjomu nieraz cała wieś. Krążyły one nocami z jednej chaty do drugiej, budząc niesłychane wprost zaciekawienie.

Do powiatu zaczął też zaglądać w latach 1890-95 ks. Stojałowski, kryjąc się przed żandarmami u kilku księża, którzy z nim sympatyzowali. Pierwszym jego publicznym występowaniem, jaki pamiętam, było wielkie zgromadzenie w r. 1890 lub 1891 w Choj-

niku, wsi położonej w górnej części powiatu tarnowskiego, silnie obesłane i bronione przez chłopów, a rozpędzone przez komisarza starostwa, Żukotyńskiego, przy użyciu broni. Mimo odległości bardzo dużej poszło nas na to zgromadzenie kilku, maszerując z powrotem całą noc.

Pomimo całkiem spokojnej roboty, jaką prowadziłem, kler tarnowski zwalczał mnie od początku z wielką zaciętością. Robił to podobno nie tylko ze względów zasadniczych, lecz jakoby także z powodu moich rzekomych błędów i uchybień. Przystępstwem moim, poza czytaniem *Przyjaciela Ludu* i pracą organizacyjną, było między innymi spożycie mięsnej potrawy w dzień postny i to jeszcze w restauracji! Aczkolwiek tłumaczyłem, że to była zwyczajna cielecina, która przecież do potraw dozwolonych należała, nic to nie pomogło. Księża orzekli, że post został złamany i na to nie było żadnej rady. Nie tylko, że ich wielu z ambony powiadomiło o tym swoich parafian, ale, co gorsze, prowadzili ze mną walkę przez dobrych parę lat.

Drugie moje przestępstwo, to podobno nie bardzo fortunate przemówienie, wygłoszone w sali hotelu polskiego w Tarnowie w roku 1897. Chodziło o użycie przeze mnie całkiem naturalnego i dla nikogo nieobraźliwego porównania. Sala nabitą chłopstwem biła brawo, no ale ktoś treść przekręcił, zaniósł gdzie należy, tam wcale tego nie skontrolowano, ale rozpoczęto walkę na zabój. Właściwy jej powód leżał w obawie o ogarnięcie przeze mnie chłopów w powiecie, chociaż w tych czasach zupełnie o tym nie myślałem. Nagonka ta nie wstrzymała wprawdzie mojej roboty, ale ją jednak znacznie utrudniała, bo chłopci niektórzy, odmawiający sobie nawet serwatki w czasie postu, byli tym trochę zgorszeni. Wreszcie czasy się zmieniły, ludzie zapomnieli, a sami księża śmiali się z tego publicznie.

Pierwszym widocznym krokiem naprzód w rozwoju organizacji było w roku 1895 założenie biura bezpłatnej pomocy prawnej przez właściciela drukarni, Józefa Pisha. Udzielali jej młodzi prawnicy: Dr Jan Stec, dr Franciszek Winkowski i dr Tadeusz Fertil. Wszyscy oni odegrali później poważną rolę w życiu publicznym. Pierwszy z nich był przez szereg lat marszałkiem rady powiatowej w Tarnowie, drugi posłem do parlamentu austriackiego, a ostatni burmistrzem miasta Tarnowa, posłem do parlamentu i prezesem Koła Polskiego przy końcu wojny światowej. Chłopi z początku niezbyt chętnie chodzili na tę darmość nie wierząc, by jakikolwiek adwokat mógł coś dobrego zrobić za darmo. Potem się przekonali i chodząc gromadnie wiele kłopotu sprawiali młodym mecenasom, nie umiając odróżnić pomiędzy poradą a prowadzeniem sprawy.

Pierwsze poważniejsze zgromadzenie chłopów tarnowskich z ramienia Stronnictwa Ludowego zwołał dr Winkowski na dzień 25 września 1895 roku do sali teatralnej. Przybyło na nie paręset osób. Ponieważ był to czas przed wyborami sejmowymi, chciał doprowadzić do wyboru i zawiązania komitetu przedwyborczego ludowców. Nie zdołał jednak tego uczynić z powodu awantury wywołanej przez ks. Michała Żygulińskiego, który przestrzegał chłopów przed wrogami Kościoła i niedowiarkami, no i Smalca, zalecającego kandydaturę księcia Sanguszki, będącego w zgodzie z wiarą i Kościołem i mającego wpływy, pieniądze i drzewo. Większość zebranych akceptowała stanowisko obydwóch „katolickich mówców”.

Wobec takiej sytuacji centralny komitet Stronnictwa Ludowego nie postawił oficjalnie żadnej kandydatury w powiecie tarnowskim. Mimo to kandydat księżę Eustachy Sanguszko, mający wpływy, pieniądze i drzewo i nie żałujący ich, nie został wybrany jednomyślnie, gdyż kilkadziesiąt głosów otrzymał Stanisław Michalik z Łęgu bez żadnej agitacji. Byłby on otrzymał nierównie więcej, a może nawet i większość, gdyby nie zachowanie się Filipa Włodka z Łękawicy, także kandydata, mającego wtenczas duże wpływy w powiecie, a zajmującego bardzo niewyraźne stanowisko.

Duży oddźwięk w powiecie miało zebranie się w końcu roku 1895 (8 grudnia) w Tarnowie wszystkich posłów ludowych pod przewodnictwem dr. Karola Lewakowskiego. Na tym zjeździe wbrew opinii ks. Stojałowskiego ustanowiono zasady organizacyjne Stronnictwa Ludowego i jego władz.

Rzucona w roku 1896 przez ks. biskupa Puzynę klątwa na ks. Stojałowskiego za „nieposłuszeństwo wobec władzy duchownej” zrobiła w powiecie niesłychane wrażenie. Podczas odczytywania jej w kościołach rozlegały się głośnie płacze i przytłumione szlochania. Tak klątwa jak i ceremoniał zastosowany przy odczytywaniu robiły prawdziwą grozę i przestraszały, ale równocześnie wzbudzały też nie tylko zaciekawienie, ale cichy zacięty bunt, żal do władzy i sympatię dla wyklinanego. Ks. Stojałowski stawał się dla chłopów jakąś wielką legendarną postacią, budzącą z jednej strony obawę, lecz z drugiej rosnącą dla niego z dnia na dzień niezwykły szacunek. Jego wyklętych gazet specjalnie poszukiwano, czytano je w nocy po kryjomu, chroniąc się przed żandarmami i niektórymi księżmi.

Uderzające było, że już po klątwie, rzuconej na ks. Stojałowskiego, dawał mu u siebie schronienie wspomniany już ks. Siemieński, proboszcz w Szynwałdzie, kapłan znany ze swej wielkiej pobożności i biskupowi zupełnie oddany. W ogóle ks. Sie-

mieński był człowiekiem wielce zagadkowym i miał bardzo oryginalne poglądy. Władzy swojej duchownej służył bez zastrzeżeń, a wyklętego przez tę władzę księdza przetrzymywał u siebie przed okiem biskupa i władzy świeckiej, ostrzegając też swoich parafian przed nim. W czasie walki tarnowskiego duchowieństwa przeciw mnie okazywał mi wyraźną sympatię i przychyłność, przyjmował u siebie, a nawet jedno zebranie zapowiedział z ambony. Zwracał się też często do mnie w różnych sprawach o pomoc i interwencję u władz, szczególnie w sprawie szkoły gospodyń wiejskich, przez niego założonej i prowadzonej w Szynwałdzie. Nigdy mu też niczego nie odmówiłem. Nie mogłem też sobie niczym wytłumaczyć rzuconego na mnie z ambony oszczerstwa i rozpoczęcia walki przeciw mnie i swoim parafianom, moim zwolennikom z całą siłą, na jaką stać było 80-letniego starca. Mścił się zaś nad nimi w ten sposób, że przez czas dłuższy od żadnego z nich nie przyjął zapłaty za wszystkie posługi kościelne. Politycznie stał się niespodziewanie gorącym rządowcem.

Niedługo to jednak trwało, bo zmienił zdanie i publicznie zwalczał z ambony „bezbożny i zażydzony rząd”, rzucając na niego liczne gromy. (Słuchając jego kazań trzeba przyznać, że okazuje w nich bardzo dużą odwagę, no i że one mu wciąż uchodzą bezkarnie, gdy do innych księży, mniej nieprawomyślnych urząd stosuje różne środki represyjne)*.

Dr Winkowski i ks. dr Żyguliński

Znacznym krokiem naprzód był dokonany w dniu 11 marca 1897 roku dość przypadkowy wybór dr. Winkowskiego posłem do parlamentu z okręgu tarnowskiego. Złożyły się na niego częściowo robota prowadzona przez ludowców i przez ks. Stojakowskiego, ale w większej mierze jakiś wielki i dość niespodziewany odruch, któremu chłopci z okręgu wyborczego tarnowskiego dali się na pewien czas porwać. Ten wybór rozpętał jednocześnie falę klerykalnej roboty, którą kierował ks. dr Michał Żyguliński, młody, zdolny, niesłychanie ruchliwy a przy tym bezwzględny i nie przebiegający w środkach jegomość. Pochodził on z rodziny kupców świńskich z Żygułów z Łęgu koło Partynia, wsi powiatu tarnowskiego, i mimo wykształcenia i zmiany nazwiska dużo zatrzymał rodzinnych właściwości. Osiadłszy w Tarnowie, zakupił sporo gruntów, na których zbudował szereg

*) Ustęp wykreślony w oryginale przez autora

domków robotniczych i umiał tak pokierować sprawą, że robotnicy byli zadowoleni i on zrobił dobry interes. Huraganowym wprost uderzeniem rozbił dość silną organizację socjalistyczną, zdobywając robotników prawie w całości dla siebie. Kiedy się w zupełności umocnił w Tarnowie, ruszył z impetem na wieś, gdzie mu z jednej strony niektórzy księża torowali drogę, a z drugiej pomagała głośnie fama, jaka szła z Tarnowa. Wszyscy agitatorzy zawodowi stanęli też od razu po jego stronie.

Zdołał on także w dość krótkim czasie opanować szerokie koła chłopów, nieraz jeszcze chwiejnych, przygotowując sobie grunt na przyszłość.

Dr Winkowski, zajęty pracą w parlamencie, mało zwracał uwagi na to, co się działo w powiecie. Nie wiedział też, jakie niebezpieczeństwo niosła robota ks. Żygulińskiego, fanatyczna, demagogiczna i korupcyjna. Sam zwracałem mu kilka razy na nią uwagę, ale bezskutecznie.

Idąc coraz dalej, wybrał się ks. Żyguliński i na zdobycie Wierchosławic. Ponieważ wszyscy księża w okolicy zapowiedzieli jego zgromadzenie z ambon, zeszło się parę setek chłopów. Mimo niesłuchanie zręcznego i na wskroś demagogicznego przemówienia ks. Żygulińskiego, zgromadzenie to zakończyło się uchwaleniem wniosku, wyrażającego votum zaufania Winkowskiemu. Rozdrażniony ks. Żyguliński rzucił wielką sakiewkę z pieniędzmi na stół w oczach wszystkich chłopów i krzyknął na cały głos: „Wy sobie możecie uchwalać, co chcecie, a ja wam zaręczam, że Winkowski więcej posłem nie będzie, tylko ja, bo mnie ten worek posłem zrobi”.

Chłopi byli oburzeni, a ks. Żyguliński, zostawiwszy na stole garść cygar gospodarzowi domu, w którym się zebranie odbywało, uśmiechnięty złośliwie, odjechał na drugie.

Niedługo przekonał się Winkowski naocznie, jakie spustoszenie w szeregach jego zwolenników zrobił ks. Żyguliński. Bo kiedy w roku 1900 zwołał zgromadzenie do Tarnowa, nie tylko że wybrano na nim przewodnictwo, proponowane przez ks. Żygulińskiego, ale Winkowskiego nie dopuszczono do głosu. To go otrzeźwiło, ale i przeraziło zarazem, gdyż wybory były blisko, a jego mandat, na którym wszystko budował, stanął pod wielkim znakiem zapytania. Zwrócił się do mnie po radę. „Panie doktorze — odrzekłem — ja panu dawno mówiłem, nie zajmuj się pan godzeniem Czechów z Niemcami, lecz rób zgodę z chłopami, bo jest źle, ale mi pan nie wierzył, a teraz uważam w powiecie tarnowskim wszystko za stracone”. Po drodze do jego domu przyłączyli się do nas: Wojciech Rzepka z Ilkowic, Michał Kiełb z Bobrownik i Kasper Wiśniewski z Janowic. Razem

uznali, że jedynym jeszcze ratunkiem będzie zwołanie wybranych już wyborców do Tarnowa i „zatkanie im gęby”. Dr Winkowski narzekając na brak pieniędzy, chwycił się jednak tej rady i jeszcze tego dnia rozesłał zaproszenia.

Stawiło się wszystko zupełnie w pełnym komplecie. Ja przybyłem również. Rozglądając się między zebranymi wyborcami, nie mogłem własnym oczom uwierzyć. Na sali znaleźli się wszyscy agitatorzy Sanguszki i Żygulińskiego, starzy pieczeniarze i lizunie pańscy z całego powiatu. Między chłopami rej już wodził Smalec ze Strusiny i wójt z Radlnej, Szymczak, akuratnie ci obydwa, co przed niewiele dniami nie dopuścili Winkowskiego do głosu na jego zebraniu.

Chodząc natknąłem się umyślnie na Smalca. „Panie Janie! Co tu pan chce, to przecież bezczelność posunięta do ostatnich granic”, mówię do niego wzburzony. „Ale Wicuś, nie gniewaj się — odpowiada zupełnie spokojnie Smalec — przecież my jesteśmy wszyscy dziećmi jednego Boga”. „Co pan plecie, mówię, takiego bydlęcia, Pan Bóg by się wstydził!”. Widzę, że mimo tej obelgi Smalec stoi spokojnie, a uśmiechnięty kiwa добродusznie głową. Chłopi gromadą biorą go w obronę, tłumacząc mi, że on się już zmienił i do nas przystał, a zresztą z Winkowskim obaj się porozumieli. Odszedłem na bok, próbując się zwrócić do samego Winkowskiego, ale tego zaniechałem widząc, że był otoczony chmarą takich samych „nawróconych”. Stałem dość bezradnie, pytając się wyborcy z Ilkowic Rzepki, co to wszystko ma znaczyć. „Jak to nie wiesz? — odpowiada mi Rzepka — przecież po zgromadzeniu ma być wyzerka, te świny ją przewąchały i przyszły, a koło Winkowskiego skaczą, żeby nikogo nie dopuścić. On im wierzy, bo mu basują, a przy wyborach pójdą za tym, co da więcej”.

Za chwilę rozpoczęło się zgromadzenie. Kiedy dr Winkowski stanął na jakimś podwyższeniu, ażeby je zagaić, pierwszy Smalec krzyknął: „Niech żyje nasz kochany pan poseł dr Winkowski!”. Chłopi ten okrzyk podjęli, a Winkowski rozbrojony i zadowolony, kłaniał się na wszystkie strony. Zgromadzenie zakończyło się jednomyślnym uchwaleniem kandydatury Winkowskiego i gorącymi oklaskami. Uszczęśliwiony kandydat zaprosił „szanownych wyborców — na skromną przekąskę”. Zapełnili oni wszystkie pokoje jego obszernego domu, konie zaś i woły ulokowali w ogrodzie. Patrząc na zachowanie się tych gości, widziałem zgorzchny i rozgorączkowany, jak wprost natarczywie wciąż się domagali jeszcze więcej trunków i jedzenia, choć gościnność obojga gospodarzy doszła do najdalszych granic. Dobrze na tym

wyszły i konie, bo używały sobie jak nigdy przez cały dzień na owsie i koniczynie, zakupionych przez łatwowiernego kandydata.

Bal ten został zakończony już późnym wieczorem wiatami, życzeniami i wielokrotnie głośno ponawianymi obietnicami. Kandydat był jak najlepszej myśli, obiecując sobie zwycięstwo nie ulegające żadnej wątpliwości. Zwierzył się z tym i przede mną robiąc zestawienie cyfrowe z poszczególnych powiatów. Powiedziałem mu bez ogródek, że jego optymizmu wcale nie podzielam, jeżeli pomiędzy wyborcami widzę całą gromadę znanych mi łapowników, występujących zawsze przy każdych wyborach. Starał się mnie uspokoić zapewnieniem, że ma ich rękę i słowo, a zresztą gdyby nawet Tarnów nie dopisał, to inne powiaty wystarczą.

Niestety, ja miałem rację, Za dwa dni owi entuzjaści, goszczeni przez Winkowskiego, podnoszący go do góry, w ogromnej większości głosowali na kandydata rządowego.

Dla kandydatury Winkowskiego utrzymaliśmy z trudem dwadzieścia kilka głosów, na przeszło półtorej setki głosujących. Smalec i Szymczak najbezcenniejszy w świecie agitowali przeciw Winkowskiemu. Mnie też zrobili specjalną przykrość, bo zdołali jednego z wyborców wierzchosławickich, Jędrzeja Padłę, przeciągnąć na swoją stronę obietnicą książęcego drzewa. Mało tego, bo mnie i młodego wyborcę z Ilkowic, Wojciecha Rzepkę, zamknięto na czas aktu wyborczego w osobnym pokoju w starostwie za rzekomą agitację, prowadzoną na sali wyborczej.

Inne powiaty wchodzące w skład okręgu wyborczego poszły trochę lepiej, mimo to Winkowskiemu brakło do mandatu kilkadziesiąt głosów. Kiedy ogłoszono wynik wyborów, Winkowski stał błądy i jakby nieprzytomny, a zgraja jego przedwczorajszych gości biła głośnie brawa na rzecz zwycięskiego przeciwnika.

Dr. Winkowskiemu, szczeremu przyjacielowi chłopów, ale człowiekowi wysoce nieopatrznemu, pozostała gorycz, zupełnie zresztą naturalna, i ciężkie długi, których już do końca życia nie był zdolny spłacić.

Zaś ks. Zygułiński stanowił teraz jeszcze większe niebezpieczeństwo dla naszej roboty, gdyż dr Winkowski wkrótce umarł na pomieszczenie zmysłów, a Bojko, wybrany posłem z czwartej kurii, potrzebnej inicjatywy ani ruchliwości nigdy nie okazywał.

Mimo że warunki pracy stały się bardzo trudne, nie ustąłem w niej ani na chwilę, prowadząc ją z kilkoma ludźmi, gorąco oddanymi sprawie. Zdołaliśmy też zgromadzić i utrzymać w swoim obozie dużą ilość chłopów, zupełnie pewnych, wypróbowanych, wpływowych i w walce zahartowanych. Niedługo też

odrobiliśmy straty i wyrównali zaniedbania. Gwiazda Żygulińskiego zaczęła też błednać powoli, przestał być wnet niezwyciężony.

Kłątwa kościelna rzucona w roku 1903 na *Przyjaciela Ludu*, a pośrednio i na Polskie Stronnictwo Ludowe, wprowadziła w nasze szeregi krótkotrwałe zamieszanie, nie potrafiła ich jednak nie tylko rozbić, ale nawet poważniej naruszyć.

Pewne wrażenie w powiecie zrobiło w 1906 r. zebranie frondy przeciw Stapińskiemu skierowanej, zwołane przez Jana Dąbskiego i Jana Babicza. Zjazd był nawet dość liczny, nie przyniósł jednak żadnych zmian, choć Stapiński mocno się niepokoił co do mojego stosunku do niego. Było to zbyt bezczelne, gdyż nie robiąc Dąbskiemu żadnych przeszkód, udziału w zjeździe nie wziąłem. Mimo woli stało się to wskazówką dla chłopów, którzy oglądając się, zebranie opuszczali przed jego ukończeniem.

Nie żywiąc nigdy wielkiej miłości do Stapińskiego, ani pełnego zaufania do szczerości jego polityki uważałem, że zastąpienie go Dąbskim wcale by ruchowi ludowemu pożytku nie przyniosło. Stapiński miał wiele wad, ale też i przymiotów, których u Dąbskiego wcale nie widziałem. Poza niesłychaną wyniosłością i pretensjonalnością wyglądał mi zawsze Dąbski na malkontenta o bardzo chwiejnych i zmiennych zasadach. Nie będąc zdolny do tworzenia, miał talent do burzenia wszystkiego co zrobili drudzy. Leżało to widocznie w jego krwi, pochodzeniu i naturze. Pochodził bowiem z osady podmiejskiej, mającej niewiele wspólnego ze wsią polską, był synem drobnego szlachcica i Ukrainki. Nie mógł, czy nie chciał skończyć uniwersytetu, uwikławszy się w politykę kawiarnianą i to, co ona niesie za sobą. Jako współpracownik *Kuriera Lwowskiego*, pisma codziennego, bardzo przyjaznego chłopom, zetknął się z jednej strony z ruchem ludowym, a z drugiej z szerszym życiem politycznym, skupiając koło siebie gromadkę ludzi młodych i zapalnych. Zagadnienie ruchu ludowego i polityki chłopskiej traktował dorywczo i powierzchownie, przywiązując większą wagę do słowa i przelotnego frazesu niż do rzeczy samej. Nie mógł też pociągnąć za sobą chłopów, nawet Stapińskiemu niechętnych, gdyż jego postępowania ani dążności zrozumieć nie mogli.

Czas, życie, przejścia i wielkie wypadki nie potrafiły go zmienić, pozostał sobą do samego końca. Nie tylko że postępowaniem swoim zbakierował wielu nawet wartościowych ludzi, ale uniemożliwiał nieraz posunięcia polityczne, nie tylko pożyteczne, ale przez niego samego przygotowane i aprobowane. Poza tymi widocznie wrodzonymi wadami był człowiekiem bezinteresownym i oddając się na usługi ruchu ludowego, nie tylko że na

nim nie zarobił, ale brnąć często w niedostatek, zniszczył zdrowie, a może nawet skrócić sobie życie.

Dalsza praca i wypadki

Nasze siły i wpływy w powiecie tak wzrosły, że mimo dalszej agitacji, przeciw ludowcom prowadzonej po śmierci ks. Romana Sanguszki, potrafiliśmy przeprowadzić w jego miejsce chłopą Filipa Włodka z Łękawicy na posła do Sejmu galicyjskiego. Zdołaliśmy także po silnej walce obsadzić swoimi ludźmi radę powiatową i opanować wszystkie wybieralne instytucje w powiecie.

Rok 1907, który w sposób widoczny ujawnił bardzo już poważną siłę ludowców w kraju, dając im przy wyborach do parlamentu austriackiego kilkunastu posłów, odbił się także silnym echem w powiecie tarnowskim. Oddał on przy tych wyborach zupełnie prawie niespodziewanie znaczną większość głosów na kandydata Polskiego Stronnictwa Ludowego, Michała Olszewskiego.

Mój wybór na posła do Sejmu galicyjskiego, dokonany w lutym 1908 roku, przeszedł już bez wielkich trudności, mimo że Stapiński starał się podstępnie mnie utracić, wysuwając kandydaturę Filipa Włodka, gdy równocześnie z ramienia ks. biskupa Wałęgi stawał tak niebezpieczny przeciwnik, jakim był ks. Żyguliński.

Razem z moim wyborem upadły też zupełnie i wpływy Stapińskiego w powiecie, ażeby się już nigdy nie podnieść, mimo prób niejednokrotnie przez niego jeszcze robionych.

Księża w Tarnowskim

Ogół księży przeważnie ulegał biskupowi, trzymając się ściśle jego rozkazu. Nie było jednak i w tym zupełnie jednolitej linii, gdyż wielu księży prześcigało go w gorliwości, inni zaś nie dociągali, nie chcąc się zanadto narażać parafianom, z którymi łączyły ich dobre stosunki. Sporo było takich, którzy różne, groźne, politycznym sosem zakropione kurendy i listy biskupie chowali do kieszeni, nie mówiąc o nich parafianom ani jednego słowa. Wielu zaś przeczytało je takim głosem, że nawet najbliższej ambony stojący nic nie słyszeli.

Nie brakło też, wprawdzie nielicznych jednostek między księżmi, po cichu z ruchem ludowym sympatyzujących, a nawet

starających się przychodzić z pomocą. Jeden ze znanych w powiecie proboszczów ks. K. w czasie najostrzejszej walki, prowadzonej przez ks. Wałęgę z ludowcami, składał przez parę lat na moje ręce pieniądze na prenumeratę wyklętego *Przyjaciela Ludu* dla jego kilku krewnych, w różnych gminach mieszkających. Wytworzyła się też stąd dziwna anomalia, bo gdy w jednym kościele grzmią ambona klątwami, w czasie których rozlegały się płacze kobiet i odbywały się dramatyczne sceny, to w drugim, nieraz sąsiednim, panował zupełny spokój. Gdy w jednym nie dopuszczano do spowiedzi żadnego wybitniejszego ludowca i nie udzielano wielu rozgrzeszenia, w drugim robiono to z łatwością. Kiedy zaś zdziwiony zapytałem jednego z takich liberalnych proboszczów, ks. Masowicza, jak on to może robić nie obawiając się biskupa, odpowiedział mi: „Ja jestem jak młynarz. Co do mnie przywożą to miele”. I kładąc mi rękę na ramiona rzekł: „Proszę pana ja o tym pamiętam, że więcej trzeba słuchać Boga, aniżeli ludzi”. Taki sam podział ujawniał się między wikarymi, choć oni starannie ze swoimi przekonaniem się kryli. W Wierchosławicach trzech z rzędu wikarych stykało się ze mną, a ukrywając się przed okiem ks. proboszcza zawsze mnie na czas uprzedzali przed jego występami.

Do najbardziej wojujących w powiecie i okolicy księża należeli proboszczowie z Tuchowa, Radłowa, Lisiej Góry, Poręby Radlnej, Skrzyszowa, Borzęcina, Woli Rzędzińskiej, Jastrzębki Nowej. Nie czuć jej prawie było w Zbylitowskiej Górze, Wojniczu, Zakliczynie, Gromniku, Podgórskiej Woli, Zaborowiu, Żabnie. Nieraz się zastanawiałem nad przejawami dokonywanymi się wśród naszego duchowieństwa i nie mogłem znaleźć dostatecznego wyjaśnienia, choć pewne rzeczy rzucały się zawsze w oczy.

Starsze duchowieństwo wywodziło się w znacznej większości ze szlachty. Można więc było przyjąć za dość duży pewnik, że byli to księża z powołania. Patrzyli na chłopów z góry, traktowali ich często jak swoich parobków lub poddanych, ale trzymali się na pewnym poziomie przyzwoitości, a nawet bezinteresowności, nie przywiązując zbyt wielkiej wagi do poborów i dochodów.

Z czasem zaczęli ich wypierać synowie mieszczan, urzędników i rzemieślników, a zajmawszy ich miejsca, więcej okazywali pilności w nabożeństwie, systematyczności w działaniu ale też znacznie mniej od tamtych samodzielności, wzmożoną chęć zarobkowania i równocześnie przypodobania się swojej władzy przełożonej. Stosunek do parafian zmienił się również, choć formy zdawały się łagodniejsze, były one nieraz bardziej przykre,

gdyż nierzadko w nich widać było małego mieszczanina, starającego się wykazać swoją wyższość nad chłopami.

Jednych i drugich wyparli po latach synowie chłopscy, fabrykowani gwałtownie przez seminarium duchowne w Tarnowie, będące okiem w głowie księdza biskupa Wałęgi. Spodziewać się należało, że oni, znając nędzę i upośledzenie swoich ojców i współbraci na wsi, przyjdą do nich z miłością i chrześcijańskim zaparciem siebie. Stało się inaczej. Poza ślepym, bezkrytycznym wykonywaniem każdego polecenia swej władzy, zaczęli się odznaczać najdalej posuniętą gorliwością i zaciętością w walce, nienawiścią i pogardą dla przeszłości, lekceważeniem chłopów i forsownym zbieraniem groszy na różne cele, nie zapominając także o sobie.

Niektórzy zachorowali na budowę nowych kosztownych kościołów, mimo że stare świątynie były zupełnie wystarczające, na stawianie plebańskich pałaców i budynków gospodarskich, ściągając przy pomocy egzекutorów i ambony coraz większe ofiary i daniny od zubożałych i broniących się rozpaczliwie parafian, nie zważając na ich nędzę i na rozgrywające się przy tym przykre i wcale nie budujące sceny. Nierzadko narażali się sami na gorzkie wyrzuty, gdyż krzywdzeni nie zawsze trzymali język na uwieczni. Widząc upadające coraz więcej swoje znaczenie i wpływy, zaczęli je ratować sposobami nie zawsze właściwymi. Między innymi wielką część swoich kazań poświęcali przedstawianiu dostojęstwa urzędu kapłańskiego i swojej osoby. Słyszałem sam, jak z ambony dowodzono, że każdy wikariusz równa się papieżowi, bo jest także zastępcą Chrystusa na ziemi.

Wywoływało to duży niesmak i zdziwienie u wszystkich, bo ich poprzednicy nigdy czegoś podobnego nie mówili. Chłopi światlejsi ruszali na to ramionami, a nawet kpili coraz głośniej. Powaga księży nie tylko się nie podnosiła, ale znacznie opadła i to nie tylko u przeciwników. Widząc, że ambona i Kościół nie wystarczają do przywrócenia potrzebnej powagi i wpływu, poszli dalej, tworząc odrębne organizacje polityczne w parafii, ulegające im zupełnie pod każdym względem. Ten krok nie tylko nie podniósł ich powagi, ale rozpętał burzę, bo chłopci, widząc swego duszpasterza na czele małej gromadki przeciwników politycznych, mogli go bez żadnych osłonek atakować.

Czynili to też coraz częściej i śmieiej.

Na następstwa nie trzeba było długo czekać. Księża nie tylko że się kompromitowali i w tej walce przegrywali, ale w bardzo wielu parafiach zostali naprawdę znienawidzeni, nie mając prawie nikogo za sobą, bo ich często nawet tchórzliwe dewotki opuszczały. Był to czas, że chłopci wcale nie uważali za

honor dla siebie mieć księdza w rodzinie, a nawet się do tego z niechęcią przyznawali. Ten stan był przyczyną, że seminarium duchowne w Tarnowie zaczęło świecić pustkami, gdyż nie tylko nowych kandydatów nie było, ale nierzadko i starzy uciekali, nie mogąc się pogodzić z rolą, jaką przyszyłym duszpasterzom wsi polskiej wyznaczono. Stało się to powodem nie tylko wielkiego i zupełnie uzasadnionego alarmu, ale i wzmożonej walki z ludowcami, którzy mieli być winni braku kleryków, poniewierając rzekomo księżmi. Na wszystkich niemal ambonach w sposób niesłychanie bolesny przedstawiano straszne skutki braku kapłanów, szukano winowajców, zapominano tylko o sobie i o swoim postępowaniu.

A to postępowanie pozostawiało bardzo i to bardzo wiele do życzenia. Pominąwszy już względy zasadnicze, bardzo często młody ksiądz, syn chłopski, na którego wykształcenie łożyła cała rodzina, odejmując sobie od ust, często zapierał się jej, zmieniając nazwisko jeszcze w seminarium. Nierzadko wstydził się ojca i matki, prostych wieśniaków, u siebie przyjmować, obracając się w zupełnie innym towarzystwie. Staruszkom ojcom pozwalał się po rękach całować, uważając się za coś wyższego. Braciom i siostrą odmawiał wszelkiego wsparcia, mimo że nieraz znajdowali się w bardzo ciężkim położeniu, nie żałując dawać na inne cele, z jego urzędem wcale nie związane. Braki w seminarium starano się wyrównać przez przyjmowanie kandydatów słabszych lub przy maturze spalonych, którzy się nie mogli dostać na uniwersytet, a chcieli się koniecznie dobić stanowiska i kawałka chleba. Tam jedno i drugie z łatwością znaleźli, nie obciążając przy tym zupełnie rodziny.

Że jednak takie idee nie mogą wystarczyć dla przyszłych duszpasterzy, okazały lata najbliższe i poziom wielkiej części tarnowskiego duchowieństwa z tych czasów pochodzącego.

Do starszych i dość licznych księży, co się nie dali ugiąć żadnej mocy, ale spełniali nałożone na siebie obowiązki starając się zachować własną wolę i poglądy — oprócz ks. Siemieńskiego, bardzo czcigodnego, osobliwego oryginała — należeli: ks. Władysław Wąsowicz — proboszcz w Gromniku, ks. Antoni Kmietowicz — dziekan w Radłowie, ks. Ludwik Ligaszewski — proboszcz w Siemiechowie, ks. Lepiarz — proboszcz w Zbylitowskiej Górze, ks. Jan Dulian — proboszcz w Brzozowej, ks. Jan Kowal — proboszcz z Woli Podgórskiej. Mniej już przychylnie było zachowanie się ks. Owsianki, proboszcza z Zalasowej i ks. Rajczaka, proboszcza z Jurkowa, a niezwykle zmienne ks. Jakuba Wyrwy, proboszcza z Ryglic.

Z księży młodszych, którzy w tych trudnych dla nich warunkach starali się zachować przyzwoicie wymienić należy: ks. Jana Solaka, obecnie dziekana w Grybowie, ks. Jana Pabjana, proboszcza w Podegrodziu, ks. Litwińskiego, katechetę w Jurkowie, ks. Jana Bogacza, ks. Walczaka i kilku innych.

Ta mała gromadka ginęła jednak prawie bez śladu w tłumie Lubelskich, Paryłów, Stabrawów, Mrozów, Bibrów, Boduchów, Rogozów, Babczyńskich, Sroków, Chachajów, Kozów i tylu innych, którzy uważając się za wszelką doskonałość, nie uznawali praw innych ludzi, ich woli ani zdania, a kierując się ślepo nakazami, robili wiele złego, które się nieprędko da naprawić.

Byli to prawie bez wyjątku synowie chłopscy i wychowankowie nowej szkoły, przez biskupa Wałęgę wprowadzonej. Nie rozwinęli oni także działalności na innych polach, pochłonięci robotą polityczną, albo też doprowadzali do takiego skłócenia i roznamienienia ludności, że wszelka praca zbiorowa stała się zupełnie niemożliwa.

Natomiast bardzo wielu księży, nie angażujących się w polityce żadnego stronnictwa, pracowało z wielkim pożytkiem dla chłopów w kasach Stefczyka, kółkach rolniczych i różnych kooperatywach i to przeważnie bezinteresownie.

Ksiądz Stojałowski

W tym miejscu należy poświęcić parę uwag ks. Stanisławowi Stojałowskiemu. Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że pierwszeństwo w pracy nad obudzeniem śpiącego snem wiekowym chłopstwa należy się bezwzględnie temu kapłanowi. Tej prawdy nie mogą zmienić ani jego błędy, ani przewinienia, jakie mu zarzucano, ani też mniejsze czy większe wyniki prowadzonej przez niego roboty. Oczywiście, że nie mogą wchodzić w rachubę oszczercze zarzuty, jakich mu nie szczędzono.

Ja, który się nie tylko stykałem wówczas z chłopami, ale z nimi żyłem i znałem ich na wylot, mogłem wiedzieć najlepiej, ile trzeba było pracy, wysiłków i poświęcenia, zanim można tę wielką i zimną bryłę, jaką byli chłopci, poruszyć. Tego też nie mógł zrobić pierwszy z brzegu człowiek, mógł tylko dokonać ktoś wybrany. Takim był ten młody wówczas proboszcz z Kulikowa. Jego duchowny stan, nadzwyczajna wprost wymowa, olbrzymie zdolności, wytrwałość w pracy, zapał i poświęcenie mogły tylko temu zadaniu podołać.

Rozpoczął on pracę w dziedzinie społecznej i gospodarczej, rychło jednak przerodziła się ona w działalność polityczną. Ks.

Stojałowski, jakkolwiek sam szlachcic z pochodzenia, nienawidził szlachty za jej sobkostwo, uprawiany na chłopach wyzysk i popieranie przez nich Żydów. W równym co najmniej stopniu nienawidził też rządu austriackiego, któremu ona tak wiernie służyła. Mimo niesłuchanie ciężkich warunków i przeszkód na każdym kroku mu stawianych, praca jego nie tylko że się przyjmowała pomiędzy chłopstwem, ale zaczęła być groźna dla rządzących niepodzielnie krajem szlachty i biurokracji.

Nie tworzył on początkowo żadnego stronnictwa, nie układał programów, lecz chodził, apostołował, budził lud ciemny i zahukany, przedstawiając mu w jaskrawych barwach jego dolę i krzywdy, wskazując drogę, prowadzącą do poprawy.

Chłopi słuchając wymownego nad wyraz działacza i widząc w nim księdza, wierzyli mu bezwzględnie i szli za nim gromadą. Toteż liczba jego zwolenników rosła niesłuchanie szybko. W swojej ciężkiej apostołskiej pracy pomagał sobie wydawaniem pisma *Wieniec i Pszczółka*, które co dwa tygodnie docierało do wsi. Zwróciło to uwagę tak władz świeckich jak i duchownych, które były z jego roboty w najwyższym stopniu niezadowolone, a jej postępami zaniepokojone. Prześladowany i ścigany przez nie w sposób bezwzględny, często wprost barbarzyński, zyskiwał sobie coraz to więcej przywiązanych do siebie zwolenników, tak pomiędzy chłopami jak robotnikami, a także niektórymi księżmi.

Najbardziej wyrafinowane metody, nieludzkie prześladowanie i szykany, oskarżenia, sądy i więzienia stały się jego chlebem codziennym. Ze szczególną zaciętością znęcał się nad nim hr. Kazimierz Badeni, ówczesny namiestnik galicyjski, a późniejszy austriacki prezydent ministrów, posługując się przy tym całą potęgą aparatu rządowego, jakim wówczas rozporządzał. Na jego rozkaz ruszyli się wszędzie starostowie, żandarmi, zarządzając nieraz na ks. Stojałowskiego nagonkę jak na dzikie zwierzę.

Ponieważ potęga władzy świeckiej okazała się niewystarczająca do zniszczenia jednego człowieka, bo szerokie masy ludności przychodziły prześladowanemu z pomocą, pośpieszyła jej w sukurs władza duchowna, której zadaniem było zniszczenie Stojałowskiego pod względem moralnym.

Zaczęło się wprost nieprawdopodobne prześladowanie przy użyciu środków najjaskrawszych. Kiedy nie pomogły ambony i konfesjonały, chwycono się na końcu klątwy kościelnej, rzuconej na ks. Stojałowskiego i jego zwolenników. Jednym z najmożliwszych, ale i najzaciętszych jego prześladowców był biskup krakowski książę Puzyna, znany ze specjalnego uporu i wstecznych dążeń.

W powiecie tarnowskim ks. Stojałowski był rzadko i

niał w nim bardzo niewielu zwolenników. Mimo to odgłos jego pracy i walki dochodził do różnych jego kątów, budząc u wszystkich wielkie zainteresowanie. W czasie kłatwy na niego rzucanej przechowywał go u siebie ks. Aleksander Siemieński, proboszcz ze Szywnoławdu. Gospodarz Wojciech Kopacz opowiadał mi, że widział kilku księży, odwiedzających tam Stojałowskiego. Było to w r. 1890. Biskup tarnowski Łobos wskutek donosu dowiedział się, że ks. Stojałowski nie tylko że przebywa w Szywnoławdzie, ale odprawia msze święte i chrzci, a ma być zasuspendowany. Nie będąc pewny, odniósł się w tej sprawie do Lwowa. Z kancelarii arcybiskupiej otrzymał odpowiedź, że istotnie jeszcze od r. 1888 ks. Stojałowski jest w suspensie, zatwierdzonej nawet przez Rzym. Wobec takiej odpowiedzi biskup tarnowski zabronił ks. Stojałowskiemu odprawiania kapłańskich czynności. Na tym się jeszcze nie skończyło, gdyż arcybiskupstwo lwowskie dekretem z r. 1893 zawiadomiło ks. Stojałowskiego, przebywającego wówczas w Cieszyńcu, że go suspenduje znowu na trzy miesiące, wzywając go równocześnie do odprawienia trzydniowych rekolekcji w klasztorze. Ks. Stojałowski się jednak nakazowi nie podporządkował.

Tegoż roku wyszedł w Tarnowie dekret biskupów galicyjskich, zakazujący czytania jego pism: *Dzwonu*, *Wieńca* i *Pszczołki*. Stojałowski pojechał do Rzymu i dostał tam pozwolenie na odprawianie mszy. Zaskoczone tym duchowieństwo ogłosiło, że to nieważne, bo Stojałowski wprowadził Papieża w błąd. Dzięki jego staraniom nie tylko że pozwolenie zostało cofnięte, ale Stojałowskiego skreślono z grona prałatów Ojca Świętego.

W roku 1894 arcybiskupstwo lwowskie ogłosiło zwolnienie ks. Stojałowskiego od kar kościelnych, co nie przeszkodziło, że w roku 1895 nuncjusz papieski w Wiedniu suspenduje go na nowo z powodu niedotrzymania przez Stojałowskiego przyrzeczeń. W roku następnym ten sam nuncjusz suspenduje go ponownie, a Święta Kongregacja w Rzymie ogłosiła dekret, orzekający na ks. Stojałowskiego kłatwę imienną, zabraniającą stykania się wiernych z nim i czytania wszelkich jego wydawnictw.

Jakie straszne następstwa mogła i powinna przynieść ta kłątwa, wiedzą ci, co znali ówczesne stosunki. Że ich nie przyniosła, świadczyło to o ogromnej popularności Stojałowskiego i przywiązaniu, jakim go darzyły szerokie warstwy ludności, stawiając je wyżej od posłuszeństwa władzom kościelnym.

Dziś te smutne wypadki należą już do odległej przeszłości, którą się niewielu ludzi zajmuje. Nie mówią o nich ci, co byli ofiarami, bo ogromna ich większość już mówić nie może, nie podnoszą ich ludzie obojętni, a tym mniej ci, co byli sprawcami

wiedząc, że one stanowią jedną z czarnych plam na ich działalności. Nie wiem czy zdołało to zapomnieć polskie duchowieństwo, które nie tylko dało się zaprzęgnąć w rydwan polityki i interesów możnych, ale nadużywało powagi i praw Kościoła do tych celów.

Tej strasznej Golgoty ówczesnej nie mogą jednak zapomnieć ci, co ją przechodzili, a przede wszystkim nigdy nie powinni zapomnieć jej chłopci. Może klątwą kościelną nie przejmowali się zbyt wcześnie przywódcy polityczni chłopów, wychowani w innych zasadach i żyjący w innym środowisku, mógł ją nawet ks. Stojałowski odczuwać tylko jako niesłychany akt zemsty politycznej, mogli ją razem piętnować i boleć nad jej następstwami, ale jej nie przeżywali tak tragicznie jak chłopci.

Ci chłopci bowiem bez wyjątku byli wierni religii i Kościołowi bez żadnych zastrzeżeń, a darząc duchowieństwo swoim zaufaniem, wiedzieli równocześnie, że sprawa wyzwolenia z nałożonych im kajdan jest słuszną i sprawiedliwą, dlatego też stanęli z tymi, co szli w ich obronie.

Wierząc święcie, że Kościół to ich najlepszy opiekun, jemu powierzali swoje przyszłe życie. Tymczasem, co za straszny zawód i druzgoczące ich wiarę odkrycie!

Ten Kościół i jego służby chwytają się najdrastyczniejszych środków przeciw tym, co się zajęli losem chłopów, skazując ich bezlitośnie na ciężkie doświadczenia fizyczne i cierpienia moralne, klątwę mściwą rozciągając na tysiące ludzi, starając się z nich zrobić trupy za życia, odsądzając ich od przyszłości. On im zostawia unizoność i upodlenie, albo też czeluście piekielne.

O cierpieniach tych ludzi świadczyły sceny po kościołach, spazmatyczne płacze przerażonych kobiet, niepokój rozdzierający serce i duszę. Toteż oprócz załamania się nienaruszonych dotąd wierzeń przyszły rozmyślanie i refleksje. Dręczeni ludzie, ochłonnawszy trochę, musieli sobie postawić pytanie, jaka jest wina prześladowanych, kto to robi i w czyim interesie? Gdzie się podziały przykazania miłości bliźniego, gdzie uczynki miłosierdzia, tak gorąco zalecane, gdzie pomoc i współczucie dla cierpiących? Dlaczego przyjęcie w dom i nakarmienie nieszczęśliwego ma być tak wielkim grzechem? Dlaczego człowiek głoszący prawdę ma być ścigany nie tylko jak zbrodniarz, ale zabijany na duszy i ciele? Dlaczego wbrew głoszonym zasadom Kościół i duchowieństwo dało się użyć za narzędzie gwałtu w obronie interesów panującej kliky?

Dlaczego Kościół swoich rygorów nie stosuje do różnych wyrodków, przestępców i krzywdzicieli, ale do kapłana, który głosi prawdę?

Śmiem twierdzić, że odpowiedzią mogły być nieobliczalne następstwa dla Kościoła, gdyby ci, nad którymi się znęcali jego śludzy, chcieli sobie znaleźć inną drogę.

Upłynęło od tych wypadków lat wiele, stosunki uległy gruntownym zmianom, niewiele jednak zmieniło się duchowieństwo. Jego postępowanie i dziś budzi wiele niepokoju i mimo woli narzuca pytanie, czy ta sól ziemi zbytnio nie wietrzeje?

Ja zetknąłem się z ks. Stojałowskim osobiście po raz pierwszy w Tarnowie na pogrzebie Sanguszki, po którym urządził zebranie, rozbite przez księżących oficjalistów. Następnie dopiero w roku 1908 w Sejmie galicyjskim. Zabrał on wówczas głos w dyskusji budżetowej, atakując rząd, jego gospodarkę i większość sejmową, a najbardziej posła Stapińskiego. Mimo talentu krasomówczego, jakim rozporządzał, i wielkiej znajomości rzeczy, widać już było u niego starość i zmęczenie. Stracił on był już wówczas wielką część swoich wpływów, szczególnie w walce z ludowcami, czuł się chory, złamany i zniechęcony.

Na krótko przed śmiercią cały swój dorobek, jaki mu pozostał, przekazał Związkowi Ludowo-Narodowemu na ręce posła Zamorskiego, pismem skierowanym do swoich przyjaciół. Dokument ten ukazał się w *Wieńcu* i *Pszczółce* dnia 15 października 1911 roku, a już w dniu 23 października, zatem w parę dni później ks. Stojałowski życie zakończył. Zakończył je w Krakowie w zapomnieniu i nędzy, natomiast pogrzeb jego zgromadził olbrzymie tłumy ludzi. (Przemawiałem tam z wielkim wysiłkiem, nie mogąc opanować cisnących się łez)*.

Testament jego polityczny miał bardzo niewielkie znaczenie, gdyż ks. Stojałowski, jak to nadmieniałem wyżej, stracił większą część swoich zwolenników, a i reszta nie chciała iść pod komendę narodowej demokracji, ani też desygnowanego przez nią do kierownictwa posła Zamorskiego. Właściwym jego spadkobiercą, i to wbrew woli ks. Stojałowskiego, stało się Stronnictwo Ludowe.

Powiaty zaś, w których więcej pracował ks. Stojałowski, należą dziś do najlepszych tak pod względem zdrowia moralnego, jak i solidności chłopów. Dotyczy to szczególnie Małopolski środkowej. Zachodnie powiaty były gorsze, więcej tam było warcholstwa, samolubstwa i małostkowości.

Jakkolwiek do obozu ks. Stojałowskiego nie należałem ani chwilę, nie zgadzałem się też z jego programem, a często i postępowaniem, miałem dla niego wielki szacunek i nigdy przeciw niemu nie wystąpiłem, chociaż prowadził ze Stronnictwem zaciętą walkę, często nie przebieającą w środkach.

* Zdania wykreślone w oryginale.

Nie wiem dotąd, czy zarzut, jakoby zerkał w stronę Moskwy i od żandarmerii carskiej pobierał pieniądze, miał jakąkolwiek podstawę. Słyszałem go kilkakrotnie występującego i na wiecach i w Sejmie. Przemawiał przeciw zachłanności niemieckiej i wzywał do stworzenia frontu słowiańskiego, co uważano wtenczas za niedopuszczalną propagandę panslawistyczną. Ja byłem zdania, że miał zupełną rację. Trzeba być chyba całkiem ślepym, ażeby nie widzieć nie tylko tendencyj niemieckich, ale i zaborów olbrzymich w ciągu wieków dokonanych. Na nich się zapewne nie skończy, lecz przyjdą próby nowe. Niemcy będą się chciały rozprzestrzenić. Na zachód iść im trudno. Pójdą więc na wschód. Jeśli nawet robią jakąś przerwę ze względów taktycznych, a czynią to wtenczas gdy z którymś z państw słowiańskich zawierają układy, to mają w tym cel podwójny: odwrócenie uwagi od ich zamierzeń i przerwanie łańcucha, wiążącego państwa słowiańskie. Nie może zresztą być inaczej. Historia wielu stuleci daje drastyczne przykłady niemieckiej polityki i postępowania.

Ks. Stojałowski znał nie tylko historię, ale znał także i ówczesne Niemcy, dlatego przestrzegał przed walcem, po którego przejściu nic się nie podniesie, a wiedział także, że gada krzyżackiego nie da się niczym ugłaskać. Mógł on zrobić dużo więcej, gdyby go chciano zrozumieć gdzie należy, a nie ścigano jak dzikie zwierzę.

Ludzie, których sobie dobrał, nie tylko że mu przynieśli wiele zmartwień i odebrali zdrowia, ale narobili też niemało szkody. Włosy rosły na głowie, gdy mi jeden z b. jego zwolenników, Jan Kubik, opowiadał, jak oni się zachowywali. Choć Kubik wówczas już przyjacielem Stojałowskiego nie był i w czasach dla niego ciężkich go opuścił, ale musiał być sprawiedliwy, gdy trzeba było ocenić zasługi ks. Stojałowskiego i skwalifikować tych, co na jego pracy robili brudne interesy, kompromitując tak ideę, jak i stanowisko, które dzięki niemu posiadali. (Pamiętam nazwiska tych ludzi, lecz wolę je zamilczeć) *.

Wiele już o tym pisano, że Polskie Stronnictwo Ludowe wzięło swój początek od Towarzystwa Demokratycznego, założonego na wychodźstwie we Francji przez byłych uczestników powstań narodowych.

W roku 1894 w czasie powszechnej wystawy krajowej we Lwowie założono oddział tego towarzystwa, na czele którego stanął dr Karol Lewakowski, głośny swego czasu poseł do parlamentu austriackiego, wybrany ze Lwowa. W krótkim stosunkowo czasie, bo już w roku 1895, na zjeździe w Rzeszowie, Pol-

* Zdania wykreślone w oryginale.

skie Towarzystwo Demokratyczne przekształcono na Polskie Stronnictwo Ludowe.

W przeciwieństwie do utworzonego przez ks. Stojałowskiego „Stronnictwa Chrześcijańsko-Ludowego”, opartego o encyklikę papieską „*Rerum Novarum*”, Polskie Stronnictwo Ludowe stało na gruncie szerokiego liberalizmu i radykalnego programu społecznego w stosunku do wielu zagadnień. Ostrze jego walki zwróciło się w pierwszym rządzie przeciw szlachcie i wielkiej własności, które miały w swoim ręku Sejm Galicyjski we Lwowie i Koło Polskie w Wiedniu, a idąc ręką w rękę z rządem, opanowały zupełnie niepodzielnie życie całego kraju. Walka rozszerzyła się także na wszechwładną biurokrację, spełniającą przeważnie wolę wielkiej własności i pilnującą jej interesów z wielką szkodą i krzywdą dla chłopów. W pomoc wielkiej własności pośpieszyło też wielu księży, występując gwałtownie przeciw nowemu ruchowi, obawiając się także i o siebie, gdyż ruch ten walcząc z nadużyciami i ze zdzierstwem nie mógł także ominąć i księży, z których wielu pod tym względem wcale nie stanowiło wyjątku.

Na wsi pomiędzy ks. Stojałowskim a ludowcami rozpoczęła się zacięta walka, przybierająca bezustannie na sile. Ks. Stojałowski prowadził ją z wielkim impetem, zarzucając ludowcom, że są żydowskimi parobkami i masonami, wrogami wiary chrześcijańskiej. Bardzo często znajdował też u ludności posłuch. Ludowcy również nie próżnowali, odwiedzając się Stojałowskiemu.

Do wzmożenia się walki między ludowcami a ks. Stojałowskim przyczyniły się w dużej mierze wybory do Sejmu galicyjskiego w roku 1895. Na czas tych wyborów namiestnik Badeni ks. Stojałowskiego zamknął w więzieniu, uniemożliwiając mu wszelką akcję. Na podstawie specjalnego porozumienia się z ks. Stojałowskim przeprowadził je Stapiński, zagarnawszy posłów wybranych dla siebie. Rozżalony ks. Stojałowski, nie szczędząc gorzkich zarzutów Stapińskiemu, prowadził walkę przeciw ludowcom ze zdwojoną zaciętością. Miał zresztą słuszość, gdyż wybory do Rady Państwa w roku 1897 dały Stojałowskiemu 7 mandatów, gdy ludowcy otrzymali ich tylko trzy. A wybory odbywały się na tym samym terenie i w tych samych warunkach.

Praca Polskiego Stronnictwa Ludowego, prowadzona przez dr. Lewakowskiego, Rewakowicza, Wystoucha, jego żonę Marię, niektórych inteligentów i włościan, szła bardzo powoli. Wielkimi sukcesami nie mogła się też pochwalić wydawana przez tych ludzi gazетка pod tytułem *Przyjaciel Ludu*. Powodem była nie tylko ciemnota i ospałość wsi, nie tylko walka, jaką stronnictwu i jego organowi wypowiedziały władze świeckie i duchowne, lecz

także nieznamość chłopów i wsi przez tych, co chcieli być jego przewodnikami. Tak dr Karol Lewakowski jak też Henryk Rewakowicz byli nie tylko ludźmi na wielką miarę, ale też szczerymi przyjaciółmi chłopów, nie byli jednak zdolni wykonać tej ciężkiej, czarnej roboty, nie mogli trafić do chłopskiej lepianki, a nie mogli też często tego chłopów zrozumieć.

Bolesław Wyślouch, człowiek nad wyraz ścisły, rzetelny i pracowity, sprawie ludowej przez długi czas oddany, ginął w drobiazgach, nudząc do niemożliwości najbardziej nawet wytrwałych słuchaczy. Żona jego Maria, aczkolwiek całą duszę wkładała w tę sprawę, nie mogła wyrównać bardzo licznych braków.

Toteż Polskie Stronnictwo Ludowe przez czas długi nie stanowiło większej siły i nie odgrywało poważniejszej roli.

Jan Stapiński

Prawdziwy rozpęd udzielił się Stronnictwu dopiero wówczas, gdy kierownictwo tak Stronnictwa jak i jego organu objął Jan Stapiński. Za jego prezesury doszło ono też w dawnej Galicji do największej siły i znaczenia. Pracę w Stronnictwie zaczął on od wczesnej młodości jako student uniwersytetu we Lwowie, zmuszony uczelnię tę opuścić podobno z powodu braku środków.

Przyniósł on do Stronnictwa to, czego mu ani Lewakowski ani Rewakowicz dać nie mogli: gruntowną znajomość wsi i chłopów, wielką energię i wytrwałość w pracy. Ja go długi czas nie widziałem, ani nie słyszałem mówiącego, ale chłopci, którzy go znali bliżej, byli z niego zadowoleni, mówiąc, że „śpiewa jak szczygieł”.

Kiedy go poznałem później, widziałem, że żył niesłychanie skromnie, a nawet w niedostatku. Chodził nieraz w ubraniu z dziurawymi rękawami, nosił buty, z których wyglądały palce, często się obchodził bez śniadania lub obiadu, nie mając go czym zapłacić. Nie zważając na wszystkie trudności i przeszkody, przebiegał całe mile piechotą, odwiedzając znajomych, zbierając potrzebne wiadomości i informacje.

Znał wszystkich wybitniejszych i wpływowych chłopów w każdym powiecie na wylot, bywał u nich w domu, wyróżniał, chwalił, zachęcał, podniecał ambicję, całował się ze wszystkimi przy każdej sposobności. Znał też doskonale zwyczaje i obyczaje chłopów, znał ich błędy i narowy, słabe i dobre strony i umiał też po mistrzowsku grać na nich. Mówił do chłopów dobrze, zrozumiale i przekonywująco, starając się im pochlebiać jak naj-

więcej. Zdolny był w każdej chwili do prośby i groźby, do gniewu i płaczu, jeżeli mu to było potrzebne. Kiedy widział, że żadne argumenty nie pomagają, zaklinał się i ciałem i duszą, przysięgając się na przyszłość i zbawienie swoje i swojej rodziny. Wiedział niezawodnie, że przysięga taka miała wtenczas u chłopów ogromne znaczenie. Nieraz na zebraniach płakał publicznie jak bóbr, zaklinając się, że nie ma nawet na śniadanie, a coś dopiero mówić o innych potrzebach i wydatkach, już nie dla siebie, ale dla Stronnictwa. Robił to szczególnie wtenczas, kiedy powszechnie wiadano, że złe czasy dla niego już dawno minęły.

Z tych jego wybuchów i występów wielu kpiło, uważając je za śmieszne i niepoważne, długo jednak było więcej takich co mu wierzyli, litując się głośno nad biednym prezesem, który pracując dla chłopów, sam nie ma co do ust włożyć. Oni też zawsze decydowali na jego korzyść.

Umiał też ożywić i *Przyjaciela Ludu*, starając się dostosować go do interesów chłopów i uczynić zajmującym. Była to rzecz nie bardzo łatwa, bo nieraz musiał go sam napisać od pierwszej do ostatniej stronicy, a nawet osobiście ekspediować. Nie mniejszą trudność sprawiała mu prawie zawsze strona finansowa pisma, bo jeśli niełatwo było zdobyć czytelników, to daleko jeszcze trudniej tych, co by chcieli płacić.

Do ludzi bliskich Stapińskiemu nigdy nie należałem, nie mogłem też znać jego drogi, często bardzo w polityce wielką tajemnicą zasłoniętej. Odsłaniał ją przed swoimi najbliższymi, jakimi byli Bojko, Olszewski, Budzyń, Bernadzikowski i kilku może innych jeszcze. Szczegółne świadectwo pod tym względem wystawiał mu nieraz Bojko, zaznaczając: „Wy posądzacie Stapińskiego o jakieś tajemnice, bo go nie znacie, on jest taka chlapa, co by na siebie grzech śmiertelny powiedział, gdyby o nim wiedział”. Bardzo trudno było to dobroduszne oświadczenie pogodzić z różnymi skokami i machinacjami, których dokonywał Stapiński. Choć pozostawałem z nim często na wojennej stopie, gotów jestem twierdzić, że przyszedł on do polityki ludowej z czystymi zupełnie intencjami, „praktycznym” zrobiły go dopiero stosunki, które mu pomogły wziąć sobie zapłatę za to, że przez lat dwadzieścia i pięć „lizał chłopskie mordy”.

Gdyby jego praca odbywała się w innych warunkach materialnych, może o podobnej zapłacie byłby nie pomyślał.

Jakkolwiek było, co robił Stapiński i jak skończył swoją polityczną karierę, nie mogę nie uznać i ciężkiej jego pracy i zasług, jakie mimo wszystko oddał ruchowi ludowemu, tworząc z chłopów siłę, która im pozwalała się bronić i o swoim losie decydować. Słabą jego stroną były nie tylko zmienność i prze-

sadna często demagogia, w którą sam nie wierzył, ale zupełne lekceważenie strony moralnej w polityce, co się stało nie tylko przyczyną jego upadku, ale zdemoralizowało wielu nawet bardzo wartościowych ludzi. I jakkolwiek nawet Pismo Święte twierdzi, że „nie masz ucznia ponad mistrza”, to przy Stapińskim zasada ta nie może mieć zastosowania, gdyż uczniowie mistrza pozostawili daleko za sobą. Bo kiedy polityka ludowa dla niego była jeszcze pewną choć mocno połamaną ideą, to dla jego wiernych uczniów stała się już tylko przedsięwzięciem. A gdy on za pobrane łapówki dostał się pod gilotynę polityczną, oni dóbr nagromadzonych z jego łaski używają dalej w zupełnym spokoju.

Barbara Stapińska

Pierwsze fale ruchu ludowego wyrzuciły na powierzchnię bardzo niewiele kobiet. Choć tu i ówdzie trafiła się śmielsza i umiała się przeciwstawić nawet wojującemu proboszczowi, to nie mogła się zdobyć prawie żadna na występ publiczny. Nie zachęcali ich też mężczyźni, powtarzając im często anegdoty o długich włosach i krótkim rozumie. Toteż było dość dziwne, że żona Jana Stapińskiego, Barbara Stapińska, nie tylko odważyła się na publiczne występy, ale zaczęła grać pierwsze skrzypce w tym na wskroś męskim Stronnictwie.

Stanowisko podobne zdobyła ona sama dzięki swoim zaletom. Tych zalet zaś miała ona niemało.

Była to kobieta ambitna, zdecydowana, przy tym zręczna i układna, odznaczająca się dużym osobistym wdziękiem. Ponieważ utarło się przekonanie, że jej wola decydowała nieraz o wszystkim w Stronnictwie, kręciły się koło niej takie roje ludzi, że tam trudno było się czasami dostać. Występowała też na zgromadzeniach i mówiła dobrze, ujmując sobie chłopów tak swoimi występiami, jak i osobistymi rozmowami, które lubiła i umiała z nimi prowadzić. Niektórzy wymyślali na te babskie rządy, ale w oczy nie śmieli jej nic powiedzieć.

Szczególnymi względami darzyła „kochanego Jakuba Bojkę”, który się też czasem poważył uczynić jej jakąś uwagę. Niewiele sobie jednak z niej robiła, klepiąc go dobrotliwie po ramieniu. Na mnie była zawsze krzywa wiedząc, że należę do jej przeciwników i staram się ją omijać, gdzie to tylko możliwe.

Kiedy raz w 1911 roku zajechałem do Krakowa, ażeby ze Stapińskim porozumieć się co do akcji wyborczej, dowiedziałem się, że go nie ma w domu i chciałem zaraz wyjść. Jednakże oświadczył mi sekretarz redakcji, że pani wszystko ze mną załatwi,

ale teraz nie ma czasu, bo u niej jest poseł Bojko i trzech innych panów, których on nie zna. Kiedy mu powiedziałem, że ja do niej nie mam nic i brałem za kłamkę od drzwi, aby wyjść, raptem wpadła Stapińska i uprzejmie, ale bardzo energicznie, poprosiła mnie ze sobą. Opierałem się jeszcze, ale nie było rady, musiałem ustąpić.

Posadziła mnie w osobnym pokoju, prosząc bym zaczekał parę minut, bo ona ma u siebie „dwóch hrabiów i jednego radcę namiestnictwa”, którzy przybyli w sprawie wyborów do Rady Państwa i musi z nimi dokończyć rozmowy, bo nie chce, ażeby się Jaś tym zajmował. Rozmowę było słyhać przez drzwi, ale nie starałem się nic z niej wylapać.

Za pół godziny przyszła do mnie, mówiąc już od progu: „No wie pan, ale ich wymaglowałam! Nie ma pan wyobrażenia, jaka kara Boża zrobiła się z tymi ludźmi, jak tylko wybory zostały rozpisane. Przyszło mi dwóch hrabiów i chcą koniecznie, ażeby Stronnictwo postawiło ich kandydatury, ale się boją ruszyć groszem. Kiedy ich przyparłam do muru, wili się na wszystkie strony pytając, czy ja im dam gwarancję, że będą na pewno wybrani. Co za wielcy panowie! Dobrze, że nie chcieli, żeby im do wyborów dopłacać, albo żebym ja poszła za nimi agitować. Ale im tak nagałam, że kto wie, czy im się nie odechce tych mandatów chłopskich. Ten radca to już był mądrzejszy, bo się nic nie odezwał”.

Nie śmiałem się pytać o nazwiska upartych kandydatów, choć za chwilę powiedziała to sama, narzekając na Bojkę, że jej w ciężkiej pracy z nimi nic nie pomógł.

„Dlaczegoż się pani męczy tymi sprawami, przecież pan przes dałby sobie łatwiej radę?” niechący zauważyłem. „Myli się pan” — odrzekła głośno więcej niż energicznie — „on jest taka baba ustępliwa, że wszyscy z nim robią co chcą, ze mną tak nie idzie! Ja wiem, że i pan się boczy na te niby moje rządy, ale niech mi pan wierzy, że jakby nie ja, to by wam ludzie w tym Stronnictwie wszystko rozdrapali”.

Ponieważ przyszli nowi interesanci, pożegnałem panią prezesową i wyszedłem, nie wspominając nic o swojej sprawie.

Na ulicy Szewskiej spotkałem Stapińskiego z dwoma nieznanymi mi chłopami, a kiedy mu powiedziałem zdziwiony jego obecnością w Krakowie, że u niego odbywają się tak ważne sprawy, on śmiejąc się odpowiedział, że już nie może znieść najazdu kandydatów, żona zaś łatwiej sobie daje radę z nimi. Załatwiwszy się z nim, wróciłem zaraz do domu, nie mogąc się wydziwić, że ci dwaj hrabiowie z jednym radcą wybijali takie pokłony przed Stapińską i wysłuchali niezbyt przyjemnego jej kazania. Tak przy-

najmniej przedstawiał mi to Bojko. Nawiasem powiedziawszy, weszli oni wszyscy trzej do parlamentu i odegrali wybitną rolę tak w kraju jak też i w Stronnictwie.

Opozycja

W gruncie rzeczy Stronnictwo opierało się na nielicznych inteligentach, mocno do niego przywiązanych, mężach zaufania, rozsianych po wsiach, i czytelnikach *Przyjaciela Ludu*, których liczba po przejściu tego pisma przez Stapińskiego bardzo znacznie wzrosła. Kongres, stanowiący formalnie najwyższą władzę w Stronnictwie, zbierał się bardzo rzadko tak, że o polityce Stronnictwa decydowała właściwie Rada Naczelna. Toteż do jej składu przywiązywał Stapiński bardzo dużą wagę, starając się do niej wprowadzić jak najwięcej oddanych mu ludzi. Przy ich pomocy przeprowadzał on wszystko, co chciał, choć opozycja przeciw niemu podnosiła coraz więcej głowę.

Opozycję tę stanowiła przeważnie inteligencja, której znaczna część nie mogła się pogodzić zarówno z polityką jak i metodami Stapińskiego. Często się też do niej przyłączał Michał Olszewski, odznaczający się samodzielnym i oryginalnym sposobem myślenia. Poseł Średniawski w swoich wystęпах zwracał zawsze uwagę na stronę moralną i uczciwość w postępowaniu. Gdy też jemu nie ośmieliłby się nikt żadnego postawić zarzutu, to o Olszewskim opowiadano sobie, że jego opozycja była zawsze ze Stapińskim ułożona i wnioski za jego zgodą stawiane. Takiego przynajmniej zdania bywał zawsze opozycjonista Jan Dąbski.

Mnie w Stronnictwie uważano za wytrwałego pracownika, zręcznego agitatora i dobrego mówcę. Choć się nigdy do górnych sfer Stronnictwa nie pchałem, Stapiński bardzo rychło, bo już w roku 1899, zwrócił uwagę na mnie, zdaje się zachęcony przez Olszewskiego.

Odwiedził mnie kilka razy w domu, starał mi się iść na rękę na każdym kroku, przeprowadził mój wybór do Rady Naczelnej, co było bardzo dużym wyróżnieniem. Później się to jednak gruntownie zmieniło. Ja zmuszony byłem wystąpić bardzo często przeciw Stapińskiemu, on też nie pozostał dłużny, starając się podkładać mi nogi, szczególnie w powiecie tarnowskim. Równocześnie tłumaczył mi się nieraz ze swojego postępowania zaręczając, iż nie może być inaczej, o czym się przekonałem w dalszym swoim życiu. Wiedziałem, że mimo przyjemnej miny robotę przeciw mnie rozpoczął całą parą. Nie robił tego sam, lecz

zawsze próbował to czynić obcymi rękami. Z początku dał się użyć za narzędzie nawet poseł Olszewski. Widząc jednak moją pracę i wzrastające wpływy, rychło się z tego wycofał. Poseł Bojko robił tylko krzywą minę, omijał mnie w sposób widoczny, ale otwarcie nie chciał, czy nie mógł wystąpić. Roli tej podjął się Jan Padło, wzbogacony a przy tym pusty chłop z Kielanowic, który swoją ruchliwością zdobył sobie w górnej części powiatu tarnowskiego dość znaczne wpływy. Pomagał mu Józef Kita ze Siedlisk, późniejszy mój gorący zwolennik. Dałem sobie z tym łatwo radę.

Posel Olszewski i różne wiadomości

W czasie ogólnych wyborów do parlamentu austriackiego w roku 1907 przeprowadziłem bardzo energiczną robotę, agitując za Olszewskim w całym okręgu wyborczym. Jako mający najwięcej głosów, zostałem zupełnie niespodziewanie wybrany zastępcą posła Olszewskiego. Spotkawszy się ze mną w parę dni po wyborach oświadczył mi kategorycznie, że oceniając moją pracę, na ostatnie dwa lata bieżącej kadencji odstąpi mi mandat do Rady Państwa, sam zaś będzie kandydował do Sejmu. Do tego nie doszło, bo ja się nie upominałem i on widocznie o tym zapomniał. Nie był to wprawdzie pierwszy mój krok, ale może pierwsze wyraźne i zaszczytne wyróżnienie, dające mi podstawę do większych występów politycznych.

W zimie w roku 1907 spotkał mnie w Tarnowie Olszewski, a zaprosiwszy do restauracji, zaczął szeroko opowiadać o stosunkach w Stronnictwie, polityce Stapińskiego i jego zamiarach na przyszłość. Zastrzegając się co do zupełnej poufności, oświadczył mi z wielką powagą, że prawdopodobnie nastąpią bardzo duże zmiany, tak w stosunku do konserwatystów w Sejmie Galicyjskim, jak również co do Koła Polskiego w Wiedniu. Stapiński prowadził w tym kierunku już od dłuższego czasu rozmowy, które na pewno zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem. Kończąc zapytał się, jaki ja mam pogląd na te sprawy i jak się chłopcy zachowają, gdy się o tym dowiedzą.

Byłem zaskoczony, ale i zdumiony. Niedawno przecież ten sam Stapiński głosił jak najostrzejszą krucjatę przeciw wszystkim obszarnikom twierdząc, że wtenczas dopiero spocząć należy, gdy ich czaszkami zostaną wybrukowane ulice miast, a szczególnie Warszawy. Przekonywał nas nieraz bardzo wymownie, że zgoda z konserwatystami może się zakończyć upadkiem i śmiercią Stronnictwa, a łączenie się z Kołem Polskim to uznanie jego ro-

boty, aprobatą jego służalczej i dla ludu zabójczej polityki. Obecnie przekreśla to wszystko za jednym zamachem.

Posłowi Olszewskiemu też to powiedziałem otwarcie zaznaczając, że zmiana podobna może przynieść zupełne załamanie u chłopów, którzy tego koziołka nie zrozumieją i nie darują nikomu, a więc także i Stapińskiemu.

Olszewski mnie uspokajał, że tak znowu źle nie będzie, gdyż nie ma żadnego ustępstwa z programu ani kapitulacji, lecz tylko skrócona droga, która zaprowadzi znacznie prędzej do wytkniętego celu. Chłopi na tym mogą tylko zyskać, bo unikną męczącej ich walki tak z władzą świecką jak i duchowną, gdyż wtenczas i biskupi zmienią swoje postępowanie. Wchodzi tu również w grę interes bardzo wielu chłopów, związanych z Bankiem Parcelacyjnym, któremu grozi bankructwo. Można zresztą uczynić próbę na pewien czas, a gdy ona się nie powiedzie, wtenczas się wycofać. On rozmawia na ten temat z różnymi wybitnymi działaczami, którzy się przeważnie zgadzają. Kiedy go zapytałem, którzy to są ci działacze, wymienił mi Bojkę, Bernadzikowskiego, Budzyna, Wójcika, Ptaka i cały szereg innych. Tak jemu jak i Stapińskiemu bardzo zależy na mnie i dlatego przyjechał, ażeby moją zgodę uzyskać.

Bardzo lekko nadmienił, że wkrótce odbędą się wybory do Sejmu. Stapiński mu proponował, by postawił swoją kandydaturę w powiecie tarnowskim. On jednak uważa, że będzie najlepiej, ażeby ja kandydował. „Wprawdzie Stapiński jest do ciebie uprzedzony — napomknął — i chciał nawet ten powiat odstąpić konserwatystom, ale ja się postaram, by tego zamiaru zaniechał, gdyż wiem, że on był ostrzem przeciw tobie zwróconym”. Oświadczyłem Olszewskiemu, że osobiście jestem stanowczo przeciwny tym kombinacjom, tak ze względów zasadniczych jak i taktycznych, a co do mojego kandydowania, to mam jeszcze dość czasu do namysłu. Na tym się nasza rozmowa o tych sprawach skończyła.

C z ę ś ć I I I

W SEJMIE KRAJOWYM

Zebranie delegatów w Tarnowie

Tymczasem wbrew mojemu przewidywaniu wybory do Sejmu galicyjskiego zostały rozpisane. Kuria gmin wiejskich miała wybierać 25 lutego 1908 r. Ponieważ w powiecie tarnowskim czuć było robotę przedwyborczą, mogłem wnioskować, że okręgu tego konserwatystom nie odstąpiono. Na parę tygodni przed wyborami zostało zwołane zebranie delegatów gmin z całego powiatu celem ustalenia osoby kandydata. Na kilka dni przed terminem zaprosił mnie znów Olszewski. W rozmowie zaznaczył, że Stapiński wobec niego zgodził się na moją kandydaturę, choć on w jego szczerość w tej sprawie nie wierzy, gdyż więcej mu dogodna kandydatura Włodka. Namiestnik Potocki obiecał zupełną bezstronność co do powiatu tarnowskiego. Mnie więc radzi kandydaturę swoją postawić, licząc na chłopów i na jego poparcie. Ponieważ na uchwały delegatów może wpłynąć decydująco dobre przemówienie, doradza, ażebym się do niego przygotował. Oświadczyłem mu, że sam swojej kandydatury nie zgłoszę, mogę ją zaś przyjąć, gdy ją zgłosi kto inny i uzyska ona znaczną większość głosów delegatów. Starań i zabiegów nie będę robił żadnych, bo mnie na to nie stać. Jeżeli chłopci chcą, niech mnie wybierają, a jeśli nie, to niech sobie wybiorą kogo innego. Olszewski powiedział mi, że tak ultymatywnie nie można sprawy stawiać, bo się niejeden gotów obrazić, a odchodząc, dał mi zapewnienie, że on i jego ludzie zrobią, co należy.

W dniu oznaczonym zebrali się delegaci w sali Sokoła II w Tarnowie. Ja również przybyłem jako przedstawiciel gminy Wierzchosławice. Po otwarciu zebrania i przedstawieniu jego celu przystąpiono do zgłaszania kandydatur. Kandydatów było

kilku. Jedni zgłaszali się sami, innych zgłaszali uczestnicy zebrania. Moją kandydaturę zgłoszono z kilku stron. Wezwany przemówiłem bardzo krótko, a przy tym, jak mówiono, zimno i sztywnie. Mimo to odezwały się na sali bardzo liczne i długie oklaski. Innych kandydatów przyjęto zupełnie chłodno, niektórych nawet śmiechem i drwinami. Przy głosowaniu otrzymałem ogromną większość głosów, a drugi poważniejszy kandydat, b. poseł Włodek, dostał zaledwie kilkanaście na ogólną liczbę 250 delegatów.

Przewodniczący ogłosił moją kandydaturę, wzywając innych kandydatów do oświadczenia się, że swoich kandydatur nie podtrzymują. Do wezwania się wszyscy zastosowali oprócz Włodka, który oświadczył, że go ludzie chcą, a zebranie dzisiejsze wcale nie jest miarodajne. Najlepiej rozstrzygną wybory, na które on zaczeka.

Wybory

Mimo olbrzymiej przewagi głosów, jakie otrzymałem na zebraniu delegatów, sytuacja moja była dosyć niepewna i kłopotliwa. Wszyscy w powiecie wiedzieli, że jakkolwiek figuruję jako oficjalny kandydat Stronnictwa — popierany przez Stapińskiego jest Filip Włodek. Uderzało także, że ludzie stojący bardzo blisko posła Olszewskiego głosowali przeciw mnie na zebraniu delegatów. Było to dla mnie bardzo przykrą niespodzianką, bo zachwiało wiarę w szczerość zamiarów Olszewskiego.

Pracę swoją przedwyborczą ograniczyłem do kilku zebrań w różnych częściach powiatu, natomiast przeciw mnie prowadzono silną agitację, przez ludzi przeważnie do powiatu naślanych. Ks. Żyguliński rozwinął także bardzo energiczną robotę, pomagając sobie pieniędzmi i przypominając na licznych zebraniach złamanie postu przeze mnie i inne grzechy niemniej ciężkie, które mi się przytrafiły. Starostwo przynajmniej na pozór zachowało się zupełnie bezstronnie. Wiedziałem, że chłopci trzymają się bardzo dobrze, mimo nagabywań ze wszystkich stron i sami prowadzą agitację za mną, zachodząc do gmin mniej pewnych. Nareszcie nadszedł dzień wyborów. Gdy komisję wyborczą wybrano z samych moich zwolenników, byłem przekonany, że wybór mój jest zupełnie pewny. Tak się też stało.

Zaraz w pierwszym głosowaniu na 154 głosujących otrzymałem 98 głosów, ks. Żyguliński 41, a były poseł Włodek — 14. Zostałem więc wybrany posłem.

Wyborem moim chłopci byli niezwykle uradowani. Krótko przemówiłem do wyborców spod pomnika Mickiewicza, zaznaczając, że nic nie obiecuję, tylko rzetelną pracę według moich sił i możliwości prowadzoną. Do mojego wyboru przyczynił się wówczas w dużej mierze profesor Stanisław Harlender z Lubinki, głoszący jako wirylista. Poseł Olszewski, który przyjechał z gratulacjami, zaprosił mnie razem z wyborcami do restauracji Sułka w Tarnowie, płacąc swymi pieniędzmi dość obfitą poczęstną.

Po moim wyborze Stapiński powiatem tarnowskim przestał się prawie zupełnie zajmować, fronda Dąbskiego ograniczyła się do paru ludzi, zresztą zupełnie nieszkodliwych. Powiat stał się zupełnie jednolity, tak pod względem politycznym jak i organizacyjnym, trzymając się stałej opozycyjnej linii, mimo odmiennych posunięć Stapińskiego.

Układy z konserwatystami

Powszechnie było wiadomo, że układ wyborczy pomiędzy Stapińskim, namiestnikiem Potockim i konserwatystami doszedł do skutku. Mówiono także dość szeroko o jego warunkach, wskazując na dziwne zachowanie się starostów przy wyborach, którzy niektórych kandydatów ludowców wyraźnie popierali. Działacze chłopscy kręcili nad tym głowami i byli mocno niezadowoleni, obawiając się najgorszych rzeczy. Zwracali się też bardzo często do mnie żądając informacji i wiadomości. Nie umiałem nic im powiedzieć, bo sam nic nie wiedziałem.

Opinia wskazywała na Bojkę i Olszewskiego jako tych, którzy mieli uczestniczyć przy układach. Spotkawszy Bojkę w Tarnowie, zapytałem go dość natarczywie o wyjaśnienie. Odpowiedział mi opryskliwie: „Co jest, to się dowiesz później, bo teraz jeszcze na ciebie za wcześnie!”. Gdy niezrażony nadmieniłem, że nie o mnie tylko chodzi, lecz chłopci się tego domagają, odparł już ze złością: „Powiedz im, że są za głupi, ażeby się na takich rzeczach znali, jak się o nich myśli, to niech siedzą spokojnie”. Rozmowę z Bojką powtórzyłem dosłownie kilkudziesięciu działaczom, oczekującym na mnie na ulicy. Złościli się, lecz jeszcze więcej na Bojkę, niż na Stapińskiego.

Pojechałem umyślnie do posła Olszewskiego w Lusławicach. Był ogromnie grzeczny, mówił szeroko i długo, ale skwapliwie unikał rozmowy o układach, schodząc zawsze bardzo zrzęcznie na inne tematy. Nareszcie kiedy przed odjazdem naciskałem na niego, poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Wiesz, że

ja cię nigdy nie oszukałem, ani chłopów też — zapewniam cię Wicuś, że będzie dobrze. Powiedz to wszystkim chłopom ode mnie". Oczywiście, że tyle wiedziałem co i przed tym i o tym chłopom nie miałem nic do powiedzenia. Ze Stapińskim o tej sprawie osobiście nie rozmawiałem nigdy. On też choć często lubił być wielomówny i wylany, o tym ani jednym słowem nie wspomniał, natomiast wyrażał się jak najlepiej o nowym namiestniku, którym został po Potockim prof. Michał Bobrzyński.

Kongres w Rzeszowie

Niezwykłe poruszony ogół członków Stronnictwa spodziewał się pewnego wyjaśnienia na Kongresie, który Stapiński zwołał na dzień 8 marca 1908 r. do Rzeszowa.

U uczestników tego zebrania, przeważnie chłopów, widać było wielkie zaciekawienie i podniecenie i jakby więcej świąteczny nastrój. Dyskutowali pomiędzy sobą drobnymi grupami głośno, a czasami i namiętnie. Wtajemniczeni twierdzili, że Stapiński chce dziś dostać upoważnienie do zmiany polityki dotychczasowej i wprowadzenie wybranych w roku ubiegłym posłów do Koła Polskiego. Przed rozpoczęciem obrad Kongresu poseł Olszewski przebiegał kilkakrotnie salę, prowadząc krótkie rozmowy z różnymi znajomymi. Stapiński stał z kilku luminarzami przy trybunie z miną ogromnie uroczystą.

W swoim dłuższym i dobrze przygotowanym przemówieniu uderzył przede wszystkim w nutę narodową, przedstawiając wszystkie groźne niebezpieczeństwa, wynikające z nienawistnej polityki, stosowanej do Polaków przez obydwa rządy zaborcze: pruski i rosyjski. Jako jedyny środek ratunku pozostaje konsolidacja wszystkich Polaków, szczególnie w zaborze austriackim, gdzie ciesząc się swobodą mogą zrobić bardzo wiele, wywierając korzystny wpływ i na inne zabory, a przede wszystkim na politykę rządu austriackiego. Dotychczasową politykę Koła Polskiego poddał bardzo ostrej krytyce zaznaczając, że musi się ona zmienić na lepsze, gdy tam ludowcy wejdą.

Ruch ludowy i chłopci mogą na tym tylko zyskać, gdyż Koło zaprzestanie polityki obszarniczej, a zajmie się interesami całego kraju, a w szczególności losem chłopów. Ruchowi ludowemu nie grozi też żadne niebezpieczeństwo, bo już jest na tyle świadomy i silny, ażeby sobie na politykę realną pozwolić. Zakończył przemówienie silnymi akcentami i wnioskami z góry przygotowanymi, apelując swoimi sposobami do zebranych, choć nie brakło głosów oburzenia i docinków. Jakiś starszy chłopina,

siedzący obok mnie, w momencie kiedy Stapiński silił się na akordy zgody narodowej, krzyknął prawie na głos: „Ubrał się diabeł w ornat i na mszę dzwoni” — a gdy mówił o swoim oddaniu się chłopom z ciałem i duszą — zawołał: „A to wilk w owczej skórze”.

Po długiej, czasami bardzo gorącej dyskusji, wnioski Stapińskiego zostały znaczną większością przyjęte.

Nikt zapewne z uczestników nie wiedział, że poza wielką ideą, przez Stapińskiego wysuwaną, kryje się początek brudnych szacherek i machinacyj, które się miały niebawem ujawnić.

Nie przerwała ich także śmierć namiestnika Potockiego, który w dniu 12 kwietnia 1908 r. padł z ręki Ukraińca, Sycylińskiego, jako ofiara polityki przez rząd do Ukraińców stosowanej. Nowy namiestnik Bobrzyński był jeszcze bliższy Stapińskiemu i jego polityce.

Układ miał tę dobrą stronę, że dał możliwość wprowadzenia do Sejmu znacznej ilości ludzi inteligentnych, fachowo uzdolnionych, do pracy sejmowej naprawdę przygotowanych. Nie rozumieli oni nas nieraz, ani też naszych dążeń, nie doceniali wielu rzeczy, będących dla chłopów dogmatami, ale w niektórych dziedzinach okazali się niesłychanie pożyteczni. Oddali oni też w Sejmie bardzo duże usługi nie tylko wsi i włościaństwu, ale także i krajowi.

Wybrani posłowie

Między wybranymi wówczas dwiętnastu posłami z naszego Stronnictwa znaleźli się między innymi:

Franciszek Stefczyk, znany twórca kas reiffeisenowskich w Galicji. Człowiek niezwykle zdolny, prawy, pracowity, ludowi na swój sposób oddany, często jednak nie rozumiejący nas, ani naszych dążeń. Chciał on i umiał pracować dla kraju, zdobywać jak najwięcej dla chłopów w dziedzinie gospodarczej, nie uznawał jednak walki klas, uważając ją za niedopuszczalną i szkodliwą. Żale chłopów na krzywdy przeszłości uważał za słuszne, ale pewnym okresem na zawsze zamknięte. Zmienić te stosunki zasadniczo jego zdaniem mogłaby tylko rewolucja, której my zapewne nie chcemy, a on jest też jej zdecydowanym przeciwnikiem. Powtarzał nieraz, że chłopci w Polsce dojdą do wszelkich praw drogą zupełnie legalną, ale muszą poczekać i popracować. Niech oni się też do tego naprawdę zabiorą, a znajdzie się wielu ludzi, co im pomogą. Zdobył on sobie wielki szacunek u posłów chłopów, nie zdołał jednak zyskać nigdy ich zaufania. Nie

zgadzając się z metodami Stapińskiego, stosowanymi w polityce, po paru latach ze Stronnictwa wystąpił. Niespodzianką dużą było dla mnie, że się znalazł w Stronnictwie Katolicko-ludowym, a nawet przyjął tam przewodnictwo.

W powiecie mieleckim został wybrany posłem inż. Andrzej Kędzior, wielce zasłużony dyrektor krajowego biura melioracyjnego we Lwowie. Człowiek nadzwyczaj zdolny, pracowity i zawsze myślący zupełnie samodzielnie.

Bolesław Żardecki, poseł z łańcuckiego powiatu, piastujący mandat poselski po raz drugi czy trzeci, spokojny, mało mówny, realny, sprawie chłopskiej gorąco oddany, położył zasługi, szczególnie w komisjach, jako znawca i orędownik w wielu sprawach chłopów głęboko obchodzących.

Wiktor Skołyśzewski, inżynier z zawodu, został wybrany w powiecie wielickim. Stapińskiego nie znosił, choć mu ustępował. Sprawy nasze znał i dobrze się do nich odnosił. Jego wyłączną zasługą niemal było przeprowadzenie w Sejmie zmiany ustawy łowieckiej, niezwykle chłopów krzywdzącej.

Władysław Długosz, właściciel majątku ziemskiego Siary, Sękowa i podobno kilku kopalni nafty, został wybrany z powiatu gorlickiego. Uchodził u nas za wielkiego bogacza, którego Stapiński wprowadził raczej dla jego pieniędzy. Postępowaniem swoim Długosz przekonał nas wkrótce, że byliśmy w błędzie. Wprawdzie nie pozbył się swoich manier w całości, ale do nas i do spraw chłopskich odnosił się bardzo życzliwie, odznaczał się dużą znajomością rzeczy, a gdzie mógł starał się pomagać.

Kazimierz Jampolski, właściciel dóbr Łówcza, wybrany w powiecie cieszanowskim, w dużej większości ruskim, był podobno wychrztą. Można to było wyczytać na twarzy, poznać po wszystkich jego ruchach. Nigdy nie pytałem o powody, które go sprowadziły do Stronnictwa, ani przeszłości jego bliżej nie badałem. Był to człowiek na wskroś uczciwy, sprawie ludowej całą duszą oddany. Wszedłszy do Sejmu, dostał się w zupełności pod wpływ Dąbskiego, płacąc za to bardzo drogo.

Dr Szymon Bernadzikowski, wybrany posłem z powiatu brzeskiego, był bliskim przyjacielem Stapińskiego i gorącym jego zwolennikiem. Weteran pierwszych ciężkich bojów w sprawach ludowych, mający jak najlepszą kartę z tamtych czasów, w tym Sejmie zupełnie się zmienił. Powód jakoby miał leżeć w tym, iż Stapiński obiecał mu członkostwo Wydziału Krajowego, które na mocy układu miało przyspaść naszemu Stronnictwu. Wywołało też duże zdziwienie, gdy on jako lekarz objął departament sanitarny, który dla chłopów zbyt konieczny nie był. Wyglądało to więc raczej na dość zyskowną posadę. Na tę niewłaściwość zwraca-

cali nam często uwagę kandydaci na szefów departamentów, więcej wieść obchodzących, jak i na zupełną uległość Bernadzikowskiego wobec marszałka kraju, Stanisława Badeniego. Okazało się przy tym, że Stapiński godność ową obiecał kilku ludziom, a miał tylko jedno miejsce do obsadzenia.

Już w Sejmie wstąpił do naszego klubu poseł Stefan Zipser. Był on starym urzędnikiem w zarządzie lasów państwowych, został zaś wybrany posłem w powiecie doliniańskim. To przystąpienie jego do nas wywołało ogromne zdziwienie, bo Zipser z ruchem ludowym nigdy nic wspólnego nie miał. Patrzano też z początku na niego w klubie z wielką nieufnością. Stosunek ten jednak się wnet zmienił, gdyż Zipser okazał się człowiekiem ze wszech miar przyzwoitym, przyjacielskim, starającym się iść nam zawsze jak najbardziej na rękę. Oczywiście, że nie w zasadniczych sprawach politycznych. Poseł demokratyczny dr Maiss powiedział mi w wielkiej tajemnicy, że Zipser został umyślnie do naszego klubu odkomenderowany przez namiestnika Bobrzyńskiego, a jak będziemy grzeczni, to dostaniemy takich panów jeszcze więcej. Rzecz naturalna, że też poufnie powiedziałem to niektórym kolegom, a tajemnica stała się wnet własnością całego klubu.

Pomiędzy chłopami posłami bardzo dodatnio się wyróżniał wspomniany już nieraz przeze mnie Michał Olszewski, właściciel 40 morgowego gospodarstwa koło Zakliczyna we wsi Lusławice. Mądry, przebiegły, energiczny, nadzwyczaj pracowity, zdobył sobie obok Bojki pierwsze miejsce przy Stapińskim i bardzo duży wpływ na politykę Stronnictwa. Nie wszyscy go kochali, ale wszyscy byli z dużym respektem dla jego pracy i rozumu. Słabą jego stroną było chwytywanie się różnych interesów, skupywanie majątków ziemskich, prowadzenie parcelacji, co dawało powód do powszechnego opowiadania o jego dorobku i bogactwach. Zaszkodziło to osobiście jemu, a jeszcze więcej Stronnictwu, choć się okazało zupełnym fałszem, gdyż po jego śmierci liczna rodzina znalazła się w nędzy. Stosował on też przy robocie politycznej dość swoiste metody postępowania, które często doraźnie pomagały, ale nierzadko przysparzały nam i jemu sporo kłopotów. Wprawdzie był on posłem do parlamentu, ale nie zaniedbywał także i terenu sejmowego.

Wybraniec powiatu nowosądeckiego i wójt z Zagórzyna, Wincenty Myjak, stanowił dziwną mieszaninę człowieka. Młody zdolny, światły, mający wiele znajomości rzeczy i stosunków, a przede wszystkim nos polityczny, nigdy się nie mógł zabrać do żadnej roboty. Był nieubłagany przeciwnikiem Stapińskiego, a krytykując go, nie przychodził z żadną swoją myślą, ani kon-

cepcją. Na posiedzenia zawsze się spóźniał i to nieraz całymi godzinami. Zwykle drwił ze wszystkiego twierdząc, że jesteśmy sprzedani jak barany, możemy robić co zechcemy, ale to się zda „psu na buty”. Machał zwykle ręką na wszystko i wychodził na czarną kawę albo też na drugie śniadanie.

Posel Michał Jedynak, były stojałowczyk, wybrany z powiatu ropczyckiego, bardzo realnie patrzący na świat, odznaczał się wielką sumiennością w pracy i trzeźwością sądu. Stapiński odnosił się do niego nieprzychylnie, uważając go za samoluba.

Adam Krężel, poseł powiatu pilzneńskiego, skryty, mało mówny i dość niewymowny, blisko koło mnie stojący, dbał o powiat, myślący także o sobie, okazał niezbyt szlachetny charakter, gdyż przy drobnej pokusie w czasie drugiej kadencji sejmowej wziął od Długosza 600 koron za pozostanie przy Stronnictwie.

Przeciwnieństwo Olszewskiego stanowił poseł Bojko. Pragnął on zawsze zgody i spokoju, broniąc się przed walką wszelkimi sposobami, ciągnący zawsze do wielkich, żądny wyróżnienia i wiecznych kadzideł, reprezentujący dekoracyjną stronę Stronnictwa, wydawał się być przylepionym do niego anachronizmem. Nie taił się nigdy z lekceważeniem i niechęcią do chłopów. Ówczesni kierownicy ruchu ludowego starali się go wszędzie wyróżniać, obawiając się, by nie wyrzucił kozła. Niektórzy zaś, jak np. Długosz, musieli mu się w różny sposób opłacać. Jego walka z duchowieństwem zaczęła się w gręboszowskiej parafii i miała raczej tło osobiste.

Pracę organizacyjną i polityczną w powiecie prowadzili za niego Dybowski i Zakrzewski, dwaj powstańcy z roku 1863 i bardzo dzielni ludowcy. Pomagało im kilku chłopców i wielu akademików. Ze Stapińskim był bardzo dobrze, a chociaż czasami udzielał „Jasiowi” pretensjonalnie swoich rad, a nawet się gniewał, to jedno pogłaskanie „kochanego Kubusia” wystarczyło by się udobruchał i przeciwników Stapińskiego najostrożniej gromił. Cieszył się też wielkimi względami wszechwładnej swego czasu w Stronnictwie Barbary Stapińskiej.

Wyznawał zawsze wygodną zasadę „walka dla innych, zwycięstwo dla niego” i tej zasadzie pozostał na zawsze wierny. Gdy po rozłamie 1913 roku Stapiński najechał na powiat dąbrowski, zwołując tam ogromne zebranie, Bojko napisał do mnie list alarmujący, żądając bezwzględnej przybycia, „gdyż inaczej wszystko przepadnie”. W liście tym drżał z oburzenia, nie szczędząc Stapińskiemu różnych zarzutów a nawet obelg. Kiedy zaś przybywszy na wiec, przeciskałem się przez tłumy chłopów w salę Sokoła zebranych, zobaczyłem ze zdziwieniem, jak dwaj zapaś-

nicy, Bojko i Stapiński, rozmawiali ze sobą na scenie zupełnie przyjaźnie i to w obecności wszystkich. Ja miałem walkę przeprowadzić i wygrać, gdy Bojko zebranych naprzód rozbroił, a potem się schował za scenę i ani słowa nie przemówił. Kiedy zaś zwycięstwo zostało całkowicie przy mnie, a Stapiński odszedł, żegnany kpinami i nieprzyjemnymi okrzykami chłopów, Bojko przyszedł do mnie z miną ogromnie niezadowoloną i powiedział: „Mogłeś przecież tego Stapińskiego trochę oszczędzać, bo nie wiadomo co jeszcze kiedy będzie”. Po czym nie pożegnawszy się tak ze mną, jak i z chłopami stojącymi przy mnie, siadł na wóz i odjechał. Natomiast przystąpiło do mnie kilku włościan, ażeby mi wyrazić swoje niezadowolenie z powodu walki ze Stapińskim zaznaczając, że jak się tak będzie robić, to nigdy nikt chłopem się zajmie, obawiając się jego niewdzięczności. Próbowałem im tłumaczyć, że niesłusznie mieszają dwie ze sobą sprzeczne sprawy, jednak daremnie, gdyż pozostali przy swoim.

Nie chcąc jednak i ze mną źle się rozejść, zaprosili mnie do tzw. „pańskiego” szynku na małą przekąskę. Wszedłszy do niego, zastałem tam elitę chłopów z całego powiatu. Rej między nimi wodził Jan Kasprzak, wójt z Otwinowa, radca powiatowy i bardzo poważny gospodarz. On też zdobył się na gest wielkopañski, bo zamówił sto wódek, następnie sto bomb piwa okocimskiego, które wszyscy na zgodę i moje zdrowie jednym tchem wypili.

Nie bardzo byłem z tego zadowolony, bo nie chcąc być gorszym od niego, musiałem się zdobyć na podobną kolejkę. Obawy moje jednak były nieuzasadnione, gdyż chłopci nie pozwolili mi ani grosza zapłacić. Owi nieprzejednani, choć nieliczni zwolennicy Stapińskiego zmienili się momentalnie zapewniając mnie, że to robili z głębokiego przekonania.

Powiat dąbrowski, zawsze wierny Stronnictwu, zachwiał się po przewrocie majowym, choć szybko wrócił do równowagi.

Jakkolwiek będzie się oceniać postępowanie Bojki i jego zdolności polityczne, przyznać trzeba, że posiadając duży talent literacki, oddał tak chłopom jak i Stronnictwu wielkie usługi. Jego zaś wybór na posła do Sejmu przez miasto Lwów przysporzył nam wiele splendoru i był równocześnie wyrzutem sumienia dla chłopów za ich zachowanie się wobec niego w tym czasie.

Ciekawym człowiekiem był Jan Bis, wybrany posłem z powiatu niżańskiego, drobny rolnik z przedmieścia tego miasta i były burmistrz. Za młodu jeździł na robotę po obcych krajach, przyswajając sobie trochę zalet, a może więcej niepotrzebnych naleciałości. Miał jak najlepsze chęci, rwał się do pracy w Sejmie

i poza nim, nie wiedział jednak, jak to zacząć. Z tych jego występów wychodziły różne absurdy, czasem bardzo śmieszne. W jednym ze swoich, zresztą nielicznych, przemówień nazwał miasteczko Rudnik centralnym punktem świata, koło którego wszystko się obraca i dziwił się niesłuchanie, że tego nie może zrozumieć „ekscelenz hrabia Tarnowski i hrabia Kostium”. Mówiąc to miał na myśli hr. Stanisława Tarnowskiego, prezesa Krakowskiej Akademii Umiejętności i właściciela dóbr dra Kostheima. Słuchając tej mowy posłowie trzymali się ze śmiechu za brzuchy, a myśmy uradzili postarać się o zniszczenie stenogramu, który cały był bukiem samych takich kwiatów. Z początku autor bronił się przeciw temu, ale się później zgodził, gdy się okazało, że żaden z nas nie był zdolny jego stenogramu poprawić.

Cieluch Jan, poseł powiatu grybowskiego i wicemarszałek Rady Powiatowej tamże, zamożny gospodarz ze Stróż, był żywym wzorem spokoju i umiarkowania. Dał się porwać fali ruchu ludowego i prawie bezwiednie płynął na niej, nie mogąc się w żaden sposób zatrzymać. Dobry do gruntu, towarzyski, szczery, uprzejmy aż do przesady, bardzo mało jednak nadawał się do pracy sejmowej, a jeszcze mniej do walki politycznej. Przemawiającego nie słyszał go zdaje się nikt. Natomiast doskonale umiał gotować herbatę, czym mi oddawał bardzo dużą przysługę, mieszkając razem ze mną, bo ja nie miałem do tego najmniejszego talentu.

Michał Łaskuda, poseł z powiatu limanowskiego, sam się nieraz dziwił, dlaczego został wybrany. To pytanie musiałby postawić każdy, kto go poznał bliżej. Sam mu pomagałem nieraz, sądząc, że się wyrobi przy dobrej woli i niezłym charakterze. Musiałem to zdanie o nim zmienić, gdy się dowiedziałem, że za wierność Stronnictwu pobrał taką samą jak i poseł Krężel zapłatę.

Antoni Styła, wybrany w powiecie wadowickim, stanowił typ nieokreślonego i bałamutnego radykała. Oscylował już wówczas pomiędzy ludowcami i socjalizmem. Nie wierzył nikomu, żył uprzedzeniami, na Stapińskiego stale wygadywał, a równocześnie go popierał, wyrażając nadzieję, że się nareszcie poprawi. Poza tym był pracowity, zapobiegliwy, oszczędny, obowiązki swoje skrupulatnie spełniający. Z powiatem miał stały kontakt i starał się robić dla niego jak najwięcej.

Najmłodszym ze wszystkich posłów w klubie był Jan Wasung, wybrany w powiecie rzeszowskim. Bardzo obrotny, zdolny, inteligentny, niemniej jednak z naszą pracą i dążnościami wcale nie związany. Nie odegrał też żadnej poważniejszej roli tak w Sejmie jak w Stronnictwie.

Ukonstytuowanie klubu poselskiego

Donoszono mi, że Stapiński po wyborach sejmowych w ciągu lata zapraszał do siebie wybranych posłów, albo też sam jeździł do nich w odwiedziny. Ponieważ ominął mnie i posłów Jedynaka i Myjaka, mogłem się dorozumieć, co znaczyły te zabiegi. Kiedy widocznie już był pewny siebie, zwołał nowy klub na dzień 22 marca dla jego ukonstytuowania.

Przybyli wszyscy. Po wstępnym przemówieniu Stapińskiego przystąpiono do wyboru prezydium. Prezesem został wybrany Stapiński. Objąwszy przewodnictwo, zaproponował na wiceprezesów Bojkę i mnie. Zaprotestowałem przeciw temu wiedząc, że jest to umyślne rzucanie mnie na głęboką wodę, oczywiście po to, ażeby utonął. To jednak nie pomogło, zostałem wybrany. (Na pierwszą próbę nie czekałem długo, gdyż Stapiński, zapisawszy się do głosu, oddał mnie przewodnictwo) *.

Przemówienia Stapińskiego słuchano z wielką uwagą spodziewając się, że w nim odkryje rąbek tajemnicy, o której tak szeroko mówiono w kraju od paru miesięcy. Niewiele jednak mogliśmy się dowiedzieć, gdyż cała mowa Stapińskiego była kołowaniem koło rozmaitych wielkich zagadnień, dotyczących polityki europejskiej, a nawet światowej, potrzeby skupienia się całego narodu itp. rzeczy, których Stapiński w swoich przemówieniach nigdy dotąd nie poruszał.

Na postawione pytania odpowiadał wymijająco i nareszcie oświadczył, że ma zamówioną bardzo ważną konferencję, dlatego musi odejść, a dla spraw związanych z Sejmem zwoła osobne posiedzenie. Pożegnawszy się z nami, uśmiechnięty wyszedł. Poseł Myjak po jego odejściu powiedział na cały głos: „Nie bądź dziećmi, przecież ja wiem, że jesteśmy w saku! Szkoda się schodzić i radzić, bo zawsze to będzie, co podyktuje namiestnik Bobrzyński!” — rzucił na odchodnym parę przekleństw po ułańsku brzmiących i poszedł z Jampolskim, jak mówił, na drugie śniadanie.

Myśmy popatrzeni na siebie, poruszali ramionami, pogadali trochę pomiędzy sobą, nie chcąc się otwarcie przyznać, że rzeczywiście tyle wiemy, ile nam Stapiński powie i że robimy to, co on każe.

Nareszcie miało się coś wyjaśnić, gdyż posiedzenie Sejmu zostało wyznaczone.

* Zdanie wykreślone w oryginale.

W drodze do Lwowa

Prezes Stapiński przysłał mi zaproszenie na posiedzenie klubu, zwołane z okazji otwarcia sesji sejmowej i załączył dokładną marszrutę do Lwowa, ażeby się nie tylko po drodze nie zgubić, ale nikogo o nic nie pytać. Siadając do pociągu w Bogumiłowicach, spotkałem w nim Antoniego Style. W Tarnowie przysiedli się do nas posłowie Myjak i Cieluch, w Czarnej Krężel, w Ropczycach Jedynak, w Przeworsku poseł Bis. Rozmawialiśmy całą noc nie zmrzużywszy oka, stawiając sobie rozmaite horoskopy co do przyszłości, układając drogę i plan postępowania. Każdy nie tylko miał naładowaną walizkę różnymi petycjami i prośbami ludności, ale i głowę napchaną myślami i projektami. Kiwający się półsenne posłowie Myjak oziębiał nas jednak wciąż w zapalach, oświadczając przebudzony: „A ja wam mówię, że głupcy jesteście, bo tam w Sejmie nie to będzie co wy będziecie chcieć, ale to co sobie Stapiński z Bobrzyńskim ułożą. Będzie dużo mądrzej, jak sami będziecie spać i mnie przestaniecie przeszkadzać”.

To jego oświadczenie dopiero rozpętało dyskusję, gdyż każdy starał się wykazać swoją samodzielność i niezależność. Skończyła się ona dopiero, gdy konduktor donośnym głosem oznajmił, że już jesteśmy we Lwowie.

Przed południem oglądaliśmy miasto, a potem kierując się wskazówkami Myjaka, poszliśmy na obiad do restauracji Naftuły Toepfera. Tam spotkaliśmy posła Iwana Makucha wraz z dwoma jego towarzyszami, włościanami ruskimi. Wszyscy trzej należeli oni do partii ukraińskiej, stanowiąc w niej radykalne skrzydło. Nie wiedzieliśmy wtenczas kim są, a zainteresowaliśmy się nimi, gdyż rozmawiali po polsku.

Po jakimś czasie Myjak podszedł do nich, przedstawił się i zaprosił ich do naszego stołu. Przysiedli się zaraz. Zauważyłem, że byli po paru wypitych wódkach, gdyż mówili głośno i otwarcie, jakbyśmy się znali przynajmniej od paru lat. Gdy poseł Myjak zafundował kolejkę nie byle czego, bo starki dzikowskiej, wypili na pohybel Tarnowskiemu.

Zachęcony ich zachowaniem się poseł Style, wiedząc już kim są, wygłosił długie przemówienie na temat możliwości, a nawet konieczności współpracy ścisłej pomiędzy chłopami polskimi i ruskimi, by wspólnymi siłami pokonać odwiecznych wrogów chłopów — panów i księży. Kończąc to przemówienie, spotkał się z oklaskami dwóch ruskich chłopów i uśmiechem ironicznym dr. Makucha. Po chwili Makuch zabrał głos i wyjaśnił posłowi Style, że sprawa się tak prosto nie przedstawia, bo oni Ukraińcy mają porachunki nie tylko z panami i księżmi polskimi,

na tle ekonomicznym, ale z Polakami w ogóle, gdyż oni naród ukraiński gnębią i prześladują od wieków. Ucisk ten zaczął się jeszcze za panowania króla Kazimierza Wielkiego i trwa do tego czasu, zmieniając tylko formy. Przez ten czas Polacy zabrali Ukraińcom nie tylko wolność, ale wszystkie dwory, lasy, ziemię, zrobili ich niewolnikami, zmuszonymi pracować na swoich prześladowców. Zgoda może nastąpić tylko wtedy, gdy każdy naród będzie miał to, co jest jego własnością, a w myśl tej zasady Polacy oddadzą Ukraińcom zabraną ziemię i lasy, sami się zaś wyniosą za San.

W czasie przemówienia dr. Makucha, wypowiedzianego z dużą pasją i przekonaniem, popieranego uderzeniami w stół, dwaj jego towarzysze byli zupełnie spokojni, przytakując mu tylko od czasu do czasu głową. Natomiast pochopny Styłaabrał ponownie głos i powiedział, że właściwie różnice między nami są bardzo nieduże i mogą być w każdej chwili wyrównane, gdyż my się wcale gniewać nie będziemy, jeśli oni — Ukraińcy — ziemię dworskie sobie zabiorą, a obszarników za San wyrzucą, albo też na wierzbie powieszą. W końcu im zaproponował, ażeby wstąpili do naszego klubu.

Tego już nie mógł wytrzymać poseł Myjak i nie zważając na obecność Ukraińców odezwał się do Styły widocznie wzburzony: „Wiesz co, Antek, zawsze wiedziałem, że jesteś głupi, ale nigdy nie myślałem, byś był aż takim osłem. Ziemia obszarnicza w Galicji Wschodniej jest nie tylko ich własnością, ale własnością całego polskiego narodu. Polacy ją mają w swoich rękach całe wieki, w jej obronie przelali wiele krwi, nie tylko ty, ale nikt z nas nie może jej Ukraińcom dawać, o czym oni lepiej od ciebie wiedzą. A namawianie ich do wstąpienia do naszego klubu jest tak samo rzeczą śmieszną, jak śmieszne byłoby, gdyby oni do nas przyszli z podobną propozycją”.

Wcale nie urażony Makuch zgłosił też zaraz gotowość otwarcia nam wrót klubu ukraińskiego, ale na zasadach wygłoszonych przez Styłę. Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem, Styła zaś dostał gwałtownego kaszlu, co mu się zawsze zdarzało, kiedy nie wiedział co robić. Jeden z chłopów ruskich, zabrawszy głos, bardzo daleko odbiegł od żądań stawianych przez dr. Makucha. Zwracając się do nas zaznaczył, że są dobrzy i źli Polacy, czasem nawet lepsi od Rusinów i że jak nas Pan Bóg razem posadził na tej ziemi, to i razem musimy żyć, a tylko trzeba się starać, by sobie nie przeszkadzać i krzywdy nie robić. Chłopi ruscy chętnie by się zgodzili, żeby tylko dostali ziemi dworskiej połowę, a nawet trzecią część. Oni by za nią chętnie zapłacili, byle ją dano i nie żądano zbyt wysokiej zapłaty. Kończąc zauważył, że zawsze

lepszą jest każda, choćby nawet słomiana zgoda, aniżeli złoty proces. Widziałem, że Makuch był ogromnie niezadowolony, a Styła zdziwiony tymi wynurzeniami. Poseł Myjak zaś pijąc nową kolejkę za zdrowie mądrego Ukraińca zaproponował, byśmy jego wzięli do swojego klubu, a w zamian za niego dali Ukraińcom posła Styłę.

Aczkolwiek mówił to w żartach, Makuch widocznie się uraził, bo rozdrażniony wyszedł raptownie, ciągnąc za sobą opierających się obu posłów chłopów, oświadczając nam dość niegrzecznie, że my nie możemy inaczej mówić, gdyż zostaliśmy przez Stapińskiego obszarnikom sprzedani. Po jego wyjściu za trzymaliśmy się jeszcze chwilę, kpiąc niemiłosiernie z występów Styły, który obrażony docinkami oświadczył, że my jesteśmy ideologią endecką zarażeni. (Gdy na drugi dzień powiedział Stapińskiemu o swoich zabiegach i utrapieniach, ten mu bez ogródek palnął: „Zrobiłeś, Antosiu, głupstwo, ja dziś widziałem się z Makuchem, który się z tego wszystkiego całą głową śmieje”. P. Styła podrapał się za uchem i nie powiedział ani jednego słowa)*.

Pierwsze posiedzenie klubu

Na pierwszym posiedzeniu naszego klubu w gmachu sejmowym Stapiński, wygłaszając programowe przemówienie, zaznaczył ze szczególnym naciskiem, że szczęśliwe wybory do Sejmu i zwycięstwo zawdzięczamy nie tylko sobie i postawie chłopów, ale przede wszystkim przychylnemu stanowisku rządu i partii konserwatywnej i że on jest najmocniej przekonany, że stało się dobrze, bośmy mogli i możemy ludowi polskiemu, biednemu i znękanemu zaoszczędzić wiele przykrości i trudów, a cel swój, do którego dążymy, osiągniemy na pewno. Przysięgając się zaś na swoją żonę i szczęście dzieci, obiecał nadal pracować jak dotąd i poświęcić się cały dla dobra i szczęścia ukochanych przez niego chłopów. Dowodził też długo i z wielkim naciskiem, że konserwatyści zmienili się do niepoznania, dodając figlarnie, że brukowanie ulic Warszawy ich czaszkami jest już zupełnie zbędne. Wiele ciepłych słów poświęcił też poprzedniemu i obecnemu namiestnikowi.

Większość obecnych posłów oklaskami akceptowała jego przemówienie, mniejszość zaś patrzyła na niego z rozczerwaniem, niektórzy z gorzkim, ironicznym uśmiechem. Zwróciłem się do siedzącego obok mnie dr. Bernadzikowskiego z zapyta-

* Ustęp wykreślony w oryginale przez autora.

niem, co to wszystko ma znaczyć. „Wicuś kochany — odpowiedział mi stary weteran — nic się nie martwcie, wszystko będzie dobrze. Stapiński wie, co robi”. — „Właśnie że wie, traktując nas jak towar”, wtrącił stojący obok poseł Myjak ze złośliwym uśmiechem.

Skład Sejmu

Ówczesny Sejm Galicyjski liczący 162 członków był w olbrzymiej większości opanowany przez konserwatystów krakowskich i bardziej jeszcze od nich reakcyjnych konserwatystów wschodnio-galicyjskich, zwanych Podolakami. Oni też wspólnie rządili tak Sejmem jak i krajem. Stosunki ówczesne, wybory kurialne i różne przywileje dawały im stale znaczną przewagę w Sejmie, mimo że miasta wybierały przeważnie posłów postępowych a pomiędzy chłopami polskimi i ruskimi rozpoczął się już ruch, który nieco nadszarpał ich stan posiadania.

Poza tym mieli oni wielkie i liczne walory za sobą. W tym Sejmie z ich ramienia zasiadali ludzie tej miary jak hr. Stanisław Tarnowski prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, hr. Antoni Wodzicki, Dawid Abrahamowicz, hr. Wojciech Dzieduszycki, prof. uniwersytetu Józef Milewski, Władysław Leopold Jaworski, i wielu innych. Specjalną uwagę zwracał na siebie prof. Jaworski, który mówił wprawdzie głosem przyciszonym, ale logicznie i niezwykle przekonująco. Do nich się też zaliczał prof. Michał Bobrzyński, który objął urząd namiestnika po zamordowanym przez Syczyńskiego Andrzeju Potockim i uchodził za najlepszy mózg polityczny pomiędzy konserwatystami.

Ukraińcy wysłali również do Sejmu co najlepsze swoje siły, choćby wymienić: Dr. Eugeniusza Oleśnickiego, Konstantego Lewickiego, Petruszewicza, głośniego Tymoteusza Starucha i cały szereg wcale rozumnych włościan.

Lewicę demokratyczną reprezentowali ludzie tej miary co: Tadeusz Romanowicz, dr Tadeusz Rutowski, członek Wydziału Krajowego Jahl, dr Juliusz Leo, dr Natan Loewenstein, Henryk Koliszer, Michałowski i inni.

Narodowym demokratą, którzy po raz pierwszy weszli w znacznej sile i wykazywali przy tym dużo ruchliwości i pewności siebie przewodzili: Dr Stanisław Głabiński, Aleksander Skarbek i dr Ernest Adam.

Staroprusini, którzy do tego Sejmu weszli w dużej liczbie, mieli ludzi na ogół słabszych niż Ukraińcy, nie odgrywali też po-

ważniejszej roli, szczególnie od czasu, kiedy ich klub opuścił dr Michał Korol, przenosząc się do Ukraińców.

Małej ruchliwej partii, wyraźnie rosyjskiej, hetmanił adwokat dr Dudykiewicz, jeden z najlepszych mówców Sejmu.

Żydowscy posłowie zdawało się na pozór że nie odgrywali żadnej wybitniejszej roli w Sejmie. Nie tworzyli bowiem mimo dużej liczby osobnego klubu, lecz rozmieścili się po wszystkich niemal klubach polskich, nie wyłączając nawet Narodowej Demokracji, antysemicko przecież nastrojonej. Widocznie na tym podziale dobrze wychodzili.

Otwarcie Sejmu

Otwarcie sesji sejmowej poprzedziło uroczyste nabożeństwo w katedrze lwowskiej, odprawione przez jednego z arcybiskupów. Ponieważ przyszedłem wcześniej, stanąłem sobie na boku, ażeby obserwować wchodzących. Zobaczył mnie poseł Zardecki, a widząc moją ciekawość stanął przy mnie, ażeby mi wskazywać nazwiska wybitniejszych posłów i dygnitarzy. Mógł to robić nie widziany przez nikogo, gdyż staliśmy wśród dość gęstej grupy ciekawych.

Udział w nabożeństwie wzięli prawie wszyscy posłowie, ubrani w stroje narodowe. Wystąpiła też Rada miasta Lwowa w strojach urzędowych. Wszyscy radni mieli bardzo ładne i duże łańcuchy na szyi. Publiczności nie było zbyt wiele. Składała się ona przeważnie ze sfer mieszczańskich, urzędników i księży. Po raz pierwszy widziałem tak wielką gromadę magnatów i szlachty przy karabelach, w niezwykle bogate kontusze ubranej, co mimowolnie przywiodło mi na pamięć sejmującą szlachtę, przedstawioną w powieściach, których się tak naczałem. Osobno nieco trzymali się generałowie i wyżsi urzędnicy namiestnictwa, wszyscy w mundurach galowych z pirogami w ręku. Przyznam się, że ta niezwykła pompa, bogactwo strojów, pewność siebie, jaką się czytało z twarzy tych ludzi, wywarły na mnie deprymujące wrażenie. Trzymałem się z kilkoma posłami kolegami w kącie świątyni, dopóki nas stamtąd nie wyciągnął dr Bernadzikowski, zaznaczając, że ta nasza skromność wcale nie jest wskazana.

Kiedy do kościoła wszedł Marszałek Sejmu i Namiestnik, pochyliły się prawie wszystkie głowy z wielkim uszanowaniem.

Z kościoła poszliśmy prosto do Sejmu, oczekując na jego otwarcie. W kuluarach Sejmu gruchnęła wiadomość, że Ukraińcy przygotowują awanturę, a dla odwiedzenia ich od tego prowadzić się mają dłuższe pertraktacje. Co zrobiono nie wiem,

otwarcie jednak odbyło się w zupełnym spokoju, poza paroma głośnymi okrzykami posła Starucha w czasie przemówienia namiestnika Bobrzyńskiego.

Marszałkiem Sejmu był hrabia Stanisław Badeni, wielki magnat wschodnio-galicyski, zamianowany na to stanowisko przez cesarza Franciszka Józefa w dniu 28 kwietnia 1908 r. Uważano go powszechnie za człowieka bardzo mądrego, zręcznego i przystępnego. Cieszył on się też wielkim szacunkiem, powagą i popularnością u wszystkich stronnictw, nie wyłączając i Rusinów. W Sejmie nawet mówiono dość głośno, że utrzymywał z nimi równie tajne jak i dobre stosunki i miano mu to nawet za złe. O ustępstwa względem nich, jakoby za daleko idące, posądzali go szczególnie endecy. Urząd c.k. namiestnika po zamordowanym Andrzeju Potockim sprawował od paru miesięcy dr Michał Bobrzyński, profesor uniwersytetu krakowskiego, człowiek ogromnie zdolny, energiczny, zdecydowany, a jak się wydawało w przeciwieństwie do Badeniego, zimny i odpychający. Wyczuliśmy to zarówno z jego orędzia, odczytanego w Sejmie w obydwóch językach krajowych, jak też i zachowania się w stosunku do poszczególnych posłów.

Powszechnie było widoczne, że Michał Bobrzyński poza swoim urzędem, jest faktycznym kierownikiem polityki konserwatystów krakowskich, choć oni się do tego nie przyznają, a podobno go nawet nie lubią jako człowieka, pochodzącego z innej sfery i to nawet nie szlacheckiej.

Ze Sejmu wiała jakaś powaga, nakazująca mimo woli dla niego szacunek. Obrady stały na bardzo wysokim poziomie. Prym w nich wodzili posłowie poprzednio wymienieni. Nikt też nie poważył się wejść na trybunę nie przygotowany i nie znając dokładnie omawianej sprawy.

Wyjątek stanowili niektórzy ruscy włościanie, którzy zawsze, a szczególnie w czasie obstrukcji, powtarzali z ławek dość niezgrabnie, a często bezmyślnie wyuczone frazesy i komunały, korzystając z niezwyklej pobłażliwości marszałka Badeniego, który im tylko czasem przerwał jakim ośmieszającym żartem. Najczęściej oni tego nie słyszeli, zapatrzeni z nabożeństwem w skrypty i papiery, które z trudnością, ale i zawziętością czytali nie bacząc na to, że się cały Sejm trzęsie ze śmiechu.

Wydział Krajowy

Sprawozdania poszczególnych departamentów Wydziału Krajowego to były księgi, które nie tylko imponowały objętością,

ale zadziwiać musiały wykonaniem i bogatą treścią, która znowu świadczyła o wielkiej i celowej pracy, jakiej one dokonały. Musiały też przekonywać logicznością stawianych wniosków. Cała praca ta i jej wyniki miały być nie tyle zasługą politycznych kierowników departamentów, jak raczej urzędników Wydziału Krajowego, którzy nie tylko stanowili zespół bardzo dobrze dobrany, ale chcieli i umieli pracować. Czynili to z całą znajomością rzeczy i widocznym poświęceniem.

Poza dr. Stefczykiem i dyrektorem Kędziorem na szczególną uwagę zasługiwał dr Henryk Sawczyński, kierownik biura dla włości rentowych, bardzo zdolny i pracowity urzędnik, całą duszą oddany tej sprawie obywatel. Taki stan rzeczy nie tylko że nam nowicjuszom imponował, ale także w wysokim stopniu oneśmielał, choć z drugiej strony zachęcał i przygotowywał do pracy i wysiłków.

Wystąpienie Stapińskiego w Sejmie

Położenie nasze w Sejmie nie było wcale przyjemne. Konserwatyści patrzyli na nas z góry, jak na swoją własność, rzucając czasami jakby od niechcenia jakieś pretensjonalne słowo pod naszym adresem. Rusini, a szczególnie Ukraińcy odnosili się do nas z pewnym lekceważeniem i szyderstwem, nazywając nas często pańskimi ciurami i lokajami. Najwięcej jeszcze przychylności zaraz na wstępie okazywali nam posłowie demokratyczni, a niektórzy z nich byli nawet uprzedzająco grzeczni. Szczególnie przychylnie odnosił się do nas dr Ferdynand Maiss, adwokat i burmistrz z Bochni, posłujący z okręgu miejskiego Wadowice-Bochnia. Darzył on nas nie tylko samym słowem, ale także rozsądną radą i pomocą.

Po załatwieniu wstępnych formalności, jako też wyborze członków Wydziału Krajowego i ich zastępców, powołaniu różnych komisji, podziale referatów itp. przystąpił Sejm nareszcie do dyskusji budżetowej. Była ona jak wszędzie w parlamentach i sejmach wyłącznie prawie rozprawą polityczną, prowadzoną przez partie opozycyjne z rządem i stronnictwami rządzącymi krajem.

Z naszego ramienia wydelegowany przez klub zabrał głos Stapiński. Zaciekawienie w Sejmie było niesłychane, opróżniły się zupełnie kuluary, wszystko skupiło się w izbie koło niego, publiczność zapełniła galerię. Czekano, co powie, spodziewając się sensacji nie lada. Otrzymaawszy głos zastanawiał się, przerzucił dłuższą chwilę papiery, leżące przed nim i nareszcie zaczął.

Mówił głosem przyciszonym i niepewnym, potykając się często przy różnych określeniach. Z czasem nabierał więcej pewności siebie, mówiąc już wyraźniej i głośniej.

Całe jego długie przemówienie było spowiedzią generalną ze swojej politycznej kilkuletniej działalności. Wykazywał w nim — nie umiem już powiedzieć — czy z cynizmem ukrywanym, czy też z otwartością, swoje liczne grzechy, błędy i uchybienia, a równocześnie kajał się za nie. Usiłował dowodzić, że rząd i partie konserwatywne mają wobec kraju i ludu olbrzymie zasługi, widoczne na każdym polu. On to widzi i czuje, uważając za swój obowiązek z trybuny sejmowej publicznie to światu i ludowi powiedzieć.

Przechodząc do duchowieństwa zaznaczył z naciskiem, że walka, jaką przeciw niemu prowadził, była wielką, tragiczną omyłką, którą on teraz z przyjemnością prostuje, spodziewając się, że duchowieństwo jego dobrą wolę zrozumie i oceni.

Siedzieliśmy jak na gorącej blasze, nie mogąc się doczekać zakończenia tego strasznego dla nas przemówienia. Sam czułem jakiś zamęt w głowie. Niektórzy z moich kolegów zasłaniali sobie twarz rękami, inni zaś nie mogąc wytrzymać, wyszli z sali posiedzeń na korytarz, przechadzając się po nim jak nieprzytomni. Stapiński nie zwracając na to uwagi mówił dalej, miesząc się coraz więcej wskutek przerwania i docinków, które padały z różnych stron i wbijały się w nas jak ostre żelazo.

Najprzykrejszy był ks. Stojałowski, który swoimi gryzącymi dowcipami używał sobie dowoli na nieszczęśliwym wówczas przeciwniku. Niewiele mniejszą przykrość wyrządzali nam Ukraińcy rzucając okrzyki, które musiały wywoływać uczucie żalu, wstydu i bezradności. Najcięższą chwilę przeszedłem, gdy ks. Stojałowski, zwracając się w moją stronę w czasie jakiegoś niewłaściwego czy kompromitującego zwrotu przemówienia Stapińskiego, głośno zawołał: „A cóż na to mądry Witos”. Mimo woli spuściłem głowę jeszcze niżej.

Konserwatyści niektórzy wzięli się pod boki i patrzyli na rzucającego się Stapińskiego z miną, która zdawała się mówić: „A widzisz, Jasiu, na co ci przyszło!”

W łóży dziennikarskiej stał Jan Dąbski jako przedstawiciel *Kuriera Lwowskiego*, a patrząc w naszą stronę bardzo znaczącym gestem wzywał nas, ażebyśmy ze sali wyszli. Przystąpiwszy tylko próg Sejmu, odezwał się głosem, w którym czuć było gniew i niesłychane oburzenie: „Oto wasz wódz! Mowa bezwstydną, lokajską, błazeńską, kompromitującą, skandal!”. Myśmy milczeli, nie wiedząc co odpowiedzieć, choć byliśmy z nim w zupełnej zgodzie. Stapiński zakończył swoje przemówienie oświadczeniem,

że wszystko co robił i robi, to dla dobra ludu, dla którego gotów jest i teraz znieść wszelkie przykrości, upokorzenia i położyć ofiary. Ukraińcy bili ironicznie brawa, Stojałowski rzucał jakieś żarty, wywołujące huragan śmiechu, konserwatyści rozmawiali grupami pomiędzy sobą.

Dąbski nagadawszy nam co wlaźło radził, ażebyśmy sobie odpisali przemówienie Stapińskiego, gdyż może się ono w przyszłości przydać. Dobra jego rada nie zdała się jednak na nic, gdyż przemówienie zginęło zaraz ze stenogramu i nie dało się w żaden sposób już nigdy odnaleźć.

Posiedzenie klubu

Napierany przez Dąbskiego i paru kolegów posłów, zażądałem od Stapińskiego zwołania klubu. Stapiński się do tego dostosował i posiedzenie wyznaczył zaraz na drugi dzień. W czasie gorącej dyskusji szczególnie ostro i gwałtownie uderzył na Stapińskiego poseł Jampolski, zostający zupełnie pod wpływami Dąbskiego. Stapiński przerywał mu często i starał się go ośmieszyć, korzystając z różnych jego niefortunnych zwrotów. Inaczej już się zachował, gdy przemawiali posłowie Jedynak i Myjak, choć zajmowali takie samo stanowisko. Próbował tylko niektóre szczegóły prostować.

Zabrawszy głos bez ogródek powiedziałem, że mowa Stapińskiego moim zdaniem nie tylko że przekreśla całą jego dotychczasową działalność, jego kompromituje, ale niszczy wielką ideę, a nas pozbawia prawa reprezentowania uciśnionego chłopca i jego interesów.

Niektórzy posłowie starali się lekko bronić Stapińskiego. Stapiński zaś zabrawszy głos ponownie oświadczył, że przemówienie moje jest najbardziej dla niego bolesne, bo wierzy że ono pochodzi od chłopca, który mówi z przekonania, on jednak przyrzeka na wszystko co święte, że jak zawsze bronił interesów ludu i znosił przykrości, to i te także zniesie, bo wie, że one przyniosą chłopcom poprawę ich doli. Ponieważ to wielu nie przekonało, dyskusja toczyła się dalej zupełnie niezmieniona.

Choroba Stapińskiego

Nagle w czasie ponownego przemówienia posła Jampolskiego Stapiński się zachwiał, spadł z krzesła na podłogę i zemdlał. Wszyscy rzucili się do ratowania oprócz posła Myjaka, który

stał zupełnie spokojnie ze złośliwym na ustach uśmiechem. Gdy Stapiński wrócił do przytomności, odwieziono go do mieszkania, a dr Bernadzikowski nam powiedział, że choroba jest bardzo poważna, a kuracja wymaga kilku dni czasu i zupełnego spokoju. Posiedzenie klubu skończyło się na niczym, gdyż ja nie chciałem go prowadzić po tym wypadku, Bojko zaś nawymyślał nam od ostatnich, żeśmy chcieli człowieka przyprowadzić o śmierć.

Wieczorem dowiedzieliśmy się od Wysłoucha i Dąbskiego, że za zmianę frontu polityki Stapińskiego rząd za pośrednictwem konserwatystów, a w szczególności Bilińskiego, obecnego ministra, ma dać dwa miliony koron na ratowanie Banku Parcelacyjnego, założonego i firmowanego przez Stapińskiego. Choroba zaś jego jest zwyczajnym, już nieraz używanym wybiegiem. Zrozumieliśmy zdumieni ten interes chłopów.

Stapiński przez kilka dni nie pokazywał się zupełnie, a tylko dr Bernadzikowski informował nas codziennie o przebiegu choroby i prosił, abyśmy się wstrzymali z odbyciem posiedzenia klubu i innymi sprawami aż do czasu, gdy Stapiński wyzdrowieje, bo to mogłoby mu mocno zaszkodzić, a zresztą on przyjdzie na posiedzenie z wyjaśnieniami, które nas zupełnie zadowolą.

Tymczasem Dąbski twierdził uparcie, że to jest gra sprytnie ułożona, on wie, że Stapiński jest zdrow jak ryba, chodzi do kawiarni, przyjmuje u siebie ludzi, odbywa z nimi długie narady, a on sam spotkał dziś posła Michała Olszewskiego, który na zaproszenie telegraficzne Stapińskiego przyjechał rano do Lwowa. Dąbski jest przekonany, że się przygotowuje jakaś nowa wielka machinacja.

Przeciw Stapińskiemu

Korzystając z dobrej sposobności, zabrał się Dąbski na całego do nas. Wspólnie z posłem Jampolskim zaprosili kilku posłów-chłopów do restauracji Naftuły Toepfera, gdzie w osobnym pokoju starali się ich cały wieczór przekonywać, że polityka Stapińskiego jest wyraźną zdradą chłopów. Obowiązkiem posłów jest z nią natychmiast zerwać, gdyż w przeciwnym razie chłopci zostaną pogrzebani, a my stracimy ich zaufanie. Szczególny atak przypuścili na mnie dowodząc, że ten obowiązek spada przede wszystkim na moją osobę.

Argumenty i dowody przytaczane przez Dąbskiego były bardzo silne i przekonujące. Chłopci jednak milczeli, przytakując mu tylko nieznacznie głowami. Złościło to niepomierne posła Myjaka, który wręcz oświadczył, że jesteśmy tchórze i nic więcej,

albo też wyżej stawiamy swój interes niżeli dobro chłopów. To odezwanie się nie tylko że obraziło kilku, ale także natychmiast rozwiązało języki. Powiedziano bez wstydu Dąbskiemu, że tak na gorąco nie można załatwiać takiej sprawy, trzeba poczekać aż ona się dostatecznie wyjaśni. Należy także rozmówić się ze Stapińskim i Bojką, który zapewne więcej wie, a przy tym zapytać się także poważniejszych chłopów, jak oni się na nową politykę Stapińskiego zapatrują. Zgodzono się na końcu jednomyślnie na urządzenie narady u mnie w drugi wieczór i danie potem odpowiedzi Dąbskiemu. Dąbski, nazwawszy to postanowienie zwyczajnym chłopskim oportunizmem, zgodził się poczekać już nie jeden, ale nawet kilka dni.

Narada owa nie odbyła się u mnie wcale, gdyż na przeszkodzie stanął poseł Olszewski, który rozpoczął bardzo intensywną i sprytną robotę pomiędzy posłami i to zaraz od wczesnego rana. Odwiedzając każdego z osobna, tłumaczył wymownie, że Stapiński rzeczywiście wobec chłopów zawinił bardzo wiele swoją lekkomyślnością, ale też i dużo zrobił dla nich i to wtenczas, kiedy się nikt nimi nie zajmował. Założył Bank Parcelacyjny, bo pragnął ażeby przez niego ziemia szlachecka przeszła do chłopów. Gdyby się to stało, to walka ze szlachtą byłaby skończona, gdyż szlachty by nie było, a zostaliby chłopci sami. To jest najlepszy instrument walki z obszarnikami. Tymczasem źli ludzie, może przez tych szlachciców namówieni, sprowadzili bank na manowce i przygotowali jego ruinę. Bank ten chce Stapiński ratować, ażeby mógł dalej prowadzić swoją działalność, a co ważniejsze, chce ratować chłopów, co grunta od banku kupili albo też dali udziału na jego założenie. Gdyby bank upadł, to wszyscy udziałowcy byłiby zlicytowani, a ci, co pokupili grunta, musieliby je stracić.

Stapiński się teraz tylko przyczytał, ażeby pieniądze na ratowanie banku dostać, a jak mu je dadzą, to on pokaże szlachci-com co umie. Stapiński z tego zmartwienia jest ciężko chory i nie wiadomo co z nim będzie. Dobrze jest Dąbskiemu „pyskować” i robić opozycję, bo siedzi po kawiarniach i nie wie co się na wsi dzieje, ale na was spada cała odpowiedzialność za chłopów i za Stapińskiego, gdybyście go swoim postępowaniem wpędzili do grobu.

Po rozmowie ze wszystkimi przyszedł Olszewski i do mnie uprzedzając, że nasze zebranie wieczór się nie odbędzie, bo on już kolegów zdołał przekonać, że Stapiński ma rację, a podrywanie mu nóg najwięcej odbiłoby się na samych chłopach. Ażeby mi zaś nie robić przykrości, pozwolił sobie zaprosić nas wszystkich, ażebyśmy wieczór mogli spokojnie pogwarzyć. Za chwilę wszedł

Bojko i nie próbując nawet usiąść, dał mi długi wygawor za robienie spisków, których dotąd nigdy nie było w Stronnictwie, dopóki się do niego „różni mądrale” nie dostali. „Pokaż mi jednego takiego głupiego chłopca, co by opuścił Stapińskiego, a poszedł za takim ‘Sowizrołem’, jakim jest Dąbski”, krzyknął Bojko, zwracając się gwałtownie w moją stronę. Próbowałem go uspokoić, ale się to nie zdało na nic. Znalazłem się też w niezwykle dziwnym i nieprzyjemnym położeniu.

Olszewski był zawsze dla mnie wielkim autorytetem, miałem mu zresztą dużo do zawdzięczenia. Bojki nie chciałem także drażnić, a tym bardziej wywoływać śmiertelnej obrazę, co u niego było bardzo łatwe, bo każdą sprawę prawie brał osobiście. Kolegom posłom włościanom nie bardzo mogłem ufać, widząc jak łatwo naszą niewinną rozmowę zaraz na wstępie zdradzili, opowiadając Olszewskiemu o zabiegach Dąbskiego i Jampolskiego.

Posłowi Olszewskiemu powiedziałem, ażeby mnie nie próbował przekonywać swymi argumentami, bo jeżeli, jak on twierdzi, bank dla szlachciców jest szkodliwy, to by na jego podtrzymanie pieniędzy nie dawali, a zresztą dla ratowania jednej i to niezbyt solidnej instytucji nie można poświęcać wielkiej sprawy wyzwolenia wszystkich chłopów. Spisków żadnych nie robiłem i nie robię, ale nie mogę też być bezmyślnym cielęciem, które może każdy prowadzić gdzie i kiedy zechce. Olszewski zbliżył się do mnie, podał mi rękę, nie powiedziaławszy ani jednego słowa. Bojko siedział zachmurzony, nie odzywając się zupełnie. Za małą chwilę obydwaj wyszli.

Gdy wieczorem na czas oznaczony zaszedłem do pokoiku restauracji Musiałowicza, zastałem tam wszystkich z wyjątkiem posła Myjaka. Widząc moje zdziwienie podchodzili po jednemu, tłumacząc się, że dlatego tu przyszli, bo poseł Olszewski zawiadomił ich moim imieniem, że zmieniłem lokal. Kiedy zwróciłem się do niego o wyjaśnienie, oświadczył, że sobie rzeczywiście pozwolił na to „małe świństwo”, ale mnie usilnie przeprasza i przyrzeka, że więcej tego nie zrobi, a zresztą uczynił to dla dobrej sprawy.

W czasie kolacji o całej tej sprawie ani nie wspomniał, a mówiąc o polityce ogólnej zaznaczył dobitnie, że się zanoszi na budowę kanałów w Galicji, szczególnie zachodniej, co by dało nie tylko zarobek ludności, ale poprawiło ekonomiczny stan kraju. On się na tych rzeczach dobrze nie zna, natomiast poseł Kędzior jako fachowiec dużo się tymi sprawami zajmuje. On też za parę dni ma o tym szerzej mówić.

Chłopi się rozkrochmalili, gadali wiele, ale także unikali wszystkiego, co dotyczyło Sejmu, przemówienia Stapińskiego i

rozmowy z Dąbskim, zaznaczając zgodnie, że się we wszystkim ze mną porozumieją. To oświadczenie było mi ogromnie nie na rękę, gdyż ściągało na moją głowę stały gniew Bojki, pretensje Dąbskiego i nachalność Olszewskiego, który z tego nie omieszkiał natychmiast skorzystać. Idąc za mną do samego mieszkania nalegał, ażebym planu przygotowanego nie wywraçał, bo to może spowodować nieobliczalne następstwa. Doradzał także od siebie, byśmy w Sejmie robili, co uważamy za potrzebne, ale strzegli się Dąbskiego, bo to zwyczajny paliwoda.

Za kilka dni Stapiński wyzdrowiał i zjawił się w Sejmie zapowiadając mi, że zamierza zwołać posiedzenie klubu, ponieważ otrzymał z Wiednia bardzo ważne wiadomości, prosi jednak, ażeby się nie upierał przy prowadzeniu przerwanej dyskusji.

Kiedy odszedł ode mnie, za chwilę przyszedł Dąbski, pytając cośmy postanowili. Wykręciłem się odpowiedzią, że się chłopie nie zeszli, bo mieli jakieś ważne rozmowy z posłem Olszewskim. Spojrzał na mnie znacząco i od razu powiedział: „Aha, wiedziałem zaraz po co on przybył, jak go zobaczyłem na dworcu we Lwowie. Miejcie się przed nim na ostrożności, bo to niesłychanie chytra i niebezpieczna sztuka!”.

Posiedzenie klubu i kanały

Po otwarciu posiedzenia klubu postawił poseł Bojko wniosek, ażeby rozpoczętą dyskusję odłożyć na później, a na dzisiejszym posiedzeniu wysłuchać sprawozdania prezesa klubu Stapińskiego, który ma bardzo ważne wiadomości, i referatu posła Kędziora, stojącego w związku z nimi. (Ponieważ nie było zgody, gdyż Jampolski i Myjak protestowali, wniosek Bojki poddano pod głosowanie. Przeszedł on nieznaczną większością)*.

Zabrawszy głos Stapiński z miną zadowoloną zaraz na wstępie oświadczył, że potępiana przez nas polityka zaczyna już wydawać jak najlepsze owoce. Ma podstawę do stwierdzenia, że pieniądze na ratowanie Banku Parcelacyjnego zostaną w najbliższym czasie wypłacone, przez co się od ruiny uratuje tysiące rodzin i gospodarstw chłopskich, a Bank będzie mógł dalej z pożytkiem dla nas pracować. Pieniądze te nie są żadną łaską, gdyż inne instytucje także dostały i to poważniejsze kwoty, my więc nie mamy żadnych powodów do uległości tak wobec rządu jak i konserwatystów. Oprócz tego dostał wiadomość od ministra Bilińskiego z Wiednia, że rząd zamierza przystąpić do budowy kanału spław-

* Zdanie wykreślone w oryginale.

nego w Galicji zachodniej kosztem około 125 milionów koron. Nie potrzebuje dodawać, jakie to będzie ogromne dobrodziejstwo dla ludności.

Ażebyśmy się zaznajomili z tą sprawą bliżej, uprosił dyrektora Kędziora o przygotowanie fachowego referatu. Kędzior się na to zgodził, zebrał potrzebne materiały ze znaną pilnością i skrupulatnością i dzisiaj nam ten referat wygłosi. Ma również obietnicę Ekscelencji Bilińskiego, że on tu sam przybędzie i na naszym klubie się zjawi, ażeby to imieniem rządu potwierdzić.

Po jego przemówieniu zabrał głos poseł Kędzior dla wygłoszenia zapowiedzianego referatu. Wbrew swoim zwyczajom mówił dość długo, ale tak jasno i przekonująco, że nawet Jampolski nie ośmielił się podnieść słowa krytyki. Widziałem, że nasza opozycja i zabiegi Dąbskiego zostały w tych nigdy się nie mających budować kanałach zupełnie i łatwo utopione.

Stapiński dotrzymał słowa, bo rzeczywiście w jakiś czas później przybył z Wiednia minister Biliński i wziął udział w posiedzeniu naszego klubu, witany rześzystymi oklaskami. Zabierając głos powiedział z uroczystą powagą, że w sprawie budowy kanałów zapadła już zasadnicza decyzja, a po usunięciu pewnych trudności sprawa zostanie formalnie załatwiona i roboty będą się mogły niebawem rozpocząć. Z oświadczenia jego i bardzo ciepłego tonu wobec Stapińskiego każdy musiał się domyślić, że to wszystko się nie dzieje bez dużej zasługi pana prezesa. Nie była to rzecz małej wagi, gdyż wiadano, że Biliński ma nie tylko wielki głos w rządzie, ale także u samego cesarza. Pozycja Stapińskiego została też w klubie bardzo silnie wzmocniona, mimo że Dąbski swojej roboty wcale nie zaniechał. Biliński, jak się okazało, dotrzymał słowa. Aczkolwiek znacznie później, to jednak przygotowania i pomiary potrzebne do budowy kanałów gdzieś w roku 1910 się rozpoczęły w niektórych zachodnich powiatach, a nawet dokonano uroczystości otwarcia robót przy udziale wielu dostojników państwowych i krajowych, zakończonego wspaniałym bankietem i licznymi przemówieniami.

Rozpoczęte roboty zostały jednak przerwane wskutek różnych wypadków, a do dziś dnia sterczące betonowe budowle, porzrzucone po różnych wsiach powiatów krakowskiego i wadowickiego, świadczą o tych wielkich zamierzeniach i przygotowaniach.

Wrażenia mowy Stapińskiego zacierało się także powoli i w Sejmie. Myśmy nie czuli żadnych zobowiązań i nie krępowaliśmy się wcale robionymi przez niego układami. Przemówienia nasze, acz dość nieliczne, były śmiałe i samodzielne, wnioski i interpelacje zupełnie bez ogródek pisane. Tak w Sejmie, jak i w komi-

sjach głosowaliśmy przeważnie z opozycją, mimo niezadowolenia Bojki. Stapiński zaś wcale nas nie krępował, a nawet często zachęcał, wiedząc widocznie, że nikomu tym nie zrobimy wielkiej krzywdy. Kolegom posłom ogromnie też imponowało i pochlebiało, że Namiesnik odpowiadał sumiennie na każdą interpelację, a bardzo często przysyłał urzędnika Skrzyńskiego, który osobiście różne sprawy na poczekaniu załatwiał i wszelkich wyjaśnień udzielał, odnosząc się do wszystkich posłów z wielką uprzejmością. Nieprzejednany do końca pozostał tylko Jampolski, kierowany i podsycany przez Dąbskiego.

Poczekawszy aż trochę miną owe upojenia kanałowe, zwrócił się do mnie poseł Jampolski z zawiadomieniem, iż zamierza zabrać w Sejmie głos i zaznaczyć, że Stapiński nie przemawiał imieniem całego klubu, a tym mniej całego Stronnictwa. Odradzałem mu tego, zaznaczając, że wcale nastroje nie sprzyjają podobnemu występowi, może się więc tylko ośmieszyć. Powoływał się na posłów Jedynaka i Myjaka twierdząc, że oni są z nim i że go do wystąpienia w Sejmie namawiają. Okazało się, że to nieprawda. Mimo to Jampolski głos zabrał, odcinając się publicznie od polityki Stapińskiego, piętnując ją jako zdradę programu i interesów ludowych. Skutek był bardzo nieduży, gdyż przemówienie wypadło bałamutnie i błado. Nawet poseł Myjak, który go do tego występu miał namawiać, żartował z niego, twierdząc, że krzykiem swoim wystraszył wszystkie wrony z ogrodu jezuickiego, nic jednak nie zaszkodził prez. Stapińskiemu i jego polityce. Skonfundowany Jampolski pocieszył się nieco, gdy na drugi dzień *Kurier Lwowski* wydrukował całe jego przemówienie grubym drukiem i opatrzył bardzo mocnym tytułem.

Nowi ludowcy: ks. Pastor i ks. Żyguliński

Mowa Stapińskiego w Sejmie, zmiana kierunku polityki, wyraźny pokłon, zrobiony w stronę biskupów i duchowieństwa, otworzyły bramę Stronnictwa dla innych żywiołów. Wnet też rozeszła się wiadomość o bardzo tajnych pertraktacjach, które jako by miał Stapiński z wysokimi dostojnikami kościelnymi prowadzić. Z wiadomościami tymi przychodzili do mnie różni ludzie zaklinając, ażebyśmy się nie dali wciągnąć na podwórko plebańskie, które może być znacznie bardziej niebezpieczne od dworskich pałaców. Przyszedł także i Dąbski, przynosząc trochę szczegółów i żądając wyjaśnień. Nie umiałem mu nic pewnego powiedzieć, bo i nie wiedziałem.

Za kilka dni sprawa się nieco wyjaśniła, gdyż się okazało, że jednym z owych dygnitarzy, z którymi Stapiński miał pertraktować, był ks. poseł Leon Pastor, bardzo wybitny przedstawiciel stronnictwa, które nosiło nazwę „Centrum Katolickie”. A stała się już zupełnie jasna, gdy nam Stapiński z miną rozradowaną zapowiedział, że ks. Pastor zgłosił swoje przystąpienie do klubu. Uchwała przyjmująca go w poczet członków przeszła bardzo łatwo, bo każdy był zdania, że od takiego przybytku głowa nie boli. Za nowych parę dni ks. Pastor zjawił się na posiedzeniu klubu, witany długim przemówieniem Stapińskiego.

Dziękując za te objawy życzliwości i uznania, oświadczył ks. Pastor, iż bardzo jest dumny, że mu będzie dane doprowadzić do zgodnej współpracy pomiędzy ludem polskim i duchowieństwem, które zawsze dobrze ludowi życzyło, a rozterki i walka były tylko wynikiem nieporozumienia. Dziś przyszło zrozumienie po jednej i po drugiej stronie, a obecny prezes ludowców daje najlepszą gwarancję trwałości tej nowej ery.

Tu już musiałem przetrzeć oczy ze zdziwienia. Większym jeszcze okazało się to zdziwienie, gdy Stapiński na powitanie ks. prałata Pastora napisał w *Przyjacielu Ludu* wielki entuzjastyczny artykuł, w którym widział i witał w ks. prałacie nie tylko wielce zasłużonego dla kraju i Kościoła męża, lecz przede wszystkim przedstawiciela tej nowej wielkiej ery w Polsce, mającej pogodzić ludowców z duchowieństwem i Kościołem i zapewnić im spokój, którego tak pragną.

Ta treść przemówienia ks. Pastora jak i artykuł Stapińskiego dawały nam bardzo wiele do myślenia i budziły podejrzenie, czy ta miłość, tak wybuchowa, może być jako tako trwała. Wnet się okazało, że wątpliwości były zupełnie słuszne. Chłopi i posłowie, trochę podjudzani przez Dąbskiego, boczyli się na ks. Pastora, który próbował się rządzić jak u siebie w domu sądząc, że może z nami robić wszystko, co mu się podoba. Wnet się miał przekonać, że tak nie jest. Toteż zawiedziony oświadczył na jednym z posiedzeń, że on do klubu wstąpił na to, ażeby mógł coś zrobić, tymczasem widzi, że nie znalazł zrozumienia, uprzedza więc, że gdyby tak było dalej, to musiałby z klubu ku swojemu wielkiemu żalowi ustąpić. Gdy to powiedział, odezwały się brawa, które go do ostateczności rozdrażniły. Żaląc się do wielu ludzi, że go Stapiński wprowadził w błąd co do nastrojów panujących w klubie, po paru tygodniach pobytu w nim zgłosił swoje wystąpienie tak z klubu jak i ze Stronnictwa.

Prezes Stapiński, odczytawszy nam pismo rezygnacyjne ks. Pastora, na pożegnanie zrobił bardzo ironiczną i złośliwą uwagę pod adresem „tak zasłużonego męża”. Nie lepiej obszedł się z

nim w *Przyjacielu Ludu*, bo donosząc o tym „ukochanym chłopom”, polecił równocześnie się cieszyć, „bo kiedy baba schodzi z wozu — to koniom zapewne będzie lżej”. Musiało to wszystko niesłychanie dziwić, gdy się widziało, że przed paru tygodniami Stapiński sprawę tę przedstawiał jako jeden z największych dogmatów, a po upływie dalszych paru tygodni zrobił sobie z niej farsę zwyczajną. Nie wiem która strona zawiniła więcej!

Znacznie już lepiej poszło na gruncie wiedeńskim. Wstąpienie do klubu Polskiego Stronnictwa Ludowego posła ks. Michała Żygulińskiego miało dość duże znaczenie, gdyż należał on do ludzi tęgich, był pełen inicjatywy i przedsiębiorczości i posiadał duże wpływy w okręgu. Nie wiem, czy wypadek z ks. Pastorem miał jakiś wpływ na stosunek duchowieństwa do Stronnictwa, choć zgodnie z prawdą muszę zaznaczyć, że walka prowadzona przeciw Stronnictwu przez kler bardzo znacznie straciła na pierwotnym impecie. Trudno bowiem było już zarzucać niewiarę temu Stronnictwu, w którego szeregach znajdowali się bardzo wybitni przedstawiciele katolickiego duchowieństwa. Rzecz oczywista, że wyjątek stanowił zawsze wojujący kler diecezji tarnowskiej, który zresztą do Żygulińskiego zbyt wielkiej nie miał sympatii. Kiedy na jednym ze zgromadzeń próbując się odciąć bardzo młodemu i wojującemu jegomości, powołałem się na ks. Żygulińskiego, który będąc starszy i zapewne od niego mądrzejszy i więcej doświadczony, mimo to u ludowców siedzi — jegomość ów odpowiedział mi bez namysłu, że ks. Żyguliński to zwyczajny handlarz w sutannie. I kto tu tym ludziom mógł wtenczas dogodzić?

Różne trudności

Stosunki w Sejmie i niedostateczne wiadomości, jakie posiadałem, zmuszały mnie do wyteżonej i bezustannej pracy nad sobą. Całymi dniami i nocami czytałem też sprawozdania Wydziału Krajowego i protokoły stenograficzne obrad Sejmu z lat dawniejszych, starając się tym sposobem opanować teren sejmowy i poznać sprawy niezbędnie mi potrzebne. Musiałem to zresztą zrobić sam, bo kiedy raz w pierwszych dniach zwołania Sejmu zwróciłem się do posła Bojki z prośbą, ażeby on jako doświadczony pouczył mnie, jak się pisze wnioski i interpelacje, nadęty odpowiedział: „Jakoś był głupi, toś mógł do Sejmu nie przychodzić”. To mi wystarczyło, ażeby się Bojki o nic więcej nie pytać. Pracę musiałem wzmoczyć jeszcze więcej tak, że po paru tygodniach niewiele mniej w różnych dziedzinach od Bojki wiedziałem. Nabawi-

łem się jednak przy tym silnego bólu głowy, chodząc dłuższy czas jak nieprzytomny.

Mając diety tylko po pięć reńskich dziennie wynoszące i to za czas obrad Sejmu, bez prawa wolnego przejazdu koleją, musieliśmy żyć niezwykle oszczędnie. Z oszczędności też razem z kolegami Cieluchem i Krężłem wynajęliśmy na Stryjskim wspólny pokój u niejakiego Herolda, w nowo zbudowanej kamienicy, płacąc mu miesięcznie razem 16 reńskich. Pokój był wilgotny, zimny i nie urządzony. Na śniadanie i kolację spożywaliśmy chleb, zwykle przyniesiony z domu, z herbatą przyrządzoną nam przez fachowca w tej dziedzinie pośła Cielucha. Obiad zaś zjadaliśmy codziennie za jedną koronę w restauracji znanego we Lwowie Nafuły Toepfera przy ul. Trybunalskiej. Ponieważ i to niektórym wydawało się za drogo, zaczęto się oglądać za tańszym lokalem.

Wynalazł go ogromnie uradowany Antoni Styła, poseł z powiatu wadowickiego. Lokal ten znajdował się przy ul. Grodeckiej, był brudny i ciemny. Obiad bardzo obfity kosztował tylko 50 halerzy, ale miał taki zapach, że tylko Styła miał się odwagę do niego zabrać. Myśmy odeszli, ażeby się tam więcej nie pokazać. Ten brak powonienia zachował, niestety, Styła także w polityce, wygłaszając w Rzeszowie owe zdanie „jak dają to trzeba brać” choć on sam, o ile wiem, był od tego wolny.

W salonach Namiestnika

Jakie zwyczaje panowały jeszcze wówczas w Sejmie galicyjskim, dowodzi choćby następujący wypadek. Marszałek Badeni zaprosił do siebie na śniadanie posłów rozmaitych klubów. Zrobił to drogą pisemną, przy czym wszystkich posłów inteligentów zatytułowano „jaśnie wielmożnymi”, gdy posłom włościańskim, i to wszystkim, tego tytułu poskąpiono. Usterka owa została w ostatniej już niemal chwili usunięta na skutek oświadczenia posłów i jakiejś interwencji. Zaproszenia posłane cofnięto, a na drugich zrobiono nas „jaśnie wielmożnymi panami”, całą winę zaś zwalono na biuro sejmowe. Niezależnie od tego marszałek Badeni za ten despekt „mimowolny” wszystkich osobiście przeprosił. Przyjęcie było stosunkowo skromne, a ceremoniał tam stosowany nie robił nawet dla mało obeznanych żadnej trudności.

Dużo gorzej było z przyjęciem u Namiestnika Bobrzyńskiego które się odbyło o parę dni później. Wprawdzie omyłki w tytułowaniu tam nie popełniono, traktując wszystkich jednakowo, ale tamtejsze ceremoniały kosztowały mnie osobiście niemało przykrości i kłopotu i to zaraz na wstępie. W szatni odzwierciły zwró-

cił mi bardzo grzecznie uwagę na brak krawata, pytając się, czym go przypadkiem nie zgubił i ofiarując się z natychmiastowym dostarczeniem mi tej niezbędnej jego zdaniem części ubrania. A kiedy wyrwawszy się stamtąd w moich długich, twardych „polskich” butach wszedłem na posadzkę froterowaną i śliską, o mały włos kozła nie wywróciłem. Zawstydzony, ale i przerażony stanąłem na małą chwilę zupełnie bezradnie, nie wiedząc co robić, gdyż posadzka ciągnęła się jeszcze ze 20 metrów, a ja nie mogłem kroku zrobić, straciwszy zupełnie pewność siebie. Niewiele pomogła uwaga Bojki, który mnie pouczył, że po takiej podłodze chodzi się zupełnie inaczej aniżeli po lesie! Tu musiałem mu przyznać rację. Udałem też, że coś poprawiam w notesie, a odzyskawszy trochę równowagi, dobiłem nareszcie do końca wielkiej sali, gdzie namiestnikowa, Zofia Bobrzyńska, z niezwykle uprzejmością witała wszystkich wchodzących gości. Na szczęście dla mnie odbywało się to już na twardszym gruncie. Z powrotem było już znacznie lepiej, gdyż ani się nie spociłem, ani się też nie poślizgnąłem, stosując się do rady pośła Bojki.

Natomiast nie obeszło się bez kłopotów przy samym stole. Nie chcąc uchylić uświęconym zwyczajom, a nie znając się na nich, musiałem się kierować postępowaniem moich sąsiadów. Na nie-szczęście jednym z nich był jakiś generał Niemiec, który wywołany wyszedł, a drugim Ukrainiec poseł dr Konstanty Lewicki, który ich znowu wcale nie przestrzegał. Nie oglądając się na wyfraczonych i wyciągniętych jak struny, czekających na komendę lokai, nalewał sobie coraz to inne trunki z flaszek, stojących na stole, a następnie zaczął nalewać i mnie namawiając, bym pił, „bo to wszystko na to zostało postawione”. Kiedy mu odpowiedziałem, że nie wypada, bo nikt przecież nie pije, roześmiał się na cały głos i pił dalej. Nie wiedziałem, co robić, bo tak głośno zaczął do mnie mówić, że wielu gości zwracało się ze zgorzeniem w naszą stronę. Z tego kłopotu wybawili mnie dopiero kelnerzy, którzy zaczęli swoją funkcję nareszcie.

Ukraińcy i obstrukcja w Sejmie

Ugodowej polityce, zainicjowanej przez Stapińskiego z wielką pomocą przyszli w Sejmie Ukraińcy. Zaraz od początku sesji sejmowej prowadzili oni bardzo ostrą opozycję, domagając się spełnienia różnych żądań i postulatów. Z całym też impetem rozpoczęli obstrukcję przeciw budżetowi, posługując się przy tym najostrzejszymi środkami i starając się unicestwić zupełnie obrady Sejmu. Odgłosy różnych instrumentów muzycznych słyszeć było

daleko poza salą sejmową tak długo, jak długo trwały posiedzenia. Muzyce towarzyszyły wrzaski i krzyki tych, co albo nie grali na żadnym instrumencie, albo im się ta muzyka sprzykrzyła. Całą tę niesłychaną na te czasy i na Sejm Galicyjski imprezą kierował poseł Tymoteusz Staruch, były austriacki żandarm, wybrany posłem z powiatu brzeżańskiego, znany z gwałtownego i awanturniczego usposobienia. Awantura ta stała się bardzo niebezpieczna, gdyż pociągała także posłów ruskich, należących do innych politycznych obozów. Mogła też znaleźć niepożądany odgłos w kraju.

Marszałek Sejmu zwołał wszystkie stronnictwa polskie dla odbycia narady i powzięcia postanowień co do wspólnej taktyki. Uchwalono, by mimo obstrukcji obrady prowadzić tak długo, aż się nareszcie wyczerpie czas na rozprawę budżetową przeznaczony, a obstrukcję starać się złamać, jednak bez stosowania środków ostrych i gwałtownych.

W konsekwencji tych postanowień Marszałek siedział na trybunie dziesiątkami godzin bez przerwy, przemawiający zaś posłowie krzyczeli słowo za słowem do ucha stenografom wśród piekielnej muzyki ukraińskiej, która nie tylko głużyła wszystko na sali, ale się rozlegała po korytarzach sejmowych.

Moje przemówienie i Ukraińcy

Delegowany przez klub, przemawiałem przez sześć godzin bez przerwy, w warunkach jak najtrudniejszych, gdyż nie tylko Ukraińcy dęli mi swoimi instrumentami prosto w uszy, otoczywszy trybunę sejmową, ale na tej trybunie nie mogłem się ani ruszyć, gdyż w miejscu przeznaczonym dla jednego człowieka byli oprócz mnie stenograf i jeden z posłów, który pilnował, by Ukraińcy nie zniszczyli mi potrzebnych notatek. To było znacznie przykrejsze od muzyki ukraińskiej, bo sprowadzało niesłychane zmęczenie i odrętwienie nóg. Ukraińcy nie zadowolili się jeszcze tym, ale rzucali pod moim adresem różne wykrzykniki, a nawet obelgi, starając się mnie tym sposobem sprowokować. Najgorzej zachowywał się w czasie mojego przemówienia poseł Skwarko, podobno sędzia ze Stryja.

Sytuacja pogorszyła się jeszcze, gdy Ukraińcy sprowadzili sobie nowe instrumenty, niezwykle głośnie, skrzeczące i piskliwe. Kiedy po sześciu godzinach schodziłem z trybuny wszyscy posłowie polscy przywitali mnie grzmiącymi oklaskami, Ukraińcy zaś stękiem rozmaitych wyzwisk i długo trwającymi wrzaskami. Zauważyłem, że najwięcej rzucali się inteligenci, gdy chłopcy zachowywali się względnie spokojnie, a zawsze krewki poseł Staruch na-

wet swojego miejsca na ławie nie opuścił. Nie wiem, czy tu działał pewien sentyment, czy może rozmyślna komenda.

Posel Staruch spotkawszy mnie na drugi dzień na korytarzu powiedział: „No, panie kolego, wyście nam chłopom ukraińskim zrobili wielką krzywdę, ale na nas nie możecie narzekać”. Mimo tej jego „życzliwości” muzyka ukraińska grała mi w uszach przez dobrych kilka dni, a nóg nie mogłem przez tydzień wyprostować chodząc jak na kijach.

Politycznie biorąc, był to jeden z przełomowych dni w moim życiu i to pod wielu względami. W Sejmie zdobyłem sobie silną pozycję, mimo młodego wieku i braku doświadczenia. Prasa zrobiła mi w kraju szeroką i to wcale jeszcze niezasłużoną reklamę, doszukując się we mnie dużego politycznego talentu. Podniósł to szczególnie Wilhelm Feldman w *Krytyce*, bardzo poważnym miesięczniku, umieszczając pochlebny o mnie artykuł.

Dzień też wpłynął także w dużej mierze na kształtowanie się moich poglądów pod względem narodowym. Stronnictwo Ludowe prowadziło walkę przeciw upośledzeniu i krzywdzie, która zarówno dotyczyła chłopów polskiego i ruskiego, starając się unikać różnic narodowych. Tak postawiona sprawa umożliwiała nawet w wielu wypadkach współdziałanie chłopów polskich z ruskimi, do czego, zdawało mi się, zdążał i Stapiński. Postępowanie Ukraińców okazało, że to wielka złuda, a oświadczenie posła Makucha, wypowiedziane do nas w przeddzień otwarcia Sejmu, musiało dawać każdemu wiele do myślenia. Dziś — mówił — obszarnicy za San, a czy nie powie jutro, by się tam wszyscy Lachy wynieśli, a jak nie zechcą zrobić tego dobrowolnie, czy ich nie spróbuje siłą wyrzucić?

Zaczynając od wielkich panów, jest duże pytanie, czy nie skończą na polskim parobku. A przecież utrzymanie Galicji wschodniej i wszystkich dóbr, jakie tam Polacy posiadają, nie jest tylko interesem szlachty, ale całego narodu polskiego, a więc i chłopów. Zachowanie się zaś w Sejmie chłopów ukraińskich stwierdza wyraźnie, że o sielance nie może być żadnej mowy. Idzie walka i trzeba ją podjąć, nie sięgając po niczyje, trzeba bronić swego i to przed każdym, kto ośmieli się po nie sięgać. Ta sesja sejmowa, zachowanie się Ukraińców, nauki z tego wyciągnięte, zepchnęło mnie z wąskiego gościńca polityki Stronnictwa, rozszerzając znacznie moje niezbyt rozległe horyzonty. Tam też począł się u mnie ów „nacjonalizm”, którym mi często i nieśłusznie ćwierkano w oczy, gdyż obrona swojej własności nie może być uważania ani za szowinizm, ani też za imperializm. Może jedyny tak pojęty w świecie polski liberalizm, godząc się łatwo z szowinizmem ukraińskim, czy niemieckim, nie może tyl-

ko ścierpieć polskiego nacjonalizmu, który na nieszczęście zresztą kończy się zwykle na słowach. Tam też nabrałem przekonania, że szlachta obronić się nie potrafi, a co gorsza, ziemi nie utrzyma i że jedynie chłopci dadzą sobie radę, jeżeli na ziemi szlacheckiej osiedlą. Nosząc się z tymi myślami, nie umiałem jednak znaleźć żadnego rozwiązania, choć wiedziałem, że prowadzona wówczas parcelacja wcale tej wielkiej sprawy nie załatwi.

Większość sejmowa spokojem i wytrwałością osiągnęła swój cel w zupełności. Marszałek nie stracił ani na chwilę równowagi, a mimo różnych nieraz bardzo dzikich wybryków ukraińskich nie poszedł za radą hr. Stadnickiego i innych, którzy chcieli Ukraińców wyrzucać za drzwi. Czas, przeznaczony na dyskusję budżetową został wyczerpany, a budżet uchwalony, mimo coraz gwałtowniejszej muzyki ukraińskiej i posiłkujących ich staro-Rusinów.

Myśmy także bez oporu głosowali za budżetem, gdyż szedł nam w dużej mierze na rękę. Nie tylko bowiem przewidywał znacznie podwyższone sumy na budowę szkół ludowych, ale także przewidywał budowę dróg w różnych powiatach, melioracje gruntów, regulacje kilku rzek i wielu potoków i bardzo wiele nowych rzeczy, które w innych budżetach nigdy się jeszcze nie znalazły. W znacznie podwyższonej ogólnej sumie budżetu było też wiele pozycji specjalnie dla ludności ukraińskiej przeznaczonych, wobec czego niektórzy z posłów chłopów obstrukcję uważali za rzecz śmieszną i nienaturalną.

Dalsze moje przemówienia

Najważniejszy dla mnie osobiście w tej sesji sejmowej poza przemówieniem budżetowym był referat o włościach rentowych, wygłoszony przeze mnie w Sejmie. Wprawdzie niewiele w nim znalazło się moich myśli, gdyż więcej kierowałem się radami dr. Stefczyka i Sawczyńskiego, ale przyjęto moje oryginalne wnioski jednomyślnie, a odpowiadając na krytykujące mnie przemówienia Ukraińców, dałem sobie już zupełnie radę bez obcej pomocy, co mnie napawało dużym zadowoleniem. Oprócz tego przemawiałem kilkakrotnie przy różnych innych sprawach.

Niektóre z tych przemówień podaję w streszczeniu. W dniu 12 października 1908 r. przemawiałem przy dyskusji budżetowej, dotyczącej funduszu propinacyjnego w ten sposób:

„Wprawdzie na posiedzeniu poprzednim kolega klubowy, prezes Stański, bardzo wymownie przedstawił straszne skutki, jakie za sobą pociąga wódka i ściśle z nią złączona propinacja i karczma, ale jest to takie morze błota, przy którym nie brakuje nigdy tematu i argumentów, że sobie i ja na krótkie przemówienie pozwolę.

„Sprawozdanie Komisji Budżetowej o funduszu propinacyjnym, który idzie w dziesiątki milionów, musi nas wprost przerażać, bo wysokość tej sumy mówi o szkodach i spustoszeniu moralnym, jakie w naszym kraju wyrządzają karczma i propinacja. Karczma i propinacja — to dwa słowa, które mówią tak bardzo wiele, a które wyciskają niejednemu łyżę z oczu. W nich utonęła moralność, tam utopiono rozum, stępiono uczucie, zniszczono szczęście i spokój w rodzinie, zaprzepaszczono majątek i przyszłość. One się stały przyczyną katuszy moralnych i fizycznych dla wielu dziesiątków tysięcy ludzi na całe życie. Panowie z prawicy, podtrzymujący ten straszny stan w kraju, podają równocześnie sposoby walki z wrogiem, który się nazywa alkoholem. Jednym z nich mają być misje, urządzone po parafiach. Mieszkam na wsi, mam więc sposobność widzieć i sprawdzić, jakie są skutki tej walki z pijaństwem za pomocą misji prowadzonej. Kaznodzieja sili się na słowa najbardziej przekonujące i wymowne, dowodzi jakim wrogiem jest alkohol i pijaństwo, chłopci słuchają a nawet przysięgają, że więcej wódki pić już nie będą, a wychodząc po tej przysiędze z kościoła, natrafiają od razu na karczmę, stojącą zwykle w niedużej odległości od drzwi kościelnych i zwykle ulegają zaraz nastawionej pokusie. Inni jakiś czas wytrzymują, ale potem piją jeszcze więcej, ażeby zaległości odrobić. Stanowisko większości sejmowej jest w tej sprawie zupełnie obłudne, bo z jednej strony przedstawia się zgubne skutki używania trucizny, a z drugiej daje się sposobność do łamania przysięgi. Mało tego, gdy jedni z panów podają tu środki walki, to drudzy nie wahają się publicznie mówić, że karczma wcale szkodliwa nie jest, ale natomiast przynosi pożytek, gdyż spełnia pomiędzy chłopami misję kulturalną, zastępującą im: kasyno, czytelnię, szkołę, podnosząc ich moralnie i materialnie. Ażeby gołosłownym nie być zaznaczam, że miało to miejsce na wiecu szynkarskim we Lwowie przed zaledwie paru dniami. Poseł, przemawiający na tym wiecu imieniem stronnictwa rządzącego, był na tyle szczery, że przyznał, iż karczma i wódka przyczyniły się do utrzymania potęgi tej partii politycznej.

„Ubolewać należy nad tymi, którzy mają się kształcić w karczmie i między którymi ma ona spełniać misję kulturalną, ale więcej jeszcze nad tymi, którzy kosztem losu milionów chcą utrzymać swoją polityczną przewagę. Przyjęcie naszych wniosków może zmianę wprowadzić”.

A oto streszczone moje przemówienie, wypowiedziane dnia 27 października 1908 r. w Sejmie przy dalszym ciągu dyskusji budżetowej:

Po zaznaczeniu na wstępie, że nie czuję w sobie ani dostatecznego przygotowania i zdolności do należytego ujęcia wielu spraw, między innymi oświadczyłem:

„Chcę przemówić jako żywy świadek nędzy i upośledzenia galicyjskiego chłopca, a moje przemówienie będzie się obracać koło codziennego jego życia. Szkoła i oświata są podstawą wszelkiego postępu i dobrobytu. W kraju naszym znajdują się jeszcze tysiące wsi, w których wcale nie ma szkół, a tam gdzie one są po półwiekowym prawie istnieniu, nie tylko nie doprowadziły do tego, by chłop poczuł się Polakiem, ale wychowawcy ich nie zawsze umieją przeczytać na „Mannie” lub innej książce do modlitwy, nie mówiąc o napisaniu podania czy listu. Szkołami tymi rządzą Polacy, a przecież na pierwszym miejscu są tam podręczniki i książki z historią austriacką. Dziecko polskie dowiaduje się o Rudolffie i innych bohaterach austriackich daleko

więcej i wcześniej, niż o historii polskiej, Kazimierzu Wielkim lub Kościuszcze.

„Szkoła ludowa zamiast iść naprzód, to się jeszcze cofa. Widocznym tego dowodem są dwutypowe seminaria nauczycielskie, z typem niższym dla wsi. Gramatyka, geografia — to prawie nieznanne przedmioty w dzisiejszej szkole ludowej. Z tych szkół zaś mają wyjść nasi przyszli radni, naczelnicy gmin a nawet posłowie, którzy po ukończeniu ich nie zawsze umięją się podpisać.

„Coś podobnego dzieje się w szkołach rolniczych, niby to dla włóścian założonych i dla nich prowadzonych. Zwykle świecą one też pustkami albo wychowują rządców dla wielkiej własności. Do szkoły takiej w Lubczy, wsi w powiecie pilźnieńskim położonej, w roku zeszłym zapisało się 12 uczniów, a w końcu roku uczęszczało zaledwie trzech.

„Instruktorzy rolnictwa, wyjeżdżający na wieś, nie tylko że są mało uzdolnieni i często znacznie mniej wiedzą od tych, których mają uczyć ale ponadto więcej się zajmuje agitacją na rzecz panującego u nas stronnictwa. Ażebym kobiety nasze stały się prawdziwymi gospodyniami, a nie owymi przysłowiowymi „babami”, trzeba im dać nie tylko prawo głosowania, jak tego żądają niektóre, ale wykształcić je w swoim zawodzie, by mogły utrzymać swe „trzy węgly domu”. Jeżeli rolnictwo jest u nas podstawowym warsztatem pracy dla ogromnej większości społeczeństwa, to przecież należało się starać, ażeby ten warsztat utrzymać i udoskonalić. Tymczasem rolnictwo znajduje się w zupełnym zaniedbaniu i upadku. Kraj i rząd umięją na nie nałożyć ciężary i podatki i posłać po nie egzekutora, nie bacząc nawet na katastrofy, jakie spadły w tym roku na rolnictwo, lecz nie wysła inżyniera, który by wytyczył drogę wodzie, zalegającej na tysiącach morgów ziemi i łąk chłopskich. Regulacja rzek i potoków ciągnie się dziesiątkami lat, a prowadzona jest w ten sposób, że często więcej przynosi rolnikowi szkody niż pożytku. Ludność nadbrzeżna drży ze strachu przed inżynierami, bo wie, że nie uszanują ani prawa własności, a na wszelkie przedstawienia i prośby odpowiadają kpinami. Jedyny prawie przemysł, jaki chłopci prowadzili — młynarstwo — zostało zupełnie zniszczone, ponieważ młyny-„pływak” zostały bądź przez wykupno, bądź przemocą często niepotrzebnie usunięte.

„Gminom odebrano przez dziesiątki lat używane przez nie szutrowiska i łądy, pozbawiając je nie tylko ich własności, ale robiąc krzywdę ludności całych okolic przez pozbawienie zarobku, jaki miała z dostawy szutru na drogi. W tych niby to uregulowanych rzekach nie wolno się chłopu zupełnie pokazać, czołnem przejechać, czy bydłęcia napoić, bo one należą teraz do różnych dzierżawców, przeważnie Żydów albo innych pupilów starosty, którzy na to nie pozwolą, używając jedynie chłopów jako swoich dziennych robotników. Regulacja została w przeważnej ilości wypadków przeprowadzona nadzwyczaj lekkomyślnie, nie przynosząc przez to żadnego pożytku.

„Brak drzewa i drożyzna daje się wsi coraz więcej we znaki. Nie przeszkadza to temu, że codziennie prawie wywozi się setki wagonów drzewa do naszych wrogów, Prusaków. Gdy chłopci mieszkający przy samym lesie, sadzący go własnymi rękami, chroniący przed pożarem i innymi klęskami nie mogą kupić kawałka drzewa, to geszefciarze robią miliony.

„Ogołocone stoki górskie świecą groźnie pustkami jako żywe świadectwo rabunkowej gospodarki, a rozszalałe potoki i rzeki nie mając żadnych przeszkód zabierają dobytek a często i życie ludzkie.

„Podatki i daniny coraz to wyższe. Dyrekcja skarbu, zachęcona widocznie lojalnością naszych podatników, wymierza wiele opłat w podwójnej wysokości, sekwestruje je i zdziera, nie bacząc zupełnie na skutki swojego postępowania, a nawet na przepisy i ustawy. Ma się wrażenie, że to jest

spekulowanie na to, że chłop od wymiarów rekursów robił nie będzie. Wołanie nasze o zniesienie notariatu jest wciąż grochem rzuconym na ścianę, a chłopci muszą płacić niepotrzebnie ogromne sumy.

„Budynki chłopskie płoną, mienie i dorobek idą z dymem, tysiące ludzi staje się żebrakami, ale się nie mogą doczekać wprowadzenia powszechnej asekuracji, chroniącej ich od tyłu nieszczęść. Ponieważ jestem przekonany, że głos mój będzie głosem wołającego na puszczy, na tych wywodach kończę”.

W streszczeniu przemówienie, wygłoszone przeze mnie w Sejmie, w dniu 31 października 1908 r. w dyskusji nad dziesiątą rubryką budżetu krajowego:

„Ziemia u nas stanowi wciąż jedyny warsztat pracy dla olbrzymiej większości społeczeństwa i jest podstawą wyżywienia całej ludności. Warsztat ten należy udostępnić i udoskonalić. Komasacja nie postępuje wcale. Odwodnienie idzie ogromnie powoli. Ziemia jest wielkim dobrem narodowym, ona więc musi być nie tylko opieką otoczona, ale i w naszym ręku utrzymana. Obecnie rolnik mocuje się z przyrodą, uprawia grunta, nawozi i zasiewa, ale często nie zbiera nic. Ziemia masowo przechodzi w ręce obce. Stała się ona przedmiotem handlu, jak każdy inny towar, leżący u przepupki na straganie. A przeciw hasło: „Ile ziemi — tyle Ojczyzny” — nie jest wcale czczym słowem. Jednostki robią na niej interesy, społeczeństwo i naród coraz więcej tracą. Ten handel, prowadzony u nas na wielką skalę, musi też do pewnego stopnia uprawnić gwałty obcych, wydzierających z rąk polskich ziemie w innych zaborach, a przede wszystkim dać podstawę moralną pruskiej komisji kolonizacyjnej. Jeżeli ziemia jest tym narodowym dobrem, jeżeli tyle ma być Ojczyzny ile ziemi, to trzeba stwierdzić ze smutkiem, że źle się dzieje z naszą Ojczyzną.

„Nie zamierzam tu obwiniać ani jednostki ani spółek lub stowarzyszeń, które sobie z ziemi zrobiły zwyczajny i rentowny przedmiot handlu, ale chcę zwrócić na to uwagę, gdyż obrały one najgorszą drogę tak ze stanowiska społecznego jak i narodowego, wyrządzając nam i naszej przyszłości największą szkodę. Obowiązkiem wszystkich ludzi uczciwych, a przede wszystkim tego Sejmu jest dążyć do tego, by to coraz więcej panoszące się zło jak najprędzej ustało”.

W dniu 20 września 1909 r. w czasie dyskusji nad wnioskiem nagłym posła Lewickiego, Ukraińca, w sprawie zmiany ordynacji wyborczej w przemówieniu swoim między innymi zaznaczyłem:

„Żle musi się dziać w kraju, gdzie miliony obywateli postawiono poza prawem, a równocześnie obarczono różnymi ciężarami i obowiązkami. Stan taki nie tylko może się źle skończyć, ale przyniesie niespodziewaną katastrofę. Czują to już obecnie wszyscy ludzie więcej myślący i dlatego o zmianę ustawy wyborczej i zmianę obecnego ustroju wołają nie tylko milionowe rzesze wydziedziczonych i pokrzywdzonych, ale profesorowie uniwersytetów, prezydenci sądów i różni dygnitarze, wysoko postawieni. Tu już nie ma czasu na rozważania i na zwłokę, bo czym się to stanie prędzej, to będzie dla wszystkich lepiej.

„Przyjęcie nagłego wniosku przez Sejm nie oznaczało jeszcze wcale, jakoby się większość sejmowa zbyt przejmowała sprawą samą. Wędrował on

za drugimi do kuźni, w której się umiano postarać, ażeby nie prędko ujrzał światło dzienne. Większość sejmowa wiedziała bowiem doskonale, że zmiana ustawy wyborczej i rozszerzenie praw na wszystkich obywateli będzie końcem jej rządów i wpływów. Jeżeli więc coś robiła w tym kierunku, to tylko pod naciskiem rządu i ze względów taktycznych, wierząc święcie, że jakiegokolwiek burze przechodzić będą przez świat to „wieś polska pozostanie na zawsze spokojna”.

Zaraz po głosowaniu zbliżył się do mnie hr. Stanisław Stadnicki, poseł mościckiego powiatu, wyrażając wątpliwość, ażeby nasze upominanie się o zmianę ustawy wyborczej było szczere, gdyż wydzie ona tylko na korzyść Ukraińców i przyczyni się do zupełnego spauperyzowania Sejmu. On to uważa raczej za hasła agitacyjne, które nam winny starczyć przynajmniej na lat kilka, gdyż przekonamy się sami, żeśmy nie mieli żadnej racji. Najlepszym wyjściem — jego zdaniem — byłaby zgoda pomiędzy chłopami i szlachtą polską, bo jeżeli to nie nastąpi, to nas Żydzi i Rusini zjedzą wcześniej czy później. Kiedy mu odpowiedziałem, że ja także mam wielką obawę przed Żydami i Rusinami, ale równocześnie widzę jak im w tym szlachta skutecznie pomaga, odrzekł, że przenoszę agitację ponad sprawę, a po większym doświadczeniu zapewne zmienię swój pogląd. On mnie może zapewnić, że jego stronnictwo tak ze względów zasadniczych jak i narodowych nie ulegnie żadnej agitacji ani naciskowi i na podobną reformę nigdy się nie zgodzi.

Obchody Grunwaldzkie

Rok 1910 wstrząsnął bardzo silnie społeczeństwem polskim bez względu na zabory, stany i przekonania polityczne. Powód do tego dała pięćsetna rocznica zwycięstwa nad Krzyżakami pod Grunwaldem, bardzo uroczyście obchodzona.

Ze wielki ten wstrząs nie ominął także wsi polskiej, świadczyły o tym nie tylko niezwykle liczne i uroczyste obchody, ale i kamienne pomniki, niemal w każdej wsi własnym jej kosztem zbudowane.

Obchód grunwaldzki przemienił się w wielkie wspaniałe święto, w którym nie tylko udział wzięły wszędzie nie widziane dotąd tłumy ludu, ale które tryskało nowym, mocnym życiem i silniejszą nadzieją lepszej przyszłości. Deptany butem najeźdźców i rozdarty naród polski łączył się w jednym zgodnym chórze, a podnosząc głowę dumnie przypominał im, że mógł i umiał być wielkim i że jeszcze nim będzie.

Niezwykłe uroczyście i okazale wystąpił stary Kraków.

Miał do tego wiele powodów. Nie tylko że zwycięzca pod Grunwaldem, król Władysław Jagiełło, wyszedł z jego murów, spiesząc na plac boju, nie tylko że gościł wielkiego mistrza Paderewskiego i dziesiątki tysięcy delegatów z całej Polski, a szczególnie z zaboru austriackiego i rosyjskiego, ale w dniu obchodu miała się odbyć uroczystość odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego, o którym naprzód cuda opowiadano. Ponieważ pomnik ten, dzieło znanego rzeźbiarza Wiwulskiego, był darem Paderewskiego — wszystko niemal obracało się koło jego osoby.

Te olbrzymie, nigdy zapewne dotąd w Krakowie nie widziane tłumy, składały się ze wszystkich klas ludności. Ponieważ był to czas dużej zamożności wsi, chłopci polscy przybyli do Krakowa masowo, nawet z najdalszych okolic dawnej Polski, nie wyłączając Litwy, Podola, Wołynia, Ukrainy. Oczywiście, że ściągnęła ich i opiekowała się nimi patriotyczna inteligencja z tych ziem.

Gdzie spojrzeć, widziało się wszędzie barwne stroje ludowe i narodowe, którymi zostały zasiane wszystkie ulice i place Krakowa.

Ja trzymałem się z gromadą chłopów z okolicy, którzy będąc w Krakowie po raz pierwszy w życiu i widząc jego odświętną szatę i te różnobarwne tłumy, nie mogli ani na chwilę oczu oderwać. Unikałem też spotkania z wszelkimi dygnitarzami, ażeby przez cały czas z chłopami pozostać. Nie udało mi się to jednak, gdyż spotkali mnie prezydent miasta Krakowa dr Leo i hr Ernest Bandrowski i zabrali ze sobą, ażeby mnie zaprowadzić do Paderewskiego, który za chwilę miał wygłosić przemówienie.

Przedstawiając mnie Paderewskiemu i kilku panom z jego otoczenia, nie omieszkali też zrobić mi reklamy i zapisać na listę mających przemawiać tego dnia i to podobno poza ułożonym porządkiem. Wymawiałem się brakiem przygotowania, ale na to nie zważano. Moi chłopci wyszli także dobrze na tym, bo nie tylko zobaczyli Paderewskiego, ale byli niemal przy samej trybunie w czasie jego przemówienia.

Paderewski wydawał nam się jak jakaś zjawa, przemawiał nadzwyczajnie pięknie, głośno, porywająco, wywołując grzmiące bezustanne oklaski i entuzjazm nie do opisania. Ludzie nie wiedzieli co robić, ażeby mu podziw i wdzięczność wyrazić.

Mnie przypadło przemawiać na Wawelu z balkonu jednego ze stojących tam domów. Na widok zgromadzonych tłumów dostałem z początku dużej tremy, a dom z balkonem zaczął się obracać ze mną z bardzo dużą szybkością. Spodziewałem się nieuniknionej kompromitacji. Uratowały mnie długotrwałe oklaski, w czasie których odzyskałem zupełnie równowagę i zebrałem

myśli. Czułem, że przemówienie moje nie należało do najlepszych, ale publiczność była bardzo pobłażliwa, oklaskując mnie wielokrotnie. Kiedy skończyłem i zeszedłem na dół, złapał mnie w objęcia jakiś starszy, szpakowaty pan z Wołynia, a ściskając mnie coraz silniej płaczącym głosem pytał, czy ja naprawdę jestem włościaninem i kto mnie tej mowy nauczył. Trochę się uśmieiałem z tej oceny mojej zdolności. Z bileciku mi wręzonego wyczytałem, że ów pan nazywał się hr. Przeździecki, a z dwóch jego towarzyszy jeden Słonecki, drugi Krzyżanowski.

Wracając z moimi sąsiadami do domu wieczorem, rozprawialiśmy całą drogę, rozważając przeżycia tego wielkiego dnia. Jeden z nich, Franciszek Stawarz, siedział wciąż zamyślony, a kiedy się spytałem, skąd ta jego zaduma, odpowiedział: „Wiecie co chłopcy, dobrze, że my dziś do Krakowa przyjechali, bośmy widzieli dużo i źle się robiło człowiekowi na sercu, ale ja myślę, że my Prusakowi nigdy nie damy rady i z tego mnie ten smutek zbiera”. Nie umiałem dać mu na to odpowiedzi, choć starałem się dowodzić, że mogą być różne rzeczy, których człowiek swoim rozumem nie jest zdolny ogarnąć.

Następne sesje sejmowe

Sesje lat następnych nie różniły się wiele od pierwszej. Ci sami ludzie, takie same, zawsze zarówno mądre jak i dobre sprawozdania wydziału krajowego, trochę odnowionego przez wybór ludowca Bernadzikowskiego i Ukraińca Kiweluka, którym zresztą powierzono mniej ważne departamenty. Gorące dyskusje w Sejmie, wieczne krzyki Rusinów i narzekania na krzywdy rzeczywiste i urojone, wyrządzone im przez Polaków i rozmowy z nimi poza Sejmem, prowadzone przez marszałka Badeniego mimo wszystko co się działo na zewnątrz. Przeprowadzenie koniecznych ustaw, liczne wnioski poselskie i jeszcze liczniejsze interpelacje, na które Namiestnik skrupulatnie odpowiadał, wypełniały jedną sesję sejmową za drugą. Myśmy się także sporo nauczyli i usamodzielnili, nie oglądając się wiele na Stapińskiego. W klubie tkwił jednak głęboki przedział, który był naturalnym odbiciem stosunków i nastrojów, panujących w kraju. Stapiński szedł dalej w kierunku polityki ugodowej, tak na gruncie Sejmu jak i Parlamentu, a co za tym poszło, także i w kraju. Stwarzało to duży ferment i rozbieżności, a z drugiej strony dawało zupełnie nowe możliwości.

Poza Sejmem mandat poselski otwierał niemal na oścież drogę do wszystkich urzędów. Wiedzieli też o tym wyborcy i nie

omieszkali owego przywileju poselskiego wyzyskiwać aż do ostateczności. Mimo że do tej łączącej interwencyjnej miałem nieprzeparty wstręt, musiałem chodzić po urzędach i urzędnikach, dopominając się o różne krzywdy, kary, grzywny i załatwienie zaległych spraw coraz to większej gromady ludzi. Ponieważ urzędy i urzędnicy szli mi bardzo na rękę, interesantów przybywało co dzień więcej.

Prędko się jednak przekonałem, jak w tych sprawach trzeba być ostrożnym, gdyż nie brakło takich, co bez żadnych skrupułów gotowi byli nadużyć dobrej woli. Dotyczyło to przeważnie różnych spekulantów i dostawców, którzy nie wahali się przed użyciem żadnego środka, byle tylko swój cel osiągnąć. Ta nowa ugodowa polityka produkowała, niestety, takich coraz więcej.

Zdarzały się też przykre, choć może niewinne pomyłki, czyniąc ostrożność jeszcze bardziej pożądaną. Raz jeden z włościan powiatu pilzneńskiego, niejaki Ziembą, przyszedł do mnie ze skargą, że biuro komisji dla włości rentowych we Lwowie nie chce mu uznać zapłaconej raty i procentów, wynoszących razem paręset koron, mimo kilkakrotnych urgensów z jego strony. Pojechałem do Lwowa. Dyrektor biura Sawczyński puścił w ruch cały aparat, przetrząsnął wszystko do ostatniego papierka i nie znalazł nic. Przeprósiwszy Sawczyńskiego, wróciłem ze Lwowa i spotkałem się ze Ziembą w Tarnowie, oczekującym tam na mnie. Oznajmił mi on trochę zakłopotany, że pieniądze rzeczywiście posłał do Lwowa, ale to zupełnie do innej instytucji. Kwit mu chwilowo zaginął i stąd poszło całe nieporozumienie. W tych dniach się wszystko wyrównało, a kwit się także znalazł.

Tajemnicze wybory do parlamentu

W roku 1911 wypadły powszechne wybory do Parlamentu austriackiego skutkiem wcześniejszego rozwiązania Izby Poselskiej. Stronnictwo nasze wzięło w nich bardzo żywy udział. Wiadomo było ogólnie, że mimo koziołków Stapińskiego byliśmy w Galicji zachodniej jedynym stronnictwem ludowym, posiadającym na wsi wielkie wpływy i znaczenia. Stapiński umiał się przed chłopami bardzo zręcznie wywijać, robota zaś Dąbskiego, a częściowo i Wysłoucha, mająca na celu wykazanie szachrajstw a nawet zdrady chłopów przez Stapińskiego, nie była jeszcze zdolna podkopać jego wpływów. Ja nie przykładam także ręki do niej, nie chcąc wprowadzać w tych momentach zamieszania, a co za tym idzie, niezawodnej klęski, tym więcej, że w Dąbskiego jak i w jego robotę wciąż nie miałem najmniejszej wiary.

Dochodziły mnie głosy, że Stapiński z Bojką i Olszewskim robili znów jakieś układy z Namiestnikiem i konserwatystami i że w tym celu jeździli do hr. Potockiego w Rymanowie, ale nie pewnego o tym nie wiedziałem.

Całą sprawę bowiem trzymano w tajemnicy przede mną, mimo że w Stronnictwie zajmowałem już bardzo wybitne stanowisko i mój głos w nim ważył coraz więcej. Zaniepokojony i interpelowany przez chłopów zwróciłem się po wyjaśnienia do Bojki. Odpowiedział mi nawet dość opryskliwie, że to same plotki. Miał widocznie w tym swój cel.

Wkrótce doszły mnie wiadomości nowe, roznoszone zresztą wszędzie i przywiezione mi przez Dąbskiego, iż układ zawarty z Namiestnikiem i konserwatystami nie tylko że oddaje cały szereg okręgów wyborczych w ręce konserwatystom, lecz ponadto w tych, które zostały przyznane Stapińskiemu, będą uznani tylko ci kandydaci ludowcy, na których się Namiestnik zgodzi. Oni też dostaną poparcie rządu i potrzebne fundusze. Ja zaś mam należeć do tych, którzy zgody Namiestnika nie otrzymają. Dąbski nie skończył na mnie, ale wyliczył cały szereg nieprawomyślnych kandydatów.

Mówił to z taką pewnością siebie i tyle dawał różnych dowodów i szczegółów, że trudno bardzo było mu nie uwierzyć, a jednak nie wierzyłem. Odpowiedziałem więc, że zanim dam odpowiedź muszę się rozmówić ze Stapińskim i porozumieć z wybitniejszymi chłopami, bo nie chcę i nie mogę przedsięwziąć lekkomyślnej decyzji. Rozmowa ze Stapińskim nic nie przyniosła, chłopci zaś zamiast radzić, spuszczali się na mnie, godząc się na to, co zrobię.

Tymczasem i ja nie wiedziałem co robić, gdyż to nie było wcale rzeczą ani prostą ani też łatwą. Na wiadomościach Dąbskiego nie mogłem zupełnie polegać, innych pewniejszych dowodów nie miałem. Zdawałem sobie też dokładnie sprawę, jakie następstwa może przynieść naruszenie całości Stronnictwa i to jeszcze w tym czasie.

Miałem nie ulegające żadnej wątpliwości potwierdzenie zamiarów Stapińskiego co do wprowadzenia nowo wybrać się mających posłów do Koła Polskiego, ale o tym miały decydować powołane władze Stronnictwa na podstawie zasadniczej uchwały Kongresu rzeszowskiego w dniu 8 marca 1908 r.

Była to sprawa bardzo wielkiej wagi, gdyż, jak poprzednio już nadmieniałem, cały ruch ludowy w zasadzie był skierowany przeciw Kołu Polskiemu i jego polityce, zarzucając jej służalczość wobec rządu i wrogie stanowisko wobec chłopów. Z tego on się począł, tym się karmił, na tym rósł i potężniał.

Z punktu widzenia interesu narodowego mogło to być nawet w pewnej mierze szkodliwe, gdyż osłabiało polską reprezentację w Parlamencie i umniejszało jej wpływy w rządzie i państwie. Z drugiej strony stanowiło naturalną i potrzebną reakcję na politykę Koła, które się wciąż kierowało starą służalczą zasadą: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”, nie zwracając należytej uwagi na ciężkie położenie ludności i wyrabiając kult wiecznego poddaństwa. Niechęć do szlachty i wrogi stosunek do Koła i jego polityki były na wsi jeszcze bardzo silne, nic też dziwnego, że wiadomości rozszerzane wywoływały zdziwienie, a nawet przerażenie, które się dość niekorzystnie odbiło na wybory.

Same zaś wybory odbyły się według szczegółowo ułożonego na górze planu. Stronnictwu naszemu dały one 23 mandaty. Równocześnie weszło do Parlamentu niewiele mniej konserwatystów, mimo że stracili oni w kraju zupełnie grunt pod nogami.

Wszędzie mówiono głośno, że jest to sprawa Stapińskiego i że się za nią coś nieczystego kryje. Nie wszystkie też powiaty i okręgi poszły na komendę Stapińskiego, wybierając posłów wbrew jego woli. Do tych należał między innymi okręg nowosądecki, który wybrał posłem Wincentego Myjaka, gdy oficjalny kandydat Stapińskiego, Cieluch, mimo wydatnej pomocy upadł, otrzymawszy bardzo nieznaczną ilość głosów. To samo stało się w okręgu wadowickim, gdzie wyszedł z wyborów sędzia dr Ignacy Banaś bardzo dużą większością przeciw oficjalnemu kandydatowi Stronnictwa.

Ja zostałem wybrany w okręgu tarnowskim zaraz w pierwszym głosowaniu jako poseł większości. Posłem zaś mniejszości został wybrany dr Antoni Matakiewicz, naonczas konserwatysta. Nie przetrwał jednak całej kadencji w tym stronnictwie, uląkłszy się szalejącej klerykalnej demagogii i gniewu biskupa Wałęgi.

Wybory w tarnowskim okręgu wypadły dla mnie znacznie gorzej niż się spodziewałem. Najlepsze gminy nie dopisały. Często doskonale zorganizowane wsi dały większość głosów kandydatowi konserwatywnemu. Ponieważ byłem bardzo ciekawy szczegółowego wyniku, poszedłem do Tarnowa, ażeby się w aktach starostwa rozejrzeć.

Gdy wszedłem do biura znanego mi komisarza i bardzo przyzwrotnego człowieka, po przywitaniu odezwał on się zupełnie niespodzianie do mnie. „Panie pośle, pan nie wie, ile myśmy się nad pańskim mandatem napocili, niech mi pan podziękuję, bo ja właściwie dopiero zrobiłem pana posłem!”.

„Wcale dziękować nie myślę — odrzekłem — bo aż za nadto miałem głosów od wyborców”. „Myli się pan — przerywa mi

komisarz — tyle się naharowałem, ażeby panu głosów odjąć, a Matakiewiczowi dosypać, że aż przesoliłem, gdyż panu brakło do większości, a posłowi Matakiewiczowi daliśmy znacznie więcej niż potrzeba. Kiedy się okazało, że nikt z was nie wybrany siedzieliśmy całą noc i przerabialiśmy głosy, ażeby panu naliczyć nareszcie koniecznie potrzebną większość. Niech mi pan teraz powie, czy nie mam racji. A ponieważ za moją rzetelną pracę coś mi się należy, zapraszam się na piwo, które pan zapłaci, a u Leszczyńskiego powiem panu resztę”.

Trochę skonsternowany i zdziwiony zgodziłem się na propozycję pana komisarza i wyszedłem z nim. Kiedyśmy usiedli, powiedział mi po cichu i krótko: „Dostaliśmy polecenie pana Namiestnika, ażeby w okręgu tarnowskim za wszelką cenę przeprowadzić obydwóch posłów, tj. pana jako posła większości i Matakiewicza jako posła mniejszości i to koniecznie przy pierwszym głosowaniu. Kiedy starosta wyraził zapatrywanie, że wybór Matakiewicza bez wyraźnych nadużyć jest niemożliwy, gdyż chłopci ludowcy stanowią w okręgu ogromną większość i pójdą łąwą za Witosem, Namiestnik odpowiedział, iż nie ma żadnych obaw, bo Stapiński dał na wszystko już z góry swoją zgodę. Mało tego, bo na poufnym zebraniu, o którym pan nie wiedział, wydał swoim zwolennikom polecenie, jak mają głosowaniem pokierować. Dlatego wsi, na które pan mógł najwięcej liczyć, całe głosowały za Matakiewiczem, czego myśmy się nie spodziewali, dokładając mu niepotrzebnie wiele głosów, które padły na pana. Z wyników wyborów w poszczególnych gminach pan się dowie, gdzie ma prawdziwych, a gdzie fałszywych przyjaciół”.

Patrząc na spisy i wykazy, zdębiałem. Cała okolica Zakliczna, pozostająca pod wpływem „największego” w okręgu wyborczym ludowca Józefa Budzyna, głosowała za Matakiewiczem, mimo że tam mieszkali sami zwolennicy Stronnictwa. Okolice Tuchowa, ulegająca wpływom Józefa Kity ze Siedlisk, zrobiła to samo. Gdy o Budzynie wiedziałem, że jest ludowcem od parady, a chodzi tam, gdzie widzi korzyść, to Kita był ideowym zapaleńcem i zaciekłym osobistym przeciwnikiem Matakiewicza. Dziwiłem się, jak na niego mógł podzielać rozkaz Stapińskiego. Na dwóch wymienionych działaczach wcale się lista ta nie zakończyła, a już oni obaj dysponowali paroma tysiącami głosów.

Później Kita przyznał mi się otwarcie, że tak postąpił nie ze względu na rozkaz Stapińskiego, lecz dlatego, że przed wyborami nie odezwałem się do niego ani jednym słowem, mimo że agitacja przedwyborcza kosztowała go dosyć pracy i pieniędzy. To szalbierstwo wyborcze i praktyki stosowane przez Stapińskiego go otworzyły mi jeszcze więcej oczy na politykę kompromisów,

szczególnie przy nierównych szansach zawieranych i do małych celów używanych, jak również na demoralizację, jaką one muszą wnieść w nasze szeregi.

Ponieważ praktyki podobne stosowano i w innych okręgach, wzburzenie przeciw Stapińskiemu zaczęło się ogromnie podnosić. Do mnie przybyło kilku niedoszłych posłów dowodząc, że gdyby nie Stapiński, byłiby oni na pewno wybrani, w dowód czego przynosili protesty, podpisane przez setki poważnych obywateli. Powołując się na oburzenie szeregu powiatów żądali, bym stanął na czele akcji, której zadaniem będzie wykrycie całej prawdy i usunięcie Stapińskiego od kierownictwa Stronnictwem, gdyż inaczej może on wszystkie wysiłki chłopów zaprzepaścić.

Odradziłem im zaznaczając, że to oczyszczanie Stronnictwa w tym czasie i walka ze Stapińskim, mimo że pochodzi ona z najlepszych pobudek, może Stronnictwo zagrzebać w gruzach. Zresztą, gdybym się nawet do tej akcji miał przyłączyć, nie mógłbym się podjąć kierownictwa, nie mając do tego dostatecznych danych. Chłopi się uśmiechali cierpko, ale musieli się z tym pogodzić. Radzono jeszcze długo, ale ponieważ poza posłem Myjakiem nikt się do tej roboty na serio nie brał, postanowiono całej akcji zaniechać. Mimo tego uspokojenie prędko nie przyszło. Chłopi tu i ówdzie zaczęli się samorzutnie zbierać, radzić, narzekać i burzyć, przewidując wciąż zdradę i nie wierząc żadnym zapewnieniom. Odgłosy tej burzy dochodziły także i do mnie, choć w okolicy nie spotkałem się z niczym poważniejszym.

Dopiero w parę tygodni po wyborach, kiedy wybrałem się do Żabna na jarmark, ażeby kupić jakiegoś konia do robót polnych, natrafiłem na nieprzyjemne spotkanie. Zaraz na wstępie ujrzałem Bojkę, spacerującego po ulicy Dąbrowskiej. Zaczęliśmy rozmowę. „Dlaczego pan, panie prezesie, odbywa taką samotną spacerkę, kiedy na jarmarku aż ciasno od ludzi? — zapytuje go, nie wiedząc od czego zacząć. „A widzisz — powiada — jak te cholery chłopcy stronią ode mnie i patrzą spode łba, jak bym im ojców pozjadał!”. „A o cóż im chodzi?” — pytam. — „Jak to o co, to nie wiesz, jakie chłopcy, ktoś im nagadał, że my Stańczyków nawybierali do Parlamentu wiedeńskiego, a teraz się znowu wszyscy sprzedajemy, bo mamy wstąpić do Koła Polskiego. Najgorzej pyskują na Stapińskiego i na mnie, że my to niby oba zrobili jakąś ugodę i sprzedaliśmy chłopów. U mnie już wszystkie kumoszki we wsi wiedzą, ile nabrałem pieniędzy i gdzie je ulokowałem. Wczoraj wieczór przyszedł do mnie Menel i wszystko mi to galanto wygarnął. Powiadam ci, że już diabli człowieka biorą, jak się na to patrzy. Tobie lepiej, bo cię uważają za jakieś niewiniątko!”.

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy przystąpił do nas Jan Budzioch, gospodarz i wójt z Woli Rogowskiej, znany kumoter i wielki przyjaciel Bojki, przy tym jeden z najbardziej wpływowych chłopów w powiecie dąbrowskim. Bojko przedstawiając mnie Budziochowi, powiada równocześnie do niego z przekąsem: „No widzisz, to jeden znowu z tych oszustów, co to chłopów sprzedali panom, a dziś do Żabna przyjechał już karetą i czterema końmi!”. „Po co ty to mówisz do mnie, jak wszyscy chłopci tak myślą, a dziś po jarmarku przeklinają was i nie dadzą słowa sobie powiedzieć” — odparł bez namysłu Budzioch. „No, a co ty na to?” — pyta go Bojko. „Ja, no ja, nikogo nie posądzam, ale także muszę być z chłopami”. Rozmowa się urwała natychmiast, gdyż Bojko odszedł, nie podawszy nawet ręki Budziochowi.

Za to wszystko skrupiło się na mnie. Chłopi zaczęli zbliżać się grupami, patrząc na mnie jak na wilka. Nareszcie Marcin Krzciuk z Sikorzyc, widząc tworzące się coraz większe zbiegowisko, zaproponował, ażebyśmy poszli do jakiegoś osobnego lokalu, gdzie by można spokojnie pogadać. Zaproponował dom Kurowskiego, bo się tam miała znajdować jakaś ustronna izba. Zacząłem się ościagać i wymawiać, ale to nie pomogło, trzeba było więc ustąpić. Przecisnęliśmy się przez wielką izbę szynkową, nabitą gęsto chłopami. Nikt też na nas nie zwrócił uwagi, gdyż mnie chłopci mało znali, a o tamtych wiedzieli, że w każdy jarmark w tej izbie przesiadują. Krzciuk wyszedł na miasto i za chwilę wrócił, prowadząc ze sobą Stanisława Nowaka z Miechowic, Feliksa Musiała z Niecieczy, Jana Kasprzaka z Otwinowa i Reszutkę ze Sieradzy. Za parę minut weszli jeszcze Jan Augustyński z Otwinowa i Adam Krupa z Niecieczy, mój kolega z wojska.

Rozsiedzeni chłopci wystąpili tam z taką nawałnicą zarzutów, że musiałem siedzieć jak trusia i czekać aż się trochę burza uspokoi. Z wyjątkiem Rzeszutki obwiniali wszyscy Bojkę i Stapińskiego o konszachty ze Stańczykami, a niektórzy nawet o wyraźną zdradę, narzekając, że cała robota i trudy zostaną zupełnie zmarnowane. Chłopi, którzy tyle przetrwali i wycierpieli, od Stronnictwa się odwróca, a my wszyscy chyba pójdziemy na parobków do szlachty. Mnie widocznie oszczędzali, uważając za młodego i niedoświadzonego i zwracali uwagę, bym się nie dał omotać tym starym szachrajom.

Marcin Krzciuk radził, ażeby Bojkę poszukać i sprowadzić, by on się sam z tego wypowiadał, ale reszta zawyrokowała, iż go woli nie widzieć. Za parę godzin nareszcie wyszedłem widząc, że ten chleb poselski tak wygodny nie jest.

Zona nie mogąc się mnie doczekać kupiła konia za 27 reńskich od handlarza nie wiedząc, że jest zupełnie ślepy. Sposztrzegłszy to lamentowała całą drogę, narzekając na mnie. Chcąc temu koniec położyć, sprzedałem go na drugim jarmarku w Zabnie za połowę ceny, starając się uciec stamtąd jak najprędzej, ażeby się znowu nie natknąć na lamenty chłopów. Nie bardzo mi się to jednak udało, gdyż spotkał mnie Krupa i mówił, że burza w powiecie robi się coraz większa. Istotnie powiat dąbrowski był żywszy niż inne i reagował silniej, nie stanowił wyjątku.

C z ę ś ć I V

W KOLE POLSKIM I WIEDNIU

Klub i wybór Stapińskiego

Niezadowolenie owe, mimo że objęło kilka powiatów, nie było dla Stapińskiego tak groźne, ażeby musiał zwrócić na nie baczniejszą uwagę. W tych samych powiatach miał bowiem sporo chłopów wpływowych, którzy się zgadzali z jego polityką, stanowisko jego w Stronnictwie było dość silne, a przy tym wiedział, że w tym czasie nie będzie nikogo, co by chciał i mógł jego miejsce zająć. Spodziewał się także, że jego taktyka zacznie wkrótce wydawać owoce. Tego zdania byli widocznie nowowibrani posłowie, powierzając mu przewodnictwo tak poważnego liczba klubu. A przecież ten klub składał się w dużej większości z ludzi zdolnych, niezależnych i doświadczonych.

Na otwarcie Parlamentu czekałem z niecierpliwością i wielką ciekawością. Budziły ją nie tylko ceremoniały połączone z otwarciem, o których mi wiele opowiadał Olszewski, ale sam Wiedeń, Koło Polskie i wielka polityka, jaka się we Wiedniu musiała rozgrywać. Było to przecież w okresie zaciętej walki pomiędzy Niemcami i Czechami i przewidywanych zmian w państwie, a szczególnie w Galicji.

Ażeby się nie pogubić, pojechaliśmy z Krakowa całą gromadą i razem też stanęliśmy w hotelu nastreńczonym nam przez jednego z posłów, znających lepiej Wiedeń. Pokoiki dość czyste dostaliśmy po jednej koronie i dwadzieścia halerzy na dobę.

Nie mogłem sobie darować, ażeby zaraz nie obejrzeć miasta, przynajmniej w najbliższej okolicy hotelu. Wyszedłem też, zapisując sobie skrzątnie nazwę każdej ulicy, ażeby wiedzieć, którędy mam powrócić. Po południu poszliśmy razem z posłem Kubikiem, który obracał się w Wiedniu jak u siebie, oglądać dalsze części

miasta. Obejrzelśmy Burg cesarski, Parlament, gmachy kilku ministerstw, Sądu Najwyższego, Ministerstwa dla Galicji i wiele różnych innych gmachów i pałaców prywatnych, pomników, muzeów, kościołów, zabytków — oczywiście wszystko powierzchownie. Służący za przewodnika poseł Kubik z pasją opowiadał o Habsburgach, że to sami idioci i degeneraci, że Maria Teresa to była wielka rozpustnica, różni zaś wodzowie na pomnikach pomieszczeni, to przeważnie tchórze, którzy umieli znęcać się nad bezbronnymi w sposób wyrafinowany i okrutny, wysyłać żołnierzy masami na śmierć, a sami siedząc w czasie walk w bezpiecznym miejscu, kupowali pisarzy, którzy robili z nich bohaterów. Nie zostawiwszy na żadnym suchej nitki, wyróżniał jednak między nimi Eugeniusza Sabaudzkiego, Thegethofa i marszałka Raddeckiego.

Niezadowolony był także ze wspaniałych kościołów, zaznaczając, że nie ma się na co gapić, bo to dowód i symbol ucisku milionów biedaków, przybytek ciemnoty i zacofania. Ponieważ mi tego już za dużo, powiedziałem delikatnie starszemu koledze, że nie można i nie należy wszystkich posądzać tylko o złą wolę i wszystkiego potępiać w czambuł, bo to jednak jest dorobek wieków, wysiłek woli i rozumu całych pokoleń. Zawzięty Kubik znalazł znowu na to odpowiedź twierdząc, że to wszystko co widzimy, to Niemcy narodom słowiańskim beczelnie ukradli.

„Przecież nie ukradli nikomu ani kościoła św. Szczepana, Burgu cesarskiego, ani tysięcy gmachów, które się znajdują we Wiedniu” — odezwałem się, broniąc niechcący wciąż atakowanych przez Kubika Niemców. „Tak — tak odpowiedział rozdrażniony Kubik — ale ukradli pieniądze i majątek, za które te i inne budowy przeprowadzili”.

Kiedyśmy wstąpili na podwieczorek do restauracji Polaka, Trześniewskiego, Kubik długo i szeroko zaczął nam znowu dowodzić, jaką krzywdę Polsce wyrządził Papież, zmuszając króla Sobieskiego do obrony Wiednia przed Turkami, gdy przewidująca i mądra polityka nakazywała złączyć się z nimi, Wiedeń zrównać z ziemią, a państwo austriackie pomiędzy sąsiadów podzielić, przywracając wolność uciemiężonym narodom. Tu się już z Kubikiem nie spierałem, przyznając mu zupełną rację, żałując tylko, że ta rada przyszła mocno za późno. Rozmowa na te tematy skończyła się nareszcie mocnym akcentem posła Kubika, że zguba Polski zawsze była w Rzymie i będzie tak długo, dopóki się ona od wpływów papieskich nie uwolni.

Smętny i rozdrażniony nastrój, wywołany przez Kubika, wypogodziło przemówienie posła Tetmajera, który zgadzając się

z Kubikiem co do przeszłości, zapewniał go i nas uroczyście, że w nowej Polsce będzie już inaczej. Letkiewicz Myjak, zabrawszy głos, podziękował Tetmajerowi za jego słowa, napełniające nas otuchą, bo inaczej należałoby się chyba powiesić, obciążając sumienie kolegi Kubika nową wielką troską. Pominąwszy posła Myjaka, widziałem że argumenty Kubika zrobiły na wielu kolegach bardzo duże wrażenie.

W Parlamencie

Na drugi dzień nastąpiło otwarcie izby poselskiej. Mowę tronową odczytał cesarz Franciszek Józef w Burgu, w bogatej i niezwykle poważnie wyglądającej sali. Więcej moją uwagę zwróciły różne ceremoniały, jakie mowę poprzedziły aniżeli ona sama, gdyż zaledwie parę słów z niej zrozumiałem.

Wejście do Burgu, ustawione i dobrane wojsko, dygnitarze na każdym schodku do sali, palące się świeczniki, chłód wprost lodowy i powaga tchnąca zewsząd, wspaniała wielka marmurowa sala, robiły na mnie głębokie wrażenie, a równocześnie i onieśmiewały. Przed samą mową cesarza posłowie oczekujący na sali zachowywali się dosyć swobodnie, czym niezwykle gorszył się ekscelencja Abrahamowicz i kilku posłów konserwatywnych, uspakajając i strofując rozmawiających. Sam cesarz mimo podeszłego wieku mówił głosem dosyć silnym, akcentując niektóre części przemówienia.

W Parlamencie dano nam miejsce koło Czechów, na lewicy Koła Polskiego. Z początku czułem się tam ogromnie nieswojo, tak ze względu na język jak i otoczenie. Awantury pomiędzy Czechami i Niemcami wybuchały przy każdej sposobności, prawie że codziennie. Sekundowali im Ukraińcy, choć już z mniejszym tupetem aniżeli to robili w Sejmie galicyjskim.

Tej hałaśliwej Izbie przewodniczył Gustaw Gross, Niemiec, przedstawiciel największego stronnictwa w Parlamencie, człowiek już starszy, bardzo poważny i zupełnie bezstronny, cieszący się też ogólnym zaufaniem. Jako przedstawiciel Koła Polskiego wchodził w skład prezydium Izby poselskiej wiceprezes Koła, poseł Ludomił German, demokratą polski.

Praca w Parlamencie absorbowwała nas niezbyt wiele, kręciliśmy się też po kuluarach i korytarzach dla zabicia czasu, spiesząc do Izby na odgłos dzwonek, co oznaczało zmianę mówcy, głosowanie albo też jakąś awanturę. Ponieważ w pulpitach mieliśmy kartki do głosowania z napisem: „tak” i „nie”, ulegając często komendzie posła Kubika, głosowaliśmy z Czechami przeciw

Koło Polskiemu, wywołując różne rekryminacje i dociekania. Z czasem jednak nabyliśmy wprawę, a i poseł Kubik demonstracyj podobnych zaniechał, gdyż z nich parokrotnie wyszły bardzo nieprzyjemne niespodzianki. Później po zaznajomieniu się z językiem niemieckim i ze stosunkami postępowaliśmy już samodzielnie.

Wiceprezes Izby dr German, zaprosiwszy mnie raz do swojego gabinetu, poinformował o składzie Parlamentu, sile liczebnej poszczególnych stronnictw, stosunkach panujących w Izbie, zaznaczając w końcu, że nie jest ona podobna ani w części do dawnych austriackich parlamentów. Brakuje jej ludzi i dawnej powagi. Poprzednie parlamenty umiały zawsze znaleźć wspólną ideę i wspólny język, dziś tego nie ma, toteż Parlament staje się coraz więcej niezdolny do żadnej pracy. Dawną świątynię prawa zamieniono na cyrk, w którym się popisują rozmaici krzykacze i awanturnicy polityczni, zastępując rozum i doświadczenie potokiem wymowy. Powiedział mi też na końcu poufnie, że według jego zdania Parlament ten długo nie pociągnie. Tę reprimendę dr. Germana wziąłem także trochę i do siebie, bo przecież z mandatem poselskim nie przyniosłem wcale tych watorów, o które jemu tak bardzo chodziło.

Wracając do klubu przechodziłem przez kuluary Parlamentu, gdzie jakby na potwierdzenie słów Germana spotkałem kilku posłów niemieckich i innych wyciągniętych na kanapach i chrapiących głośno. Robili oni to codziennie, oczywiście nie ci sami, a budził ich dopiero dzwonek, głośniejsza awantura, a czasem parlamentarni woźni.

Po paru tygodniach tej nudy kularowej i przemówień obstrukcyjnych, trwających po kilkanaście godzin, wytłumaczył nam bardzo praktycznie poseł Bomba, że my całkiem niepotrzebnie marnujemy czas, bo można przyjechać co tydzień na jedno lub dwa posiedzenia, ażeby uratować diety, pochodzić po ministerstwach za sprawami wyborców, wnieść interpelację, postawić wniosek, a większą część tygodnia spędzić na miejscu między wyborcami, dla ich i swojego dobra. Nic nie mówiąc, zastosowaliśmy się do tej rady wbrew opinii i ku zgorszeniu posła Średniawskiego, który doradzał uczęszczać na komisje, by się obeznać zarówno z językiem niemieckim jak i z różnymi sprawami.

Ponieważ mnie wybrano członkiem jednej z nich, musiałem niechęć rady posła Średniawskiego posłuchać. Niedługo tam jednak popasałem, bo walka prowadzona w Parlamencie uniemożliwiała pracę w komisjach, szczególnie w tych, które miały wyraźny polityczny charakter.

Rozejrzawszy się bliżej w stosunkach widziałem, że German mało ma racji, posądzając ówczesną Izbę poselską o tak daleko idące wyjąłowanie. Ludzi tęgich, wykształconych, przygotowanych do pracy było tam bardzo wielu, a jedynie tylko wytworzone położenie stanęło im na przeszkodzie. Widziałem więc, że z niego wyglądał typowy parlamentarzysta z dawnych dobrych spokojnych czasów, a może nawet trochę „c.k. Hofrat”.

Do tych zaś naprawdę tęgich ludzi, poza generalnym referentem budżetu, posłem Steinwenderem, zaliczyć można było całą gromadę Niemców, należących do różnych odłamów politycznych. Nie ustępowali im Czesi, ze swoim Masarykiem, Kramarzem, Stankiem, Kłofaczem, Viskovskim, Raszinem, Zahradnikiem, Prokoupkiem i in. Mieli też Ukraińcy swoich Lewickich, Cegielskich, Petruszewiczów, Oleśnickich, Baczyńskich. Przedstawiciele Słowian południowych jak Szusterszic, Krek, dr Koroszec, Laginia, Tafczar, Pribicewicz, Hrybar wcale nie zostawali w tyle za innymi. Tęgich i ruchliwych ludzi mieli socjaliści z Adlerem, Daszyńskim, Seitzem na czele. Nie brakło też awanturników w rodzaju Wolfa, hr. Sternberga, Schoenerera, Starucha, Teifla i całego szeregu innych, no ale to już były takie czasy.

Nie gorzej też reprezentowało się odmłodzone Koło Polskie. Nikt tam wprawdzie nie dorastał Smolki lub Ziemiałkowskiego, ale też w tych zmienionych stosunkach mniej już było miejsca na takich regimentarzy. Zmalały wpływy Abrahamowiczów, Zaleskich i Dzieduszyckich, ale zastąpili ich ludzie niemniej chętni do pracy, a przy tym reprezentujący naprawdę większość narodu, z którą się trzeba było zarówno stykać jak i liczyć, a ponadto brać od niej siły i natchnienie tak potrzebne do wielkich spraw, które miały przypaść w udziale nowemu zespołowi poselskiemu. Było to przecież ostatnie Koło Polskie na gruncie wiedeńskim. O przeobrażeniach w nim dokonanych świadczyły także bardzo wymownie zmiany w kierownictwie Koła. Przecież w czasie tej jednej kadencji dzierżyli je kolejno: dr Łazarski, Biliński, Leo, bar. Goetz, hr. Baworowski i dr Tertil. Temu ostatniemu przypadło też w udziale ostatnie przewodnictwo i w ostatnim Kole Polskim.

Gdy pocziwy Łazarski cieszył się wielką powagą i szacunkiem u wszystkich, a zarzucano mu tylko niedostateczną energię i brak inicjatywy, to do Bilińskiego, mimo że te zalety posiadał, u wielkiej części członków Koła, panowało bardzo duże uprzedzenie i niedowierzanie. Niektórzy nawet z tych, co go formalnie

i widocznie popierali, zarzucali mu zbyt dworactwo i posądzali o uległość wobec Niemców, a często nawet kwestionowali jego prawdomówność.

Podobny stosunek do niego istniał także i w naszym Klubie. Kiedy prezes Stapiński popierał go całą siłą, uważając niemal za geniusza, to hr. Rej, Długosz i Tetmajer przestrzegali często przed nim jako zupełnie czarno-żółtym i przy tym fałszywym. Jego szczerzy zwolennik, jakim był poseł Średniawski, powtarzał często, że Biliński to taki kot, który rzucony na głowę, na pewno na nogi padnie. Szczególnie nienawidzili go narodowi demokraci, jak twierdzono, ze względu na porachunki dawniejsze.

Dr Leo, zdawało mi się, że traktował Koło dość po dawnemu, mało się wczuwając w nowe nastroje i nie robiąc należytej różnicy pomiędzy nim a radą miejską w Krakowie. Gorszono się np., że do wchodzących do sali Koła posłów albo wychodzących z sali odzywał się często dość niegrzecznie: „Proszę zamykać drzwi”. Obarczony licznymi obowiązkami, za mało może zwracał uwagę na sprawę polską, gdy ją wojna europejska wydobyła na porządek dzienny. Wielu też spraw innych nie doceniał lub traktował je sucho i trochę biurokratycznie. Nie mogąc pogodzić wszystkich obowiązków ze sobą, naciskany przez władzę po wybuchu wojny, obowiązki prezesa Koła złożył.

Baron Jan Goetz, który urząd prezesa Koła piastował bardzo niedługo, był uosobieniem dobroci, szczerości i prawdomówności, ale nie dorastał swymi uzdolnieniami do zadań, jakie miał przed sobą. On to sam wiedział i nieraz mówił, a będąc konsekwentnym, dość szybko ustąpił.

Hrabia Jerzy Baworowski, niezwykle przyzwoity człowiek, rozsądny, przystępny, przyjacielski, rozumiejący czas, stosunki i ludzi, nie mógł i nie chciał włodarzyć Kołem, nie tylko dlatego, że ono było coraz trudniejsze do prowadzenia, ale że zadania Koła stawały się z dnia na dzień większe i cięższe, przerastając jego siły i zdolności. Sam to mówił tak do mnie, jak i do innych zupełnie otwarcie.

Dr Tadeusz Tertil, burmistrz miasta Tarnowa, były narodowy demokrat, mój bardzo bliski sąsiad, dostał się na stolec prezesa Koła dosyć niespodziewanie. Drogę utorowały mu przemówienia dość śmiałe i samodzielne, a przy tym jego stosunek do rządu austriackiego, sięgający czasów okupacji rosyjskiej, co u posłów narodowo-demokratycznych poprawiło znacznie jego opinię. Robił, co mógł na te czasy, pociągany za rękaw przez nas, endeków i socjalistów, a trzymany za poły przez konserwatystów i swoich bliższych przyjaciół demokratów. Jemu też w udziale przypadło szereg bardzo ważnych posunięć politycznych,

a w końcu pogrzeb Koła, po jego kilkudziesięcioletnim istnieniu. Nie wiem, co było powodem, że uczynił to w sposób dość niewidoczny, choć przecież było to zamknięcie pewnego wielkiego okresu dziejów.

Szczególną uwagę zwracał zawsze na siebie w Kole poseł Włodzimierz Kozłowski. Był on starym referentem budżetu wojkowego, tak w Parlamencie austriackim jak i w delegacjach wspólnych. Nosił zawsze plik książek i papierów pod pachą, a z tego powodu był nazywany chodzącą encyklopedią, choć znający go bliżej mówili, że jego wiadomości wystarczyłyby na kilka bibliotek. Na posiedzeniach Koła mówił rzadko, ale za to ogromnie mądrze i przekonująco, popierając swoje wywody datami i argumentami wprost nieodpartymi.

Bardzo rozumne i uczone zarazem były wszystkie przemówienia profesora Leopolda Władysława Jaworskiego. Słuchaliśmy go z wielką uwagą, ale nie mogliśmy się zgodzić ani na jego kierunek, ani też na tendencje polityczne, którym hołdował. Sam uważałem go za człowieka o wielkim poczuciu honoru i godności, toteż nie mogło się mi w głowie pomieścić, jak on się mógł zdobyć na użycie środków korupcyjnych w stosunku do Stapińskiego i Stronnictwa Ludowego.

Przemówienia posła prof. Głębińskiego były nacechowane przejściem się sprawą i głęboką jej znajomością, nie miały też zbyt wielu drażliwych akcentów politycznych, mimo wyraźnej odrębności i pewnej tendencyjności. Było to tym więcej wskazane że w Kole znajdowało się sporo posłów, którzy opuścili stronnictwo endeckie w czasie, gdy jak mu się zdawało, okręt narodowo-demokratyczny zaczynał być tonąć.

Czupurny poseł hr. Aleksander Skarbek dawał się często ponieść temperamentowi, a mówiąc prawdę bez obwijania jej w bawełnę, dotykał nieprzyjemnie czasem zarówno ludzi jak i ich politycznych przekonań. Poza tym odznaczał się wielką odwagą cywilną, prawością charakteru, niezwykłą pracowitością, ofiarnością na cele publiczne, umiłowaniem sprawy polskiej, a równocześnie był rzetelnym przyjacielem chłopów. Okazał to zresztą czynem w czasach najcięższych.

Przedstawiciel rodowej arystokracji w Kole, obok hr. Baworskiego i demokratty hr. Skarbka, także podobno były endeck, książę Adam Lubomirski z Przeworska, wydawał mi się zawsze słabo zamaskowanym hipokrytą. Mając niezbyt tęgą głowę polityczną, rozprawiał bardzo wiele o sprawach ekonomicznych, a specjalnie o przemyśle, zatrzymując się najwięcej na fabryce cukru w Przeworsku i dowodząc, że jest to jedyna droga prowadząca na pewno do odrodzenia narodu. Myśmy go słuchali z cie-

kawością, choć hr. Skarbek tłumaczył, że Lubomirski to człowiek płytki, a przy tym blagier, pokrywający frazesami swoje sobkostwo i zachłanność, karierowicz i rządowiec. Że się nie mylił, okazało jego zachowanie się w sprawie rezolucyj Tetmajera, tak w Kole Polskim w Wiedniu, jak na Kole Sejmowym w Krakowie, gdzie Lubomirski występował w charakterze przewodniczącego grupy konserwatywnej. Potwierdziły zaś dalsze wypadki, na które Skarbek już nie patrzył, gdyż zmarł znacznie wcześniej.

Bardzo miłym i rozsądnym człowiekiem był poseł konserwatywny Wysocki, właściciel majątku w Małopolsce wschodniej. Należąc do wielkich właścicieli ziemskich i obozu konserwatywnego, mimo to grawitował zawsze do nas, choć w przemówieniach unikał tego bardzo starannie. Podobnie jak Lubomirski często się zatrzymywał na sprawach ekonomicznych, nie pomijając spółki, dostawiającej owies i siano do wojska, na czele której stał on sam wraz z Żydem Finderem z Białej i Franciszkiem Gizą ze Szczurowej. Jak on na tej spółce wyszedł, nie wiem, natomiast Franciszek Giza stał się właścicielem dwóch folwarków pod Krakowem, chociaż był dopiero drugim dyrektorem.

Bardzo rozumnie i prawie bez konkurencji przemawiał zawsze poseł Henryk Kolischer. Był on uważany za wielką powagę w sprawach handlowych, skarbowych i przemysłowych. Z materiałem, jakim on rozporządzał, mógł chyba konkurować poseł Włodzimierz Kozłowski, chociaż już na innych polach. Z jego przemówieniami szło też zupełnie wiernie i postępowanie, w którym nie było nigdy nic sztucznego ani nienaturalnego.

(Wiceprezes Koła, dr Józef Ptaś, narodowy demokrat, tym może różnił się od niektórych swoich kolegów, że starał nie zadrasnąć zbyt nikogo w swoich publicznych wystęпах, choć co do rzeczy samej okazywał potrzebną odwagę, bez względu na to, kogo jego opinia dotyczyła. To mu nie przysparzało zwolenników, którzy jego występow nie mogli zapomnieć)*.

Dr. Loewenstein, adwokat lwowski, ogromnie błyskotliwy mówca, mógłby poruszyć tłum wielotysięczny, trudniej mu jednak szło z Kołem, które miało przed sobą sprawy daleko nieraz odbiegające od najpiękniejszego frazesu i adwokackich interesów. Przypuszczam, że tak on jak Żydzi zasiadający w Kole Polskim mieli niezwykle w tym czasie ciężkie zadanie przed sobą, kiedy trzeba było się decydować pomiędzy silną jeszcze i przychylną im Austrią a przyszłą Polską, która się dopiero zaczęła zarysowywać w niewyraźnych i niepewnych jeszcze konturach.

* Ustęp wykreślony w oryginale.

Z wielką przyjemnością słuchałem zawsze przemówień posła Halbana, prof. Uniwersytetu Lwowskiego, mimo że poza niezwykle gładką formą nie wkładał w nie treści, która wskazywałaby na wyraźny kierunek.

Bardzo mało czasu zabierał Kołu hr. Antoni Wodzicki, gdyż zawsze przemawiał zwięźle i krótko, umiając zmieścić każde zagadnienie w niewielkiej ilości słów. Po sprawie rydzyńskiej prawie zupełnie zamilkł, rzadko przychodząc na posiedzenia Koła.

Najbardziej urzędowym wydawało mi się zawsze każde przemówienie radcy dworu, posła Ignacego Rosnera. Nie przekraczało ono nigdy ram dobrze przygotowanego referatu, a robiło mimo to wrażenie samodzielnego występu. Jakkolwiek by się rzecz chciało postawić, nie można mu było odmówić tak doświadczenia jak i niecodziennych zdolności.

Do grupy konserwatywnej w Kole należał Bernard Stern, burmistrz i poseł miasta Buczacza. Dlaczego jemu dostały się te dwa urzędy, nie mogłem zrozumieć, bo przecież trzeba było mieszkańcom tego miasta wiele trudu ponieść zanim wyszukali tak mało odpowiedniego przedstawiciela swojego grodu. Przemówienia jego na posiedzeniu Koła wywoływały salwy śmiechu, tak że względu na poniewierany przez niego język polski, jak i na treść nie zawsze stosowną. Szczególną nienawiścią pisał do Rosjan, którzy nie zważając na jego godność poselską i burmistrzowską, najechawszy Buczacze w roku 1914, wymierzili mu pięćdziesiąt kijów na obnażone ciało. Najbardziej szydzili z niego ci, co się oko w oko w czasie wojny z Rosjanami nie spotkali. Ja go natomiast rozumiałem. Narzekał też, że niewiele lepiej obszedł się z nim generał Iwaszkiewicz.

Małą konkurencję robił mu dr Antoni Matakiewicz, z początku członek klubu konserwatywnego, później katolicko-ludowego. Losu posła Sterna on się wprawdzie nie obawiał, ale za to drżał ze strachu zarówno przed rządem jak i każdym wikarym. Starał się też nie obrazić konserwatystów i dopomóc chłopom. Przede wszystkim dbał bardzo pilnie o to, by jego nazwisko uwidoczniano w protokołach Koła, a o przemówieniu pisano w gazetach. Ponieważ tak skombinowanej zagadki nie mogłyby rozwiązać sam Salomon, nie mógł jej też dać rady mniejszy od niego Matakiewicz. Nic też dziwnego, że gdy Koło Polskie prowadziło gorącą dyskusję na temat swego stosunku do rządu, on zabrawszy głos tę sprawę ominął zupełnie, ale upomniał się bardzo energicznie o krzywdę Jana Wantucha i Józefa Serafina, gospodarzy z Burzyna w powiecie tarnowskim, którym głodne zajęce objadły szczyty w ogrodach w czasie ciężkiej zimy. Tu już od śmiechu

nie mógł się utrzymać nawet zawsze poważny prof. L. Jaworski.

Bardzo rozumny i poważny poseł dr Steinhaus starał się zawsze o pogodzenie przeciwieństw i wynalezienie wspólnej drogi postępowania. To mu się czasem nawet udawało. Moim zdaniem naprawdę myślał on po polsku i wszystko, co on robił i mówił, płynęło z głębokiego jego przekonania.

Były minister poseł Dawid Abrahamowicz czuł się widać nieswojo w tym nowym zespole Koła, pamiętając czasy „kiedy to nie tak bywało”. Rzadko też zabierał głos, patrząc pobłaźliwie na różnych intruzów, nie szanujących dawnych dobrych tradycji Koła a nawet jego zasług. Pomijając jego zapatrywania polityczne, tak daleko od naszych odbiegające, przyznać mu należało wielką znajomość rzeczy i trzeźwość sądu w bardzo wielu sprawach. Zwracało uwagę, że się obydwaj z posłem Kędziorem wyjątkowo nie znosili.

Poseł Cezary Haller, zaliczający się do grupy konserwatywnej, swoimi wystęпами zdradzał, że więcej był żołnierzem aniżeli politykiem. A choć one były zapewne dobrą wolą podyktowane, nie dorastały często do należytego poziomu, wywołując drażliwości, a czasem i burzę.

Jak wiecznie prawie milczący był poseł Rudolf Gall, Żyd, narodowy demokrat, tak wciąż gadający był Wincenty Jabłoński, sekretarz Koła, o nieokreślonej przynależności partyjnej. Dla czego jemu dawano miano sekretarza, nie wiem, bo go nigdy piszącego nie widziałem. Raczej zaś wyglądał na podkomorzego, którego nie brak było nigdy w żadnym kącie domu. Był on chodzącą żywą historią Koła Polskiego od lat wielu, znał wszystkie jego tajemnice, patrzył na przejawy i zmiany w nim dokonywane. Umiał się też dostosować do każdej sytuacji, co dla niego może było dość wygodne, ale dla polityka często niezrozumiałe. Na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że żadnej polityki nie prowadził. Ze wszystkimi klubami w skład Koła wchodzącymi żył zawsze w przyjaznych stosunkach.

Przemawiający rzadko i krótko narodowy demokrat poseł Aleksander Dębski robił wrażenie przeczulonego apostoła, który się dziwił, że mogą być na świecie źli ludzie. Aczkolwiek był urzędnikiem w służbie państwowej, występował zawsze nadzwyczaj odważnie.

Hipolit Śliwiński, poseł miasta Lwowa, architekt z zawodu, po śmierci posła Lisiewicza był jedynym przedstawicielem demokratyczno-radykalnego stronnictwa w Kole Polskim. Odznaczał się dużą oryginalnością pomysłów, małą wybrednością słów i dość prymitywnymi dowcipami, które wzbudzały weso-

łość, ale przynosiły też zastrzeżenia przeciw sprowadzaniu obrad Koła na łyżakowski poziom. (Wtajemniczeni opowiadali, że cała jego głośna, czasem gwałtowna opozycja miała na celu zwrócenie na siebie uwagi i wytargowanie od rządu lepszych warunków przy robotach przez niego wykonywalnych. — *Ustęp skreślony w oryginale*). Ja osobiście, mimo różnych zarzutów, uważałem go za przyzwoitego człowieka.

Kolega dr. Matakiewicz, poseł Jan Potoczek, włościanin z powiatu sądeckiego, ograniczał się w Kole do kontroli występowów swojego kolegi, sam zaś zabierał głos bardzo rzadko, zajmując się przeważnie sprawami lokalnymi.

Postowie Stronnictwa Ludowego

To członkowie i przedstawiciele innych grup, a teraz moi koledzy, którzy nie byli przecież od tamtych gorsi. Wiceprezes Koła i prezes klubu, Jan Stapiński, dawny zacięty wróg Koła jak i jego polityki, wyrósł raptem na gorącego zwolennika i patriotę kołowego. Przemawiał często i był słuchany choćby jako przedstawiciel najliczniejszej grupy, zasiadającej w Kole i największej niezawodnie siły w kraju.

Poseł Jakub Bojko, dla którego już od bardzo dawna Koło Polskie było upragnioną przystanią, rzadko w nim zabierał głos. Gdy zaś to uczynił, ograniczał się zwykle do roli rozjemcy, dawał nauki albo też zajmował się sprawami drobnymi, nadając swoim przemówieniom ton i treść żartobliwego gawędziarza. Zawsze też był bardzo chętnie słuchany.

Dyrektor biura melioracyjnego we Lwowie, poseł Andrzej Kędzior, mniej był politykiem, a więcej pracownikiem fachowym, który swoją wiedzą, systematycznością, pracą realną i rzetelną zapisał się jak najlepiej u wszystkich uczciwych ludzi. Czasami utrudniał sobie położenie, mówiąc bez ogródek i każdemu prawdę w oczy. Lubił też być niekiedy oryginałem. Gdy przychodziła godzina obiadu, musiał iść punktualnie bez względu na wszystko. W Wiedniu 1917 r. kończyło Koło swoje posiedzenie w sprawach bardzo wielkiej wagi, a za chwilę miało przyjść do głosowania. Wobec rozbieżności zależało nam na każdym głosie. Tymczasem Kędzior patrzy na zegarek i z posiedzenia wychodzi. Poszedłem z nim, prosząc go aby się zatrzymał. Popatrzył na zegarek ponownie i oświadczył mi: „Jest godzina dwunasta, ja o tej porze chodziłem na obiad przez całe życie i teraz tego nie zmienię”.

Poseł Włodzimierz Tetmajer, artysta malarz, jakkolwiek szlachcic z pochodzenia, był szczerym demokratą, wierzącym w

lud i budującym na nim. W czasie wojny wykazał bardzo wiele odwagi i poświęcenia. Jako zwolennik koalicji nie tylko wierzył w jej zwycięstwo, ale i głośno o tym mówił. Wiarę w odrodzenie umiał także przelać na drugich, choć nie mógł tego dokazać z chłopami krakowskimi, którzy go jakoś nie chcieli zrozumieć.

Posel Andrzej Średniawski był rzadkim wzorem niesłychanej uczciwości i bezinteresowności. Pracowity nadwzyczaj, samodzielnie myślący, uciekał zawsze przed wyróżnieniem i wszelkimi zaszczytami. W ruchu ludowym przeszedł bardzo wiele i nie załamał się nigdy. Nie wątpił też, choć bolał nad ludzką podłością. Słabą jego stroną to była wiara w austro-polskie rozwiązanie, której pozostał wierny do końca. Jako mówca bardzo rzeczowy, był chętnie słuchany w Kole i wywoływał duże wrażenie.

Posel Władysław Długosz zabierał w Kole głos dość często jako znawca spraw przemysłowych i gospodarczych, ujmując się także za drobnym rolnictwem. Mając potrzebne walory i ugruntowaną podstawę, wdzierał się bardzo szybko w arkana większej polityki. Mimo zarzutów mu czynionych, uważałem go za człowieka dobrej woli, mającego także bardzo dużą odwagę cywilną.

Mikołaj Rey, posel powiatu pilzneńskiego, zwany czerwonym hrabią, mimo swojego arystokratycznego pochodzenia, godził się na program i cele Stronnictwa i uczciwie im służył. Widząc, że na terenie Parlamentu niewiele może zrobić dla chłopów, złożył mandat poselski, nie usuwając się wcale od pracy. Przemówienia jego w Kole nacechowane bardzo dużą odwagą budziły nieraz niezadowolenie i zastrzeżenia niektórych konserwatystów.

Posel hr. Zygmunt Lasocki był człowiekiem, jakich się w Polsce w tym czasie niewiele spotykało. Mimo austriackiej urzędniczej kariery, nie zostało u niego nic z biurokraty ani też Austriaka. Niezwykle przyjacielski i uczynny, szczerze zawsze po polsku myślący, zrównoważony, nie znoszący skoków i niepewności. Nie potępiając wszystkiego z przeszłości wierzył, że przyszłość Polski można tylko budować na ludzi, przede wszystkim zaś wtedy, kiedy będzie świadomy i zadowolony. Temu zapatrywaniu dawał też zawsze wyraz w Kole w każdym wystąpieniu.

Człowiekiem rzadkiej uczciwości, prawości nieposzlakowanej i charakteru był Jan Siwula. Objął on mandat poselski po Reyu, sprawując go do końca kadencji i upadku Austrii. Głosu nie zabierał prawie nigdy, pozostawiając to zdolniejszym od siebie.

Dr Stanisław Biały, naczelnik sądu w Brzozowie, wybrany posłem własnymi wpływami, znalazł się w naszym Klubie już po wyborach. Spokojny, nadzwyczaj ułożony, chcący żyć ze wszystkimi w zgodzie, mało się nadawał do walki politycznej. Przeciwnik wszelkich gwałtów i wstrząsów, cenił nade wszystko spokój. W Kole przemawiał bardzo rzadko, mówił spokojnie i jakby wstydliwie.

Posel Józef Jachowicz był symbolem prawdziwym spokoju i rozważli. Obowiązki swoje spełniał z wielką sumiennością, nie odważył się jednak prawie nigdy na zabieranie głosu w sprawach większej wagi, pozostawiając to bardziej powołanym od siebie kolegom. Osobiście odznaczał się charakterem bez zarzutu i odwagą rzadko spotykaną.

Inżynier Klaudiusz Angerman był człowiekiem niezwykle prawości charakteru i stałości poglądów. Odznaczał się też dużą pracowitością i rzadką jak na jego stosunki ofiarnością. Mówił zawsze sucho i spokojnie, posługując się cyframi i datami.

Osobliwym człowiekiem był poseł Antoni Bomba, zamożny gospodarz z Budziwoja pod Rzeszowem. Skończył on osiem klas gimnazjalnych, siedział na 40 morgach dobrej ziemi. Mówił dużo, mętnie i górnolotnie, posługując się rozmaitymi frazesami. Dążył do celów, których sam określić nie umiał. Linie polityczną miał zawsze gietką i zmienną. W Kole Polskim przemawiał kilkakrotnie, wywołując zwykle liczne znaki zapytania.

Posel Józef Rusin, paromorgowy gospodarz, był wyrazem uczciwości, sumiennosci i przyzwoitości. Swoj wybor na posla uważał za krzywdę dla chłopów, będąc zdania, że się do spełnienia obowiązków przyjętych zupełnie nie nadaje. Kilkakrotnie chciał też złożyć mandat poselski, ażeby się pozbyć wyrzutów sumienia. Głosu nie zabierał prawie nigdy, ograniczając się do wniosków, interpelacji i pomocy dawanej wyborcom.

Dr Antoni Banaś, sędzia z Kalwarii, miał zawsze niezależne zdanie i własny wyrozumowany pogląd, jakkolwiek go rzadko publicznie wypowiadał, nie chcąc się narażać tym, co inaczej myślał. Człowiek bezwzględnej uczciwości, potępiał metody Stapińskiego, ale tylko w prywatnych rozmowach. Nie chciał natomiast występować publicznie, ażeby nie wnosić rozdrażnienia i zamętu. Do lepszych i pilniejszych mówców Koła nie należał.

Posel Jan Kubik, włościanin i wójt z powiatu bialskiego, był obdarzony wielkimi zdolnościami i wprost fenomenalną pamięcią. W znajomości Pisma Świętego, tak Starego jak i Nowego Testamentu przeszedł niezawodnie wielu teologów. Na punkcie moralności w ogóle, a szczególnie politycznej, był aż do przesady przeczulony. Nienawidził niesłychanie Austrii i Niemców, ciągnął

zaś do Słowian. Nienawiść do Rzymu i księży zaślaniała mu niejednokrotnie nadzwyczajny jego zmysł spostrzegawczy. Miał także tę zaletę, że mówił dobrze po niemiecku i orientował się w stosunkach parlamentarnych. W Kole zabierał głos wielokrotnie, przemawiając trzeźwo i rozumnie.

Posel Stanisław Śmiłowski z Limanowej był trudny do określenia. Chodził zawsze zamyślony, rzadko z kim rozmawiał. Był stale przedmiotem kpín i dowcipów posła Myjaka i to wcale niewybrednych. Zawsze się martwił, że rząd nie chce od niego kupić budynku, w którym się mieściło starostwo, przypisując to polityce Klubu. Nadzwyczaj pracowity i sumienny, robił wszystko co mógł dla wyborców, rozdając znaczną część swoich diet, choć wcale w dostatki nie opływał. W Kole zabierał głos kilkakrotnie w sprawach obchodzących jego okręg.

Posel dr Ignacy Wróbel, urzędnik kolejowy, człowiek wielkiej zacności i nieposzlakowanego charakteru, był dobrym mówcą i szczerym Polakiem, choć często hołdował frazesowi, kierując się powierzchownością albo fantazją. Nie próbował też ukrywać rzeczywistości nawet wtenczas, gdy mu to przynosiło szkodę. Do chłopów miał wielki sentyment, stykał się z nimi bardzo chętnie, robił im co mógł, a nawet ubierał się w strój włościański, co mu w jego karierze mocno zaszkodziło. Na posiedzeniach Koła mówił dość często i z wielkim przekonaniem.

Posel Adam Ruebenbauer był wzorem przyzwoitości, uczciwości, poczucia honoru i wysoko stawianej godności. Głosu nie zabierał prawie nigdy, na posiedzeniach rzadko bywał.

Posel Marek Łuszczkiewicz, mały właściciel ziemski z powiatu wadowickiego, wyróżniał się od wszystkich zupełną beztroskliwością i bardzo ostrym, nigdy się prawie nie wyczerpującym dowcipem, co na te czasy było pożądanym balsamem. Uczciwy do szpiku kości i mający ustalone poglądy, głosu nie zabierał prawie nigdy, oświadczając, że nie ma nic do powiedzenia.

Posel Jan Łyszczarz, włościanin spod Strzyżowa, na wskroś porządny i przyzwoity człowiek, nie wykazywał jednak wielkiego zmysłu politycznego ani nie rwał się do większej roboty, pozostawiając wszystko prezesowi Stapińskiemu. W rozmowach prywatnych wykazywał nieraz niewłaściwość polityki Stapińskiego, publicznie nie miał odwagi do tego się przyznać.

Posel Jakub Madej, włościanin z powiatu jasielskiego, stanowią sam w sobie jakieś dziwne nieporozumienie. Robił, co mu kazał Stapiński, wierząc, „że nie może być uczeń ponad mistrza”. W Kole rzadko zabierał głos wiedząc, że nie da sobie rady wśród nagromadzonych tam rozumów.

Posel Michał Jedynak należał do ludzi spokojnych, ale w działaniu bardzo konsekwentnych. Miał jasny pogląd na sprawy i własne wyrobione o nich zdanie. Nigdy się też nie brał do rzeczy, których nie rozumiał. W Kole zabierał głos zwykle w sprawach gospodarczych.

Posel Antoni Lewicki, z powiatu kolbuszowskiego drobny gospodarz, opuścił endecję i w czasie kadencji parlamentarnej zgłosił się do naszego Klubu. Wykazywał dobrą wolę i chęć do pracy. Na przeszkodzie stało mu jednak pomieszanie chłopskiego zdrowego rozumu z frazesami, które sobie przyswoił, powtarzał i przekręcał. W Kole przemawiał rzadko, onieśmielony obecnością swoich dawnych kolegów.

Wincenty Myjak, jedyny z posłów chłopów, miał kopalnie różnych politycznych wiadomości, czerpanych od dziennikarzy, z którymi spędzał wiele czasu w kilku wiedeńskich kawiarniach. Jednak nieprzeparta chęć zgłębienia stosunków tak absorbowała go, że nie mógł zużytkować nagromadzonych materiałów. W Kole Polskim nie przemawiał uważając, że to nie przyniesie żadnego pożytku.

Mnie Klub wysyłał z przemówieniami w różnych sprawach politycznych, w których należało powiedzieć nieprzyjemną prawdę, albo też nadstawić głowę, do czego się zdarzało dosyć sposobności. Kilkakrotnie też w czasie moich przemówień przychodziło do burzy, szczególnie ze strony konserwatystów, którzy na niektóre sprawy byli niesłychanie czuli.

Lokal Koła Polskiego mieścił się w gmachu Parlamentu na parterze zaraz obok drzwi wchodowych do Izby Poselskiej. Było to bardzo wygodne, ale miało tę słabą stronę, że każdemu łazikowi było tam łatwo trafić. Korzystali oni też z tego i zapełniali przedsionek tak, że nieraz trudno się było przecisnąć. Najwięcej był tym zmartwiony woźny, który musiał pilnować ubrań, nie dowierzając nawet eleganckim interesantom, nie zawsze szanującym cudzą własność.

Pozycja nasza w Kole Polskim była od początku bardzo silna jako największego klubu, mającego także za sobą masy ludowe, a nie zmieniała się ona nawet wtenczas, gdy po rozłamie Stapiński z kilkoma posłami z Koła Polskiego wystąpił.

Obserwując posłów konserwatywnych, patrząc dłużej na ich postępowanie i zupełnie inny od naszego pogląd na świat, widziałem, że były to jeszcze wówczas dwa odmienne światy, które się nie mogły w żaden sposób ze sobą pogodzić, wykluczając się zupełnie pod wielu względami. Szczęśliwy widocznie los zdarzył, żeśmy do Koła Polskiego wstąpili przed okresem tak wielkich wydarzeń, jak wojna światowa i tworzenie się odrodzonego

Państwa Polskiego, unikając przez to gorszącej walki pomiędzy sobą, która musiałaby się na przyszłość ujemnie odbić, gdyż nie wiadomo jak daleko mogliby zabrnąć konserwatyści, a może nawet ulegający im polscy demokraci. Skonsolidowane zaś stronnictwa polskie w Kole przyczyniły się niezawodnie do skonsolidowania polskiego społeczeństwa.

Zrozumieli to wreszcie i socjaliści, którzy, potargowawszy się trochę, zgłosili swoje przystąpienie do Koła, choć jeszcze niedawno prowadzili zaciętą walkę. Za ich przykładem poszedł też Stapiński, wprowadzając z powrotem swoją grupę do znienawidzonego Koła. Stało się to dopiero w momencie, gdy sprawa polska domagała się tego zbyt wyraźnie.

Dwie sprawy w Kole Polskim

Przynależnością swoją do Koła Polskiego nie czuliśmy się wiele krępowani. Zmieniony bowiem regulamin jego pozwalał prawie na zupełną swobodę ruchów, dając poważne stanowisko tak wobec rządu centralnego jak i różnych władz krajowych. Stapiński jako prezes największego klubu w Kole został wybrany jego wiceprezesem, co go od razu robiło wielkim potentatem politycznym. Nieraz patrzyłem na niego, porównyując z dawnym Stapińskim i widząc tak ogromne u niego zmiany. Nie omieszkiał on też wyzyskać tego stanowiska, robiąc różne posunięcia, często nawet dla chłopów korzystne. Komiczne się nieraz wydawało, jak obydwaj z posłem Abrahamowiczem, dawnym najzaciętszym przeciwnikiem, nie tylko się zgadzali, ale i nieraz popierali.

Czas upływał dość spokojnie, używany przez nas na dalszą robotę organizacyjną i liczne zabiegi u władz, tak w interesie ogółu, jak więcej jeszcze różnych pojedynczych ludzi. Mając wstręt do wycierania biur urzędniczych, zmuszony byłem i to dość często kręcić się po ich kancelariach i wyszukiwać różnych referentów. Odnosili się oni do mnie z uprzedzającą grzecznością i robili wszystko na poczekaniu. Ponieważ prawie nigdy nie załatwili mi żadnej prośby odmownie, klientela moja rosła jak na drożdżach.

Spokój ten zamąciły dwie i to bardzo poważne sprawy. Jedną z nich było przemówienie ks. biskupa Wałęgi, wygłoszone w dniu 28 sierpnia 1911 r. na zakończenie kongresu mariańskiego w Przemyślu. Druga, to wybory do Sejmu galicyjskiego, rozpisane w kurii gmin wiejskich na dzień 30 czerwca 1913 r.

Choć te dwie daty znacznie były od siebie odległe i stanowiły zupełnie odrębne materie, nie były pozbawione pewnego związku ze sobą.

Przemówienie przemyskie ks. biskupa Wałęgi było uważane ogólnie w sferach politycznych za wyraźny atak na rządy Namiestnika Bobrzyńskiego, uderzający w niego od strony moralnej. Miało zaś tym większą wagę, że według zgodnej opinii wszyscy biskupi polscy w Galicji jakoby się z nim solidaryzowali.

Ks. biskup Wałęga przemówienie to ogłosił drukiem w Tarnowie w dniu 27 września 1911 r. W przedmowie do niego zaznaczył ks. biskup, że czyni to dlatego, iż w jego przemówieniu poddawano tendencje polityczne i oświadczył równocześnie, że za to co powiedział bierze na siebie pełną odpowiedzialność, natomiast za obce domysły i komentarze nie może odpowiadać. Jego zaś zamiarem było budzić sumienie katolickie.

Czy ks. biskup Wałęga miał tylko ten chwalebny zamiar na myśli, nie mogę wiedzieć, wiem natomiast, że wydanie jego przemówienia przemyskiego drukiem było uważane w niektórych sferach za dalszy konsekwentny atak, który został podjęty przez stronnictwa, nienawidzące Bobrzyńskiego i prowadzony z dużym powodzeniem. Ponadto wystąpienie biskupa Wałęgi zrobiło bardzo duże wrażenie na chłopach, którzy byli zadowoleni, widząc że biskupi zaczynają się zabierać i do wielkich panów, a nie tylko do nich. Odruch też na wsi zaczął się bardzo duży.

Kiedy jesienią późną tego roku jechałem do Krakowa, spotkał mnie w pociągu jeden z księży tarnowskich, zawsze mi przyjaźnie usposobiony. W czasie krótkiej rozmowy szepnął po cichu, że to wszystko jest robotą celową, tak przeciw Bobrzyńskiemu jak też i przeciw nam zwróconą. Ma ona zaś na oku głównie przygotowanie gruntu do wyborów sejmowych. Przybywszy do Krakowa, powiedziałem to zaraz Stapińskiemu nadmieniając, że owa robota zaczyna już w niektórych powiatach być zupełnie widoczna. „Śmiej się z tego — odpowiedział mi Stapiński — jestem najpewniejszy w świecie, iż żaden z biskupów nie ośmieli się przeciw Bobrzyńskiemu ani ust otworzyć, a gdyby to zrobił, to Namiestnik Bobrzyński da sobie z nim radę bez żadnych trudności”.

Wyboru do Sejmu

Przyszły nareszcie zapowiadane wybory do Sejmu. Dla kurii gmin wiejskich wyznaczono termin na dzień 30 czerwca 1913 r.

Mimo zapewnień Stapińskiego i poparcia starostów, straciliśmy szereg bardzo silnych i za pewne uważanych powiatów na rzecz czy to narodowej demokracji, czy też mniejszych ugrupowań konserwatywno-klerykalnych, a niekiedy nawet kandydatów lokalnych. Zdołaliśmy się utrzymać zaledwie przy czternastu mandatach, nie mając już nawet tej nadziei, że Namiestnik Bobrzyński naślaniem różnych figurantów zasili nasze przerzedzone szeregi. Tak wybory same, jak i okoliczności im towarzyszące wyraźnie wskazywały, że był to odruch przeciw polityce Stapińskiego, od kilku lat przez niego prowadzonej.

Z moim wyborem do Sejmu poszło bardzo łatwo, mimo szalonej agitacji, rozpetanej przez tarnowskie duchowieństwo, popierane całą powagą ks. biskupa Wałęgi, który podobno moją kandydaturę miał uważać za prowokujące wyzwanie. Starosta zachował się zupełnie spokojnie i bezstronnie, bojąc mi się widocznie narażać. Chłopi wyborcy trzymali się jak mur, tak że mój kontrkandydat, prof. szkoły ogrodniczej w Tarnowie, Kurowski, otrzymał zaledwie kilkanaście głosów. Wybory te przynosiły ogromnie gwiazdę Stapińskiego, przynosząc równocześnie bardzo dużą szkodę dla siły i powagi naszego Stronnictwa.

Turniej kandydatów do Ministerstwa dla Galicji

Koło Polskie jako wielkie stronnictwo i popierające rząd miało zagwarantowany wpływ na obsadzanie różnych urzędów i stanowisk o charakterze politycznym. Między innymi desygnowało ono zawsze kandydata na ministra dla Galicji. W czasie tej kadencji zanosilo się na zmianę na tej placówce, a ludowcom przypadło w udziale wysunięcie kandydata ze swej strony.

Szeroko mówiono w Kole i w klubie, że Stapiński zabiega koło swojej kandydatury, a tylko jakiś nie ukończony i nie bardzo przyjemny proces ma stać temu na przeszkodzie. Oglądano się też szeroko za różnymi kandydatami lub też nieznacznie zwracano uwagę na siebie. Między innymi pojawiła się bardzo poważna kandydatura posła Kędziora. Nie utrzymała się ona jednak długo, gdyż Kędzior przyjęcia tej godności stanowczo odmówił.

Klub dyskutował gorąco i długo, szukając jak najgodniejszego kandydata na to stanowisko, do którego przywiązywał bardzo wielką wagę. W końcu dość niespodziewanie zgodził się, i to prawie jednomyślnie, na kandydaturę posła dr. Ignacego

Wróbla. Prezes Stapiński uchwale Klubu przyjął do wiadomości, kandydatowi złożył gratulację i uśmiechnięty wyszedł dla odbycia, jak mówił, jakiejś bardzo ważnej i pilnej konferencji.

Kandydat na ministra Wróbel zaprosił kilku nas na rozmowę i przekąskę. W osobnym pokoiku uszczęśliwiony przedstawił nam program, jakim się zamierzał kierować na nowym, wysokim, a jak się sam spodziewał, bardzo trudnym urzędzie. Odpowiedział mu bardzo ciepło poseł Tetmajer, wyrażając radość, że Stronnictwu Ludowemu przypadł w udziale tak wielki zaszczyt, a Wróblowi, synowi chłopu, takie ogromne wyróżnienie. Radość była szczerą i ogólną, choć nie brakło i sceptycznych głosów. Do sceptyków należał w pierwszym rzędzie poseł dr Banaś, który powtarzał kilkakrotnie: „Panowie, nie cieszcie się za wcześniej, wy jeszcze nie znacie dobrze Stapińskiego”.

Na drugi dzień zeszliśmy się wcześniej niż zwykle do lokalu klubowego, gdyż każdy był ciekawy, co się w ciągu nocy stało. Gdyśmy rozmawiali czekając na wiadomości i gazety, wpadł jeden z posłów, zdaje się Tetmajer, wołając już od progu: „To niesłychane!”. Z pisma, które trzymał w ręku, dowiedzieliśmy się, że nominacja ministra dla Galicji została dokonana. Został nim zaś poseł Długosz, o którym klub nie myślał, natomiast tenże klub ze swoją uchwałą i kandydatem dr. Wróblem osiadł na koszu.

Zaskoczony nominacją Długosza klub dowiedział się o drugiej niespodziance, wyszperanej przez jednego z posłów, a było nią w akcie nominacyjnym nowego ministra stwierdzenie przez cesarza jego szlachectwa skutkiem użycia słów „*Lieber von Długosz!*”. Łamano sobie też głowy, w jaki sposób mógł on się o to w tak krótkim czasie postarać. Stojący na boku i milczący dotąd poseł Tetmajer przeciął te rozmyślenia słowami: „Nie ma co mówić, głowa ministerialna”.

Nieco później za tą wiadomością przyszły inne, już jako plotki w klubie i Kole głoszone. Jedna z nich mówiła, że Długosz nie był wcale kandydatem Stapińskiego, gdyż Stapiński myślał do ostatniej chwili o sobie, a na Długosza zgodził się dopiero wtenczas, gdy się upewnił, że z tego nic nie będzie, gdyż sfery decydujące uważają jego kandydaturę za niemożliwą. Wiedząc zaś, że kandydatura Wróbla również nie jest do przyjęcia, wysunął ją na to, by się po Wróblu otwarło dla niego miejsce.

Według drugiej pogłoski kompromitację dr. Wróbla miała stanowić jakaś dawna fotografia, przedstawiająca go w sukmanie krakowskiej i na koniu, w którą się ubrał w czasie jakiejś uroczystości narodowej. Odnalazł ją podobno minister Zaleski, choć

złe języki mówiły, iż mu jej dostarczył Stapiński, uważając ją za pożądany załącznik, mający reklamować naszego kandydata.

Miłość i walka

Rozżaleni, ale i nieco rozbawieni członkowie Klubu przez jakiś czas chodzili trochę pokwaszeni. Po kilku tygodniach się jednak zupełnie uspokoili, gdyż Długosz jako minister wykazywał wielką pracowitość i dbałość o interesy kraju, a szczególnie drobnego rolnictwa, a mając duże sukcesy za sobą, spotykał się z powszechnym uznaniem u wszystkich, a w szczególności u chłopów.

Przez dłuższy czas nie mógł się go także nachwalić i Stapiński, opowiadając nam cuda o działalności Długosza. Obaj chodzili, obaj konferowali, obaj szli sobie zawsze na rękę. Przyjaźń między nimi wydawała się wieczna, niczym nigdy nie zamącona. Była ona nawet dla wielu z nas nieprzyjemna, gdyż do obstawionego przez Stapińskiego pana ministra dość trudno było się dostać.

Aczkolwiek nic na pozór nie zaszło, w pewnym momencie można było zauważyć, że się coś zaczyna psuć między nimi. Stapiński już Długosza swoją opieką wciąż nie otaczał, prośb od nas nie przyjmował, ale nas z nimi do niego posyłał, osobiście rzadko z nim rozmawiał, częściej natomiast interpelował go publicznie w klubie. Na zaproszenia Długosza odpowiadał, że jest bardzo zajęty i zwykle z nim nie wychodził. Wnet poszedł dalej, opowiadając po kątach półgłosem i niektórym tylko posłom o błędach, nietaktach, śmiesznym zachowaniu się i braku wszelkich zdolności i kwalifikacyj u Długosza na tak wysokie i odpowiedzialne stanowisko. Nie ominął także i mnie, by mi powiedzieć, że to wszystko wie od jednego z ministrów, który jest dla nas bardzo przychylnie usposobiony, przychodzi więc z przyjacielskim ostrzeżeniem. Wyraził też na zakończenie zdanie, że się powinno Długosza jak najspieszniej usunąć. Gdy go zapytałem, czy o tym mówił Bojce i co Bojko myśli, odpowiedział mi: „Ty przecież znasz Bojkę! Jemu z Długoszem jest dobrze, bo go u siebie przyjmuje i sypialny wóz mu płaci, a umie też grać na jego słabych stronach, a Bojce to zupełnie wystarczy”.

Stan ten trwał dość długo zanim Długoszowi doniesiono o postępowaniu Stapińskiego. Wywoływało też ono duży niesmak w klubie, którego ogromna większość nie miała nic Długoszowi do zarzucenia, gdy Stapińskiego uważała za intryganta i krętacza. Rozpoczęła się wnet między Długoszem i Stapińskim cicha ale za-

cięta walka. Długosz odwdzięczając się Stapińskiemu, zaczął go też omijać i opowiadać różnym posłom o jego sprawkach i żądaniach przezeń wysuwanych. Wkrótce owe wiadomości stały się publiczną tajemnicą całego klubu, a nawet zaczęły wychodzić na zewnątrz.

Minister Długosz wprost obwiniał Stapińskiego o wyraźną zdradę, popełnioną na chłopach i na Polskim Stronnictwie Ludowym. Obwiniał go też o branie łapówek w rozmaitych formach i od różnych ludzi. Nieco później powiedział mi już zupełnie otwarcie w obecności posłów Tetmajera i Średniawskiego, iż Stapiński wziął 80.000 koron od rządu za pośrednictwem konserwatystów krakowskich, a w szczególności prof. Leopolda Jaworskiego, jako zapłatę za ustępstwa i koncesje polityczne, poczynione im przez niego w ostatnich czasach, i za zobowiązanie popierania ich polityki na przyszłość. Jego też próbował szantażować niejednokrotnie, stawiając mu coraz to większe żądania natury materialnej, a kiedy on nie chciał i nie mógł na to się zgodzić, rozpoczął z nim z początku podjazdową, a potem już wyraźną walkę.

On zdaje sobie sprawę z tego, na jakie przykrości i następstwa będzie narażony, ale powie wszystko publicznie, jeżeli zajdzie tego potrzeba. Poseł Średniawski, uczciwy do szpiku kości i zawsze niesłychanie wrażliwy na stronę moralną i bardzo przy tym ostrożny, zwrócił się do Długosza ze słowami: „Czy wy się nie mylicie, Ekszelencjo, bo to przecież takie potworne, że się człowiekowi nie może w głowie pomieścić!“. Wtedy Długosz wyjął jakiś papier i pokazał go Średniawskiemu, a następnie podał mu go do ręki. Średniawski przeczytał go kilka razy uważnie i po mału, po czym już nie oponował, lecz zgodził się na plan, jaki mieliśmy wspólnie przygotować, radził tylko, ażeby postępować z jak największą rozwagą. Poseł Tetmajer był przeciwnego zdania żądając, ażeby wrzód ten wyciąć bez zwłoki, by nie zatruwał reszty zdrowego organizmu. Ja godząc się na to, zwróciłem uwagę na następstwa, jakie wyniknąć muszą z walki i radziłem rzecz dobrze przygotować, gdyż Stapiński tak łatwo z pola nie ustąpi, koszta zaś tej wojny będą musieli chłopci drogo opłacić.

Przygotowania

Widoczne było, że Długosz nie zaniedbywał sprawy, prowadząc dyskretne rozmowy ze wszystkimi wpływowymi posłami tak w Parlamencie, jak też poza nim. Robił to jednak z wielką ostrożnością tak, że Stapiński prawdopodobnie długi czas o tym

nic nie wiedział. Długoszowi pomagał wybitnie poseł Tetmajer, który znowu ze swoją robotą wcale się nie taił. Natomiast poseł Bojko przyszedł do mnie po paru dniach dość zaniepokojony oświadczając, że on ma duże obiekcje co do sprawy prowadzonej przez Długosza i dlatego mi radzi, ażebyśmy się podjęli pośrednictwa pomiędzy walczącymi. Odmówiłem oświadczając, „że ze złem nie można robić kompromisu”, a to zło zaszło już za bardzo daleko. Bojko więcej nie nalegał.

Czekaliśmy też z dnia na dzień na wybuch, gdyż zapasnicy chodzili koło siebie nastroszeni, nie wymieniając ani jednego słowa. Akuratnie w tym czasie miały się odbyć w Parlamencie wybory członków do delegacji wspólnych Parlamentów austriackiego i węgierskiego. Klubowi naszemu, stosownie do przyjętego klucza, przypadało dwóch członków. Wybór do delegacji był uważany za duże i zaszczytne wyróżnienie.

Kiedy się rozpoczęło posiedzenie klubu, specjalnie dla tej sprawy zwołane, w sposób delikatny ale wyraźny Stapiński zgłosił swoją kandydaturę i wyszedł z klubu przed ukończeniem głosowania, będąc zupełnie pewny swojego wyboru. Nie domyślał się widocznie, dlaczego uchwalono odbyć wybory kartkami.

Po obliczeniu głosów okazało się, że wybrani zostali posłowie Tetmajer i Bomba, a Stapiński otrzymał zaledwie kilka głosów. Skonsternowany poseł Madej, kiedy ochłonął trochę z przerażenia, poszedł z raportem, szukając Stapińskiego. Któryś z jego zwolenników rzucił słowa: „To spisek”, reszta posłów zachowała zupełne milczenie. Następstwem tych wyborów było natychmiastowe złożenie prezesury Klubu przez Stapińskiego. Klub się zebrał, rezygnację Stapińskiego przyjął, a w jego miejsce wybrał prezesem Andrzeja Średniawskiego, mimo jego długiego i silnego oporu.

Gdy minister Długosz publicznie ujawnił i przedstawił szczegółowo aferę korupcyjną, podając fakta i dane, nie ulegając żadnej wątpliwości, postanowiono Stapińskiego wykluczyć z Klubu. Za nim opowiedziało się tylko trzech posłów, a między nimi dr Wróbel, tak sromotnie przez niego skompromitowany, i Kubik, wysoko stawiający zawsze moralność w polityce. Z jego przemówienia przy tej sposobności wypowiedzianego można było wnioskować, że sprawy zasadnicze pozostawiał na uboczu, a mając wybierać pomiędzy Długoszem a Stapińskim, wybrał tego ostatniego. Trzeci z grona posłów Madej dziwił się niesłychanie, że o takie głupstwo robi się aż tak wielkie awantury. Grupka ta utworzyła osobny klub, występując równocześnie z Koła Polskiego.

Stapiński mimo wszystko nie dawał za wygraną. Przegrawszy w Wiedniu, przeniósł walkę na kraj. Zwołał też natychmiast Radę Naczelną jako jej prezes, wyznaczając termin na dzień 13 grudnia 1913 r. Miała się ona zebrać w Rzeszowie i powziąć decydujące uchwały jako ciało do tego powołane. Ponieważ Stapiński miał w ręku cały aparat organizacyjny i mógł na posiedzenie Rady wprowadzić kogo mu się podobało, miałem duże obawy, że on to uczyni, mając nóż na gardle, i że tym sposobem może sprawę nawet dość łatwo wygrać, a w najgorszym razie posiedzenie rozbić. Obawami swoimi podzieliłem się z Długoszem i Tetmajerem proponując, ażeby nie dopuścić do rozpoczęcia posiedzenia przed dokładnym stwierdzeniem, kto się na sali znajduje. Radę moją zlekceważyli jednak, będąc najmocniej przekonani, że jak się tylko Długosz zjawi na sali i powie wszystko, to się nie znajdzie ani jeden człowiek, który by miał odwagę za Stapińskim się oświadczyć.

W czas rano 13 grudnia 1913 r. przyjechałem do Rzeszowa. Na dworcu kolejowym było już kilku posłów i delegatów. Z nimi poszedłem w stronę sali „Sokoła”, w której się miało odbyć posiedzenie. Poseł Bomba poinformował nas po drodze, że Stapiński znajduje się w Rzeszowie już od dwóch dni, skąd prowadzi wielką robotę mobilizacyjną. Pomaga mu też kilku oddanych ludzi. Kiedyśmy jeszcze przed godziną oznaczoną weszli na salę, była ona już wypełniona ludźmi, przynajmniej w podwójnej ilości tego, co miało stanowić Radę Naczelną. Rozglądając się po sali, widziałem większość twarzy wcale mi nieznanych. Czułem, żeśmy już wpadli w nastawioną przez Stapińskiego pułapkę, choć inni byli wciąż dobrej myśli twierdząc, że mimo wszystko mieć będziemy znaczną większość, ponieważ goście głosować nie będą, a i u członków znajdziemy zrozumienie. Nie chciano się też zgodzić ani na wyproszenie gości, ani na kontrolę, by się nie narażać i nie zdradzać słabości.

Stapiński otwierając posiedzenie Rady Naczelnej, wygłosił długie, niesłychanie demagogiczne przemówienie dla wywołania nastroju. Powoływał się w nim na długoletnią swoją pracę i zasługi, na krzywdy i prześladowania, jakie go prawie zawsze w tej pracy dla ludu spotykały. Dowodził szeroko i żałośnie, że choć na polityce ludowej i w służbie rzetelnej dla chłopów stracił znaczną część swojego życia, to jest biedny i zmuszony żyć w nędzy wraz z żoną i dziećmi. Gdyby był tylko prostym robotnikiem, miałby zapewne znacznie więcej.

Polityka kosztuje, bez pieniędzy prowadzić jej nie można. Od chłopów nie brał, bo nie mieli i dać nie chcieli. Brał więc od tych co mieli i co dawali. Pieniądzy tych jednak nie użył dla siebie, lecz na politykę ludową, a więc dla chłopów. „Przyznaję — mówił — że robiłem źle, że brałem skąd się dało, na prawo i na lewo, ale zawsze robiłem to dlatego, ażeby wam, bracia chłopci, było lepiej”. Widziałem, że w przemówienie swoje włożył wszystko, co posiadał i na co mu jego talent, doświadczenie i zdolności pozwalały. Przemówieniu jego towarzyszyły ironiczne uśmiechy, głośnie docinki i dość liczne krzyki. Nie brak było także dość głośnych oklasków.

Gdy na mównicę wstąpił minister Długosz z całą litanią druzgocących wprost zarzutów, spotkał się już z różnych stron sali z przerywaniami i okrzykami.

Między innymi Długosz zarzucił Stapińskiemu:

Że odstąpił od postulatów Stronnictwa, dotyczących reformy wyborczej do Sejmu, z wielką krzywdą dla Stronnictwa i dla chłopów.

Że podpisał w styczniu 1913 kompromis między Prawicą Narodową i Polską Demokracją a P.S.L. bez wiedzy i upoważnienia klubu parlamentarnego Stronnictwa, w którym zgodził się na zredukowanie mandatów chłopskich w Galicji zachodniej z 36 na 32.

Że akceptował, mimo sprzeciwu Stronnictwa, kurie średniej własności, ustawową petryfikację obszarów dworskich, lub też 25-procentowy opust podatkowy na rzecz obszarów dworskich na wypadek połączenia ich z gminami.

Że Stapiński w pierwszych dniach lutego 1913 r. podpisał dodatkową deklarację, w której zgodził się na petryfikację rad powiatowych. Oba te oświadczenia podpisał Stapiński w obecności prezesa Koła Polskiego dr. Leo, posła Abrahamowicza i innych.

Że Stapiński w czasie podpisywania tych układów kompromisowych, tj. w styczniu i lutym 1913 r. otrzymał kwotę 80.000 koron.

Że Stapiński zobowiązał się za te pieniądze popierać: 1) Rząd, 2) ministra Skarbu Zaleskiego i Namiestnika Bobrzyńskiego, 3) politykę Prawicy Narodowej.

Minister Długosz zarzucił mu ponadto, że za pieniądze sprzedawał chłopów polskich towarzystwu okrętowemu Canadian-Pacific, że do niego samego odezwał się: „Czy pan sądzi, że na darmo całowałem przez 25 lat chłopskie mordy”.

Minister Długosz przedstawił też uchwałę Klubu z dnia 12 lutego 1912 r., przez samego Stapińskiego przepisaną, a która brzmiała:

„Żądamy ukończenia rokowań o sejmową reformę wyborczą do 20 grudnia tak, aby komisja wyborcza mogła uchwalić projekt ustawy w czasie od 27 do 31 grudnia, a Sejm winien być zwołany na pierwsze dni stycznia 1913 r. dla sfinalizowania ustawy wyborczej, uchwalenia ustawy o płacach nauczycielskich i gimnazjach ruskich”.

Ostatnie jego żądania szczegółowe były:

1) 56 mandantów do Sejmu dla polskich gmin wiejskich, z tych Galicja zachodnia 36, wschodnia 20.

2) dwumandatowych okręgów nie może być więcej niż 9.

3) reszta postanowień ściśle według ustawy wyborczej do Rady Państwa.

4) obszary dworskie i rady powiatowe wyłączyć z pertrakcji.

Odczytał również list Stapińskiego z dnia 13 grudnia 1912 r. do niego skierowany, w którym wytacza najcięższe zarzuty przeciw Rządowi, Namiestnikowi i konserwatystom. Między innymi pisze on: „Klub P.S.L. na posiedzeniu wczorajszym uchwalił, abym odmówił zaproszeniu Bobrzyńskiego na konferencję. Przyczyn szczegółowo nie chcę wymieniać, tylko zaznaczam, że jest przedstawicielem systemu, który wynika z jego przekonań i partyjności konserwatywnej, że Stronnictwo to i Bobrzyński kierują się zawiścią i nieprzyjaźnią wobec rzeszy chłopskiej, że powinien już być dawno zerwać stosunki, że pragnie wyjaśnienia sytuacji i ani krok dalej w ustępstwach nie pójdzie. Administracja popiera obszarnictwo i niszczy chłopów. Zrujnowała ona także chłopów, którzy otrzymali koncesje szynkarskie. Fundusze zapomogowe w lwiej części idą do rąk obszarników. Bobrzyński zaś nie składa żadnych rachunków, lekceważy posłów włościan i do ich życzeń i prośb zupełnie się nie stosuje. Nie pójdę więcej do Bobrzyńskiego — kończy ten list — bo chcę sobie i jemu zaoszczędzić przykrej rozmowy i bezowocnej straty czasu.

Należało się spodziewać — mówił Długosz — że po tym wszystkim jest wykluczone wszelkie porozumienie pomiędzy Stapińskim a Bobrzyńskim. Tymczasem stał się cud, Stapiński z Bobrzyńskim się pogodził za cenę 80.000 koron, za które sprzedał najżywotniejsze interesy ludu polskiego i Stronnictwa Ludowego.

Oskarżenie było tak wyraźne, tak druzgocące i kompromitujące, że można było, normalnie rzecz biorąc, z całą pewno-

ścią liczyć, iż wszyscy zebrani na sali nie tylko się oświadczą przeciw Stapińskiemu, ale się na niego rzuca z pięściami i z pazurami. Wiele nawet przemawiało za tym, gdyż docinki i okrzyki zupełnie umilkły. Stało się jednak zupełnie inaczej.

Wiedziałem już od początku, że wpływ demoralizujący Stapińskiego sięgnął bardzo głęboko, a wielu ludzi, do niedawna zupełnie bez zarzutu, złe od dobrego przestało odróżniać. Nie tylko byli to chłopci mniej może na tym punkcie czuli, ale inteligenci, którzy niedawno jeszcze staczali ze Stapińskim zacięte walki o moralność w Stronnictwie. Umieli oni też zmianę ukryć w powodzi słów i frazesów. Celował zaś pod tym względem dr Michał Grek, adwokat ze Lwowa, dobry przyjaciel Stapińskiego.

Na to się nie mógł zdobyć także Antoni Styła, poseł do Sejmu galicyjskiego, członek rady powiatowej w Wadowicach, człowiek umiejący ważyć i rachować. Bo oto zabrawszy głos, oburzony rzuca gromy „na wrogów ludu, co pieniądze dawali Stapińskiemu, ażeby go przekupić i ludowi odebrać”. Z niego zaś robi niewinną ofiarę, oświadczając parokrotnie, dobitnie i głośno, że „kiedy dawali to należało brać, bo byłby głupi, jakby tego nie robił”. Tak rozumujący poseł Styła spotkał się nawet z oklaskami, co stwierdzało, że w poglądach swoich wcale nie był odosobniony.

Niesmak u naszych ludzi zrobił się ogólny. Wszyscy widzieli, że to zebranie nie jest wcale zdolne do osądzania spraw tak wielkiej miary i że w tej elicie Stronnictwa znajduje się już wiele zarodków zgnilizny i rozkładu. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy więcej nie zabierać głosu.

Obrady trwające kilka godzin skończyły się nareszcie, po czym nastąpiło głosowanie. Jak to już z góry przewidywałem Stapiński uzyskał znaczną większość. To go formalnie rozgrzeszało i dawało mu oficjalnie Stronnictwo w ręce. Myśmy złożyli odpowiednie oświadczenie i wyszliśmy z sali, co się równało wystąpieniu ze Stronnictwa.

Rozłam w Stronnictwie stał się więc faktem dokonany. Fakt ten u wielu nawet naszych ludzi wywołał żal, zgorznienie i zniechęcenie. Obawiano się zaciętej, szkodliwej walki i zmarnowania wielkiego dorobku. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać.

Rozłam i następstwa

Minister Długosz, który będąc członkiem rządu, ośmielił się oskarżać ten rząd publicznie o praktyki korupcyjne, zgłosił na-

tychmiast dymisję, która też została przyjęta. Choć to dla niego było dużą osobistą przykrością, rozwiązało mu ręce co do dalszych posunięć. Na osobnej naradzie utworzyliśmy plan pracy we wszystkich powiatach Galicji zachodniej, z wyjątkiem kilku, w których Stapiński miał przemożne wpływy. Organizacja centralna i pismo pozostały w ręku Stapińskiego, przy nim też trzymało się trochę starszych i wpływowych chłopów. Robotą z naszej strony kierował tymczasowy komitet, starając się ogarnąć jak największą połąć kraju. Praca była prowadzona z jednej strony pod kątem utrzymania ludzi w swoim ręku, z drugiej dla przygotowania gruntu dla nowego stronnictwa. Nie było to także rzeczą łatwą, bo szereg powiatów trzymało się opornie starego szyldu, choć nie wodza Stapiński zaczął nas też mocno ośmieszać, przedstawiając jako parobków Długosza i nazywając stale w swoim piśmie „Długosikami”.

Widzieliśmy, że trzeba działać bardzo szybko, toteż na licznych przyspieszonych zebraniach załatwiliśmy się ze wszystkimi trudnościami i formalnościami tak, że za parę tygodni wszystko było niemal do kongresu ogólnego przygotowane.

Ustalono między innymi, że nowe stronnictwo będzie nosiło nazwę „Piast” i że tak samo będzie się nazywać pismo, które stanie się jego organem.

C z ę ś ć V

POWSTANIE P.S.L. „PIAST”

Kongres w Tarnowie

Kongres został zwołany na dzień 2 lutego 1914 r. do sali „Sokoła” w Tarnowie. Mimo zaledwie kilkutygodniowej naszej pracy zgromadził on około trzech tysięcy uczestników, z czterdziestu kilku powiatów pochodzących.

Imieniem „niezawisłych ludowców” zgłosił przystąpienie Dąbski i przybył ze swoimi zwolennikami na kongres. Zaprosiliśmy także i Stapińskiego. Nie zjawił się jednak zupełnie, mimo że w tym dniu przejeżdżał przez Tarnów. Natomiast robił starania o nasłanie ludzi, których zadaniem było rozbić obrad. Wcale mu się to jednak nie powiodło.

Wobec głoszonych wieści, jakoby większość uczestników kongresu przyjechała za pieniądze Długosza, należy sprostować, że Długosz, który do zbyt hojnych nigdy nie należał, wcale nikomu podróży nie opłacał, oprócz ludzi ze swojego powiatu, a na cele ogólne dał tylko nieco większą kwotę od innych posłów, którzy się na kosztu złożyli.

Kongres otworzył krótkim przemówieniem poseł Bojko, wyrażając radość z tak wielkiej liczby uczestników, co mówi o zdrowiu naszego chłopca i społeczeństwa w dążeniu do zmiany. On też został wybrany przewodniczącym, powołując na zastępców Średniawskiego i włościanina z ropczyckiego powiatu, Jana Babicza.

Referat polityczny powierzono mnie. Zająłem się w nim programem nowego stronnictwa, jego stosunkiem do wielu zagadnień społecznych, ekonomicznych i narodowych, przeciwstawiając je polityce Stapińskiego. Osoby jego dotykałem tylko wtenczas, kiedy ona wiązała się ściśle z jakąś sprawą.

Dyskusja, przez nikogo nie krępowana, była bardzo długa i ożywiona, czasami nawet dość gorąca.

Przysłuchiwałem się jej pilnie, śledząc jak się wobec Stapińskiego zachowują jego niedawni przyjaciele i zwolennicy, którzy przecież stanowili ogromną większość kongresu. Pomimo tej widocznej przewagi, Stapińskiego usiłował bronić nieśmiało tylko dr Bernadzikowski i chłop Jan Dziedzic ze Szczurowej. Na wniosek włościanina Bika z mieleckiego wykluczono Stapińskiego ze Stronnictwa. Następnie uchwalono szereg rezolucyj, które miały wytknąć drogę polityki nowego Stronnictwa. Oto niektóre z nich:

REZOLUCJE WITOSA

„Kongres P.S.L., stojąc na gruncie programu ludowego, uznaje, że najwyższe wieczne żywe prawo Narodu Polskiego do budowania Niepodległej Polski Ludowej powinno być punktem wyjścia i ośrodkiem wszelkich dążeń i praw ludu polskiego, w P.S.L. zorganizowanego.

„Polskie Stronnictwo Ludowe budzić będzie w ludzie polskim świadomość państwowotwórczą i dążności niepodległościowe, aby ten lud stał się czynnikiem świadomym i odpowiedzialnym w polityce polskiej, zdolnym do organizowania jej.

„Przeciw wszelkim zamachom na całość naszego samorządu lub przeciw podziałowi Galicji na część polską i ruską P.S.L. opowiada się jak najbardziej stanowczo i zamachy takie odeprze jak najenergiczniej.

„Celem utrzymania siły i reprezentacji polskiej w państwie austriackim uważa kongres P.S.L. solidarność reprezentacji polskiej za rzecz konieczną, a próby rozbicia Koła Polskiego, które dziś ma większość demokratyczną, wychodzą tylko na korzyść konserwatystów i czynników, którym zależy na osłabieniu naszej delegacji wiedeńskiej. Wobec rządu P.S.L. zachowa stanowisko zupełnie niezależne, a stosunek swój do konieczności państwowych uzależniać będzie zawsze od uwzględnienia przez rząd konieczności Narodu i Ludu Polskiego.

„W praktyce politycznej uważa P.S.L. za jedynie dopuszczalną politykę narodową, jawną, idącą po linii dążeń ludu i stwierdza, że polityka brudnych dróg, przekupstw i samowładztwa szerzy w masach ludowych spustoszenie moralne, podkopuje organizację ludową i polityce polskiej przynosi niepowetowaną szkodę i hańbę wobec Europy”.

Rezolucje te jak i inne natury społecznej, gospodarczej i organizacyjnej przyjęte zostały jednomyślnie.

Na podstawie referatu redaktora Wysłoucha uchwalono nowy regulamin stronnictwa.

Wybrano następnie Radę Naczelną, złożoną z 46 członków. Uchwalono, że nowe stronnictwo będzie nosiło nazwę „Piast” w odróżnieniu od stronnictwa Stapińskiego. Pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła” zakończono obrady.

Po zamknięciu obrad kongresu nastąpiło ukonstytuowanie nowej Rady Naczelnej. Prezesem wybrano Jakuba Bojkę, wice-

prezesami Wincentego Witosa i Jana Babicza, sekretarzami Gabriela Dubiela i Jana Dąbskiego.

Dalsza praca

Większa część roboty spadła na mnie, niemniej jednak dużo trudu w nią włożyli Długosz, Jedynak, Rey, Tetmajer, Bardel i inni. Bernadzikowski palił Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Ojcostwo samej nazwy stronnictwa przypisać należy hr. Reyowi. Po próbach z amatorami w redagowaniu *Piasta* objął obowiązki redaktora Józef Rączkowski. Dzięki jego wybitnemu talentowi, a może więcej wytężonej pracy jego żony, *Piast* stał się najpoczytniejszym i najbardziej pożytecznym pismem ludowym. Przy jego pomocy dotarliśmy do każdej prawie wioski, a w przeciągu paru miesięcy zdołaliśmy zorganizować niemal wszystkie powiaty, w których Stapiński do niedawna rządził niepodzielnie. Pismo *Piast* przetrwało całą wojnę, docierając nie tylko do chat ale i okopów. Stało na stanowisku zupełnej niepodległości Narodu Polskiego i oddało w tej sprawie bardzo duże usługi. Natomiast Stapiński zapowiedziawszy, że idzie razem z synami na front, zawiesił w najcięższym czasie *Przyjaciela Ludu*, zostawiając swoich zwolenników na pastwę losu. Zamiast jednak pójść na wojnę, ukrył się bezpiecznie w Krakowie. Wypłynął zaś gdy niebezpieczeństwo wszelkie minęło i, jak sam mówił, zabrał się do eksploatacji odpadków naftowych, a „Bóg dał mu szczęście”.

Stronnictwo zaś samo, założone i wyrosłe na gruzach potęgi Stapińskiego, odegrało wybitną rolę jeszcze w czasie wojny, a jego stanowisko i praca dla powstającej Polski i już w Polsce, ani jemu ani też ludowi polskiemu nie przyniosły ujmy. Wobec Polski spłaciło dług zaciągnięty, nie tylko bowiem dostarczyło jej w chwilach najcięższych ludzi na odpowiedzialne stanowiska, ale swoim umiarem, a równocześnie zdecydowaniem, uchroniło ją od wstrząśnięć i zawieruch, do których w pewnych momentach było niesłychanie blisko. Wychowało poza tym całą gromadę chłopów świadomych, którzy wolni od krzykliwego patriotyzmu, całym swym prostym sercem ukochali ojczyznę. Ukochali nawet wtenczas, gdy im dawała tylko ból i udrękę.

W nowym Sejmie

Rozłam dokonany w klubie poselskim Parlamentu wiedeńskiego, zjazd rzeszowski i dalsze wypadki w kraju, odbiły się

także na naszej działalności w Sejmie galicyjskim. Zmniejszony już przez wybory w roku 1913 klub do liczby 14 posłów, rozbił się również. Wystąpili z niego Stapiński i poseł Jędrzej Bosak, wybrany w powiecie jasielskim w miejsce dr. Stefczyka. Dziwne było stanowisko dr. Szymona Bernadzikowskiego, który będąc członkiem Wydziału Krajowego z naszego ramienia, a stojąc blisko Stapińskiego, usiłował być w praktyce członkiem obydwu organizacji.

Mnie wybrano prezesem owego okrojonego klubu, liczącego tylko 12 członków. Stanowisko nasze było niesłychanie trudne. Zobowiązanie przyjęte przez Stapińskiego wobec rządu i konserwatystów ciążyło nad nami jak chmura gradowa. Przy tym pewna część posłów, należąca formalnie do klubu, mimo wszystko wzdychała ukradkiem do Stapińskiego i jego demagogicznej roboty, na jaką się znowu puścił, zapomniawszy rychło wszystkich swoich deklaracji i przyrzeczeń publicznie składanych w tym samym Sejmie.

Pewne odprężenie, a nawet ułatwienie w pracy dało ustąpienie w roku 1913 Namiestnika Bobrzyńskiego, a tym samym osłabienie rządzącego bloku, wobec którego przyjął Stapiński znane zobowiązania. Namiestnikiem został były minister skarbu Witold Korytowski. Nominacja ta oznaczała przy tym klęskę Prawicy Narodowej, a była w dużej mierze zwycięstwem „Podolaków”, którzy znowu stanowili najbardziej reakcyjne skrzydło konserwatystów w kraju. Położenie na ogół niewiele się zmieniło.

Tymczasem zanosilo się na zwołanie Sejmu galicyjskiego, przede wszystkim dla przeprowadzenia reformy prawa wyborczego. Podkomitet, wybrany specjalnie dla tej sprawy, pracował już od dłuższego czasu, przy intensywnym współudziale nowego Namiestnika. Miał on za zadanie nie tylko ustalenie zasad samej reformy, podziału mandatów pomiędzy dwa narody, poszczególne kurie i okręgi, ale też doprowadzenia do zgody pomiędzy Polakami i Rusinami w tej sprawie, zarówno ważnej jak i drażliwej. Ze stanowiska politycznego była to dla rządu rzecz bardzo dużej wagi. Sam należąc do owego podkomitetu, nie zawsze wiedziałem, jak działała zakulisowa robota, choć dawało się wyczuć, że Rusini od pewnego czasu ogromnie spuścili z tonu. Chodziły też wieści, że biskupi do nowego Namiastnika i jego zamierzeń mieli się przychylnie ustosunkować.

Na dzień 14 lutego 1914 r. został zwołany Sejm galicyjski na sesję nadzwyczajną. W całym kraju uważano to za duże zdarzenie i z zapartym oddechem oczekiwano na wyniki jego obrad. Rzecz naturalna, że ludzi politycznie myślących najwięcej intere-

sowała sprawa zmiany ordynacji wyborczej, około której rozpoczęła się dość duża i gorączkowa agitacja. Ruszyli się także socjaliści. Sprawa sama, przedtem dokładnie przygotowana, poszła w Sejmie zupełnie gładko. Ukraińcy wygłaszali wprawdzie jeszcze długie mowy dla swoich wyborców, ale widoczne było, że robili to zupełnie bez przekonania. Uchwały Sejmu, dotyczące zmiany ordynacji wyborczej przeszły bez przeszkody, a często jednomyślnie.

Jakkolwiek z naszego stanowiska zmienionej ordynacji wyborczej nie można było wcale uważać za idealną, to jednak przynosiła ona dość dalekie zmiany na lepsze. Między innymi wprowadzała rozszerzone prawo wyborcze w kurii gmin wiejskich i podnosiła dość wydatnie liczbę posłów chłopskich, szczególnie w zachodniej części kraju. Podnosiła także liczbę chłopskich mandatów w stosunku do całości Sejmu.

Naszemu klubowi udało się też w znacznej mierze odrobić straty, jakie spowodowała zdrada Stapińskiego. Potrafiliśmy sobie zdobyć także bardzo dużą powagę wśród wszystkich stronnictw, mimo że liczebnie byliśmy znacznie słabsi niż dawniej. Na nasze kategoryczne żądanie między innymi podniesiono liczbę mandatów dla kurii gmin wiejskich na 57, z czego chłopci polscy na zachodzie mieli dostać 36, a więc o 6 więcej niż żądał Stapiński. Usunięto zupełnie kurię średniej własności, na której tak bardzo konserwatystom zależało, a na którą Stapiński się zgodził. O tych ustępstwach nie marzył on zupełnie.

Mimo że Stapiński został zupełnie i w Sejmie skompromitowany, nie stracił tupetu. A chcąc nam uniemożliwić pracę i przelicytować przed chłopami, przerzucił się wraz ze swoim towarzyszem Bosakiem znowu do skrajnego radykalizmu i demagogii, przechodzącej wszystko i wszystkich. Nikt sobie jednak nic z niego nie robił, patrząc z politowaniem na rzucającego się bankruta, który nie umiał zachować żadnej miary. Jego współpracownik poseł Bosak był znany z pobicia Dąbskiego i podobno pałki nieźle używał, w Sejmie jednak ust nie potrafił otworzyć. W ten sposób zakończyła się rola Stapińskiego w Sejmie galicyjskim, choć w kraju pozostało mu jeszcze sporo zwolenników.

Ostatni Sejm i Namiestnik Korytowski

Praca ostatniego Sejmu galicyjskiego w tej sesji była ogromnie intensywna. Spieszono się jakoby w przewidywaniu, że więcej na tym terenie nie będzie możliwości pracy, gdyż historia i

wypadki zaczęły kreślić zupełnie inną drogę. Wspomnieć należy, że tak gładkie załatwienie się ze sprawą tej miary, co reforma wyborcza, nie odbyło się bez interwencji rządu i bardzo silnego nacisku z jego strony. Poza tym przedstawiciel rządu, Namiestnik Korytowski okazał się jeżeli nie zręczniejszy od swojego poprzednika prof. Bobrzyńskiego, to przynajmniej o wiele gładszy.

Porównując obydwóch, wydawało mi się, że Namiestnik Korytowski, mimo swojej wysokiej kariery, wcale nie dorównywał Bobrzyńskiemu ani rozumem, ani zdolnościami i wyrobieniem politycznym, za to jednak miał zalety, których jego poprzednik nie okazywał. Zamiast sztywności i odpychającego chłodu, z jakim tamten traktował każdą sprawę i ludzi, Namiestnik Korytowski starał się wprowadzić ton ciepły, koleżeński, niemal przyjacielski, często jowialny, którym rozbrajał najzaciętszych nawet przeciwników. Było dość ogólnie wiadomo, że poza formalnymi posiedzeniami i konferencjami odbywał on częste rozmowy z poszczególnymi wybitniejszymi posłami, i to nie tylko przywódcami klubów, starając się ich różnymi sposobami przekonać o konieczności ustępstw, co mu się nieraz i to w dużej mierze udawało. Poza tym działały inne siły, przychodzące mu w pomoc.

Naszemu klubowi okazywał widoczną przychylność, a oddał mu też bardzo duże i cenne usługi i to w czasach najbardziej dla niego krytycznych. Dzięki swej pracowitości i obrotności, ale i też jego poparciu uzyskał klub w tej sesji bardzo duże zdobycze także na polu ekonomicznym i kulturalnym. Między innymi na podstawie referatu posła Bojki uchwalił Sejm około 30 ustaw melioracyjnych, utworzył też paromilionowy fundusz na te cele. Podwyższył dotację dla kas Reiffeisena z dwóch milionów koron do pięciu, podwyższył także fundusz włości rentowych z dziesięciu do dwudziestu milionów koron. Uregulował sprawę poborów nauczycielskich, załatwił cały szereg spraw natury lokalnej, bardzo nieraz ważnych dla różnych okolic. Było też ogólne zdanie, że w ciągu tej jednej sesji klub nasz zdziałał znacznie więcej, niż przez wszystkie sesje razem wzięte. Nie stanowił on znowu tak specjalnego wyjątku, gdyż i inne wykazywały także bardzo dużą ruchliwość. Szczególnie dotyczyło to Ukraińców, którzy, zmieniawszy taktykę, dokonali znacznych zdobyczy, szczególnie w dziedzinie politycznej. Ogólnie biorąc bilans tej sesji był dla nas bardzo dodatni.

Jest to tym więcej godne zaznaczenia, że Sejm w osobie nowego marszałka nie posiadał wcale politycznego kierownika. Hr. Stanisław Badeni umarł bowiem jeszcze w maju 1912 r., a

zamianowany w jego miejsce hr. Adam Gołuchowski, niezupełnie się na to stanowisko nadawał. Przewodniczył on obradom Sejmu, ale wcale Sejmem nie kierował. Nie widać też było u niego tych zalet, którymi się odznaczał marszałek Badeni. Wydawało się, że się do niczego w ogóle nie zapalił, a wiele spraw i zagadnień traktował prawie że obojętnie. Niewiele nawet wdawał się w rozmowy, spacerując samotnie po kuluarach sejmowych. Słaby wzrok Marszałka był też często przedmiotem żartów i uciechy, gdy w czasie swej spacerki po korytarzach nie wiedział, czy się zetknął z człowiekiem, czy tylko z filarem i skutkiem tego niepotrzebnie przepraszał.

Co zyskałem w tym Sejmie?

Dla mnie osobiście te parę tygodni gorliwego sejmowania z jednej strony stały się ciężką drogą krzyżową, z drugiej zaś stanowiły doskonałą szkołę praktycznej polityki, dając mi się nauczyć bardzo wiele. Zostałem bowiem rzucony na bystrą i głęboką wodę i musiałem albo się utrzymać na powierzchni, albo też utonąć. Przyszłość polityczna, tak moja jak i Stronnictwa, zależała w tym czasie w dużej mierze od tego, co Sejm w wielu sprawach zrobi, a Sejm ten przecież dla nas nie był żadną zagadką. Stosunki wewnętrzne nie zawsze nam sprzyjały, a ze strony konserwatystów nie mogliśmy się wcale wiele dobrego spodziewać. Z dużą natomiast pomocą przyszły nam wypadki ogólne, które się także i na Sejmie dość silnie odbiły. W Austrii spodziewano się niemal codziennie wybuchu wojny, z czym się nawet sfery urzędowe zbyttnio nie kryły. Jakkolwiek skończyło się na razie na częściowej mobilizacji i przetrzymaniu przez dłuższy czas w służbie rezerwistów, to wierzone ogólnie, że się wojny nie uniknie.

Ustępstwa, jakie nam zrobiono szczególnie w sprawie ordynacji wyborczej, były bardzo duże, nie zadowolili jednak mas, a szczególnie robotniczych, które zaczęły coraz silniej dobijać się do bram Sejmu. Myśmy to czuli dobrze i dlatego w przemówieniach swoich dawałem temu wyraz, nie omijając także spraw innych. Ten ostatni Sejm ukończył swoje obrady dnia 4 marca 1914 r. Jako przewodniczący klubu przemawiałem w nim kilkakrotnie w rozmaitych sprawach.

Przemówienie z posiedzenia z dnia 2 marca 1914 r. podaję w streszczeniu:

„Zabierając głos przy dzisiejszej dyskusji budżetowej muszę wyrazić żal, że Sejm ten przez dłuższy czas zmuszony był do bezczynności, która się

stała dla kraju w wysokim stopniu szkodliwa. Że z tej trybuny i w tym czasie, gdy rozgrywały się w świecie wypadki wielkiej miary i znaczenia tak dla Europy jak i dla nas, nie popłynął z naszej strony ani głos bólu, ani też protestu, przypominający tej Europie o bardzo twardym i kamiennym sercu, że jeszcze żyjemy i żyć nie przestajemy, mimo to że wszystkie potęgi na nas się spiknęły. Były czasy, gdy serce każdego Polaka było przyspieszonym tętnem na wiadomość, że inne ludy mniej kulturalne, mniej liczne zdobywały wolność, wybijały się i dochodziły do upragnionego celu. (Miałem tu na myśli wojnę bałkańską w roku 1912, prowadzoną pomiędzy Turcją z jednej a Serbią, Bułgarią i Grecją z drugiej strony i mobilizację armii austriackiej).

„Nam zaś pozostała ta sama niezmieniona ciężka niewola. Patrzyły się skrwawione serca na to, jak powoływano tysiące i tysiące żołnierzy, jak ich przygotowywano do obrony interesów państwa obcego, gdy oderwano synów od rodzin, gdy trzymano ich miesiącami całymi w najtwardszej służbie, ale gdy trzeba było dać bodaj marne wsparcie biednej rodzinie, kazano nam czekać miesiącami. Może nigdy tak wyraźnie nie wystąpiła niewola, może jeszcze nigdy tak się nie odczuwało na sobie ciężkiej stopy najeźdźcy, bo czuło się dobrze, że się niesie w ofierze, co się ma najdroższego, nie dla siebie i nie za swoją sprawę.

„W tym czasie, kiedy ta burza nadchodziła, gdy u niejednego żyła myśl, że nadszedł czas może nie odwetu ale przemiany, nie postarano się o to, by dać z tej trybuny wskazówki co do postępowania narodowi, by stworzyć zamiast różnych orientacji jedną orientację polską. Stwierdzić jednak należy, że to wielkie wstrząśnienie bez korzyści dla nas nie przyszło. Zrozumiano, że małoduszność i ten nieszczęsny serwilizm, którym do tego czasu kierowaliśmy się, jest nieszczęściem naszym. I tu widać dziś, że ta dążność do niepodległości, poczucie własnej siły i godności przenikły do warstw najniższych i u nich się niesłychanie silnie odbiły.

„Zrozumiano, że poleganie na sobie, wytworzenie własnej siły i własnej organizacji, oraz wyrabianie charakterów silnych jest rzeczą wielką, i do tej roboty się zabrano.

„Nie można było podnieść stanowczego słowa protestu, gdy przechodził straszny akt wywłaszczenia dokonywany przez rząd pruski, akt barbarzyński, niepraktykowany w krajach cywilizowanych, akt wyrzucania gwałtowną, brutalną ręką z ziemi ojczystej, dzierżonej od dziada, pradziada.

„Nie można było wskazać tych dróg i środków do poprawy wiodących, bo Sejm był nieczynny. Może to jest pewnym tragizmem, że to wszystko działo się na progu, kiedy Sejm przeszło 50 lat istniejący, oparty na przywilejach, miał skończyć swój żywot i jak widzimy, kończy go może jedyny raz dobrze, bo jest dość pracowity, jak to zwykle bywa przed śmiercią, gdy się okazuje skrucę.

„Jeżeli się popatrzymy na horoskopy, jakie się roztaczają na przyszłość, to one nie bardzo różno się przedstawiają. Komisja budżetowa wstydliwie rozkawałkowała w różne strony ogromną pozycję długów, a równocześnie wskazuje, jeżeli się nie chce dodatkami daleko idącymi przydusić ludność, to dalej będzie się prowadziło tę samą gospodarkę i dalej się będzie brnąć w bankructwie.

„Jak to Wysokiej Izbie wiadomo, Polskie Stronnictwo Ludowe przeszło niedawno bardzo ważne przesilenie. Panowie wiecie, że ostatnie wypadki, jakie się rozgrały w tym stronnictwie, wstrząsnęły nie tylko stronnictwem samym, ale też i polityką krajową, wstrząsnęły do pewnego stopnia i Kołem Polskim i odbiły się nawet na polityce państwowej, czy ściślej mówiąc na Parlamencie.

„Jak panom wiadomo, stronnictwo to oczyściliśmy z żywiów korupcyjnych i prowadzi ono dalej swoją pracę w sposób, którego zupełnie przed Wysoką Izbą ukrywać nie myśli.

„Wprawdzie kongres, który się odbył w Tarnowie dnia 2 lutego, dość wyraźnie określił nasze stanowisko, jednak korzystając z dzisiejszej sposobności, chciałbym też co do niektórych rzeczy zapatrywanie naszej grupy wypowiedzieć, tym więcej, że żądano tego z różnych stron.

„Stronnictwo Ludowe, stojąc na gruncie swego programu, dążyć będzie wszelkimi siłami do wywalczenia niepodległej Polski ludowej jako swego ideału, który jest może dość odległy, ale jak wierzymy nie jest nieziszczalny.

„Stoimy na stanowisku zdobywania coraz szerszego samorządu Galicji aż do jej zupełnego wyodrębnienia.

„A czynimy to nie tylko ze względów ideowych, ale też ze względów rzeczowych, o czym tu też kilka słów chcę powiedzieć. Zdaje mi się, że nie tylko Polacy, ale i panowie Rusini, chyba coraz więcej uwagi na Sejm zwracać muszą, bo też będą do tego okolicznościami — i to bardzo ważnymi — zmuszeni.

„Jak Panowie wiecie, w Parlamencie wiedeńskim rozegrały się antagonizmy. Szowinizm różnych narodów posunięty do najdalszych granic spowodował zastój życia parlamentarnego i jeśli się dziś coś robi w Parlamencie, to przede wszystkim to, aby uchwalić wszelkie konieczności państwowe, a o koniecznościach ludowych niech sobie myśli kto chce. A jednak przecież podobna polityka wysysania jak cytryny społeczeństwa do ostatnich granic, zemścić się musi i, zdaje mi się, zemści się na tych samych, którzy taką politykę prowadzą. Jeżeli chcemy cośkolwiek dziś robić, a robić musimy, bo chcemy żyć, to każdy nieuprzedzony musi przyznać, iż wobec tego, że Parlament przez niezgodę czesko-niemiecką i inne różne niezgody, których w Austrii zawsze będzie pełno, został zagwożdżony na czas dłuższy, niezawodnie musimy się starać, ażeby przynajmniej na tym gruncie praca postępować mogła. Z tego też powodu jesteśmy za tym, by Galicja spod tej tak daleko idącej opieki rządu austriackiego bodaj do pewnego stopnia się uwolniła.

„Pracę ekonomiczną, na szeroką skalę rozpoczętą i przeprowadzoną, uważamy za konieczną, ażeby nareszcie ustalić byt materialny, będący podstawą rozwoju każdego narodu i każdej klasy ludności.

„Wobec rządu zachowamy stanowisko zupełnie niezależne i stosunek nasz do konieczności państwowych będziemy uzależniać od uwzględniania przez rząd konieczności narodu i ludu naszego.

„Zależy nam nie tylko na tych okrucinach, które spadają ze stołu rządowego, okrucinach natury materialnej, ale także na tym, byśmy mieli zapewnioną swobodę rozwijania się pod względem narodowym i każdym innym.

„Stanowisko nasze pod względem religijnym i stosunek do duchowieństwa określił zasadniczo program następujący: „Wierni hasłom, które wyróżniały zaszczytnie Polskę w czasach ogólnej nietolerancji religijnej, którym po przerwie spowodowanej dołą upadku hołdowała ona znowu w ustawie majowej i we wszystkich późniejszych manifestach rewolucyjnych, od Kościuszki począwszy aż do roku 1863, chcemy żeby wolność sumienia przysługiwała w równej mierze wyznawcom różnych religii i obrządków. Ale pragnąc, żeby duch tolerancji roztoczył swoje skrzydła nad wszystkimi wyznawcami religijnymi, niemniej świadomi jesteśmy wyjątkowej roli religii katolickiej w życiu naszego narodu. Prześladowanie w zaborze rosyjskim i pruskim, to nie tylko gwałt zadany ludzkiemu sumieniu, to planowe niszczenie zapory, którą religia ta stanowi dla wrogiej fali tak chłnącej nasz ład.

Toteż obrona przed uciskiem tak ściśle skojarzyła się u nas z obroną narodową, że w każdej kropli przelanej krwi za wiarę mieści się i męczeństwo za Ojczyznę. Z takiego zadziergnięcia węzłów między interesami narodowymi a interesami religijnymi wynikają zasługi narodowe kleru, ale też i szkody niepomierne, które on wyrządza, gdy obojętnie dla sprawy narodowej lub w łonie samego społeczeństwa bierze stronę uciskających przeciw uciśnionym.

„To stanowisko i nadal zajmować będziemy. Zdajemy sobie sprawę, że lud polski jest katolicki i głęboko religijny. Że wiara katolicka wychowuje w najszczytniejszych zasadach ogólnoludzkich, które się stały podstawą nowożytnej cywilizacji i że naruszenie wiary może osłabić w masach ludzkich najszlachetniejsze ideały miłości bliźniego, poświęcenia dla drugich, braterstwa i sprawiedliwości społecznej.

„Zdajemy sobie sprawę z tego, że wiara katolicka bynajmniej nie stanowi przeszkody dla ruchu ludowego, zmierzającego do wyzwolenia ludu od wszelkiego ucisku i wyzysku, owszem wiara katolicka bierze w obronę pokrzywdzonych i dostąpienie sprawiedliwości im poręcza. Lud polski uważa więc wiarę katolicką za największy skarb, którego w razie potrzeby jest gotów bronić do ostatniej kropli krwi, o czym mogą świadczyć liczne przykłady. Wiary zatem osłabiać ani naruszać nie wolno. Toteż chociaż w polityce zastrzegamy sobie wolną rękę, wyrażamy jednak przekonanie, że winna się ona opierać o zasady etyki katolickiej.

„Pragniemy iść za duchowieństwem naszym w sprawach wiary i obyczajności jako za pasterzami, powołanymi do przodowania w tych sprawach ludowi.

„Toteż przykrym jest dla nas, gdy niektórzy duchowni zwracają się przeciw ruchowi ludowemu P.S.L. i w walce naszej o sprawiedliwość społeczną łączą się nieraz z możnymi i uprzywilejowanymi. Tym bardziej napełnia nas goryczą, gdy walkę polityczną na korzyść pewnych klas osłania duchowieństwo hasłami religijnymi i lud zorganizowany w P.S.L. do wiary katolickiej przywiązany, częstokroć prześladowuje.

„Polskie Stronnictwo Ludowe przetrwało niezbyt dawno straszne chwile, gdy członkom jego odmawiano postug religijnych i gdy przeciw nim głoszone z ambon klątwy i potępienia. Gotowi przetrwać dalsze prześladowanie w obronie praw ludu, mamy jednak nadzieję, że duchowieństwo nasze nie zechce dla celów świeckiej polityki wszczynać na nowo walki religijnej i że raczej poprze nasze usiłowania do usamodzielnienia i podniesienia politycznego i ekonomicznego ludu.

„Ze stronnictwami polskimi, które reprezentują pewną silną i zdrową myśl polityczną, chcemy zupełnej współpracy.

„Zwalczając będziemy wszelkie zakusy, zmierzające do paraliżowania czystej idei narodowej i dążeń ludowych.

„Prądy zmierzające do zatracenia polskiej racji stanu, a czyniące z Polaków narzędzie państw zaborczych, znajdując w nas zasadniczych i nieprzełaganych przeciwników, uważamy bowiem, że znieczulanie i znieprawianie dążeń wolnościowych, każdemu narodowi właściwych, prowadzi do jego niechybnego upadku.

„Stronnictwa budujące nowe siły w społeczeństwie znajdują w nas szczerych zwolenników.

„Nie wiążąc się dziś z żadnym stronnictwem, za naszych naturalnych sprzymierzeńców uważamy stronnictwa demokratyczne, o ile stoją na gruncie polskim i są niezależne od jakiegokolwiek obcej myśli i obcych tendencji politycznych.

„Nie odmawiając praw należnych innym warstwom społecznym, dążyć będziemy do uzyskania należnych praw i wpływu dla tej masy, która jest w Polsce najżywotniejsza, a tą jest ludność włościańska.

„Przychodzi mi stwierdzić jako włościaninowi i Polakowi z prawdziwą przyjemnością, że lud ten do niedawna dzięki prowadzeniu go na manowce, obojętny dla wszelkich narodowych ideałów, nazywający siebie często cesarskim, miano „Polak”, uważający za coś obrażającego uczucia, dziś ciałem i duszą stał się Polakiem.

„Przemiana ta stopniowo przez lata następowała, ale przemiana ta dokonała się w ostatnich czasach tak szybko, że trudno byłoby komukolwiek to przewidzieć. Dowodem tego, że tak jest, są liczne i wspaniałe obchody grunwaldzkie, przez lud inicjowane i urządzone, są te śliczne i kosztowne nieraz pomniki, wdowim groszem wznoszone, bardzo gęsto rozsiane po kraju, które świadczyć będą o tym co było, ale także w przyszłości przypominać będą, co być powinno, są nowe liczne wiece chełmskie, gdzie lud demonstrował bardzo silnie jedność i łączność z całą Polską i wznosił energiczny protest przeciw nowej zbrodni, jakiej dokonano na ciele Ojczyzny.

„Wprawdzie nie na wiele się to zdało, wprawdzie przemoc zrobiła, co chciała zrobić, jednak to uczucie krzywdy, zaszczepione w tym ludzie nie zginie. Dowodem tego dalej gorący współudział w każdej pracy, mający na celu podniesienie naszego kraju i to w każdym kierunku.

„Nie przesadzę zupełnie, jeśli dziś powiem, że gdyby od wszelkiej pracy organizacyjnej lud się usunął lub pozostał bierny, to ta praca i organizacja w tej chwili zginęłaby.

„Do niedawna łudzono się zawsze — jak się okazało — niezbyt mądrą nadzieją, że los naszego narodu zmieni się na lepszy, gdy ludy będą mogły przemówić. Wskazywano na nowe partie, na nowe stronnictwa i na nowe prądy w Rosji czy w Prusach i obiecywano sobie, że jak lud ten weźmie władzę w ręce własne, to wtenczas wszystko się zmieni, że to, co dotychczas robiono, zrobili tyrani, a lud czy to w Rosji, czy w Prusach zawsze z ludem polskim zgodzi się. Okazało się, że ta wiara w braterstwo ludów była tylko krótkotrwałym marzeniem, nigdy dotąd nie ziszczonym.

„Przekonano się, że tak magnateria, jak klasa średnia, tak „Bauer” niemiecki, jak muzyk rosyjski, tak samo okrutni być potrafili, mając coś do powiedzenia wobec innych narodów, a w tym wypadku wobec Polaków, jak to czynili dawniej okrutni władcy, siedzący na tronie.

„Zbrodnię wywłaszczenia popełniło przedstawicielstwo ludu — Parlament niemiecki. Wiadomo, że i Duma Rosyjska popełniła podobny gwałt, wydzierając z żywego organizmu kawał ziemi i tworząc gubernię chełmską. Widzimy, że rządy wyszłe z Parlamentu nie postępują inaczej, aniżeli rządy despotyczne i wysilają swe mózgi na to, ażeby wyrwać pewnym narodom ich religię, język ojczysty i miłość Ojczyzny.

„Toteż w czasie, kiedy szowinizm doszedł już do ostatnich granic, kiedy już nie tylko jednostki, ale zorganizowane społeczeństwa i narody idą do walki nieubłaganej na śmierć i życie, dziś co nas ocalić może? Oto lud, lud uświadomiony, świadom swych praw i obowiązków.

„Dziś widzimy, że nawet reklamujący szeroko swą międzynarodówkę i kosmopolityzm socjaliści niemieccy, gdy przyszło się brać do gnębienia narodów, to się znaleźli w tej zacnej kompanii.

„Mrzonki wielkie minęły — dziś przychodzi czas obrony, a potrafi się to zrobić wtenczas, gdy się posiada siłę.

„Wiemy, że los nasz gorszy i coraz przykrzejszy, wiemy, że z rozmaitych stron są zapędy, ażeby ten los nasz jeszcze bardziej pogorszyć.

I cóż nam pozostaje? — Albo skapitulować, albo bronić się do ostatniego.

„Tak bronić się, ale kto dziś to uczyni? Nie przeczę, że szlachta odegrała dawniej pewną rolę, ale już jej grać nie będzie, bo nie potrafi”. Nie myślę wysuwać żadnych rekrimacyj, ale Panowie przyznacie, że ci, dawniej bardzo zaciężni, Radziwiłły, Korwin-Milewscy, Potoccy, skaczący dziś po przedpokojach cesarskich i innych zaborców, chyba tego nie zrobią i jeśli dla nich stworzą się znów jakie widoki dworackiego życia, to wielu z tych panów za zaszczyt sobie poczytywać będzie, aby do tego życia się dobić.

„Mieszczaństwo, mające niezawodnie dużą siłę i spełniające pewną misję cywilizacyjną i narodową, traci jednak wiele z tej siły na walkę o byt własny z żywiołami, które są wiele gorsze od wrogów zewnętrznych, bo są wrogami domowymi.

„Pozostaje lud. — Lud zadowolony, światły, zamożny, może być potęgą. — Trudno jednak stwierdzić, żeby ze strony tego Sejmu, zrobiono wszystko co należało, ażeby lud był zdolny do spełnienia swego obowiązku. Pięćdziesięciolecie tego Sejmu, protokoły stenograficzne, ta zawsze otwarta księga historii Sejmu, wykazują co innego.

„Można było zrobić wiele, było się przy władzy i miało urzędowe wpływy, ale wtenczas zazdrośnie strzeżono przywilejów i starano się, aby lud pozostał nadal powolnym narzędziem.

„Sądzę, że dziś już wielu widzi, że był to błąd wielki, choć niewielu chce to naprawić. Weźmy tylko sprawę reformy wyborczej. Nie wiem, czy stało się dobrze, że przez lat 50, kiedy była możność dania praw wydziedziczonym, wyrzuciło się ich poza nawias społeczeństwa i narodu i potrzeba było aż szturmować do Sejmu, muzyki ruskiej, trzeba było presji z Wiednia, ażeby tu coś nareszcie zrobić.

„I co dziś pozostaje? — Wrażenie, którego Panowie nie możecie nikomu wyperswadować, że tę reformę musieliście dać, boście do tego zniewoleni. A gdybyście tak to bez przymusu przed paru laty uczynili, to by się niezawodnie wspaniałomyślnym darem z waszej strony nazywało.

„Miałem sposobność tu oświadczyć, że takie obecne przeprowadzenie reformy wyborczej uważamy tylko za krok ku lepszemu, a że tak jest, to mówię całkiem szczerze i otwarcie, aby nie było złudzeń i Panowie się zapewne temu nie dziwicie.

„Cóż dalsieście ludowi, ażeby go przygotować?

„Dalsieście szkołę, ale co ona robiła, przekona się każdy, kto otworzy pierwsze kartki książek i podręczników. Mimo że rządziła nią Rada szkolna krajowa, złożona z Polaków i Rusinów, mimo że nie ciążyła nad nią ciężka łapa rządu austriackiego, siliła się ona na wychowanie austriackich patriotów, zostawiając wychowanie narodowe na ostatnim miejscu. Wyniki nauczania są też marne i pod innymi względami.

„Jeżeli broniący tej szkoły zaznaczyli w Sejmie, że ona zła nie jest, jeżeli powychodzili z niej chłopci, co są postami i mogą w Sejmie przemawiać, to muszę oświadczyć, że ci ludzie wiadomości swoje zdobyli poza szkołą. Gdyby mieli tylko to, co im dała szkoła, to nie potrafiliby oni tu ani ust otworzyć. Wina więc leży wyłącznie po waszej stronie. Waszą też winą jest upośledzenie nauczycieli, którzy mieli ale nie mogli przez to spełnić tak ważnego zadania. Dobrze, że nareszcie zajął się Sejm tą sprawą, ale przypomnieć sobie należy, ileż to lat trzeba było na to czekać.

„Przechodząc do spraw gospodarczych, muszę dotknąć stosunków dotyczących bogactw ziemnych, a w szczególności ropy i węgla. Nafta płynie strugą, ale miliony z niej biorą obcy, kapitały zagraniczne dokonały tam

bowiem zupełnego podboju. Panami tego bogactwa stali się Niemcy lub Francuzi. Pola węglowe w Zagłębiu krakowskim i okolicy wykupili Niemcy podobno w całości. Przestrzegany przez różnych ludzi Sejm nad dobrem kraju radził i ani nie spostrzegł jak przyszli Niemcy, Francuzi, Anglicy i zupełnie spokojnie dokonali wywłaszczeń. Taka gospodarka musiała doprowadzić do niebywałej emigracji najlepszych sił, które tu nie mogły znaleźć pracy ani chleba. Na to wielkie zagadnienie znaleziono tylko środki represyjne, stosowane przez władze wobec emigrantów, które się zresztą na nic nie zdały, a wywołały i w tej Izbie wiele drażliwych momentów. Pomijam już sprawę gospodarki leśnej, coraz bardziej w sposób rabunkowy prowadzonej, pomijam spekulantów i zyski przez nich ciągnięte, nie chcę już mówić o regulacji rzek, prawie polowania, rybołówstwie i wszystkich praktykach przy wykonywaniu ustaw stosowanych, bo na to i czas nie pozwala i wiem, żeby nikomu nie pomogło. Ustawy u nas idą swoją drogą, a przywileje swoją. Starosta wciąż jeszcze nie jest stróżem ustawy, ale rzecznikiem obszarniczych przywilejów.

„Mówi się tak wiele o zgodzie i jedności tak bardzo potrzebnej, ale równocześnie kopie się przepaść coraz większą. Jeśli między dworem a gminą istniała ta przepaść, to ją należało do tego czasu wyrównać. Zastrzeżenia poczynione przy reformie prawa wyborczego wcale tego nie robią. Zostawiono takie szpilki, które muszą kłuć i sprawiać boleść. To musi podtrzymać separatyzm, równie niepotrzebny jak i szkodliwy. Myśmy się do niego wcale nie przyczynili. Wy postawiliście wiele zapór. Ja wiem, że one wszystkie zostaną złamanie, że zapewne wiele trzeba będzie jeszcze cierpieć, ale to, by potem więcej cenić to, co się uzyska. Walka nie będzie rodzić wdzięczności do Panów, ani też nie przywiąże ludu do tego Sejmu, u którego dopiero gwałtem trzeba się dobijać zdobyczy dla ogólnego dobra służących”.

Zawiązanie Stronnictwa Katolicko-Ludowego w Tarnowie

Tymczasem horyzont polityczny zaczął się zaciemniać. Parlament był ubezwładniony dzięki walce nieubłaganej, jaką prowadzili Niemcy z Czechami. Paragraf 14, oznaczający rządy bez parlamentu, zaczął się już zbliżać. Rządy te niedługo nadeszły. Sytuacja międzynarodowa była coraz bardziej niepewna, atmosfera stawała się coraz więcej duszna. W kraju zaczęło wrzeć na dobre. Gdy z jednej strony zmuszeni byliśmy prowadzić uciążliwą walkę z demagogią i oszczerstwami Stapińskiego, z drugiej — najniespodziewaniej w świecie wystąpiło przeciw nam duchowieństwo, zgrupowane w Stronnictwie Katolicko-Ludowym z ks. biskupem Wałęgą na czele.

W dniu 22 maja 1914 r. odbyło się założycielskie zebranie Stronnictwa Katolicko-Ludowego, na którym poseł Jan Potoczek gromił masonerię, niedowiarków, a równocześnie i ludowców „którzy idą rzekomo ręka w rękę z nimi”. Uchwalono tam podziękowanie biskupowi Wałędze za jego akcję a mnie votum nieufności „za wrogie stanowisko wobec duchowieństwa, a nawet

religii katolickiej". Wezwano też posła konserwatywnego Matakiewicza do wstąpienia do nowego stronnictwa.

Stronnictwo to, korzystając z naszego osłabienia po rozłamie, rozpoczęło wprost bezprzykładną walkę, nie cofając się przed niczym, a chowając się pod skrzydła ks. biskupa Wałęgi. Księża Lubelski, Górka, Paryło, Stabrawa jeździli jak nieprzytomni, wprowadzając zamieszanie, którego skutki są do dziś dnia w powiecie widoczne.

Pomiędzy duchowieństwem tarnowskim, tak zaciekle mnie zwalczającym, były jednak chlubne, choć rzadkie wyjątki. W czasie największego napięcia walki przyjmował mnie u siebie i to zupełnie otwarcie ks. Wąsowicz, proboszcz z Gromnika, a gdy go zapytałem, czy się nie obawia przykrych następstw, odpowiedział mi krótko: „Gdyby mnie nawet mieli zniszczyć, to bałwana ze mnie nie zrobią”.

Dziwnymi doprawdy drogami chodziła polityka tarnowskiego kleru. Rzucił on na nas długo pioruny za rzekomo występne współdziałanie ze Stapińskim, a gdyśmy się oderwali od niego i prowadzili ciężką walkę o oczyszczenie „zarazy zaszczepionej”, zaczęli wojnę z nami, stosując znowu te same metody i środki. W rzucaniu zaś oszczerstw i kallumnii wcale nie pozostali w tyle za Stapińskim, a nieraz go znacznie przewyższyli.

Rolę specjalnego Piłata w tej walce odgrywał poseł dr Antoni Matakiewicz, naczelnik sądu w Wojniczcu, Żabnie, a następnie w Tuchowie. Świecił on całymi latami Panu Bogu, już nie świeczkę, ale wielką gromnicę, ale też i diabłu nie mały ogarek. Podjąć się ciężkiej akrobatycznej sztuki, jaką było jego lawirowanie pomiędzy księżmi tarnowskimi a ludowcami, to trzeba było zręczności i odwagi nie lada. A tu sęk był w tym, że Matakiewicz tej odwagi za grosz nie posiadał. Miał natomiast jeden widoczny, choć przed ludźmi bardzo niezręcznie ukrywany cel, a nim był mandat poselski i jakiś spokojny, dobrze płatny urząd bez względu na to, jak on się nazywał i od kogo pochodził.

W tym też celu i chcąc się zasłużyć wojującym tarnowskim księżom politykom, opuścił konserwatystów, jako mało bogobojnych, dlatego rwał się do celebrowania na różnych zgromadzeniach księży tarnowskich, w tym celu zdobywał się na patos idący aż do śmieszności, żegnał się ostentacyjnie, zaczynał każde zebranie od pochwalonego i tak samo je kończył.

Nie tylko że chodził często do spowiedzi, ale komu należało, bardzo skrupulatnie opowiadał o tym, będąc pewny, że wiadomość ta dojdzie i przekona tych, co mu mimo wszystko ciągle jeszcze nie dowierzali.

Wszystkim wybitniejszym ludowcom łąsił się i kłaniał, a zapewniając o swojej sympatii i przywiązaniu do ludu, prosił o poparcie, wprawdzie niewielkie, ale takie, które by mu do uzyskania mandatu poselskiego mogło wystarczyć. Interwencje jego poselskie szły już tak daleko, że chłopci figlarnie nieraz sobie opowiadali, że pan poseł chodził do szewca, by się pospieszył z uszyciem butów dla jego wyborcy, albo do kowala, by kończył przędzej łapkę na szczyry.

Do mnie miał długo i niczym nieukojoną żal. Pochodziło to stąd, że jako urzędujący premier w roku 1923 nie zamiano- wałem go podsekretarzem w ministerstwie sprawiedliwości, lecz Sienickiego, podobno nawet ukrytego endeka, którego Matakiewicz uważał za dużo głupszego od siebie, co mi nieraz dość długo i z goryczą tłumaczył, a ponieważ żale te wylewał przed różnymi ludźmi, znającymi ich obydwóch, śmiali się w kułak z tego porównania. Jego bliski sąsiad i dobry znajomy, a ostatnio nawet serdeczny polityczny przyjaciel Bolesław Miętus z Tuchowa nazywał go zawsze „Matołkiewiczem”, twierdząc, że to najwięcej odpowiednia nazwa dla niedoszłego wiceministra. Była to oczywiście złośliwość konkurenta i fałszywego kolegi w tym czasie.

Walka ta była tym więcej przykra, że mieliśmy prawo wymagać, by w momencie odrodzenia Stronnictwa, jego zapasów z korupcją i demoralizacją, jaką na wieś wprowadził Stapiński, zachowano nas w spokoju, a może nawet użyczono pomocy. Stało się jednak inaczej. Katolicycy politycy tarnowscy uważali w tym czasie za potrzebne, prowadząc walkę z nami, przyjść z pomocą Stapińskiemu, temu samemu, którego nie tak dawno obłożono klątwą kościelną za jego działalność.

Na widownię znowu wyszli księża tarnowscy Lubelski i Paryło, wzmocnieni nowymi zastępami i powagą biskupa. Odżyły wszystkie moje stare grzechy, przybyły też do nich nowe i to jeszcze gorsze i cięższe od tamtych. Uznano widocznie, że nad-szedł czas, kiedy można Stronnictwo chwycić skutecznie za gardło, a mnie z nim raz na zawsze przetrącić. Nie cofano się też przed żadnymi środkami i sposobami. Dziwna rzecz, że czynny udział w tej walce, często wprost obrzydliwej, wzięli starsi i poważni księża, którzy się dotąd nigdy do niej nie miesza- li. Śmiech pusty porywał nieraz ludzi, gdy np. ksiądz Jakub Gór- ka, dr św. teologii i bardzo poważny kanonik kapituły tarnow- skiej, sypał bezpodstawnymi zarzutami i jechał na demagogii bez żadnego hamulca. Był to więc albo rozkaz władzy duchownej albo też jakieś dziwne oszołomienie. Trudno było doprawdy to wszy- stko zrozumieć. Nie rozumiałem również ich taktyki. Starali się bowiem dowodzić z początku zawsze, że ludowcy dla chłopca ni-

gdy nic nie zrobili, a gdy obaliłem to kłamliwe twierdzenie, przedstawiając choćby wyniki ostatniej sesji sejmowej, zmieniali raptem front i dowodzili, że nic nie pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, gdy na duszy swojej szkodę poniósł i duszę tę na wieki zaprzepacił.

Najzapałczywszy z wojujących księży, ekspozyt z Woli rzedzińskiej Stabrawa, posunął się tak daleko, że widząc swoją przegraną na wiecu w Wojniczu, rzucił krzyż na stół i zawołał do zebranych głosem zmienionym i przeraźliwym: „Kto chce iść za Witosem, niech ten krzyż podepcze!“. Chłopi patrząc na to zdrtwieli, ale się z miejsca nie ruszyli.

Na wszystkie moje bardzo liczne zebrania, jakie forsownie odbywałem, jeździli gromadą księża z bojówkami i to złożonymi z szumowin spod ciemnej gwiazdy, najczęściej ze zgonników świńskich, którzy się zachowywali niżej wszelkiej krytyki. To jednak jegomościów wcale nie raziło.

Sami też urządzali wiece i zebrania, zapowiadane z ambon, na których mi wyrażano oburzenie, uchwalano votum nieufności, wzywano do posłuszeństwa biskupowi, stwierdzano, że mnie chłopci opuścili itp. rzeczy. Ambony zagrzniały przeciw nam jako zamaskowanym wrogom wiary i Kościoła, nie tylko nie lepszym od Stapińskiego, ale nawet gorszym, bo ukrytym. *Piasta* zabroniono czytać wiernym pod grozą wszystkich kar kościelnych.

Mimo wszystko prowadziłem robotę ze wzmożoną gorliwością, a chłopci mi na każdym kroku pomagali, nie cofając się przed niczym. Walka się rozszerzała i zaogniała z dnia na dzień, jak prawie nigdy przed tym.

Sytuacja widocznie zaczęła być groźna, kiedy tą walką zajął się Namiestnik Korytowski. Zaprosiwszy mnie do siebie zapytał, czy bym się nie zgodził na osobistą rozmowę z ks. biskupem Wałęgą. Odpowiedziałem mu, że zawsze to uczynię, jeżeli da mi zapewnienie, że z tej rozmowy coś będzie. Namiestnik po namyśle odrzekł, że on żadnej gwarancji dać nie może, gdyż biskup Wałęga szczególnie po zwycięstwie nad Bobrzyńskim stał się wprost niemożliwy. Rozmowa skończyła się więc na niczym. Pan Namiestnik nie poprzestał na tym, ale szukając dróg wyjścia zwrócił się do arcybiskupa lwowskiego, ks. Bilczewskiego o interwencję. Przygotował też konferencję, która się odbyła pomiędzy mną a ks. arcybiskupem Bilczewskim w tej sprawie.

Ks. Bilczewski niesłychanie godny, wyrozumiały człowiek, uznawał bez zastrzeżeń, że chłopci muszą i powinni się bronić, ponieważ wciąż jeszcze są gnębieni i poniewierani. Sposób zaś i formę obrony, o ile one nie robią szkody religii i Kościołowi, należy im samym pozostawić. On zaś nie tylko nie ma naszemu

stronnictwu nic do zarzucenia, ale jest dla niego z całym uznaniem.

Na prośbę Namiestnika Korytowskiego, zwrócił on się do ks. biskupa Wałęgi, starając się go przekonać o bezcelowości tej walki, o szkodzie, jaką ona przynosi i konieczności wyrównania stosunków. Mało jednak co wskórał, gdyż jak sam zauważył poprzednio, biskup Wałęga odnosił się do nas nie tylko z nieufnością, ale także z wyraźną nieukrywaną niechęcią, do mnie zaś czuje jakiś nieukojony, specjalny żal. Sprawa będzie ciężka, gdyż biskup Wałęga poza swoimi wielkimi zaletami jest człowiekiem niesłuchanie upartym. On jednak będzie robił dalej wszystko, co jest w jego mocy i ma nadzieję, że mu się uda nieprzejednanego biskupa przekonać. Podziękowałem zacnemu i wielkiemu kapłanowi, choć mało miałem nadziei, ażeby mógł cośkolwiek zrobić.

Sprawą tą zajął się także bardzo gorąco poseł hr. Rey, który na swoją rękę robił usilne zabiegi, zarówno u Namiestnika, jak też u biskupa Wałęgi, starając się drogą pośrednią przez różnych ludzi na biskupa wpływać. Do tej swojej akcji przyznał mi się dopiero znacznie później.

Konferencja u biskupa Wałęgi

Namiestnik Korytowski, nie ustając w zabiegach, doprowadził nareszcie do tego, że termin konferencji z biskupem Wałęgą został wyznaczony na dzień 12 czerwca 1914 r.

Wydział wykonawczy naszego Stronnictwa, na specjalnie zwołanym posiedzeniu, wydelegował na nią posła Bojkę i mnie, dając nam bardzo ogólnikowe instrukcje. Poseł Bojko wzbraniał się długo od przyjęcia tej misji, ale ostatecznie pod silnym naciskiem ustąpił. Jechaliśmy obydwaj do biskupa jak na ścięcie, zastanawiając się, czy nie należy jeszcze z drogi wrócić. Na wszelki wypadek ułożyliśmy sobie sposób zachowania się wobec ks. biskupa. Na dworcu w Tarnowie oświadczył mi Bojko zupełnie niespodziewanie, że on do biskupa nie pójdzie, uważa bowiem, że ta parada jest niepotrzebna, a ja sam zupełnie wystarczę. Kiedy mu powiedziałem, że swoim towarzystwem nie robi mi żadnej łaski, ale spełnia przyjęty na siebie obowiązek, zachnął się mocno, ale się już więcej nie upierał. Chodziło jeszcze o to, kto z nas ma wejść do biskupa pierwszy. Chciałem jemu koniecznie oddać to pierwszeństwo, ale się w żaden sposób na to nie zgodził. Ja więc musiałem połknąć tę pigułkę, wcale niepociągającą.

Ks. biskup Wałęga przyjął nas w swoim pałacu w otoczeniu kilku kanoników. Osobiście znałem z nich tylko ks. Walczyńskiego i ks. Bombę. Siedzieli wszyscy z twarzami ogromnie poważnymi. Biskup podszedł do nas, dając nam rękę na przywitanie, następnie uczynili to samo wszyscy obecni kanonicy. Gdy zwracając się do biskupa Wałęgi, zaznaczyłem zaraz na wstępie, że przychodzimy do niego jako delegaci Stronnictwa, powiadomieni przez Namiestnika Korytowskiego o chęci rozmowy z jego strony, oświadczył raptownie, że takiej chęci wcale nie wyraził, a gdyśmy go przeprosili i zabierali się do odejścia zatrzymał nas zaznaczając, że mimo wszystko należy porozmawiać.

Wtenczas przedstawiłem mu szerzej cel naszego przybycia, żądając zaprzestania walki, prowadzonej przeciw nam przez duchowieństwo w kościele i poza nim.

Ks. biskup odpowiedział, że nie może nas uważać za delegatów stronnictwa, tylko za swoje owieczki, które mają obowiązek biskupa słuchać i wszystkie jego polecenia wykonywać. Wszystkie stronnictwa go nie obchodzą, znać ich nie chce i układać się z nimi nigdy nie będzie. Gdy mu oświadczyłem, że w sprawach wiary możemy słuchać każdego wikarego bez apelacji, ale w sprawach politycznych nawet wobec biskupa zachowamy swoje samodzielne zdanie, zachnął się, podając nam na karteczce wcześniej widać spisane i przygotowane warunki, od których spełnienia uzależniał swoje stanowisko wobec stronnictwa. Warunki te brzmiały:

„1) Niniejszym uznajemy, że religia katolicka jest jedynie obowiązująca.

„2) uznajemy, że ścisłym obowiązkiem katolika jest posłuszeństwo władzy kościelnej, to znaczy papieżowi i prawowitemu biskupowi diecezjalnemu w rzeczach wiary i moralności.

„3) uznajemy, że biskup ma prawo i obowiązek zakazywać pisma i gazety, które uważa za szkodliwe dla dobra dusz, a dobry katolik powinien się do tego zakazu stosować.

„4) uznajemy, że pisma dawnej partii ludowców, a w szczególności *Przyjaciel Ludu* przez szerzenie buntu przeciwko władzy kościelnej wywierały szkodliwy wpływ pod względem religijnym i wyrażamy żal, żeśmy je popierali.

„5) uznajemy w kapłanach przewodników duchownych i potępiamy antyklerykalizm jako przeciwny duchowi Kościoła katolickiego.

Pierwsze dwa punkty przyjęliśmy, zaznaczając, że na dalsze trzy nie możemy dać odpowiedzi przed decyzją powołanych władz Stronnictwa.

Odpowiedź i następstwa

Na dzień 18 czerwca został zwołany już poprzednio wydział wykonawczy Rady Naczelnej Stronnictwa. Na posiedzeniu przed-

stawiłem mu żądanie ks. biskupa Wałęgi. Odbyła się dłuższa dyskusja, po której uchwalono jednomyślnie dać ks. biskupowi następującą odpowiedź:

„1) Wydział Rady Naczelnej wraz z posłami P.S.L. na posiedzeniu z dnia 18 czerwca 1914 r. przyjmuje do wiadomości sprawozdanie posłów Bojki i Witosa z delegacji do ks. biskupa Wałęgi, zatwierdza ich stanowisko zajęte w obronie samodzielności i niezależności odrodzonego P.S.L. i oświadcza, że nie może się zgodzić na postulat dążący do zapewnienia klerowi bezwzględного zwierzchnictwa w życiu politycznym.

„2) Wydział Rady Naczelnej stwierdza, że pragnie dobrych stosunków i współpracy z duchowieństwem w sprawach społecznych i wyraża zadowolenie, że znaczna część duchowieństwa zachowuje się wobec odrodzonego P.S.L. neutralnie, a często przychylnie. Ponieważ jednak w diecezji tarnowskiej wypowiedział kler bezwzględną walkę odrodzonemu P.S.L., a próby porozumienia z tym klerem spełży na niczym, Wydział Rady Naczelnej P.S.L. uważa za konieczne przeprowadzenie w diecezji tarnowskiej narzuconej mu walki obronnej ze stronnictwem tarnowskiego kleru, celem utrzymania i wzmocnienia organizacji P.S.L.”.

Odpowiedź tę wręczyłem w dniu 19 czerwca 1914 r. ks. kanonikowi Bombie, upoważnionemu przez ks. biskupa Wałęgę. Uczyliem to już sam, gdyż Bojko nie chciał się pokazywać i pozostał na dworcu kolejowym w Tarnowie. Ks. Bomba odbierając odpowiedź ode mnie odezwał się jednym tylko słowem: „Do brze”.

Tak się skończyła nasza misja i w ten sposób załatwiono się ze sprawą tak niesłychanie ważną. Rezultatem jedynym była wzmożona walka nie tylko w pismach i na wiecach, lecz także na ambonie i nawet w konfesjonale. W wyniku tej walki duchowieństwo straciło prawie zupełnie swój wpływ na chłopów, nie tylko w sprawach politycznych, ale często bardzo i w sprawach kościelnych. I gdyśmy wyrosli na największe w odrodzonej Polsce stronnictwo i mimo metod tej walki utrzymaliśmy się na poziomie, nakazanym interesem ogólnym, to forytowana przez ks. biskupa Wałęgę partia nie tylko nie wykazała żadnej siły ani też większej pozytywnej pracy, lecz przeciwnie w swojej hipotece musi zapisać szkody, jakie Kościół poniósł już nie tylko przez lekceważenie samego duchowieństwa, ale widoczne oziębienie religijne w masach. Myśmy tej walki ani nie zaczynali ani nie pragnęli wiedząc, że ona szkodę tylko może przynieść.

Ks. biskup Wałęga (1859-1933)

Jeśli bardzo długo na wsi każdy ksiądz był uważany za istotę niemal nadziemską, a każde jego słowo za objawienie, to coś dopiero mówić o biskupie, który w przekonaniu chłopów był

dużo większy aniżeli wszyscy księża razem wzięci. Ludność uważała biskupa za rzeczywistego Namiestnika Chrystusa i mocarza mającego w ręku wszelkie łaski i dobrodziejstwa, otwierającego lub zamykającego wstęp do nieba, będącego przy tym wzorem wszelkich cnót i doskonałości. Takim go również przedstawiali księża, odsyłając do niego wielkich grzeszników do spowiedzi, wysyłając prośby o różne dyspensy.

Wieś znała go tylko z nielicznych występów, kiedy się zjawiał na wizytację parafii i udzielał Sakramentu bierzmowania. Te jego występy bywały zawsze otoczone jak największą pompą i przepychem. Na granicę parafii wyjeżdżały po niego liczne banderie, do których dobierano ludzi i konie, szukano po całej okolicy za siodłami i strojami narodowymi. Gdzie przechodził tylko, gromada dziewcząt w bieli sypała mu kwiaty pod nogi. Strój uroczysty biskupa, wysoka infuła na głowie, pastorał w ręku, setki płonących świec, dymy wonnych kadzideł, unizoność otaczających go kapłanów, przystrojony kościół, bicie we wszystkie dzwony, strzelanie z moździerzy, robiły na ludziach dziwne i długo niezapomniane wrażenie. Toteż chwymano każdy ruch biskupa, pamiętano każde wypowiedziane przez niego słowo, a kiedy podniósł rękę do błogosławieństwa, ludziom się wydawało, że dostępują największego szczęścia, jakie ich może spotkać na tym świecie.

Często też w czasie tej ceremonii słyszeć było radosne łkanie.

Odjeżdżający arcybiskup, żegnany przez ludność z prawdziwym nabożeństwem, mógł śmiało wynieść przekonanie, że jest on rzeczywiście władcą setek tysięcy dusz, dla których każde jego słowo staje się nie tylko kojącym balsamem ale także bezwzględnym rozkazem.

Tak było bardzo długo, dopiero walka prowadzona z ruchem ludowym, kłatwy, rzucane na przywódców, na ruch sam i na pisma ludowe, zachwiały nieco autorytetem biskupa i pewną część ludności usposobiły krytycznie do niego, a nawet niechętnie, choć masy pozostawały mu oddane i wierne. Takie było stanowisko biskupa, gdy po śmierci ks. Ignacego Łobosa zasiadł na stolicy biskupiej w Tarnowie ks. biskup Leon Wałęga. Było to w r. 1901. Na jakiś czas przed jego nominacją szeroko rozeszła się wiadomość dla chłopów wprost nieprawdopodobna, jakoby nowy biskup miał być włociańskiego pochodzenia. Wiadomość owa mniej w oczach chłopów dawała nowemu dostojnikowi kościelnemu splendoru, ale za to budziła niesłychane zaciekawienie. Każdy chciał widzieć, jak też ten chłopski biskup wygląda, bo przecież dotąd bywali sami tylko wielcy panowie*. Toteż na dzień jego

* Urodził się we wsi Moszczenica, pow. Gorlice.

intronizacji zgromadziły się tłumy chłopów, jakich jeszcze przy takich uroczystościach Tarnów nigdy nie oglądał. Między cisnącymi się chłopami spotkałem Adama Kowalika z Jodłowej zacieklego zwolennika Stapińskiego i niesłuchanie wrogo do duchowieństwa usposobionego. Na moje zapytanie co robi na tej uroczystości, odpowiedział że przyszedł popatrzeć na nowego ciemiężcę chłopów.

Gdy ogół pobożnych diecezjan nominację biskupa przyjmował jako nowy dowód łaski i opieki Bożej, to chłopci politykujący stawiali sobie niespokojne pytanie, jak się biskup Wałęga wobec nich i wzmagającego się ruchu ludowego zachowa. Nie była to rzecz wcale mała. Diecezja tarnowska zajmowała kilkanaście powiatów, będących silnym ogniskiem ruchu ludowego. Walka pomiędzy większą częścią duchowieństwa i bardzo znacznym odłamem chłopów wrzała na dobre, przybierając bezustannie na sile. Wybitniejszych przedstawicieli tego ruchu księża wciąż nie dopuszczali do spowiedzi, nie dawali rozgrzeszenia, nie przyjmowali na ojców chrzestnych, na świadków przy ślubach, nieraz publicznie piętnowali z ambony, a nawet tu i ówdzie zabraniali wstępu do kościoła.

Nowy biskup nic na lepsze nie zmienił, a sprawę postawił w ten sposób, że Kościół i biskup mają bezwzględne prawo wyrokowania, kto się zaś temu nie podda musi być uważany za niedowiarza i buntownika i odpowiednio do swej winy traktowany. Ponadto, że Kościół nic tu nie winien, gdyż został sprowokowany, a w interesie wiary i swoim musiał się bronić.

Nie wiem, czy takie postawienie sprawy było podyktowane wyższą dyplomacją, czy tylko małostkowym uporem i zemstą, co w żaden sposób nie przystało duchownemu rozległej diecezji. Nie miało ono żadnych podstaw i interesem Kościoła nie mogło być podyktowane. Wprawdzie chłopci prześladowani i rozgoryczeni czasem powiedzieli jakieś nierozważne, a może nawet przykre słowo pod adresem walczącego duchowieństwa, ale zapewniali jak i dawniej kościoły, tłoczyli się do spowiedzi, budowali nowe świątynie, zabiegali o tworzenie nowych parafii i dawali im i księżom uposażenie mimo swojego ubóstwa. Płacili na budowę i naprawę budynków plebańskich, wyręczając zawsze proboszcza, a bardzo często ociągającego się kolatora. Szli więc daleko poza swój obowiązek, a nawet możliwość płacenia.

Gdyby się więc sprawę potraktować chciało cośkolwiek bezstronnie, musiało się i dojrzeć wyraźną tendencję w postępowaniu biskupa Wałęgi i jakieś za nią ukryte cele. Ujawniła się ona jaskrawo, gdy ks. biskup zgodził się na założenie osobnego stronnictwa, które prowadziło swoją działalność prawie wyłącznie na

teren diecezji tarnowskiej. Ks. biskup wiedział o tym, że liczni księża zwolennicy i agitatorzy nowego stronnictwa używali i nadużywali nie tylko ambony ale i konfesjonałów w interesie partyjnym, zapędów tych jednak nie pohamował, mimo skarg ciągłych do niego wnoszonych. Stan ten trwał całe długie lata.

Nie mogłem z czystym sumieniem stwierdzić, czy więcej przyniosło szkody Kościołowi patronowanie tej robocie, czy też więcej dała mu pożytku nadzwyczaj gorliwa praca, głęboka pobożność, znana bezinteresowność i zupełne oddanie się swoim obowiązkom przez ks. biskupa Wałęgę. Natomiast mogę stwierdzić, że ta krucjata prowadzona szczególnie przeciw Piastowcom była walką z wiatrakami, gdyż żaden, ale to żaden z nas nie miał w stosunku do Kościoła, a nie daj Boże wiary katolickiej, żadnych zamiarów nieprzyjaznych, a cóż dopiero wywrotowych. Jeden wspólny grzech mieliśmy wszyscy, a nim było dopominanie się coraz śmielsze o swoje prawa wobec wszystkich, a więc i księdza, który bardzo często służył innym interesom wprost dla chłopów wrogim, zastawiając się przy tym powagą swojego urzędu i nadużywając stanowiska. Często zaś zdzierał za różne posługi kościelne, nie licząc się z niczym. Jeśli zaś ta walka miała być wymierzona przeciw pismom ludowym, to także z góry musiała chybić celu, bo się wnet okazało, że owoc zakazany zaczął jeszcze więcej smakować.

Gdy wszyscy przyznawali ks. biskupowi Wałędze, niezwykłą gorliwość i sumiennność w spełnianiu jego ciężkich obowiązków, to jednak niesłychanie złe wrażenie musiało robić stronnictwu załatwianie prawie każdej sprawy, jeśli ona się rozgrywała pomiędzy księdzem a parafią, składającą się z jego przeciwników politycznych. Tu już nie pomogły żadne dowody, nie przekonały żadne argumenty, każdy ksiądz musiał mieć zawsze rację.

Ponieważ wiedziałem, że się biskup do mnie bardzo niechętnie odnosił, starałem się jak mogłem najmniej mu się naprzykrzać. Pierwszy raz spotkałem się z nim w Wierzchosławicach w czasie jego wizyty, mającej zupełnie lokalny i kościelny charakter, drugie i ostatnie moje z nim spotkanie miało miejsce w r. 1914, kiedy poszedłem do niego jako delegat Stronnictwa Ludowego Piast. Miało ono wynik ujemny. Kiedy w czasie wojny bolszewickiej w r. 1920 przyjechałem do Tarnowa jako szef rządu, nie tylko nie uważał za właściwe ze mną się zetknąć, ale całemu duchowieństwu zabronił się u mnie pokazywać. Trzecie spotkanie, na które mnie zaprosił listem osobnym w r. 1930, nie doszło do skutku, ale to już z mojej winy, gdyż przez dłuższy czas z zaproszenia nie skorzystałem, a potem Brześć uniemożliwił mi spotkanie z nim. Z kół bowiem do ks. biskupa zbliżonych poinform-

mowano mnie, że on się na ten gwałt wcale nie oburzał, zostawiając sąd o nim Panu Bogu. Stanowisko jego w tej sprawie wydawało mi się tym dziwniejsze, że pamiętałem bardzo odważne pismo ks. biskupa, piętnujące rzekomą politykę gwałtu przez Namiestnika Bobrzyńskiego prowadzoną. A przecież różnica była tu olbrzymia i to na korzyść Bobrzyńskiego. Dość też dziwne musiało się wydawać, że w tym czasie ks. biskup Wałęga został odznaczony niezbyt wysokim orderem przez rząd Piłsudskiego i order ten przyjął, mimo że zawsze przed podobnymi rzeczami się bronił. List, pisany do mnie wraz z pismem generała Sikorskiego, zabrał mi dozorca brzeski Kostek-Biernacki, ażeby nie zwrócić dotąd.

Pracując w diecezji tarnowskiej przez lat kilkadziesiąt z rzadko spotykaną wytrwałością, doczekał się ks. biskup Wałęga nie tylko upadku popieranego przez siebie stronnictwa i wzrostu siły ludowców, ale widocznego oziębienia w stosunku do niego i całego niemal kleru wielkiej części ludności a nierzadko także i do Kościoła.

Nie znam powodu dla którego zmuszony był opuścić w r. 1933 stolicę biskupią. Z jednej strony bowiem twierdzono, iż uczynił to ze względu na słabe zdrowie, z drugiej, że na skutek wyższego nakazu władzy.

Opuściwszy Tarnów, przeniósł się do Tuchowa, gdzie po krótkim pobycie w klasztorze ojców Redemptorystów życie zakończył w dniu 23 kwietnia 1933 r. Po raz ostatni zgromadziły się koło niego tłumy ludności, odprowadzając śmiertelne zwłoki na wieczny odpoczynek. Były one znowu w ogromnej większości z ludowców złożone, którzy mając do niego ciężki żal, nigdy nie zapomnieli, że mimo swych błędów był on wysokim dostojnikiem kościelnym.

Po śmierci biskupa Wałęgi ogłoszono jego pismo z r. 1927 będące jakoby testamentem w sprawach, dla których poświęcił wielką część swojego żywota. Sam jednak w tym piśmie dotykając przeszłości, prosi Boga o darowanie mu, jeżeli był w błędzie. Dość bolesne to pismo nie robiło już wielkiego wrażenia. A przyznać trzeba, że i księża tarnowscy zbytnio nim nie wojowali.

W tym miejscu byłoby może na czasie pytanie, jak wyglądała sprawa mojego rzekomego niedowiarstwa, lekceważenia Kościoła i biskupa, jak również nienawiści, którą miałem pałać do księży. Pytanie stawiam sam sobie, a odpowiedź przychodzi w czasie, gdy ks. biskup Wałęga leży w grobie, ja zaś skończyłem sześćdziesiątkę i tułam się poza granicami kraju. Nowy biskup zaś w tych sprawach nie idzie śladami swojego poprzednika. Nie tylko więc usunął się przedmiot walki, ale ustąpili także z pola zapaśnicy.

Mogę też zupełnie otwarcie powiedzieć, co zresztą nieraz już mówiłem: Byłem zawsze i zostałem do dziś dnia wierzącym katolikiem. Będąc jednak nim, nigdy nie mogłem się zgodzić, ażeby komukolwiek a więc i biskupowi podporządkować swoją wolę i wyzbyć się poglądów i zapatrywań w sprawach świeckich i obywatelskich. Byłem zawsze zdania, że należy bezwzględnie oddzielić sprawę wiary i Kościoła od interesów materialnych, wszelkich spraw polityki. Mieszanie zaś do nich spraw kościelnych i zastawianie się się powagą Kościoła uważałem za niedopuszczalne i szkodliwe nadużycie. Chłopom też zawsze powtarzałem: Oddajcie co cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu i zachęcałem ich nawet do walki z wojującymi księżmi, do zgody zaś z tymi, co tej walki nie prowadzili.

Natomiast nigdy i nigdzie, przeciw religii nie występowałem ani jednym słowem, nie chcąc robić także próżni w sercach ludzkich i pamiętając o tym, że naród polski z czasów niewoli szczególnie ma jej wiele do zawdzięczenia. Uznając to, nie mogłem się jednak zgodzić, ażeby interesy narodu podporządkować zupełnie interesowi Kościoła, który także nie zawsze wobec Polski był bardzo przychylny. Nie mieszając się do spraw wiary, nie mogłem się zgodzić na to, ażeby duchowieństwo miało narzucać stronnictwu przekonania polityczne. Miałem i mam dość powodów do twierdzenia, że władcy dusz często swoją małostkowością i za wielką dbałością o siebie przynoszą niepowetowane szkody zarówno Kościołowi jak i moralności.

Przed wielkimi wypadkami

Czas płynął, położenie w państwie i w świecie stawało się coraz bardziej niepewne, stosunki zaostrzały się bezustannie. Gdy z jednej strony spodziewano się, iż wybory do Sejmu na podstawie nowej ordynacji odbędą się w jesieni 1914 r., gdyż ustawa została przez cesarza sankcjonowana, z drugiej zapowiadano rozwiązanie Sejmu i zaniechanie przeprowadzenia wyborów w ogóle.

Państwem austriackim rządził niepodzielnie paragraf 14, na podstawie którego rząd załatwiał nawet takie sprawy, które konstytucyjnie zostały Parlamentowi zastrzeżone. Stronnictwa i kluby poselskie protestowały, jednakże bez skutku.

Nareszcie rząd zdecydował się zwołać Parlament na dzień 5 marca 1914 r., ażeby po jednodziwowym posiedzeniu odroczyć na tydzień, celem przeprowadzenia prób ugody pomiędzy Niemcami i Czechami. Próby te jednak skończyły się na niczym, a Parlament został odroczony na czas nieograniczony. Zaczęły cho-

dzic pogłoski, że się już więcej nie zbierze, lecz zostanie rozwiązany, a gdyby to nie nastąpiło, może się zebrać dopiero gdzieś w listopadzie lub w grudniu. Natomiast termin zebrania się delegacji wspólnych oznaczono na dzień 24 kwietnia w Budapeszcie.

Nasz klub parlamentarny na posiedzeniu w dniu 23 kwietnia odbytym w Wiedniu i Rada Naczelna dwa dni przedtem obradująca w Tarnowie, wypowiedziały się ostro i stanowczo przeciwko stosowaniu paragrafu 14 i upoważniły prezydium do przedsięwzięcia stosownych kroków w tym względzie. Dały też pełnomocnictwo do współdziałania ze stronnictwami demokratycznymi na gruncie polityki niepodległościowej. Żądały przeniesienia punktu ciężkości pracy parlamentarnej na sejmy krajowe, poleciły prowadzić jak najwięcej wydatną pracę na wsi.

W czasie tej pracy spotkałem się po raz pierwszy w kilku powiatach z niezwykle wzmożoną ruchliwością Strzelca i Drużyn Strzeleckich, które swoją działalność zaczęły przenosić na wieś. Ogromną i żywą propagandę prowadzili za nimi przeważnie ludzie młodzi, zamieszcowi, głosząc konieczność zbrojnej walki z Rosją przy współudziale i pomocy rządu austriackiego. Nieliczną młodzież wiejską pociągali nie tyle obietnicą zetknięcia się z Moskalami i łatwością zwycięstwa, ile mundurami i bronią, którą w dużej mierze dysponowali. Na tę robotę mało dotąd zwracaliśmy uwagę, gdyż ograniczała się ona prawie wyłącznie do miast, nie zaczepiając o wieś. Teraz sprawa stała inaczej. Ponieważ w r. 1912 delegowaliśmy z ramienia Stronnictwa posła Włodzimierza Tetmajera do Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, a Komisja ta patronowała owej działalności, poprosiłem Tetmajera o zwołanie kilku wybitniejszych członków Stronnictwa, złożenie sprawozdania i poinformowania nas o potrzebnych szczegółach.

Z jego sprawozdania dowiedzieliśmy się, że do owej Komisji należy dziewięć czy dziesięć stronnictw z samego Królestwa, a wszystkie te stronnictwa w komisji reprezentuje dr Jodko Narkiewicz, przyjaciel i powiernik Piłsudskiego. Całą działalnością Strzelca i Drużyn Strzeleckich kieruje emigracja polska, spod zaboru rosyjskiego pochodząca. Robi to za wiedzą i wolą, a nawet przy poparciu moralnym i materialnym rządu austriackiego. Organizacje poza celami wybitnie militarnymi zdradzają tendencje wyrażnie socjalistyczne. Socjaliści mają też nieograniczony wpływ szczególnie na Strzelca. Jest ogólna opinia, że grupują się koło niego żywiły niepewne i awanturnicy, choć nie brak także ludzi ideowych. Będąc zwolennikiem walki czynnej z Rosją, miał jednak Tetmajer wiele zastrzeżeń do akcji, przez tych ludzi prowadzonej, szczególnie, że kierują nią czynniki zakonspirowane,

a więc nieodpowiedzialne. Mogą one też do wczesnego i szkodliwego wybuchu doprowadzić.

Kończąc swoje sprawozdanie, oświadczył się Tetmajer za pozostaniem w Komisji, ale raczej dla obserwacji, działalności, zaś tak Strzelca jak i Drużyn Strzeleckich nie popierać, dopóki ich zadanie nie zostanie dokładnie wyjaśnione.

Jedną nogą byliśmy tam więc aż do wybuchu wojny światowej, nie zajmując się działalnością tych organizacji na serio. Chłopi na ogół ruch ten lekceważyli, ale się go równocześnie obawiali, że może im on sprowadzić na głowę wielką awanturę albo spowodować niepoczytalne występy różnych młodzików. Wyrażali też zdziwienie, dlaczego żandarmi z taką skwapliwością zabierając im każdą „pukawkę”, „ciarachom spod Moskała pozwalają chodzić z karabinami”.

Upłynęło znowu parę miesięcy czasu. Nie różniły się one prawie niczym od poprzednich. Walka i roznamiętnienie polityczne takie same, zebrania i zjazdy z tymi samym tematami odbywane, te same też wysuwane postulaty i tak samo teraz jak dawniej nie spełniane. Atmosfera jednak stawała się coraz gorętsza, jakaś burza nieznana zdawała się być blisko. Mówiono coraz więcej o możliwości bliskiego wybuchu wojny. Świat polityczny denerwowały częste i coraz bardziej prowokacyjne mowy cesarza Wilhelma.

W tym stanie rzeczy nadeszła wiadomość o zamordowaniu austriackiego następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda i jego małżonki w niedzielę 28 czerwca 1914 r. w Sarajewie. Wiadomość ta dostała się na wieś natychmiast, wywołując niesłychane wrażenie i przerażenie. Wszyscy byli przekonani, że wojna musi się już teraz zacząć i Serbowie będą przykładnie ukarani, gdyż morderca arcyksięstwa był Serbem. Wybuchu więc wojny spodziewano się z dnia na dzień, prowadząc na ten temat stałe i gorące rozmowy.

Przygotowania do wyborów do Sejmu

To się jeszcze nie stało, natomiast przyszły sprawy, których się w tym czasie nie spodziewano, a które raczej wskazywały na utrzymanie pokoju. Sejm galicyjski został rozwiązany, przy równoczesnym rozpisaniu wyborów na podstawie nowej ordynacji wyborczej. Klasa gmin wiejskich w całej Galicji miała wybierać w dniu 7 października względnie w razie potrzeby w dniu 14 października 1914 r.

Zostaliśmy tym mocno zaskoczeni, toteż rozpoczęliśmy zaraz gorączkową działalność. Chodzi o wielką stawkę dla Stronnictwa, gdyż wybory te miały wykazać, za kim wieś polska pójdzie. Myśmy byli przekonani, że ona jest z nami, Stapiński głosił, że z nim, a tarnowscy katolicy twierdzili bez zająknięcia, że wszystko jest za nimi. Wybory owe były też uważane za walny pojedynek pomiędzy mną a Stapińskim.

Zebrani naprędce przeze mnie przedstawiciele różnych powiatów w Krakowie mieli złożyć sprawozdanie ze stanu organizacyjnego i dać potrzebne informacje. Byli oni ogromnie optymistycznie nastrojeni, przepowiadając nam zupełne zwycięstwo i to niemal we wszystkich powiatach. Zacząłem się oglądać za kandydatami na poszczególne okręgi i niezbędnymi funduszami, gdyż termin wyborów się zbliżał, a kasa Stronnictwa była niemal pusta. Postanowiłem też objechać sam wszystkie powiaty Galicji zachodniej, gdzieśmy tylko rozporządzali poważniejszymi wpływami, by się na miejscu przekonać jak rzeczy stoją, a nie kierować się zdaniem innych, jak się to zresztą okazało, niemiarodajnym. Była to wprawdzie praca długa, niezwykle uciążliwa i wyczerpująca, niemniej jednak w naszych warunkach niezbędnie potrzebna. Na rozmowy zapraszałem po kilkunastu, czasem tylko kilkudziesięciu ludzi z powiatu, przeważnie czytelników *Piasta* i bardziej znanych i ruchliwych działaczy, choćby nawet nieprzychylnie do mnie usposobionych. Przychodzili też wszędzie bez wyjątku, przynosząc nieraz bardzo cenne informacje, Dziwne mi się wydawało, że w różnych powiatach trafiali się ludzie, którzy mówili, że lepiej zaniechać tej roboty, bo wojna wybuchnie na pewno.

Koniec tomu 1-go

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA — napisał prof. Stanisław KOT 7

WSTĘP: — Powody. — Braki. — Miejsce i powody postanowienia. — Gdzie piszę i co zamierzam napisać. — Ogólnie. — Czymże więc byłem, co umiałem i do czego dążyłem. — Walka z Kościołem. — Szkoła i praca. — Na urzędzie. — Dlaczego? — A co potem? — Chłopi i mniejszości narodowe. — Ziemia, parcelacja, kolonizacja i reforma rolna. — W Polsce. — Stronnictwo Ludowe „Piaś”. — Moje otoczenie. — Inteligencja. — Obszarnicy i szlachta. — Robotnicy. — Narodowa Demokracja. — Socjaliści. — „Wyzwolenie”. — Parlamentaryzm i współdziałanie. — Porozumienie z r. 1923. — Moja broszura „Czasy i ludzie”. — Walka i agitacja. — Czy ja kiedyś myślałem o zamachu? — Inne zarzuty. — Rok 1923 i dalsze. — Pchanie się do władzy. — Sejm chłopski. — Po przewrocie majowym. — A cóż z chłopami? — Stosunek chłopów do mnie 19

C z ę ś ć I: WIEŚ I MŁODOŚĆ. — O sobie, rodzinie i wsi. — Moje dociekania. — Chłopski pogląd na świat. — Życie rodzinne. Życie sąsiedzkie. — Życie religijne. — Życie pozagrobowe. — Życie kulturalne. — Staropanieństwo. — Nieślubne matki i dzieci. — Krzywo-przysięstwo i świętokradztwo. — Czary. — Upředzenia. — Bliżsi i dalsi sąsiedzi. — Kobiety. — Wieś

w swojej masie. — Uroczystości narodowe. — Wieczorne schadзки i rozmowy. — Służba wojskowa. — Dwaj proboszcze. — Szkoła i nauczyciele. Dwór i jego urzędnicy. — Karczmy. — Inteligencja. — Organista. — Wójcia. — Gmina. — Wesela. — Obrzędy i śpiewki. — Podróże i pielgrzymki. — Ubiory. — Choroby. — Zabobony. — Pogrzeby. — Różnice. — Jeszcze o swojej wsi. — Wieś później. — Emigracja. — Zmiany i skutki. — Refleksje. — W domu rodzicielskim i w szkole ..

73

C z ę ś ć I I : POLITYKA W GMINIE I W POWIECIE. — „Przyjaciel Ludu”. — Pierwsza korespondencja. — W gminie. — Przy wojsku. — Karczmarz z Bieńczyc. — Po wojsku. — Co mówią ludzie? — Moja taktyka. — W Radzie powiatowej. — Praca polityczna i organizacyjna w powiecie. — Dr Winkowski i ks. dr Żyguliński. — Dalsza praca i wypadki. — Księża w Tarnowskim. — Książdz Stojałowski. — Jan Stapiński. — Barbara Stapińska. — Opozycja. — Poseł Olszewski i różne wiadomości

205

C z ę ś ć I I I : W SEJMIE KRAJOWYM. — Zebranie delegatów w Tarnowie. — Wybory. — Układy z konserwatystami. — Kongres w Rzeszowie. — Wybrani posłowie. — Ukonstytuowanie klubu poselskiego. — W drodze do Lwowa. — Pierwsze posiedzenie klubu. — Skład Sejmu. — Otwarcie Sejmu. — Wydział Krajowy. — Wystąpienie Stapińskiego w Sejmie. — Posiedzenie klubu. — Choroba Stapińskiego. — Przeciw Stapińskiemu. — Posiedzenie klubu i kanały. — Nowi Ludowcy: ks. Pastor i ks. Żyguliński. — Różne trudności. — W salonach Namiestnika. — Ukraińcy i obstrukcja w Sejmie. — Moje przemówienie i Ukraińcy. — Dalsze moje przemówienia. — Obchody Grunwaldzkie. — Następne sesje sejmowe. — Tajemnicze wybory do Parlamentu

254

C z ę ś ć I V : W KOLE POLSKIM I WIEDNIU. — Klub i wybór Stapińskiego. — W Parlamencie. — Posłowie. — Posłowie Stronnictwa Ludowego. — Dwie sprawy w Kole Polskim. — Wybory do Sejmu. — Turniej kandydatów do Ministerstwa dla Galicji. — Miłość i walka. — Przygotowania. — Rada Naczelna w Rzeszowie. — Rozłam i następstwa

300

C z ę ś ć V : POWSTANIE PIASTA. — Kongres w Tarnowie. — Rezolucje Witosy. — Dalsza praca. — W nowym Sejmie. — Ostatni Sejm i Namiestnik Korytowski. — Co zyskałem w tym Sejmie? — Zawiązanie Stronnictwa Katolicko-Ludowego w Tarnowie. — Konferencja u Biskupa Wałęgi. — Odpowiedź i następstwa. — Ks. Biskup Wałęga. — Przed wielkimi wypadkami. — Przygotowania do wyborów do Sejmu	327
--	-----

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 7 AVRIL 1964
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1964

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

I/III: F 87 (\$ 18,-; £6.10.00)